

PETER V.
BRETT

WOJNA
W BLASKU
DNIA

KSIĘGA PIERWSZA

PRZEŁOŻYŁ
MARCIN MORTKA

fabryka słów

LUBLIN 2013

SPIS TREŚCI

PROLOG.....	4
Arlen.....	36
Obietnica.....	56
Owies.....	70
Drugie nadejście.....	91
Opiekun Hayes.....	127
Kolczyk.....	151
Szkolenie.....	155
Sharum nigdy się nie uginają.....	195
Ahmann.....	232
Zmartwienie Kenevah.....	255
Posiłek przed wyjazdem.....	272
Setka.....	298
Zabawianie tłumu.....	324
Pieśń o Nowiu.....	343
Matka i córka.....	385
Tam, gdzie nie docierają khaffit.....	402
Zahven.....	429
KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ.....	444

*Dla moich rodziców,
Johna i Dolores, którzy wciąż czytają w nocy na kanapie*



PROLOG

Inevera

300 ROK PLAGI

Inevera i jej brat Soli siedzieli w słońcu. Oboje przytrzymywali bosymi stopami spody wyplatanych koszy i zręcznie obracali je, wyplatając kolejne warstwy. O tej porze w ich niewielkim kramie było coraz mniej cienia. W ostatniej, zmniejszającej się plamie zasiadała ich matka, Manvah, zajęta własnym koszem. Sterta włókna palmowego ułożona między nimi kurczyła się z każdą chwilą.

Inevera miała dziewięć lat. Soli był od niej niemal dwa razy starszy, ale nadal dość młody, jak na *dal'Sharum*. Zasłużył sobie na ten zaszczyt zaledwie tydzień temu i jego czarna szata wciąż była jak nowa. Siedział teraz na macie, by nie pobrudzić się wszechobecnym kurzem Wielkiego Bazaru. Rozsunął płótno pod szyją, odsłaniając gładką, muskularną klatkę piersiową, lśniąca od potu.

Powachlował się liściem palmy.

– Na jaja Everama, ależ gorąco w tych szatach. Szkoda, że nie mogę już chodzić tylko w bido.

– Możesz usiąść w cieniu, jeśli sobie tego życzysz, *Sharum* – zauważyła matka.

Soli syknął i pokręcił głową.

– Tego oczekujesz? Że gdy tylko założę czarną szatę, zacznę was rozstawiać po kątach niczym...

Manvah zachichotała.

– Chciałam się tylko upewnić, że pozostaniesz moim słodkim chłopcem.

– Tylko dla ciebie i mojej kochanej siostrzyczki. – Soli zmierzwił włosy Ineverze. Pacnęła go w rękę, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Obecność brata sprawiała, że wszyscy się uśmiechali. – Dla innych jestem paskudny niczym piaskowy demon.

– Akurat. – Manvah machnęła lekceważąco dłonią, ale Inevera zamyśliła się głęboko. Pamiętała, co Soli zrobił parę lat temu z dwoma chłopakami z plemienia Majah, którzy jej dokuczali na bazarze. Wiedziała też, że słabi nie dożywali świtu w Labiryncie.

Skończyła kosz i dołożyła go do reszty. Przeliczyła je szybko.

– Jeszcze trzy i zamówienie *dama* Badena będzie gotowe.

– Może Cashiv przyjdzie je odebrać i zaprosi mnie na przyjęcie w pałacu *dama* – powiedział Soli.

Cashiv był *kai'Sharum dama* Badena. Był też *ajin'pal* Soliego, co oznaczało, że podczas pierwszej bitwy brata Inevery walczył związany z nim mocną liną. Mówiono, że taka walka tworzyła nierozzerwalną więź między mężczyznami.

Manvah parsknęła.

– Jeśli rzeczywiście trafisz na to przyjęcie, *dama* Baden zapewne każe ci się rozebrać i naoliwić, a potem sprezentuje twój tyłek jakiemuś lubieżnemu staruchowi. Wspaniały sposób na świętowanie Nowiu.

Soli wybuchnął śmiechem.

– Słyszałem, że tych starych nie trzeba się obawiać. Większość tylko patrzy. To młodszy uczestnicy przyjęcia nigdy nie rozstają się z fiołkami oleju.

Westchnął przy tych słowach.

– Gerrat usługiwał podczas ostatniej orgii u *dama* Badena. Mówił, że *dama* wręczył mu dwieście draki. Niezła forsa, zdecydowanie warta paru otarć na tyłku.

– Uważaj, żeby ojciec tego nie usłyszał – ostrzegła Manvah.

Soli zerknął na kotarę, za którą spał ojciec.

– I tak prędzej czy później dowie się, że jego syn to *push'ting* – westchnął. – Nie poślubię jakiegś biednej dziewczyny tylko po to, by to przed nim ukryć.

– Czemu nie? – spytała Manvah. – Pomogłaby nam przy wyplataniu. Czy naprawdę nie mógłbyś się przemóc i parę razy wlać w nią nasienie, abym doczekała się wnuków?

Soli skrzywił się tylko.

– Jeśli o to chodzi, będziesz musiała poczekać na Ineverę. – Spojrzał na siostrę. – Jutro *Hannu Pash*, siostrzyczko. Może *dama'ting* znajdą ci męża?

– Nie zmieniaj tematu! – Manvah smagnęła go liściem palmy. – Bez lęku stajesz do walki z potworami w Labiryncie, a boisz się tego, co się kryje między nogami kobiety?

Przez twarz chłopaka przemknął grymas.

– W Labiryncie nie jest wesoło, ale przynajmniej otaczają mnie silni, spoceni mężczyźni. A zresztą kto wie? Może przypadnę do gustu *dama*, który też jest *push'ting*? Ci najbardziej wpływowi, jak Baden, tworzą z ulubionych *Sharum* osobiste straże, które walczą w Labiryncie tylko podczas Nowiu! Wyobrażacie sobie? Tylko trzy noce w Labiryncie!

– To i tak o trzy za dużo – mruknęła Manvah.

Inevera była zmieszana.

– Ale przecież Labirynt to święte miejsce! To ogromny zaszczyt!

Manvah prychnęła i powróciła do wyplatania. Soli popatrzył na siostrę. Jego oczy były zamglone, jakby wpatrywał się w dal. Przestał się uśmiechać.

– W Labiryncie czeka święta śmierć – rzekł w końcu. – *Dama* obiecują Niebiosą każdemu mężczyźnie, który tam zginie, ale ja na razie nie palę się, aby stanąć przed Everamem. Jeszcze nie.

– Przepraszam – szepnęła Inevera.

Soli potrząsnął głową i uśmiechnął się znowu.

– Nie przejmuj się tym, siostrzyczko. Labirynt to nie twoje zmartwienie.

– Labirynt to zmartwienie każdej kobiety w Krasji, mój synu – rzekła Manvah. – Obojętnie, czy walczymy u waszego boku, czy też nie.

Rozmowę przerwał głośny jęk i szmer odsuwanej kotary. Zaraz potem pojawił się Kasaad. Ojciec Inevery nawet nie spojrzał na żonę. Bezceremonialnie wypchnął ją nogą z zacienionego miejsca, rzucił tam parę poduszek i rozparł się wygodnie. Wychylił mały kubek *couzi* i natychmiast nalał sobie kolejny, mrużąc oczy w blasku słońca. Jego wzrok jak zwykle przesunął się po Ineverze, jakby nie istniała, i zatrzymał się na jej bracie.

– Soli! Natychmiast odłóż ten kosz! Jesteś teraz *Sharum* i nie będziesz pracował jak byle *khaffit!*

– Ojcie, otrzymaliśmy pilne zamówienie! – zaproponował Soli. – Cashiv...

– Phi! – Kasaad machnął ręką. – Nie obchodzi mnie, czego chce ten naoliwiony, wypachniony *push'ting!* Odłóż ten koc i wstawaj, zanim ktoś zauważy, że kalasz czarne szaty! Wystarczy, że musimy marnować cały dzień na tym brudnym bazarze.

– Ten człowiek chyba nie ma pojęcia, skąd się biorą pieniądze – mruknął Soli pod nosem, nie chcąc, by go Kasaad usłyszał. Nie przerywał pracy.

– Albo jedzenie na stole. – Manvah przewróciła oczami i westchnęła. – Najlepiej będzie, jak zrobisz to, czego chce.

– Skoro jestem teraz *Sharum*, mogę robić to, co mi się żywnie podoba. Niby dlaczego mam przestać wypłacać kosze, skoro przynosi mi to ukojenie? – spytał Soli. Jego palce migotały coraz szybciej, wplatając kolejne liście palmowe. Kosz był już na ukończeniu i chłopak nie miał zamiaru przerywać. Inevera przyglądała mu się ze zdumieniem. Pracował niemal równie szybko jak matka.

– To twój ojciec – rzekła Manvah. – Jeśli nie zrobisz tego, co chce, wszyscy tego pożałujemy.

Zwróciła się do Kasaada słodkim głosem:

– Ty i Soli możecie odejść zaraz po tym, jak *dama* ogłoszą wieczór, mężu.

Kasaad skrzywił się tylko. Szybko wychylił kolejny kubeczek.

– W czym ja, wielki Kasaad asu Kasaad am'Damaj am'Kaji, pogromca setek *alagai*, uraziłem Everama, że teraz muszę pilnować sterty koszy?

Z obrzydzeniem wskazał na stos gotowych wyrobów.

– Powiniennem iść na miejsce zbiórki! Powiniennem szykować się do chwalebnej *alagai'sharak!*

– Chodzi mu tylko o to, by się upić z innymi *Sharum* – szepnął Soli do Inevery. – Oddziały, które zbierają się najwcześniej, udają się do centrum Labiryntu, gdzie trwają najzacieklejsze walki. Im dłużej będzie zwlekać, tym mniejszą ma szansę, że w ogóle zobaczy jakiegoś *alagai*. Wypije do tego czasu tyle couzi, że będzie pijany jak bela.

Couzi. Inevera nienawidziła tego napoju. Wyrabiano go ze sfermentowanych ziaren doprawionych cynamonem, sprzedawano w niewielkich glinianych buteleczkach, a pito z jeszcze

mniejszych kubków. Ineverze wystarczyło powąchać pustą butelkę, by zapiekły ją nozdrza i zakręciło jej się w głowie. W zapachu nie było ani śladu cynamonu. Mówiono, że smak zaczynało się odczuwać dopiero po trzech kubeczkach, ale czy można zawierzyć słowom człowieka, który tyle już w siebie wlał? Ludzie pijący *couzi* mieli tendencję do przesady i podkreślania własnej wielkości.

– Soli! – warknął Kasaad. – Zostaw robotę kobietom i napij się ze mną. Wychylimy toast za śmierć czterech *alagai*, które wczoraj załatwiłeś!

– Będziesz mi przypisywał zasługi całego oddziału? – burknął Soli. Jego palce poruszały się jeszcze szybciej. – Nie piję *couzi*, ojcie! – zawołał. – Evejah zabrania.

Kasaad parsknął i wychylił kolejny kubeczek.

– Manvah! Zrób synowi *sharik* herbatę.

Znów przechylił butelkę, ale do kubka ściekło tylko kilka kropel.

– I przynieś mi jeszcze *couzi*.

– Everamie, daj mi cierpliwość – mruknęła Manvah i zawołała głośno: – To była ostatnia butelka, mężu!

– No to rusz się i kup mi jeszcze! – warknął Kasaad.

Inevera była pewna, że matka zgrzytnęła zębami.

– Większość kupców na bazarze już zamknęła sklepy, a my musimy skończyć te kosze przed przybyciem Cashiva.

Kasaad machnął ręką z obrzydzeniem.

– Przecież ten marny *push'ting* może chyba zaczekać, nie?

Soli nabrał gwałtownie tchu. Inevera dostrzegła krew na jego dłoni, rozciętej ostrą krawędzią liścia palmowego. Chłopak zacisnął zęby, ale nie przerwał pracy.

– Wybacz, czcigodny mężu, ale wysłannik *dama* Badena nie będzie czekać. – Manvah również kontynuowała pracę. – Jeśli nie wykonamy zamówienia na czas, Cashiv znów kupi kosze od Krishy. Bez jego zapłaty nie będziemy w stanie zapłacić podatku na cele wojenne, nie mówiąc już o kupnie alkoholu!

– Co? – ryknął Kasaad. – Co wy robicie z moimi pieniędzmi! Przecież przynoszę do domu sto draki na tydzień!

– A połowa z tego wraca do *dama* w formie podatku – odrzekła Manvah. – Co więcej, zawsze wkładasz dwadzieścia draki do kieszeni. Resztę wydajemy na kuskus i *couzi*, a na

niewiele starcza, tym bardziej że często przyprowadzasz do domu pół tuzina spragnionych *Sharum*. To sporo kosztuje, mężu. *Dama* odrąbują kciuki *khaffit* przyłapanym na sprzedawaniu alkoholu. Nic dziwnego, że *couzi* staje się coraz droższe.

Kasaad splunął.

– *Khaffit* sprzedaliby słońce, gdyby mogli je ściągnąć z nieba. Przystań już gadać i idź kupić butelkę. Uprzyjemnisz mi oczekiwanie na tego półmężczyznę.

Soli skończył swój kosz, wstał i położył go na inne.

– Ja pójdę, matko. *Chabin* nigdy nie zamyka kramu przed zachodem słońca i na pewno będzie miał jeszcze trochę na stanie.

W oczach *Manvah* błysnęła stal, ale nie przerywała wyplatania. Podobnie jak Soli, pracowała coraz szybciej. Jej palce migotały nieprzerwanie.

– Nie chcę, byś wychodził teraz. Jeszcze ktoś się połasi na nasze kosze. To cały miesiąc pracy!

– Przecież nikt nas nie obrabuje w obecności ojca! – zapewnił Soli, ale spojrzał na Kasaada usiłującego wylizać ostatnie krople *couzi* z butelki i westchnął. – Obiecuję, że się pospieszę. Nawet nie zauważycie, że mnie nie ma.

– Wracaj do pracy, *Inevera* – warknęła *Manvah*, gdy Soli wybiegł z kramu. Dziewczynka uświadomiła sobie, że przerwała wyplatanie i wpatrywała się to w brata, to w ojca. Natychmiast wróciła do pracy.

Nie miała odwagi spojrzeć na ojca, ale zerkąła raz po raz. Kasaad wpatrywał się w matkę, która właśnie obróciła wyplatany kosz zręcznymi stopami. Jej czarne szaty uniosły się nieco, odsłaniając nagie kostki i łydki.

Kasaad położył dłoń na kroczu i zaczął masować.

– Chodź tu, żono. Chcę.

– Pracuję! – oznajmiła *Manvah* i wzięła kolejną gałąź palmy ze stosu. Sprawnie odłamywała liście od łodygi.

Kasaad wydawał się bezgranicznie zdumiony jej odpowiedzią.

– Dlaczego odmawiasz mężowi godziny przyjemności przed nocną bitwą?

– Ponieważ ślęczę nad tymi koszami od tygodnia! – odparła *Manvah*. – Ponieważ jest późno i na ulicy zrobiło się cicho! Ponieważ owoce naszej pracy leżą na widoku, a jedyną osobą, która może je obronić przed złodziejami, jest napalony pijak!

– Kto taki? – Kasaad parsknął śmiechem.

– Dobrze pytanie! – zabrzmiał obcy głos. Wszyscy odwrócili się i ujrzeli Krishę wchodzącą do ich pawilonu. – Kto taki?

Krisha była potężną kobietą. Bynajmniej nie grubą, gdyż mało kto w Pustynnej Włóczni mógł sobie pozwolić na otyłość. Wywodziła się z rodziny wojowników i odziedziczyła po ojcu mocną posturę, szerokie ramiona i twarde dłonie. Jak wszystkie *dal'ting* zakutana była od stóp do głów w czarną szatę. Również zajmowała się wyplataniem koszy i należała do najpoważniejszych konkurentek Manvah w plemieniu Kaji. Jej wyroby miały gorszą jakość, ale Krisha była ambitniejsza.

Wraz z nią do pawilonu weszły cztery inne kobiety w szatach *dal'ting*. Dwie zasłaniały twarze czarnymi woalkami, jak przystało na siostry-żony. Pozostałe, z odsłoniętymi obliczami, były córkami Krishy. Podobnie jak matka, raczej nie mogły poszczycić się urodą, co zapewne odstraszało wielu potencjalnych mężów. Wszystkie były dobrze zbudowane i po wejściu do pawilonu rozstawiły się w krąg, niczym szakale osaczające zającą.

– Wciąż pracujecie, mimo późnej pory – zauważyła Krisha. – Większość kramów już zamknięta.

Manvah wzruszyła ramionami, nie odrywając oczu od kosza.

– *Dama* ogłoszą zapadnięcie zmroku dopiero za jakąś godzinę.

– Cashiv zawsze przychodzi do was pod wieczór, prawda? – spytała Krisha. – W dniu przyjęcia *dama* Badena?

Manvah nadal nie unosiła wzroku.

– Moi klienci to nie twoje zmartwienie.

– Owszem, moje. Zwłaszcza gdy wykorzystują syna *push'ting*, by mnie okradać – w głosie Krishy pojawiła się groźba. Jej córki podeszły do Inevery i odgrodziły ją od matki. Siostry-żony zbliżyły się do Kasaada.

Manvah uniosła spojrzenie.

– Niczego nikomu nie ukradłam. Cashiv przyszedł do mnie i powiedział, że twoje kosze rozpadają się po załadowaniu. Winę za straty ponoszą twoje wyplataczki, a nie ja.

Krisha pokiwała głową i wzięła koszyk, który Inevera ułożyła przed chwilą na stosie.

– Odwalasz tu niezłą robotę wraz z córką – stwierdziła, sprawdzając wytrzymałość splotu, a potem rzuciła kosz na ziemię i rozgniotła stopą obutą w sandał.

– Ani się waż, kobieto! – ryknął Kasaad. W jego głosie gniew mieszał się z niedowierzaniem. Zerwał się na równe nogi, ale nie zdołał złapać równowagi. Rozejrzał się w poszukiwaniu włóczni i tarczy, jednak nigdzie ich nie było.

Siostry-żony Krishy wykorzystały okazję i równocześnie wyszarpnęły krótkie ratanowe laseczki z obszernych rękawów. Jedna złapała Kasaada za ramiona i obróciła w stronę drugiej, a ta celnie wbiła laskę w żołądek *Sharum*. Wojownik jęknął z bólu, nie mógł złapać oddechu. Kobieta kopnęła go z całej siły w krocze. Kasaad wrzasnął.

Inevera zerwała się z krzykiem, ale córki Krishy przytrzymały ją brutalnie. Manvah również się podniosła, zaraz jednak upadła, kopnięta w twarz przez Krishę. Zawyla głośno, ale było już późno i nikt jej nie usłyszał.

Krisha spojrzała na kosz leżący na klepisku. Oparł się jej niszczycielskim zapędem. Poddał się, dopiero gdy trzykrotnie na niego skoczyła. Przyglądająca się scenie Inevera uśmiechnęła się z zawiścią.

Kilka kroków od niej siostry-żony Krishy nadal biły Kasaada.

– Wrzeszczy jak kobieta! – zaśmiała się jedna i znów kopnęła go między nogi.

– A walczy jeszcze gorzej! – krzyknęła druga. Puściła i Kasaad runął na ziemię, próbując odzyskać oddech. Na jego twarzy malował się ból i upokorzenie. Kobiety zostawiły go i zaczęły przewracać stosy koszy, niszczyły je uderzeniami lasek.

Inevera usiłowała się wyrwać, ale młodsze kobiety zacisnęły chwyt.

– Nie ruszaj się albo połamiemy ci palce i będziesz miała wyplatanie koszy z głowy na resztę życia!

Dziewczynka znieruchomiała, ale zmrużyła oczy i zmieniła lekko pozycję, by wbić piętę w najbliższą stopę. Zerknęła na Manvah. Matka pokręciła głową.

Kasaad splunął krwią i uniósł się nieco.

– Wy wiedźmy! Kiedy *dama* się o tym dowie...

– *Dama!* – zarząła Krisha. – Pójdiesz do *dama*, Kasaadzie synu Kasaada, i opowiesz mu, że uchlałeś się *couzi* i zostałeś pobity przez kobiety? Już to widzę! Nie piśniesz o niczym nawet swemu *ajin'pal*, gdy przyjdzie cię zerznąć w nocy!

Kasaad usiłował wstać, ale jedna z kobiet powaliła go szybkim kopniakiem w brzuch. Zaległ na plecach i nie poruszył się więcej.

– Phi! – wykrzyknęła kobieta. – Posikał się jak dzieciak!

Wybuchły śmiechem.

– Podsunęło mi to pewien pomysł! – zawołała Krisha i podeszła do stosu rozsypanych koszy. Podniosła szatę. – Po co mamy się pocić i rozwalać te przekłete wyroby, kiedy po prostu możemy do nich napaskudzić?

Przykucnęła i zaczęła oddawać mocz, kręcąc przy tym biodrami, by zabrudzić możliwie najwięcej. Pozostałe kobiety zaśmiały się i poszły w jej ślady.

– Biedna Manvah – szydziła Krisha. – Masz męża i syna w rodzinie, a żaden nie zasługuje na miano mężczyzny. Twój mąż jest gorszy od *khaffit*, a twój syn *push'ting* najwyraźniej jest zbyt zajęty ssaniem kutasów, by ci pomóc!

– I tu się mylisz! – zabrzmiało.

Inevera odwróciła głowę i ujrzała dłoń Soliego zaciskającą się na nadgarstku trzymającej ją kobiety. Ta wrzasnęła z bólu, gdy młody wojownik bez litości wykręcił jej rękę, i wierzgnęła dziko, przewracając siostrę.

– Dość tego! – Soli huknął na wrzeszczącą kobietę i odepchnął ją mocno. – Jeśli raz jeszcze dotkniesz mojej siostry, nie poprzestanę na wykręcaniu, a po prostu oderwę ci dłoń!

– Zaraz się przekonamy, *push'ting*! – oznajmiła Krisha. Jej siostry-żony wstały, wygładziły szaty i ruszyły na Soliego, unosząc pałki. Krisha pochwyciła własną.

Inevera krzyknęła, ale brat, choć nie miał broni, bez strachu skoczył naprzeciw atakującym. Pierwsza napastniczka wymierzyła mu cios, ale Soli okazał się szybszy, usunął się i złapał kobietę za ramię. Rozległ się trzask i siostra-żona padła z wrzaskiem na ziemię. Jej laska znalazła się w dłoni młodzieńca. Druga kobieta zaatakowała, ale Soli sparował uderzenie i grzmotnął ją bez wahania w twarz. Ruchy miał płynne, wyglądał, jakby tańczył. Inevera przyglądała się, jak brat trenował *sharusahk* po powrocie do domu w Nowiu. Uderzona kobieta upadła, a Inevera ujrzała, jak unosi woalkę, by wypluć krew z ust.

Krisha zaatakowała jako trzecia. Soli wypuścił laskę, pochwycił broń napastniczki i zablokował. Po czym złapał kobietę za kołnierz, odwrócił ją i przechylił nad stos koszy. Uderzył jej głową o ziemię, a potem złapał skraj szaty prowadyrki i poderwał tkaninę aż po talię.

– Błagam! – jęczała Krisha. – Zrób ze mną, co sobie życzysz, ale nie odbieraj moim córkom dziewictwa!

– Fuj! – Soli splunął z obrzydzeniem. – Już prędzej zerznąłbym wielbłąda.

– Och, przestań, *push'ting* – w głosie kobiety zabrzmiało szyderstwo. – Wyobraź sobie, że jestem mężczyzną, i weź mnie od tyłu!

Soli ujął laskę Krishy i zaczął okładać jej pośladki.

– Żaden mężczyzna, nie tylko *push'ting*, nie wepchnie fiuta w kupę łajna! – wykrzyknął, zagłuszając wrzaski Krishy i niosący się echem łoskot uderzeń o gołą skórę. – A twoich córek nawet nie tknę, bo chcę, by jak najszybciej wyszły za jakiegoś nieszczęsnego *khaffit* i zakryły woalkami swoje paskudne gęby!

Puścił kołnierz, ale nadal tłukł Krishę, wypędzając zarówno ją, jak i pozostałe kobiety z kramu. Córki pomogły się podnieść siostronom i cała piątka, potykając się, chyłkiem zbiegła ulicą.

Manvah wstała i otrzepała szaty. Zignorowała Kasaada i podeszła do Inevery.

– Nic ci się nie stało? – spytała.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Sprawdźmy kosze – rzekła matka. – Były tu tylko przez chwilę. Może uda nam się ocalić...

– Za późno. – Soli wskazał na ulicę, na której pojawiło się trzech *Sharum*. Mieli na sobie szaty bez rękawów i napierśniki z czarnej stali, uformowane na podobieństwo perfekcyjnie umięśnionej klatki piersiowej. Ogromne bicepsy obwiązali czarnymi jedwabnymi wstążkami, a nadgarstki zakryli karwaszami ze skóry nabijanej ćwiekami. Na plecach nosili wypolerowane złote tarcze. Beztrosko wymachiwali krótkimi włóczniami, krocząc z wdziękiem polujących wilków.

Manvah złapała niewielki dzban z wodą i wylała ją Kasaadowi na twarz. Ten jęknął i dźwignął się na kolana.

– Do środka! – warknęła Manvah. – Szybko!

Popędziła męża kopniakiem. Kasaad burknął, ale zdołał w porę wpełznąć pod płachtę namiotu i zniknąć z pola widzenia.

– Jak wyglądam? – Soli przygładził włosy i poprawił szaty. Szerzej obnażył pierś.

Było to idiotyczne pytanie. Żaden mężczyzna nawet w połowie nie dorównywał urodą bratu Inevery.

– Dobrze – odparła dziewczynka.

– Soli, mój drogi *ajin'pal*! – zawołał Cashiv. Miał dwadzieścia pięć lat, był *kai'Sharum* i zdecydowanie najprzystojniejszym mężczyzną z trójki przybyłych. Starannie przyciętą brodę nasączał aromatycznymi olejkami, a skórę miał idealnie brązową. Na jego napierśniku widniało słońce, symbol *dama* Badena, bez wątpienia z czystego złota, a turban przyozdabiał wielki turkus. – Miałem wielką nadzieję, że cię zastanę, gdy przyjdę odebrać... – zaczął, lecz przerwał na widok bałaganu. – ...zamówienie – dokończył. – A niech mnie. Co tu się stało? Stado wielbłądów przeszło?

Pociągnął nosem.

– I naszczało?

Zasłonił nos białą przesłoną, która wisiała mu na szyi. Jego towarzysze zrobili to samo.

– Mieliśmy trochę... kłopotów – wyjaśnił Soli. – To moja wina. Niepotrzebnie wychodziłem.

– Wielka szkoda. – Cashiv zbliżył się do Soliego, nie zwracając w ogóle uwagi na kobiety. Przesunął palcem po kropli krwi rozsmarowanej na muskularnej klatce piersiowej brata Inevery. Zadumany roztarł czerwień między kciukiem a palcem wskazującym. – Wygląda na to, że wróciłeś w porę i zdążyłeś się wszystkim zająć.

– To stado wielbłądów już tu nie wróci – zgodził się Soli.

– Niestety, zrobiły swoje – zauważył ze smutkiem Cashiv. – Znow będziemy musieli kupić kosze od Krishy.

– Proszę! – Soli położył dłoń na ramieniu wojownika. – Potrzebujemy tych pieniędzy. Nie wszystko uległo zniszczeniu. Możemy sprzedać wam przynajmniej połowę?

Cashiv spojrzał na zaciśniętą dłoń *ajin'pal* i uśmiechnął się, ale z lekceważeniem wskazał stos koszy.

– Fuj. Skoro jeden został obsikany, wszystkie będą śmierdzieć. Nie zaniosę takiego towaru mojemu panu. Sprzedaj je *khaffit*.

Pochylił się bardziej i oparł dłoń o klatkę piersiową Soliego.

– Ale skoro potrzebujesz pieniędzy, to mam inny pomysł. Może zamiast sprzedawać kosze, przyjdiesz na przyjęcie do *dama* Badena i tam będziesz je roznosił?

Wsunął dłoń pod poluzowaną szatę Soliego, by pomasować jego ramię.

– Jeśli będziesz, khm... dobrze nosił – dodał – dostaniesz trzy razy więcej niż za kosze.

– Kosze to całe moje życie – uśmiechnął się Soli. – Znam się na noszeniu.

Cashiv roześmiał się tubalnie.

– Wpadniemy jutro rano, by cię zabrać na przyjęcie.

– Spotkajmy się na placu ćwiczeń – rzekł Soli.

Cashiv pokiwał głową i wraz z towarzyszami odszedł do kramu Krishy.

Manvah stanęła obok Soliego.

– Przykro mi, że musisz to robić, synu.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Denerwuje mnie tylko to, że Krisha wygrała.

Manvah uniosła woalkę, by splunąć na podłogę.

– Niczego nie wygrała. Nie ma żadnych koszy na sprzedaż.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się chłopak.

– Bo tydzień temu wpuściłam do jej składu kilka szczurów! – zachichotała Manvah.



Soli pomógł uporządkować kram, a potem odprowadził Manvah i Ineverę do niewielkiego domu, gdzie znajdowały się ich pokoje. Wkrótce *dama* odśpiewali z minaretów Sharik Hora pieśń na zapadnięcie zmroku. Udało się ocalić większość koszy, ale kilka wymagało naprawy. Manvah wzięła grubą wiązkę liści palmowych na plecy.

– Muszę się spieszyć, by zdążyć na zbiórkę – rzekł Soli. Inevera i Manvah zarzuciły mu ramiona na szyję i ucałowały go, a młodzieniec odwrócił się i odbiegł do miasta.

Zapadał już zmrok. Kobiety otworzyły klapę wzmocnioną runami, po czym zeszły do Podmiasta.

Każdy budynek w Krasji miał przynajmniej jeden poziom pod ziemią. Z piwnic wychodziły przejścia prowadzące do Podmiasta, ciągnącego się na mile labiryntu jaskiń i tuneli. Właśnie tam kobiety, dzieci i *khaffit* chronili się, podczas gdy mężczyźni walczyli w *alagai'sharak*. Wielkie bloki ciętego kamienia, na których wyryto potężne runy, grodziły drogę demonom powstającym w głębi Nie.

Podmiasto zostało zaprojektowane jako azyl dla mieszkańców Pustynnej Włóczni, ale także jako metropolia sama w sobie. Gdyby wydarzyła się rzecz niepojęta i *alagai* pokonałyby

runiczne mury, życie mogłoby nadal toczyć się pod ziemią. Każda rodzina miała tu miejsce do spania, znajdowały się tam również szkoły, pałace, ośrodki kultu i inne potrzebne instytucje.

Inevera oraz jej matka miały do dyspozycji jedynie niewielką piwniczkę, a w niej koce do spania, spiżarenkę oraz komnatę z głęboką jamą, gdzie załatwiała się potrzeby.

Manvah zapaliła lampę i usiadła przy stole, by zjeść z córką kolację na zimno. Po posiłku kobieta rozłożyła liście palmy. Inevera usiadła przy niej, chcąc pomóc, ale matka pokręciła głową.

– Do łóżka – rozkazała. – Jutro jest twój wielki dzień. Nie chcę, byś stanęła przed *dama'ting* z oczami czerwonymi z niewyspania.



Inevera spoglądała na ciągnący się przed nią szereg dziewcząt wraz z matkami, czekających na wejście do pawilonu *dama'ting*. Po porannej pieśni *dama* w dniu przesilenia wiosennego Oblubienice Everama wzywały bowiem wszystkie dziewczęta w wieku dziewięciu lat, by przedstawić im *Hannu Pash* – ścieżkę życia, którą obmyślił dla nich Everam. U chłopców poznanie *Hannu Pash* trwało czasami całe lata, lecz w przypadku dziewcząt wystarczała pojedyncza przepowiednia *dama'ting*.

Większość przybyłych uznawano za płodne kandydatki na żony, otrzymywały więc pierwszą chustę, ale niektóre opuszczały pawilon zaręczone lub obdarzone nowym powołaniem. Inne, zwykle ubogie i niepiśmienne, wykupywano od ojców i szkolono w sztuce uprawiania miłości, a potem odsyłano do wielkiego haremu, gdzie służyły wojownikom Krasji jako *jiwah'Sharum*. Przypadał im zaszczyt rodzenia nowych wojowników w miejsce tych, którzy padli, walcząc z demonami podczas *alagai'sharak*.

Inevera obudziła się pełna entuzjazmu, ubrała i rozczesła czarne falujące włosy, które lśniły niczym jedwab. Dziś pokazywała je światu po raz ostatni.

Miała wejść do pawilonu *dama'ting* jako dziewczyna, ale opuścić go jako młoda kobieta. Pierwszą osobą, której przyjdzie ujrzeć jej włosy, będzie przyszły mąż. W pawilonie dziewięciolatka pozbędzie się też zwykłych szat i wyjdzie stamtąd odziana w czerń.

– Może któryś *Damaji* weźmie mnie do haremu – powiedziała. – Mieszkałabym w pałacu i dostałabym tak wielki posag, że nigdy więcej nie wyplatałabym już koszy.

– Musiałabyś wówczas pożegnać się z nadzieją, że kiedykolwiek jeszcze ujrzysz słońce – odparła jej matka, Manvah. Mówiła cicho, aby nikt w pobliżu nie usłyszał. – Nie miałabyś też szansy na rozmowę z nikim poza siostrami-żonami. Twoim jedynym zadaniem byłoby zaspokajanie starucha, który mógłby być twoim pradziadkiem.

Matka pokręciła głową i dodała:

– Dobrze, że przynajmniej płacimy podatek i masz dwóch mężczyzn, którzy mogą przemówić w twoim imieniu. Szansa, że zostaniesz sprzedana do wielkiego haremu, jest niewielka. Chociaż wolałabym, żebyś trafiła do haremu, niż została uznana za bezpłodną i wyrzucona na ulicę jako *nie'ting*.

Nie'ting. Inevera wzdrygnęła się na samą myśl.

Dziewczyny uznane za bezpłodne nie miały prawa do czarnych szat i przez resztę życia nosiły brązowe suknie niczym *khaffit*. Okryte hańbą musiały też chodzić z odsłoniętymi twarzami.

– A może *dama'ting* mnie wybiorą? – rzekła Inevera.

– O czym ty mówisz? – parsknęła Manvah. – One nigdy nikogo nie wybierają.

– Babka mówiła, że wybrały jedną dziewczynę w dniu jej próby – odparła Inevera.

– To miało miejsce pięćdziesiąt lat temu – westchnęła Manvah. – A ponadto czcigodna matka twojego ojca, niech Everam błogosławi jej duszę, miała pewne skłonności do... do przesady.

– No to skąd się biorą wszystkie *nie'dama'ting*? – zapytała Inevera, mając na myśli adeptki *dama'ting*, które również nie zakrywały twarzy, lecz nosiły białe szaty jako symbol zaprzysiężenia Everamowi.

– Ludzie mówią, że Everam zapładnia swoje Oblubienice i *nie'dama'ting* są jego córkami – rzekła Manvah.

Inevera zerknęła na matkę i uniosła brew, jakby zastanawiała się, czy rodzicielka nie stroi sobie żartów.

– Równie dobre wyjaśnienie jak każde inne – wzruszyła ramionami Manvah. – Żadna matka na rynku nigdy nie widziała dziewczyny wybranej przez *dama'ting*.

– Matko! Siostro!

Na twarzy Inevery odmalował się szeroki uśmiech, gdy ujrzała Soliego i Cashiva. Jej starszy brat był nadal pokryty kurzem z Labiryntu, a na tarczy zawieszanej na ramieniu widać było nowe wgłębienia po uderzeniach. Cashiv jak zwykle prezentował się nieskazitelnie.

Inevera podbiegła do Soliego, żeby go uściskać.

Wojownik roześmiał się, podniósł ją jedną ręką i zakręcił jak frygą. Inevera krzyknęła zachwycona, wolna od strachu. Nigdy się nie bała, gdy w pobliżu był Soli.

Wojownik ostrożnie postawił siostrę na ziemi i podszedł do matki, by ją objąć.

– Co wy tu porabiacie? – spytała Manvah. – Sądziłam, że będziecie w drodze do pałacu *dama Badena*.

– Idziemy tam – odparł Soli. – Chciałem jednak życzyć siostrze szczęścia i pobłogosławić ją, nim pójdzie poznać *Hannu Pash*.

Wyciągnął dłoń, by zmierzwić Ineverze włosy. Chciała go uderzyć w rękę, ale cofnął się w porę.

– Sądzisz, że ojciec również przyjdzie mnie pobłogosławić? – spytała Inevera.

– Cóż... – zawahał się Soli. – Z tego, co wiem, ojciec dalej śpi na tyłach straganu. Nie stawiał się na zbiórkę zeszłej nocy. – Wzruszył bezradnie ramionami, a Inevera spuściła wzrok, aby nie ujrzał rozczarowania w jej oczach.

Soli pochylił się i delikatnie podniósł palcem jej podbródek. Ich spojrzenia znów się spotkały.

– Wiem, że ojciec pragnie twojego szczęścia równie mocno jak ja, nawet jeśli ma trudności z okazaniem swoich uczuć.

– Wiem. – Inevera pokiwała głową i po raz ostatni zarzuciła ramiona na szyję brata. – Dziękuję.

Cashiv spojrział na Ineverę, jakby dopiero teraz ją zauważył. Uśmiechnął się uprzejmie i rzekł uroczyście:

– Błogosławię cię, Inevero vah Kasaad, w dniu, w którym stajesz się kobietą. Życzę ci dobrego męża i wielu synów, wszystkich równie przystojnych jak twój brat.

Inevera uśmiechnęła się, a na jej policzkach wykwitł gorący rumieniec. Obaj wojownicy pożegnali się i odeszli.

Kolejka w końcu zaczęła się przesuwac. Czas płynął powoli, gdy kobiety oraz ich córki czekały w palącym słońcu, ponieważ do pawilonu wpuszczano je pojedynczo. Część przebywała

w środku zaledwie kilka chwil, inne prawie godzinę. Te, które wychodziły z pawilonu odziane w czarne szaty, wydawały się Ineverze oczyszczone i chyba oszołomione z wielkiej ulgi. Inne, gdy matki odprowadzały je do domu, patrzyły przed siebie beznamiętnie i odruchowo pocierały skaleczenie na ręce.

Przed wejściem do namiotu Manvah mocniej zacisnęła palce na ramieniu córki. Paznokcie przez grubą szatę wbiły się w skórę dziewczynki.

– Nie podnoś wzroku i nie odzywaj się niepytana – syknęła Manvah. – Nigdy nie odpowiadaj pytaniem na pytanie, nie wolno ci też zaprzeczyć. Powtórz po mnie: „Tak, *dama’ting*”.

– Tak, *dama’ting* – powtórzyła posłusznie Inevera.

– Zapamiętaj to – nakazała Manvah. – Obrazisz *dama’ting*, a obrazisz los.

– Tak, matko. – Inevera przełknęła ślinę, bo poczuła ucisk w żołądku. Co się działo w pawilonie? Czy jej matka nie przechodziła przez ten sam rytuał? Czego się obawiała?

Nie’dama’ting uniosła klapę namiotu i ze środka wyszła dziewczyna, która stała w kolejce przed Ineverą. Na głowie miała chustę, ale brązową, w tym samym kolorze co szata. Matka gładziła jej ramiona i szeptała słowa pociechy, ale obie miały łzy w oczach.

Nie’dama’ting przyglądała im się ze spokojem, a potem odwróciła się ku Ineverze oraz Manvah.

– Nazywam się Melan – oznajmiła i gestem zaprosiła je do wejścia. – *Dama’ting* Qeva przyjmie was.

Inevera nabrała tchu. Wraz z matką zdjęły buty, nakreśliły w powietrzu runy i wkroczyły do pawilonu *dama’ting*.

Przez płócienny dach namiotu przenikały promienie słoneczne. Wszystko było białe, od ścian namiotu po malowane meble i warstwy płótna ułożone na podłodze. Wszzechobecna biel sprawiła, że widok krwi był tym bardziej poruszający. Na podłodze widniały wielkie czerwone i brązowe rozbryzgi, krwawe ślady stóp wiodły też na prawo i lewo do innych części pawilonu.

– To krew *Sharum* – rozległ się jakiś głos i Inevera aż podskoczyła. Nie zauważyła Oblubienicy Everama, która stała tuż przed nimi. Jej białe szaty zlewały się niemalże całkowicie z tłem. – Krew rannych, którzy są tu przynoszeni o świcie po *alagai’sharak*. Co dzień płótno zakrywające podłogi jest zrywane i palone na szczycie minaretów Sharik Hora podczas wezwania do modlitwy.

Dopiero teraz Inevera usłyszała zewsząd okrzyki bólu.

Ściany z grubego płótna oddzielały ją od konających, cierpiących mężczyzn. Wyobraziła sobie, iż wśród nich znajduje się ojciec – lub co gorsza, Soli – i z każdym głośniejszym jękiem bądź wrzaskiem na jej twarzy pojawiał się grymas.

– Everamie, zabierz mnie do siebie! – krzyczał jakiś mężczyzna z rozpaczą. – Nie chcę żyć jako kaleka!

– Uważnie stawiaj kroki – ostrzegła *dama'ting* Qeva. – Nie jesteś godna, by stąpać po krwi, którą czcigodni wojownicy rozlali za ciebie.

Bardzo ostrożnie Inevera i Manvah przeszły po poplamionym płótnie i stanęły przed *dama'ting*. Odziana od stóp do głów w biel, odsłaniającą jedynie oczy i dłonie, Qeva była potężną, barczystą kobietą, wyższą o głowę od matki Inevery.

– Jak się zwiesz, dziewczę? – głos Oblubienicy Everama brzmiał nisko i szorstko.

– Inevera vah Kasaad am'Damaj am'Kaji, *dama'ting* – odparła dziewczynka, kłaniając się nisko. – Noszę imię Pierwszej Żony Kajiego.

Paznokcie Manvah wbiły się głęboko w jej ramię i Inevera mimowolnie westchnęła z bólu. Wydawało się jednak, że *dama'ting* tego nie dostrzegła.

– I bez wątpienia uważasz, że to czyni cię szczególną – parsknęła. – Gdyby Krasja otrzymała jednego wojownika za każdą bezwartościową dziewczuchę noszącą to imię, byłoby już dawno po *Sharak Ka*.

– Tak, *dama'ting* – rzekła Inevera i ukłoniła się, gdy matka rozluźniła uchwyt.

– Ładna jesteś – zauważyła *dama'ting*.

– Dziękuję, *dama'ting*. – Inevera skłoniła się ponownie.

– Ładna dziewczyna zawsze przyda się w haremie, chyba że ktoś już wcześniej zrobił z niej dobry użytek – oznajmiła Qeva i przeniosła wzrok na Manvah. – Kim jest twój mąż i czym się zajmujesz?

– Mój mąż to *dal'Sharum* Kasaad, *dama'ting* – ukłoniła się Manvah. – Ja zaś zajmuję się wyplataniem koszy.

– Jesteś Pierwszą Żoną? – spytała Qeva.

– Jedyłą, *dama'ting* – odparła Manvah.

– Mężczyźni uważają, że powinni brać sobie nowe żony wtedy, gdy im się powodzi, Manvah z Kaji – rzekła Qeva. – Tymczasem jest na odwrót. Czy próbowałaś zdobyć dla siebie

siostry-żony, jak nakazuje Ewejah, by pomogły ci w wyplataniu i rodziły więcej dzieci twojemu mężowi?

– Tak, *dama'ting*. Wielokrotnie. – Manvah zacisnęła zęby. – Ich ojcowie... Cóż, nie byli zachwyceni tym pomysłem.

Oblubienica Everama chrząknęła. Ta odpowiedź mówiła wiele o Kasaadzie.

– Czy dziewczyna jest kształcona?

– Tak, *dama'ting*. – Manvah skinęła głową. – Inevera jest moją uczennicą. Znakomicie radzi sobie z wyplataniem, nauczyłam ją też liczyć i prowadzić księgi rachunkowe. Przeczytała Ewejah raz za każdy z siedmiu filarów Nieba.

Oczy *dama'ting* pozostały nieprzeniknione.

– Chodź za mną.

Odwróciła się i skierowała w głąb pawilonu. Nie przejmowała się tym, że stąpa po czerwonych i brunatnych śladach na płótnie wyściełającym podłogę, ale płynące za nią jedwabne szaty gładko prześlizgiwały się nad nimi, czyste i nieskalane, jak gdyby krew nie miała prawa brukać ich świętej bieli. Melan ruszyła za Qevą, zręcznie omijając plamy, a na końcu poszły Inevera z matką. Pawilon okazał się labiryntem ścian z białego materiału i podążające za *dama'ting* kobiety skręciły tyle razy, że dziewczynka rychło straciła orientację. Nie było już płam i nawet krzyki rannych *Sharum* stały się bardziej przytłumione.

Za którymś z zakrętów ściany i sufit niespodziewanie stały się czarne – Ineverze zdało się, że dzień zamienił się w noc. Po kolejnym zakręcie zrobiło się tak ciemno, że matka, odziana w tradycyjne czarne szaty *dal'ting*, stała się niemal niewidzialna, a nosząca biel *dama'ting* wraz ze swą uczennicą przypominały zjawy.

Qeva zatrzymała się nagle, a Melan uniosła klapę, której Inevera wcześniej nawet nie zauważyła. W środku widać było jedynie kamienne schody prowadzące w jeszcze bardziej nieprzeniknioną ciemność. Kamień ziębił bosc stopy, a gdy Melan zatrzasnęła klapę, ciemność stała się niemalże absolutna. Schodziły powoli. Inevera była przerażona na samą myśl, że może się potknąć, wpaść na Oblubienicę Everama i pociągnąć ją za sobą w dół.

W istocie nie uniknęła potknięcia, ale tylko dlatego, że schody nieoczekiwanie się skończyły. Błyskawicznie odzyskała równowagę. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył.

W dłoni Qevy pojawiło się czerwone światło, emanujące złowróżbną poświatą. Mogły wreszcie dostrzec siebie, ale ciemności dookoła nadal były gęste i złowrogie. *Dama'ting*

poprowadziła kobiety wzdłuż szeregu ciemnych cel wykutych w żywej skale. Na ścianach korytarza wyryte były runy.

– Zaczekaj tu z Melan – poleciła Manvah Qeva i wskazała Ineverze wejście do jednej z cel. Dziewczyna skrzywiła się, gdy zatrzasnęły się za nimi ciężkie drzwi.

W jednym z kątów pomieszczenia znajdował się kamienny piedestał, na którym *dama'ting* ułożyła mieniący się przedmiot. Przypominał kawałek drewna oznaczony emanującymi czerwienią runami, lecz nawet mała Inevera wiedziała, że są to *alagai hora*.

Kości demonów.

Qeva odwróciła się do niej i Inevera dostrzegła błysk zakrzywionego ostrza w ręku *dama'ting*. W czerwonym świetle broń wyglądała jak zalana krwią. Inevera krzyknęła i cofnęła się, ale celną była niewielka i dziewczynka od razu natrafiła plecami na ścianę.

Dama'ting uniosła ostrze i zatrzymała je tuż przed nosem Inevery. Ta zezowała, usiłując skupić na nim wzrok.

– Boisz się tego ostrza? – spytała *dama'ting*.

– Tak, *dama'ting* – odpowiedziała odruchowo Inevera załamującym się głosem.

– Zamknij oczy – poleciła Qeva.

Inevera zadrżała ze strachu, ale wypełniła polecenie. Z sercem bijącym jak szalone stała nieruchomo i czekała na cios, który przeszyje jej ciało.

Ten jednakże nigdy nie nadszedł.

– Wyobraź sobie palmę, córko wyplataczki – rzekła Qeva.

Inevera nie rozumiała sensu polecenia, ale pokiwała głową. Nie było to trudne zadanie, gdyż codziennie wspinała się na palmy, by zrywać liście używane przy wyplataniu.

– Czy palma obawia się wiatru? – spytała *dama'ting*.

– Nie, *dama'ting* – odparła Inevera.

– A dlaczego?

– Zgina się pod jego naporem, *dama'ting* – rzekła Inevera.

– Evejah uczy nas, że strach i ból to jedynie wiatr, Inevero córko Manvah. Pozwól więc, by przemknął obok ciebie.

– Tak, *dama'ting* – odparła Inevera.

– Powtórz to trzykrotnie – zażądała Qeva.

– Strach i ból to jedynie wiatr – powiedziała Inevera, nabierając głęboko tchu. – Strach i ból to jedynie wiatr. Strach i ból to jedynie wiatr.

– Otwórz oczy i uklęknij – rzekła Qeva, a gdy dziewczynka wypełniła polecenie, dodała: – I wyciągnij rękę.

Inevera uniosła ramię, które niespodziewanie wydało się bezwładne, wręcz obce, ale bez wahania wyciągnęła je przed siebie. Oblubienica Everama podciągnęła dziewczynce rękaw i cięła po jej przedramieniu, upuszczając strużkę krwi. Inevera wciągnęła szybko powietrze, ale nawet nie drgnęła, a z jej ust nie wydobył się najcichszy nawet dźwięk. Strach i ból to jedynie wiatr.

Dama'ting polizła nóż, smakując krew, i wsunęła go do pochwy przy pasie, a potem mocno pochwyciła ramię Inevery i ścisnęła je. Strużka krwi popłynęła prosto na garść czarnych kości poznaczonych runami.

Inevera zacisnęła zęby. Strach i ból to jedynie wiatr. Gdy krew spłynęła na kości, te zaczęły się mienić i Inevera uświadomiła sobie, że to również są *alagai hora*. Myśl, że jej krew ściekała na kości demonów, przeraziła ją bezgranicznie. *Dama'ting* cofnęła się o krok i nucąc cicho, potrząsnęła kośćmi. Te zaczęły mienić się coraz intensywniej.

– Everamie, który dajesz nam światło i życie, błagam Cię, obdarz twą pokorną sługę wiedzą o tym, co ma nadejść. Opowiedz mi o Ineverze córce Kasaada z linii Damaj w plemienu Kaji.

Wypowiedziawszy te słowa, rzuciła kości na podłogę przed Ineverą. Blask, którym buchnęły, był tak jasny, że dziewczynka aż zamrugnęła, choć zaraz przygasł. Kości żarzyły się niemrawo, a mieniące się symbole ułożyły się w kształt, który miał zdecydować o jej przeznaczeniu.

Dama'ting nie odezwała się ani słowem. Zmrużywszy oczy, wpatrywała się w znaki. Inevera nie wiedziała, ile czasu upłynęło, ale mięśnie jej zaczęły drżeć. Poruszyła się, nieprzyzwyczajona do klęczenia tak długo.

Qeva uniosła czujnie głowę.

– Siadaj z powrotem na piętach i nie ruszaj się! – parsknęła. Sama podniosła się i obesła niewielką celę, by przyjrzeć się kościom ze wszystkich stron. Ich blask powoli gasł, ale *dama'ting* nie przestawała rozmyślać.

Inevera wciąż pamiętała zdanie o palmie na wietrze, ale mimo to denerwowała się coraz bardziej. Dokuczał jej nieznośny ból mięśni, a niepokój podwajał się z każdą mijającą sekundą.

Cóż takiego ujrzała Oblubienica Everama? Czyżby miała odebrać dziewczynkę matce i sprzedać do haremu? A może była niepłodna?

W końcu Qeva uniosła głowę i spojrzała na Ineverę.

– Tylko spróbuj dotknąć tych kości, a zapłacisz za to życiem – oznajmiła i wyszła z komnaty. Rzuciła polecenie i rozległ się pospieszny tupot stóp oddalającej się Melan.

W chwilę później do celi weszła Manvah i ostrożnie ominęła kości, po czym uklękła za córką.

– Co się stało? – szepnęła.

Inevera pokręciła głową.

– Nie wiem. *Dama'ting* wpatrywała się w kości, jakby nie była pewna, co oznaczają.

– Albo nie spodobało jej się to, co ukazały – mruknęła Manvah.

– I co teraz? – spytała dziewczynka, czując, jak ogarnia ją zimno.

– Wzywają *Damaji'ting* Kenevah – rzekła Manvah.

Inevera aż krzyknęła z zaskoczenia.

– To ona wygłosi ostateczny osąd. Pora, byś się pomodliła.

Dziewczynka wzdrygnęła się, pochylając głowę. Samo spotkanie z *dama'ting* przepełniło ją wielkim strachem, a myśl, że przyjdzie jej zaraz ujrzeć ich przywódczynię...

Błagam Cię, Everamie, modliła się. Pozwól mi być płodną kobietą i rodzić synów plemieniu Kaji. Moja rodzina nie zniosłaby wstydu, gdybym okazała się *kha'ting*. Spełnij to życzenie, a oddam Ci się na zawsze.

Kłęczały w nikłym czerwonym blasku pogrążone w modlitwie.

– Matko? – odezwała się Inevera.

– Tak?

Dziewczynka przełknęła ślinę.

– Czy będziesz mnie dalej kochać, jeśli okażę się bezpłodna? – głos jej się załamał przy końcu zdania. Obiecała sobie, że nie wybuchnie płaczem, ale nagle uświadomiła sobie, że mruga, powstrzymując łzy. Manvah utuliła ją w ramionach.

– Jesteś moją córką. Kochałabym cię, nawet gdybyś zgasła słońce.

Wydawało się, że czekały całą wieczność, lecz w końcu powróciła Qeva w towarzystwie innej Oblubienicy Everama – kobiety starszej i szczuplejszej, obdarzonej przenikliwym spojrzeniem. Nosila biel *dama'ting*, ale głowę owinęła czarnym jedwabiem. Była to *Damaji'ting*

Kenevah, najpotężniejsza kobieta w Krasji. *Damaji'ting* spojrzała na obejmujące się kobiety, a te pospiesznie odsunęły się od siebie i przypadły do ziemi. Nie powiedziała ani słowa, lecz od razu podeszła do kości. Przez długą chwilę przyglądała się wzorowi, jaki utworzyły. W końcu burknęła:

– Zabrać ją.

Inevera otworzyła szeroko usta, ale Qeva podeszła, złapała ją za ramię i postawiła szarpnięciem. Dziewczynka spojrzała z rozpaczą na przerażoną matkę, ale potężnie zbudowana *dama'ting* ciągnęła ją już do wyjścia z celi.

– Matko!

Manvah złapała rąbek białej szaty Qevy.

– Błagam, *dama'ting*, moja córka...

– Twoja córka nie jest już twoim zmartwieniem – przerwała jej ostro Kenevah, a Qeva kopnęła Manvah, by uwolnić szatę. – Teraz należy do Everama.

– Na pewno zaszła jakaś pomyłka – wydusiła niewyraźnie Inevera. Qeva wciąż zaciskała dłoń na jej ramieniu i dziewczynka miała wrażenie, że prowadzona jest pod pręgierz, a nie do pałacu. *Damaji'ting* Kenevah oraz *nie'dama'ting* Melan szły z nimi.

– Kości się nie mylą – odrzekła Kenevah. – Powinnaś się radować. Ty, córka wyplataczki koszy i mało znanego *Sharum*, zostaniesz powierzona Everamowi. Nie dostrzegasz ogromnego zaszczytu, jaki spotkał twoją rodzinę?

– To dlaczego nie pozwolono mi się pożegnać z bliskimi? Nawet z matką?

Manvah przestrzegła ją, aby nigdy nie odpowiadała pytaniem na pytanie, ale Inevera zupełnie o tym zapomniała.

– Czyste cięcie jest najlepsze – odrzekła Kenevah. – Rodzina nie jest już ciebie warta. Stała się nieistotna. Nie wolno spotykać się z nią podczas treningu, a gdy dojdiesz do finalnych prób, nie będziesz już miała na to ochoty.

Inevera nie wiedziała, jak zareagować na takie niedorzeczne stwierdzenie. Że niby ona nie będzie chciała znów ujrzeć matki? Brata? Przecież to nie do pomyślenia! Będzie tęsknić nawet za ojcem, choć ten najprawdopodobniej nawet nie zauważy zniknięcia córki.

Wkrótce ujrzała pałac *dama'ting* Kaji. Dorównujący pięknem siedzibom najgodniejszych *Damaji*, pałac *dama'ting* otaczał runiczny mur wysokości dwudziestu stóp, chroniący budowlę i jej mieszkanki zarówno przed *alagai*, jak i wrogami, którzy mogliby się tam zakraść w blasku

dnia. Nad murem wyrastały wysokie, strzeliste wieżyczki oraz ogromna kopuła pałacu, ale Inevera nigdy dotąd nie widziała, co kryje się za nim. Nikt poza *dama'ting* i ich uczennicami nie miał prawa przejść przez wielkie wrota pałacu. Żaden mężczyzna, nie wykluczając nawet samego Andraha, nie mógł postawić stopy na tej świętej ziemi.

Tyle Inevera słyszała od innych, ale gdy wrota, które najwyraźniej otworzyły się same, zaczęły się zamykać, dostrzegła dwóch dobrze umięśnionych mężczyzn odzwiernych. Mieli na sobie jedynie białe przepaski oraz sandały, a ich ciała lśniły od oliwy. Każdy miał złote kajdany na kostkach i nadgarstkach, ale Inevera nie widziała łańcuchów.

– Sądziłam, że mężczyznom nie wolno wchodzić do pałacu – powiedziała. – Ich obecność skaziłaby świętość tego miejsca.

Oblubienice Everama parsknęły śmiechem, jakby właśnie usłyszały niezły dowcip. Nawet Melan zachichotała.

– Masz trochę racji – odparła Kenevah. – Eunuchy nie mają jąder, przeto w oczach Everama nie są mężczyznami.

– A więc to... *push'ting*? – spytała Inevera.

– Może i nie mają jąder – zaśmiała się Kenevah – ale ich włócznie wciąż mogą wykonać pracę prawdziwych mężczyzn.

Inevera uśmiechnęła się wymuszenie, gdy wchodziły po szerokich, wypolerowanych do połysku schodach z białego marmuru. Przez cały czas garbiła się, usiłując wyglądać niepozornie i nie rzucać się w oczy. Przystojni, dobrze zbudowani niewolnicy w złotych kajdanach otworzyli przed nimi kolejne drzwi. Ukłonili się, a Qeva wsunęła palec pod podbródek jednego z nich i uniosła jego głowę.

– To był ciężki dzień – powiedziała. – Przyjdiesz za godzinę do moich komnat z rozgrzаныmi kamieniami i aromatycznym olejkiem. Wymasujesz ze mnie napięcie.

Niewolnik ukłonił się, nie mówiąc ani słowa.

– Nie wolno im się odzywać? – spytała Inevera.

– Nie są w stanie – odparła Kenevah. – Ich struny głosowe zostały przecięte tego samego dnia, gdy stracili jądra, ponadto nie umieją czytać. Nigdy nie opowiedzą nikomu o cudach, które oglądają w pałacu *dama'ting*.

Pałac w rzeczy samej okazał się wypełniony zbytkiem i luksusem przekraczającym wszystko, co Inevera do tej pory sobie wyobrażała. Od kolumn i wysokiego sklepienia po

podłogi, ściany i schody został wykonany z nieskazitelnie białego, wypolerowanego na błysk marmuru. Wszędzie ciągnęły się grube, niezwykle miękkie dywany, dodające korytarzom barw. Na ścianach wisiały istne arcydzieła sztuki tkackiej, na których artyści ożywili historie z Ewejah. Na marmurowych piedestałach pyszniły się porcelanowe naczynia oraz przedmioty z kryształu, złota i polerowanego srebra, od delikatnych rzeźb po ciężkie kielichy i misy. Na bazarze takie bogactwo byłoby strzeżone dzień i noc – za jeden z tych przedmiotów można by utrzymać rodzinę przez kilka lat – ale któż w całej Krasji odważyłby się okraść *dama'ting*?

W korytarzach mijaly inne Oblubienice, niekiedy samotne, czasem w rozgadanych grupkach. Wszystkie odziane w powłóczyście szaty z białego jedwabiu, zasłaniające włosy i twarze, choć w pobliżu nie było żadnych mężczyzn, którzy mogliby je zobaczyć. Na widok Kenevah zatrzymywały się i oddawały jej cześć głębokim ukłonem. Choć starały się to ukryć, obrzucały też Ineverę zaciekawionymi i nie zawsze przychylnymi spojrzeniami. Przynajmniej kilka z Oblubienic było w zaawansowanej ciąży. Widok *dama'ting* w tym stanie zaskoczył Ineverę, zwłaszcza że wszyscy mężczyźni w pałacu byli wykastrowani, ale dziewczynka umiejętnie ukryła zdziwienie. Doświadczenie zdobyte podczas targów na bazarze okazało się teraz bardzo przydatne. Cierpliwość Kenevah mogłaby się wyczerpać, gdyby o to spytała, a skoro miała tu mieszkać, prędzej czy później i tak pozna odpowiedź.

Każde z siedmiu skrzydeł pałacu odpowiadało jednemu z filarów Nieba, a centralne skrzydło skierowane było w stronę Słońca Anocha, miejsca pochówku Kajiego. Mieszkała tam sama *Damaji'ting*. Inevera została więc odprowadzona do utrzymanej w przepychu komnaty audiencyjnej Pierwszej Oblubienicy. Qeva i Melan miały poczekać na zewnątrz.

– Siadaj. – *Damaji'ting* wskazała aksamitną kanapę przed biurkiem z wypolerowanego drewna.

Inevera przycupnęła nieśmiało. Czowała się drobna i nieistotna w tak ogromnym biurze. Kenevah zaś usiadła za biurkiem, złączyła koniuszki palców i wbiła wzrok w dziewczynkę, która aż się wiała pod jej surowym spojrzeniem.

– Wiem od Qevy, że znasz rodowód swego imienia – oznajmiła grobowym tonem Kenevah. Inevera nie wiedziała, czy Pierwsza Oblubienica nie stroi sobie z niej żartów. – Powiedz mi więc, co wiesz o swojej imienniczce.

– Inevera była córką Damaja, najbliższego przyjaciela i doradcy Kajiego – odparła dziewczynka. – Wedle Evejah była tak piękna, że Kaji pokochał ją od pierwszego wejrzenia i utrzymywał, że wolą Everama jest, by stała się pierwszą wśród jego żon.

Kenevah parsknęła.

– Damajah była kimś ważniejszym, dziewczę. O wiele ważniejszym. Gdy leżała z Kajim wśród poduszek, szeptała mu mądrości do uszu i za jej sprawą zdobył pozycję, o której nikt wcześniej nawet nie marzył. Powiada się, iż do Kajiego przemawiał przez żonę Everam, stąd jej imię jest synonimem woli Everama. Była również pierwszą *dama'ting*. Nauczyła nas sztuki leczenia, trucia i wróżenia z *hora*. Utknęła Kajiemu płaszcz niewidzialności i wyryła runy na jego wszechpotężnej włóczni i koronie.

Kenevah spojrzała na Ineverę.

– I gdy *Sharak Ka* będzie blisko, powróci, by wydać na świat następnego Wybawiciela.

Inevera aż westchnęła, a Kenevah spojrzała na nią pobłażliwie.

– Słyszałam już podobne westchnienie z ust setki dziewczyn noszących twoje imię, ale żadna jakoś nie urodziła Wybawiciela. Ile ich jest w samym klanie Damaj? Dwadzieścia?

Inevera pokiwała głową, a Kenevah chrząknęła pod nosem i wyjęła z biurka ciężką księgę z wytartym skórzanym grzbietem. Ze złocień, którymi kiedyś pokryto oprawę, zostały tylko nieliczne plamki. Książka wyglądała na często czytaną.

– Oto Evejah'ting – rzekła Kenevah. – Masz ją przeczytać.

– Oczywiście, *Damaji'ting* – ukłoniła się Inevera. – Choć czytałam już świętą księgę wielokrotnie.

Kenevah pokręciła głową.

– Czytałaś Evejah, świętą księgę Kajiego, dostosowaną przez lata do celów *dama*. Ale Evejah to tylko połowa prawdy. Evejah'ting to reszta, którą spisała sama Damajah. Zawarła w tej księdze swoją mądrość i dzieje panowania Kajiego. Zapamiętasz każdą kartę.

Inevera uniosła księgę i natychmiast zrozumiała. Strony były niezwykle cienkie, ale Evejah'ting była ponad dwa razy grubsza od księgi, którą kazała jej przeczytać Manvah. Przytuliła księgę do piersi, jakby chciała ją ochronić.

Damaji'ting podała jej sakiewkę z grubego aksamitu. Zagrzechotało w środku, gdy Inevera ujęła mieszek.

– Sakiewka na *hora* – rzekła Kenevah.

Inevera pobladła.

– Są w niej kości demonów?

Kenevah pokręciła głową.

– Miną co najmniej miesiące, zanim będziesz na tyle przeszkolona, żeby choć dotknąć prawdziwych *hora*, a zapewne lata, zanim otrzymasz pozwolenie na wejście do Komnaty Cieni, gdzie wyrzeźbisz kości dla siebie.

Inevera rozluźniła sznurki i wysypała zawartość mieszka na dłoń. Było to siedem glinianych kostek, każda z inną liczbą ścian. Wszystkie polakierowano na czarno – wyglądały jak prawdziwe demony kości – i wygrawerowano czerwone symbole.

– Kości mogą ci ujawnić każdą tajemnicę świata, o ile zdołasz się nauczyć, jak naprawdę je odczytywać – wyjaśniła Kenevah. – To przypomnienie, do czego aspirujesz, a także model do nauki. W *Evejah'ting* sporo miejsca poświęcone jest rozumieniu kości.

Inevera wysypała gliniane *hora* do sakiewki, zaciśnęła sznurki i bezpiecznie ukryła mieszek w kieszeni.

– Znienawidzą cię – rzekła Kenevah.

– Kto taki, *Damaji'ting*? – spytała Inevera.

– Wszyscy. Zarówno *Zaprzysiężone*, jak i *Oblubienice*. Nikt tu nie powita cię serdecznie.

– Dlaczego?

– Gdyż nie wyszłaś z łona *dama'ting*. Nie przyszedłaś na świat po to, aby nosić biel – odparła Kenevah. – Minęły już dwa pokolenia, odkąd kości powołały do nas dziewczynę z zewnątrz. Jeśli chcesz sobie zasłużyć na biel, będziesz musiała pracować dwa razy ciężiej od innych. Twoje siostry rozpoczęły naukę zaraz po urodzeniu.

Inevera przetrwała wieści. Za murami pałacu wszyscy utrzymywali, że *dama'ting* żyły w czystości. Zdaje się, że przekonanie to żywili wszyscy z wyjątkiem samych *dama'ting*.

– Będą cię nienawidzić – ciągnęła Kenevah – ale będą się także bały. Dobrze by było, abyś nauczyła się z tego korzystać.

– Dlaczego? – spytała Inevera. – Dlaczego, w imię *Everama*, miałyby się mnie obawiać?

– Ponieważ ostatnia dziewczyna powołana przez kości siedzi teraz przed tobą jako *Damaji'ting* – odrzekła Kenevah. – I zawsze tak było, od czasów *Kajiego*. Kości ukazały, że przypuszczalnie mnie zastąpisz.

– I ja będę *Damaji'ting*? – odezwała się Inevera z niedowierzaniem.

– Przypuszczalnie – powtórzyła Kenevah z naciskiem. – Jeśli przeżyjesz. Inne będą się tobie przyglądać i oceniać. Niektóre z sióstr spróbują wkraść się w twoje łaski, inne będą chciały nad tobą panować. Musisz okazać się silniejsza.

– Ja... – zaczęła Inevera.

– Ale nie możesz też okazać się zbyt silna – przerwała Kenevah. – Bo *dama'ting* zabiją cię po cichu, zanim ukończysz szkolenie, i pozwolą gościom wybrać kogoś innego.

Słowa zmroziły Ineverze krew w żyłach.

– Zmieni się wszystko, co wiesz i do czego przywykłaś, dziewczyno. W końcu jednak, jak mi się zdaje, dostrzeżesz, że pałac *dama'ting* niewiele się różni od Wielkiego Bazaru.

Inevera przechyliła nieco głowę, niepewna, czy kobieta nie stroi sobie z niej żartów, ale Kenevah zignorowała ją i uderzyła w złoty dzwoneczek na biurku.

Do komnaty weszły Qeva i Melan.

– Zabierzcie ją do Krypty.

Qeva znów złapała Ineverę za ramię i szarpnięciem podniosła z kanapy, gotowa zaprowadzić ją na miejsce.

– Melan, zapoznasz ją z zasadami panującymi wśród Zaprzysiężonych – dodała Kenevah. – Przez następnych dwanaście cykli jej błędy będą twoimi.

Melan skrzywiła się, ale ukloniła głęboko.

– Tak, babko.

Krypta nie znajdowała się w żadnym z siedmiu skrzydeł pałacu. Umiejscowiono ją pod ziemią, w Podpałacu.

Jak każda wielka budowla w Pustynnej Włóczni, pałac *dama'ting* liczył sobie tyle poziomów pod ziemią, co nad nią. W pozbawionym blasku słonecznego Podpałacu było zimniej, ale też surowiej niż na piętrach nad ziemią. Nigdzie nie było widać ani śladu farby, złocień czy polerowania. Podpałac zatem nie był miejscem, gdzie można by się spodziewać zbytku, przepychu czy też wielu wygód, ale i tak oferował o wiele więcej niż kilka nędznych izdebek, które Inevera i jej rodzina nazywali domem.

Wysokie sufity, wielkie kolumny oraz rozpięte między nimi łuki, choć wykonane z surowego kamienia, robiły oszałamiające wrażenie, a wyryte w nich runy stanowiły dzieła sztuki. Choć dziewczynka i jej przewodniczki zeszyły głęboko w podziemia, nadal otaczało je miłe ciepło, a kamienne podłogi wyściełały miękkie dywany z krawędziami obszytymi runami.

Nawet gdyby *alagai* jakimś cudem wdarły się do tego najświętszego z miejsc, Oblubienice Everama były bezpieczne.

Od czasu do czasu mijały je *dama'ting* patrolujące korytarze. Pozdrowiały Qevę skinieniem głowy i szły dalej, ale Inevera czuła, jak przewiercają ją oczyma.

Zeszły po schodach i przemierzyły jeszcze kilka korytarzy. Powietrze stało się cieplejsze, zrobiło się bardziej duszno. Znikły dywany, a marmur na podłodze zastąpiły kamienne płyty śliskie od skroplonej wilgoci. Na straży przy jednym z portali barczysta *dama'ting* spojrzała na Ineverę niczym kot na mysz. Trzy kobiety minęły strażniczkę i weszły do obszernego pomieszczenia z kołkami na ścianach. Wisiały tu szaty oraz długie taśmy białego jedwabiu. Z oddali dobiegał śmiech i plusk wody.

– Zdejmij szatę i zostaw ją na podłodze. Zostanie spalona – oznajmiła Qeva.

Inevera szybko pozbyła się brunatnej sukni oraz bido, szerokiego pasma materiału, który chronił intymne części jej ciała przed wszechobecnym piaskiem i kurzem bazaru.

Manvah nauczyła Ineverę, jak go szybko i skutecznie zawiązywać.

Melan również się rozebrała i Inevera ujrzała, że pod szatą oraz jedwabnymi spodniami także nosi bido, ale o wiele bardziej skomplikowane, przetkane wielokrotnie z paska jedwabiu o szerokości niecałego cala. Głowę z wyjątkiem twarzy miała owiniętą białym jedwabiem.

Rozplątała niewielki węzeł pod podbródkiem i zaczęła zdejmować zawój. Inevera zauważyła, że był niezmiernie skomplikowany, ale Melan szybko i z wprawą rozkręcała jedwab i ciasno nawijała go na wolną rękę. Po chwili Inevera ze zdumieniem uświadomiła sobie, że *nie'dama'ting* jest ogolona do gołej skóry, lśniącej niczym wypolerowany kamień.

Zawój kończył się ciasnym warkoczem splecionym z tkaniny i spadającym na plecy. Dłonie Melan zatańczyły za jej głową, rozplątując dziesiątki wiązań, aż warkocz zamienił się w dwa paski materiału sięgające bido. Dłonie akolitki nie przestawały pracować.

Bido i zawój to ten sam kawałek materiału! – uświadomiła sobie Inevera, patrząc z podziwem, jak Melan odwijala wstęgi opasujące biodra i talię.

Wrażenie tańca spotęgowało się, gdy dziewczyna zaczęła przestępować nad paskami materiału. Jej bosc stopy wytyczały równy rytm. Jedwab, tworzący wiele warstw wokół jej bioder i między nogami, układał się w równe, nieprzecinające się rzędy na posadzce.

Inevera wykonała w życiu wystarczająco wiele koszyków, by rozpoznać mistrzowski pokaz sztuki tkania czy wyplatania. Teraz obserwowała arcydzieło. Tak skomplikowany i przemyślany

sposób ułożenia sprawiał, że strój można było nosić przez cały dzień bez obawy, że się poluzuje lub rozsunie. Ktoś niewprawny w tej sztuce z pewnością wszystko by poplątał i nigdy nie rozsypał węzłów.

– Odpowiednio zaplecione bido jest niczym sieć chroniąca dziewictwo – rzekła Qeva i rzuciła Ineverze wielki zwój cienkiego białego jedwabiu. – Nie będziesz go nigdy zdejmować z wyjątkiem ablucji i innych koniecznych sytuacji, mających miejsce tu, na najniższych poziomach Krypty. Pod żadnym pozorem nie wolno ci opuścić Krypty bez stroju, a jeśli założysz go nieprawidłowo, zostaniesz ukarana. Melan cię nauczy. Córce kobiety wyplatającej kosze wiązanie bido nie powinno przysporzyć wielu problemów.

Melan parsknęła, słysząc te słowa. Inevera przełknęła ślinę i usiłowała nie patrzeć na ogoloną głowę stojącej obok nagiej dziewczyny. Towarzyszka liczyła sobie kilka lat więcej od Inevery, a po zdjęciu bido i zawoju okazała się prawdziwą pięknoscią. Ujęła w dłonie przynajmniej dziesięć stóp jedwabiu. Inevera uczyniła to samo i obie przestąpiły nad wstęgami tkaniny, którą następnie otoczyły pośladki.

– Pierwszy splot nazywany jest Strażnikiem Everama – rzekła Melan, naciągając materiał i przekładając go między nogami. – Otacza nas siedem razy na podobieństwo siedmiu filarów Nieba.

Inevera robiła to samo co ona i przez jakiś czas udawało jej się utrzymać tempo, póki nie wtrąciła się Qeva.

– Materiał się przekręcił – oznajmiła. – Zaczynij od początku.

Inevera pokiwała głową i obie dziewczyny odwinęły jedwab, by podjąć pracę na nowo. Zmarszczyła brwi. Melan, jak powiedziała Kenevah, ponosi odpowiedzialność za jej błędy, a Inevera nie miała zamiaru ściągnąć kary na towarzyszkę za swoją nieudolność. Naśladowała ruchy Melan najlepiej jak umiała. Przez jakiś czas znowu z powodzeniem owijała wstęgi i już miała się zabrać do zawoju, gdy znowu wtrąciła się *dama'ting*.

– Nie tak ciasno. Zawiązujesz bido, a nie pękniętą czaszkę *Sharum*. Jeszcze raz.

Melan obrzuciła Ineverę rozdrażnionym spojrzeniem, od którego młodsza dziewczyna oblała się rumieńcem. Rozwinęły więc tkaninę i rozpoczęły na nowo. Za trzecim razem Inevera podchwyciła odpowiedni rytm. Kolejne sploty i węzły przychodziły jej z łatwością, zupełnie jakby robiła to przez całe życie. Wkrótce wraz z Melan stanęły przed starszymi *dama'ting* ubrane w identyczne bido.

– Może jednak coś z ciebie wyrośnie, dziewczucho – parsknęła Qeva. – Melan opanowywała sztukę zawijania bido przez całe miesiące, a była jedną z szybszych uczennic. Nieprawdaż, Melan?

– Jako rzekliście, *dama'ting*. – Melan ukloniła się sztywno, a Inevera odniosła wrażenie, że Qeva z niej szydzi.

– Do łaźni! – rozkazała *dama'ting*. – Robi się późno i niedługo otworzą kuchnie.

Inevera nieświadomie pomasaowała brzuch. Nie jadła już od wielu godzin. Qeva zauważyła ten ruch.

– Już niedługo się najesz. – Uśmiechnęła się. – Zaraz po tym, jak wraz z innymi dziewczynami skończycie podawać kolację i wyszorujecie naczynia.

Roześmiała się i gestem posłała obie dziewczyny tam, skąd buchała para i dobiegało pluskanie. Melan szybko rozplotła bido i poszła. Ineverze zabrało to nieco więcej czasu, ponieważ starała się nie poplątać pasa jedwabiu, ale wkrótce podążyła w ślad za starszą towarzyszką, człapiąc bosymi stopami po kamieniach.

Za korytarzem oczom Inevery ukazał się wielki basen z gorącą wodą, nad którym unosiły się kłęby pary. Nurzały się w nim dziesiątki dziewcząt, wszystkie wygolone jak Melan. Większość była starsza od Inevery, kilka miało już pełniejsze, kobiece kształty. Wszystkie myły się w kamiennych kadziach lub siedziały na prowadzących do nich śliskich stopniach, goląc się lub piłując paznokcie.

Ineverze przypomniało się wiadro ciepłej wody, w którym myły się z matką. Przydział był skąpy i rzadko mogły ją zmienić. Zadziwiona brodziła w basenie i muskała palcami powierzchnię, jakby to był jedwab na bazarze. Gorąca woda pieściła jej uda.

Przybycie nowych zostało natychmiast zauważone. Dziewczęta pielęgnujące urodę na skraju basenu zamarły niczym rozdrażnione kobry. Wszystkie oczy w zamglonym pomieszczeniu wbiły się w Ineverę, a potem *nie'dama'ting* zerwały się i otoczyły ją kręgiem. Dziewczynka chciała zawrócić, ale kilka akolitek stało tuż za nią. Krąg się zacieśniał. O ucieczce czy pomocy z zewnątrz nie było mowy.

– To ona? – spytała jedna z dziewcząt.

– To ta, którą powołały kości? – zapytała inna.

Inevera nie miała pojęcia, kto zadał pytanie, ponieważ krąg niespodziewanie drgnął. Ledwie widoczne wśród kłębow pary dziewczyny obchodziły nową ze wszystkich stron, zupełnie jak

Qeva, gdy przyglądała się kościom. Melan pokiwała głową i krąg zacieśnił się jeszcze bardziej. Wszystkie *nie'dama'ting* skupiły uwagę na Ineverze. Moc ich spojrzeń była tak wielka, że dziewczynce zdawały się wyczuwalne niemal fizycznie jak ciosy.

– Melan, co się...? – zapytała z bijącym mocno sercem.

Starsza akolitka złapała ją za nadgarstek, wykręciła i szarpnęła. Inevera zatoczyła się, a wtedy Melan złapała ją za włosy i wepchnęła pod wodę. Rozległ się plusk, bulgot i szum bąbelków powietrza. Inevera nalykała się wody i zaczęła się odruchowo krztusić, lecz pod wodą nie była w stanie odkaszlnąć. Jej ciałem wstrząsnęły spazmy, gdy ze wszystkich sił próbowała opanować chęć nabrania tchu. Gorąca woda parzyła ją w twarz. Miotła się i próbowała uwolnić, ale Melan trzymała mocno. Wykorzystywała zasady sztuki *sharusahk*, dzięki czemu jej ruchy były szybkie oraz precyzyjne. Płuca Inevery płonęły z braku powietrza, szamotała się i szarpała, ale nie mogła się wyrwać. Melan krzyczała, lecz woda tłumiała słowa i Inevera nie umiała ich rozróżnić. Naraz zrozumiała, że od utonięcia dzieli ją tylko chwila. Wydawało się to absurdalne. Nigdy dotąd dziewczynka nie stała nawet w wodzie, która sięgałaby powyżej kolan. Życiodajny płyn miał wielką wartość w Pustynnej Włóczni, a na bazarze stanowił zarówno towar, jak i walutę. Stare porzekadło głosiło, że złoto lśni, lecz woda jest prawdziwym bogactwem. Tylko najzamożniejsi obywatele Krasji mogliby sobie pozwolić na zebranie jej tyle, żeby można się było utopić. Inevera traciła już nadzieję, gdy Melan szarpnęła ostro i wyciągnęła jej głowę z wody. Mokre włosy oblepiły dziewczynce twarz. Kaszłała i nabierała wielkie hausty wilgotnego, parującego powietrza.

– ...że sobie tak po prostu tu wejdiesz? – krzyczała Melan. – Że będziesz rozmawiać z *Damaji'ting* jak z najbliższą przyjaciółką i po trzech próbach nauczysz się wiązać bido?

– Po trzech próbach? – spytała jakaś dziewczyna.

– Powinnyśmy ją za to zabić – odezwała się inna.

– Myśli, że jest lepsza od nas – dodała trzecia.

Inevera odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się desperacko. Akolitki patrzyły bez emocji. Ich oczy były martwe. Żadna nie sprawiała wrażenia, że obchodzi ją los nowej, żadna nie kiwnęłaby palcem w jej obronie.

– Melan, proszę, ja... – wykrztusiła Inevera, ale starsza uczennica zacisnęła dłoń i znów wepchnęła ją pod wodę.

Tym razem dziewczynce udało się nabrać tchu, ale powietrze szybko się skończyło i znów zaczęła się ciskać i miotać. Minęło mnóstwo czasu, nim Melan pozwoliła jej odetchnąć.

– Nie odzywaj się do mnie – syknęła akolitka. – Zostałam skazana na ciebie przez rok, ale nie oznacza to, że jesteśmy przyjaciółkami. Myślisz, że możesz tu przyjść i w jedną noc zająć miejsce Kenevah? Odebrać pozycję mojej matce? Że możesz odsunąć mnie w cień? Jestem z krwi Kenevah! Ty zaś... Ty jesteś jedynie źle zinterpretowanym rzutem!

Nie wiadomo skąd wyciągnęła nóż i Inevera aż się wzdrygnęła ze strachu, gdy z rozmachem chlasnąwszy po jej włosach, odcięła grube pasmo.

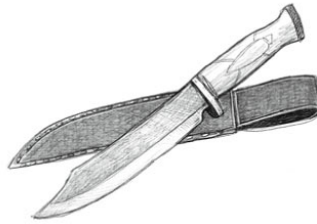
– Jesteś niczym – dodała Melan i podrzuciła nóż, po czym złapała go za ostrze. Podała broń rękojęścią do przodu najbliższej akolite.

– Jesteś niczym – powtórzyła tamta, złapała kolejny kosmyk i odcięła.

Każda ze zgromadzonych przy basenie podchodziła, brała nóż i odcinała kolejny pęk, aż z włosów Inevery pozostała jedynie postrzępiona, nierówna szczecina, w kilku miejscach zakrwawiona.

– Jesteś niczym – powtarzały akolity. Gdy skończyły, Inevera osunęła się na kolana, szlochając bezsilnie. Wstrząsał nią kaszel, od którego gardło płonęło żywym ogniem, zupełnie jakby w płucach pozostała jeszcze woda.

Kenevah miała rację. Pałac *dama'ting* i Wielki Bazar nie różniły się wcale tak bardzo. Tyle że nie było już Soliego, który mógłby ją obronić. Inevera wspomniała to, co powiedziała o Krishy Manvah. Jeżeli dziewczynka nie sprostą Melan i pozostałym akolitom w *sharusahk*, będzie musiała sobie radzić jak matka – spuści głowę i wykona każde wydane polecenie. Będzie ciężko pracować i jeszcze ciężiej się uczyć. A potem, gdy już nikt nie zwróci uwagi, Inevera znajdzie składzik Melan i wpuści tam szczura.



I

Arlen

333 ROK PLAGI, LATO 30 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Renna ponownie pocałowała Arlena. Leżeli pod nocnym niebem, ciężko dysząc, a łagodny wiatr studził ich spocone ciała.

– Ciekawiło mnie, czy pod tą przepaską też masz tatuaże – powiedziała, układając się przy nim. Oparła głowę na nagiej piersi mężczyzny, wsłuchana w bicie jego serca.

Arlen parsknął śmiechem i objął ją ramieniem.

– Ta przepaska nazywa się bido. A co do tatuaży, to nawet moja obsesja ma swoje granice.

Renna przysunęła usta do jego ucha.

– A może po prostu potrzebujesz zaufanego Patrona Runów? Każda żona ma obowiązek troszczyć się o to, co się znajduje w bido jej męża. Mogłabym sama namalować ci tam to i owo...

Arlen przełknął ślinę, a na jego policzkach pojawił się rumieniec.

– Obawiam się, że malowane przez ciebie runy szybko zaczęłyby zmieniać kształt.

Renna wybuchła śmiechem, otoczyła go ramionami i znów ułożyła mu głowę na piersi.

– Czasem się zastanawiam, czy nie jestem stuknięta – westchnęła.

– O czym ty mówisz?

– Mam wrażenie, że nadal siedzę w izbie tkackiej Selii Wyszniętej i gapię się w ścianę.

Wszystko, co się wydarzyło od tej chwili, wydaje mi się szalonym snem. Zastanawiam się, czy przypadkiem mój umysł nie zbłądził do jakiegoś miejsca z bajki i nie pozostał tam na zawsze.

– Jeśli to uważasz za miejsce z bajki, to masz kiepską wyobraźnię – parsknął Arlen.

– A niby dlaczego? Pozbyłam się Harla, nie muszę wracać do tego cholernego gospodarstwa, jestem silniejsza i tańczę pod gwiazdami. – Zatoczyła dłonią łuk. – Dookoła siebie widzę jedynie kolory i blask.

Spojrzała na niego.

– A do tego jestem tu z Arlenem Balesem. Czy to nie miejsce z bajki?

Niespodziewanie Renna przygryzła wargę, chcąc powstrzymać słowa, które wielokrotnie powtarzała w duchu, ale jak dotąd nie odważyła się wypowiedzieć na głos. Po części obawiała się reakcji Arlena, ale w znacznej mierze powstrzymywały ją własne wątpliwości. Wszystkie siostry Tanner gotowe były dzielić łożę z pierwszym przyzwoitym mężczyzną, którego napotkały, ale czy którakolwiek z nich naprawdę się zakochała?

Jako dziecko Renna sądziła, że kocha się w Arlenie, ale przecież prawie się wówczas nie znali. Po upływie kilku lat odkryła, że owo uczucie wzięło się tylko i wyłącznie z marzeń. Rok temu na wiosnę Renna wmówiła sobie, że jest zakochana w Cobiem Fisherze, ale wiedziała już, że i wtedy bardzo się myliła. Cobie nie był złym człowiekiem, ale dziewczyna uwiodłaby każdego, kto przybyłby na farmę Harla. Nie było na świecie miejsca gorszego od tego gospodarstwa, ani też mężczyzny podlejszego od jej ojca, dlatego zdobyłaby się na wszystko, byle się stamtąd wyrwać.

Renna jednakże miała już dość pomysłów. Miała też dość tłumienia własnych pragnień.

– Kocham cię, Arlen – powiedziała.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, resztki jej odwagi znikły bez śladu. Wstrzymała oddech, ale Arlen bez wahania otoczył ją ramionami.

– Ja też cię kocham, Renna.

Dziewczyna wypuściła powietrze z płuc. Jej strach i wątpliwości rozwiały się jak dym.

Nabuzowana magią nie zmrużyła oka tej nocy, ale nie chciała spać. Cieszyła się ciepłem i bezpieczeństwem i zastanawiała leniwie, jak to możliwe, że jeszcze kilka godzin temu walczyli

z księciem demonów i jego sługami. Miała wrażenie, że znalazła się teraz w innym świecie i toczyła inne życie. Udało im się uciec, choć na krótką chwilę.

Pot na jej skórze wkrótce wysechł, a emocje przygasły. Prawdziwy świat, okrutny i przerażający, znów zaczął się wyłaniać z ciemności. Renna przypomniała sobie, że otaczają ich ciała martwych otchłańców i wszędzie stygną kałuże czarnej posoki. Ociekający krwią zmiennokształtny z precyzyjnie odrąbaną głową nadal przypominał ją z wyglądu. Poraniony Nocny Tancerz, który ledwie uniknął śmierci, leżał kilka kroków dalej z nogami w łupkach.

– Trzeba będzie go uzdrowić, by znów zaczął chodzić – oznajmił Arlen. – Minie jednak przynajmniej dzień, a może nawet dwa, nim odzyska siły.

Renna rozejrzała się po polanie.

– Nie mam ochoty spędzić tu kolejnej nocy.

– Ja też – odparł Arlen. – Otchłańce będą tu jutro ściągać jak muchy do ściierwa. Niedaleko stąd mam kryjówkę i wóz, na którym zmieści się Tancerz. Pójdę tam i wrócę tuż po wschodzie słońca.

– Tak czy owak, będziemy musieli poczekać tu do zmroku.

Arlen spojrzał na dziewczynę.

– Dlaczego?

– To zwierzę waży więcej niż dom mojego ojca – odparła. – Jak niby ułożymy konia na wozie? Dopiero po zapadnięciu zmroku odzyskamy na nowo moc. A poza tym w jaki sposób chcesz ten wóz pociągnąć?

Nawet tatuaże na twarzy Arlena nie zamaskowały jego miny.

– Przestań – warknęła.

– Co takiego?

– Nie chcę, byś mnie okłamywał – wyjaśniła Renna. – Jesteśmy sobie przyrzeczeni, a mąż powinien być szczery wobec żony.

Arlen przyjrzał jej się ze zdziwieniem, a potem pokręcił głową.

– Nie chciałem cię okłamać, jeśli chodzi o ścisłość. Próbuję jedynie zdecydować, czy to właściwy moment, aby z tobą porozmawiać.

– Jak najbardziej właściwy – odparła Renna. – O ile cenisz własną skórę.

Arlen znów zmrużył oczy, ale napotkał jej twarde spojrzenie i wzruszył ramionami.

– W świetle dziennym nie tracę wszystkich sił – wyjął. – Nawet w samo południe jestem w stanie podnieść mleczną krowę i rzucić nią dalej niż ty kamieniem.

– Skąd się to bierze? – spytała Renna.

Arlen znów zrobił tę samą minę co przed chwilą i dziewczyna spojrzała na niego twardo i pogroziła mu pięścią, ale tym razem gest był żartobliwy. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Opowiem ci wszystko, gdy dotrzemy do kryjówki. Obiecuję.

– Obietnice pieczętuje się pocałunkami! – uśmiechnęła się Renna.



Gdy Arlen odszedł, Renna wyciągnęła podarowany jej zestaw do malowania runów, rozłożyła kawałek czystego materiału na ziemi i pieczołowicie ułożyła przybory. Następnie wyjęła naszyjnik z kamieni oraz nóż i zaczęła je czyścić. Pracowała powoli, starannie, wkładając uczucie w każdy ruch.

Naszyjnik był podarunkiem zaręczynowym od Cobiego Fishera. Składał się z kilku tuzinów gładkich, wypolerowanych kamyczków nawleczonych na mocny sznurek. Był tak długi, że Renna musiała owinąć go dwukrotnie wokół szyi, a i tak zwisał jej poniżej piersi.

Nóż z kolei należał do jej ojca, Harla Tannera. Zawsze nosił go za pasem i dbał o to, aby był ostry jak brzytwa. Zamordował nim Cobiego, gdy ten usiłował z Renną zbiec i rozpocząć wspólne życie, a potem to ona zabiła nim Harla.

Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, w chwili powrotu Arlena Renna i Cobie żyliby jako mąż i żona. Ten naszyjnik – podarunek zaręczynowy od innego mężczyzny – przypominał jej o tym, że dochowała wierności Arlenowi. Nóż zaś przypominał o innym mężczyźnie, który przez całe życie więził dziewczynę w swojej Otchłani.

Nie mogła się rozstać ani z jednym, ani z drugim. Były to przedmioty dla niej wyjątkowe – nie dość, że od początku do końca stanowiły własność Renny, to jeszcze służyły jej nie tylko w blasku słońca, ale i w mroku nocy. Na obu wymalowała runy – ochronne na naszyjniku i ofensywne na nożu. W razie potrzeby naszyjnik mógł służyć jako krąg runiczny, ale jeszcze bardziej przydawał się jako garota. A nóż...

Nóż przebił pierś księcia otchłańców. Nawet w tej chwili okolone runami oczy dziewczyny widziały magię, którą emanował. Źródłem mocy bynajmniej nie były tylko i wyłącznie runy – całe ostrze emanowało bladym światłem i kaleczyło nawet przy najdelikatniejszym dotknięciu.

Wiedziała, że ta moc wygaśnie po wschodzie słońca, ale na razie broń wydawała się nieprawdopodobnie potężna. Nawet za dnia cios zadany nożem byłby groźny. Kontakt z magią zawsze zwiększał możliwości zwykłych przedmiotów. Wystarczyło kawałkiem płótna musnąć kamień naszyjnika, by zaczynał lśnić, a sznur wydawał się mocniejszy niż wtedy, gdy go dostała.

Renna do świtu czuwała nad Nocnym Tancerzem. Gdy słońce wychyliło się zza horyzontu, rozrzucone wszędzie ciała otchłańców stanęły w płomieniach. Ten widok zawsze sprawiał jej ogromną przyjemność, choć za każdym razem musiała za niego słono zapłacić. Gdy ścierwa buchały ogniem, runy wymalowane na ciele wyciągiem z czarnego korzenia mrowiły, co oznaczało, że ich moc wygasa. Skryty w pochwie nóż stał się gorący i parzył Rennę w nogę. Musiała się oprzeć o drzewo, aby nie upaść. Czuła się słaba i na wpół ślepa, niczym lalka Minstrela, której ucięto sznurki.

Chwila słabości minęła jednak szybko i Renna nabrała tchu. Wiedziała, że po kilku godzinach snu poczuje się lepiej, a przecież i tak dysponowała zaledwie ułamkiem mocy, którą zyskiwała po zapadnięciu ciemności.

Jak to możliwe, że Arlen nie tracił mocy w świetle słońca? Czy to dlatego, że jego runy zostały wytatuowane, a nie wymalowane? Obiecała sobie, że jeśli to prawda, jeszcze dzisiaj poszuka igły i atramentu.

Ciała demonów spłonęły szybko, pozostawiając jedynie popiół i wypalone kręgi na ziemi. Renna przydeptała kilka tłących się gałęzi, by uniknąć pożaru, a potem wreszcie uległa zmęczeniu i ułożyła się u boku Nocnego Tancerza.



Gdy się obudziła, nadal znajdowała się przy rumaku, ale zamiast na mchu spoczywała teraz na szorstkim kocu rozłożonym na podskakującym wozie. Uniosła głowę i ujrzała Arlena ciągnącego wóz z imponującą prędkością.

Widok ten rozbudził ją całkowicie. Bez trudu przemieściła się na kozioł, złapała wodze i głośno strzeliła z bata. Arlen aż podskoczył, a Renna wybuchła śmiechem.

– Wio! Szybciej!

Na widok jego kwaśnej miny roześmiała się raz jeszcze, po czym zeskoczyła z wozu i podbiegła. Droga była wyboista, a miejscami zarośnięta przez chwasty, ale Arlena nie spowalniało to szczególnie.

– Studzienka już niedaleko – rzekł cicho.

– Co takiego?

– Studzienka. To nazwa wioski, a bierze się stąd, że tamtejsza woda wybornie smakuje.

– Myślałam, że będziemy się trzymać z dala od wsi – zdziwiła się Renna.

– Ta zamieszкана jest już tylko przez duchy – wyjaśnił Arlen, a dziewczyna usłyszała ból w jego głosie. – Kilka lat temu demony przedarły się tam przez barierę.

– Wiedziałeś o tym?

Arlen pokiwał głową.

– Gościłem tam czasami, gdy jeszcze pracowałem jako Posłaniec. W Studziencie mieszkało dziesięć rodzin. Sześćdziesięciu siedmiu pracusiów, jak mawiali. Mieli kilka dziwnych obyczajów, ale Posłańców zawsze witali z otwartymi ramionami i pędzili najmocniejszy bimber, jaki w życiu piłem.

– Nie piłeś nigdy samogonu mojego starego – mruknęła Renna. – Powalał lepiej niż olej do lamp.

– Ten ze Studzienki był tak mocny, że księżę Angiers wyjął miejscowość spod prawa. Wymazał wioskę z map i zakazał Gildii Posłańców wysyłania tam ludzi.

– Ale wyście mieli to gdzieś?

– Na Otchłań, pewnie, że tak! – prychnął Arlen. – Za kogo on się uważał? Żeby bezceremonialnie skreślić całą wieś? Poza tym za ładunek bimbrowa ze Studzienki można było dostać równowartość sześciomiesięcznej wypłaty. A ja po prostu lubiłem tych ludzi. Otoczyli runami całą wieś i życie toczyło się tam dniem i nocą. Z odległości paru mil słyhać było, jak śpiewają.

– I co się stało? – spytała Renna.

Arlen wzruszył ramionami.

– Zacząłem wyprawiać się dalej na południe i przez parę lat ich nie odwiedzałem. Wróciłem w te strony dopiero po tym, jak zacząłem tatuować ciało. Nie widziałem żywego ducha przez

długie miesiące i czułem się tak samotny, że zacząłem rozmawiać z Tancerzem i odpowiadać za niego. Tak, odbijało mi i zdawałem sobie z tego sprawę.

Renna przypomniała sobie podobne rozmowy, które toczyła ze zwierzętami w gospodarstwie ojca. Ileż to razy gawędziła od serca z Panią Drapką czy z Kopytkiem. Choć przez cały czas przebywała w towarzystwie Harla, dobrze wiedziała, czym jest samotność.

– Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w pobliżu Studzienki – ciągnął Arlen. – Postanowiłem owinąć twarz oraz dłonie płótnem i wcisnąć im jakąś historyjkę, że trafiło mnie ogniste plunięcie. Zrobiłbym wszystko, byle z kimś pogadać. Gdy zbliżałem się do wsi, uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy nie słyszę żadnych głosów ani śpiewów.

Minęli grupkę drzew, a potem ich oczom ukazała się wieś – Święty Dom oraz dziesięć mocnych, krytych strzechą chat ustawionych w równym kręgu wokół placu z wielką studnią. Wieś otaczał rząd słupów runicznych, domy były piętrowe, na górze spano, a na parterze mieścił się sklep bądź warsztat. W Studzience znajdowała się kuźnia, tawerna, stajnia, piekarnia, warsztat tkacki i kilka innych interesów.

Renna była głęboko poruszona, gdy szli ulicą do stajni. Wszystko dookoła było tak idealnie zachowane! Nigdzie nie widziała ani śladu ataku demonów i miała wręcz wrażenie, że lada moment z budynków wyjdą ludzie. Oczami wyobraźni widziała, jak uwijają się i pracują.

– Gdy tu przybyłem, plac był zasłany kośćmi i demonim gównem – powiedział Arlen. – Smród zdradzał, że od masakry upłynęło dopiero kilka dni. Dni! Gdybym przybył tam wcześniej, mógłbym...

Renna dotknęła jego ramienia, nie mówiąc ani słowa.

– Jeden ze słupów runicznych najwyraźniej pękł i został przewrócony przez wiatr – ciągnął Arlen. – Drzewne demony zapewne odnalazły lukę i wpadły do wsi, zaskakując ludzi przy wieczerzy. Kilku uciekło w mrok, ale znalazłem tylko ich szczątki.

Dziewczyna wyobraziła sobie mieszkańców Studzienki siedzących przy stołach na centralnym placu i raczących się wspólną wieczerzą, całkowicie nieprzygotowanych na atak otchłańców. Słyszała ich wrzaski i widziała, jak umierają. Oszołomiona wizją, opadła na kolana. Żołądek dziewczyny skręciły mdłości.

Arlen położył jej dłoń na ramieniu. Renna uświadomiła sobie, że szłocha. Uniosła głowę i spojrzała na niego z poczuciem winy.

– Nie masz się czego wstydzić. Sam zniosłem to o wiele gorzej.

– Co zrobiłeś?

Arlen wypuścił powietrze z płuc.

– Na parę tygodni straciłem kontakt z rzeczywistością. Palilem kości, upijałem się tutejszym bimbrem, a nocami zabijałem każdego cholernego demona, który się pojawił w promieniu dziesięciu mil od Studzienki.

– Widziałam kilka świeżych tropów wiodących w stronę wioski – zauważyła Renna.

– Jutro rano zapłoną ogniska – mruknął Arlen.

Renna położyła dłoń na rękojeści noża i splunęła na bruk.

– Żebyś wiedział.

Dotarli do stajni, a tam Arlen, stękając z wysiłku, ułożył Nocnego Tancerza na ziemi. Renna aż pokręciła głową. Miała wrażenie, że nie powtórzyłaby tego wyczynu nawet nabuzowana magią w środku nocy.

– Przyda się trochę wody – rzekł Arlen.

– Przyniosę. – Renna ruszyła do wyjścia. – Chętnie spróbuję wody ze studni tak słynnej, że użyczyła nazwy całej wsi.

Mężczyzna złapał ją za ramię.

– Już nie jest taka dobra. Kennit, starszy wioski, utonął tam podczas ataku. Gnił przez dobry tydzień, nim zdołałem zejść na dół i wyłowić szczątki. Główna studnia jest zatruta. W ujęciu za tawerną woda nadal jest czysta, ale wsi bym po niej nie nazwał.

Renna splunęła raz jeszcze, złapała wiadro i poszła do tawerny. Jej dłoń znów musnęła kościaną rękojeść noża. Dziewczyna nie mogła się doczekać nocy.

Gdy zaspokoili wszystkie potrzeby Tancerza, umyli się i spożyli zimny posiłek w tawernie.

– Na górze jest pokój do wynajęcia – powiedział Arlen. – Możemy się wyspać przed zapadnięciem zmroku.

– Pokój do wynajęcia? – zdziwiła się Renna. – We wsi, w której jest kilka pustych domów?

– To chyba nie w porządku spać w łóżku człowieka pożartego przez demony. – Arlen pokręcił głową. – W tym pokoju nocowałem jako Posłaniec. Jest niezły.

Kocham cię, Arlenie Bales, pomyślała Renna, ale nie było sensu powtarzać tego, co już powiedziała. Pokiwała głową i udała się w ślad za partnerem po schodach.

Nawet ów pokój do wynajęcia był większy od wszystkich pomieszczeń, w których Renna miała okazję spać. Na łóżku leżały puchowe pierzyny. Usiadła na nich, zdumiona miękkością.

Dotychczas spała jedynie na słomianych materacach. Ułożyła się i przekonała, że posłanie w istocie jest miękkie niczym chmura.

Moszcząc się wygodnie na puchu, Renna rozejrzała się po pokoju. Nie ulegało wątpliwości, że Arlen spędził tu sporo czasu. Gdzie spojrzała, widziała porozstawiane przedmioty, którymi miał w zwyczaju się posługiwać – kubki z farbą, pędzle, rylce i książki. Niewielkie biurko zostało przerobione na stół roboczy, a na podłodze pod nim leżały trociny i strużyny.

Arlen przyklęknął i zwinął leżący na środku pomieszczenia dywanik. Odnalazł luźną płytkę i uniół ją ostrożnie. Okazało się, że owa płytka służy jako uchwyt, dzięki któremu można podnieść spory fragment podłogi. Krawędzie skrytki zostały zamaskowane trocinami. Renna usiadła i zajrzała do środka, a wtedy szeroko otworzyła oczy. W kryjówce znajdował się cały arsenał broni, dobrze naoliwionej, ostrej i oznaczonej potężnymi runami. Zsunęła się z łóżka, podeszła i przykucnęła, by lepiej się przyjrzeć. Jej spojrzenie przesunęło się po symbolach wykonanych przez Arlena.

Ten wybrał niewielki łuk ze złotodrzewu oraz kołczan pełen strzał i podał jej oba przedmioty.

– Pora, byś się nauczyła strzelać.

Renna wykrzywiła się zdegustowana. Znow próbował ją chronić. Robił wszystko, aby nie musiała walczyć wręcz. Starał się zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Nie chcę. Za włóczęgę również podziękuję.

– Czemu?

Renna uniosła naszyjnik z otoczków i wyciągnęła nóż.

– Nie chcę zabijać otchłanców z wygodnej kryjówki. Chcę umrzeć, wiedząc, kto mnie rozpruł.

Sądziła, że będzie próbował jej to wyperswadować, ale Arlen jedynie kiwnął głową.

– Dobrze wiem, o czym mówisz – stwierdził, ale nie cofnął ręki z łukiem. – Zdarza się jednak, że otchłanców przybywa o wiele za dużo albo że trzeba któregoś załatwić, zanim zabije niewinnego człowieka.

Uśmiechnął się i dodał:

– A poza tym wycelowanie w otchłanca i zastrzelenie go z daleka to też miłe uczucie.

Renna nabrała głęboko tchu. Bez wątpienia miał rację. Tak, bez wątpienia próbował ją chronić, ale robił to jak zawsze na swój sposób.

Uczył ją, jak sama ma o siebie zadbać.

Kocham cię, Arlenie Bales.

Ujęła łuk, zdumiona jego lekkością. Arlen podał jej jeszcze niewielki kołczan pełen runicznych strzał, a potem zaczął wyjmować resztę broni i układać na naoliwionej płachcie.

– Po co ci to wszystko? – zdziwiła się Renna.

– Będzie potrzebne znacznie więcej – odparł Arlen. – Już dawno trzeba było to zrobić. Mam zamiar podarować runiczną broń każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie i każdemu dziecku silnemu na tyle, aby ją unieść. Mam wiele takich kryjówek w całej Thesie, ale jak dotąd nie podzieliłem się z nikim tą tajemnicą. Dość tego. Nie potrzebuję już broni, aby zabijać demony. Ten etap w moim życiu dobiegł końca.

– Jak to? – spytała Renna. Spodziewała się, że Arlen będzie unikał jej spojrzenia, co zdradzi, że nie chce odpowiedzieć.

Miłość nie miłość, ale jeśli odwróci wzrok, palnę go w ten łysy łeb, pomyślała.

Arlen jednakże patrzył prosto na nią. Wzrok miał nieco rozbiegany.

– Pokażę ci dziś w nocy. – Dotknął kręgów z runami wizji, otaczających oczy dziewczyny.
– Moc tych symboli bardzo ci się przyda.

Renna ujęła go za rękę i wstała. Ciągnąc go, cofnęła się, aż jej łydki dotknęły łóżka. Oboje opadli w miękki puch, a ich pocałunek szybko przerodził się w pieszczoty. Krew łomotała Rennie w skroniach i poczuła się równie niezwyciężona jak w ciemności nocy.



Słońce zachodziło, gdy zeszli do izby głównej na kolację. Po skończonym posiłku Arlen wstał i przez moment szukał czegoś za kontuarem. Wyszedł, trzymając ciężki gliniany dzban.

– Demony zazwyczaj materializują się na polach za wsią. Może póki co napijemy się czegoś mocniejszego?

Szli przez wieś, przyglądając się ciemniejącemu niebu w kolorze lawendy. Należące do Studzienki pola ciągnęły się daleko na południe od zabudowań. Uprawiano tam głównie ziemniaki, pszenicę oraz trzcinę cukrową. Ziemią nie zajmowano się od wielu lat, ale na przekór wszystkiemu tu i ówdzie nadal rosły nieregularne kępki roślin. Upraw strzegły rozstawione w regularnych odstępach słupy runiczne. Wiele z nich było w kiepskim stanie i nie zatrzymałoby

otchłańca na długo, ale Renna dostrzegła parę nowych pali ze świeżo wymalowanymi symbolami. Przyjrzała im się uważniej i naraz dostrzegła prawidłowość.

– Zamieniłeś to miejsce w labirynt – powiedziała. – Zupełnie jak ci mieszkańcy pustyni z twoich opowieści.

Arlen pokiwał głową i usiadł.

– Dzięki temu można walczyć z pojedynczymi demonami, a nie z hordami, i przez cały czas ma się schronienie o krok – oznajmił i wyciągnął dzban. Napelnił dwa drewniane kubeczki przejrzystym napojem. – W Krasji wynaleziono pewien napój, który *Sharum* czasami piją przed bitwą. Nazywają go couzi i twierdzą, że dodaje wojownikowi odwagi. – Uniósł kubeczek z uśmiechem. – Odkryłem, że bimber działa podobnie.

– A nie mówiłeś, że *Sharum* potrafią stłumić strach siłą woli? – Renna usiadła obok, dzban znalazł się między nimi.

– Większość z nich. W istocie przed bitwą najlepiej zdusić lęk samodzielnie, ale wojownik staje się wówczas zimny i wyrachowany. Ja zaś nie chcę być beznamietną maszyną do zabijania, nie w miejscu takim jak Studzienka. Tutaj chcę szaleć jak uwolniona Otchłań.

Renna pokiwała głową. Doskonale go rozumiała. Odsunęła kubeczek, ujęła dzban, z wprawą przytknęła go do ust i wzięła tęgi łyk.

Arlen nie przesadzał – bimber był rzeczywiście mocny i Renna się rozkaszała. Alkohol okazał się jednak nieco słodszy od wyrobu jej ojca i kula ognia w żołądku wkrótce zamieniła się w ciepło rozlewające się po całym ciele.

Mężczyzna również odsunął kubki i poszedł w ślady towarzyszki. Podawali sobie dzban, aż znikły resztki światła i nad ziemią pojawiła się mgła, zwiastując rychłe przybycie otchłańców. Kłęby zaczęły się zagęszczać i upodabniać do ciał polnych demonów, najszybszych istot znanych Arlenowi, potworów smukłych i czujnych, polujących na czterech łapach niczym lwy. Pojawiło się również kilka drzewnych, ale większe otchłańce materializowały się wolniej.

Renna wstała. Zatoczyła się i dopiero po chwili odzyskała równowagę. Ruszyła w kierunku krzepnącego drzewnego demona, trzymając opróżniony częściowo dzban na jednym palcu. Spoglądała na potwora złowrogo, przypomniawszy sobie noc, którą spędziła zamknięta przez ojca w wygodce, wrzeszcząc za każdym razem, gdy któryś z demonów uderzył o ścianę. Przypomniała sobie również puste budynki za plecami oraz zatrutą studnię.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk i zaczopowała dzban. Wolną ręką sięgnęła do sakwy przy pasie.

Demon był już w pełni materialny i rozwarł pysk, aby wydać dziki ryk. Dziewczyna ujrzała rzędy ostrych zębów i paszczę tak ogromną, że zmieściłaby się tam jej głowa. Nim potwór zdołał wydać choćby dźwięk, Renna wrzuciła mu do pyska żołądz z wymalowanym runem gorąca, który aktywował się po zetknięciu z językiem bestii i eksplodował z ogłuszającym hukiem.

W tej samej chwili Renna plunęła na niego alkoholem trzymanym w ustach.

Uskoczyła, gdyż łeb demona eksplodował płomieniami. Potwór padł i zaczął się ciskać, usiłując ugasić płomień ogarniające koropodobny pancerz.

Rozległ się śmiech. Gdy Renna się odwróciła, Arlen bił jej brawo.

– Nieźle, ale znam lepszą sztuczkę.

Renna uśmiechnęła się i założyła ramiona, wchodząc do bezpiecznego kręgu.

– No to proszę, Arlenie Bales! Daj z siebie wszystko.

Arlen uklonił się. Jakiś polny demon zmaterializował się nieopodal, ogromny, większy niż nocny wilk. Warknął i przygarbił się, gotów do skoku.

Mężczyzna skrzyżował ramiona podobnie jak Renna i nie cofnął się ani o krok. Zdjął kaptur – ostatnio bardzo rzadko go zakładał – ale nadal miał na sobie szaty noszone za dnia, zakrywające potężne runy na jego ciele. Polne demony były szybkie niczym wiatr i każdy zdołałby powalić i błyskawicznie rozszarpać mężczyznę, którego nie chroniły runy. Renna mocno zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

Tymczasem rozpędzony polny demon przemknął przez Arlena, jakby wojownik był tylko iluzją. Sylwetka mężczyzny zawirowała niczym roztrącony dym, ale w okamgnieniu odzyskała kontury.

Arlen uklonił się.



– Póki trwa noc, żaden napastnik nie jest mi groźny. Muszę go tylko widzieć.

Polny demon upadł, ale zaraz obrócił się i skoczył. Renna spodziewała się, że znów przemknie przez Arlena, ale tym razem mężczyzna wykonał niemal niedostrzegalny piruet i otoczył ramieniem szyję napastnika. Zatrzymany demon wierzgnął, a Arlen, nie zwalniając chwytu, znalazł się za jego plecami, aby uniknąć pazurzastych łap. Wyciągnął rękę i palcem nakreślił run gorąca na klatce piersiowej potwora.

Skończony symbol ożył. Wojownik puścił demona i odskoczył, a otchłaniec zatoczył się, pożerany przez płomień.

Renna otworzyła szeroko usta, ale Arlen jeszcze nie skończył. Szedł teraz do kolejnego polnego demona, prowokując go do ataku. Niedługo musiał czekać, potwór zaryczał i rzucił się, chcąc go rozszarpać.

– Jeśli zaś nie ujrzę demona w porę...

Potwór uderzył i Arlen poleciał do tyłu z głuchym stęknieniem. Szpony otchłanca rozorały jego brzuch.

Renna przerażona patrzyła na bryzgającą krew. Wyrwała nóż i wybiegła, aby zasłonić rannego własnym ciałem, ale ten wyprostował się i zatrzymał ją uniesieniem dłoni. Demon skoczył znów, ale tym razem Arlen rozwił się niczym dym.

Gdy jego ciało ponownie stało się materialne, nigdzie nie było ani śladu obrażeń. Nawet szata nie nosiła znaków po pazurach.

– ...ale zdążę się zorientować w sytuacji, mogę wyleczyć każdą ranę z wyjątkiem śmiertelnej.

Demon zaatakował po raz trzeci i Arlen nakreślił w powietrzu run. Potwór poleciał do tyłu, jakby kopnął go muł. Moc mężczyzny wydawała się nieograniczona.

Gdy demon spadł kilkanaście jardów dalej, Arlen sięgnął po łuk. Dzięki runom wzmacniającym wzrok Renna widziała, że jeszcze przed chwilą wojownik aż lśnił magią. Teraz jego runy emanowały nieco słabszym światłem.

Arlen zauważył jej spojrzenie i pokiwał głową.

– Jeśli nakreślę run na demonie, stwórz sam nasyci go mocą. Jeśli nakreślę go w powietrzu, symbol zaczerpnie moc ode mnie.

Potwór zaatakował po raz czwarty. Tym razem wojownik wykorzystał chwyt *sharusahk* – złapał otchłanca za gardło i przycisnął do ziemi. Runy na jego dłoniach aż pulsowały mocą. Blask otaczający sylwetkę mężczyzny znów stał się intensywniejszy, a emanacja demona

przygasła. Stwór wrzeszczał i miotał się, ale wojownik przytrzymał go równie łatwo jak dorosły mężczyzna dziecko. Dłonie Arlena stawały się coraz mocniejsze, aż kark potwora pękł. Mężczyzna raz jeszcze napiął mięśnie i oderwał otchłāncowi łeb.

W tym momencie Renna zauważyła podkradającego się innego demona. Postarała się wyglądać na bezradną i ogłupioną. Nie było to trudne. Wystarczyło, aby znów wcieliła się w rolę bezużytecznego cielęcica, jakim była przez całe życie. Wystarczyło, aby znów przeistoczyła się w ofiarę.

Ta część jej osobowości umarła jednak wraz z Harlem. Skaczący otchłāniec uderzył w niewidzialną barierę niczym w szklaną ścianę, a Renna zawirowała i pchnęła nożem w jego klatkę piersiową. Runy wymalowane na ostrzu zabłysły. Żelazo przebiło pancerz potwora, a ciało dziewczyny przeszły strumień magicznej energii, rozgrzewającej o niebo lepiej od bimbrow. Napierała, pchając potwora raz za razem, z każdym ciosem czując nowy magiczny impuls.

Gdy otchłāniec padł martwy, przykucnęła i wyrysowała palcem run ciepła na jego szorstkim pancerzu.

Nic się nie stało.

– Dlaczego ty to potrafisz, a ja nie? – wykrzyknęła, rozglądając się w poszukiwaniu innych przeciwników. Kilka demonów krążyło w pobliżu, ale po tym, co ujrzāło, wolało się trzymać z daleka od ludzi.

– Sam przez długi czas nie zdawałem sobie z tego sprawy – wyznał Arlen. – Nie rozumiałem swojej mocy. Dopiero gdy walczyłem z demonem w drodze do Otchłāni, nasze umysły połączyły się i wiele spraw nagle stało się dla mnie oczywistych. Naprawdę stałem się po części demonem.

– Gówno prawda – prychnęła Renna. – Przecież nie ma w tobie zła, a w nich jest go mnóstwo!

Arlen wzruszył ramionami.

– Większość demonów tak naprawdę nie jest zła. Nie mają na tyle rozumu, żeby być złe... lub dobre, jeśli chodzi o ścisłość. Równie dobrze możemy powiedzieć, że osa jest zła tylko dlatego, że żądli. Demony umysłu jednak...

– Te łotry są jeszcze gorsze od Harla! – stwierdziła Renna.

– Kilkanaście razy gorsze – przytaknął Arlen skinieniem głowy.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– A więc utrzymujesz, że... Że co? Że otchłańce to tylko zwierzęta? Przestań, nie wierzę. Osy nie buchają ogniem po wschodzie słońca. Może i demony nie są złe, ale na pewno nie są niczym naturalnym.

– Bzdura – odparł Arlen. – Tak gadają ludzie, którzy nigdy nie wzmacniali wzroku runami. Rozejrzyj się. Czy magia jest nienaturalna?

Renna z namysłem przyjrzała się mocy, która wydostawała się z Otchłani i sunęła nad ziemią niczym migotliwa mgła. Dostrzegła ją w łodygach roślin, pniach drzew, a nawet w zwierzętach i ludziach. Czy życie mogło bez niej istnieć?

– Może i nie jest – przyznała. – Ale wciąż nie wiem, dlaczego twierdzisz, że jesteś po części demonem, skoro nawet za dnia, kiedy słońce wypala magię, nadal władasz mocą.

Arlen zawahał się i spojrzał w bok zamyślony. Renna zmrużyła oczy.

– Nie będę cię okłamywał, Ren. – Zauważył jej spojrzenie. – Nie będę niczego tał. Po prostu... Po prostu stałem się czymś, z czego nie jestem dumny, i nie chcę... Nie chcę, byś przestała mieć o mnie dobre zdanie.

Renna podeszła bliżej i przyłożyła dłoń do jego policzka. Skóra mężczyzny mrowiła od magii.

– Kocham cię, Arlenie Bales, i nic na świecie tego nie zmieni.

Arlen ze smutkiem pokiwał głową. Nie patrzył Rennie w oczy.

– To ich mięso obdarowało mnie tą mocą.

– Mięso?

– Mięso demonów – objaśnił. – Jadłem je przez całe miesiące, gdy mieszkalem na pustyni. Nie widziałem w tym nic złego. Przecież one pożerają nas przez cały czas.

Renna aż sapnęła i cofnęła się o krok. Dopiero wtedy Arlen spojrzał jej w oczy i odczytał w nich przerażenie.

– Ty... Ty je jadłeś? Demony?

Arlen pokiwał głową, a Renna poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Nie miałem wyboru. Byłem sam na pustyni, nie miałem jedzenia i straciłem wszelką nadzieję. Upadłem tak nisko, że niżej się nie dało.

– Myślę, że wolałabym umrzeć – oznajmiła Renna i natychmiast pożałowała tych słów na widok cierpienia na twarzy partnera.

– Cóż, racja – przyznał. – Pewnie nie jestem tak silny jak ty, Ren.

Dziewczyna podbiegła do niego, ujęła jego dłonie i oparła się czołem o jego czoło.

– Nigdy nie byłam tak silna jak ty, Arlenie Bales. – Poczula, że łzy napływają jej do oczu. – Sęk w tym, że nadal jestem idiotką. Swego czasu wołałabym przecież umrzeć, byle tylko sekret Tannera nie wyszedł na jaw. Gdzie w tym siła?

Arlen pokręcił głową. Jego łza spadła na jej wargę, zimna i słodka.

– Ja też podjąłem wiele głupich decyzji przez ostatnie lata.

Renna pocałowała go mocno.

– Jesteś pewien, że to mięso demonów obdarowało cię tą siłą?

Arlen przytaknął.

– Coline Trigg mawiała, że człowiek staje się po części tym, co je, no i chyba miała rację. Przejąłem typową dla otchłańców umiejętność gromadzenia magii w komórkach, ale skóra nadal chroni mnie przed słońcem. Stałem się czymś w rodzaju baterii.

– Jakie komórki? Co to jest bateria? – spytała Renna.

– Odkrycia naukowe ze starego świata. Zresztą mniejsza o to. – Arlen zbył jej pytania machnięciem ręki.

Renna nie znosiła tego gestu, miała wrażenie, że mężczyzna zatrzymuje całą wiedzę dla siebie tylko dlatego, że wyjaśnianie szczegółów jest zbyt nużące. A przecież Renna mogła go słuchać przez całą noc! Przecież na całym świecie nie było wspanialszego dźwięku niż jego głos!

– Wyobraź sobie beczkę na deszczówkę po ulewnej nocy. Jest nadal pełna wody, choć niebo się wypogodziło, a ziemia wyschła. Nie mogę wykorzystać magii w świetle dziennym, ale czuję ją w sobie. Wiem, że leczy moje rany, dodaje mi siły i przepędza zmęczenie. W nocy mogę ją wyzwolić, zupełnie jakbym odszpuntował tę beczkę, ale i tak mam wrażenie, że to tylko cząstka moich możliwości.

Renna zamyśliła się. Arlen mógł sobie mówić, co chce, ale trudno było przyjąć, że otchłańce nie są uosobieniem zła i obrazą dla Stwórcy. Dziewczyna niejednokrotnie była zbryzgana ich obrzydliwą juchą, ale na samą myśl, że miałyby jeść demonie mięso, robiło jej się niedobrze.

Ale ta moc...

– Wiem, o czym myślisz, Ren – głos Arlena wyrwał ją z zadumy. – Nawet nie próbuj.

– Dlaczego? Tobie jakoś jedzenie otchłańców nie zaszkodziło.

– Nie masz pojęcia, w jakich okolicznościach do tego doszło. Całkiem mi odbiło. Miałem myśli samobójcze. Niewiele różniłem się od zwierzęcia.

Renna pokręciła głową.

– Byłeś sam jak palec na pustyni. Nie licząc Tancerza i demonów, nie miałeś się do kogo odezwać. Znam to uczucie, Arlen. W takiej sytuacji każdy może zwariować.

Mężczyzna przyjrzał jej się i pokiwał głową.

– To prawda. Ale pamiętaj, że jedzenie mięsa demonów to nie to samo co malowanie runów na ciele. Skutki nie znikną po paru tygodniach, a ty nie jesteś na to gotowa.

– A tobie się wydaje, że możesz mi mówić, do czego jestem gotowa? – ostro spytała Renna.

– Przecież ci nie rozkazuję, Ren. Ja cię błagam. – Arlen uklęknął przed nią. – Nie jedz tego, a jeśli ktokolwiek będzie o to pytał, powiedz, że to trucizna.

Renna wpatrywała się w niego przez długą chwilę, nie wiedząc, czy powinna go przytulić, czy może wyperswadować takie myślenie. W końcu westchnęła, uwalniając klębiące się w niej emocje.

– Zastanowię się nad tym. I nikomu nie pisnę ani słowa. Przyrzekam.

Arlen wstał.

– Dobra, to zapołujmy. Muszę nagromadzić jak najwięcej magii, jeśli mam wyleczyć Tancerza.



Nocny Tancerz nadal cierpiał, gdy wrócili do stajni. Język zwisał mu spomiędzy warg, koń nawet nie tknął jedzenia. Nic też nie wypił poza wodą, którą wiali mu do pyska. Oddychał z wielkim trudem.

Zmiennokształtny jednym ciosem zmiażdżył żebra rumaka i Stwórcę jeden wiedział ile organów wewnętrznych uszkodził. Uderzenie było tak potężne, że rzuciło konia w powietrze. Spadając, rumak uderzył w pień drzewa, co złamało mu kręgosłup i strzaskało nogi. Magia Arlena ocaliła mu życie, ale bez dalszej pomocy wierzchowiec nie byłby w stanie chodzić, nie mówiąc już o bieganiu.

Arlen jednak nagromadził tyle magii, że jego runy aż płonęły i w stajni zrobiło się jasno jak za dnia. Gdy ujmował kończyne rumaka, nastawiał kości i kreślił magiczne znaki w miejscu pęknięcia, wyglądał niczym sam Stwórca.

Tancerz rżał z bólu, gdy zrastały się mięśnie i kości. Był to okropny dźwięk, niemalże nie do zniesienia dla Renny. Po każdej interwencji otaczający Arlena blask nieco przygasał, a wciąż było wiele obrażeń do wyleczenia. Runy ciemniały coraz bardziej, aż zgasły niemal zupełnie, ale mężczyzna nadal pracował. Jego wrażliwe palce przesuwały się po końskim ciele, poszukując miejsc, na których należało skupić moc. Gdy wyleczył zębra, Tancerz nabrał tchu i w końcu zaczął oddychać normalnie. Renna odetchnęła z ulgą, a wtedy Arlen jęknął i osunął się na ziemię.

Nadal drżał, gdy Renna zaciągnęła go do łóżka. Oddychał płytko, z trudem. Ledwie słyszała bicie jego serca, a blask magii ściemniał – dziewczyna obawiała się, że zaraz całkiem zgaśnie. Rozebrała się i wślizgnęła do łóżka. Przytuliła się mocno, jakby chciała, aby ciało Arlena przejęło choć odrobinę magii, którą zgromadziła, ale najwyraźniej nic to nie dawało.

– Ani się waż umierać, Arlenie Bales – wyszeptwała. – Po tym, przez co razem przeszliśmy, nie masz prawa!

Arlen nie odpowiedział. Renna wstała i otarła łzy. Myśli w jej głowie rozpoczęły gorączkową gonitwę.

Potrzebuję magii, pomyślała. No to poszukajmy.

W okamgnieniu wyjęła nóż. Złapała płaszcz i wybiegła, nie przejmując się nagością. W Płaszczu Ślepoty nie musiała się obawiać otchłańców. Szybko natrafiła na polnego demona czającego się nieopodal bariery.

Odrzuciła płaszcz i zaatakowała, nim potwór zauważył jej obecność. Zaskoczyła go całkiem – jedną ręką zadarła mu łeb, a drugą przecięła gardło. Przyniosła ze stodoły wiadro i napelniła je ohydą, lecz tętniącą od magii posoką.

Renna zbryzgała skórę krwią demona i poczuła, jak runy chciwie zasysają moc. Miała wrażenie, że nigdy nie była tak niewiarygodnie silna. Pobiegnęła szybko jak wiatr. W okamgnieniu znalazła się w pokoju Arlena. Ściągnęła go na podłogę i wylała na niego wiadro cuchnącej cieczy. Wytatuowane runy zajaśniały, wchłaniając moc, a potem przygasały, lecz wewnętrzna aura mężczyzny znów nabrała wyrazistości. Oddychał już nieco łatwiej i Renna upadła na kolana.

– Stwórcy niech będą dzięki – szepnęła, kreśląc run w powietrzu.

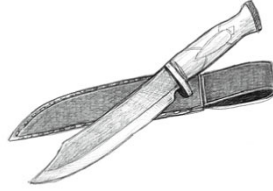
Był to odruchowy gest, podobny do tych, jakimi Arlen leczył Tancerza. Gdyby tylko mogła zrobić to samo dla niego.

Spojrzała do wiadra, z którego zwisał oślizgły demoni flak. Ułożyła go sobie na dłoni i dotknęła kilkakrotnie. Był czarny i galaretowaty. Śmierdział tak bardzo, że czuła mdłości. Musiała przez chwilę głęboko oddychać, żeby nie wymiotować.

Arlen zostanie pochłonięty, jeśli na to pozwolę, pomyślała. Jest silny, ale nie podoła sam. Gdy następnym razem zacznie go wciągać Otchłań, nie będę w stanie mu towarzyszyć, jeśli czegoś nie zrobię.

– Dobra, dość już tych rozważań – mruknęła.

Wstrzymała oddech i wsunęła ochłap do ust.



II

Obietnica

333 ROK PLAGI
28 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Renna obudziła się tuż przed świtem. Arlen spał spokojnie, więc poruszała się ostrożnie, żeby go nie zbudzić. Starannie zmyła zaschniętą posokę ze swego ciała.

Zasłony szczelnie zakrywały okna, dlatego Renna nadal czuła się pełna mocy. Ledwie stanęła w blasku słońca, jej siła natychmiast znikła. Dziewczyna rozciągnęła mięśnie, chcąc sprawdzić, czy ohydny posiłek zeszłej nocy wywarł na nią jakiś wpływ, ale na razie nie dostrzegła żadnych zmian. Arlen doszedł do swojej mocy, ponieważ przez całe miesiące jadł tylko i wyłącznie demonie mięso. Tymczasem jej żołądek zbuntował się na myśl o kolejnej próbie.

Weszła do stajni, by nakarmić Nocnego Tancerza i wyszczotkować jego sierść. Ogier wydawał się w dobrej formie. Nikt by się nie domyślił, że ledwie dwie noce temu niewiele dzieliło go od śmierci. Nawet blizny wierzchowca były już ledwie widoczne.

Następnie poszła na pole, aby zebrać nieco rosnących dziko warzyw i ziemniaków. Miała nadzieję, że wreszcie uda się zrobić porządne śniadanie. Wróciła do kuchni, a gdy jej przygotowania niemalże dobiegły końca, pojawił się Arlen. Wyglądał mizernie, jakby w ogóle nie zmrużył oka.

– Pachnie tu jak w niebie – powiedział na powitanie.

– Nie mam jajek ani porządnego chleba, ale złapałam na polu królika, więc mamy trochę mięsa. – Renna nałożyła potrawkę do dwóch drewnianych misek, które zanieśli do głównej izby.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Arlen przyglądał się swojej misce, po czym ukrył twarz w dłoniach.

– Chyba przesadziłem zeszłej nocy – stwierdził.

– Łagodnie to ująłeś! – parsknęła Renna.

Wydał policzki i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Żałuję teraz, że tyle wypilem.

– Jedz – rozkazała Renna. – Żołądek się uspokoi, jeśli znajdzie się w nim coś ciepłego. I potrzeba ci dużo wody. Wypij, ile będziesz w stanie.

Arlen pokiwał głową i złapał za łyżkę. Wkrótce już zajadał łapczywie i w mig opróżnił naczynie.

– Jest jeszcze? – zapytał.

Renna, która wpatrywała się w niego tak intensywnie, że prawie zapomniała o swojej porcji, otrząsnęła się szybko.

– Póki co weź moją miskę. – Podsunęła mu swoje naczynie, a zabrała puste. – Przyniosę dokładkę.

Gdy wróciła z kuchni, Arlen zdążył opróżnić drugą miskę. Widok ten sprawił Rennie wielką radość.

– Czujesz się lepiej? – spytała.

– Czuję się jak człowiek. – Przez twarz mężczyzny przemknął uśmiech. – Dawno już tak nie było.

– Możemy odpoczywać przez resztę dnia. Wieczorem znów nabierzesz mocy.

Arlen pokręcił głową.

– Mamy do pokonania wiele mil, Renna. Po południu musimy się zatrzymać w jednym miejscu, a potem zmierzamy prosto do Zakątka, najszybciej jak się da.

– Gdzie się chcesz zatrzymać? – spytała Renna.

Arlen znów się uśmiechnął, ale tym razem szerzej. W jego oku pojawił się błysk.

– Muszę ci wręczyć odpowiedni podarunek zaręczynowy.



Szli pieszo po starym trakcie Posłańców. Arlen narzucił ostre tempo. Po kilku godzinach Renna zauważyła, że sporo go to kosztuje, ale uparcie odmawiał wskoczenia na grzbiet rumaka.

– O mnie się nie martw. To Tancerz potrzebuje wytchnienia – stwierdził.

Słońce minęło już zenit, gdy dotarli do rozwidlenia. Arlen skręcił ku mniej uczęszczanej odnodze, zaledwie wąziutkiej ścieżce prowadzącej w kierunku pasma wzgórz.

– Dokąd wiedzie ten trakt? – spytała Renna.

– Do gospodarstwa mojego znajomego – odrzekł Arlen. – Jest mi winien przysługę.

Renna chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale jej towarzysz nie powiedział już ani słowa.

Gospodarstwo ukazało się ich oczom po prawie godzinie marszu. Zabudowania, podwórze, wybieg dla koni oraz szerokie pastwiska otaczał krąg słupów runicznych, a trzy wielkie stodoły chronione były dodatkowo potężnymi znakami.

Na dachu najbliższej stodoły pojawił się młody chłopak z łukiem. Nałożył strzałę na cięciwę i wycelował w przybyszy.

– Kim jesteście? – wykrzyknął.

Renna skuliła się, gotowa odskoczyć, gdy tylko chłopak zwolni cięciwę. Odruchowo złapała dobrze sobie znaną kościaną rękojeść ojcowskiego noża, choć wiedziała, że nie na wiele jej się w tej sytuacji przyda. Nienawidziła Harla Tannera, ale zawsze czuła się bezpieczniej, dotykając broni, którą go zabiła.

Arlen jednakże wydawał się całkowicie nieporuszony.

– Jesteśmy ludźmi, którzy zaraz pożałują, że nie dali demonowi cię zeżreć, Nik! Odłóż ten łuk i zawołaj ojca!

– Posłaniec! – wykrzyknął Nik, odłożył łuk i pomachał. – Mamo! Tato! To Posłaniec! I przywiódł Tancerza!

Chłopiec ześlizgnął się na daszek nad werandą, a potem z łatwością zeskoczył na ziemię. Popędził do ogrodu, złapał garść marchewek i podbiegł do przybyłych, wpatrując się z podziwem w Nocnego Tancerza.

– Wyrósł wielki jak stodoła!

Ostrożnie podszedł do ogiera, wyciągając marchew.

– Spokojnie, malutki, spokojnie. To tylko ja, Nik. Pamiętasz mnie przecież, no nie?

Nocny Tancerz zarżał i pochwycił zębami marchew, ale chłopiec nadal był spięty i gotów rzucić się do ucieczki.

Renna nie rozumiała jego obaw. Skoro znał Tancerza, to powinien wiedzieć, że koń jest łagodny jak baranek.

– Przecież cię nie ugryzie ani nie kopnie, mały!

Nik odwrócił się, chcąc coś powiedzieć, ale zamarł, gdy ujrzał Rennę po raz pierwszy. Przyglądał jej się z fascynacją, a dziewczyna nie wiedziała, czy zaintrygowało go jej ciało, czy też wymalowane runy. Nie sprawiało jej to większej różnicy, ale uznała, że chłopak zachowuje się niegrzecznie. Dlatego wzięła się pod boki i zmierzyła natręta ostrym spojrzeniem, aby przypomnieć mu o dobrych manierach. Nik aż podskoczył i odwrócił wzrok tak szybko, że z trudem stłumiła wesołość.

Chłopak zarumienił się i odwrócił do Arlena.

– Udało ci się go okiełznać?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Nie było to łatwe. To nadal najbardziej wredny koń pod słońcem, ale teraz gryzie i kopie tylko otchłańce.

Gdzieś za nimi rozległ się cichy gwizd i Renna odwróciła się błyskawicznie. Jej dłoń znów opadła na rękojęść noża. Cofnęła ją szybko, mając nadzieję, że nikt nie zauważył.

I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą chciała uczyć kogoś dobrych manier.

Jeśli idący w ich kierunku mężczyzna zauważył cokolwiek, nie dał tego po sobie poznać. Podobnie jak chłopiec w pierwszej chwili popatrzył tylko na konia. Podchodził ostrożnie i powoli, dając Tancerzowi czas, by przyzwyczaił się do obecności obcego. Ogier parsknął i stłukł ziemię kopytami, ale zniósł cierpliwie pieszczoty nieznajomego.

– Ależ on urósł. – Obcy przesunął dłonią po masywnym boku Tancerza. Mężczyzna był wysoki, szczupły, miał gęstą, krótko przyciętą brodę. Długie brązowe włosy splatał w warkocz. – Jest pewnie ze dwie dłonie wyższy od swego ojca, a stary Lawina był przecież największym koniem, jakiego w życiu widziałem.

Uniósł jedną z końskich nóg.

– Nie zawadzi go podkuć.

W końcu dostrzegł również przybyszów. Podobnie jak Nik najpierw przyjrzał się badawczo Rennie. Otaksował ją wzrokiem od góry do dołu, jakby i ona była koniem. Dziewczyna już chciała na niego warknąć, ale wtedy nieznajomy spojrzał jej w oczy, ujrzał w nich wrogość i spuścił wzrok.

Arlen stanął między nimi.

– Nie przesadzaj, Ren – mruknął. – To dobrzy ludzie.

Renna zacisnęła zęby. Z ogromną niechęcią musiała przyznać, że opowieści Arlena o wpływie magii na osobowość okazały się prawdą. Choć świeciło słońce, dziewczyna błyskawicznie uległa emocjom. Nabrała głęboko tchu, aby stłumić gniew.

Arlen kiwnął głową i wskazał na gospodarza.

– Renno Tanner, oto Jon od Ogierów i jego syn Nik. Jon hoduje i układa dzikie mustangi angieriańskie.

– Łapie i hoduje – poprawił go Jon. Wyciągnął rękę i uśmiechnął się przepaszająco do Renny. – Niełatwo jest ułożyć zwierzę, które potrafi stratować polnego demona na śmierć i prześcignąć każde stworzenie na ziemi.

Renna uściśnęła jego dłoń, ale puściła szybko, gdy uświadomiła sobie, że włożyła w to za dużo siły i Jon aż się skrzywił.

– Czasami wiem, co czują – mruknęła.

Jon ruchem głowy wskazał Tancerza.

– Na przykład ten tutaj. Pochwyciłem go jako ledwie sześciomiesięcznego źrebaka. Byłem przekonany, że uda mi się złamać jego dziki charakter, ale ledwie udawało mi się założyć mu postronek. Parokrotnie rozwaliał kopytami drzwi do stodoły i wyrwał się na wolność.

– Noc jest bezlitosna – wtrącił Arlen. – Sześć miesięcy wśród demonów to wieczność.

– Wydawało mi się, że nawet tobie nie uda się go ułożyć – rzekł Jon.

– I nie udało się – przyznał Arlen. – Po prostu zabrałem go tam, skąd przybył.

– To prawda, ale wprzód przyzwyczaiłeś go do siodła i uprzęży – zauważył Jon. – Choć w sumie nie powinien się chyba dziwić. Poznałem cię przecież jako szalonego, wytatuowanego Posłańca, który uratował mojego chłopaka. Teraz doszły mnie słuchy, że stałeś się pieprzonym Wybawicielem!

– Nie jestem żadnym Wybawicielem – oburzył się Arlen. – Nazywam się Arlen Bales, pochodzę z Potoku Tibbeta i czasem miewam więcej szczęścia niż rozumu. To wszystko.

– A więc jednak masz jakieś imię – odezwała się kobieta, która właśnie wyszła z domu. Nie wyróżniała się urodą, ale emanowała energią typową dla ludzi nawykłych do ciężkiej pracy. Ubrana była po męsku – miała na sobie wysokie skórzane buty, spodnie oraz zwykłą białą bluzkę, na którą założyła kamizelkę. Brązowe włosy, jak Jon, zaplotła w warkocz.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała do Renny. – Kiedy znajdą się wśród koni, nie będą gadać o niczym innym. Mam na imię Glyn.

– A ja Renna. – Wymieniły uścisk dłoni. Zaraz jednak Renna aż zacisnęła pięści, gdy Glyn objęła Arlena. Czy to magia sprawiła, że z miejsca nienawidziła kobiet, które go dotykały?

– Miło cię znów tu widzieć, Posłańcze. Zostaniesz na kolację?

Arlen obdarzył ją ciepłym uśmiechem. Renna nigdy wcześniej nie widziała, by zachował się w ten sposób wobec innej osoby.

– Byłoby wspaniale.

– Co cię tu sprowadza? – spytał Jon. – Nie sądzę, żebyś przebył taki szmat drogi tylko i wyłącznie po to, by podkuć Tancerza?

Arlen pokiwał głową.

– Potrzebuję drugiego konia. Klaczy, która mogłaby się parzyć z Tancerzem.

Spojrzał na Rennę i uśmiechnął się lekko.

– Czas założyć rodzinę.



Mack z Pastwisk, który mieszkał przy trakcie wiodącym do gospodarstwa Harla Tannera, również zajmował się hodowlą koni. Za życia matki Renna często tam bywała. Hodowla Macka była o wiele mniejsza od tej Jona od Ogierów, ale działała na podobnych zasadach. Tancerz został u kowala, a Jon ruszył wraz z resztą wzdłuż wielkich, ogrodzonych pól, gdzie pod czujnym okiem konnych parobków i szczekających psów pasły się stada mustangów. Po drodze mijali zagrody otoczone mocnymi płotami, tak wysokimi, że nawet Nocny Tancerz nie zdołałby nad takim przeskoczyć za dnia. Ćwiczone w nich konie bądź separowano je na czas choroby.

W jednym Renna dostrzegła ogromnego czarnego ogiera galopującego dookoła zagrody. Przyglądało mu się dwóch zdenerwowanych parobków z biczami. Zatrzymała się jak wryta.

– A, to staruszek Lawina – rzekł Jon. – Ojciec Tancerza. Pochwyciłem go na równinach wraz z sześcioma klaczami i młodym Tancerzem. Nazywam go Lawiną, ponieważ gdy wreszcie udało się nam zapędzić go do zagrody, wszyscy czuliśmy się, jakby się na nas lawina zsunęła. Cholerne drania za nic w świecie nie da się zmusić do roboty, a jeśli mu się pozwoli, będzie przez całą noc wybijał dziury w ścianach. Jest złośliwy jak demon i przerażająco sprytny. Hodowcy z miast twierdzą, że dzikie konie są głupie, ponieważ nie słuchają poleceń, ale nie wierz w ani jedno słowo. Mustangi mają swój rozum. Są na tyle mądre, aby dotrzeć do świtu, a nie znam wielu ludzi, którzy byliby w stanie dokonać tej sztuki. Lawina odtrącał każdego, kto próbował go dosiąść, a potem wbijał go kopytami w ziemię. W końcu mieliśmy już dosyć nastawiania kości i przenieśliśmy go do zagrody rozplodowej.

Renna spojrzała na niezwykle zwierzę. Ogarnął ją wielki smutek.

Byłeś królem równin, a teraz biegasz w kółko po padoku i całymi dniami pokrywasz klacze, pomyślała. Musiała stłumić pragnienie, by otworzyć bramę na oścież i pozwolić ogierowi wybiec na wolność.

– Tego lata przyszło na świat wiele źrebaków – rzekł Jon, gdy szli ku polom. – Będziesz miał w czym wybierać.

– Decyzja należy do ciebie, Ren – uśmiechnął się Arlen. – Wybierz wierzchowca, który ci się podoba.

Renna przyjrzała się stadu. Na pierwszy rzut oka konie Jona nie różniły się od tych Macka, ale gdy podeszła bliżej, wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Towarzyszące klaczom źrebaki były młodziutkie, ale mimo to już przewyższały wiele z dorosłych ogierów Macka. Nawet roczniaki mogły już unieść dorosłego mężczyznę. Zasługiwały na podziw. W trakcie niekończącej się wojny z bezlitosnymi demonami słabość oznaczała wyrok śmierci – dlatego na świecie pozostały jedynie gigantyczne smukłe rumaki o czarnej sierści.

Renna ujrzała wiele silnych, szybkich źrebaków, ale jej uwagę przyciągnęła dorosła, srokata klacz, stojąca nieco dalej od stada. Na jej ciemnej sierści widniały brązowe plamy. Dziewczyna miała wrażenie, że klacz jest wyższa od reszty o przynajmniej dłoń, a pozostałe konie wolały omijać ją z daleka.

– Może być ta? – Renna wskazała zauważone zwierzę.

– Masz bystre oczy, dziewczyno – burknął Jon. – Większość ludzi widzi tylko to paskudne umaszczenie. To Wichura. Złapałem ją latem rok temu, tuż przed najgorszą wichurą, jaką

w życiu widziałem. Ta klacz ma ledwie pięć lat i jest silniejsza od większości ogierów. Doprawdy nie zliczę, ile razy próbowała uciec. Wystarczy, że podejdziesz do niej z uzdą, ba, wystarczy, że w ogóle do niej podejdziesz, a momentalnie zamienia się w paskudnego potwora. Raz umieściłem ją w jednej zagrodzie z Lawiną, ale źle się to dla niego skończyło. Pogryzła go do krwi.

– Nie potrzebuję postronka. – Renna przesadziła płot.

– Powtarzam, ten koń jest niebezpieczny! – zawołał Jon. – Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

Dziewczyna zbyła go machnięciem dłoni, nawet na niego nie spojrzawszy.

Wichura nie cofnęła się na jej widok, co było dobrym znakiem. Renna odniosła wrażenie, że klacz ją ignoruje, ale uszy miała postawione. Oznaczało to, że koń jest skupiony i świadom obcej obecności.

Renna pokazała puste dłonie.

– Zobacz, nie mam uprzęży. Nawet nie przyszło mi do głowy, by ją zabrać. Nie będę wymagać, abyś ją nosiła.

Wichura pozwoliła jej podejść bliżej, ale gdy Renna wyciągnęła rękę, by poklepać ją po karku, zaatakowała. Kłapnęła zębami, chcąc odgryźć dłoń. Dziewczyna cofnęła się w ostatniej chwili.

– A to co znowu! – warknęła i z całej siły uderzyła klacz w nozdrza. Wichura wpadła w szal, stanęła dęba i zamachnęła się przednimi nogami, ale Renna była gotowa. Miesiące polowania na demony i wchłaniania magii sprawiły, że była teraz silniejsza i szybsza, niż można sobie wyobrazić. Ledwie krew zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach, w nogach i rękach Renny obudziło się mrowienie, zwiastun mocy, która pojawiała się z zapadnięciem zmroku.

Renna wiła się niczym łodyga pszenicy pod naporem wiatru, unikając ciosów tak mocnych i celnych, że czuła smaganie powietrza na twarzy. Ogarnięta furią klacz nie ustawała w atakach. Uderzała szybko i z niewyobrażalną siłą, a każde kopnięcie mogłoby złamać kark polnego demona.

Dziewczyna jednakże poruszała się płynnie niczym tancerka i kopyta Wichury nawet jej nie drasnęły. Ich zmagania trwały dość długo i Renna zaczynała się zastanawiać, która ustąpi jako pierwsza. Moc wyczuwana w rękach i nogach stanowiła zaledwie cząstkę tej, którą dziewczyna miała do dyspozycji po zachodzie słońca. Zdawało się, że koń również wcale się nie zmęczył.

W końcu kopnięcia Wichury zrobiły się wolniejsze. Znieruchomiła i napięła mięśnie, gotowa do ucieczki. Renna przypadła do klaczy, złapała za grzywę i wskoczyła jej na grzbiet.

Wichura zerwała się z po trzykroć potężniejszą furią, czym udowodniła, że zasługuje na swe miano. Skakała, szalała, miotła się i pędziła w kółko, usiłując strącić jeźdźca. Renna jednakże trzymała się mocno i nie ustępowała. Otoczyła ramionami koński kark, który okazał się tak gruby i masywny, że ledwie mogła złapać własny nadgarstek, ale gdy się udało, ta muskularna szyja stała się jej całym światem i jedynym przeciwnikiem. Nie liczyło się nic innego.

Dziewczyna zebrała wszystkie siły i zaczęła zacieśniać uchwyt.

Wydawało się, że będzie walczyć z koniem przez wieczność, ale klacz w końcu zaczęła się uspokajać. Przestała wierzcąc i teraz galopowała wokół zagrody. Inne konie uskakiwały jej z drogi, co doprowadzało do szaleństwa pilnujące stada psy.

Renna nie poluźniała chwytu i wkrótce koń przeszedł z galopu w dziki, kapryśny cwał. Uśmiechnęła się. Nie miała nic przeciwko kaprysom.

Rozplotła palce, złapała oburącz za grzywę i szarpnęła ostro w lewo. Wichura posłusznie skręciła i dziewczyna zaśmiała się głośno. Ścisnęła końskie boki kolanami i nie puszczając grzywy, wyciągnęła nóż z pochwy i chlasnęła płazem przez zad.

– Naprzód!

Wichura od razu popędziła galopem. Renna wsunęła nóż do pochwy i znowu złapała za grzywę. Wiedziała, że szarpiąc to w jedną, to w drugą stronę, może kierować klaczą, ale wolą pozostawić jej inicjatywę. Trzymała się grzbietu, odurzona wiatrem unoszącym długi warkocz. Susy konia budziły zachwyty.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

W końcu Renna pochyliła się i szepnęła Wichurze do ucha:

– Jesteś stworzeniem nocy, dziewczyno. Nie skończysz tak jak Lawina. Obiecuję.

Renna podjechała do płotu, przy którym czekali Arlen i pozostali, i ostro zatrzymała wierzchowca.

– A więc dokonałaś wyboru? – spytał Arlen. – Wichura?

Renna pokiwała głową.

– Ale Wichura to kiepskie imię. Nazwę ją Obietnica.



Obiad u Jona był wydarzeniem rodzinnym, a do rodziny należeli wszyscy mieszkańcy gospodarstwa, wliczając każdego parobka i służącą, razem ponad trzydzieści osób. Nawet psy ułożyły się na kocach w izbie jadalnej, gotowe skakać po smaczne kęski. Renna i Arlen zasiedli przy Jonie, Glyn i Niku u szczytu długiego stołu na kozłach, uginającego się pod ciężarem jedzenia i dzbanów z wodą oraz piwem.

Jon rozpoczął obiad modlitwą do Stwórcy. Słuchając jego słów, Renna zauważyła, że kilku parobków wpatruje się w wytatuowaną twarz Arlena. Dziewczyna miała wyczulony słuch i choć Jon mówił donośnym głosem, udało jej się dosłyszeć słowo „Wybawiciel”, wyszeptane tu i ówdzie. Znowu mimowolnie zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

Jon wyprostował się, zakończywszy modlitwę.

– Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu! Smacznego!

Wokół stołu zapanował harmider, gdy ponad trzydziestu biesiadników zaczęło sobie z wprawą podawać tace z mięsem, miski z warzywami, kawałki chleba i garnczki z sosem. Wśród śmiechów i rozmów ludzie napełniali talerze, a potem jedli i pili, nie pamiętając, że na dworze zachodzi słońce. Wielu z obecnych nadal wpatrywało się w Arlena, choć ten udawał, że niczego nie dostrzega. Dwukrotnie nałożył sobie nową porcję, a wstał, dopiero gdy uprzątnięto naczynia, a mężczyźni zapalili fajki.

– Obiad był jak zwykle znakomity, Glyn, ale pora, byśmy wyruszyli w drogę – powiedział.

– Nonsens – odparła Glyn. – Robi się ciemno, a miejsca u nas nie zabraknie.

– Doceniam waszą gościnność – rzekł Arlen – ale mamy jeszcze wiele mil do pokonania dziś w nocy.

Glyn zmarszczyła brwi, ale pokiwała głową.

– Każę dziewczynom spakować wam coś do jedzenia. Stwórca jeden wie co tam macie w swoich jukach.

Wstała i skierowała się do kuchni.

Arlen sięgnął pod szatę i wyciągnął sakiewkę pełną monet.

– To za Obietnicę. – Wręczył mieszek Jonowi.

Ten pokręcił głową.

– Daj sobie spokój z zapłatą, Posłańcze. Po tym, co zrobiłeś dla mnie i mojej rodziny, nie ma o czym mówić. Nie wspomnę o moim synu. Te strzały z runami, które nam podarowałeś, sprawiły, że wszystkim nam śpi się teraz lepiej.

Arlen jednakże pokręcił głową.

– Nadchodzą ciężkie czasy, Jon. Fale uchodźców z Rizon kierują się na północ, a działania wojenne też prędzej czy później tu dotrą. Krasjanie mają apetyt na Miln i tereny położone dalej, a gdy ludzie walczą między sobą, demony również stają się aktywniejsze. W nocy wyroją się całe hordy, zwłaszcza tuż przy Nowiu.

Wcisnął sakiewkę do ręki Jona.

– Mam mnóstwo złota i nie widzę powodu, dla którego nie powinienem płacić za to, co biorę. Zostawię wam też trochę runicznych włócznie. Mądry z ciebie człowiek i na pewno przyuczysz kowali i Patronów Runów, aby wykonali kopie.

Renna położyła mu dłoń na ramieniu. Arlen wyczytał prośbę w jej oczach.

– Weź też Lawinę – poprosiła. – To nie w porządku, żeby tak wspaniałe zwierzę tkwiło w więzieniu. Jego miejsce jest na równinach pod gwiazdami.

– Nie mogę zaprzeczyć – zgodził się Arlen. – Ale mamy do przebycia długą drogę i nie wiem, jak mielibyśmy wlec za sobą dzikiego mustanga aż do Zakątka.

Odliczył jeszcze kilka monet i spojrzał na Jona:

– Możesz go posłać w ślad za nami?

– Jestem twoim dłużnikiem – odparł Jon. – Ale taka podróż to dla moich ludzi wielkie ryzyko. Lawina ucieknie z kręgu runicznego podczas pierwszego noclegu!

– Rozumiem. – Arlen kiwnął głową. – Po dotarciu do Zakątka wyślę po niego Rębaczy. Jeśli ktoś na tym świecie potrafi zająć się gigantycznym koniem, to właśnie oni.



Pędzili traktem. Nocny Tancerz musiał nieco zwolnić, aby Obietnica mogła nadążyć, ale Renną wiedziała, że to się wkrótce zmieni.

– Gdy już wymaluję wszystkie runy – szepnęła klaczy do ucha – to on będzie musiał cię gonić, nie ty jego.

Nocnego Tancerza podkuto runicznymi podkawkami wykonanymi osobiście przez Arlena. Obietnicy założono identyczne i gdy drogę zastąpił im drzewny demon, Renną bez wahania skierowała rumaka prosto na niego i rozjechała z hukiem. Wstrzymała klacz i ze śmiechem przyglądała się, jak ta tratuje potwora i poznaje smak demoniej magii. Gdy otchłaniec nie wykazywał już oznak życia, popędziła Obietnicę, a klacz z nowymi siłami szybko nadrobiła dystans dzielący ją od ogiera.

Rozłożyli obóz tuż przed świtem.

– Zostań z końmi. Muszę zaczerpnąć nieco mocy.

Z tymi słowy Arlen zniknął w mroku.

Renną zaczekała, po czym wybrała się na poszukiwanie własnej ofiary. Zauważyła polnego demona czającego się nieopodal obozu i natychmiast wcieliła się w rolę dawnej Renny. Szła przed siebie oszołomiona, potykając się i szlochając ze strachu.

Demon warknął i skoczył, ale dziewczyna była gotowa. Wykorzystując chwyt *sharusahk*, złapała stwora i przygniotła do ziemi. Na pięściach wymalowała sobie wcześniej potężne runy, więc teraz bez wahania wymierzyła mu kilka ciosów w głowę, aż znieruchomiał.

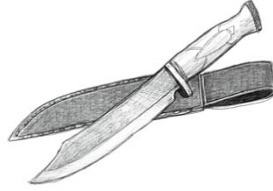
Wyciągnęła nóż. Tym razem nawet nie przyszło jej do głowy, żeby ugotować demonie mięso. Chciwie spijała posokę, jakby był to sos Glyn. Krew smakowała ohydnie, ale wystarczyło wspomnienie mocy odczuwanej mimo blasku słońca, aby pokonać obrzydzenie.

Renną umyła się i wróciła do obozu. Zajęła się ryciem runów na kopytach Obietnicy, gdy kątem oka dostrzegła wracającego Arlena.

– On nie ma pojęcia, co zrobiłam – powiedziała do klaczy. – Skąd by wiedział? A zresztą nawet jeśli się dowie, to co z tego? Arlen Bales nie będzie mi mówił, co mam robić, nawet jeśli się zaręczyliśmy.

Była to prawda, ale brzmiała jak kłamstwo.

Uniosła głowę, gdy Arlen wszedł do obozu. Lśnił tak intensywnie, że Renną musiała zmrużyć oczy. Zrozumiała wówczas, dlaczego uważano go za Wybawiciela. Były bowiem chwile, kiedy nawet Stwórca nie jaśniał tak mocno jak Arlen Bales.



III

Owies

333 ROK PLAGI, LATO
27 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Następnego dnia zamienili niewiele słów. W milczeniu pędzili zapuszczonym traktem Posłańców. Arlen założył kaptur dla ochrony przed słońcem, ale Renna wiedziała, że chce ukryć frustrację.

Cóż to za niecierpiący zwłoki interes Arlen ma w Zakątku Wybawiciela?

Wiedziała, że chodzi o tę dziewczynę. O Leeszę. Imię to nie dawało Rennie spokoju i spędzało sen z powiek. Spytała kiedyś Arlena, kim jest dla niego Leesha, ale wykręcił się od odpowiedzi. Nie byli wówczas zaręczeni, więc nie naciskała.

Wygląda na to, że trzeba będzie wrócić do tematu, pomyślała.

– Uważaj! – wykrzyknął Arlen, gdy weszli w ciasny zakręt. Tuż przed nimi niespodziewanie wyrósł wóz ustawiony w poprzek traktu. Po obu stronach drogi pleniły się gęste krzaki, przez co nie dawało się ominąć przeszkody. Renna wbiła kolana w boki Obietnicy i szarpnęła ją za grzywę. Ogromna klacz stanęła dęba, rżąc i kopiąc. Dziewczyna ze wszystkich sił próbowała uniknąć upadku. Arlen, który sprawnie zatrzymał Tancerza, obserwował jej zmagania z rozbawieniem.

– Obiecałam, że nie założę ci uprzęży – powiedziała Renna do klaczy, gdy ta się wreszcie uspokoiła. – Nie powiedziałam jednak ani słowa o siodle. Lepiej się zastanów.

Obietnica parsknęła.

– Hej, Opiekunie! Przyda nam się pomoc! – zawołał siwobrody mężczyzna, machając do nich podniszczonym kapeluszem. Wraz z innym człowiekiem pchali wóz i popędzali ciągnącą go wychudzoną szkapę.

– Ja to załatwię, Ren – mruknął Arlen i ponaglił Nocnego Tancerza, który wyminął Obietnicę. – Co się stało? – zawołał.

Mężczyzna podszedł do nich i raz jeszcze ściągnął kapelusz, aby brudną ręką obetrzeć spocone czoło. Jego włosy również były siwe jak broda, a w głębokie bruzdy na twarzy wżarł się brud.

– Utknęliśmy w tym cholernym błocie. Czy moglibyście użyczyć nam jednego z tych waszych wielkich koni, żeby wyciągnąć wóz?

– Przykro mi, to niemożliwe – odparł Arlen i rozejrzał się uważnie po okolicy.

Mężczyzna wybałuszył oczy.

– Co takiego? Jak to niemożliwe? Co z ciebie za Opiekun?

Renna spojrzała na towarzysza, zaskoczona tym, że tak nieuprzejmie odmówił siwobrodemu pomocy.

– Przecież Tancerz by ich wyciągnął w mig!

Arlen pokręcił głową.

– Ten wóz wcale nie utknął, Ren. Masz przed sobą najstarszą sztuczkę z podręcznika dla początkujących bandytów! – parsknął. – Nie sądziłem, że ktokolwiek jeszcze z niej korzysta.

– To bandyci? Serio? – Renna aktywowała runy wokół oczu i rozejrzała się raz jeszcze. Nie dość, że znajdowali się w samym środku dziczy, to jeszcze blask słońca odbierał symbolom moc. Tymczasem błoto nie sięgało mężczyznom nawet do kostek, a w krzakach po obu stronach traktu mogło się ukryć wielu innych. Bezwiednie sięgnęła po nóż, ale Arlen powstrzymał ją uniesieniem dłoni.

– Jakbyśmy nie mieli dosyć demonów w nocy – rzekł. – Teraz ludzie zwracają się przeciwko sobie za dnia.

– To chyba jakieś kpiny! – zawołał siwobrody, ale zaczął się cofać. Renna nie miała już wątpliwości, że tylko udaje oburzenie. Fałsz w jego zachowaniu był tak oczywisty, jak mogła od razu nie rozgryźć jego intencji? To, że zwykli ludzie, nawet starcy, potrafią być równie bezwzględni jak demony, nie było dla niej nowością. Harl również miał siwe włosy, podobnie jak Raddock Lawry.

Człowiek za wozem schylił się i zaraz poderwał z wycelowaną kuszą. Zza krzaków wyszło dwóch innych napastników z napiętymi łukami myśliwskimi, a zza zakrętu z tyłu wybiegło trzech uzbrojonych we włócznie, odcinając Arlenowi i Rennie odwrót. Bandyci byli co do jednego wychudzeni i mieli ciemne kręgi pod oczami, a ubrania w strzępach.

Jedynie siwobrody nie nosił żadnej broni.

– Nie chcemy nikogo skrzywdzić, Opiekunie – rzekł, nałożywszy kapelusz. – Ale to ciężkie czasy, a wy wieziecie spory bagaż, jak na Opiekuna i jego...

Zerknął przy tych słowach na Rennę. Skrywały ją cienie, przez co runy na skórze były niewidoczne, ale nie można było nie zauważyć, że dziewczyna ma na sobie nader skąpą odzież. Człowiek z kuszą gwizdnął cicho i podszedł bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Ani kroku dalej, Donn – ostrzegł go siwobrody i kusznik się zatrzymał. Starszy znów przeniósł uwagę na Arlena. – Oddajcie nam jedzenie, lekarstwa i koce. Weźmiemy również te wasze wielkie konie.

Renna zacisnęła dłoń na rękojeści noża, ale Arlen jedynie zachichotał:

– Uwierz mi, nie chcecie tych koni.

– Nie ty będziesz decydował, czego chcę, Opiekunie – warknął siwobrody. – Stwórca opuścił nas już dawno temu. Zsiadajcie albo moi ludzie przedziurawią was jak rzeszota.

Narzeczony bez wahania zsunął się z grzbietu Nocnego Tancerza. Poruszał się tak szybko, że Renna ledwie zauważyła, jak podbiegł do siwobrodego, założył mu duszący chwyt *sharusahk* i obrócił tak, aby mężczyzna znalazł się między Arlenem a łucznikami.

– Ja również nie chcę nikogo skrzywdzić – zapewnił towarzysz Renny. – Pragnę tylko ruszyć w dalszą drogę. Powiedz więc swoim ludziom...

Niespodziewanie jeden z łuczników zwolnił cięciwę. Renna krzyknęła, ale Arlen złapał strzałę w locie równie łatwo, jak człowiek chwyta gza.

– Prędzej trafiłby ciebie niż mnie – zauważył Arlen i pokazał pocisk siwobrodemu, a potem go wyrzucił.

– Niech cię Otchłań pochłonie, Brice! – wrzasnął stary. – Chcesz mnie zabić?

– Przepraszam! – zawołał Brice. – Strzała mi się ześlizgnęła!

– Ześlizgnęła mu się – mruknął siwobrody. – Stwórco, miej nas w swojej opiece.

Wtedy właśnie jeden z bandytów uzbrojonych we włócznie postanowił wykorzystać to, że uwaga wszystkich skupiła się na łuczniku, i najciszej jak mógł zaszedł Arlena od tyłu. Jak na

ludzi, którzy nigdy nie walczyli z demonami, przemieszczał się dość sprawnie, ale Renna wiedziała, że nie musi ostrzegać Arlena. Jego postawa zdradzała, że zdaje sobie sprawę z zamiarów bandyty, a nawet sam go prowokuje.

Napastnik rzucił się do ataku, trzymając broń oburącz. Chciał przełożyć drzewce nad głowę Arlena i zacisnąć mu je na szyi, ale napadnięty w porę odepchnął starca, złapał włócznię i wychylił się umiejętnie, wykorzystując pęd bandyty przeciwko niemu. Rozbójnik zatoczył się i padł ciężko na plecy. Arlen, uzbrojony w zdobyczną włócznię, postawił stopę na jego piersi i spojrzał na pozostałych.

Podczas starcia zsunął mu się kaptur. Bandyci rozdziawili usta.

– Naznaczony – rzekł Brice, a pozostali zaczęli szeptać między sobą. – Malowany Człowiek...

Minęła chwila, nim siwobrody odzyskał panowanie nad sobą.

– A więc to ty jesteś tym, którego wszyscy nazywają Wybawicielem – stwierdził. – Nie przypominasz mi Wybawiciela.

– Nigdy nie twierdziłem, że nim jestem – odparł Arlen. – Nazywam się Arlen Bales, pochodzę z Potoku Tibbeta i nie przynoszę wybawienia. Mogę natomiast sprawić tęgi łomot każdemu, kto natychmiast nie zacznie zachowywać się po ludzku.

Siwobrody zerknął na niego, a potem na podwładnych. Machnął ręką, a ci odłożyli broń, nie spuszczać oczu z Arlena. Ten zaś zmarszczył gniewnie brwi, zupełnie jak mama Renny, gdy przyłapała dziewczynki na psocie i chciała je ofuknąć.

Nawet siwobrody nie był w stanie długo wytrzymać takiego spojrzenia. Otarł pot z ogorzalej twarzy i zmiął kapelusz w dłoniach.

– Przepraszać cię nie zamierzam – oznajmił. – Mamy wiele gąb do wyżywienia. Robiłem w życiu rzeczy, z których nie jestem dumny, ale nie powodowała mną ani chciwość, ani złośliwość. Bywa, że człowiek zapomina o wartościach, po tym jak spędzi tyle czasu na trakcie, z dala od domu.

– Znam to uczucie. – Arlen pokiwał głową. – Jak cię zwą?

– Varley z Owsa – odparł stary.

– Z Owsa? Tej wioski o trzy dni drogi na północ od Fortu Rizon, za Żółtymi Sadami?

Varley wytrzeszczył oczy, ale pokiwał głową.

– Przebyłeś daleką drogę – stwierdził Arlen. – Długo już jesteś na trakcie?

– Prawie dziewięć miesięcy. Wyruszyłem w drogę, po tym jak Krasjanie zajęli Fort Rizon. Wiedziałem, że pustynne szczury wkrótce dopadną i nas, więc kazałem ludziom spakować wszystko, co mogli unieść, i opuściliśmy wieś.

– Jesteś Mówcą?

– Byłem Opiekunem! – zaśmiał się Varley, a potem wzruszył ramionami. – I chyba nadal nim jestem, wedle zwyczaju, choć od dawna wątpię, czy rzeczywiście ktoś przygląda nam się z góry.

– To uczucie też znam – stwierdził Arlen.

– Opuściliśmy Owies wszyscy co do jednego – ciągnął Varley. – Sześćset osób. Były wśród nas Zielarki i Patroni Runów, a nawet jeden emerytowany Posłaniec, który wskazywał nam drogę. Mieliśmy mnóstwo zapasów. Wierz mi, na początku ledwie mogliśmy wszystko udźwignąć, ale sytuacja wkrótce zaczęła się zmieniać.

– Jak zwykle.

– Pustynne szczury pojawiły się szybko, a ich zwiadowcy docierali wszędzie. Wielu z nas zginęło podczas ucieczki, innych zabrała ostra zima. W końcu Krasjanie przestali nas ścigać, ale nikt nie poczuł się bezpiecznie, dopóki nie dotarliśmy do Lakton.

– Z tym że do Lakton was nie wpuszczono.

Varley pokręcił głową.

– Nie robiliśmy już dobrego wrażenia. Mieszkańcy Lakton zapewne nie mieliby nic przeciwko, gdybyśmy przez tydzień obozowali na jakimś ugorze lub złowili trochę ryb w ich jeziorze, ale nie mieli najmniejszego zamiaru przyjąć pięciu setek uchodźców. Wiesz, wkrótce ktoś by nas oskarżył o kradzież i zanimbyśmy się zorientowali, ludność całego miasta ruszyłaby na nas z grabiami i motykami. Udaliśmy się więc do Zakątka, gdzie mieszkało już tysiące Rizończyków, ale tam panował taki głód, że ludzie jedli korę i wydłubywali robaki z ziemi. Co gorsza, Rębacze chodzili wśród uchodźców i poszukiwali ochotników gotowych dać się zabić w walce z demonami. Wielu z nas utraciło już wszystko przez Krasjan, a teraz mielibyśmy jeszcze zacząć walczyć z otchłāncami? Wybiłyby nas do nogi.

– Więc wyruszyliście na północ?

– Sądziliśmy, że to najsensowniejszy wybór. – Varley wzruszył ramionami. – Nadal miałem prawie trzystu ludzi pod swoją opieką. Mieszkańcy Zakątka podarowali nami kilka runicznych włócznie i udzielili wszelkiej pomocy. Ci z Pniaka nie byli nawet w połowie tak życzliwi, a te

łotry z Fortu Angiers groziły nam bronią. Usłyszeliśmy, że w Rzeczułce może znajdziemy pracę, ale i tam czekało nas rozczarowanie. Robotnicy nie byli potrzebni. I tak oto trafiliśmy tutaj.

– Pokażcie mi swoje obozowisko – nakazał Arlen.

Bandyta przyjrzał mu się bacznie, a potem skinął głową i odwrócił się do swoich ludzi. W okamgnieniu wyciągnięto wóz z błota i niebawem wszyscy ruszyli ścieżką wśród drzew. Arlen zeskoczył z siodła i prowadził Nocnego Tancerza za wodze, a Renna szła za nim, trzymając dłoń na mocnym karku Obietnicy. Klacz biła kopytami w ziemię i parskiała, gdy tylko któryś z mężczyzn podszedł bliżej, ale powoli przyzwyczajała się do dotyku dziewczyny.

Minęła dobra godzina, nim wreszcie ujrzeli obozowisko uciekinierów z Owsa, niewidoczne z głównego traktu. Renna wzdrygnęła się na widok zbieraniny połatanych byle jak namiotów i plandek. W powietrzu unosił się smród potu i nieczystości. Obozowało tu około dwustu ludzi. Ci, którzy towarzyszyli Varleyowi, choć sami wynędzniali, wydawali się najzdrowsi i najsilniejsi z całej zgrai. Kobiety, dzieci i starsi uwijający się po obozie wyglądali bowiem na wymęczonych – brudni i na wpół zagłodzeni. Wielu nosiło bandaże, a większość owijała stopy szmatami. Wszyscy jednakże byli czymś zajęci – naprawiali lub wzmacniali runami liche namioty, gotowali owsiankę, rozwieszali pranie, szorowali garnki, zbierali chrust, szykowali słupy runiczne i zajmowali się resztkami bydła. Bezczynni pozostawali jedynie chorzy i ranni, których ułożono pod skonstruowanym niedbale baldachimem. Ich jęki niosły się po całym obozie.

Arlen prowadził Tancerza wśród namiotów i wyprostowany spoglądał w oczy zagubionych, zmęczonych ludzi. Nieruchomieli na widok jego wytatuowanej twarzy i szeptali we własnym gronie, ale nikt nie zdobył się na odwagę, by podejść i zagadnąć.

Przybyli wreszcie do zaimprovizowanego szpitala i Rennie natychmiast żołądek podszedł do gardła, jakby znów miała skosztować demoniego mięsa. Na wąskich pryczach spoczywało około dwudziestu ludzi, co do jednego opatrzonych zakrwawionymi bandażami, brudnych i cuchnących. Dwóch leżało we własnych nieczystościach, jakaś kobieta zwymiotowała na siebie. Żaden z pacjentów nie rokował nadziei na rychłe wyzdrowienie.

Przemęczona kobieta na próżno usiłowała zajmować się wszystkimi. Na jej wąskiej twarzy malowała się udręka, siwe włosy spięła w kok. Nie nosiła fartucha z kieszeniami.

– Na Stwórcę, nie mają nawet Zielarki – szepnął Arlen.

– To moja żona, Evey – mruknął Varley. – Nie jest Zielarką, ale pełni jej funkcję.

Evey uniosła głowę i otworzyła szeroko oczy na widok magicznych znaków na ciałach przybyszów. Arlen zajął do juków i wydobyl zawiniatko z ziolami.

– Mam tu kilka sekretów Zielarek, zwlaszcza tych, ktore pomagaja ranionym przez demony. Chętnie pomogę.

Evey upadła na kolana.

– Och, tak, Wybawicielu! Zrobimy wszystko, czego sobie zażyczysz!

Arlen zmarszczył brwi i spojrzal na nią gniewnie.

– Więc najpierw przestań się głupio zachowywać! – warknął. – Nie jestem żadnym Wybawicielem. Nazywam się Arlen Bales, pochodzę z Potoku Tibbeta i chcę jakoś pomóc, to wszystko.

Evey wyglądała, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Podniosła się natychmiast zarumieniona.

– Przepraszam... Nie wiem, co mnie naszło.

Arlen położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie musisz się tłumaczyć. Słyszałem historie, które Minstrele układają na mój temat, ale zapewniam, że jestem człowiekiem jak wszyscy. Jedyna różnica polega na tym, że poznałem kilka dawno zapomnianych sztuczek ze starego świata.

Evey pokiwała głową i wreszcie, rozluźniwszy się, spojrzala mu w oczy.

– Jakies sześćdziesiąt mil stąd na północ znajduje się wieś o nazwie Martwa Studnia – Arlen zwrócił się do Varleya. – Mogę wam wyrysować dobrą mapę i zaznaczyć miejsca na obozowiska.

– A dlaczego tam mieliby nas przyjąć?

– Bo nie ma tam już żywego ducha – odparł Arlen. – Otchłańce wdarły się i pozabijały wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci. Odwiedziłem to miejsce i posprzątałem. Z początku może wam być za ciasno, ale to wszystko, czego potrzebujecie, żeby rozpocząć nowe życie. Pamiętajcie tylko, żeby zasypać starą studnię i wykopać nową.

Varley wytrzeszczył oczy.

– Czy ty... czy ty właśnie ofiarowałeś nam wieś?

Arlen pokiwał głową.

– Wielokrotnie sam się tam zatrzymywałem. Było to dla mnie szczególne miejsce. Chciałbym, aby znów stało się domem dla dobrych ludzi.

Wbił w Varleya znaczące spojrzenie.

– Dla ludzi, którzy potępiają rozbój na drodze.

Varley wydawał się nieprzekonany.

– Święta księga mówi: „Nie ufaj człowiekowi, który ofiaruje ci wszystko, czego pożądasz, w chwili, gdy najbardziej tego potrzebujesz”.

– Stwórca was opuścił, ale Opiekun nadal cytuje Kanon?

– Świat jest pełen sprzeczności – zachichotał Varley.

– W Martwej Studni nie będzie wam gorzej niż dotychczas – stwierdził Arlen. – Macie słabą barierę runiczną. Widać to na pierwszy rzut oka.

Varley pokiwał głową i splunął.

– Nie mamy już Patrona z prawdziwego zdarzenia. Ludzie chronią swe namioty i wozy najlepiej jak umieją.

Arlen wskazał skinieniem głowy Rennę.

– Oto Renna Tanner, moja narzeczona. Doskonale zna się na runach. Chciałbym, żebyście ją oprowadzili po obozie. Niewykluczone, że jest w stanie poprawić wasze bezpieczeństwo. Zróbcie wszystko, o co was poprosi.

Evey ukloniła się przed Renną.

– Dziękujemy. Wasza pomoc to prawdziwe błogosławieństwo.

Dziewczyna uśmiechnęła się i złapała towarzysza za ramię.

– Wybaczcie nam. To nie potrwa długo.

Odwróciła się i wciągnęła Arlena między ich ramiona.

– W co ty pogrywasz, Arlenie Bales? – spytała ostro. – Jeszcze nie tak dawno musiałam się wyklócać o prawo otoczenia runami własnego tyłka, a teraz powierzasz mi cały obóz?

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie czujesz się na siłach? – Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. – Że nie powinienem ci zaufać?

Renna wzięła się pod boki.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– No to po co w ogóle o tym rozmawiamy? – spytał Arlen. – Czas ucieka, a ty musisz podzielić się z nimi swoją wiedzą na temat runów. Wrzeszcz na nich, wygrażaj, nie miej litości dla wszystkich, którzy będą przeszkadzać w zabezpieczeniu obozu. Postaw na swoim bez

względu na koszty. Weź też kilka włóczyń oraz parę runicznych strzał, a potem rozdaj je wśród tych, którzy umieją zrobić z nich dobry użytek.

Renna zamrugała. Nikt dotąd nie powierzył jej zadania bardziej skomplikowanego od wymalowania runów na stodole. Ba, jeszcze nigdy nie obarczono jej taką odpowiedzialnością. Najtrudniejsze, czym do tej pory się zajmowała, było dojenie krów czy szykowanie kolacji. Arlen zaś bez wahania poprosił, aby stała się dla tych ludzi Selią Wyschniętą.

Kocham cię, Arlenie Bales.



Renna szybko się przekonała, że bariera runiczna uchodźców jest w jeszcze gorszym stanie, niż się obawiała. Obóz nie został obwiedziony porządnym kręgiem. Ludzie z Owsa beztrudnie rozpełzli się po polanie i każdy z osobna zabezpieczył swój wóz czy namiot. Niektórzy opanowali tę sztukę lepiej od innych, ale nawet najstaranniej wykonane runy były co najwyżej przyzwoite.

– Ilu ludzi tracicie co noc? – zapytała.

– Zbyt wielu – splunął Varley. – I co noc ginie więcej.

– To dlatego, że pozostajecie w jednym miejscu – stwierdziła Renna. – Taki wielki obóz, który cuchnie strachem i krwią na wiele mil, przyciąga otchłanę jak ogryzek mrówki.

– Nie podoba mi się to, co mówisz. – Varley przełknął ślinę.

– Nie powinno ci się to podobać – odpowiedziała Renna. – Musisz zrobić wszystko, aby ci ludzie jutro znaleźli się w drodze do Martwej Studni.

Zatrzymała się przed wozem otoczonym przez zatknięte w ziemi słupy runiczne.

– Widziałam ich tu dość sporo – zauważyła.

Varley pokiwał głową.

– Wykonał je nasz Patron Runów, zanim go pochłonęła noc. Kiedyś było ich tyle, że otaczały cały obóz, ale straciliśmy kilka i nie udało nam się ich później odtworzyć.

– Powyciągajcie je wszystkie, jeśli łaska, i ułóżcie na skraju polany. O, tam. Ustawimy największe wozy w kręgu i powstawiamy te słupy w szczeliny między nimi. Ludzie jakoś się pomieszczą.

– Nie spodoba im się to, że zabieramy im słupy.

Renna zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

– Gdzieś mam to, czy im się spodoba, czy nie, siwobrody. Twoją opinię też mam gdzieś. Jeśli nie chcesz stracić kolejnych towarzyszy dziś w nocy, lepiej rób, co mówię.

Varley uniósł krzaczaste brwi i na powrót zmiął kapelusz w rękach.

– Dobra, w porządku.

– Potrzebuję też farby, jak najwięcej farby – ciągnęła Renna. – Obojętnie jakiej, ale im ciemniejsza, tym lepsza. I skombinujcie słupki, mniej więcej tej wysokości.

Uniosła dłoń nad ziemią.

– Ile się da. Łapcie za siekiery i zetnijcie kilka drzew, jeśli trzeba. Słupki mają wystarczyć jedynie na drogę do Martwej Studni.

– Donn – rozkazał Opiekun – zbierz słupy. Jak ktoś będzie się sprzeciwiał, odeślij go do mnie.

Donn skinął głową, zawołał paru innych i odszedł.

– Brice, ty przynieś farbę! Na jednej nodze!

Mężczyzna odbiegł, a wtedy Varley zwrócił się do pozostałych.

– Nowe słupki. Rozbierzcie na kawałki wszystko, co się da – polecił, po czym spojrzął na Rennę, oczekując kolejnych wytycznych.

– Nim rozmieszczę słupy, trzeba ustawić wozy – powiedziała dziewczyna. – I to błyskawicznie.

Varley skinął głową i odszedł, aby porozmawiać z właścicielką jednego z pojazdów. Wskazał jej nowe miejsce.

– Mam wprowadzić wóz w stos odpadków? – zaprotestowała.

– Wolisz znaleźć się w śmieciach czy w żołądku otchłāńca?



Robiło się już ciemno, gdy Renna wróciła do Arlena. Wyglądało na to, że niektórzy pacjenci w zaimprovizowanym szpitalu mają się już nieco lepiej, ale wielu nadal cierpiało katusze. Arlen klęczał przy jednej z pryczy i trzymał dłoń młodej dziewczyny. Z owiniętego bandażami kikuta jej drugiej ręki ściekała brązowożółta ropa. Połowę twarzy rannej zakrywały

strupy i czerwone, świeże poparzenia. Dziewczyna leżała z zamkniętymi oczami i oddychała z trudem.

– To gorączka demonia. – Arlen nawet nie spojrzął na Rennę. – Ognisty demon odgryzł jej ramię i pozostawił paskudną infekcję. Podałem wszystkie znane sobie leki, ale choroba jest już tak zaawansowana, że szczerze wątpię, czy uda się ją zwalczyć.

Ból w jego głosie wzruszył Rennę, ale przezwyciężyła słabość. Wciąż mieli pracę do wykonania.

Arlen tymczasem spojrzął na pozostałych rannych.

– Może ocalę kilku, ale skończyły mi się zioła. Co gorsza, wielu jest w tak ciężkim stanie, że zupełnie nie wiem, jak im pomóc – westchnął. – Może poczekajmy na zapadnięcie zmroku. W nocy jestem o wiele silniejszy.

– Nawet nie myśl o kolejnych popisach uzdrowicielskich – ostrzegła Renna. – Jeśli zaczniesz leczyć ludzi w nocy, przekonanie, że jesteś Wybawicielem, tylko się nasili.

Arlen uniósł głowę i dziewczyna ujrzała, że jego twarz jest mokra od łez.

– A więc co powinienem twoim zdaniem zrobić? Porzucić ich na pastwę losu? Pozwolić im umrzeć?

Renna poczuła, że jej pewność siebie słabnie.

– Oczywiście, że nie. Chciałam tylko powiedzieć, że to pociągnie konsekwencje.

– Za wszystko trzeba płacić, Ren. To moja wina. – Arlen zatoczył ręką, wskazując obóz. – To przeze mnie.

Renna uniosła brew.

– Co ty wygadujesz? To ty wygnałeś tych ludzi z domów?

Arlen pokręcił głową.

– Zbudziłem demona, który jest za to odpowiedzialny. Niepotrzebnie zaniósłem tę włóczęgę do Krasji. Nie powinienem był ufać Jardirowi.

– O jakiej włóczędze mówisz? Kto to jest Jardir?

– Demon umysłu był gotów zabić, aby uzyskać odpowiedzi na te pytania – rzekł Arlen. – Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Demony zainteresowane są tylko zabijaniem. – Renna pokazała mu run chroniący przed demonami umysłu, wymalowany wyciągiem z korzenia na jej czole. – A te wielkogłowe łotry nie wedrą mi się już do głowy.

Arlen skinął.

– Jardir to przywódca Krasjan. Poznałem go wiele lat temu i staliśmy się przyjaciółmi. Na noc, więcej niż przyjaciółmi. Nauczył mnie połowy tego, co wiem, i wielokrotnie uratował mi życie. Nawet gdyby był moim bratem, nie kochałbym go bardziej.

Mężczyzna zacisnął pięść.

– I na koniec wbił mi nóż w plecy!

– Co się stało?

– Kupiłem na czarnym rynku mapę zaginionego miasta na pustyni, które rzekomo było stolicą Kajiego – odparł Arlen.

– Co to jest czarny rynek? – spytała Renna. – Rynek czynny tylko w nocy?

Arlen uśmiechnął się niewesoło.

– W sumie tak to chyba można określić. To, że nabyłem mapę na czarnym rynku, oznacza, że kupiłem ją od kogoś, kto ją ukradł.

– Takiego Arlena Balesa jeszcze nie poznałam. – Renna zmarszczyła brwi.

– Dumny z tego nie jestem, ale muszę przyznać, że od wyjazdu z Potoku Tibbeta miałem układy z wieloma ciemnymi typami. Przy paru z nich Varley na trakcie wydałby ci się uczciwym jegomościem. Z dala od barier ochronnych możesz natrafić głównie na łotra.

– A więc masz mapę do tego Kajiego – burknęła Renna. – I co z tego?

– Kaji to nie miejsce – rzekł Arlen. – To człowiek. Był największym przywódcą z czasów Wojen z Demonami. Prawdziwy Wybawiciel, jeśli ktoś w to wierzy.

– Ty, Arlen Bales, szukałeś Wybawiciela? – roześmiała się Renna. – Ktoś tu chyba wciska mi bujdy.

– Nie szukałem Wybawiciela, ale jego runów! – warknął Arlen. – I znalazłem je, Ren. Nie wiem, czy ten Kaji był Wybawicielem, zresztą mało mnie to obchodzi. Odnalazłem jego grobowiec, a w nim natrafiłem na włócznię. Starożytne runy wojenne, broń do walki z otchłāncami, wreszcie ujrzały światło dzienne! Zaniósłem włócznię Jardirowi, a on miał czelność powiedzieć, że ją ukradłem! Że należy do niego! Zaproponowałem, że wykonam duplikat i wiernie skopiuję znaki, ale jemu to nie wystarczyło.

Arlen nabrał głęboko tchu i przez moment oddychał rytmicznie, aby narzucić sobie spokój. To, że krasjańska sztuka medytacji pomogła mu odzyskać panowanie nad sobą, było paradoksem, ale Renna i tak poczuła ulgę.

– I co zrobił? – spytała po chwili.

– Odebrał mi ją w środku nocy. Zastawił na mnie pułapkę i uśmiechał się, gdy jego ludzie wrzucili mnie do dołu z otchłanicem. Teraz przybył na północ, aby zniewolić wszystkich ludzi i przygotować się do nowej Wojny z Demonami.

– A więc zabij go i po krzyku – stwierdziła Renna. – Świat zdecydowanie na tym skorzysta. Arlen westchnął.

– Czasem mi się wydaje, że najbardziej skorzystałby na tym, gdyby to mnie tu nie było.

– Co takiego? – spytała Renna. – Ty chyba nie chcesz porównywać siebie do tego...

– Nie chcę usprawiedliwiać Jardira – przerwał jej Arlen. – Ciągłe myślę i dochodzę do wniosku, że to wszystko by się nie stało, gdybym dotrzymał słowa i zajął się gospodarstwem. Nikt by nie ucierpiał, ani Rizończycy, ani ci tutaj. Wszyscy oczekują, że zaprowadzę porządek, ale jak mam to zrobić, skoro to ja wywołałem ten bałagan?

Renna zacisnęła zęby i uderzyła go w twarz. Arlen aż się cofnął i spojrział ze zdumieniem. Evey oraz kilku pacjentów uniosło głowy, ale dziewczyna ich zignorowała.

– Nie udawaj zaskoczonego, Arlenie Bales – oznajmiła. – To ty mi powiedziałeś, abym nie miała litości dla nikogo, kto będzie przeszkadzał w zabezpieczeniu obozu. Tymczasem zapada zmrok, a jak dotąd palcem nie kiwnąłeś. Nie mamy czasu na te twoje bzdury.

Arlen potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć, a potem się uśmiechnął.

– Kocham cię, Renno Tanner.

Dziewczyna poczuła, jak jej serce zalewa ciepło, ale odepchnęła to uczucie. Mieli wiele do zrobienia.

– Udało się przygotować dość słupów, żeby obwieść obóz w trzech czwartych. Musiałam narysować runy na ziemi, aby zamknąć krąg.

– Runy rysowane na ziemi nie są dobrym zabezpieczeniem – stwierdził Arlen.

– Nie jestem głupia. Rozstawiłam strażników z runicznymi włócznie, ale co drugi człowiek Varleya śpi jak zabity, a reszta wygląda, jakby miała się zaraz posikać ze strachu.

Arlen pokiwał głową, ale w kąciku jego ust nadal błąkał się uśmiech.

– Nie przejmuj się. Czas na moją ulubioną część planu.

Renna zaprowadziła go do miejsca, gdzie stali strażnicy. Okazało się, że dziewczyna nie przesadzała. Przynajmniej pół tuzina wartowników trzymało włócznie w trzęsących się dłoniach, a pozostali – głównie bandyci Varleya, wśród których mir wiedli Brice i Donn – rozłożyli się na

ziemi i pograżyli w grze. Ich na wpół zapomniane włócznie leżały nieopodal. Chronione runami wozy i namioty były już szczelnie zamknięte, ale wielu ludzi pozbawionych schronienia przyglądało się z przerażeniem zachodzącemu słońcu. W pobliżu stał Varley, nadal bez broni. Miał kapelusz.

Ludzie obrzucali spojrzeniami mijającego ich Arlena. Zewsząd dobiegały szepty, Renna ujrzała nawet, jak tu i ówdzie otwierają się okna wozów i unoszą klapy namiotów.

Arlen podszedł do podwładnych Varleya i kopnięciem wytrącił kubek z kośćmi z ręki Donna.

– Hej, co ci odbiło? – wykrzyknął tamten.

– Zaraz zajdzie słońce, a wy gracie w kości – warknął Arlen. – To nie mnie odbiło.

– Jesteś szurnięty, Donn? – spytał Brice. – Pyskujesz Wybawicielowi?

– To żaden Wybawiciel – prychnął Donn. – Sam to powiedział. Słońce nie zajdzie jeszcze przez dziesięć minut – zwrócił się do Arlena. – A runy widać nawet stąd. Tam, na ziemi.

– Nie wierzyłbym symbolom wyrysowanym na ziemi – rzekł Arlen.

Donn uniósł głowę.

– Wedle mnie nie zanosi się na deszcz.

– Deszcz to nie jedyne, czego trzeba się bać. – Arlen podszedł do bariery, żeby się jej przyjrzeć. – Wszystko może zepsuć taki run.

Z tymi słowami starł część symbolu, starannie wyrysowanego przez Rennę. Dziewczyna aż krzyknęła, ale Arlen wybuchnął śmiechem na widok mężczyzn zrywających się i łapiących za broń.

– I naraz dziesięć minut to już nie tak wiele, co? – zawołał głośno, by usłyszeli go wszyscy w obozie.

– Na Stwórcę, oszalałeś? – wykrzyknął Varley, ale Arlen go zignorował. Podszedł do graczy i skinął na Donna, który podobnie jak reszta kurczowo ścisnął nową włócznię.

– Teraz okażcie szacunek nadchodzącej nocy – rozkazał Arlen.

Donn wbił w niego złowrogie spojrzenie.

– Lepiej, żebyś jednak był Wybawicielem – oznajmił. – Bo boję się, że zwyczajnie oszalałeś.

Arlen uśmiechnął się i odwrócił do pozostałych, którzy wydawali się podwójnie przerażeni i mieli ku temu powody. Było już tak ciemno, że runy okalające oczy Renny zaczynały działać.

Z ziemi unosiły się niewidzialne dla reszty połyskliwe strużki magii, które kłębiły się wśród cieni i krzepły wśród gasnących promieni słonecznych. Tylko chwila dzieliła uchodźców od otwarcia przejścia do Otchłani i powstania pierwszych demonów.

Jered, który liczył sobie zaledwie szesnaście lat, ścisnął włócznie tak mocno, że pobielaly mu kłykcie.

– Słuchajcie, zróbcie, co on każe, dobra? Ja nie chcę umierać!

– Wszyscy kiedyś poumieramy – odrzekł Arlen. – Ważne jest to, jak umrzemy. Czy chcesz zginąć dlatego, że strach nie pozwala ci chwycić za broń? Czy chcesz, by twoja rodzina zapłaciła życiem za to, że w decydującej chwili ugięły się pod tobą kolana? A może wolisz zginąć, ale zabrać ze sobą otchłańca? Albo dwa?

– Wpuszczasz demony do obozu tylko po to, by udowodnić swoją rację, chłopcze? – spytał ostro Varley i wskazał cienie, które nabierały kształtu w mroku między drzewami.

– Żaden demon nie wedrze się do tego obozu. – Arlen nabrał głęboko tchu. Na oczach Renny emanująca łagodnie mgła u stóp narzeczonego niespodziewanie pomknęła ku niemu niczym dym wciągnięty w miech. Powietrze wokół Arlena najpierw pociemniało, a potem mrok rozjaśnił blask jego runów. Ujrzeni to nawet przybysze z Owsa, choć ich oczu nie wzmacniała magia. Wszyscy jak jeden mąż westchnęli ze zdumieniem.

W pobliżu zmaterializował się polny demon i bez namysłu pomknął w kierunku luki w barierze. Gdzieś w obozowisku rozległ się wrzask kobiety. Potwór rozpędził się i skoczył, ale Arlen zawczasu nakreślił run w powietrzu. Znak ożył z trzaskiem i odrzucił skaczącego potwora.

– Na Stwórcę – szepnął Varley.

– Mogę pożyczyć włócznie? – Arlen wyrwał broń z odrętwiałych palców Jereda, a potem wyszedł poza barierę i wycelował w podnoszącego się demona. – Widzicie, jak polny demon musi się napracować, żeby znów stanąć na nogi? – wykrzyknął na tyle głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. – Gdy taki się rozpędzi, nie ma czworonoga, który mógłby go prześcignąć, a łuski pancerza potrafią zatrzymać nawet ostrze runicznej włóczni.

Demon skoczył, ale Arlen zręcznie usunął mu się z drogi i grzmotnął tępym końcem włóczni. Runy zajaśniały, a potwór znów wylądował na grzbiecie.

– Wystarczy go jednak przewrócić, by odsłonić bezbronny brzuch – dokończył i wbił broń w pierś otchłańca.

Tymczasem Renna ruszyła na kolejnego materializującego się demona. Podobnie jak wcześniej Arlen, wzięła głęboki wdech, a jej ciało wypełniła wibrująca magia. Świat dookoła niej pociemniał, ale dziewczyna była gotowa przysiąc, że odczuła zmianę. Znużenie dniem znikło jak ręką odjął. Znow miała mnóstwo sił.

Polny demon zamachnął się ramieniem przypominającym bicz, ale Renna zawczasu przewidziała jego zamiar i cofnęła się, schodząc błyszczącym pazurami z drogi. Nim potwór zdołał odzyskać równowagę, dziewczyna zarzuciła mu naszyjnik na kark. Runy wymalowane na otoczkach ożyły z blaskiem i zmiażdżyły krtań otchłanca. Ten usiłował wrzeszczeć, ale z pyska wydobył jedynie ochryply skrzek. Wił się i miotał, ale Renna nie traciła czasu i oplótła go nogami, unikając pazurów. Później szarpnęła, naszyjnik znow rozblysnął i głowa potwora, oderżnięta od ciała, potoczyła się po murawie. Dziewczyna wyciągnęła wówczas nóż Harla i spojrzała na inne demony, które czaiły się wokół Arlena. Ten kontynuował lekcję.



Zbliżał się świt, gdy Arlen wrócił do szpitala. Wszyscy uciekinierzy z Owsa spali, z wyjątkiem strażników pilnujących bariery. Renna dokończyła ostatnie słupy, a Varley studiował mapę do Martwej Studni. Arlen zaznaczył na niej główną studnię małą czaszką.

– Na pewno chcesz to zrobić? – spytała Renna.

Narzeczony pokiwał głową.

– Nie mogę się odwrócić i po prostu odejść, Ren.

– Chyba nie – westchnęła dziewczyna. – No to pospiesz się, póki nikt nie patrzy.

Arlen uklęknął przy konającej dziewczynie bez ręki, cierpiącej na gorączkę demonią, i nakreślił kilka runów w powietrzu. Chora nabrała gwałtownie tchu, gdy magia przeszła jej ciało, a potem znow się odprężyła. Czerwień poparzeń zetlała, pęcherze zaczęły znikać z twarzy, a skóra chorej znow odzyskała zdrowy odcień.

– A tak w ogóle to gdzie się nauczyłeś runów uzdrawiających? – spytała Renna. – Wyciągnąłeś je od demona umysłu?

– W sumie to tak – odparł Arlen. – To nie są runy uzdrawiające, niezupełnie. Ciało samo chce się leczyć i dobrze wie, jak to zrobić, a runy dają mu tylko odpowiednią moc.

Arlen usiadł przy kolejnym pacjencie i szybko przystąpił do leczenia. Wchłonął możliwie największą dawkę magii, ale jego moc gasła szybko, znowu chwiał się i zataczał. W końcu wstał z zamkniętymi oczami. Potknął się.

Renna złapała go błyskawicznie.

– Dość tego – szepnęła. – Zrobiłeś, co mogłeś. Masz ochotę się zabić, żeby uzdrowić resztę?

– Moc ulatuje tak szybko – westchnął Arlen. – Czuję się niezwyciężony, a w chwilę później już tonę. Muszę poznać granice swoich możliwości.

Nabrał tchu i wchłonął magię otaczającą ich niczym pasma mgły. Symbole na jego ciele znów zajaśniały, choć świeciły nieporównywalnie słabiej niż kilka minut temu. Arlen wyglądał na wycieńczonego, a pod jego oczami pojawiły się czarne kręgi.

– Czas spać – zdecydowała Renna.



Pokonali galopem kilkanaście mil, aż Renna wstrzymała Obietnicę. Arlen zauważył to i obrócił Nocnego Tancerza.

– Jedź! – zawołała dziewczyna.

– Co?

– Muszę coś upolować! – wyjaśniła. – Nie ma jeszcze świtu, a ty będziesz potrzebował czegoś więcej niż magii, jeśli chcesz utrzymać to tempo. Musisz o siebie dbać.

Arlen przechylił głowę i przyjrzał jej się uważnie. W kąciu jego ust pojawił się ten sam uśmiech, ale Renna pozostała nieporuszona. Wskazała trakt i powtórzyła:

– Jedź!

Pokiwał głową i spiął Tancerza. Renna zaczekała, aż jeździec i rumak znikną jej z oczu, a potem zawróciła Obietnicę i pognała z powrotem. Nie miała wiele czasu, ale nie potrzebowała go dużo. Drzewny demon, którego dostrzegła kilka minut temu, nadal czaił się za grubym drzewem. Na szczęście Arlen nie zwrócił na niego uwagi.

Natarła na stwora konno. Przyparła do drzewa i spięła klacz, a wzmocnione runami kopyta rumaka uderzyły w demoni pancerz, wzniesając eksplozje magicznych iskier. Ranny otchłaniec padł na ziemię.

Renna zeskoczyła z konia i wyciągnęła nóż Harla.

Arlen nie ma dla siebie litości, pomyślała.

Demon ciskał się i miotał, ale magia szybko leczyła jego obrażenia. Dziewczyna wiedziała, że za kilka sekund będzie gotowy do walki. Problem z drzewnymi demonami polegał na tym, że miały gruby pancerz, pokryty sękami i guzami, wzmocniony dodatkowo grubymi, płaskimi kośćmi. Słaby punkt stanowiły stosunkowo wrażliwe miejsca między kośćmi. Renna uderzyła celnie, rozcięła pancerz potwora i wycięła serce.

Będzie leczył ludzi, aż go to zabije. Zawsze próbuje oddać za kogoś życie. Nie zmienił się ani trochę przez te wszystkie lata.

Renna czasami miała wrażenie, że Arlen odczuwał niemal frustrację, ponieważ jak dotąd nie natrafił jeszcze na demona silniejszego od siebie. Wydawało się, że ukochany szuka przeszkody nie do pokonania i nie spocznie, póki jej nie znajdzie. Nie umiał się pogodzić z tym, że potrafi unieść każde brzemie. Wiedziała, iż nieustannie będzie próbował zginąć śmiercią Krasjanina.

Renna wgrzyła się w demonie serce. Było gorzkie i obrzydliwe w smaku, a w dodatku śliskie od posoki, gąbczaste, ale zarazem twarde. Ugryzła z całej siły, aż w jej usta trysnęła jakaś ciecz, jeszcze paskudniejsza w smaku. Z na wpół przeżutego kawałka pociekła żółć. Dziewczyna poczuła, jak żołądek zaczyna jej się skręcać z nudności. Miała ochotę wypluć ohydny ciecz i zwymiotować, ale zacisnęła mocno zęby.

Arlen nie znajdzie śmierci tutaj. Będzie jej szukał w Otchłani, a ona nie puści go tam samego. Obiecała, że wytrwa i nigdy nie będzie go spowalniać.

Renna przełknęła kęs. Łzy płynęły jej po twarzy. Zwalczyła mdłości tak jak Obietnicę podczas ich pierwszej wspólnej przejażdżki. Po prostu czekała, aż jej żołądek się uspokoi, a potem ugryzła po raz drugi.



Gdy Arlen wrócił, znów promieniejąc, odzyskała już pełnię sił. Od razu zauważyła, że do jego ruchów wróciła sprężystość i znikły ciemne kręgi pod oczami. Co więcej, krew mężczyzny tętniła żywo. Renna słyszała to w jego oddechu, widziała też, jak wokół magia skrzy i przywołuje niełatwe do stłumienia pierwotne instynkty.

Czuła się podobnie. Musiała się bardzo skupić, aby dokończyć malowanie runów na srokatej sierści Obietnicy. Klacz co rusz smagała Rennę ogonem, ale nie gryzła ani nie odskakiwała.

– Czujesz się silniejszy?

Arlen kiwnął głową.

– Nie do końca. Jestem jednocześnie nasycony magią i wyczerpany. Póki co jednak wystarczy. Czeką nas długa jazda, bo nie chcę się zatrzymywać przed dotarciem do Zakątka. Droga ciągnie się na wschód i doprowadzi nas do Traktu Starego Wzgórza. Nikt nim nie jeździ od ponad dziewięćdziesięciu lat, kiedy to otchłańce zniszczyły Fort na Wzgórzu. Powinniśmy bez przeszkód dotrzeć tamtędy do Zakątka. Jeśli będziemy jechać przez jutrzejszą noc, znajdziemy się na miejscu pojutrze w południe.

Renna potaknęła, a potem spytała:

– Kim jest dla ciebie Leesha?

Arlen odetchnął rytmicznie trzy razy, co natychmiast zdradziło, że usiłuje stłumić jakieś uczucie bądź wspomnienie. Renna nie potrafiła odgadnąć, co miał na myśli.

– Leesha jest Zielarką w Zakątku Wybawiciela, ale tak naprawdę pełni rolę kogoś w rodzaju Selii Wyschniętej w Potoku. Starczy, że klaśnie, a ludzie podskakują. Karczmarz w Rzeczułce powiedział mi, że Jardir uprowadził ją z Zakątka i uczynił swoją nałożnicą. Chcę się upewnić, czy to prawda. Spróbuję odnaleźć trop. Jeśli się okaże, że Jardir choćby ją tknął, wypruję mu flaki.

Renna uśmiechnęła się lekko.

– Dokładnie tego spodziewałabym się po mężczyźnie, którego kocham. Po tym, co ten człowiek ci zrobił, dłonie mnie świerzbią i chętnie sama bym go zabiła.

– Nawet nie próbuj, Ren – ostrzegł Arlen. – Zapewne uważasz, że wiele się nauczyłaś, ale nigdy nie sprostasz mu w walce. Jardir walczył z demonami, zanim jeszcze oboje przyszliśmy na świat.

Renna wzruszyła ramionami.

– A ty wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Nie pytałam: „Kim jest Leesha?”. Powiedziałam: „Kim jest Leesha dla ciebie?”. Słyszałam, że Krasjanie zaciągnęli wiele kobiet do łóżek. Dlaczego akurat tę chcesz ocalić?

– To przyjaciółka.

– Mówisz o niej tak, jakby była kimś więcej – stwierdziła Renna. – Sztwniejesz. Chłodniesz. Nie jestem w stanie przeniknąć twoich myśli. Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz.

Arlen westchnął.

– A co niby mam ci powiedzieć? Ty masz swoich Cobiech Fisherów. Ja też mam przeszłość.

– Cobie Fisher był tylko jeden. – Rennie krew załomotała w żyłach. – Ojciec wypędzał wszystkich, którzy mieli czelność się do mnie zalecać. Z iloma dziewczynami ty spałeś?

– Z dwoma lub trzema. – Arlen wzruszył ramionami.

– Cóż, panny cię rozchwytną – parsknęła Renna. Czowała, że w jej sercu budzi się szalejący potwór, który domaga się krwi. Zacisnęła zęby. Furia była przytłaczająca i dziewczyna nie potrafiła jej okiełznać. Napięła mięśnie i cofnęła się, walcząc z pokusą, by skoczyć. Albo zabić.

– Co? – warknął Arlen. Dostrzegł zaciekłość we wzroku Renny i w odpowiedzi smagnął ją spojrzeniem dziesięciokrotnie bardziej wściekłym. – Miałem pozostać ci wierny tylko dlatego, że nasi starzy powymieniali się nami jak bydłem? Opuściłem Potok Tibbeta po to, by nigdy tam nie powrócić, Ren.

Cofnęła się. Gdy była młodą dziewczyną, wspomnienie Arlena, ich pocałunku na strychu oraz słów obietnicy stanowiło cały jej świat. Sny o nim pocieszały Rennę w najgorszych chwilach, które złamałyby innych ludzi, a myśl, że nic dla niego nie znaczyła, okazała się nie do zniesienia.

Arlen ruszył ku niej, a Renna odruchowo wyjęła nóż. Był szybszy, złapał ją za nadgarstki i przytrzymał z siłą skalnego demona. Szarpała się, chcąc się uwolnić, ale nadaremnie.

– Nie miałem pojęcia, kim naprawdę jesteś – rzekł. – Nie wiedziałem, że wyrośniesz na wspaniałą kobietę. Gdybym wiedział, wróciłbym bez wahania, żeby cię zabrać.

Renna przestała się szamotać.

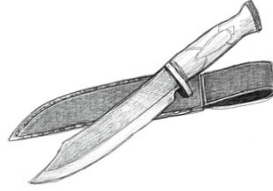
– Mówisz serio?

– Jak najbardziej – odparł Arlen. – Pytasz, czy byłem z innymi kobietami? Tak, byłem. Ale to przeszłość.

Dotknął jej twarzy i uniósł ją, by spojrzeć dziewczynie w oczy.

– Moją przyszłością jest Renna Tanner.

Renna puściła nóż, ale gdy poczuła, że Arlen zwalnia uścisk na jej nadgarstkach, rozłożyła ramiona i skoczyła na niego. Łomot jej krwi przerodził się w ogłuszający ryk.



IV

Drugie nadejście

333 ROK PLAGI
26 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Galopowali przez całą noc i ściągnęli wodze dopiero z nastaniem świtu, gdy promienie słońca wypaliły magię zgromadzoną przez rumaki. Arlen zboczył z drogi i bez chwili wahania poprowadził Nocnego Tancerza starym traktem Posłańców, tak zawilym i zarośniętym, że niemalże niewidocznym. Ścieżka pod stopami Renny otwierała się i znikwała z tyłu tak szybko, jakby wędrowało się przez gęstą mgłę.

W południe ścieżka połączyła się z większym traktem. Arlen i Renna zrobili sobie przerwę na popas, a potem na powrót dosiedli koni. Droga prowadząca do Fortu na Wzgórzu była wybrukowana, podobnie jak te w okolicy Rzeczułki, ale z upływem czasu pojawiły się na niej pęknięcia i wielkie dziury pełne błota. Z innych wyrastały kępy chwastów bądź karłowate krzewy. W paru miejscach korzenie drzew przebiły bruk i wyrzuciły na boki sterty spękanych kamieni, brudnych i porośniętych mchem. Bywały też odcinki niemalże nietknięte zębem czasu, gdzie równy szary bruk ciągnął się przez wiele mil bez szczelin czy rozpadlin.

– Jak przytaszczono tu tak wielkie głazy? – spytała zdumiona Renna.

– Niczego tu nie taszczono – wyjaśnił Arlen. – Kiedyś znano sekret wyrabiania pewnej błotnistej substancji zwanej kretą, która po stwardnieniu okazywała się równie mocna jak kamień. W dawnych czasach wszystkie drogi tak wyglądały, a ciągnęły się przez setki mil.

– I co się z nimi stało?

– Świat stał się zbyt mały na wielkie drogi. – Arlen splunął. – Trakt prowadzący do Starego Wzgórza jest jednym z ostatnich. Natura powoli, krok po kroku niszczy je wszystkie.

– Szybko dotrzemy na miejsce.

– Tak, ale nocą będzie trzeba przyspieszyć – ostrzegł Arlen. – Polne demony ściągną tu jak świnie do koryta. Wychodzą przez te dziury.

Renna się uśmiechnęła.

– Mam się przejmować? Ja, która jadę u boku Wybawiciela?

Skrzywił się, a dziewczyna wybuchła śmiechem.



Wkrótce Renna nie miała już powodów do wesołości. Obietnica zgodziła się na założenie kilku splecionych rzemyków składających się na uprzęż, ale była to jedyna rzecz, której Renna mogła się trzymać na grzbiecie gigantycznego angieriańskiego mustanga. Ten zaś pędził jak wiatr po starożytnym trakcie i przeskakiwał przeszkody, z trudem jednak utrzymywał dystans przed ścigającymi go otchłańcami.

Nocny Tancerz nie radził sobie wiele lepiej. Jego również goniły dziesiątki polnych demonów, które wydawały się wręcz stworzone do długich pościgów. Potwory długimi susami połykały milę za milą, obojętne na zmęczenie.

Nad głowami pary jeźdźców rozlegały się drapieżne wrzaski wichrowych demonów. Renna zerknęła ku górze i bez trudu wypatrzyła otchłańce dzięki opromieniającej je magii. Ich ogromne skrzydła przesłaniały gwiazdy. Wichrowe demony nie były na tyle szybkie, by zanurkować i zaatakować galopującego jeźdźca, ale gdyby zwolnił...

– Walczymy? – krzyknęła Renna. W nocy zmysły obojga były o wiele czulsze niż za dnia, ale mimo to nie wiedziała, czy Arlen usłyszał. Kopyta łomotały bowiem głośno, a demony wrzeszczały, wietrząc zdobycz.

– Jest ich za dużo! Jak się zatrzymamy, pojawi się jeszcze więcej! Jedź!

Dzięki runom wzmacniającym oczy widziała wyraźnie troskę na twarzy towarzysza. Jemu oczywiście nic nie groziło. W mroku nocy nic nie mogło wyrządzić mu krzywdy. Nad Renną jednakże zawisło niebezpieczeństwo. Płaszcz Ślepoty nie mógł jej pomóc podczas jazdy, a runy, które wymalowała na sierści Obietnicy, nie przetrwałyby długo w walce z coraz większymi

siłami demonów. Nawet pancerz Nocnego Tancerza nie był w całości pokryty magicznymi symbolami – Arlen tu i ówdzie zostawił luki, by rumak miał swobodę ruchów.

Rennę kusiło, by złapać za nóż, ale nie mogła. Musiała oplatać ramionami muskularny kark Obietnicy. Jakiś otchłaniec spróbował zaatakować pęciny klaczy, ale oberwał w pysk. Runy wyryte na kopytach rozbłysły, miażdżąc ostre kły potwora, i odrzuciły go daleko w tył.

Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem, ale radość nie trwała długo. Obietnica potknęła się i straciła rytm. Pozostałe otchłanice szybko zmniejszyły dystans. Daleko w tyle kopnięty demon podniósł się powoli. Magia szybko regenerowała jego obrażenia i za chwilę stwór dołączył do pościgu.

Arlen puścił wodze i odwrócił się, aby nakreślić run w powietrzu. Renna poczuła powiew i osaczające ją otchłanice zostały odrzucone niczym liście przez wiatr. Uśmiechnęła się i spojrzała na towarzysza, ale radość zgasła, gdy dziewczyna zorientowała się, jak bardzo ściemniał jego blask. Zrozumiała, że Arlen nie może użyć tej sztuczki wielokrotnie, a tymczasem demony były ledwie o krok za nim. Przeklęła w myślach swój opór przed ćwiczeniem w strzelaniu z łuku, który podarował jej narzeczony.

Jeden z polnych demonów wyskoczył i wbił długie, zakrzywione szpony w zad Nocnego Tancerza, tuż pod płytą pancerza. Chciał przewrócić ogromnego rumaka, ale Tancerz wierzgnął i zmiażdżył kopytem czaszkę potwora. Inny wykorzystał okazję, wspiął się na stertę gruzu i skoczył na Arlena.

Jeździec odwrócił się, złapał demona za pazurzystą łapę i grzmotnął pięścią w pysk.

– Nie zwalniam! – ryknął, gdy Obietnica przemknęła obok niego.

Runy na jego pięściach rozbłysły, gdy tłukł raz za razem, zamieniając pysk demona w bezkształtną masę. Odrzuciwszy stwora za siebie, przewrócił przy tym inne i popędził Tancerza do galopu.

Szybko zrównał się z Obietnicą, ale boki Tancerza ociekały krwią i wnet rumak zaczął zwalniać. Demony podjęły pościg.

– Na noc! – zaklęła Renna, widząc kolejną hordę pędzącą ku nim z przeciwnej strony. Stado było tak wielkie, że zajmowało całą szerokość drogi. Po obu stronach traktu ciągnęły się zarośnięte rowy. Nie mieli jak uciec.

W głębi serca Renna chciała walczyć. Demon w jej krwi wrzeszczał i domagał się rzezi, ale resztki zdrowego rozsądku podpowiadały, że w takim starciu nie ma co marzyć o zwycięstwie.

Jeśli nie uda się przerwać okrażenia i wyrwać się otchłańcom, najprawdopodobniej Renna nie przeżyje do świtu.

Ta myśl dodała jej otuchy. Pochyliła się nad grzywą, gotowa do szarży.

– Musimy się przedrzeć! – szepnęła klaczy do ucha.

– Za mną! – krzyknął Arlen. Przejął nieco mocy od zabitego demona, ale nadal nie osiągnął pełni możliwości. Szybko nakreślił kolejny run i demony nadciągające od czoła zostały roztrącone, a potem wyciągnął długą włócznię, aby nadziać każdego, który się zbliży. Jeden z potworów nie był dość szybki i został stratowany przez Tancerza. Kolejny rozbłysk magii rozświetlił noc. Renna pędziła tuż za Arlenem, a kopyta Obietnicy dobiły ranionego otchłańca.

Gdyby go pozostawić w spokoju, demon szybko zregenerowałby nawet poważne obrażenia, ale inne osobniki w hordzie natychmiast wyczuły słabość i osaczyły go bez wahania. Długimi szponami rozszarpały pancerz i zaczęły wydzierać ochłapy z ciała ofiary.

Renna odsłoniła zęby. W wyobraźni ujrzała siebie, jak przyłącza się do dzikiej uczty i syci mocą rosnącą z każdym kęsem.

– Uwważaj! – warknął Arlen.

Renna natychmiast wróciła do rzeczywistości, potrząsnęła głową i oderwała wzrok od makabrycznej sceny. Wyglądało na to, że przedarli się przez okrażenie, ale starcie spowolniło ich na tyle, że któryś z wichrowych demonów dostrzegł szansę na atak. Zanurkował z wysuniętymi szponami, gotów porwać dziewczynę i unieść w przestworza.

Runy wymalowane na jej ramionach oraz barkach zaiskrzyły i utworzyły barierę nie do przebicia dla otchłańca, ale impet zderzenia wyrzucił Rennę z siodła. Uderzyła boleśnie o ziemię, coś trzasnęło w jej prawym barku, w ustach poczuła krew i piasek. Skrzeczący wichrowy demon wyrznął tuż obok. Dziewczyna odtoczyła się, w ostatniej chwili unikając ostrych jak brzytwa szponów sterczących ze skrzydeł.

Zerwała się na równe nogi, bark zapłonął jej bólem, ale zignorowała cierpienie, jak kłoda drewna znosi płomień, i niezgrabnie wyciągnęła nóż lewą ręką. Wiedziała, że bezruch oznacza pewną śmierć. Na przeżycie również nie miała większych szans. Obietnica walczyła nieopodal – stawała dęba, wierzgała i kopała, usiłując uwolnić się od osaczających ją demonów. Lada chwila dopadną też Rennę.

– Renna! – Arlen zawrócił Nocnego Tancerza, ale nawet on nie był w stanie dotrzeć do niej na czas.

Wichrowy demon dźwignął się niezgrabnie. Stwory tego rodzaju kiepsko sobie radziły na ziemi i Renna wykorzystwała to bez wahania. Podcięła demona i wbiła mu nóż w gardziel. Gorąca jucha obryzgała jej ramię i dziewczyna poczuła, jak ciało zasysa magię. Uszkodzony bark już wydawał się silniejszy.

Polny demon skoczył na zad Obietnicy. Renna wyciągnęła garść kasztanów z sakiewki. Wyrysowane na nich runy gorąca działały przy zderzeniu z otchłańcem. Wybuchwały, nadgryzając jego chropowaty pancerz. Potwór nie został poważnie ranny, ale wystraszył się i odskoczył, a Obietnica wykorzystwała okazję i zmiażdżyła go potężnym kopnięciem.

Renna nie miała już czasu, by śledzić rozwój wypadków, dostrzegło ją kilka innych demonów. Parę ruszyło w jej kierunku. Dziewczyna usunęła się pierwszemu z drogi i kopnęła go w podbrzusze. Runy zderzenia na jej łydce zaktywowały się z trzaskiem i otchłaniec poleciał niczym piłka do gry. Inny zaatakował Rennę od tyłu i chlasnął pazurami w plecy, rozcinając ciasno zawiązaną kamizelkę wraz ze skórą. Dziewczyna osunęła się na kolana, a wtedy przypadł do niej kolejny i ugryzł w ramię.

Tym razem runy nie zdołały zatrzymać potwora. Przybrudzone, zbryzgane krwią symbole utraciły część mocy i Renna wrzasnęła, gdy demon przycisnął ją do ziemi i zaczął szarpać. Niektóre znaki zadziały i odepchnęły szpony wśród snopów iskier, ale otchłaniec błyskawicznie odnalazł luki w magicznej osłonie i wbił się w ciało ofiary.

Ból i magia jednakże zawsze dodawały Rennie sił. Przestała się przejmować tym, czy zginie, czy też przeżyje, wiedziała tylko, że nie chce przegrać tej walki. Skąpana w posoce raz za razem wbijała ostrze ojcowskiego noża w potwora. Z każdym uderzeniem nabierała mocy i odpychała demona coraz dalej. Jego pazury ześlizgiwały się z jej skóry.

Gdy Nocny Tancerz roztrącił pozostałe demony z hordy, przeciwnik Renny już nie żył. Arlen zeskoczył, odrzuciwszy szatę. Jego runy zapłonęły, gdy rozwarł pysk otchłańca, ściągnął go z Renny i cisnął w pozostałe. Któryś skoczył do ataku, ale Arlen wykonał obrót wedle zasad *sharusahk* i wbił mu w oko palec, który zasyczał niczym rozżarzony pogrzebacz.

Renna warknęła, unosząc nóż. Ciało rozrywał ból, ale nagromadzona w niej magia była silniejsza. Widziała wokół jedynie mgłę pełną zamazanych postaci, ale dostrzegła ogromny kształt Obietnicy i otaczające ją drapieżniki. Jeden zwisał z szyi zwierzęcia i usiłował je przewrócić. Dziewczyna zawyła i pognęła do klaczy.

– Renna, niech cię szlag! – wrzasnął Arlen, ale go nie słuchała i wpadła w sam środek otchłańców, kopiąc, roztrącając i tnąc naokoło nożem, byle jak najszybciej znaleźć się u boku konia. Z każdym celnym ciosem ciało przeszywał ożywczy impuls magii, który czynił Rennę silniejszą, szybszą, wręcz niezwyciężoną. Wyskoczyła i złapała demona na grzbiecie klaczy za łapę, po czym przebiła mu serce.

Arlen ruszył w ślad za nią. Rozpływał się przy ataku któregoś z otchłańców, by w okamgnieniu znów się zmaterializować. Uderzał pięściami, stopami, kolanami, łokciami, a nawet czołem. Gdy znalazł się za Renną, gwizdnął ostro, by przywołać Tancerza.

Rumak roztrącił kolejną zmierzającą ku nim horde, dając Arlenowi czas na nakreślenie runu chroniącego przed polnymi demonami. Dzięki symbolom wzmacniającym wzrok Renna widziała cieniutkie nitki magii, łączące każdy znak. Któryś z otchłańców skoczył i dwa runy zapłonęły, odrzucając go w tył. Z każdym uderzeniem nabierały mocy. Arlen przesuwiał się i kreślił kolejne, tworząc krąg, ale kilka potworów nadal atakowało Obietnicę. Renna skoczyła ku nim z nożem.

Arlen złapał ją za ramię i zatrzymał szarpnięciem.

– Ani kroku! – krzyknął.

– Mogę walczyć! – oburzyła się Renna. Chciała się wyrwać, ale choć dysponowała nową mocą, mężczyzna przytrzymał ją jak niegrzecznego dzieciaka. Znów się odwrócił i nakreślił serię runów uderzeniowych, które odrzuciły demony osaczające Obietnicę. Jego uchwyt osłabł i Renna wykorzystała to, aby wyrwać się z głuchym warknięciem.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, Arlenie Bales!

– Nie rób ze mnie idioty, Ren! – parsknął mężczyzna. – Spójrz na siebie!

Renna zerknęła i aż krzyknęła na widok głębokich ran na skórze. Krew ciekła z wielu miejsc, czuła ból pleców i ramion. Dzika nocna siła opuściła ją w jednej chwili, a nóż, nagle zbyt ciężki, wypadł z dłoni. Pod Renną ugięły się kolana.

Arlen przypadł do niej, złapał i ułożył na ziemi, a potem dokończył barierę dookoła i nad nimi. Zewsząd nadciągały kolejne polne demony, ale ani ta niezliczona horda, ani nawet stada ich wichrowych pobratymców nie były w stanie przebić kręgu.

Gdy praca dobiegła końca, Arlen uklęknął przy Rennie, by oczyścić jej rany. Rozejrzał się, dostrzegł zabitego demona we wnętrzu bariery i zanurzył palec w jego posoce niczym pióro w kałamarzu. Wypisał serię runów na skórze dziewczyny. Ta poczuła, że jej ciało twardnieje

i zaczyna się zrastać. Był to nieprawdopodobnie bolesny proces, ale wiedziała, że przywróci zdrowie, więc leżała nieruchomo i oddychała głęboko.

– Przykryj się płaszczem, zajmę się końmi – rzekł Arlen, po tym jak zrobił wszystko, co należało.

Renna skinęła głową i wyciągnęła magiczny płaszcz z sakwy przy pasie. Wykonano go z najłżejszego i najznakomitszego materiału, jaki widziała, i pokryto skomplikowanymi wzorami runów niewidzialności. Gdy go zakładała, stawała się niezauważalna dla demonów. Nie przepadała za nim, gdyż wolała, by potwory ją widziały, ale nie mogła zaprzeczyć, że to użyteczny wynalazek.

Pozbawiona pancerza Obietnica odniosła cięższe rany od Nocnego Tancerza, a mimo to parskła i tłukła kopytami w ziemię na widok nadchodzącego Arlena. Obnażyła zęby i usiłowała go ugryźć, ale męczyzna poruszał się zbyt szybko i zbyt płynnie. Przemknął wzdłuż jej boku i złapał za grzywę. Klacz usiłowała się wyrwać, ale Arlen potraktował ją jak matka usiłująca zmienić pieluszkę niesfornemu dziecku. Po chwili Obietnica spokorniała. Może zrozumiała, że męczyzna próbuje jej pomóc.

Ten pokaz mocy zaskoczyłby Rennę jeszcze kilka dni temu, ale dziewczyna przyzwyczała się już do możliwości towarzysza i ledwie zauważyła jego wysiłki. Wspominała swoje potworne rany, przerażona tym, że zupełnie nie zwróciła na nie uwagi. Tak mało brakowało, aby wyciekło z niej życie!

– A więc tak to wygląda? – spytała, gdy wrócił. – Czujesz się pełen energii i nie zdajesz sobie sprawy, że umierasz?

Arlen pokiwał głową.

– Czasami zapominam nawet o oddychaniu. Pijany mocą sędzę, że nie muszę zawracać sobie głowy niczym tak... tak przyziemnym. A potem niespodziewanie zaczynam gwałtownie łapać powietrze. Kilka razy omal mnie to nie zabiło.

Spojrzał w jej oczy.

– Przez magię zaczyna ci się wydawać, że jesteś nieśmiertelna, Ren. Ale to nieprawda. Nikt nie jest nieśmiertelny, nawet otchłańce.

Wskazał ścierwo demona leżące nieopodal.

– Co więcej, walka o zdrowe zmysły nigdy się nie skończy. Za każdym razem, gdy zakosztujesz mocy, będziesz musiała stoczyć bój ponownie.

Renna zadrżała, przypominając sobie łaknienie, któremu nie mogła się oprzeć.

– Jak ci się udaje opamiętać?

– Trzymam przy sobie Rennę Tanner, która mi przypomina, że jestem tylko durnym Balesem z Potoku Tibbeta, a oddychanie to w sumie dobry pomysł – zachichotał Arlen.

Renna też się uśmiechnęła.

– No to nie masz się czego obawiać, Arlenie Bales, bo jesteś na mnie skazany.



Rano zarówno Renna, jak i rumaki miały się już o wiele lepiej, ale Arlen nie forsował wierzchowców. Pozwalał im co najwyżej kłusować i do południa zarządził dwie przerwy na popas.

– Myślałam, że się spieszymy – powiedziała Renna, gdy zsiadli z koni po raz drugi.

– Dzień czy dwa spóźnienia nie mają już większego znaczenia.

– Wczoraj mówiłeś coś innego.

Arlen zgarbił się i spojrzał w bok.

– Podjąłem niewłaściwą decyzję, Ren. Przepraszam. Nie było potrzeby zmuszać ciebie i koni do takiego wysiłku.

Renna nabrała głęboko tchu. Nienawidziła, gdy odwracał się od niej i stwierdzał, że jego zdaniem coś jej się nie spodobało. Typowe dla mężczyzn. Uważali, że nie czynią w ten sposób nikomu krzywdy.

Jedynymi osobami, którym nie wyrządzają wtedy krzywdy, są oni sami, pomyślała.

– Co nie oznacza, że musisz nas niańczyć – stwierdziła.

– O mały włos nie zginęłaś zeszłej nocy, Ren. Obietnica i Tancerz również. Nie stanie się nic złego, jeśli raz na jakiś czas zwolnimy i trochę odpoczniemy.

Racja, ale Renna wcale nie miała wrażenia, że otarła się o śmierć. W rzeczy samej nigdy nie czuła w sobie więcej siły. Jedyną pamiątką po ranach była zaróżowiona skóra, jaśniejsza od opalenizny, i przerwy w magicznych znakach wymalowanych na ciele. Dziewczyna nie wyczuła ani śladu zgrubień czy blizn. Aż tryskała energią.

Zerknęła na Obietnicę, ale już wiedziała, że koń ma się nieco gorzej. Lecząc klacz, Arlen wykorzystał te same runy uzdrawiające co w przypadku Renny i wyrysował je skrzącą od magii

demonią juchą. Po ranach pozostały jedynie łyse placki, ale klacz poruszała się ostrożnie, a w jej zachowaniu nie było zwykłej niesforności.

Renna zerknęła na poranne słońce i uśmiechnęła się.

Czuła w sobie moc. I z każdym nocnym posiłkiem miała jej w sobie więcej. Nie będę cię już spowalniać, Arlenie Bales. Wkrótce to ty będziesz potrzebował pomocy, aby za mną nadążyć.

– Opowiedz mi o Zakątku – poprosiła. – Czy tam ludzie również uważają cię za Wybawiciela?

– Większość – westchnął Arlen. – Dwa lata temu Zakątek Drwali był wioską mniejszą nawet od Południowej Strażnicy. Rok temu pojawiła się epidemia i połowa mieszkańców znalazła się w łózkach. Ktoś przewrócił lampę w gospodzie, a ogień szybko się rozprzestrzenił, tym bardziej że nie było komu gasić. Wkrótce pożar naruszył barierę.

Renna ujrzała tę sytuację oczyma wyobraźni i zacisnęła mocno zęby. Znów złapała się na tym, że zamyka dłoń na kościanej rękojeści noża, i musiała wyteńczyć wszystkie siły, by puścić.

– Nieszczęścia zawsze chodzą parami, jak mówiła moja mama.

– Otóż to – przytaknął Arlen. – Przyjechałem tam następnego dnia i zastałem ponad sto trupów, a z reszty połowa nie mogła się podnieść z powodu ran lub choroby. Nadchodziła noc, więc wyrysowałem runy na toporach i nauczyłem walki wszystkich, którzy mogli chwycić za broń. Resztę zebrałem w Świątym Domu, którego postanowiłem bronić za wszelką cenę. Wielu z mieszkańców Zakątka zginęło tej nocy, ale dali z siebie wszystko i razem doczekaliśmy świtu. Ci, którzy ocalili, odbudowali osadę, ale rozmieścili nowe drogi i zabudowania tak, by stworzyły run zakazu. Żaden demon nie jest w stanie wdrzeć się do osady, nawet książęta.

– Urządzilesz niezłe widowisko – burknęła Renna. – Każdy Minstrel dałby wiele, żeby zobaczyć taką bitwę, a potem o niej opowiadać. Założę się, że chciałeś wyjść na Wybawiciela, choć odrobinę.

Twarz Arlena pociemniała.

– To ostatnie, czego bym się spodziewał. Przez ten mit o rychłym nadejściu Wybawiciela od trzystu lat chowamy się tchórzliwie za runami.

– No tak, ale oczekiwanie dobiegło końca, prawda? Oto przybywa Naznaczony, który nas ocali!

Arlen skrzywił się, ale Renna machnęła jedynie lekceważąco ręką.

– Och, możesz wyzwąć od idiotów wszystkich, którzy się kłaniają i nazywają cię Wybawicielem, ale gdy czujesz się ignorowany, bo ludzie nie podskakują z wrażenia, kiedy się odzywasz, również się wściekasz.

Mężczyzna ściągnął wodze i popatrzył z urazą, ale dziewczyna wytrzymała jego spojrzenie. W końcu Arlen zachichotał niewesoło i machnął ręką.

– Nie mogę zaprzeczyć, że dzięki sławie Wybawiciela łatwiej jest zmusić ludzi do działania, Ren. A roboty mamy mnóstwo. Ludzie nie mają pojęcia, co się wydarzy podczas kolejnego Nowiu, a ja nie mam czasu, żeby ich niańczyć.

– Przecież się nie kłóć – uśmiechnęła się Renna. – Zależy mi tylko, żebyś był ze mną szczery.

A potem pochyliła się szybko i ucałowała go w policzek.



Jechali jeszcze przez jakiś czas, aż skręcili ze starej angieriańskiej drogi na zarośnięty trakt Posłańców. Późnym popołudniem natrafili na nową, dobrze ubitą polną drogę. Na skrzyżowaniu znajdowało się puste obozowisko obwiedzione runami.

– Aha. – Arlen zeskoczył z Nocnego Tancerza i podszedł do bariery, żeby się przyjrzeć. – Trochę mało staranna, ale gęsta i mocna. To robota Darsy Rębacz. Zakątek zapewne rozrasta się bardzo szybko, skoro dotarli aż tak daleko na północ.

– Słońce zachodzi. – Renna poluzowała nóż w pochwie. W coraz dłuższych cieniach gromadziła się już magia, niedługo miały się otworzyć przejścia do Otchłani. – Ruszajmy w drogę.

Arlen pokręcił głową i spojrzał jej w oczy.

– Zatrzymujemy się tutaj.

– Będziemy się chować za runami? Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko? – warknęła Renna.

– O nic cię nie proszę.

– No to jedziemy.

– Dokąd? – spytał. – Znaleźliśmy się tam, gdzie zmierzaliśmy.

Arlen podszedł do stosu z drewnem i zaczął rozpalać niewielkie ognisko. Nie patrzył jej w oczy, ale w jego zachowaniu dało się zauważyć satysfakcję, jakby uczestniczył w jakiejś grze.

W sercu Renny zapłonęła wściekłość. Magia, wirująca i kłębiąca się wokół kostek dziewczyny, niespodziewanie opadła i wnikła w jej ciało niczym dym zassany do rury, ale gdy Renna to zauważyła, pasma zamarły. Wiedziała, że nie jest w stanie pobrać więcej mocy.

Spojrzała na Arlena, który nadal układał chrust na ognisko, dumny z siebie niczym kot z myszą w zębach. Widok ten rozzłościł Rennę jeszcze bardziej. On był w stanie zasysać magię bez najmniejszych problemów. Dlaczego jej się to nie udawało?

Nie zjadła tyle, ile trzeba. Musi jeszcze coś upolować.

– Zapoluję – oznajmiła.

Arlen wzruszył ramionami.

– Nic ci się nie stanie, jak najpierw zjesz kolację.

Dziewczyna miała ochotę zdzielić go w ogoloną głowę. Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę. Miała ochotę rozedrzeć...

Opanowała się. Magia pulsowała w jej ciele, pierwotna i potężna. Budziła instynkty i rozniecała je w szalejącą burzę.

A może zjadła już za dużo?

Renna zaczęła oddychać głęboko w określonym rytmie, zgodnie z krasjańską techniką, której nauczył ją Arlen podczas lekcji *sharusahk*. Powoli rozwarła dłonie, odczekała, aż serce się uspokoi, a potem zmusiła się, by zsiąść z konia. Rozczesała sierść Obietnicy i zaprowadziła ją na pobocze, gdzie rosła gęsta, soczysta trawa.

Posiłek już dobiegał końca, gdy Arlen przechylił głowę, jakby nasłuchiwał odgłosów z oddali.

– O, już jest. – Uśmiechnął się.

– Co takiego? – spytała Renna, ale mężczyzna wstał szybko, wykrobał resztki z miski i odłożył naczynie obok garnka. Narysował run w powietrzu i ogień zaczął przygasać.

– Chodź! – zawołał i wskoczył w siodło. I już pędził na Nocnym Tancerzu po trakcie.

– A niech cię Otchłań pożre! – mruknęła Renna. Odłożyła miskę i wspięła się na grzbiet Obietnicy. Klacz nie przemęczała się przez cały dzień, ale mimo to zrównały się z Arlenem dopiero po kilkunastu minutach, gdy wstrzymał Tancerza. W oddali ujrzeli migotliwy poblask, a w powietrzu niesły się odgłosy bitwy, ale mężczyzna wydawał się nieporuszony.

– Wygląda na to, że Zakątek kontynuuje ekspansję. To chyba Rębacze – stwierdził, po czym zeskoczył z konia i wskazał pobliski zagajnik. – Załóż płaszcz. Może uda się przyjrzeć im z bliska.

Poprowadził Rennę między drzewami. Zastąpił im drogę jakiś drzewny demon szukający żeru, ale Arlen syknął głośno. Odpowiednie runy na jego ciele zapłonęły i odrzuciły potwora. Wkrótce dotarli na skraj ogromnej polany z mnóstwem pniaków. Unosił się tutaj zapach świeżego drewna. Wtedy Arlen się zatrzymał.

Na samym środku polany znajdował się ogromny runiczny krąg. Płonące w nim ogniska opromieniały liczne namioty, wozy, stosy z narzędziami i stada zwierząt pociągowych. Oświetlały również kobiety i mężczyźni, pogrążonych w walce z hordą drzewnych demonów i ich skalnym pobratymcem, wielkim, liczącym sobie dziesięć stóp wzrostu.

Instykt nakazywał Rennie natychmiast dołączyć do walki. Jej krew aż kipiała od żądy mordy. Wyczuła zapach demoniej juchy i jej usta wezbrały śliną, jakby za moment miała się wgrzyźć w ohydne mięso otchłańca.

Arlen jednakże stał spokojnie. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że ma ochotę włączyć się do starcia. Renną ze wszystkich sił próbowała się odprężyć, zsunęła dłoń z rękojeści noża i owinęła się całkowicie magicznym płaszczem, aby zniknąć demonom z oczu.

Płaszcz działał inaczej od czasu, gdy zaczęła jeść mięso otchłańców. Czowała, jak wyszyte na nim runy wysysają z niej magię, ale zamiast emanować jaśniejszym światłem, zdawały się zamazywać i ciemnieć. Renną wpatrywała się w nie, aż poczuła zawroty głowy. Zastanawiała się, ile demoniego mięsa musi jeszcze zjeść, zanim płaszcz zniknie całkowicie. Zapewne więcej od Arlena, gdyż on nadal go widział. Dziewczyna spostrzegła jednak, że nigdy nie wpatrywał się w nią długo, gdy miała na sobie runiczne okrycie.

– Co oni robią? – spytała, gdy cisza i bierność zaczęły jej w końcu dokuczać.

– Tworzą wielki run – odparł Arlen. – Najpierw wycinają drzewa w centrum przyszłej osady, a potem oczyszczają teren w różnych kierunkach tak, aby utworzyć kształt znaku zakazu o rozmiarach kilku mil. W nocy zaś wybijają demony, które powstają na tym obszarze. W przeciwnym razie podczas materializacji zostałyby odepchnięte na krawędź bariery.

– Dlaczego wszyscy ludzie tego nie robią? – zdziwiła się Renną.

Wiedziała, że run o tych rozmiarach wysysa tyle magii, że żaden otchłańiec nie zdoła się przebić. Co więcej, uszkodzenie symbolu graniczyło z niemożliwością.

– Myślę, że tworzone takie runy dawno temu podczas Wojen z Demonami – odparł Arlen. – Ale wiedza poszła w zapomnienie, a od czasu Powrotu jesteśmy zbyt zajęci chowaniem się po kątach.

Renna parsknęła i przyjrzała się uważniej bitwie, natychmiast rozpoznając Rębaczy. Było to popularne przezwisko, przydawane prawie każdemu, kto trudnił się ścinaniem drzew bądź sprzedażą drewna. Nawet w Potoku Tibbeta, leżącym wiele set mil stąd, żyło prawie stu Rębaczy, ich wieś znajdowała się niedaleko Złotego Lasu. Z wielkim zdziwieniem Renna stwierdziła, że w niczym nie różnili się od mieszkańców Zakątka.

Byli to potężni, barczyści mężczyźni, ubrani w grube skórzane kamizele bez rękawów i noszący naramienniki na bicepsach większych od głowy Renny. Gdyby przymrużyła oczy, zapewne doszłaby do wniosku, iż widzi Brine'a Rębacza, który kilka miesięcy temu bronił jej podczas rozprawy. Tej feralnej nocy nie miała ochoty nawet się ruszyć, nie wspomniawszy już o zabranii głosu w swojej sprawie, ale pamiętała każde słowo, które padło, gdy starsi Potoku Tibbeta ogłosili wyrok śmierci dla Renny. Rębacze stali po jej stronie.

Wśród walczących były również kobiety, uzbrojone w kusze bądź ciężkie runiczne ostrza. W pierwszej chwili Renna pomyślała, że noszą ciężkie suknie, ale widząc je w ruchu, uświadomiła sobie, iż okrycia są rozcięte. Kobiety zyskiwały dzięki temu większą mobilność i nie narażały na szwank swej reputacji.

Renna parsknęła. Równie idiotycznych decyzji można się było spodziewać po świętoszkowatych żonach w Potoku Tibbeta, co poniekąd wyjaśniało, dlaczego nie ujęły się za Renną i jej siostrami. W dawnych czasach dziewczyny Tannera rzadko kiedy zakrywały ciała przed promieniami słońca, a teraz Renna nosiła skąpe ubrania, aby runy wymalowane na skórze mogły chłonać magię z powietrza nocy.

Kobiety otoczone były przez grupę mężczyzn, którzy wydawali się całkowitym przeciwieństwem Rębaczy. Nosili mocne hełmy oraz ciężkie drewniane pancerze runiczne, pomalowane lakierem, a potem utwardzone. Każdy dzierżył długą włócznię oraz tarczę z kręgiem ochronnym i symbolem drewnianego żołnierzyka.

– A ci to co za jedni? – wskazała ich Renna.

– Drewniani Żołnierze – objaśnił Arlen. – Gwardia księcia Angiers. Książę Rhinebeck obiecał, że przyśle ich, aby ćwiczyli wraz z Rębaczami.

– Wygląda na to, że niewiele się nauczyli – zauważyła Renna.

Pomimo wspaniałych zbroi żołnierze stali nieruchomo i ściskali kurczowo broń, obrzucając demony przestraszonymi spojrzzeniami.

– To straż miejska. Potrafi jedynie straszyć zwykłych obywateli i raz na jakiś czas rozpędzić bijatykę. Wątpię, czy przed przybyciem do Zakątka któryś z nich kiedykolwiek pchnął włócznią gdzie indziej niż na placu ćwiczebnym. Spójrz, książę Thamos trzyma się najgorzej.

Mężczyzna wskazany przez Arlena w istocie nosił wspaniałą zbroję godną księcia. Na jego stalowym, wypolerowanym pancerzu lśniły złociste runy. Był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, czarna broda okalała mocną szczękę.

Przestępował jednak z nogi na nogę, wymachiwał rękami i kręcił głową, jakby na próżno usiłował rozprostować sztywne mięśnie. Renna czuła bijący od niego strach i wiedziała, że demony również to wychwytyją.

Nie było wątpliwości, że Rębacze celowo przesunęli Drewnianych Żołnierzy na tyły pod pretekstem ochrony kobiet, które najwyraźniej ani nie chciały, ani też nie potrzebowały opieki.

Wiele lat temu ojciec Renny poprosił Brine'a Zwalistego i kilku innych Rębaczy w Potoku Tibbeta, by pomogli mu oczyścić teren pod uprawę. Renna i Beni przyglądały się, jak całymi godzinami drwale obalają jedno drzewo za drugim, odwożą pnie i usuwają korzenie. Każdy ruch był płynny i precyzyjny. Nie tracili energii i uderzali tak, aby waga siekiery wzmocniła siłę ciosu.

Rębacze z Zakątka walczyli w ten sam sposób. Nadal dzierżyli topory, atrybuty ich profesji, ale wzmocnili je runami, dzięki czemu siali spustoszenie z nieubłaganą skutecznością. Dwóch mężczyzn z wielkimi toporami na długich trzonkach na przemian rąbało drzewnego demona, wysokiego, smukłego potwora z bardzo długimi ramionami. Za każdym razem, gdy otchłaniec usiłował pochwycić jednego z drwali, drugi uderzał go z przeciwnego kierunku. Gdy potwór znajdował się bliżej, parowali jego ciosy runicznymi naramiennikami. W końcu któryś z nich uderzył przeciwnika w wewnętrzną stronę kolana. Pod demonem ugięły się nogi.

– Samm! – zakrzyknął jeden z drwali i niespodziewanie za stworem pojawił się trzeci Rębacz, który wymierzył mu kopniaka stopą w wielkim bucie i posłał na ziemię pyskiem w dół. Drwal dzierżył ogromną, dwuręczną piłę, która bez trudu cięła korowaty pancerz na karku, śląc naokoło snopy magicznych iskier oraz strumienie posoki. W kilka sekund później łeb potwora odpadł od ciała.

– Na noc! – szepnęła Renna.

Arlen uśmiechnął się i pokiwał głową.

– To Samm Rębacz, zwany również Sammem Piłą. Kiedyś odcinał gałęzie od powalonych przez Rębaczy drzew, aby można było odholować pnie. Odcinał dziennie setki konarów. Teraz z tą samą łatwością kroi demony.

Ktoś zawołał i Samm odwrócił się do Rębacza, atakującego wielką motyką innego drzewnego demona. Każdy cios runicznej broni odrzucał potwora o krok w tył, przez co nie mógł złapać równowagi, ale regenerował obrażenia w takim tempie, że drwal nie mógł mu zagrozić. Samm podbiegł do demona i bez ostrzeżenia przerznął mu nogę. Otchłaniec padł z dzikim wrzaskiem, a wtedy Rębacz wykrzyknął podziękowanie i uniósł motykę, aby dobić bestię.

Po drugiej stronie polany około tuzina Rębaczy zarzucało liny na ramiona i barki szalejącego skalnego demona. Dwie kobiety raz po raz strzelały do niego z kusz, ale ciężkie bełty odbijały się od obsydianowego pancerza niczym słomki, nie czyniąc żadnej szkody, a jedynie powiększając złość otchłānca.

Niedaleko stało trzech mężczyzn – dwóch młodszych z niewielkimi, ciężkimi przybijakami i starszy z dwuręcznym młotem – oraz mały chłopak. Dzieciak trzymał ciężki klin.

– To Tomm Klin i synowie – wskazał ich Arlen. – Spójrz tylko.

Skalny demon wystawił nogę, chcąc naprzec na krępujące go liny, a wtedy młodzi mężczyźni podbiegli i wbili runiczne gwoździe w szczeliny między płytami chroniącymi kolana stwora. Niemalże jednocześnie uderzyli w nie młotami, aż szły iskry.

Demon wrzeszczał i miotał się, ale Rębacze ze wszystkich sił szarpnęli za liny. Otchłaniec zatoczył się i machnął dziko ogonem, przewracając kilku walczących. Przy upadku puścili liny – a demon runął w przeciwnym kierunku, stracił równowagę i padł.

Chłopiec poruszał się szybko niczym królik. W okamgnieniu znalazł się na plecach potwora i wbił wzmocniony runami klin w miejsce, gdzie stykały się dwie płyty pancerza chroniącego plecy. Do akcji wkroczył również Tomm i jednym precyzyjnym ciosem młota wepchnął klin głęboko w ciało potwora. Strzeliły iskry tak jasne, że Renna aż przymknęła oczy, a gdy znów je otwarła, demon już się nie ruszał.

Precyzja, płynność, ani jednego ruchu na próżno.

– Dziwne. Zupełnie jakby rąbali drzewa.

Arlen pokiwał głową.

– Pierwszej nocy nie mieliśmy czasu, aby zrobić porządną broń czy też przeszkolić ludzi w walce. Trzeba było malować runy na wszystkim, co było pod ręką, a Rębacze udostępni

najcenniejsze, co mieli: narzędzia. Z dnia na dzień do walki przyłącza się coraz więcej ochotników, którzy otrzymują produkowane masowo włócznie, ale nawet najlepsi nie potrafią dorównać Rębaczom. Drwale nadal wykorzystują w walce narzędzia, stało się to ich znakiem rozpoznawczym. Gdy pojawiają się Rębacze, ludzie schodzą im z drogi, a gdy ich nie ma, ludzie snują o nich opowieści.

– A wszystko przez to, że mieli szczęście spotkać Arlena Balesa tuż przed śmiercią – powiedziała Renna. – Podobnie jak ja.

Mężczyzna spojrział na nią, ale dziewczyna uniosła rękę, by powstrzymać jego słowa.

– Nie wierzę, że jesteś Wybawicielem, ale nie zaprzeczysz, że możesz poszczycić się rzadkim talentem. Umiesz pokazać ludziom, jak się wyprostować i chwycić za broń.

Dotknęła rękojeści noża przy tych słowach.

– Każdy ma jakiś talent, jak sądzę – burknął Arlen.

– Cóż, chłopakom z Zakątka na pewno nie zaszkodziło to, że każdy z nich jest ogromny i trzeba podskoczyć, żeby go pocałować, jak mawiała moja siostra.

– Magia odegrała w tym pewną rolę – stwierdził Arlen. – Słońce wypala ją z rana, ale nim to nastąpi, magia wpływa na wszystko, czego dotknie. Runiczna broń nie niszczy się ani nie tępi tak łatwo, a Rębacze nasiąkają mocą co noc od prawie roku. Starsi mężczyźni odzyskują wigor, a młodszy bardzo szybko osiągają pełnię możliwości. Widzisz tego szarowłosego?

Wskazał muskularnego, żylastego mężczyznę, który walczył z drzewnym demonem, liczącym sobie siedem stóp wzrostu. Renna pokiwała głową.

– To Siwy Yon – ciągnął Arlen. – Najstarszy mężczyzna w Zakątku. Rok temu jego włosy były białe jak mleko. Nie potrafił chodzić bez laski i ręce mu drżały.

– Naprawdę?

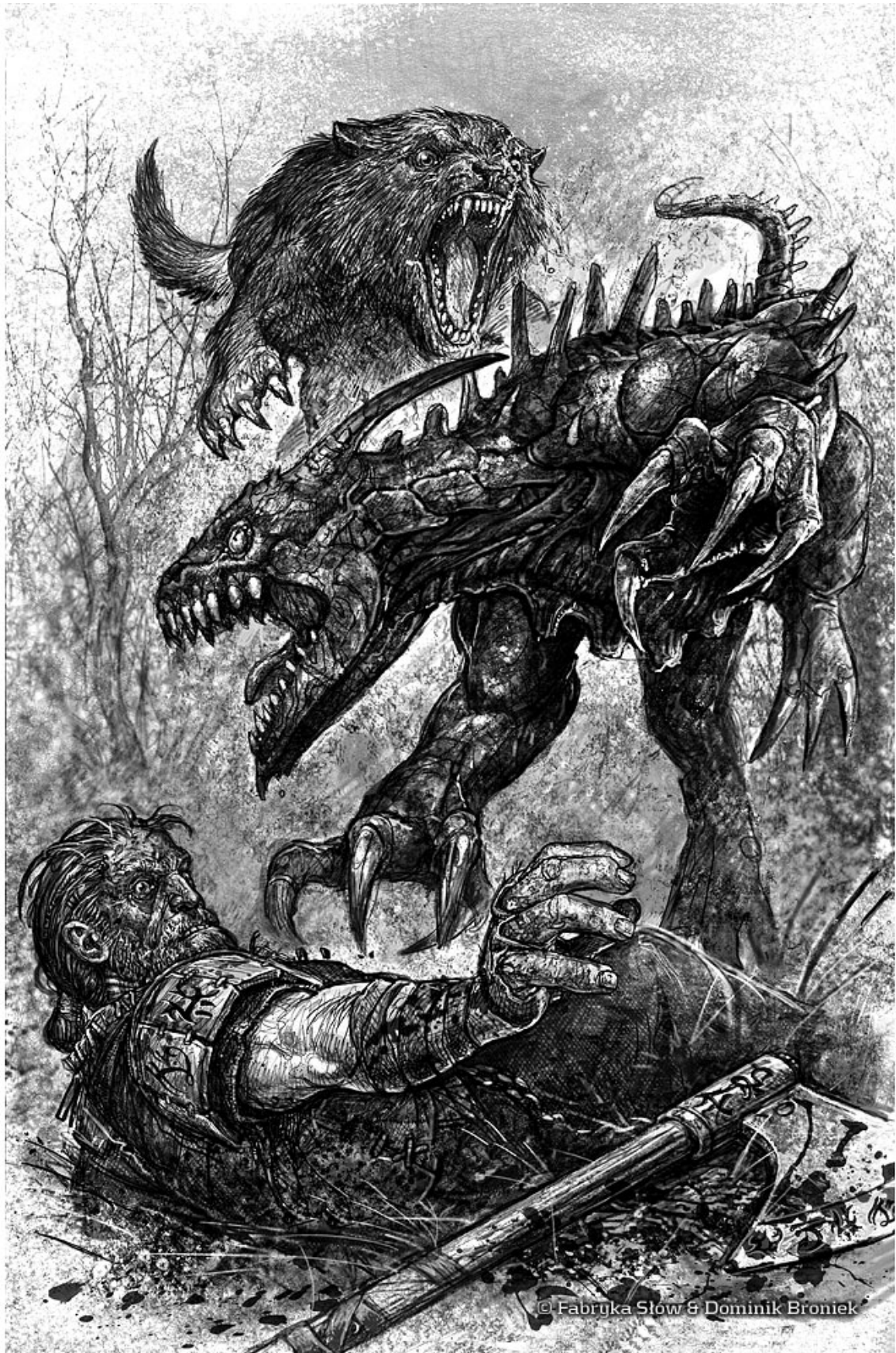
Potaknął, a potem wskazał innego człowieka, tym razem w sile wieku, który szarżował na demona zajętego walką z Yonem.

– To Linder Rębacz. Ma góra piętnaście lat.

Któryś z drwali trafiony ramieniem drzewnego demona przeleciał kilkanaście stóp. Uderzył w ziemię z głośnym łupnięciem, a motyka wyleciała mu z ręki. Renna nie ujrzała krwi, ale wiedziała, że człowiek nie zdoła się podnieść i uskoczyć przed atakującym otchłańcem.

Nóż znalazł się w ręku Renny w ułamku sekundy, ale Arlen złapał ją za ramię i zatrzymał. Smagnęła go wściekłym spojrzeniem, ale on jedynie odwrócił jej głowę w stronę pola bitwy.

Renna ujrzała wówczas, jak na plecy demona skacze olbrzymi wilczur i powala go na ziemię. Kły zwierzęcia oderwały spory fragment szorstkiego, guzłowatego pancerza i wbiły się w miękkie ciało stwora.



Mężczyzna zdołał się podnieść, złapać za broń i roztrzaskać otchłancowi czaszkę. Pies uniósł umazany czarną juchą pysk i spojrzał na człowieka. Dzięki wzmocnieniu runami Renna dostrzegła, że zwierzę aż świeci od magii. Nigdy nie widziała potężniejszego psa. Ważył przynajmniej pięćset funtów, miał skudlone czarne futro i pazury tak potężne, że wbijały się w ziemię. Warknął na Rębacza, ale ten jedynie roześmiał się, podrapał go za uszami i gwizdnął, wracając na plac boju. Pies oblizał kły, po czym pobiegł za panem.

– Na Stwórcę! – westchnęła Renna. – Jest wielki niczym nocny wilk!

– Kiedyś był o wiele mniejszy, ale pożera demonie mięso – wyjaśnił Arlen. – Za każdym razem, gdy go widzę, ten cholerny pies jest coraz większy!

– To dlatego nocne wilki też są takie wielkie?

– Pewnie tak.

W bitewnym zamieszaniu drzewny demon o prawie ośmiu stopach wzrostu przedarł się przez Rębaczy i natarł na Drewnianych Żołnierzy. Ci wrzasnęli ze strachu i zwarli ścianę runicznych tarcz, całkiem zapominając o włóczniach. Magiczne symbole zabłyśły, szereg zafalował pod wpływem zderzenia, a mężczyźni powpadali na kobiety, których mieli bronić. Jeden stracił równowagę i przewrócił się, pociągając ze sobą dwie kuszniczki. Ktoś inny wrzasnął, gdy przypadkowo zwolniony belt przebił lakierowaną zbroję i utkwiał w jego udzie.

Otchłaniec jednakże zdołał utrzymać się na nogach i z oszałamiającą prędkością pomknął do luki w szeregu.

Księżę Thamos pokonał strach, krzyknął i skoczył mu naprzeciw. Demon zamachnął się pazurzastą łapą, ale człowiek uniósł ramię i przyjął cios na tarczę. Strzeliły magiczne skry, a Thamos pchnął krótką włócznią w podbrzusze demona. Renna widziała, jak po drzewcu przemknęła magia i wniknęła w ciało księcia, napelniając go mocą.

Był to doskonały, precyzyjny atak, ale włócznia nie ugodziła w żaden żywotny organ, potwór w okamgnieniu pokonał oszołomienie i znów się zamachnął. Thamos uniknął pierwszego ciosu i przyjął kolejny na tarczę. Nie puścił przy tym włóczni, na próżno usiłując wyrwać ją z grubego, przypominającego korę pancerza przeciwnika. Runy przebicia na ostrzu bez trudu przeszyły skórę stwora, ale w żaden sposób nie pomagały w oswobodzeniu broni.

– Wykorzystał niewłaściwe runy – zauważył Arlen. – Jeśli ma trochę oleju w głowie, puści broń i pozwoli kobietom zakończyć sprawę.

W istocie, kilka mieszkanek Zakątka już podniosło kusze, ale księżę nadal znajdował się na linii strzału.

Thamos jednak zaskoczył wszystkich. Ryknął głośno i nie puszczać drzewca włóczni, uniósł opancerzoną stopę i kopnął kilkakrotnie w brzuch otchłańca. Runy zderzenia rozbłyskiwały na księżęcej podszwie, a maltretowany demon cofał się z każdym ciosem, stopniowo uwalniając broń. W końcu runął na plecy, a Thamos przypadł i wbił mu ostrze w serce.

Zaraz potem oparł się butem o klatkę piersiową potwora i uwolnił broń wraz ze strumieniem posoki. Wreszcie, odwróciwszy się z dzikim rykiem, skoczył na pomoc parze Rębaczy. Warknął głucho i wbił broń w plecy ich przeciwnika. Napierając na ostrze, zbliżył się do demona tak bardzo, że runy na jego zbroi rozbłysły.

Ów przerażony człowiek, którego Renna widziała na początku starcia, znikł. Zamiast niego ujrzała wojownika walczącego jak szaleniec i zupełnie niedbającego o własne bezpieczeństwo.

Nagle rozległ się dziki wrzask. Drzewny demon zatopił pazury w klatce piersiowej innego Rębacza. Ranny zdołał odrzucić otchłańca rozpaczliwym ciosem topora, ale broń wyslizgnęła mu się z rąk, a on sam runął na ziemię.

Renna napięła mięśnie, ale Arlen już skoczył. Popędziła za nim, choć wiedziała, że żadne z nich nie zdąży ocalić ранnego.

Niespodziewanie powietrze zamazało się i Renna poczuła znajomy zawrót głowy. Jej oczom ukazała się szczupła dziewczyna, która odrzuciła poły magicznego płaszcza niewiele różniącego się od tego, który sama nosiła. Nieznajoma miała na sobie luźne spodnie oraz bluzkę w jaskrawych, pstrokatych kolorach, a do tego obcisłą kamizelkę. Była o połowę drobniejsza od powalonego Rębacza i gdy stanęła naprzeciwko demona, wydawała się drobna niczym kot syczący na nocnego wilka. Mimo to bez strachu spojrzała otchłańcowi w oczy, a gdy ten sięgnął, wyciągnęła skrzypce i przesunęła smyczkiem po strunach. Poniosły się zgrzytliwe, dysonansowe tony.

Demon wrzasnął i zamachnął się, ale dziewczyna odskoczyła, przetoczyła się po ziemi i znów zerwała, nie przestając grać. Stwór przycisnął pazurzaste łapy do uszu i zatoczywszy się, wrzasnął po raz drugi.

Powietrze znów się rozmazało i za plecami otchłańca pojawiła się inna kobieta, wysoka i barczysta. Pozostawała niezauważona, dopóki nie uniosła ciężkiego runicznego ostrza, którym

odrabiała potworowi ramię. Rana oraz zgrzytliwa muzyka okazały się dla demona nie do zniesienia – rzucił się do ucieczki.

Wybiegł prosto na Arlena i Rennę.

Mężczyzna nawet się nie zatrzymał. Złapał otchłānca za róg, przyciągnął go szarpnięciem i nakreślił mu run gorāca na piersi, a potem odepchnął. Demon w okamgnieniu zamienił się w szalejącā, rozwrzeszczanā kulę ognia, a Arlen przypadł do rannego Rębacza.

Obie kobiety natychmiast rozpoznały przybysza, a w ich oczach pojawiło się zdumienie, a nawet lęk. Ta, która odrabiała demonowi ramię, opamiętała się jako pierwsza.

– Czas najwyższy na powrót! – oznajmiła i uklękła przy rannym, wyciągając z kieszeni fartucha wszystko, czego potrzebowała, aby opatrzyć obrażenia. Jej młodsza towarzyszka nadal wpatrywała się w Arlena z otwartymi szeroko ustami.

– Miło znów cię ujrzeć, Darsy – skrzywił się Arlen, a spojrzawszy na dziewczynę, dodał: – Zajmij się lepiej muzykowaniem, Kendall.

Wskazał skrzypce, a potem uklękął obok Zielarki. Kendall wyprostowała się, ujęła skrzypce i rozejrzała w poszukiwaniu zagrożeń.

Leżący Rębacz zakaszłał konwulsyjnie, opryskując twarz Arlena krwią, i zaległ nieruchomo. Wojownik przytrzymał go, a Darsy obejrzała rany.

– Na noc! – szepnęła. Od biodra aż po pierś drwała ciągnęły się trzy głębokie cięcia broczące krwią. – Nic nie poradzimy.

– Szlag by to trafił! – warknął jej towarzysz. Jednā rękā ścisnął brzegi rany, a drugā nakreślił w powietrzu serię runów, aż otoczyła ich słaba emanacja. Obie kobiety przyglądały się z niedowierzaniem, jak śmiertelne rozdarcia zasklepiają się na ich oczach.

Ranny nabrał gwałtownie tchu, po czym zaczął kaszleć, próbując przy tym się podnieść. Arlen położył dłoń na jego klatce piersiowej i zmusił do leżenia. Wtedy Rębacz otworzył oczy.

– Wróciłeś – wychrypiał.

– Pewno, że wróciłem, Jow – uśmiechnął się Arlen.

– Mówili, że nas porzuciłeś – wyszeptał Jow. – Ale ja nigdy nie straciłem wiary w ciebie.

Arlen zacisnął mocno usta, ale nachylił się i podniósł Rębacza jak dziecko, aby zabrać go do wnętrza bezpiecznej bariery runicznej. Był tam Opiekun, starszy mężczyzna z brodā szarā niczym deszczowa chmura. Na zwykłą brązowā szatę narzucił grubā komżę z runami ochrony otaczającymi zakrzywionā laskę, znak jego zakonu. Na widok Arlena otworzył szeroko oczy, ale

pospieszył doń z akolitą u boku. We dwóch przejęli Jowa i wnieśli do chronionego namiotu, na którym również wymalowano symbol zakonu. Opiekun ani na moment nie spuścił z Arlena wzroku. Wybiegł zaraz po wniesieniu rannego. Z laską z wypolerowanego drewna, na której wyrzeźbiono ciąg runów, przyglądał się bitwie zza bariery.

Walka powoli dobiegała końca, a księżę, który miotał się między jednym starciem a drugim, nagle uświadomił sobie, że nie ma już przeciwników. Rozejrzał się z szaleństwem w oczach, zdyszany, ale zagrożenie zniknęło. Niespodziewanie jego ciało przeszył dreszcz, a on sam oparł się ciężko o włócznię. Błyskawicznie otoczyli go podwładni i księżę zniknął za ich plecami, ale Renna słyszała, że krztusi się i wymiotuje.

– Zawsze tak samo – oznajmiła Darsy. – Gdy w hrabim obudzi się zapał do walki, na całym polu nie masz zacieklejszego od niego. Sęk w tym, że pokonanie strachu zabiera mu sporo czasu, a po bitwie pada jak ścięte drzewo.

– Nie ma się czego wstydzić – rzekł Arlen. – Sam padałem tak setki razy. A to, że rusza do walki, dobrze o nim świadczy. Zaraz, co powiedziałaś? W hrabim?

Darsy pokiwała głową.

– Pojawił się tu z eleganckim dekretem mianującym go hrabią i panem Zakątka Rębaczy oraz terenów przyległych. Przyprowadził także karawanę długą na milę oraz ponad tysiąc żołnierzy i łuczników. Ma przygotować fortyfikacje na przybycie Krasjan. Zaczęto już budować dla niego fort. Ludzie byli tak wdzięczni za jedzenie i koce, że nawet się nie sprzeciwili, tym bardziej że ty i Leesha wyjechaliście Stwórcę jeden wie gdzie.

– A więc po prostu oddaliście mu Zakątek? – zdziwił się Arlen.

– Nie mieliśmy wyboru – odparła Darsy. – Ale nie jest źle. Zazwyczaj pozwala nam zajmować się własnymi sprawami, no i nikt nie zaprzeczy, że przyniósł nam pomoc i nadzieję.

Gdy walka dobiegła końca, Renna dostrzegła, że Rębacze nadal postępują wedle nauk Arlena i obchodzą polanę, aby skrupulatnie dobić ranne potwory. Dzięki magii demony szybko regenerowały obrażenia, nawet te zadane runiczną bronią, przez co w minutę goiło im się wszystko z wyjątkiem odrąbanych członków. Kilka pozornie martwych potworów wrzasnęło na widok nadchodzących Rębaczy, próbując ich zaatakować bądź uciec. Szybko otoczono je i przygwoźdzono do ziemi, gdzie miotaly się dziko, póki któryś z drwali nie przerwał pancerza chroniącego kark. Odcięcie łba nawet małego drzewnego demona czasami wymagało kilku uderzeń, a czasem do działania musiał przystąpić Samm Piła.

Renna podeszła do Arlena i kobiet. Przyglądała się ich magicznym płaszczom, które nadal wywoływały u niej zawroty głowy.

– To ty wykonałeś te runy? – spytała Arlena, podświadomie bojąc się odpowiedzi.

Darsy, która dopiero teraz dostrzegła Renny, zwróciła uwagę przede wszystkim na skąpe odzienie. Popatrzyła na ramiona Renny i rozchyliła nozdrza, po czym złapała rąbek płaszcza dziewczyny i przyjrzała mu się w świetle ognisk, aż w końcu z oburzeniem odwróciła się do Arlena i wycelowała w niego gruby palec.

– Oddałeś Płaszcz Ślepoty? Czy zdajesz sobie sprawę, że pani Leesha trafiła przez niego w niewolę? Nawet jej nie podziękowałeś! Nigdy go nie założyłeś, a teraz po prostu go oddałeś!

– Dość, ty głupia krowo! – warknęła Renna i wyrwała tkaninę z rąk Zielarki, po czym stanęła między nimi. – Nie waż się tak do niego odzywać!

– Albo co? – parsknęła Darsy i groźnie pochyliła się nad Renny tak blisko, że ich nosy niemal się zetknęły. – To nie twoja sprawa, dziewczko, a więc zamknij się albo przelożę cię przez kolano.

Darsy może i była Zielarką, ale Renna od razu rozpoznała wojowniczkę. Jej przeciwniczka była o głowę wyższa i dobrze zbudowana, miała potężne mięśnie bez grama tłuszczu. Podobnie jak inne kobiety, Zielarka nosiła rozciętą spódnicę, a za pasem ciężki, zakrzywiony niczym kosa runiczny nóż, który zapewne nadawał się zarówno do przecinania grubych łodyg ziół, jak i odrąbywania kończyn demonów. Rękojeść znaczyły ślady wieloletniego użycia.

Dla Renny nie miało to jednak najmniejszego znaczenia. Pochwyciła Zielarkę za gardło i zaczęła dusić. Darsy stawiała zaciekły opór, zacisnęła grube, męskie dłonie na ramionach Renny, lecz równie dobrze mogłaby próbować rozgiąć stalowe pręty. Zamachnęła się więc pięścią, ale córka Harla bez trudu uniknęła ciosu, po czym złapała Zielarkę za nadgarstek, szarpnięciem wyprostowała jej ramię i naparła na łokieć. Darsy poczerwieniała, a żyły na jej szyi nabrzmiały.

– Dość tego, Ren! – warknął Arlen, chwyciwszy ją za ramiona. Nacisk Renny osłabł, a wtedy mężczyzna odsunął ją równie łatwo jak kota, który wskoczył na ladę, aby obwąchać deskę do krojenia mięsa.

– To ona zaczęła! – burknęła Renna. Zmagiła się z żelaznym uściskiem Arlena równie bezskutecznie jak wcześniej Darsy z jej chwytem. – Sam widziałeś!

– Jasne – zgodził się cicho Arlen. – Ale to nie powód, aby zabić. A może twoi rodacy w Potoku mieli rację i trzeba było cię rzucić na pastwę demonów?

Jego słowa podziały jak kubeł zimnej wody wylany na głowę. Renna natychmiast przestała się szamotać. Miał rację. Oczywiście, że miał rację. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Harl Tanner dostał za swoje, gdy córka zakłuła go nożem, ale przecież Darsy Rębacz nie była Harlem!

Jednak w głębi duszy Renna wrzeszczała i domagała się krwi. Oddychała powoli, głęboko, wyciszając furię. Arlen poczuł, że towarzyszka się odprężyła, i natychmiast ją puścił.

– Wszystko w porządku? – spytał Darsy, która oddychała ciężko i masowała gardło.

– W porządku – wychrypiała Zielarka.

Arlen skinął głową, ale nie był to przyjazny gest.

– Więc przyjmij do wiadomości, że to, co robię z moimi rzeczami, to nie twój zakichany interes. Poza tym raczej nie sądzę, by Leeshy spodobało się twoje marudzenie.

– Dobra – kaszlnęła Darsy. – Może i masz rację.

Następnie zwróciła się do Renny:

– Matka usiłowała nauczyć mnie manier, ale kiepsko jej to wychodziło.

– Ja też chyba nie pokazałam się z najlepszej strony – burknęła Renna.

Druga z kobiet zakaszłała i wszyscy spojrzeli na nią. Miała może siedemnaście lat i była prawdziwą pięknoscią, ale gdy Renna przyjrzała jej się uważniej, dostrzegła blizny niksące pod kołnierzem bluzki. Zrozumiała, że ta dziewczyna otarła się kiedyś o śmierć. Co więcej, potrafiła zaczarować otchłań muzyką. Do tej pory Renna nie wierzyła w opowieści Arlena o rudowłosym Minstrelu, ale teraz ujrzała kogoś podobnego na własne oczy.

Arlen uśmiechnął się i ukłonił dziewczynie.

– Grasz coraz lepiej, Kendall. Wygląda na to, że Rojer nie oszczędzał ani ciebie, ani innych muzykantów.

Kendall wbiła spojrzenie w ziemię. Na jej twarzy odmalował się smutek.

– Rojer zniknął przed kilkoma miesiącami – wyjaśniła Darsy. Jej głos, choć nadal ochrypły, stawał się mocniejszy. – Udał się do Rizon z panią Leeshą. Reszta jego czeladników bardziej interesuje się graniem w kości niż walką z demonami.

Trąciła lekko Kendall w ramię.

– Nasza mała skrzypaczka-czarodziejka stanowi chlubny wyjątek. Jest warta tuzina wojowników z włóczniami, ot co!

Kendall nadal nie podnosiła wzroku, ale na jej policzkach pojawił się rumieniec, a na ustach lekki uśmiech.

- Kiedy zniknęła Leesha? – spytał Arlen.
- Wyjechała z Krasjanami jakieś dwa miesiące temu – odparła Darsy.
- A więc to wszystko prawda? Jardir przybył do Zakątka i uprowadził ją?
- Mniej więcej.
- Co to ma znaczyć? – Arlen zmarszczył brwi.

Darsy nabrała tchu i spojrzała na niego z powagą.

- Poprosił ją o rękę.

Arlen wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. Opanował się natychmiast, ale Renna wiedziała, że wieść dotknęła go do żywego. Nawet otaczająca go aura magiczna zmieniła się zauważalnie – jej powierzchnia pękała niczym zielone drewno wrzucone do ognia. Nigdy jeszcze Renna nie widziała, aby cokolwiek tak zaskoczyło narzeczonego, i nie wiedziała, jak to odebrać. Leesha może była dla niego przeszłością, ale nadal miała nad towarzyszem Renny władzę.

Arlen pochylił się ku Darsy. Choć wydawał się spokojny, wpatrywał się w nią intensywnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że Leesha wyjechała, aby poślubić Ahmanna Jardira? Tego kłamliwego mordercę i gwałciciela? Tego łotra z Otchłani? To właśnie usiłujesz mi przekazać, Darsy?

Jego głos potężniał z każdym słowem. Renna ujrzała, że magia ściąga ku niemu, a runy zaczynają się mienić. Zielarka cofnęła się jak przed syczącą zmiją.

– Nie powiedziała „tak”! – krzyknęła. – I na pewno nie oszalała ani nie zgłupiała! Powiedziała, że to tylko pretekst, by ruszyć na Południe i przekonać się, co Jardir tam wyprawia! Chciała poznać jego metody i liczebność wojsk. Co więcej, nie pojechała sama. Zabrała ze sobą Rojera, Gareda, Wondę i rodziców, żeby jej strzegli.

– To akurat nie ma znaczenia – prychnął Arlen. – To, że pojechała wraz z nim i zabrała ojca, oznacza dla Krasjan tylko jedno. Erny wystawił ją na sprzedaż i czeka na właściwą cenę.

Darsy skrzywiła się.

- Jak śmiesz! Pani Leesha to nie krowa, którą można kupić czy sprzedać!

– W oczach Krasjan nie jest niczym więcej! – warknął Arlen. – Ci ludzie nie traktują kobiet jak wolnych ludzi! Nieważne, czy jesteś pasterką, czy hrabiną, dla nich stanowisz jedynie towar, który można zarówno kupić, jak i sprzedać. I nikt nie zaproponuje ceny wyższej niż cholerny, spaczony Ahmann Jardir, kiedy się uprze, Darsy. Nikt. Nikt na całym świecie.

Darsy się cofnęła. Opuścił ją wojowniczy nastrój, pokiwała jedynie głową.

– Powiedziałam jej, że to głupia decyzja, ale nie słuchała. Jest uparta jak otchłaniec.

Na jej twarzy pojawiła się rozpacz, jakby przyznanie, że ukochana pani ma jakąś wadę, sprawiło Zielarce fizyczny ból. Renna splunęła na ziemię. Darsy drgnęła, ale nie odezwała się ani słowem.

– Na szczęście chyba nie znalazła się w niebezpieczeństwie – dodała. – Regularnie wysyła mi zaszyfrowane listy, w których pisze, że zarówno ona, jak i reszta mają się dobrze. Cokolwiek by można o Krasjanach powiedzieć, są znakomitymi Posłańcami.

– Zaszyfrowane? – powtórzył Arlen.

– Przecież powiedziałam, że nie zgłupiała. – Darsy wreszcie odważyła się spojrzeć mu w oczy. – Przyszło jej do głowy, że Krasjanie pewnie będą chcieli czytać cudzą korespondencję, więc kazała mi zapamiętać serię fraz i słów, dzięki którym dowiem się prawdy, nawet gdy będzie pisać pod przymusem. Jak dotąd Jardir najwyraźniej dotrzymuje słowa, ale Leesha pisze, że jego armie opanowały całe Rizon i nie sposób ich zliczyć. Nalegała, byśmy nie pisali nic o tobie, ale wyznaczyła sekretne słowo oznaczające twój powrót.

– Napisz do niej natychmiast – nakazał Arlen. – Niech wraca jak najszybciej do Zakątka. Mam wieści, które muszę jej bezzwłocznie przekazać, a żaden szyfr ich nie wyrazi.

– Nie omieszka – odpowiedziała Darsy. – Stwórca nie zaplanował, że zostanę Zielarką całej osady.

– Nadeszły ciężkie czasy, Darsy, i trzeba udźwignąć każdy ciężar, jaki spadnie na twoje barki – stwierdził Arlen. – Coś złego wydarzy się podczas Nowiu. Coś, przy czym Jardir będzie równie groźny jak końska mucha.

– Cóż takiego? – Darsy pobladła.

Arlen zignorował pytanie.

– Kto przemawia w imieniu Rębaczy po odejściu Gareda?

– A jak myślisz? – odparła Darsy. – Rzeźnicy. Nawet hrabia uznał, że nie ma co mieszać się w lokalne układy. Wręczył im książęce nominacje i nauczył się prosić o zrobienie tego, na co sami nie wpadną.

Niespodziewanie rozległo się głośne szczekanie i na Arlena ruszyło ogromne zwierzę aż tętniące magią. Renna wyciągnęła nóż, ale mężczyzna po prostu uklęknął i rozłożył szeroko ramiona. Potężny wilczur wpadł na niego i zaczął go lizać po twarzy. Arlen śmiał się tak głośno, że jego wesołość zaczęła udzielać się innym.

– Wciąż nie nauczyłeś tego kundla, by siadał na rozkaz, Evin? – Arlen spojrzał na nadchodzącego właściciela psa.

– Cień siada tylko wtedy, gdy ma ochotę – odparł Evin. – Cieszę się, że pan wrócił.

– Jak się miewają Brianne i chłopaki? – Arlen odsunął zwierzę.

– Chłopaki rosną jak dzikie chwasty! – zapewnił przybyły. – Callen wkrótce sam stanie się Rębaczem, a w brzuchu Brianne dorasta kolejny brzdąc. Tym razem modlimy się o dziewczynkę.

Spojrzał z nadzieją na Arlena, ale ten westchnął:

– Nikt nie ma wpływu na płęć dziecka, Evin. Nie wiem, czy istnieje Stwórca, a nawet jeśli tak, to raczej nie słucha moich słów. Miejmy tylko nadzieję, że jeśli urodzi wam się dziewczynka, odziedziczy urodę po matce.

Wszyscy spojrzeli na Arlena ze zdumieniem, jakby nie mogli uwierzyć, że jest w stanie żartować, aż w końcu Evin parsknął śmiechem i reszta poszła w jego ślady. Napięcie znikło.

Darsy odkaszlnęła, podchwyciła spojrzenie Arlena i wskazała ruchem głowy pobojowisko. Zbliżał się do nich hrabia. Nadal ocierał usta jedwabną chusteczką, ale szedł zdecydowanym krokiem. Towarzyszyło mu dwoje wojowników – mężczyzna i kobieta.

– To Dug i Merrem Rzeźnicy – mruknął Arlen do Renny. – Przed bitwą o Zakątek Rębaczy byli prawdziwymi rzeźnikami.

Dug i Merrem byli potężnie zbudowani, z twarzami poritymi poparzeniami i bliznami na masywnych ramionach. Mężczyzna, łysy i spocony, miał na sobie gruby skórzany fartuch rzeźnicki wzmocniony kolczugą. Od stóp do głów był obryzgany czarną posoką demonów. Merrem podobnie jak Darsy nosiła luźne pantalone przypominające spódnicę. Jej skórzany gorset był wzmocniony tak jak fartuch i również brudny od juchy. Oboje robili wrażenie ludzi zdolnych podnieść krowę i cisnąć ją w dal. Za pasem nosili ciężkie tasaki, niewiele różniące się od tego, którym Harl zabijał wieprze, ale na ostrzach nakreślono serie potężnych runów. Renna raczej powątpiewała, żeby przez ostatnie miesiące wykorzystywano je do szlachtowania bydła.

Cała trójka szła dumnie wyprostowana niczym Mówcy w drodze na spotkanie rady wsi. Pozostali Rębacze podążali za nimi, zalani krwią, potem i posoką demonów, emanując słabą poświatą magiczną. Każdy z nich był wyższy od Renny, przez co dziewczyna odniosła wrażenie, iż znienacka otoczyły ją sękate drzewa. Drwale szeptali między sobą z podnieceniem, wskazywali sobie Arlena i kreślili runy w powietrzu. Drewniani Żołnierze dla odmiany

uformowali sprawnie równy szereg za plecami hrabiego. Szli wyprostowani, z włóczniami, gotowi bez wahania zabić każdego, kto podniesie rękę na ich pana.

Hrabia Thamos nie dorównywał wzrostem mieszkańcom Zakątka, ale braki te niwelowała wspaniała zbroja, wypolerowana i lśniąca od magii.

– Nikt w Zakątku nie zapomniał tego, co dla nas zrobiłeś – powiedziała szybko Darsy, nim hrabia zbliżył się na tyle, by ich usłyszeć. – Rębacze zrobią wszystko, o co ich poprosisz.

Arlen pokiwał głową.

– Zamieszanie z „Malowanym Człowiekiem” to pierwsza sprawa, którą trzeba naprostować.

Thamos zatrzymał się kilka kroków przed Arlenem, chcąc okazać szacunek. Wyprostował się dumnie. Przed nim niespodziewanie pojawił się drobniejszy człowiek, którego Renna wcześniej nie zauważyła. Miał również zbroję i włócznię zamocowaną na plecach, ale nie wyglądał na wojownika. Zarówno pancerz, jak i broń wydawały się ozdobą i nic nie wskazywało, aby cherlak kiedykolwiek z nich korzystał. Dłonie nieznanego były drobne i smukłe, z pewnością bardziej nawykłe do trzymania pióra niż włóczni. Na tunice widniały dwa symbole – tron obrośnięty bluszczem oraz drewniany żołnierz. Nieznajomy uklonił się lekko.

– Pozwól, panie, że przedstawię Jego Wysokość hrabiego Thamosa, pana Zakątka Rębaczy, dowódcę Drewnianych Żołnierzy, brata księcia Rhinebecka z Angiers i władcę wszystkich ziem oraz ludzi między rzeką Angiers i granicą południową.

Thamos spojrział na Arlena i pozdrowił go niemalże niedostrzegalnym skinieniem. Renna nie miała pojęcia o dworskich manierach, ale potrafiła rozpoznać pyszałka na pierwszy rzut oka. Uśmiechnęła się więc i zerknęła na Arlena, nie mogąc się doczekać, aż narzeczony utrże obcemu nosa.

Jednak ku jej zaskoczeniu narzeczony złożył przed hrabią głęboki ukłon.

– Hrabio Thamosie – rzekł tak, aby wszyscy usłyszeli – pragnę wam podziękować za to, że przynieśliście pomoc uciekinierom, którzy cierpieli niedolę na naszych ziemiach. Przynosicie zaszczyt Zakątkowi, stając do walki wraz z Rębaczami.

Thamos zmrużył oczy, jakby spodziewał się dwuznaczności, ale Arlen jedynie uklonił się po raz drugi.

– Nie przedstawiono nas sobie jak należy – dodał, spoglądając na Darsy, Rzeźników i pozostałych. – Tak naprawdę to nikomu z was się nigdy nie przedstawiłem. Nazywam się Arlen Bales i pochodzę z Potoku Tibbeta.

W tłumie zapadła całkowita cisza. Renna spojrzała naokoło i przekonała się, że wszyscy wstrzymują oddech w oczekiwaniu na kolejne słowa.

Cisza wydawała się ciągnąć w nieskończoność, chociaż trwała zaledwie kilka sekund. Potem wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Powstał taki zgiełk, że nie sposób było rozróżnić słów. Nawet Drewniani Żołnierze, nadal stojący w szeregu, zaczęli gadać między sobą.

Thamos zerknął na Duga Rzeźnika, a ten zmierzył tłum ostrym spojrzeniem.

– Cisza! – warknął. – To nie przedstawienie Minstrela!

Ludzie natychmiast zaczęli milknąć i wrzawę zastąpiły pojedyncze szepty. Renna widziała jednak, że wielu zebranych z trudem powstrzymuje się od komentarzy.

Thamos zacisnął usta i przetrwał słowa Arlena.

– Potok Tibbeta – burknął. – A więc jesteś Milneńczykiem. Poddanym Euchora.

Przy ostatnich słowach skrzywił się, jakby to była trucizna, ale Arlen wzruszył tylko ramionami.

– Jak wynika z mapy, ale prawda wygląda tak, że Euchor nigdy nie kiwnął palcem w sprawie Potoku. Trudno więc, aby mieszkańcy osady żywili wobec swego suwerena jakiegokolwiek uczucia. Owszem, wychowałem się w Potoku, ale jestem wolnym człowiekiem.

Spojrzał księciu w oczy.

– Nikt mi nie rozkazuje. Ani Euchor, ani wy.

Thamos zmrugał oczy i obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Hrabia zabił kilkanaście demonów podczas bitwy i jego zbroja lśniła magią Otchłani. Renna widziała, że aura arystokraty pulsuje w rytm jego oddechu, i wiedziała, że w wypadku starcia okaże się on nieludzko szybki i niesłychanie silny. Wiedziała też, że pijany mocą aż się rwie do ataku.

Nie przejmowała się jednak, gdyż człowiekiem, przed którym stał arystokrata, był Arlen Bales. Jego tatuaże mieniły się intensywnie. Renna nie miała pojęcia, czy narzeczony robi to celowo, ale na otaczających ich ludziach wywarł należyte wrażenie. Wielu Rębaczy zaczęło znów mamrotać do siebie i kreślić runy w powietrzu.

Obaj wojownicy mierzyli się spojrzeniami niczym wściekłe ogary, gotowe rzucić się sobie do gardeł w walce o sukę. Arlen miał jednak ostrzejsze kły i poparcie watahy. Rębacze naokoło mocniej ujmowali broń, a Drewniani Żołnierze nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

Napięcie przerwał Arlen, który nagle obdarzył Thamosa rozbrajającym uśmiechem. Odwrócił się do Renny i złożył przed nią płynny, dobrze wyćwiczony ukłon. Nie zawsze pamiętał o zachowaniu stosownych manier, ale bez wątpienia dobrze je znał.

– Proszę wybaczyć, iż nie przedstawiłem mojej towarzyszki – powiedział do księcia. – To Renna Tanner, również z Potoku Tibbeta.

Wyprostował się i spojrzał na Rębaczy nad głową arystokraty.

– A także moja narzeczona.

Po raz kolejny Renna ujrzała, jak zgromadzeni otwierają szeroko usta, ale potem przyłapała się na tym, że ona sama zrobiła to samo. Dzięki temu, że powiedział o ich zaręczynach na głos, stały się one bardziej realne. Była narzeczoną Arlena Balesa. Znów.

Tym razem Thamos opamiętał się szybciej. Ujął dłoń dziewczyny i ucałował ją lekko.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt, panno Tanner. Pozwolisz, pani, że pierwszy złożę gratulacje.

Renna pamiętała z przedstawień Minstreli, że w Wolnych Miastach mężczyźni całują kobiety w dłoń, ale nigdy wcześniej nie zetknęła się z tym zwyczajem osobiście. Zesztywniała, nie mając pojęcia, jak ma się zachować. Czowała, że blednie, i cieszyła się, że mrok nocy maskuje jej reakcję.

– Dż... dziękuję – wykrztusiła w końcu.

Thamos wyprostował się i spojrzał na Arlena.

– Dobra – rzucił cicho. – Czy skończyłeś już czarować tych wieśniaków? Jeśli tak, pora, abyśmy zamienili kilka słów na osobności.

Arlen skinął głową, po czym służący hrabiego odprowadził przywódców Zakątka do wielkiego namiotu z grubego płótna, rozstawionego w samym środku chronionej runami części polany. Oczom przybysza ukazały się drogie dywany, okazałe łóże i wielki stół z tuzinem krzeseł. Na honorowym miejscu znajdował się mebel, który Renna mogła nazwać jedynie tronem – wykonany z wypolerowanego drewna ciężki fotel z wysokim oparciem i poręczami rzeźbionymi w liście bluszczu. Nigdy w życiu nie widziała większego siedziska. Przytłaczał rozmiarami pozostałe i gdy Thamos w swej pysznej zbroi, emanującej magiczną aurą, zasiadł na nim, aby przewodniczyć spotkaniu, wyglądał jak sam Stwórca.

Przyboczny hrabiego, Arther, odchrząknął i uniósł płachtę w wejściu, aby wpuścić Opiekuna, który zajął się Jowem Rębaczem i innymi rannymi. Przybysz nadal dzierżył runiczną

laskę, choć nie wyglądał na człowieka, który musi się podpierać. Mimo siwych włosów trzymał się prosto.

– Opiekun Hayes, Najwyższy Inkwizytor z ramienia Pasterza Pethera z Angiers – oznajmił Arther.

Arlen zmarszczył brwi, a Renna miała wrażenie, że poczuł do przybysza gwałtowną niechęć.

– Zastępuje Opiekuna Jonę, jak sądzę? – Arlen popatrzył na Thamosa, jakby to on zaanonsował Hayesa. – Czyżby Jona trafił już w ręce waszej inkwizycji?

– To zmartwienie Opiekunów Stwórcy, nie twoje – przerwał mu ostro Hayes.

Arlen parsknął i spojrzał na Darsy.

– Zabrano go kilka tygodni temu – odparła Zielarka. – Vika szaleje z niepokoju, ale nie pozwolono jej udać się z nim. Aż do tej pory nie otrzymała żadnej wiadomości, choć wielokrotnie prosiła.

Lekkim ruchem głowy wskazała Thamosa. Arlen spojrzał na hrabiego, ale ten bezradnie rozłożył ręce.

– Jak już mówił Opiekun Hayes, to sprawa Rady Opiekunów. Nie mam na to wpływu.

Arlen pokręcił głową.

– Kiepsko to wygląda. Żona zasługuje, aby wiedzieć, czy jej mężowi nic nie grozi. Bo mam wielką nadzieję, że w istocie jest bezpieczny.

– Jak śmiesz! – wykrzyknął Hayes. – Możesz sobie nosić szatę Opiekuna, ale nie należysz do naszego zakonu i trzeba będzie sprawdzić, czy nie jesteś...

– Kim? – spytał wyzywająco Arlen.

– Dość tego! – przerwał Thamos. – Jutro Posłaniec zawiezie list pani Viki do Angiers i wróci z odpowiedzią od jej męża w ciągu tygodnia. Jeśli pani Vika życzy sobie odwiedzić Jonę, zapewnię jej eskortę.

Opiekun Hayes wbił w hrabiego surowe spojrzenie.

– Wasza Wysokość... – zaczął, ale Thamos przerwał mu bez wahania.

– Nie jestem już twoim uczniem, Opiekunie. Oszczędź mi wykładu. Jeśli wasza Rada nie aprobuje moich sposobów rządzenia, niech przedstawi sprawę mojemu bratu i przekona się, kogo on naprawdę słucha.

Mierzyli się spojrzeniami, aż Hayes uklonił się niechętnie.

– Jak każecie, Wasza Wysokość.

– Dobrze – burknął Thamos i zerknął na Arlena. – Czy możemy uznać tę sprawę za zamkniętą, czy może kryjesz jeszcze kilka zawołowanych gróźb pod moim adresem? Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż wioskowy Opiekun, który w swoich kazaniach odszedł od Kanonu.

– O wiele ważniejsze, niż sądzicie, panie – kiwnął głową Arlen. – Otchłańce mają już dość naszego oporu. Chcą nas zaatakować wszystkimi siłami.

– No to na co czekają? – warknęła Merrem. – W całej Otchłani nie znajdzie się ani jednego demona, który miałby choć trochę oleju we łbie. Urządźmy takie ognisko, że sam Stwórca je dostrzeże.

Dug chrząknął z aprobatą na te słowa, ale Thamos milczał. Splótł palce i wpatrywał się bacznie w Arlena.

– Nie widzieliśmy nawet cząstki tego, czym Otchłań może nas poczęstować, Merrem – odpowiedział Arlen. – Niecały tydzień temu walczyliśmy wraz z Renną z demonem, który był o wiele inteligentniejszy zarówno od niej, jak i ode mnie. Był to demon umysłu. Ochroniał go otchłaniec, który mógł przybrać każdą postać. Moc demona umysłu zaś polegała na tym, że inne otchłańce w jego otoczeniu zaczynały się inaczej zachowywać.

– Jak? – spytał Dug.

– Jak żołnierze pod wodzą dobrego generała – odparł Arlen. – Posłał w ślad za mną oddział drzewnych demonów, które złapały za maczugi, gdy ich szpony nie mogły przebić magicznej bariery.

– Na noc! – Merrem zadrżała, a Dug splunął na dywany. Renna spojrzała na Thamosa, ale hrabia najwyraźniej tego nie dostrzegł. Pobladał jak ściana i dziewczyna mogła bez trudu wyczuć bijący od niego strach. Potężny przywódca i zaciekły wojownik, którym hrabia był jeszcze przed chwilą, znikł bezpowrotnie.

– Moja matka musi się o tym dowiedzieć – wymamrotał.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a Opiekun Hayes jeszcze się skrzywił.

– Wasza matka, panie? – szepnął. Wypowiedział te słowa tak cicho, że nie dosłyszał ich nikt z wyjątkiem Renny, której zmysły z każdym dniem stawały się ostrzejsze.

Niespodziewanie Thamos wyprostował się. Jego twarz z wolna odzyskiwała kolory.

– Mój brat – poprawił się. – Mój brat, księżę Rhinebeck, musi natychmiast się o tym dowiedzieć. Arther, wezwij Posłańca!

Arther ruszył ku wyjściu, pragnąc spełnić wolę pana, ale Arlen uniósł dłoń, aby go zatrzymać.

– Przykro mi o tym mówić, Wasza Wysokość, ale to nie koniec złych wieści. Demony umysłu mogą wnikać w wasze myśli i poznać każdy zamysł. Mogą nawet zawładnąć waszym ciałem i sterować nim jak kukiełką.

– Na Stwórcę! – wykrzyknęła Merrem. – Jak mamy walczyć z czymś takim?

Księżę pozieleniał tak bardzo, iż Renna zaczęła się obawiać, czy zaraz nie zwymiotuje.

– Chronią przed nimi wielkie runy – odrzekł Arlen. – Istnieją również mniejsze runy ochronne.

Wyciągnął z fałd szaty pergamin i pędzel służący do malowania symboli. Pędzel wydawał się naturalnym przedłużeniem jego dłoni. Arlen błyskawicznie nakreślił znak i odwrócił pergamin, by wszyscy mogli ujrzeć run.

– Taki symbol może zablokować ingerencję – powiedział i wskazał identyczny znak wytatuowany na swoim czole oraz inny, wymalowany na czole Renny. – Demony umysłu są jeszcze bardziej wrażliwe na światło od zwykłych otchłańców. Rani je nawet blask księżyca. Przybywają na powierzchnię tylko podczas Nowiu. Podczas tych trzech nocy każdy człowiek przebywający poza granicami wielkiego runu musi wyrysować sobie ten znak.

Darsy przesunęła palec po krzywych liniach składających się na run.

– To prosty znak. Możemy wykonać pieczęć i oznaczyć każdego.

– Zróbcie to. – Arlen skinął głową i spojrzał na Rzeźników. – Wy zaś musicie przyspieszyć werbunek i przygotować Rębaczy na walkę z przeciwnikiem, który myśli.

– Rekrutów mamy pod dostatkiem – rzekł Dug. – Ale obawiam się, że pošlemy do boju żółtodziobów bez pojęcia, jak władać włócznią.

– Mamy trzy tygodnie, by ich przyuczyć – rzekł Arlen. – Pomogę, na ile zdołam, ale to głównie twoje zadanie, Dug. Twoje, Merrem oraz hrabiego.

Z tymi słowy przeniósł wzrok na Thamosa.



– Nie mogę uwierzyć, że właśnie odwróciłeś się od całej armii łowców demonów – powiedziała Renna, gdy wracali do koni.

– Nigdy nie miałem najmniejszej ochoty stanąć na czele armii, Ren – westchnął Arlen. – Każdy oddział, którym bym dowodził, prędzej zboczyłby włócznie czerwoną krwią niż czarną. Ludzie sami muszą zewrzeć szeregi i czuwać dzień i noc. Tylko bym przeszkadzał. Niech Thamos nosi swoją koronę.

Uśmiechnął się do dziewczyny.

– W razie potrzeby mogę mu ją strącić.

Renna zaśmiała się. Drzewny demon czający się w odległości ledwie tuzina stóp rozejrzał się podekscytowany odgłosem. Usiłował odgadnąć, skąd dobiega dźwięk, ale runiczny płaszcz chronił dziewczynę tak szczelnie, że mogłaby podejść do potwora niepostrzeżenie.

Był to ten sam płaszcz, w który Leesha włożyła tyle uczucia.

– Wiedziałam, że istnieje powód, dla którego nigdy nie lubiłam tej szmaty – mruknęła Renna i odpięła klamrę. Płaszcz opadł. Demon wrzasnął i rzucił się do ataku.

Dziewczyna pozwoliła mu się zbliżyć. Stała mu na drodze i cofnęła się w ostatniej chwili, wbijając nóż między płyty pancerza.

Potwór zacharczał, ale rana nie była śmiertelna, a magia już zaczynała ją leczyć. Zwrócił się ku napastniczce i wrzasnął raz jeszcze. Renna spojrzała mu w ślepia i rozłożyła ręce zapraszająco.

Demon tym razem zachował się ostrożniej. Atakował z dystansu, wykorzystując przewagę, jaką dawały mu długie, przypominające konary ramiona. Renna nie spieszyła się, cofała i unikała kolejnych ciosów. Raz i drugi chlasnęła nożem po zataczających łuki kończynach, ale płytkie cięcia były dla potwora równie niegroźne jak ukąszenie owada.

Czekała, aż otchłaniec stanie w odpowiedni sposób. Uniknęła kolejnego wściekłego natarcia i doskoczyła do potwora, nim ten odzyskał równowagę. Z całej siły wbiła nóż między trzecie i czwarte żebro z prawej strony, tak jak nauczył ją Arlen. Rękojeść broni drgała w rytmie przeszywanego serca, a blask w ślepiach potwora gasł. Do ciała dziewczyny napływała surowa magia.

Słabnący demon próbował jeszcze chlasnąć ją pazurami, ale runy wymalowane na ciele zaiskrzyły i odrzuciły cios. W końcu potwór osunął się na ziemię.

Dziewczyna spojrzała na Arlena.

– Ten demon wie, kto go zabił.

Mężczyzna popatrzył z rezerwą.

– Przecież on nie żyje, Ren. On niczego już nie wie.

Pochylił się, podniósł płaszcz i strzepnął z niego ziemię oraz zeschnięte liście, a potem starannie złożył tkaninę.

– Szczerze powiedziawszy, nigdy nie lubiłem go nosić. Chyba też nie lubię się chować – parsknął, a potem spytał: – Zdarzyło ci się kiedyś, że dostałaś prezent, który kosztował mnóstwo starań i wysiłku, a gdy go otworzyłaś, pomyślałaś sobie, że ten ktoś w ogóle cię nie zna?

Renna pokiwała głową.

– Bywało, że ojciec kupował baryłkę piwa od Bogginów, żeby uczcić moje urodziny, i wypijał wszystko sam. – Wzruszyła ramionami. – Nikt w mojej rodzinie nie umiał wręczać prezentów, przynajmniej po śmierci mamy.

– Jak umarła? – spytał łagodnie Arlen. – Słyszałem, że zabił ją demon, ale we wsi nikt o tym nie mówił.

– Sama nie wiem – przyznała Renna. – Na pewno zabił ją otchłaniec, ale bariera była kompletna, bez żadnej luki. To się stało na podwórzu. Pamiętam, że tej nocy pokłócili się z ojcem. Nie rozmyślałam o tym wiele jako dziecko, ale teraz wydaje mi się, że po prostu próbowała przed nim uciec. Na noc, sama o tym wielokrotnie myślałam.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś – rzekł Arlen. – Dobrze jest uciekać, gdy wiesz, dokąd uciekasz, ale jeśli nie masz celu, lepiej jest stanąć do walki.

– Prawda.

– Ten płaszcz może się przydać. Gdyby nie on, oboje zostalibyśmy pożarci.

– No to chyba muszę podziękować Leeshy za to, że nas ocaliła. – Renna splunęła na ziemię.

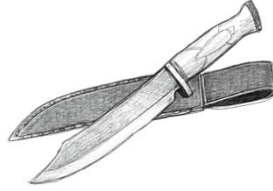
– To ty nas ocaliłaś, Ren – zaprzeczył Arlen. – Gdyby nie płaszcz i nóż twojego ojca, ten przeklęty demon umysłu nigdy nie zostałby zabity. Mało brakowało, a nie przeżyłbym tamtej nocy.

Podał jej zwinięte okrycie, a Renna przyjęła je i podziękowała skinieniem, a potem uśmiechnęła się szeroko.

– Przyznam, że nie mogę się doczekać, aż ta twoja Leesha mnie w nim zobaczy. Ludzie pomyślą, że wybrałaś mnie.

Arlen uśmiechnął się żartobliwie.

– Niektórzy. Inni pomyślą, że jesteś jedną z jej uczennic.
Renna skrzywiła się, a Arlen wybuchnął śmiechem.



V

Opiekun Hayes

333 ROK PLAGI, LATO
25 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Niech to Otchłań pochłonie! – warknął Arlen, gdy prowadząc konie za uzdy, przeszli przez gęsty zagajnik i dotarli na skraj polany ze wzgórzem.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Renna.

– Ktoś znalazł moją kryjówkę. – Mężczyzna pokazał palcem. Renna spojrzała we wskazanym kierunku, ale pokręciła głową.

– Niczego nie widzę.

– Tam! Podejdź do skalnej ściany, a ujrzysz wejście. Wstawiłem metalową bramę, którą maskował rozrośnięty krzak, mech i trawa.

Renna zmrużyła oczy.

– A skąd wiesz, że ktoś się włamał?

Arlen pokazał niewielką smużkę dymu unoszącą się z pnia zeschłego drzewa, sterczącego samotnie na szczycie pagórka.

– To mój komin. Nie rozpalałem ognia w palenisku od trzech miesięcy.

– Trzymasz tam coś ważnego?

– Trochę niedokończonej broni runicznej. – Arlen wzruszył ramionami. – Ludzie przyłączający się do Rębaczy potrzebowali mnóstwo oręża, miałem pracy w bród. Zabrakło mi czasu, aby zbudować prawdziwą kryjówkę. Potrzebowałem jedynie miejsca do snu.

Niespodziewanie rozległo się gdakanie i Arlen westchnął.

– A moja przytulna stajnia stała się cholernym kurnikiem.

– I co teraz? – spytała Renna.

– Cóż, chyba trzeba będzie wynająć pokój we wsi – odrzekł Arlen nieco znużony. – Od jutra. Gdy tylko pokażemy twarze, ludzie zaczną ściągać tu gromadami. Dobrze byłoby się przespać, zanim to zamieszanie się zacznie.

– A czemu nie rozbijemy obozowiska pod gołym niebem jak zawsze?

– Bo nie jesteśmy zwierzętami, Ren. Dobrze jest raz na jakiś czas przespać się w łóżku, nie ma też powodu, żebyśmy trzymali się z daleka od ludzi.

Renna skrzywiła się tylko. Nie miała tej nocy okazji zapolować i spodziewała się, że gdy zamieszkają we wsi, szanse na posilenie się mięsem demonów zmaleją jeszcze bardziej. Czuła się coraz silniejsza, a jej obrzydzenie znikło. Czuła też głód i wiedziała, że nie zaspokoi go zwykłym posiłkiem.

Widząc znużenie na twarzy Arlena, uznała jednak, że nie będzie protestować. Przecież ten człowiek dźwigał cały świat na barkach, a Renna zamierzała go wspierać najlepiej jak potrafiła.

– W porządku. – Ujęła jego dłonie i ucałowała go. – Jutro znajdziemy pokój. Rozłóż krąg, a ja ukołyszę cię do snu.

Uśmiechnęła się.

– Będziesz spał jak zabity.

Gdy Arlen poczuł pierwsze pieszczoty, znużenie minęło jak ręką odjął. Widok ubrania Renny zsuwającego się na ziemię pobudzał go zawsze, bez względu na zmęczenie.

Kilka godzin później dziewczyna leżała obok Arlena z szeroko otwartymi oczami i wpatrywała się w noc. Gdy jego mocny oddech przerodził się w pochrapywanie, wyslizgnęła się z objęć ukochanego. Zatrzymała się i przyjrzała, jak śpi w kręgu. Wydawał się taki drobny i bezbronny. Arlen był niezwyciężonym wojownikiem, ale musiał oddychać i spać. Potrzebował kogoś, kto będzie go wspierał. Kogoś, komu może zaufać.

Kogoś silnego.

Wyciągnęła nóż i wybiegła w noc.



Gdy się obudziła, leżała na brzuchu z twarzą na ziemi. Zapewne stoczyła się w nocy z koca. Splunęła i półprzytomnie potarła oczy, a potem przeciągnęła się, chcąc się pozbyć porannych skurczów. Do świtu wciąż trochę brakowało, ale było już wystarczająco jasno, aby mogła rozejrzeć się bez pomocy runów. Pasma mgły słabły i umykały.

Arlen, odziany zaledwie w bido, był już na nogach. Zaglądał właśnie do juków Tancerza i mamrotał do siebie:

– Przecież wiem, że gdzieś je miałem...

Renna przyglądała mu się z uśmiechem. Gdyby zaraz po otwarciu oczu miała ujrzeć Arlena Balesa, gotowa była co rano budzić się z ustami pełnymi ziemi.

– Czego szukasz?

Arlen zerknął, nie przestając myszkować w jukach. Jego oblicze rozpromienił podobny uśmiech.

– Swoich starych ubrań. Aha!

Wyciągnął pomięty tobołek, z którego wytrzepał spłowiałe spodnie i koszulę, kiedyś zapewne białą. Założył je, a Renna wybuchła śmiechem, gdy ubranie okazało się zbyt obszerne.

– Ubrania ojca dalej na ciebie nie pasują?

Arlen skrzywił się, zacisnął pas i podwinął rękawy.

– Gdy pracowałem jako Posłaniec, wszyscy nazywali mnie chudzielcem, choć wtedy dobrze się odżywiałem. Myślę, że straciłem dwadzieścia funtów, odkąd...

Wskazał tatuaże na policzkach.

– Odkąd to wszystko się zaczęło.

Nachylił się i podwinął nogawki, a następnie starannie złożył szatę i wraz z sandałami schował do juków. Wydobył parę starych skórzanych butów, ale po chwili namysłu burknął coś pod nosem i wepchnął je z powrotem, postanowiwszy chodzić boso.

Arlen dziwnie wyglądał w codziennym ubraniu. Renna przymrużyła oczy, próbując sobie wyobrazić, kim by się stał, gdyby nigdy nie wyjechał z Potoku, ale było to niemożliwe. Teraz gdy miał na sobie zwykły strój, tatuaże na przedramionach i łydkach – nie mówiąc już o tych na twarzy i szyi – wydawały się bardziej szokujące.

– Po co się przebrałeś? – spytała.

– Zaczęłam nosić tę szatę po to, by za dnia zakrywać twarz kapturem – odparł Arlen. – Poza tym ludzie rzadziej zaczepiają wędrujących Opiekunów, a takie łachy łatwo ściągnąć po zachodzie słońca.

Pokręcił głową.

– Kończę z ukrywaniem się. Na widok szat Opiekuna ludzie wyrabiają sobie błędną opinię na mój temat. Nie jestem Świętym Mężem. A gdybym musiał natychmiast pokazać swoje runy...

Pstryknął palcami i przeistoczył się w mgłę, a ubranie opadło na ziemię. Zmaterializował się tylko w bido. Runy były widoczne.

– Ta sztuczka przyda się nie tylko podczas walki z demonami. – Renna uśmiechnęła się szeroko.

Arlen odpowiedział tym samym.

– Osobiście uważam, że niektóre rzeczy należy robić po staremu.

– A więc wchodzimy do wsi ubrani tak jak teraz? – spytała Renna. – Nie będziesz chciał, żebym zakryła ciało jak w Rzeczułce?

– Przepraszam cię za to, Ren. – Arlen pokręcił głową. – Pamiętam, że aż we mnie wrzało. Nie miałem prawa...

– Miałeś – przerwała mu Renna. – Dałam ci powód do złości. Nie mam do ciebie pretensji. Dobrze, że pokazałeś mi moje miejsce.

Arlen podbiegł do niej i otoczył ją ramionami.

– A ty pokazałaś mi moje, i to nie raz.

Ucałował ją, a wtedy dotknęły ich łagodne promienie słońca, które wreszcie wyłoniło się zza horyzontu.

– Koniec z chowaniem się, Ren – rzekł Arlen. – Jesteśmy, jacy jesteśmy, i ludzie muszą się z tym pogodzić.

– Słusznie. – Renna ujęła jego gładko ogoloną głowę i przyciągnęła, by pocałować go w usta.

Wkrótce Arlen zabrał ich do Zakątka Wybawiciela. Szedł pieszo bez butów, trzymając Tancerza za uzdę.

– Ta droga nie jest chroniona runami! – zauważyła Renna.

– Ta droga jest runem! – odparł Arlen. – Albo przynajmniej częścią runu. Po tym jak znaczna część osady legła w gruzach po ataku otchłańców, odbudowaliśmy ją na planie sieci

połączonych runów, identycznych z tym, który Rębacze wycinali na północy. Wykonanie każdego następnego pierścienia wokół już istniejących zabiera więcej czasu, ale za dziesięć lat żaden przybysz z Otchłani nie zdoła już postawić pazurzastej stopy w promieniu stu mil od Zakątka.

– To... To wprost niewiarygodne!

– To w istocie będzie niezły wyczyn – zgodził się Arlen. – Pod warunkiem, że armia z Otchłani nie zepchnie nas z powrotem do Wieku Niewiedzy.

Mimo wczesnej pory na trakcie było tłoczno od podróżnych. Arlen pozdrawiał mijających go ludzi skinieniem głowy, ale nie odzywał się do nich ani się nie zatrzymywał. Wszyscy wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami, a niektórzy nawet kłaniali się bądź kreślili runy. Niemal każdy zapominał o tym, co miał do zrobienia, i ruszał w ślad za Arlenem. Ludzie oczywiście utrzymywali odpowiedni dystans, ale przybywało ich z każdą chwilą i czyniona przez nich wrzawa wciąż narastała. Renna kilkakrotnie wychwyciła słowo „Wybawiciel”.

Arlen szedł ze spokojem do centrum osady, udając, że niczego nie dostrzega.

Mijali dziesiątki nowych chat i gospodarstw, a między nimi setki właśnie budowanych. Wielki run był zawiłą, wieloczołową konstrukcją, dzięki czemu między poszczególnymi częściami Zakątka wznosiły się spore połacie lasu. Osada zachowała więc wiejski charakter w przeciwieństwie do Rzeczułki, gdzie ciągnęły się brukowane ulice i wznosiły wielkie budowle oraz kamienne mury.

– Prawie jak w domu – stwierdziła Renna. – Mam wrażenie, że zaraz za zakrętem ujrzymy Ryneczek i sklep Wieprza.

Arlen pokiwał głową.

– Tutejszy rynek nosi nazwę Cmentarzyska Otchłańców, a sklep prowadzi niejaki Smitt, ale jeśli przymrużysz oko, wszelkie różnice zbledną. Może dlatego zostałem w Zakątku na jakiś czas. Nie byłem jeszcze gotów wracać do domu, a tu czułem się prawie tak samo.

Za zakrętem ich oczom ukazało się Cmentarzysko. Brukowany plac dorównywał wielkością Ryneczkowi w Potoku. Z jednej strony wznosił się Święty Dom, niewiele różniący się od tego, w którym nauczał Opiekun Harral na Pagórku Bogginów, ale mały i niepozorny w porównaniu z fundamentami ciągnącymi się naokoło. Setki ludzi pracowało przy kopaniu rowów i zwożeniu kamieni.

Arlen stanął jak wryty, a spokój natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Ten angieriański Opiekun nie traci czasu – oznajmił. – Wygląda na to, że buduje katedrę, która pochłonie Święty Dom Jony, jak żaba połyka muchę.

– Mówisz, jakby było to coś złego – odpowiedziała Renna. – Skoro osada rozwija się tak szybko, to chyba przyda im się kilka dodatkowych ławek dla wiernych?

– Może i masz rację – stwierdził Arlen, ale nie wydawał się przekonany.

Po przeciwnej stronie placu wznosiła się spora scena, a nad nią kopuła wzmocniająca dźwięk. Uwagę Renny przyciągnął zebrany tam tłum, słuchający człowieka na scenie. Jego głos wznosił się nad zgiełk rozmów. Był to Jow Rębacz, o którym nikt by nie powiedział, że jeszcze kilka godzin temu otrzymał śmiertelną ranę. Dziewczyna dostrzegła również znajome szaty Opiekuna Hayesa, stojącego na skraju grupy wraz z akolitą. Inkwizytor wspierał się na lasce i przyglądał mówcy bez emocji.

– Widziałem go na własne oczy! – krzyczał Jow. – Drewniak wypruł mi flaki i słyszałem już, jak Darsy mówi, że nie może mi pomóc! Przybył jednak Naznaczony, wykonał kilka gestów i po moich ranach nie ma już śladu!

– Złaź ze sceny, Jow! – wykrzyknął ktoś z tłumu. – Może i potrafisz się wydurniać, ale do Minstrela sporo ci brakuje. Opowiadaj te bajdy komuś innemu.

– Przysięgam na słońce! – wrzasnął Jow i uniósł wysoko podartą, zakrwawioną koszulę. Pokazał dziury w miejscach, gdzie przecięły ją pazury demona. Widzowie nadal wydawali się sceptycznie nastawieni, a więc Jow poszukał wsparcia: – Evin, ty też to widziałeś!

Wszyscy odwrócili się ku Ewinowi, ale jego wilczur zjeżył sierść. Nikt nie odważył się podejść.

– Żadnego magicznego uzdrowienia nie widziałem – odezwał się Rębacz. – Przynajmniej nie na własne oczy. Ale powiem wam jedno: Wybawiciel powrócił.

Arlen jęknął i ukrył twarz w dłoniach, podczas gdy tłum z ożywieniem popatrzył na Jowa.

– Tak! – wykrzyknął Rębacz. – Prawdziwy Wybawiciel powrócił, żeby sprowadzić panią Leeshę do domu i przepędzić pustynne szczury!

Tłum ryknął z radością.

– Jest głupi jak but, ale ma trochę racji – mruknął Arlen.

I wtedy Jow uniósł wzrok i dostrzegł oboje przybyszów.

– Tam jest! – wskazał. – Wybawiciel!

Wszyscy zebrani odwrócili się do Arlena, a ten, wzięwszy się pod boki, obdarzył Jowa spojrzeniem przeznaczonym dla psa, który załatwia się w pokoju gościnnym.

Mimo to ludzie otoczyli Arlena ze wszystkich stron, dotykali go i łapali za szaty, a powietrzem wstrząsnął okrzyk z setek piersi:

- Wybawiciel!
- Niech cię Stwórca błogosławi!
- Bądź błogosławiony!
- Potrzebuję...
- Musisz...

Renna opierała się, ale jej siła na nic się nie zdała w starciu z tłumem.

– Cofnijcie się! – wrzasnęła, ale nikt nie słuchał. Dziewczyna czuła, że krew w jej żyłach zaczyna wrzeć, a świat zasnuwa czerwona mgiełka. Sięgnęła po nóż.

Wtedy właśnie ujrzała butelkę lecącą prosto na głowę Arlena. Nie była w stanie jej złapać ani odbić.

Nie musiała się martwić. Dłoń Arlena wystrzeliła i złapała naczynie tak szybko, że ruch był niedostrzegalny. Rozległy się okrzyki zgrozy i zdumienia, a ludzie stojący tam, skąd nadleciał pocisk, zaczęli się pospiesznie cofać. W tłumie powstało przejście, a oczom Renny ukazało się trzech mężczyzn odzianych w liche, połatane stroje. Wyglądali na takich, którzy zaznali w życiu wiele niedoli. Wbijali w Arlena złowrogie spojrzenia. Nie było wątpliwości, że to któryś z nich cisnął butelką. Renna od razu domyśliła się, że to pijacy, ale to bynajmniej jej nie uspokoiło. Wiedziała, że ludzie tego typu są zdolni do wszystkiego, i jej dłoń znów opadła na rękojeść noża.

– Wybawiciel? – Jeden z nich splunął na ziemię. – Jeśli jesteś cholernym Wybawicielem, to gdzie byłeś, gdy Krasjanie zabrali moją córkę?

- I mojego syna! – wrzasnął inny.
- I moje gospodarstwo! – dodał trzeci.

– Okażcie trochę szacunku, do cholery! – warknął Linder Rębacz i grzmotnął najgłośniejszego w twarz. Ten osunął się ciężko na ziemię, ale jego towarzysze naskoczyli na ogromnego drwała, chcąc go przewrócić. Szarpali, kopiąc nogami, ale Linder wytrzymał napór. Sczepieni zataczali się to w przód, to w tył, a trzeci awanturnik potrząsał głową i usiłował się podnieść. Jego oczy lśniły żądzą mordy.

– Hej, oni gadają z sensem! – wykrzyknął ktoś inny w tłumie, co wywołało pomruki aprobaty. Zewsząd zmiierzali kolejni Rębacze.

Arlen znalazł się przy walczących w okamgnieniu, znów zaskakując szybkością działania.

– Dość! – ryknął. Pochwycił pijaków atakujących Lindera za koszule i uniósł ich niczym niegrzeczne dzieci.

Linder wydawał się zadowolony z obrotu sprawy, ale uśmiech znikł, gdy Arlen smagnął go wściekłym spojrzeniem.

– Jeśli jeszcze raz rąbniesz kogoś w gębę w moim imieniu, Linder, to osobiście zmiążdżę ci łeb! – warknął.

Linder niespodziewanie poczerwieniał niczym sztubak, wyglądał teraz na tego, kim naprawdę był – zwykłego chłopaka wyrosniętego, jak na swój wiek.

Arlen postawił obu awanturników na ziemi i wyciągnął rękę do trzeciego, pomagając mu się podnieść. Gdy się znów odezwał, mówił cicho, ale mimo to jego słowa niosły się równie daleko jak okrzyki Jowa ze sceny.

– Wiem, że cierpisz, przyjacielu. Przykro mi z powodu tego, co się stało twojej córce, ale rzucanie butelkami i robienie z siebie głupca w żaden sposób nie pomoże. Poza tym to nie na mnie powinieneś wyładować złość. Nigdy nie twierdziłem, że jestem Wybawicielem. Noszę tatuaże, zgadza się, ale jestem takim samym człowiekiem jak i wy.

– Ale przecież ocaliłeś Zakątek – zaprotestował mężczyzna niemalże błagalnym tonem.

Arlen pokręcił głową i rozejrzał się po otaczających go ludziach. Wszyscy milczeli, uważnie słuchając każdego słowa.

– Nie ja ocaliłem Zakątek. Zrobili to jego mieszkańcy. Okupili ocalenie własną krwią, przelaną właśnie tu, na kamieniach, po których chodzicie. Zgadza się, przybyłem do nich w decydującym momencie, ale nie byłem sam! Towarzyszyli mi Leesha oraz Rojer z Gospody. Byli ze mną Linder oraz Evin Rębacz i dobra setka innych. Nawet Jow, choć on teraz się wydurnia!

Zerknąwszy na zawstydzonego Jowa, który zeskoczył ze sceny, położył dłoń na ramieniu awanturnika.

– Wiem, jak boli strata. Masz ochotę poddać się szaleństwu i niszczyć niczym sama Otchłań. Nadchodzą jednak kolejne burze. Przybyłem tu, by pomóc, ale okaże się to niewiele warte, jeśli będę musiał działać sam. Jeśli nie macie ochoty się przyłączyć, bo wolicie zapijać się

bądź szukać winnych, proszę bardzo, róbcie, co chcecie, ale nie spodziewajcie się ode mnie wsparcia.

Odwrócił się i znów zmierzył tłum spojrzeniem. Jego głos niespodziewanie spotężniał:

– Mam o wiele ważniejsze sprawy na głowie niż mieszanie się w kłótnie na Cmentarzysku Otchłańców! Sprawy, które dotyczą was wszystkich!

Ludzie niespodziewanie pochyłili głowy, ten i ów zaczynał już mówić o tym, co ma pilnego do zrobienia. Gapie rozchodzili się jeden po drugim.

Arlen też miał już odejść, gdy niespodziewanie podbiegł do niego Jow Rębacz.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Nie jestem na ciebie zły, Jow – przerwał mu Arlen. – To wszystko moja wina. Niepotrzebnie otaczałem się tajemnicami, gdy gościłem u was poprzednim razem.

Wydawało się, że słowa przyniosły Rębaczowi ulgę, ale Arlen uniósł palec i dodał:

– Nie zapomnij jednak, że ta scena przeznaczona jest dla Opiekunów, Mistrzów i skrzypków, a nie dla głupków, którzy chcą sobie pokrzyczeć. Nie chcę cię tam więcej widzieć, chyba że masz ochotę pośpiewać lub zatańczyć. Jeśli nie ma już drewna do porąbania, zapytaj Rzeźników, czy nie znajdą ci czegoś do roboty.

Jow pokiwał z energią głową i odbiegł.

Renna rozejrzała się w poszukiwaniu Inkwizytora, ale i on znikł.



– To miejsce bardziej przypomina Potok, niż sądziłam – stwierdziła Renna. – Przywiążą nas do słupów i skazą na pożarcie przez demony, jeśli ich nie ocalimy?

– Każdemu trzeba od czasu do czasu wybić parę durnych pomysłów z głowy – odparł Arlen. Prowadzili konie do stajni za nowo wybudowaną gospodą. – Ci ludzie wiele przeszli i musimy im wybaczyć, gdy okazują zbyt dużo entuzjazmu. A ty nie musisz za każdym razem sięgać po nóż.

Renna zeszywniała na te słowa.

– Nie wiedziałam, że to aż tak oczywiste.

– To spory nóż. – Arlen wzruszył ramionami.

Wyszedł ku nim szczupły, lecz dobrze zbudowany młodzieniec. Zerknął na Nocnego Tancerza, a potem dostrzegł Arlena.

– Tak, Keet, to ja – rzekł mężczyzna. – Wiem, że nie macie za dużo miejsca, ale moja narzeczona i ja potrzebujemy pokoju na kilka tygodni.

Keet pokiwał głową. Szybko zaciągnął konie do stajni, a potem otworzył niewielkie boczne drzwi i wprowadził ich do sieni.

– Poczekajcie tu, sprowadzę ojca!

– Jego ojciec, Smitt, to właściciel gospody i Mówca osady – wyjaśnił Arlen, po tym jak chłopak wybiegł na zewnątrz. – To dobry człowiek, więc go nie denerwuj. Uczciwszy od Wieprza, ale ostro się targuje. Jego żona, Stefny, również nie jest zła, ale zawsze wygląda, jakby od tygodnia nie mogła się załatwić. Wyzywa się na każdym, kto się zbliży. Lubi też odgrywać kaznodzieję i opowiadać ludziom, że Stwórca chce, by żyli tak, a nie inaczej. Zupełnie jakby pochodziła z Południowej Strażnicy.

Renna najeżyła się. Mieszkańcy Strażnicy z ochotą skazywali innych na śmierć i nazywali to wolą Stwórcy.

Kilka minut później do środka wszedł ogromny mąż z gęstą brodą, liczący sobie około sześćdziesięciu lat. Za nim pojawiła się drobna, szczupła kobieta z siwymi włosami ściągniętymi w ciasny kok. Arlen nie mylił się co do wyrazu jej twarzy. Wyglądała, jakby właśnie ugryzła gorzkiego grzyba i chciała go wypluć.

– Stwórcy niech będą dzięki, że wróciłeś – oznajmił Smitt, po tym jak Arlen przedstawił mu Rennie.

– Stwórca nie miał z tym nic wspólnego – odparł Arlen. – Musiałem załatwić parę spraw w Zakątku.

– Stwórca wywiera wpływ na wszystko, zarówno rzeczy małe, jak i wielkie – oznajmiła Stefny. Wysoki kołnierz jej sukni zakrywał bliznę pozostawioną przez demoni szpon. Surowość w jej głosie przywołała Rennie na myśl Selię Wyschniętą, Mówczynię Potoku Tibbeta, która jako jedyna broniła jej do samego końca. Dziewczyna nigdy nie spotkała kobiety silniejszej od Seli.

Niewiele się zastanawiając, Renna podeszła do Stefny i musnęła palcem jej bliznę.

– Walczyłaś, pani, w bitwie, prawda? – spytała. – Gdy rok temu pękła tutejsza bariera?

Stefny otworzyła szerzej oczy, ale skinęła głową.

– Nie mogłam po prostu stać i patrzeć.

– Oczywiście, że nie. – Dziewczyna ścisnęła ją za ramię. – Przecież nie można żądać od nikogo, by działał wbrew swojej woli.

Niespodziewanie urażona mina Stefny znikła i kobieta się uśmiechnęła. Nie przyszło jej to łatwo, zupełnie jakby mięśnie twarzy, zeszywniałe od lat w tym samym grymasie, stawiały teraz opór.

– Chodźcie. Gospoda jest pełna ludzi, ale trzymamy kilka pokoiów na użytek Posłańców. Rozgoście się, a potem przygotujemy dla was coś smacznego do jedzenia.

Odwróciła się i ruszyła po schodach, a Arlen i Smitt, obaj zdumieni, w milczeniu odprowadzili ją spojrzeniami.



Ledwie rozłożyli bagaże i zjedli śniadanie przygotowane przez Stefny, rozległo się pukanie do drzwi. Arlen otworzył i ujrzał w progu jednego z akolitów Opiekuna Hayesa, tego, który nigdy go nie opuszczał. Miał na sobie jedynie sandały i zwykłą brązową szatę, z czego można było wnioskować, że runiczną komżę nosi jedynie w nocy. W jego starannie przystrzyżonej brązowej brodzie widać było nitki siwizny.

– Jestem Dziecię Franq, przyboczny Opiekuna Hayesa, Wielkiego Inkwizytora oraz duchowego doradcy Jego Wysokości księcia Thamosa, pana na Zakątku Rębaczy – powiedział i uklonił się nieznacznie Arlenowi, a potem Rennie. – Niezmiernie przepraszam, że przeszkadzam, panie Bales i panno Tanner, ale Jego Świątobliwość był niezmiernie poruszony waszmi słowami dziś rano i prosi o zaszczyt goszczenia was na obiedzie o szóstej wieczór w sali biesiadnej Świętego Domu. Wymagany strój oficjalny.

Odwrócił się, chcąc odejść, ale odpowiedź Arlena sprawiła, że posłaniec zamarł.

– Będziesz musiał przekazać nasze przeprosiny.

Na twarzy Franqa wciąż widniało zdumienie, gdy złożył Arlenowi kolejny płytki ukłon.

– Chcecie powiedzieć, panie, że macie... eee... ważniejszy plan w swoim kalendarzu od spotkania z Jego Świątobliwością?

Arlen bezradnie wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że mój kalendarz jest całkowicie wypełniony. Jakoś tak aż do Nowiu.

Tym razem Franq nie potrafił już ukryć niedowierzania.

– Czy... Czy to jest odpowiedź, którą mam zanieść Jego Świątobliwości?

– Mam ci to napisać? – spytał Arlen, a gdy Franq nie odpowiedział, podszedł do drzwi i wymownym gestem ujął klamkę. Akolita wyszedł z mieszaniną zaskoczenia i wzburzenia na twarzy.

– Nie za stary, jak na Dziecię? – spytała Renna, gdy kroki posłańca ucichły w korytarzu.

Arlen pokiwał głową.

– Ma na oko czterdzieści lat. Opiekunowie z reguły kończą naukę około trzydziestki, nawet jeśli Rada nie jest w stanie znaleźć dla nich parafii.

– A więc jak to należy rozumieć? Nie zdał egzaminów?

Arlen pokręcił głową.

– To oznacza tyle, że Hayes jest potężnym człowiekiem. Potężnym na tyle, że bardziej opłaca się pozostać u jego boku i służyć mu jako Dziecię, niż przejąć własną grupę wiernych. Polityka i tyle!

Ostatnie zdanie wypłynęło z niechęcią.

– A więc o to chodziło z tym kalendarzem? – spytała dziewczyna. – Nie zabrzmiało to miło. Przybyliśmy do miasta zaledwie godzinę temu. Nie mam w planach nic poza pójściem do wychodka.

– Mam gdzieś takie zaproszenia. – Arlen wskazał z irytacją na drzwi. – Prędzej mnie Otchłań pochłonie, niż pozwolę się zmusić do udziału w oficjalnym obiedzie tylko dlatego, że jakiś Opiekun chce się wydać ważniejszy. Nie mam ochoty uczestniczyć w takich gierkach. Chcecie powiedzieć, panie, że macie... eee... ważniejszy plan w swoim kalendarzu od spotkania z Jego Świątobliwością? – powtórzył, przedrzeźniając akolitę. – Co za bzdura!

– A mamy jakiś ważniejszy plan? – spytała Renna.

– Równie dobrze możemy spędzić kilka godzin, waląc głowami w ścianę – odparł Arlen. – Rozmowa z Opiekunem przyniesie mniej więcej ten sam rezultat. Wszyscy uczą się świętej księgi na pamięć, ale każdy z nich czyta ją na swój sposób.

– Opiekun Harral z Potoku był dobrym człowiekiem. Bronił mnie, gdy cała wieś pragnęła mojej krwi.

– Ale nie zasłonił cię własnym ciałem, Ren. Zapamiętaj to. A Joerje ze Strażnicy, który aż kipiał od świętego oburzenia, kiedy skazywał cię na śmierć, również był Opiekunem.

– Ale na temat poprzedniego Opiekuna Zakątka masz dobre zdanie.

– Jona jest takim samym durniem jak reszta. – Arlen wzruszył ramionami. – Może nawet większym. Muszę jednak przyznać, że zawsze postępował słusznie i zasłużył sobie na szacunek. Hayes jeszcze nie zasłużył sobie na nic.

– Nie daliśmy mu szansy – zauważyła Renna.

Arlen milczał przez moment, aż w końcu burknął:

– Dobra, pošlę Keeta z wiadomością, że znaleźliśmy wolną chwilę w naszym kalendarzu. Ale na formalny strój niech nie liczy.



Arlen i Renna wyszli z gospody późnym popołudniem, aby dotrzeć do Świętego Domu na obiad u Opiekuna Hayesa. Nie czekał na nich tłum, ale ujrzeli setki ludzi, którzy włączyli się po okolicznych kramach lub czaili za rogami uliczek. Wszyscy udawali, że są zajęci, ale na widok pary przybyszów rozległy się ożywione rozmowy.

Renna westchnęła ciężko. Wyglądało na to, że Arlen może powtarzać do woli, ale i tak nie przemówi do rozsądku niektórym ludziom, zwłaszcza tym, dla których każde jego słowo było święte niczym Kanon.

Przez cały dzień bez przerwy stukano do ich drzwi. Smitt i Stefny robili, co mogli, by przeganiać interesantów, ale nie mogli odmówić wstępu tym, którzy mieli naprawdę ważne sprawy. A takich, niestety, było wielu. Rzeźnicy przybyli z ciężkimi księgami rachunkowymi i zwiniętymi mapami, które rozłożyli na podłodze, by pokazać postępy w rekrutacji i pozyskiwaniu nowych terenów. Wiele wsi leżących na południu opustoszało ze strachu przed Krasjanami, zajmującymi ziemie wokół Rizon, a uciekinierzy osiedlali się na własnych wielkich runach w hrabstwie. Wokół Zakątka powstało już sześć wielkich runów, ale tylko dwa spośród nich – Nowe Rizon i Koniec Drogi – były w pełni aktywne. Pozostałe znajdowały się w budowie.

Szklarz o imieniu Benn pochwalił się pięknymi wyrobami wzmocnionymi runami. Kendall wślizgnęła się, aby porozmawiać o angieriańskich Minstrelach, którzy przybyli z karawaną hrabiego Thamosa.

– Jest aż pięciu mistrzów z Gildii Minstreli – mówiła – i około tuzina czeladników. Utrzymują, że przybyli po to, aby wspomóc Rojera w doskonaleniu sztuki kontrolowania demonów, ale o wiele bardziej interesuje ich zbieranie opowieści na twój temat.

I tak dalej. Arlena odwiedzili Patroni Runów, Posłańcy, Zielarki, Mówcy z grup uciekinierów. Przychodzili pojedynczo lub parami, wchodzili i wychodzili, aż Renna złapała się na tym, że ma ochotę wrzeszczeć.

Arlen znosił wizyty o wiele lepiej. Wielu gości powitał jak przyjaciół i proponował rozwiązania, które większość z nich uznawała za wytyczne. Tak czy owak, oboje z ulgą wyszli z pokoju, nawet jeśli skazywało ich to na spojrzenia setek gapiów.

Opiekun Hayes i Dziecię Franq czekali w Świętym Domu. Hayes miał na sobie brązową szatę, wykonaną z najlepszego sukna, jakie Renna na oczy widziała, nie licząc jej runicznego płaszcza. Na szatę Opiekun narzucił biały ornat obwiedziony motywem bluszczu. Na piersi złotą nicią wyszyto zakrzywioną laskę otoczoną kręgiem runów, częściowo nieznanymi Rennie. Na zielonej mycce oraz równie zielonej etoli także wyhaftowano błyszczące złote runy. Na palcach Opiekuna połyskiwały pierścienie, jeden z zielonym kamieniem szlachetnym o rozmiarach krowiego oka.

Franq również założył zieloną myckę z runami, brązowy habit oraz białą komżę, na której zieloną i złotą nicią wyszyto motyw bluszczu i laski. Na szyi akolity połyskiwał złocisty naszyjnik z wielkim czerwonym brylantem.

Arlen stanowił ich całkowite przeciwieństwo. Nie założył butów i miał na sobie jedynie spłowiałe płócienne spodnie oraz koszulę. Renna zaś była ubrana w skórzaną kamizelkę i spódniczkę do kolan, rozciętą po obu stronach. Większość ludzi uznałoby taki strój za nieprzyzwoity, ale jeśli ubiór gości wywarł na gospodarzach złe wrażenie, nie dali tego po sobie poznać.

– Panie Bales, panno Tanner, witajcie w Domu Stwórcy – rzekł Hayes donośnie. – Jesteśmy zaszczyceni, że bez wahania zgodziliście się przyjąć nasze zaproszenie.

Renna usiłowała się doszukać nutki sarkazmu, ale wydawało się, że Opiekun przemawia szczerze.

– Nam też miło – odpowiedziała i nakreśliła święty run w powietrzu. Arlen burknął coś pod nosem i ukłonił się tylko.

Uśmiech Hayesa przygasł.

– Chciałbym również pogratulować wam zaręczyn. Sami zapewne zauważyliście, że wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie na społeczności osady. Byłbym zachwycony, gdybym mógł przeprowadzić ceremonię zaślubin, jeśli tego sobie życzycie, panie.

– Niezmiernie miło z waszej strony – rzucił Arlen, nim Renna zdołała się odezwać. Mówił równie donośnie jak Opiekun. – Niemniej życzyłbym sobie, by zajął się tym Jona.

Podążający za nim gapię, którzy zdążyli już utworzyć spory tłum, zareagowali na te słowa z ożywieniem. Hayes zacisnął usta tak mocno, że stały się one cienką kreską niknącą wśród brody i wąsów.

– Byliście blisko ze sobą, co?

– Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale Opiekun Jona nigdy nie zawiódł osady w potrzebie – wzruszył ramionami Arlen. – Żywię nadzieję, że wróci niebawem.

W spojrzeniu Hayesa pojawił się chłód, a Franq odkaszlnął.

– Może wejdziemy, Wasza Świątobliwość? Wszyscy już są. Czekają na nas w sali biesiadnej.

– Dobrze – rzekł Hayes. – Ruszaj przodem.

Franq uklonił się, zaprosił Rennę i Arlena, a potem zamknął wielkie wrota, rozczarowując ciekawskich gapiów.

Z niewielkiej kruchty pod balkonem dla chóru Renna ujrzała nawę, która mogłaby pomieścić trzysta dusz. Podłogę wykonano z kamieni, od setek lat ścieranych i wygładzanych przez stopy wiernych. Zbudowane z mocnego drewna ławy również nosiły ślady zużycia – tu i ówdzie widać było zetlałą farbę czy wklęsnięcia odcisnięte przez pokolenia mieszkańców Zakątka. Podtrzymujące sklepienie kolumny oraz witraże ozdobiono runami, ale poza tym nie było widać żadnych ornamentów. Główny ołtarz był stosunkowo prostą konstrukcją, nakrytą czystym sukniem z motywem bluszczu i zakrzywionej laski angieriańskich Opiekunów. U stóp ołtarza ciągnął się gruby dywan.

– Proszę wybaczyć, iż przyjmujemy was w tak nędznym miejscu – powiedział Franq. – Gdy ekspansja dobiegnie końca, będziemy mogli się poszczycić godniejszym Domem Stwórcy z komnatami bardziej nadającymi się na audiencje u Jego Świątobliwości.

Renna dosłyszała, że Arlen zgrzyta zębami, ale nie odezwał się ani słowem. Przeszli przez drzwi, które Franq otworzył przed nimi z boku ołtarza, pokonali krótki korytarz i znaleźli się w pozbawionej okien sali biesiadnej. Pomieszczenie było o wiele bardziej udekorowane od

poprzednich. Zimne kamienne mury zostały zasłonięte ciężkimi tkaninami, a pośrodku umieszczono wielki stół z wypolerowanego drewna, przykryty aksamitnym obrusem. Na blacie pyszniła się delikatna porcelanowa zastawa oraz srebrne sztuce i złote kandelabry. Od ognia płonącego w kominku biło ciepło. Na prostym drewnianym kandelabrze, zawieszonym wysoko nad głowami, paliły się świece.

Przy stole siedziało trzech ludzi, którzy powstali szybko na widok Opiekuna.

– Zapewne pamiętacie, panie, lorda Arthera, doradcę hrabiego – przedstawił gości Hayes. – Obok niego siedzi rycerz Gamon, kapitan gwardii przybocznej hrabiego.

Arther miał na sobie szykowne spodnie i buty wypolerowane do połysku. Założył też białą koszulę z rękawami obszytymi koronką oraz tunikę z herbem hrabiego – drewnianym żołnierzem. Na krześle zawiesił tuleję z wypolerowaną włócznią. Była to runiczna broń z bogato zdobionym, wysadzonym kamieniami jelcem. Wyróżniała się pięknem i jakością, ale Arther nie wyglądał na wojownika i Renna zastanawiała się, czy jego oręż kiedykolwiek zakosztował juchy otchłanców.

Na samą myśl pociekła jej ślina. Musiała też stłumić odruch wymiotny. Co się z nią działo, skoro takie myśli pobudzały jej apetyt?

Gamon nosił podobne szaty, ale rękawy nie były obszyte koronką. Rycerz emanował tężyzną typową dla wojowników. Miał krótką brodę, przeciętą nierówną blizną pozostawioną przez szpon demona. Wpatrywał się w Arlena niczym w przeciwnika przed bójką, a jego włócznia wyglądała na wysłużoną. Stała oparta o mur, w zasięgu ręki.

– Miło mi. – Skłonił się Arlenowi. – Hrabia pragnie przekazać, że jest mu bardzo przykro, ale nie dotrze na czas. Zatrzymała go konieczność nadzorowania budowy warowni.

– Co oznacza, że nie miał ochoty na obiad w naszym towarzystwie – mruknął Arlen.

– A oto herold księcia, Jasin Złotogłosy, siostrzeniec lorda Jansona, pierwszego ministra Angiers. – Hayes wskazał trzeciego mężczyznę. – Jasin jutro wraca do Angiers, ale na szczęście miał jeszcze okazję spotkać się z wami, panie Bales.

– Czekalby na nas, nawet gdyby to miało trwać całą wieczność – szepnął Arlen do ucha Rennie.

Herold nosił elegancko skrojoną kurtkę i luźne szmaragdowe spodnie z jedwabiu. Ich nogawki wsunął w wysokie brązowe buty z kozłej skóry. Miał na sobie krótką brązową pelerynę z insygniami Bluszczowego Tronu Angiers. Zrzucił nią, witając Rennę zamaszystym ukłonem,

a wtedy ujrzała, że wewnątrz okrycia jest wyszyte pstrokatymi łatkami – znakiem rozpoznawczym Minstreli.

– Nigdy nie dotarłem aż do Potoku Tibbeta – wyznał, całując jej dłoń. – I chyba powinienem tego żałować, skoro mieszkają tam kobiety tak piękne jak wy, pani.

Renna poczuła, że jej policzki zalewa rumieniec.

– Dość tego – warknął Arlen.

– W istocie – zgodził się Hayes i spojrzał z naganą na Jasina. – Proszę, zasiądźcie.

Wskazał krzesła dla gości. Arlen niespodziewanie znalazł się za plecami Renny. Zaskoczona dziewczyna o mało nie uderzyła go łokciem, ale w porę uświadomiła sobie, że narzeczony podsuwa krzesło, aby mogła usiąść. Mebel był wyściełany aksamitem. Nigdy wcześniej nie siedziała na czymś równie miękkim.

Franq klasnął i pojawili się akolici z butelkami wina. Wszyscy mężczyźni łącznie z Arlenem zdjęli ze stołu złożone serwetki i ułożyli je sobie na kolanach. Renna uczyniła to samo, choć jej ruchom brakowało wprawy.

– Czeka nas wspaniała kolacja – oznajmił Franq. – Pieczony bażant nadziewany morelami w sosie winnym oraz proszę powoli pieczone nad drewnem z jabłoni, podane z galaretką ze śliwek.

Zwrócił się do Renny:

– Wolicie, pani, czerwone czy białe?

– Co takiego? – spytała Renna.

– Wino, moje dziecko – uśmiechnął się Franq. – Które mam nalać?

– Wino ma kilka rodzajów? – Renna znów się zaczerwieniła, gdy Jasin, Arther i Franq wybuchli śmiechem. – Co takiego powiedziałam? – mruknęła do Arlena.

Ten wyglądał, jakby za moment miał plunąć ogniem.

– Nie powiedziałaś nic złego – odparł tak, by usłyszeli go wszyscy obecni. – To ci ludzie zachowują się jak nieokrzesane gbury, bo oto zasiadają do wystawnej uczy, podczas gdy ludzie ledwie milę dalej jedzą zupę z chwastów i dziękują Stwórcy, że mają aż tyle.

Franq pobladł. Spojrzał najpierw na Opiekuna, a potem na Arlena.

– Nie chciałem zachować się obraźliwie...

Arlen zignorował jego słowa i spojrzał na Hayesa.

– Tego uczycie swoje Dzieci, Wasza Świątobliwość? Że wyszydzanie zwykłych ludzi to nie złego? Jestem zdumiony, ponieważ tam, skąd pochodzimy, Opiekunowie muszą zasłużyć na zaszczyt noszenia świętych szat.

Hayes zacisnął zęby.

– Oczywiście, że nie tego uczę.

– Widzę coś innego. – Arlen znów zerknął na Franqa. – Co powiedziałaś o tym Świętym Domu? Że jest nędzny? Że nie jest godny?

Franq spojrział na niego jak zaszczute zwierzę.

– Chodziło mi tylko i wyłącznie o to, że budowla wspanialsza...

– Nie znasz znaczenia tego słowa – przerwał mu Arlen. – Ten Święty Dom jest symbolem siły mieszkańców Zakątka. Nie zawiódł ich, gdy stracili ostatki nadziei. Leżeli tu ranni, ba, niektórych ułożono nawet w tej oto komnacie! a ich krewni i przyjaciele na zewnątrz walczyli ze stworzeniami nocy. W tym miejscu nie ma niczego nędznego.

Arlen przeniósł spojrzenie na Hayesa.

– Wy jednakże nosicie się z zamiarem rozebrania go na kawałki i postawienia czegoś większego, by ludzie zapomnieli, kim byli przed waszym przyjściem, a także by puścili w niepamięć Opiekuna, do którego ów Dom należał.

Twarz Hayesa stwardniała.

– I znów wspominać Jonę. Zdjęliście już brązową szatę, a mimo to nadal przemawiacie jak Święty Pasterz i pouczać nas, jak należy prowadzić nasz zakon. Hrabia już obiecał, że żona będzie mogła spotkać się z Joną, a mimo to najpierw urządzać scenę na oczach tłumów, a potem kolejną tutaj, przy moim stole.

– Scena na zewnątrz była przeznaczona dla was – zauważył Arlen, a potem spojrział na resztę. – Wiem, że uważacie nas za głupków, gdyż pochodzimy ze wsi, ale pracowałem przez długie lata jako Posłaniec i znam się na polityce. Stałem na Cmentarzysku i powiedziałem ludziom, że nie jestem ani Świętym Mężem, ani też wybrańcem Niebios, ponieważ chciałem mieć spokój, ale wam to nie wystarczyło. Musieliście zrobić coś, aby pokazać, że należę do waszej trzódki, a wasi szlachetnie urodzeni przyjaciele – zerknął przy tym na Arthera, Gamona i Jasina – wysłali paru służących, aby podsłuchiwali i składali wam meldunki. Nie interesują mnie te gierki. Nie trzymam się zasad zawartych w Kanonie i nie składałem przysięgi posłuszeństwa wobec Bluszczowego Tronu.

Renna uśmiechnęła się pod nosem i rozparła na krześle, przyglądając się kłótni z rozbawieniem. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Zebrani wydawali się oburzeni i wściekli, ale Hayes uniósł dłoń, by ich uspokoić.

– Niemniej jednak – powiedział – Bluszczowy Tron włada Angiers i wszyscy ludzie mieszkający w granicach księstwa są jego poddani. Książę Rhinebeck oraz Pasterz Pether wydali dekret stwierdzający, że Zakątek Drwali jest lennem naszego zakonu, panie Bales. Skoro tu mieszkacie, podlegacie zarówno jurysdykcji mojej, jak i hrabiego.

– Prawo Everama – stwierdził Arlen.

– Co takiego? – spytał Opiekun.

– W Krasji religia i prawo są jednym – wyjaśnił Arlen. – Święta księga, zwana Evejah, stanowi podstawę całej tamtejszej kultury, a Krasjanie podczas swoich podbojów na Południu zmuszają wszystkie ujarzmione ludy do przyjęcia ich wiary. Nie pytają przy tym, czy ktoś ma na to ochotę, czy też nie. Gwałcą kobiety, biorą mężczyzn w niewolę i zabierają dzieci, aby poddać je indoktrynacji. Nawet jeśli zatrzymają się teraz i zaniechają dalszych podbojów, w przyszłym pokoleniu wszyscy ich nowi podwładni będą żarliwymi wyznawcami Everama. Krasjan będzie cztery razy więcej niż teraz.

– Więc sami widzicie, panie Bales, dlaczego musimy stawić im zdecydowany opór – rzekł Hayes. – Musimy też wierzyć mocniej i żarliwiej w jedyne prawdziwego Stwórcę, by zwalczyć tym samym fałszywego boga Krasjan.

– Stawiając im opór, stawiacie się tacy sami jak oni – rzekł Arlen. – A ja nie pozwolę na to w Zakątku. Wygadujcie sobie w tej świątyni, co chcecie. Jeśli jesteście w stanie nakłść ludziom bzdur do głów, proszę bardzo. Ich wybór. Jeśli jednak będziecie tu uprawiać jakieś durne zabobony, jak przywiązywanie cudzołożników do słupów poza barierą, to przysięgam, że złamię ten wasz słup na kolanie i wrzucę połowę do waszej sypialni, a drugą do komnaty hrabiego!

– Nie ośmielisz się! – warknął Franq.

– Tylko poczekaj! – odezwała się Renna.

– Jak śmiesz! – krzyknął Arther, a kapitan Gamon zerwał się na równe nogi i pochwycił za włócznię.

– W imię hrabiego Thamosa aresztuję cię za zdradę...

Arlen parsknął i nawet nie ruszył się z miejsca. Niedbale nakreślił run w powietrzu, a ostrze włóczyń Gamona niespodziewanie stało się szaroniebieskie niczym zamglone niebo. Powietrze wokół broni zaczęło migotać, a potem zarówno ostrze, jak i drzewce pokrył biały szron.

Rozległo się głośnie skrzypnięcie, Gamon wrzasnął i upuścił włóczynię, ściskając dłoń, jakby się poparzył. Jasin zerwał się z krzesła, a wtedy zamarznięta broń spadła na kamienną podłogę i roztrzaskała się na tysiąc kawałków.

– Aaaa! Na Stwórcę, moja dłoń! – wrzeszczał Gamon.

– Przestań zachowywać się jak głupiec i siadaj! – rozkazał Arlen. Spojrzał na jednego ze służących, przyglądającego się scenie z rozdziawioną gębą i szeroko otwartymi oczami. – Przynies kapitanowi miskę zimnej wody, żeby wymoczył w niej dłoń.

Służący wybiegli, nie patrząc nawet na Hayesa czy Franqa.

Opiekun splótł palce.

– A więc wynosicie się, panie Bales, ponad prawa ludzkie i boskie? Czy to w ten sposób pragniecie przekazać, że poranne przemówienie było kłamstwem i tak naprawdę uważacie się za Wybawiciela?

Arlen pokręcił głową.

– Chciałem przekazać tylko tyle, że nie jestem pierwszym lepszym głupkiem, którym można manipulować. Wróciłem do Zakątka nie po to, żeby wszczynać bójki z wami, panie, czy z hrabią, ale dlatego, że mam tu ważne sprawy do załatwienia. Jeśli będziecie traktować ludzi sprawiedliwie, a wygląda na to, że na ogół tak właśnie jest, chcę, byśmy pozostali przyjaciółmi. Pozwoliliście sobie jednak na wiele, panie, i chciałem wam pokazać, gdzie runy się kończą. Nie mam najmniejszego zamiaru zostać pionkiem w waszych rozgrywkach politycznych, a jeśli któryś z otaczających was idiotów raz jeszcze zakpi z mojej narzeczonej, gorzko tego pożałuje.

Hayes pokiwał głową.

– Przepraszam za zniewagę wyrządzoną wam, panie, i panie Tanner. Była ona niezamierzona i pragnę zapewnić – zerknął przy tych słowach na Franqa – że mój asystent zostanie należycie upomniany.

Rozłożył ramiona.

– Pragnę, abyśmy pozostali przyjaciółmi. Ani hrabia, ani ja nie chcemy mieć w was wroga, panie Bales. Brat Thamosa nakazał mu przybyć na Południe, zabezpieczyć granicę i zapewnić ludziom bezpieczeństwo. Moje wytyczne od Pasterza Pethera niewiele się różnią. Mam otoczyć

opieką duchową wszystkich mieszkańców Zakątka tak, jak zrobiłby to sam Jona, i nie ma tu miejsca na żadne manipulacje.

– Czy to wszystkie wasze wytyczne? – spytał Arlen.

Hayes pokręcił głową.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Wy, panie Bales.

– Ja?

– Nie jesteście pierwszym rzekomym Wybawicielem w Angiers – ciągnął Opiekun. – Opowieści o jego powrocie pojawiają się raz na kilka lat, zwłaszcza na prowincji. Opiekunowie Stwórcy skrupulatnie badają każdy przypadek. Osobiście przeprowadziłem dochodzenie w sprawie przynajmniej tuzina i każdy z owych Wybawicieli okazał się oszustem.

– Możecie zapisać kolejne nazwisko na waszej liście – uśmiechnął się Arlen. – Ja też nie jestem Wybawicielem.

Hayes pochylił się ku niemu.

– Może, ale nie jesteście, panie, również prostym Posłańcem ze wsi, bez względu na to, co sami utrzymujecie. Ciągłe wysłuchuję, kim nie jesteście, ale teraz pora, abyście zdradzili, kim jesteście, panie. Wykorzystujecie magię demonów, co oznacza, że równie dobrze sami możecie być przybyszem z Otchłani.

W komnacie zapadła cisza. Renna najeżyła się, a Hayes rozsiadł wygodnie, pozostali zaś nachylili się, nie chcąc uronić choć słowa z odpowiedzi Arlena. Jasin wyciągnął nawet mały notatnik i krótki ołówek. Dla Minstreli opowieści przekładały się na pieniądze. Heroldów dotyczyło to tym bardziej, choć ich publiczność stanowił tylko jeden człowiek.

– To proszę mi się przyjrzyć jutro o poranku – odparł Arlen. – Czy przybysz z Otchłani wytrzyma promienie słońca?

Hayes wzruszył ramionami.

– Może jesteście pierwszym, który się tego nauczył?

– A tysiące demonów, które zabiłem, wliczając te, których śmierć widzieliście zeszłej nocy?

– spytał Arlen. – Czyżby był to kolejny podstęp, aby zyskać zaufanie ludzi?

– Wy mi to powiedzcie – odparł Hayes.

– On nie musi wam nic tłumaczyć – warknęła Renna. Uwaga wszystkich niespodziewanie skupiła się na niej.

– Proszę wybaczyć, młoda damo – odezwał się z przyganą Hayes – ale...

– Arlen nie chciał tu dziś przyjść – przerwała mu dziewczyna. – Wiedział, co tu się będzie działo. Powiedział, że będziecie usiłowali go wykorzystać bądź oskarżyć. Powiedział, że lepiej rozmawiać ze ścianą niż z wami. To ja poprosiłam, żeby zachował się po ludzku i przyjął zaproszenie.

Wstała.

– Żałuję tego z całego serca i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wysłuchiwać tej gadaniny. Smacznego bażanta.

Obróciła się ku drzwiom, a Arlen wrzucił ramionami i uśmiechnął się przeproszająco do Opiekuna, a potem ruszył w ślad za nią.



Słońce zachodziło, a na ulicach Zakątka wciąż krzątali się ludzie. Na Cmentarzysku Otchłańców zbierały się oddziały Rębaczy, szykując się do wieczornych patroli, a kupcy nadal zachwalali z energią jedzenie, napoje i inne towary. Nikt nie nosił się z zamiarem rychłego zwinięcia interesu. Nawet robotnicy kopiący fundamenty pod nowy Święty Dom nie przestawali pracować. Renna od dawna wiedziała, że wielki run zapewnia bezpieczeństwo, ale nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, co to naprawdę oznacza. Ci ludzie cieszyli się wolnością za dnia i w nocy. W hrabstwie Zakątka nikt nie musiał żyć według rozkładu narzuconego przez demony.

– Czy nie będzie wkrótce zbyt ciemno na pracę? – spytała Renna.

Arlen pokręcił głową.

– Zaraz pojawi się magia. Niedługo wszyscy będą mieli wystarczająco dużo światła.

Renna nie wiedziała, jak rozumieć jego słowa. Rozejrzała się w poszukiwaniu smużek mgły unoszących się znad ziemi, widocznych jedynie dla niej i dla Arlena.

Na powierzchni wielkiego runu na próżno było jednak szukać oznak magii. Niespodziewanie ulica pod stopami dziewczyny zaczęła robić się coraz cieplejsza, a potem zaśniła. W pierwszej chwili Renna sądziła, że to wyobraźnia płata jej figle, ale wkrótce blask stał się tak intensywny, że nie mogła go dłużej ignorować. Wiedziała, że wszyscy to dostrzegają, obojętnie, czy ich wzrok wzmacniały runy, czy też nie. Zrozumiała też, dlaczego na ulicach nadal trwa ożywiony ruch mimo nadchodzących ciemności. Nie było tyle światła co za dnia, ale wystarczająco, aby dobrze widzieć i dzięki temu kontynuować pracę.

– Jakie to piękne – westchnęła.

W pewnej odległości dostrzegła skraj wielkiego runu. Magia unosiła się tam z ziemi jak wszędzie indziej, ale strugi płynęły w kierunku wielkiego runu. Przypomniał jej się Arlen, który w ten sposób przyzywał moc. Renna uświadomiła sobie, że wielki run próbuje również wysać jej magię. Ogromny zasób mocy, który zgromadziła, odkąd zaczęła jeść demonie mięso, przyciągany był do powierzchni ulicy niczym żelazny garnek przez magnetyt. Kroki Renny stały się cięższe, zakręciło jej się w głowie.

– Kiedyś czułem się... eee, nie najlepiej na wielkim runie – odezwał się Arlen, jakby czytał dziewczynie w myślach. – Miałem wrażenie, że brnę przez wodę albo za długo siedziałem na słońcu.

– Kiedyś?

– Teraz wszystko wygląda inaczej. Wielki run przyciąga tyle mocy, że bez trudu mogę jej zaczerpnąć.

Nabrał tchu i jego runy zaraz zaślniły intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej. Wypuścił powietrze i znów przygasły.

– Mogę nawet wtłoczyć do runu magię, której nie potrzebuję, i wzmocnić jego siłę.

Spojrzał na Renę.

– Czuję się tu potężny, Ren – dodał. – Potężniejszy, niż mógłbym sobie wymarzyć. I nie muszę nawet zabijać, aby osiągnąć ten stan. Nie wiem, czy to wystarczy, ale armię, którą Otchłań wypuści na nas podczas Nowiu, czeka niezła przeprawa.

Skręcił do innej budowli, znajdującej się po przeciwnej stronie rynku. Był to jedyny budynek w Zakątku opatrzony wielkimi, mocnymi runami wyciętymi w drewnie.

– To szpital – wyjaśnił Arlen. – Muszę porozmawiać z panią Viką, nim odjedzie do Angiers. Może będę mógł jej jakoś pomóc w opiece nad pacjentami. Jeśli się przyłożę, nie będzie miała nawet komu nosa obetrzeć.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała Renna. – Chcesz, żeby znowu obwołano cię Wybawicielem?

– Ludzie tak czy owak będą mnie tak nazywać – odparł Arlen. – Nie jestem Wybawicielem, ale nie chcę już utrzymywać swoich możliwości w sekrecie. Zabijając demony umysłu, wsadziliśmy kij w mrowisko i, o ile się nie mylę, Otchłań przystąpi do kontrataku podczas Nowiu. Przyda się każda para rąk.

Renna skrzywiła się tylko.

– Co? – Arlen zauważył jej minę.

Dziewczyna założyła ramiona i odwróciła się od niego, ale zaraz poczuła, że narzeczony przytula ją łagodnie.

– Jeśli coś cię dręczy, Ren, po prostu powiedz. Wiele się nauczyłem od tego demona, ale czytanie w myślach jest na razie poza moim zasięgiem.

Renna westchnęła.

– Nie podoba mi się to uzdrawianie.

Arlen zeszywniał.

– Co takiego? Dlaczego? Mam porzucić ludzi w potrzebie? Okaleczonych? Konających?

Najbardziej na świecie Renna pragnęła pozostać w ramionach Arlena, ale teraz wyrwała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie o to chodzi. Po prostu wydaje mi się, że to niebezpieczne. Uważasz, że jestem lekkomyślna, a tymczasem sam prawie doprowadzasz się do śmierci, gdy zaczynasz uzdrawiać. Jesteś zbyt uparty, aby zrozumieć, że należy przestać. Tak, dobrze słyszysz. Nie mam zamiaru przyglądać się, jak wyczerpujesz wszystkie siły, aby zaleczyć złamaną nogę jakiegoś głupka. Niech czeka, aż sama się zrośnie.

Spodziewała się, że na nią nakrzyczy, ale jedynie pokiwał głową.

– Wciąż nie opanowałem leczenia w pełni, ale teraz mam do pomocy zasoby wielkiego runu, Ren. Będę jednak uważał, obiecuję.



VI

Kolczyk

333 ROK PLAGI
29 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Ach! Aaaach!

Inevera przygryzła wargę, gdy jej kolczyk znów przekazał jęki tej suki z Północy.

Nieskomplikowana srebrna ozdóbka skrywała pół kości demona, dającej moc serii drobnych runów. Druga część kości została osadzona w kolczyku, który Inevera wręczyła Jardirowi w dniu ślubu. Nigdy nie zdradziła mu natury podarunku.

„Jeśli naprawdę mnie kochasz, nigdy go nie zdejmuj” – powiedziała podczas ceremonii.

Runy na obu ozdobach nie były zespolone, ale Inevera opracowała sposób aktywacji. Jej cząstka *hora* przekazywała wówczas dźwięki wyłapano przez bliźniaczy odłamek w kolczyku Jardira niczym dziecięce kubeczki połączone sznurkiem. Wszystkie odgłosy, łącznie z miłosnymi jękami Leeshy przy uchu jej męża.

Jestem palmą, powtarzała sobie Inevera w duchu. A to tylko wiatr. Ugnę się, ale nie złamię.

Zerknęła na Melan i Asavi, jej najbliższe doradczynie. Nie słyszały dźwięków przekazywanych przez kolczyk – jego magia działała tylko na osobę, która go nosiła – ale nie miało to większego znaczenia. Ahmann i Leesha nie kryli się już z miłosnymi grami, przynajmniej w pałacu. Inevera uśmiechała się z przymusem i udawała, że to jej nie obchodzi, nawet jeśli osłabiało to jej pozycję wśród *dama'ting* i mężczyzn otaczających Jardira.

Zacisnęła pięść. Nie mogła się temu przeciwstawić. Ahmann był przecież Shar'Dama Ka i wedle świętej księgi Evejah miał prawo posiadać każdą kobietę, której sobie zażyczy. Inevera od wielu lat dokładała wszelkich starań, aby zaspokajać potrzeby męża samodzielnie lub przez starannie wybrane kobiety. Wyszukiwała tylko takie, które mogły zwiększyć wpływy Jardira i dać mu dzieci, ale bez trudu pozwalały sobą manipulować.

Leesha nie należała do żadnej z tych kategorii. W istocie mogła zwiększyć wpływy Ahmanna, ale postępowała bardzo ostrożnie i nie składała obietnic, a przy tym była wyniosła niczym Pierwsza Żona Andraha. Nie pozwalała sobą kierować, a podejmowane przez Ineverę próby wyeliminowania rywalki już dwukrotnie skończyły się porażką. Za pierwszym razem Inevera nakazała najstarszej córce, Amanvah, przyrzeczonej rudowłosemu przybyszowi z Północy, Rojerowi, by otruła Leeszę. Dziewczyna była lojalna wobec matki, ale brakowało jej doświadczenia i misja zakończyła się porażką.

Leesha mogła wówczas opowiedzieć o wszystkim Jardirowi, przez co konflikt między nią a Ineverą wyszedłby na jaw i z pewnością stał się jeszcze bardziej zaciekły. Jardir wpadłby w furję i wyślizgnąłby się spod kontroli Pierwszej Żony.

Leesha jednakże nie powiedziała ani słowa i nawet pozwoliła, aby Amanvah przebywała w jej towarzystwie. Zyskała tym samym pewne uznanie Inevery, przez co ta popełniła fatalny błąd podczas drugiej próby. Gdy jej ludzie włamali się do sypialni Leeshy, Inevera, zamiast po prostu zabić obcą z Północy, próbowała ją zastraszyć. Tej samej nocy musiała uratować jej życie, aby razem stawili czoła demonowi umysłu usiłującemu zabić Jardira.

Oczywiście, gdyby Inevera zgładziła Leeszę, demon umysłu mógłby pokonać zarówno Jardira, jak i ją. Pierwsza Żona musiała bowiem z niechęcią przyznać, że wiedźma z Północy była bardzo groźna, a tej nocy jej moc jeszcze wzrosła. Po zabiciu demona umysłu Inevera skwapliwie wycięła potężne *alagai hora* z jego ciała, lecz Leesha zrobiła to samo i Krasjanka nie mogła jej przed tym powstrzymać. Wysłała później wiernych sobie eunuchów, aby wykradli Leeshy kości, ale wrócili pobici i z pustymi rękami. Wiedźma nie dawała się łatwo zaskoczyć.

Inevera mogła więc tylko słuchać i robić wszystko, aby nie utracić pozycji. Aby nie została odsunięta. Aby nie została upokorzona.

Oddychała powoli, odzyskując równowagę. Ta kobieta wkrótce powróci do swej barbarzyńskiej wsi, a Inevera odzyska miejsce u boku Jardira w małżeńskim łóżu. Wszystko wróci do normy.

Być może.

Jęki i okrzyki ucichły, a zastąpiły je łagodne szepty. Inevera wyteżyła słuch, usiłując rozróżnić cicho wypowiedane słowa. Ich słuchanie było torturą o wiele gorszą od okrzyków czy odgłosów kopulacji. Inevera wielokrotnie widziała męża w łóżu z innymi kobietami i dobrze знаła zachowanie zarówno jego, jak i jego kochanek. Sama doskonale opanowała tajniki gry miłosnej i wiedziała, że technika seksualna Leeshy nie stanowi dla niej zagrożenia. Bała się tylko owych cichych chwil, gdy oboje leżeli spleceni w uścisku.

– Wyjdź za mnie – rzekł Jardir.

– Ile razy jeszcze muszę ci odmówić, byś przestał mnie o to prosić? – Leesha udała, że nie rozumie ogromnego zaszczytu, jakim została obdarzona.

– Jeśli odmówisz dziesięć tysięcy razy, tyleż razy powtórzę prośbę. Daj spokój, przecież wciąż mamy na to czas. Jestem Shar'Dama Ka i wystarczy, że machnę ręką, a staniemy się mężem i żoną. Wyjdź za mnie teraz, w tajemnicy. Twoja matka i Abban mogą być świadkami i podpiszą umowę. Nikt inny nie musi o tym wiedzieć, chyba że sami uznamy za stosowne to ogłosić. Najważniejsze, że my będziemy wiedzieć.

Abban – Inevera wydeła wargi. On też jest wplątany w tę grę i walczy o wpływy oraz o posłuch u Jardira. Z nim też trzeba będzie się uporać.

– Możesz mnie prosić dziesięć tysięcy razy, możesz i dwadzieścia – odparła Leesha – ale moja odpowiedź nadal będzie brzmiała: nie. Masz dość żon.

– Zabronię im wszystkim wstępu do mego łóża – oznajmił Jardir, a Inevera aż się najeżyła.

– Wszystkim z wyjątkiem Inevery – poprawił się, a kobieta odzyskała oddech. Nie mogła uwierzyć w jego głupotę. Lecz przecież mawiano, że *Sharum* nie potrafią się targować, a Jardir był *Sharum* do szpiku kości.

– Więc musiałabym się dzielić tobą z tylko jedną kobietą zamiast czternastu?

– Przecież dzielisz się mną teraz – warknął Jardir, a Inevera przygryzła wargi, słysząc kolejny pocałunek.

– Jesteśmy sami, Ahmann – odparła Leesha. Jardir jęknął z rozkoszy. – Przez następnych kilka godzin nie dzielę cię z nikim.

– Damajah! – krzyknęła Melan. – Twoje dłonie!

Inevera zerknęła w dół, z jej zaciśniętych pięści ściekała krew. Pomalowane, długie i ostro zakończone paznokcie przebiły skórę. Ogarnięta cichą wściekłością kobieta nawet nie zwróciła

na to uwagi. Melan i Asavi delikatnie oczyściły i zabandażowały rany, a Inevera przyglądała się temu obojętnie, jakby ręce należały do kogoś innego.

Jak do tego doszło? Co zrobiła, że Ahmann poczuł się zawiedziony i okrył ją takim wstydem? Bacznie śledziła jego karierę i pilnowała, aby natura wojownika nie zniszczyła kryjącego się w nim potencjału. Robiła wszystko, co mogła, aby uchronić go przed bezsensowną śmiercią. Podarowała mu zjednoczoną Krasję i wręczyła broń, dzięki której mógł wpędzić *alagai* z powrotem do Nie. Inevera obdarzyła go czterema synami oraz trzema córkami i dobierała mu *Jiwah Sen*, aby jego łóże zawsze było ciepłe, a liczba synów rosła.

– A może już dawno powinnam była dobierać mu dziwki z Północy, żeby minęła mu ochota na kobiety o jasnej skórze? – mruknęła.

– Mężczyźni są przewidywalni – stwierdziła Melan.

– Gdy tylko poczują się władcami, nie interesuje ich nic poza wbijaniem dzidy w kolejne kobiety – zgodziła się Asavi. – Wielu *Sharum* zaczęło gustować w bladej cerze.

Melan i Asavi były kochankami od wielu lat. Dzielily kwatery i zawsze się wspierały. Nie interesowały się mężczyznami – dla obu liczyło się tylko nasienie – i minęło już sporo czasu, odkąd wykorzystwały kości, aby wybrać ojców dla swych córek. Za każdym razem wpuszczaly mężczyzn do łóżek na raptem jedną noc i nigdy później ich nie spotykały.

Pomimo tych uprzedzeń obie miały rację. Inevera powinna była przewidzieć rozwój wypadków. Niestety, tak się nie stało, dlatego jej mąż został opętany przez niewierną dziwkę w tej samej pachnącej sypialni, w której tyle razy spał z Ineverą.

Rady szeptane przez Leeshę zaczynały już wywierać wpływ na działania Ahmanna. Zaczynał się zastanawiać nad krasjańskimi zwyczajami i dorobkiem wielowiekowej kultury. W wyniku owych przemyśleń Jardir podjął wiele decyzji – niektóre dość niewinne, ale część wydawała się niebezpieczna. Ahmann osłabiał pozycję własnego narodu na rzecz mieszkańców Północy, całkiem zapominając, że mieli być jego poddanymi, a nie sojusznikami.

Tymczasem Krasjanie nie mieli czasu na zajmowanie się *chin*. Nadchodziła przecież *Sharak Ka*. Ba, niewykluczone, że już się zaczęła.



VI

Szkolenie

300 ROK PLAGI

Inevera nie znosiła, gdy Kasaad – jej ojciec – sprowadzał *Sharum* do domu. Wraz z matką musiały wtedy im gotować i usługiwać, podczas gdy ojciec popisywał się przed gośćmi, wrzeszcząc na nie i popędzając bez litości. W końcu wszyscy upijali się i stawali jeszcze większymi gburami, a potem zaczęli grać w *sharak* glinianymi kośćmi. Brat Inevery, Soli, otrzymał zaś od ojca surowy zakaz pomagania w domu na długo, zanim założył czarne szaty.

– Jesteś wojownikiem, synu, a nie jakimś *khaffit* czy kobietą!

Gdy Inevera była młodsza, mężczyźni ignorowali ją i wygłaszali sprośne komentarze pod adresem Manvah, ale w miarę jak dziewczynka dojrzewiała, goście w domu Kasaada coraz częściej zwracali na nią uwagę. Jeden z nich, obrzydliwy człowiek o imieniu Cemal, próbował ją nawet obłąpić.

Soli jednakże, choć nie mógł gotować czy pomagać w kuchni, zawsze był w pobliżu, aby przyjść siostrze z pomocą. Nim Cemal zacisnął dłoń na ciele Inevery, jej brat wbił mu kolano między nogi i złamał nos.

Kasaad śmiał się do rozpuku. Wysztydził Cemala i pogratulował synowi, ale nawet nie zerknął na córkę, aby sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Co gorsza, nadal zapraszał Cemala do domu i nie zrobił niczego, by położyć kres sprośnym kpinom. Inevera wiedziała, że *Sharum* tylko czeka na chwilę nieuwagi ze strony Soliego.

Na samą myśl o usługiwaniu ojcu i kilku pijanym wojownikom budziło się w Ineverze przerażenie, ale nic nie napawało jej takim strachem jak podawanie herbaty *dama'ting*.

W komnacie jadalnej czekały aksamitne poduszki ułożone w półkręgu. Kenevah zasiadła jako pierwsza. Melan podeszła do niej szybko i podała czarkę z parującym napojem. Dziewczyna poruszała się płynnie niczym smużka dymu, wydawać by się mogło, że napełniła naczynie i zaraz znikła.

– Qeva, usiądź po mojej prawej. – Kenevah wskazała jej poduszkę. – Favah, po lewej.

Qeva zajęła miejsce, a po niej uczyniła to Favah, szanowana, zasłużona Oblubienica, która wydawała się starsza od samej Kenevah. Asavi oraz kolejna *nie'dama'ting* wystąpiły, aby je obsłużyć.

Kenevah uniosła czarkę i trzy kobiety napiły się wspólnie. Następnie Kenevah zaprosiła dwie kolejne Oblubienice, aby zajęły miejsce po obu stronach już siedzących. Podano im gorący napój i tym razem cała piątka upiła łyk.

Herbata dla kolejnej pary, nalana z tego samego dzbanka, była ledwie gorąca. Napój podany następnym kobietom był tylko ciepły. Ostatnim Oblubienicom nalano już zimną herbatę.

Jedzenie podawano w tej samej kolejności. Były to wykwintne potrawy – Inevera nigdy nie widziała smaczniejszego jedzenia i od samego zapachu kręciło jej się w głowie – ale mimo to najlepsze kąski przypadły ulubienicom Kenevah.

Gdy rytuał dobiegł końca, *dama'ting* się odprężyły i wszczęły zwykłe, niezobowiązujące rozmowy. Gotowaniem i przynoszeniem posiłków zajmowali się urodziwi eunuchowie, ale zadanie obsługiwanie Oblubienic przypadło Zaprzysiężonym.

Dama'ting siedząca przed Ineverą skończyła herbatę i odstawiła pustą czarkę. Inevera, która miała natychmiast uzupełnić naczynie, zagapiła się i kobieta obrzuciła ją surowym spojrzeniem. Dziewczyna ujęła dzbanek i zbliżyła się pospiesznie, roniąc kroplę na stół. *Dama'ting* siedząca po sąsiedzku zauważyła to i parsknęła z pogardą.

Gdy Inevera wróciła na miejsce, Melan uszczypnęła ją boleśnie.

– Głupia! – szepnęła. – Wszystkie za to zapłacimy. Jeśli rozlejesz herbatę raz jeszcze, podczas następnej kąpieli przetrzymamy cię pod wodą tak długo, że spotkasz się z Everamem.

Nawet we własnym gronie *dama'ting* nie zdejmowały zawojów. Jedząc, nachylały się nad miskami i zręcznie wkładały kąski do ust za pomocą pary pałeczek. Ineverze czasami udało się przelotnie ujrzeć nos bądź kącik ust którejs z jedzących, ale wtedy natychmiast odwracała

spojrzenie. Było to dla niej jeszcze bardziej krępujące niż przyglądanie się, jak Kasaad bierze Manvah na stercie koszy.

Gdy *dama'ting* zakończyły wieczerzę, Zaprzysiężone miały prawo uraczyć się pozostałościami z ich uczyty. Melan i pozostałe dziewczęta zepchnęły Ineverę na koniec kolejki, co oznaczało, że zostaną dla niej jedynie nędzne resztki. Udało jej się napęłnić miskę tym, co wyskrobała z wielkich garów. Zauważyła, że pozostałe dziewczęta zasiadły w ciasnych kręgach. Przekaz był jasny – nie chciały mieć z nią do czynienia. Zjadła więc samotnie, a potem zrezygnowana udała się w ślad za resztą do Krypty, poganiana przez Qevę.

Nie'dama'ting spały we wspólnej komnacie, opromienionej blaskiem bijącym z runów wyrzeźbionych na suficie. Wzrok Inevery znów umknął ku górze i przez chwilę z zachwytem podziwiała magiczne znaki.

– Wkrótce sama poznasz sztukę rysowania runów – powiedziała Qeva, która podchwyciła jej spojrzenie. – Melan, gdzie twoje posłanie?

W centrum pomieszczenia stało kilka równych rzędów łóżek. Melan wskazała to w rogu komnaty, znajdujące się daleko od drzwi.

Qeva kiwnęła głową.

– A kto śpi tam? – Wskazała sąsiednie łóżko.

– Asavi – odparła Melan, a wezwana dziewczyna pospiesznie wystąpiła przed szereg.

– Twoja siostra w miłości będzie musiała znaleźć sobie nowe miejsce – burknęła Qeva. – Inevera będzie spać obok ciebie przez następnych dwanaście Nowiów, byś mogła lepiej udzielać jej nauk.

Melan syknęła niemal niedosłyszalnie. Asavi podeszła do łóżka i zebrała należące do niej rzeczy, głównie książki i pióra. Mijając Ineverę, smagnęła ją wzrokiem ostrym jak nóż.

– Macie czas wolny do zgaśnięcia światła – oznajmiła Qeva i wyszła.

Inevera wstrzymała oddech. Spodziewała się, że po zamknięciu wrót do Krypty dziewczyny ją zaatakują, ale nic takiego się nie stało. Ignorując ją całkowicie, odwróciły się plecami i zbiły w małe, ciasne grupki. Inevera podeszła więc do nowego posłania, wyjęła *Evejah'ting* i zaczęła czytać.

Światło zgasło dopiero po paru godzinach, ale jej udało się przeczytać zaledwie parę stron. Umieściła zakładkę w księdze i zapadła w niespokojny sen.



Inevera przebudziła się ze świadomością, że ktoś nachyla się nad nią w ciemności. Jej oczy były przystosowane do mroku, ale mimo to dostrzegła zaledwie niewyraźną sylwetkę, starającą się poruszać jak najostrożniej. Najpierw wstrzymała dech, a potem opamiętała się i zaczęła oddychać równo, by udawać sen. Zaczęła nawet pochrapywać cicho jak jej matka.

Nie miała na własność niczego z wyjątkiem Evejah'ting oraz sakiewki z kośćmi. Żadna z tych rzeczy nie mogła posłużyć jako broń, choć dziewczyna nie miała pojęcia, co mogłoby jej pomóc w pomieszczeniu pełnym nienawidzących jej towarzyszek. Czy *nie'dama'ting* naprawdę chcą ją zabić? Czy takie morderstwo w ciemnościach uszłoby im na sucho? Inevera napięła mięśnie, aby rzucić się do ucieczki, ale przypomniała sobie, że nie ma dokąd umknąć. Nawet gdyby udało jej się odnaleźć w ciemności drzwi, nie zdołałaby otworzyć ich od środka.

Tymczasem sylwetka przemknęła obok niej i szurając cichutko stopami, podkrađła się do łóżka Melan. Rozległ się szelest odrzucanego koca.

– Chyba mnie usłyszała – szepnęła Asavi.

Na chwilę zapadła cisza.

– Śpi. Nawet stąd słychać jej chrapanie – powiedziała Melan. – Zresztą kogo to obchodzi, co sobie myśli nieudany rzut?

Inevera leżała na łóżku, usiłując chrapać miarowo. Słuchała pocałunków i wyznań miłości dobiegających z posłania Melan. Nigdy dotąd nie całowała się z inną dziewczyną, a nawet nie przyszło jej to do głowy, ale teraz im pozazdrościła. Nigdy dotąd nie czuła się tak samotna.



Tym razem Ineverę wyrwał ze snu ostry ból w boku. Krzyknęła i zerwała się, a gdy otworzyła oczy, ujrzała Melan zamierzającą się do kolejnego kopnięcia.

– Ruszaj się, nieudany rzucie!

Runiczne światła znów ożyły, a większość dziewcząt już zaplotła swoje bido. Inevera chciała się załatwić, więc ruszyła w kierunku zasłony wiszącej w wejściu do toalety, ale Melan złapała ją za ramię.

– Jeśli chciałaś mieć czas na wszystko, trzeba było się wcześniej obudzić. *Dama'ting* zjawi się w każdej chwili i jeśli poprawnie nie zapleciesz na czas swojego bido, pełen pęcherz będzie twoim najmniejszym zmartwieniem.

Inevera pozostała nieporuszona. Zapomniała o swojej potrzebie i szybko sięgnęła po świeżą płachtę jedwabiu. Pozostałe dziewczęta z zazdrością śledziły jej pospieszne, ale wprawne ruchy.

Asavi splunęła pod jej stopy.

– Co się dziwicie? To córka wyplataczki koszy. Przecież to niczego nie dowodzi.

Zaraz po tym, jak Inevera zakończyła zaplatanie bido, ciężkie drzwi do komnaty sypialnej stanęły otworem, a w progu zjawiała się Qeva. Odziane w bido dziewczęta ustawiły się w szeregu. Inevera dołączyła do nich i wspólnie przeszły z Krypty do kolejnej wielkiej sali w Podpałacu.

– Każdy dzień rozpoczynamy od ćwiczenia *sharusahk* – oznajmiła Melan. – Nie odzywaj się i rób dokładnie to, co *dama'ting*.

Inevera skinęła głową. *Nie'dama'ting* ustawiły się w równych rzędach w odległości dwóch kroków od siebie. Qeva weszła na niewielkie podium i jednym ruchem odpięła szatę. Jedwab spłynął na ziemię z cichym szelestem, *dama'ting* stanęła naga, jedynie w zawoju i woalce.

Powoli zaczęła wykonywać ćwiczenia rozciągające. Dziewczęta naśladowały jej ruchy, a Inevera starała się za nimi nadążyć. Gładkie i muskularne ciało Qevy szybko pokryła warstewka potu zmieszanego z aromatycznym olejkiem. Widok ten dał Ineverze do myślenia. Jak to możliwe, że wykonując tak powolne ruchy, spociła się, jakby przez godzinę biegała w pełnym słońcu?

Ruchy Qevy były łagodne oraz precyzyjne i nie miały nic wspólnego z zamaszystymi, brutalnymi technikami ćwiczonymi przez Soliego. Wkrótce Inevera przekonała się też, że ćwiczenia *dama'ting*, choć sprawiały wrażenie spokojnych i nieszkodliwych, są o wiele bardziej skomplikowane. Dziewczyna była zmuszona przybierać pozycje, które do tej pory wydawały jej się niemożliwe, i wytrzymywać w nich długi czas. Mięśnie, z których nigdy dotąd nie korzystała, płonęły żywym ogniem, rozciągnięte po raz pierwszy w życiu. Ciało dziewczynki zalewał pot, a serce biło jak szalone. Dyszała jak ryba wyciągnięta z wody, a mimo to nie mogła wziąć porządnego oddechu, a do tego przez cały czas dokuczał jej pełen pęcherz.

Qeva wychyliła się na lewej nodze tak bardzo, że jej ciało ułożyło się równoległe do podłogi, a potem wyciągnęła ramiona, jakby chciała kogoś objąć. Prawą stopę podniosła wysoko i odgięła w kierunku pleców, niemalże dotykając kości ogonowej.

Inevera usiłowała zrobić to samo, ale straciła równowagę i upadła.

– Tak trzymać. – Qeva zeszła z podwyższenia.

Pozostałe dziewczęta trwały w ryzykownej pozycji.

– Stań prosto – rozkazała *dama'ting*.

Inevera szybko się podniosła. Qeva oparła dłoń na jej nagiej piersi, a drugą umieściła w zagłębieniu między łopatkami.

– Oddychaj przez nos – nakazała instruktorka. – Głęboko.

Nacisnęła mocno i Inevera zmuszona była pokonać opór, by nabrać tchu.

– Wydechaj. Powoli – burknęła *dama'ting*. Nie cofała ręki, a Inevera wolno wypuściła powietrze z płuc. – Jeszcze raz – powiedziała Qeva. – Oddech oznacza życie. Dopóki możesz oddychać, dopóty jesteś w stanie utrzymać równowagę. Dopóki kontrolujesz równowagę, dopóty nic ci nie grozi. Nie jest ci groźny ani ból, ani głód. Obojętna ci jest miłość i nienawiść. Będziesz wolna od strachu i od niepokoju. Będzie tylko twój oddech.

Inevera już czuła, że się uspokaja. Skupiła się na oddechu, wędrującym z nosa do płuc i z powrotem, a pusty żołądek i pełen pęcherz z wolna przestawały jej dokuczać. Pozostałe dziewczyny zaczynały już się wiercić, nie mogąc utrzymać trudnej pozycji. Na ich twarzach widać było wysiłek.

– Rób to tak jak ja – nakazała Qeva. Nadal naciskając klatkę piersiową dziewczyny, zaczęła oddychać powoli, a Inevera dopasowała do niej swój rytm. – Oddech oczyści ci umysł, a dłonie staną się ostrzami twojego ciała.

Gdy obie wciągały i wypuszczały powietrze w tym samym tempie, *dama'ting* złapała ramiona Inevery i rozłożyła je szeroko nad jej głową.

– Kaptur Kobry! – oznajmiła i spojrzała na pozostałe dziewczęta. – Wy tak samo.

W sali rozległy się westchnienia ulgi. *Nie'dama'ting* prostowały się i unosiły ramiona.

– Oto *sharukin*, poszczególne postawy *sharusahk*. – Qeva pokazała Ineverze kilka kolejnych ruchów, delikatnie poprawiając jej postawę. – To Dziób Sępa. A to Skok Szakala.

Ustawiła dziewczynę w pozycji, w której niedawno straciła równowagę.

– Ogon Skorpiona. – Przygniotła lewą nogą stopę Inevery, a prawą zahaczyła o jej prawą kostkę. Unosiła udo dziewczynki coraz wyżej i wyżej, aż wygięła je w kierunku pleców. Z każdą chwilą zwiększała nacisk, aż Inevera poczuła, że jej ścięgna napięte są do granic możliwości. Sapnęła i zachwiała się.

– Oddychaj! – powtórzyła Qeva. – Jesteś palmą, a twój oddech to wiatr. Wykorzystaj jego moc, aby odzyskać równowagę i przejść z jednej pozycji w drugą.

Inevera powróciła do poprzedniego rytmu oddychania i odkryła, że to w istocie pomaga. Qeva skwitowała jej postęp skinieniem głowy i powróciła na podium.

Lekcja trwała. Inevera zataczała się i miała trudności z nadążeniem za resztą, gdyż jej stawy aż płonęły z bólu, ale nadal oddychała rytmicznie. Z ulgą powitała koniec, lecz ku jej zdziwieniu Qeva sięgnęła do pudła stojącego przy podium. Rozległ się brzęk metalowych przedmiotów i instruktorka pokazała cztery metalowe płytki – dwie przyczepione do jej kciuków, a dwie kolejne do palców wskazujących. Przypominały kołatki, tyle że z metalu.

Zachęcona skinieniem głowy, Melan ujęła pudło i wyciągnęła płytki dla siebie, a potem przekazała skrzynkę dalej. Niebawem wszystkie *nie'dama'ting* przywiązały sobie dzwonki do palców i czekały na początek kolejnej serii ćwiczeń.

Qeva ustawiła się do nich bokiem, wysunęła jedną nogę i wzniosła ręce nad głowę. Dziewczęta stanęły w tej samej pozycji, a Inevera naśladowała je najlepiej jak umiała.

– Ugnijcie kolana – rzekła Qeva. – Przenieście ciężar ciała na pięty.

Inevera spełniła polecenie i odnalazła równowagę. Wtedy *dama'ting* czterokrotnie potrząsnęła dzwonkami, za każdym razem uderzając wewnętrzną częścią uda o drugie. Cztery razy rozległ się trzask przypominający strzał z bicia.

– Wasza kolej – powiedziała i powtórzyła ruch.

Dziewczęta precyzyjnie odtworzyły jej technikę, ale Inevera odkryła, że jest to trudniejsze, niż sądziła.

– Jeszcze raz – rzekła Qeva. – Przyglądaj się uważniej.

Brzęk dzwonków i trzask zderzających się ud instruktorki znów rozległy się jednocześnie. Inevera nie miała pojęcia, jak Qeva to zrobiła. Nie wiedziała, jak odpowiednio poruszać nogami, a jej dzwonki odezwały się później od pozostałych. Wykonanie obu czynności jednocześnie wydawało się niemożliwe.

Qeva pokazywała jej technikę raz za razem. Dziewczyna wyczuwała irytację innych ćwiczących, ale nic nie mogła na to poradzić. Próbowala raz za razem, aż w końcu Qeva mruknęła z zadowoleniem. Odgłos zderzających się ud oraz dźwięk dzwonek rozbrzmiewały teraz rytmicznie, a Inevera szybko podchwyciła tempo. Ćwiczenie niespodziewanie stało się jej drugą naturą. Złapała się na tym, że się uśmiecha.

Wtedy *dama'ting* zaczęła się poruszać. Z gracją kroczyła po podium, ani na moment nie przerywając sekwencji wydawanych dźwięków. Jej ruchy były piękne, wręcz hipnotyczne. Inevera chciała uczynić to samo, ale wpadła na Melan i obie się przewróciły.

– Ty idiotko! – warknęła starsza *nie'dama'ting*.

Qeva zeskoczyła z podium i uderzyła Melan w twarz. Jej dzwonki zabrzęczały przy uderzeniu.

– To twoja wina, Melan! *Damaji'ting* wyznaczyła ciebie, byś ją przyuczyła! Czego ją nauczyłaś jak dotąd? Dziewczyna nie ma pojęcia, czym jest Kaptur Kobry! Nie wie, co robić z biodrami!

Rozwścieczona instruktorka dźgnęła Melan palcem w twarz.

– Musisz się nauczyć poważniej traktować swoje obowiązki. Masz zakaz wstępu do Komnaty Cieni, dopóki Inevera nie nauczy się wszystkiego, co potrafi reszta z was.

Wszystkie dziewczęta otworzyły szeroko usta, a Melan wytrzeszczyła oczy.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz gapić się na mnie w tak bezczelny sposób – oznajmiła Qeva – trafisz do wielkiego haremu jako zabawka *Sharum*.

Melan opuściła głowę i złożyła głęboki ukłon.

– Tak, *dama'ting*.



Po *sharusahk* dziewczyny ustawiły się w szeregu przy kuchni, gdzie para podstarzałych eunuchów wydała każdej niewielką miskę cienkiej owsianki. Inevera widziała spojrzenia, jakim obdarzają ją Melan i reszta. Wiedziała, że chcą zepchnąć ją na koniec kolejki, więc stanęła tam od razu. Jakakolwiek konfrontacja w tej chwili nie miała sensu. Postanowiła, że będzie zachowywać się potulnie, póki nie pozna wszystkich sekretów życia *nie'dama'ting*.

Jej miska nie była nawet w połowie pełna. Dostała wodniste resztki z dna kotła, których zresztą nie zdążyła nawet przełknąć, gdy stanęła przed nią Melan.

– Niedługo nadejdzie świt – rzekła. – *Dama'ting* wyjdą z pawilonu i Nie nas pochłonie, jeśli się spóźnimy.

– Z jakiego pawilonu? – spytała Inevera.

Melan spojrzała na nią jak na idiotkę.

– O świcie *Sharum* wracają z Labiryntu, a ranni zanoszeni są do pawilonu. Pomagamy *dama'ting* w leczeniu.

Inevera przypomniała sobie usłyszane wczoraj wrzaski rannych, przenikające przez płócienne ściany, i wyobraziła sobie zakrwawionych, wyjących mężczyzn oraz *dama'ting* pomagającą ciąć i szyć ich ciała.

Niespodziewanie zakręciło jej się w głowie, a na policzki wystąpił gorący rumieniec. Rzadka owsianka podeszła jej do gardła.

Melan uderzyła ją mocno w policzek. Owsianka i żółć trysnęły z ust Inevery i obryzgały kamienną podłogę. Chlust odbił się echem od ścian komnaty. Wszystkie *nie'dama'ting* zmierzyły dziewczynkę lodowatymi spojrzeniami. W pobliżu nie było żadnej *dama'ting*, a eunuchy jak zwykle milczały.

– Na jajca Everama, znajdź równowagę! – warknęła Melan. – *Dama'ting* niczego nie traktują tak poważnie jak leczenia! Wystarczy, że nie mam wstępu do Komnaty Cieni. Jeśli z twojej winy choć kropla krwi *Sharum* wsiąknie w ziemię, *dama'ting* skórę ze mnie zedrą!

Podeszła bliżej i dodała szeptem:

– A jeśli do tego dojdzie, obetnę ci sutki i każę zjeść.

Inevera otworzyła szeroko oczy, ale Melan nie dała jej czasu na odpowiedź. Złapała ją za ramię i zaciągnęła do Krypty. Dziewczęta pospiesznie umyły ręce i twarze, założyły białe szaty i raz jeszcze ustawiły się w szeregu. Melan zaprowadziła je z powrotem do drzwi Krypty, gdzie oczekiwały na nie *dama'ting*. Pod ich przewodnictwem przeszły z pałacu do Podmiasta, a potem zatrzymały się w katakumbach, ciągnących się pod pawilonem plemienia Kaji. Tam zaczęły, aż śpiew *dama* z minaretów *Sharik Hora* ogłosi świt.



Asystowanie *dama'ting* okazało się przeżyciem dokładnie tak krwawym i przerażającym, jak Inevera się spodziewała. W jej głowie wciąż rozbrzmiewały wrzaski i krzyki, zarówno rannych *Sharum*, niepotrafiących zapanować nad swoim bólem, jak i Melan oraz *dama'ting*, przeklinających ją za zbytnią powolność.

Kiedy Inevera potknęła się, niosąc dzban z instrumentami zanurzonymi w płynie cuchnącym gorzej od couzi, i uroniła kilka kropel, Melan uderzyła ją w twarz na oczach Qevy i innej *dama'ting*. Żadna nawet tego nie skomentowała. Obie bardziej interesowały się instrumentami niż puchnącym policzkiem Inevery.

Wojownik położony na stole miotał się i rzucał, gdy kobiety usiłowały oczyścić mu głęboką ranę w brzuchu. Mokre od krwi strzępy szaty i okruchy ceramicznej zbroi wrzucały do kosza z włókien palmy.

Qeva rzuciła Melan dwa kłębki jedwabnego sznura.

– Przywiąż go – poleciła.

Melan ujęła jeden z nich, a drugi wręczyła Ineverze.

– Działaj szybko i rób dokładnie to, co ja.

Starsza adeptka sprawnie zawiązała pętlę wokół własnego nadgarstka, zostawiając sobie kilkanaście centymetrów swobody. Inevera nie miała nawet czasu zastanowić się nad jej słowami, gdyż Melan poruszała się szybko jak błyskawica. Umiejętnie zablokowała rękę wojownika i zarzuciła pętlę. Mężczyzna próbował stawić opór, ale Melan dobrze wiedziała, w którym miejscu ramię jest najsłabsze, i bez trudu udaremniała wysiłki *Sharum*.

– Teraz! – krzyknęła, gdy wojownik niezgrabnie próbował pochwycić ją drugą, wciąż wolną ręką.

Inevera podbiegła i usiłowała zrobić to samo co starsza *nie'dama'ting*. Złapała nadgarstek *Sharum* w pętlę ze sznura, ale nie wiedziała, gdzie należy stanąć, ani też jak wykorzystać ciężar ciała, aby zablokować ramię. Wtedy mężczyzna uderzył ją na odlew z potworną siłą. Policzek wymierzony wcześniej przez Melan był przy tym jak pocałunek.

Inevera upadła na podłogę. Qeva zasyczała i wbiła dwa wyprostowane palce w staw barkowy wojownika. Jego ramię zwisło bezwładnie, a młodzianka *nie'dama'ting* wykorzystała tę chwilę, podniosła sznur i zawiązała nadgarstek *Sharum*. Qeva spojrzała na Melan z wściekłością, a ta z kolei obrzuciła gniewnym spojrzeniem Ineverę. Mężczyzna był już unieruchomiony, więc starsza *dama'ting* mogła wlać nieco napoju nasennego do jego ust. Wkrótce ranny znieruchomiał.

Oblubienice zaczęły ciąć jego ciało, obojętne na krew i inne ciecze plamiące ich nieskazitelnie czyste białe szaty.

– To na nic – odezwała się po chwili Qeva.

– Jeśli on ma przeżyć, musimy wykorzystać magię *hora* – zgodziła się druga Oblubienica i spojrzała na Melan. – Zabierzcie go do katakumb.

Melan skinęła głową i wraz z Ineverą ujęły drągi noszy wystające ze stołu operacyjnego. Mężczyzna ważył więcej od obu dziewczyn razem wziętych, ale Inevera nie bała się ciężkiej pracy i szła pewnie pomimo ciężaru. Asavi podbiegła, by otworzyć przed nimi drzwi, a *dama'ting* wprowadziła je w mrok.

Asavi zaczekała, aż zejść ze schodów, a potem zatrzasnęła za nimi drzwi. Obie *nie'dama'ting* znalazły się w całkowitej ciemności. Mrok rozproszył się dopiero wtedy, gdy zapłonął fragment kości demona wyciągnięty przez Qevę. Kawałek *hora* oświetlił im drogę do kamiennej komnaty, w której znajdował się kolejny stół operacyjny. W skalnej ścianie znajdowały się metalowe drzwi. Qeva otworzyła je kluczem zdjętym z szyi i oczom Inevery ukazało się coś, co w pierwszej chwili wzięła za stertę grudek węgla. *Alagai hora*. *Dama'ting* wybrała kość średniej wielkości i zatrzasnęła drzwi. Kliknął mechanizm zamka.

– Ssanie – powiedziała Qeva, a Melan przysunęła napędzany pedałem przyrząd, połączenie serii rurek oraz miecha. Inevera miarowo naciskała pedał, a Melan wsunęła jedną z rur do otwartej rany wojownika, odsysając jego krew do szklanego pojemnika.

Dama'ting oczyściła brzegi rany. Najpierw starła krew, a potem ogoliła skórę otaczającą rozcięcie. Tymczasem Asavi przygotowała pędzle oraz miskę z atramentem.

– Inevera, podejdź bliżej – rozkazała Qeva.

Asavi zastąpiła ją przy pedale, a dziewczynka podeszła do Oblubienic, uważając, by w niczym im nie przeszkodzić.

– Najpierw run ściągający przy północnej krawędzi rany – powiedziała Qeva, nie patrząc na Ineverę. Zanurzyła pędzel w atramencie i narysowała dziwny symbol.

Dziewczynka przyglądała się z napięciem, czekając, aż znak zacznie się mienić, ale nic takiego się nie stało.

– Teraz pora na runy siły, wytrwałości i krwi.

Malowała szybko, przesuwając pędzel ruchem zgodnym ze wskazówkami zegara. Pierwszy z runów powstał po wschodniej stronie rany, drugi po południowej, a trzeci po zachodniej.

– Nadeszła pora, by je połączyć. – Qeva w przerwach między naniesionymi symbolami narysowała ten sam znak, tworząc ośmiokąt.

Następnie skinęła na towarzyszącą im *dama'ting*, która uniosła kość demona i podeszła do stołu. Gdy przedmiot znalazł się blisko rany, wyrysowane wokół niej runy zapłonęły jasnym blaskiem.

– Same runy to nie magia – oznajmiła Qeva. – Znaki te potrafią jednak zassać magię z kości demonów i wykorzystać moc *alagai* dla dobra Everama.

Inevera wpatrywała się z szeroko otwartymi ustami, jak ciało *Sharum* zaczyna się zasklepiać. Brzegi rany zamykały się niczym dłonie nabierające wodę. Później wielka dziura w boku wojownika znikła, nie pozostawiając nawet blizny. Ciało było w tym miejscu bledsze, gdyż nigdy nie spotkało się z promieniami słońca czy z niesionym wiatrem piaskiem, ale i tak wydawało się zdrowsze niż otaczająca je skóra.

– Niech będzie chwała Everamowi! – szepnęła wstrząśnięta Inevera. – Dzięki takiej magii żadnemu *Sharum* nie grozi śmierć!

– Chciałabym, aby tak było. – Qeva pokręciła ze smutkiem głową. – Najpoważniejszych ran nie wyleczy nawet magia *hora*, do tego za moc trzeba zapłacić.

Wskazała na kość demona, która kruszyła się w dłoni drugiej *dama'ting*.

– Uzdrawianie to najtrudniejsza ze wszystkich sztuk magicznych i nie wolno po nią sięgać bez powodu. *Alagai* stanowią nieustające zagrożenie, ale tracimy więcej ludzi podczas pozyskiwania kości, niż ratujemy dzięki nim. Należy korzystać z ich mocy oszczędnie.

– I w tajemnicy – dodała surowo druga Oblubienica. – *Sharum* i tak zbyt lekkomyślnie narażają życie. Everam jeden wie jak bardzo by zgłupieli, gdyby wiedzieli, że posiadłyśmy taką moc. Jeśli ranny ma szansę wrócić do zdrowia w naturalny sposób, trzeba to wykorzystać.

Qeva pokiwała głową.

– A tego tu będziemy przez jakiś czas trzymać z dala od jego braci i odurzać napojami podczas „leczenia”.

– A nie przydałby się bardziej w Labiryncie, aby bronić nas przed *alagai*? – spytała Inevera.

Melan wybuchła śmiechem, a Qeva spojrzała na nią ostro.

– Właśnie zgłosiłaś się na ochotnika do zanieśienia tego *Sharum* z powrotem do pawilonu i prania mu bido przez resztę dnia. Dziękuję, córko.

Melan zeszywniała, ale ukloniła się.

– Proszę wybaczyć mój brak szacunku, matko.

Qeva zbyła ją machnięciem dłoni.

– Wybaczam. Weź ze sobą Asavi.

Inevera nie miała pojęcia, co ze sobą począć. Stała nieruchomo i patrzyła, jak dziewczęta ujmują nosze z uzdrowionym *Sharum* i zanoszą je na górę. Prowadziła je druga *dama'ting*, oświetlając im drogę kością demona.

Gdy pozostały same, Qeva zwróciła się do Inevery:

– Zachowanie Melan w istocie było obraźliwe, ale miała rację. To nie wojownicy bronią Pustynnej Włóczni, ale runy wyrysowane na murach. Do ponownego nadejścia Wybawiciela *alagai'sharak* to jedynie honorowa męska zabawa, w której ryzykuje się życie dla bezwartościowych zwycięstw.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, słysząc takie bluźnierstwo. Soli i Kasaad co noc narażali życie w Labiryncie. Ich dziadowie, wujowie i wszyscy przodkowie płci męskiej od trzystu lat ginęli w walce z demonami i Inevera zawsze sądziła, że jej synowie pójdą w ich ślady. Jak można było tę wojnę nazwać męską zabawą?

– Czy Evejah nie mówi, że należy bezwarunkowo zabijać *alagai*?

– Evejah głosi, że należy bezwarunkowo słuchać Shar'Dama Ka – odrzekła Qeva. – Shar'Dama Ka nakazał zaś, byśmy zabijali demony.

Inevera otworzyła usta, ale Qeva uniosła palec, by jej przeszkodzić.

– Pamiętaj jednak, że Shar'Dama Ka zmarł trzy tysiące lat temu i zabrał runy wojenne ze sobą do grobu. Więcej mężczyzn ginie w nocy, niż się rodzi za dnia. Przed Powrotem były nas miliony. Teraz Krasjan zostało niecałe sto tysięcy, a wszystko przez mężczyzn i ich idiotyczną grę.

– Grę? – spytała Inevera. – Jak można nazwać obronę murów miejskich grą?

– Bo mury nie potrzebują obrony – rzekła Qeva. – Kaji otoczył Pustynną Włócznię dwoma murami runicznymi. Zewnętrzny został wzniesiony tam, gdzie przed wiekami kończyło się miasto. Wewnętrzny chroni oazę, otaczając ją pałace oraz dzielnice zamieszkałe przez poszczególne plemiona.

Zamilkła, patrząc Ineverze w oczy.

– Demony nigdy nie przedarły się przez żaden z nich.

Inevera spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– To jak demony dostają się co noc do Labiryntu?

– Wpuszczamy je – warknęła Qeva. – Sharum Ka otwiera wrota i wpuszcza odpowiednią ilość potworów, a potem zamyka bramy. *Alagai* zostają uwięzione w Labiryncie, aby mężczyźni mogli na nie polować.

Inevera poczuła się jak wtedy, gdy Melan uderzyła ją w twarz. Zakręciło jej się w głowie i musiała oprzeć się o ścianę.

– Oddychaj – przykazała jej Qeva. – Odzyskaj równowagę.

Inevera spełniła polecenie. Przez chwilę miarowo wciągała powietrze i powoli je wypuszczała, uspokajając zarówno ciało, jak i bijące mocno serce. Pomogło, ale nie na tyle, aby wyciszyć jej wściekłość. Miała ochotę wybiec i tłuc każdego napotkanego mężczyznę po twarzy. Sądziła, że ojciec oraz Soli to odważni, waleczni ludzie, którzy stają co noc do walki w Labiryncie i zdobywają się na bohaterskie czyny, ale jeśli wystarczyło po prostu nie otwierać wrót...

– Co za... Co za idioci – wykrztusiła w końcu.

Qeva przytaknęła.

– Nie zaprzeczę, ale uświadamianie im bezsensu podejmowanych co noc wysiłków to nie zadanie dla *nie'dama'ting*.

Inevera przypomniała sobie karę, którą otrzymała Melan, i zarumieniła się.

– Rozumiem, matko – powiedziała z ukłonem.

Qeva uniosła wysoko brwi.

– Matko?

Inevera przygryzła wargę.

– Sądziłam, że tak właśnie Zaprzysiężone zwracają się do Oblubienic.

Wokół oczu Qevy pojawiły się zmarszczki, które dziewczynka wzięła za uśmiech.

– Nie. Melan zwróciła się tak do mnie, ponieważ jest moją córką.

Inevera poczuła narastające zdenerwowanie.

– Ale nazwaliście Kenevah matką...

– Bo ona jest moją matką. Jestem następczynią *Damaji'ting*.

Żołądek dziewczynki ścisnął się ze strachu. Qeva zawsze wydawała się kobietą surową, ale sprawiedliwą. Oczywiście nawet nie udawała przyjaźni, ale nie zachowywała się wobec Inevery wrogo. Jednakże teraz...

– Oddychaj – powtórzyła Qeva i uniosła dłoń, czekając, aż Inevera odnajdzie równowagę. – Nie jestem twoim wrogiem. Przyzwyczaiałam się do pozycji drugiej wśród *dama'ting* oraz władzy, jaką mi to daje, ale dawno już przyjąłam do wiadomości, że nie obejmę po matce roli przywódczyni kobiet w plemieniu Kaji. Pora, by Melan również się z tym pogodziła i ugięła się przed swoim wiatrem. Co dzień modłę się do Everama, żeby udało jej się w porę.

Niespodziewanie *dama'ting* wycelowała w Ineverę palec.

– Chciałabym, abys dobrze zrozumiała moje słowa. Nie jestem twoim wrogiem, ale nie jestem też przyjaciółką. Kobietom w naszym plemieniu przewodzić może tylko i wyłącznie szczególna *dama'ting*, obdarzona siłą, kompetencją i żarliwą wiarą. Jak moja matka. Jeśli okaże się, że nie jesteś wystarczająco silna, kompetentna bądź wierna, by przejść szkolenie i wdziać białą szatę, cóż...

Qeva wzruszyła ramionami i dodała:

– Taka oto *inevera*.

Dziewczyna poczuła, że robi jej się zimno, ale skupiła się na oddechu.

– Tak, *dama'ting*.

– Dobrze – rzekła Qeva. – Chodź ze mną.

Inevera wyszła w ślad za nią z komnaty w ukryte korytarze Podmiasta wiodące do pałacu *dama'ting*. Większość tuneli oświetlona była rzędami świecących runów, ciągnących się nad podłogą i pod sufitem.

Do kwater *dama'ting* wpuścił ich ten sam eunuch, z którym Qeva rozmawiała dzień wcześniej. Był nagi, nie licząc złotych kajdan. Odcięto mu jądra, ale jego napęczniała męskość była tak okazała, że Inevera nie mogła oderwać od niej oczu.

– Imponujący, prawda? – spytała Qeva. – Khavel to mój faworyt, zręczny kochanek i wierny sługa. Póki co jednak obawiam się, że musisz odwrócić od niego spojrzenie. Poznasz jego sprawność podczas lekcji tańca miłosnego.

Podczas lekcji tańca miłosnego? – powtórzyła w duchu Inevera. Słowa *dama'ting* obudziły w niej niepokój, ale również nieco ciekawości.

Qeva nie dała jej czasu do zastanowienia. Wyciągnęła kwadratowe pudełko wypełnione białym piaskiem oraz cienki patyk. Po bokach skrzynki znajdowały się rowki, a między nimi szybka. Przesuwając szybę, nauczycielka idealnie wygładziła piasek, a potem podała patyk Ineverze.

– Dziś rano widziałas, jak maluję pięć runów. Narysuj je teraz.

Inevera zacisnęła usta, ale ujęła rysik i zamknęła oczy, by przypomnieć sobie kształt symboli. Podobnie jak Qeva, dziewczyna wyrysowała runy tworzące ośmiokąt. Cztery pierwsze były od siebie różne, a piąty powtórzyła czterokrotnie, by je połączyć. Trzymała rysik niczym pióro i kreśliła zakrzywione kształty zręcznie i z precyzją. Gdy skończyła, na jej twarzy pojawiła się duma.

Qeva przyjrzała się wynikom jej pracy, a potem burknęła:

– *Sharusahk* szło ci lepiej. Tylko dwa mają jakąkolwiek moc, choć niewielką.

Inevera oniemiała, gdy Oblubienica przesunęła szybkę, aby wygładzić piasek, a potem sama ujęła rysik.

– Zaczniemy od runu ściągającego. Oto kły demona.

Nakreśliła dwie zakrzywione linie na piasku, a dziewczynka nachyliła się, by przyjrzeć im się uważniej.

– Kły znajdują się obok każdego runu bądź chowają w jego wnętrzu, by ściągnąć do niego magię. Kształt runu nadaje mocy odpowiednią formę – mówiła Qeva i rysowała, trzymając patyk przy końcu. – Spójrz na mój nadgarstek. Przez cały czas pozostaje prosty, przez co przesuwam pędzel całym ramieniem. Znaki uzyskują największą moc wtedy, gdy rysuje się je pojedynczym, nieprzerwanym ruchem. Nie osiągniesz tego, poruszając nadgarstkiem.

Qeva pospiesznie wyrysowała run ściągający, a Inevera przekonała się, że w istocie ma kiepską pamięć. Zarumieniła się ze wstydu, ale *dama'ting* nie zwróciła na to uwagi. Znów wygładziła piasek i oddała jej rysik.

– Spróbuj jeszcze raz.

Dziewczynka spełniła polecenie, ale trzymanie patyka tak, jak czyniła to Qeva, okazało się trudne. Jej runy prezentowały się jeszcze gorzej niż wcześniej.

W oczach Qevy, wygładzającej piasek, nie było jednak żadnych emocji.



Gdy Inevera wreszcie wróciła do Krypty, ramię bolało ją niemalże tak samo jak pęcherz, który lada chwila groził pęknięciem. Jej szaty były zbryzgane krwią *Sharum*. Fizyczne

niedogodności nie były jednak wielkim problemem, gdyż umiała już je zignorować. Melan i Asavi zajmowały się sobą, dzięki czemu mogła wreszcie skorzystać z toalety.

W łaźni znajdowały się aromatyczne olejki, grudki mydła, nożyczki do paznokci i szorstki kamień do wygładzania skóry. Pozostałe dziewczyny z premedytacją nie zwracały na Ineverę uwagi. Dziewczynka wzięła więc brzytwę i dokończyła to, co *nie'dama'ting* zaczęły poprzedniego dnia. Zgoliła resztki włosów do ostatniej kępki, aż skóra jej głowy stała się idealnie gładka. W dotyku głowa wydawała się całkiem obca, jakby należała do kogoś innego.

Umysł Inevery nie był jednak w stanie odprężyć się tak szybko jak ciało. Wszystko, w co wierzyła lub czego się dotychczas nauczyła, zostało jej brutalnie odebrane lub nazwane kłamstwem. Nic nie miało już sensu. Nic się nie liczyło.

Podczas obiadu miała wrażenie, że opuściła ciało. Półprzytomnie usługiwała *dama'ting*, podchodząc na ich każde skinienie i znikając, gdy nie była już potrzebna. Ironia losu polegała na tym, że *dama'ting* najwyraźniej dokładnie tego oczekiwały, więc dziewczynka wywiązywała się ze swoich obowiązków o wiele lepiej, gdy o nich nie myślała. Jej problem polegał zresztą na tym, że nie miała o czym myśleć. Desperacko usiłowała znaleźć w otaczającym świecie prawdę, na której mogłaby się oprzeć. Niespodziewanie okazało się, że nawet Evejah, księga, która towarzyszyła Ineverze przez całe życie, do niedawna uważana przez nią za źródło prawdy ostatecznej, pokazuje świat tylko z jednej strony. Dziewczyna czytała teraz *Evejah'ting*, która przedstawiała punkt widzenia *Damajah*, nierzadko różniący się od tego, co uważali mężczyźni.

Która wersja była prawdziwa? Czy Inevera powinna uwierzyć w słowa *Kajiego*, czy pierwszej *Inevery*? A może obie księgi zawierały mnóstwo kłamstw i półprawd? Czy wydarzenia sprzed trzech tysięcy trzystu lat w ogóle miały jakieś znaczenie?

Tęskniła za ramionami matki i poczuciem bezpieczeństwa, które ogarniało dziewczynkę zawsze, gdy *Soli* mierzwił jej gęste czarne włosy. Włosy jednakże znikły, a wraz z nimi *Soli*. Może jeszcze kiedyś Inevera go ujrzy, ale najprawdopodobniej brat zginie w *Labiryncie* na długo, nim ona zostanie *dama'ting*, o ile w ogóle uda jej się ukończyć szkolenie. A myśl o *Kasaadzie* i jego pijanych przyjaciółach wywołała ukłucie żalu. Czy Inevera była w stanie należycie osądzić postawę mężczyzn, którzy co noc musieli bez potrzeby narażać życie w walce z demonami?

W jej głowie panował zamęt, a w sercu ból. Mimo to wiedziała, że gdyby mogła za dotknięciem czarodziejskiej różdżki cofnąć się do świata sprzed dwóch dni, nigdy by tego nie

zrobiła. Spędziła dziewięć lat w ciemnościach, a teraz po raz pierwszy w życiu ujrzała migotliwe światło.

Magia. Miała się nauczyć magii, którą niosą *hora*.

Inevera przypomniała sobie strach i obrzydzenie na widok niewielkiej kostki demona, którą Qeva oświetlała drogę podczas pierwszego spotkania. Nie mogła uwierzyć, że wszystko to wydarzyło się zaledwie wczoraj! Miała wrażenie, że od chwili, gdy odczytano jej przyszłość, minęły wieki. Teraz dziewczyna marzyła jedynie o tym, by zacisnąć palce na kości demona i leczyć męskie rany ruchem dłoni.

Serce biło jej jak oszalałe. Skupiła się i narzuciła mu spokojniejszy rytm. Jej ciało wkrótce się odprężyło. Problemy i pytania nadal wirowały w głowie Inevery, ale były teraz równie dokuczliwe jak ziarnka piasku niesione wiatrem. Łatwo je było ignorować.

Bez słowa poczłapała na koniec kolejki do kotła. Tym razem miała szczęście, eunuch wręczył jej pełną miskę. Dziewczynka zjadła posiłek w milczeniu i wraz z resztą została odprowadzona do Krypty.

„Gdzie twoja równowaga?” – warknęła do niej Melan podczas śniadania, a potem uderzyła ją w twarz. Inevera niemalże zapragnęła, aby stało się to raz jeszcze. Nie chciała zapomnieć tego bólu.

O co chodziło z tą równowagą? Na czym polegało bycie *dama'ting*? Czy *dama'ting* mieszkały w wielkich pałacach z gromadami służących spełniających każdy ich kaprys tylko dlatego, że bez emocji zaglądały w przyszłość i podejmowały decyzje w kwestii życia bądź śmierci zarówno mężczyzn, jak i kobiet?

Gdy znalazły się już w Krypcie, *dama'ting* oznajmiła, że mają czas wolny do zgaśnięcia światła, a potem zamknęła wrota. Mechanizm ciężkiego zamka zaskoczył z metalicznym trzaskiem. Inevera ruszyła na swoje posłanie i do *Evejah'ting*, która na nim leżała.

Melan zauważyła, dopiero gdy ta uderzyła ją z taką siłą, że Inevera znalazła się w powietrzu. Dziewczynka mocno uderzyła w podłogę i poczuła falę dotkliwego bólu.

Uniosła głowę. Pozostałe dziewczęta już utworzyły krąg, zupełnie jak wcześniej w łaźni. Melan już się zbliżała do Inevery.

Nie, tylko nie to, westchnęła dziewczynka w duchu. Wstała.

– Mam cię uczyć *sharusahk*. – Melan nadal się zbliżała. – Dopóki się nie nauczysz wszystkiego, mam zakaz wstępu do Komnaty Cieni.

Inevera cofała się powoli, aż uderzyła plecami w którąś z *nie'dama'ting* stojących w kręgu, a ta natychmiast ją odepchnęła.

– Skorpion! – krzyknęła Melan, wygięła się i otoczyła talię Inevery ramieniem. Jej noga wystrzeliła zza pleców i trafiła młodszą dziewczynę w twarz. Inevera padła i przez chwilę leżała nieruchomo, usiłując pozbierać myśli. W końcu wstała. Melan nadal utrzymywała pozycję.

– Skorpion! – skandowały otaczające je dziewczęta. Każda z nich przybierała tę samą postawę. – Skorpion! Skorpion!

Inevera pilnowała równego rytmu oddychania i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że się nie boi. Melan bez wątpienia chciała jej sprawić lanie, ale stawianie oporu wydało się dziewczynce bezcelowe. Doszła do wniosku, że przeciwniczka nie zada jej żadnych poważniejszych obrażeń, Inevera zresztą i tak nie zdołałaby się obronić. Najlepiej było więc okazać uległość i nauczyć się przy tym jak najwięcej.

I zachować równowagę. Dziewczynka przybrała pozycję Skorpiona, nie zwracając uwagi na puchnącą szybko twarz.

Melan wydawała się rozdrażniona tą reakcją, zupełnie jakby oczekiwała, że Inevera wybuchnie płaczem i będzie błagać o litość. Inevera zaś poczuła, że to ją ogarnia litość. Cóż Melan chciała udowodnić gniewem i zazdrością? Przecież to Qeva, córka samej Kenevah, rzuciła kośćmi, które odsłoniły powołanie Inevery!

– Wiedzący Kwiat! – wykrzyknęła starsza *nie'dama'ting* i wbiła wyprostowane palce prawej dłoni w żołądek Inevery.

Dziewczynkę przeszył tępy ból. Straciła czucie w nogach i osunęła się na ziemię.

– Nie wystarczy wiedzieć, jak uderzyć – oznajmiła Melan. – Trzeba też wiedzieć, gdzie zadać cios.

Nim Inevera zdołała odzyskać władzę nad ciałem, przeciwniczka przygwoździła jej ramiona kolanami, całkiem odbierając jej swobodę ruchów, a potem zgięła środkowe palce i bez litości wbiła kłykcie w skronie dziewczynki.

Ból był obezwładniający. Ineverze błysnęło przed oczami i miała wrażenie, że błyskawica przeszła jej mózg. Całkiem zapomniała o rytmie oddychania, wiała się i szarpała bezsilnie, usiłując odzyskać wolność.

Wydawało jej się, że upłynęła cała wieczność, nim Melan poluźniła chwyt i wstała. Inevera leżała bezsilnie i oddychała powoli, odzyskując równowagę.

– Więdący Kwiat! – skandowały pozostałe dziewczyny i naśladowały uderzenie. –
Więdący Kwiat! Więdący Kwiat!

Inevera podniosła się mimo drżących kolan i zrobiła to samo co one.



– Oto żmija tunelowa. – Qeva postawiła przed *nie'dama'ting* szklany pojemnik. W środku znajdował się kamień z płytkim zagłębieniem, ułożony na warstwie piasku. W zagłębieniu zwinął się niewielki wąż o matowoszarych łuskach. – Nie ma niebezpieczniejszego stworzenia pod słońcem – dodała nauczycielka.

Inevera wraz z innymi Zaprzysiężonymi pochyliła się, by przyjrzeć się lepiej stworzeniu. Odkąd rozpoczęła naukę, upłynęły już długie miesiące. Każdy dzień wyglądał podobnie jak poprzedni – najpierw uczestniczyła w treningu *sharusahk*, następnie asystowała przy opatrywaniu rannych *Sharum*, a potem rozpoczynała zajęcia. Najczęściej szła na nie w grupie rówieśniczek, ale bywało, że pracowała sama pod okiem Qevy.

– Jest taki malutki – wyszeptwała.

– Nie daj się zwieść jego rozmiarom – ostrzegła Qeva. – Przy jądzie żmii tunelowej ukąszenie skorpiona to słodki pocałunek. Starczy jedno ugryzienie, by w minutę zabić dorosłego *Sharum*. Żmija uderza błyskawicznie, a potem cofa się i czeka, aż jej ofiara zdechnie. Czekanie jej nie przeszkadza. Inne zwierzęta nie tkną jadowitego gada, zdechłyby od połkniętej trucizny.

Mówiąc te słowa, otworzyła pojemnik i podwinęła jeden z jedwabnych rękawów do łokcia. W dłoni trzymała za ogon małą mysz piaskową. Gryzoń popiskiwał i wił się desperacko, wyczuwając zagrożenie. *Dama'ting* spuściła zwierzę do pojemnika, tuż za kamień, na którym spoczywał gad.

Żmija błyskawicznie się wyprostowała i zaatakowała mysz, ale Qeva okazała się szybsza. Jej ruch był niemalże niezauważalny. Złapała gada tuż pod łbem i wyciągnęła. Z początku żmija się wiła i miotła, ale *dama'ting* trzymała mocno, przemawiała czule i głaskała po łbie, aż żmija się uspokoiła.

– Możemy zmusić żmiję do pokazania kłów, jeśli naciśniemy jej czaszkę w odpowiednim miejscu.

Zdusiła gądzi łeb kciukiem, a zęby jadowe, do tej pory przylegające płasko do szczęki gada, wysunęły się niespodziewanie. Na stole stała niewielka szklana buteleczka z szyjką zasłoniętą cienką siateczką. Qeva wbiła w nią kły żmii.

– Zęby jadowe znajdują się po obu stronach głowy, tu i tu – wskazała. – Naciskając głowę żmii, sprawimy, że jad ścieknie do fiolki.

Qeva zaczęła, aż kilka kropel trucizny spłynęło do naczynia, a potem upuściła stworzenie do pojemnika. Gad błyskawicznie zwinął się w kłębek i wbił spojrzenie w mysz. Jego łeb kołysał się powoli. Mysz zamarła, zapatrzona w napastnika. Jedyne jej nos wciąż wodził w ślad za łbem drapieżcy. W końcu żmija wystrzeliła, zatopiła kły w ciele gryzonia i wycofała się na legowisko. Znieruchomiła, przyglądając się myszy, ciskającej się po piasku.

– Nawet gdy pozbawimy żmiję jadu, wciąż pozostanie groźna. Nawet osad na jej zębach prędko zadaje śmierć – ciągnęła Qeva, gdy żmija wreszcie ześlizgnęła się z kamienia i podpełzła do zdobyczy, aby przełknąć ją w całości. – Naje się i wyśpi, a jutro o tej samej porze będzie miała tyle samo jadu co przed chwilą.

Uniosła buteleczkę, na której dnie znajdowały się mniej więcej trzy kropelki trucizny.

– Jadu wystarczy, by zabić was wszystkie, łącznie ze mną. Która z was pamięta, jak przyrządza się antidotum?

Kilka dziewcząt uniosło ręce, ale Inevera była najszybsza.



Inevera wraz z innymi dziewczynkami klęczała w kręgu otaczającym stos poduszek. Wszystkie miały wyprostowane plecy i były w pełni skupione. Towarzyszyło im kilka *dal'ting* w czarnych zawojach, które przysłano do pałacu *dama'ting* na naukę przed odesłaniem do wielkiego haremu.

Qeva zdjęła białą szatę, pozbyła się nawet kaptura i woalki. Okazało się, że pod spodem nosi lawendowe pantalone z prześwitującego materiału, falujące niczym dym wzdłuż jej nóg. Nad kostkami zapięła bransoletki ze złotymi dzwoneczkami, a paznokcie pomalowała również na kolor lawendowy. Przez przejrzysty materiał jej bluzki widać było płaski brzuch, twarde piersi, gładko wygolone łono oraz złoty łańcuch wokół bioder, przy którym Qeva nosiła czarną aksamitną sakiewkę na *hora* oraz niewielką fiolkę. Na nadgarstkach *dama'ting* pobrzękiwały

dziesiątki bransoletek. Złote ozdoby migotały również wśród jej gęstych czarnych włosów, opadających połyskliwą kaskadą na plecy. Twarz nauczycielki zasłonięta była matową fioletową woalką z jedwabiu, którego kolor podkreślał przejrzystość lawendowego stroju. Skóra lśniła od aromatycznych olejków.

Z tyłu sali trójka starzejących się eunuchów zaczęła wygrywać rytmiczną muzykę na zurna, tombaku i kanun. Qeva ukloniła się, a wtedy podszedł do niej Khavel. Muskularny kastrat był jak zwykle nagi – miał na sobie jedynie złote łańcuchy oraz jedwabną przepaskę, w tym momencie uniesioną niczym flaga przez jego nabrzmiały członek. Inevera, podobnie jak wiele innych spośród obecnych, nie mogła oderwać od niego wzroku. Poruszyła się nerwowo.

Dama'ting wybuchła śmiechem.

– Jak same widzicie, Khavel jest już gotów, by wypełnić swe obowiązki. Pamiętajcie jednak, że mężczyznę należy doprowadzić do szaleństwa, zanim pozwolicie mu wbić włócznię.

Złapała Khavela za ramię, szarpnęła i rzuciła go na poduszki, wykorzystując jego wagę.

A potem zaczęła tańczyć. Wygrywała takt niewielkimi mosiężnymi dzwonekami przywiązanych do kciuków i palców wskazujących, a jej uda kołysały się w rytm muzyki. Wirowała wokół stosu poduszek, a drobne dzwoneczki przymocowane do jej kostek i bransoletek dźwięczały, potęgując nastrój. Jej ruchy były równie płynne i szybkie jak podczas treningu *sharusahk*. Inevera zauważyła zresztą, że wiele z nich widziała podczas porannych ćwiczeń przed wschodem słońca.

Khavel wpatrywał się w Qevę zahipnotyzowany niczym mysz patrząca na żmiję tunelową. Materiał przepaski biodrowej był napięty, jakby lada chwila miał pęknąć. Potężne mięśnie eunucha nabrzmiały jeszcze bardziej, a żyły pulsowały gwałtownie.

Przedstawienie ciągnęło się, aż Inevera odkryła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. W pomieszczeniu było gorąco, a w powietrzu unosił się dym przepojony słodkim aromatem kadzidła. Dziewczyna nieświadomie kołysała się w rytm muzyki, która wydawała się nie mieć końca. Hipnotyczny taniec Qevy wywierał ten sam wpływ na resztę *nie'dama'ting*. Wszystkie patrzyły w napięciu na Oblubienicę, która osaczała zdobycz.

W końcu zaatakowała. Przypadła do Khavela, zdarła jego przepaskę i odsłoniła jego imponującą dzidę. Przesunęła wzdłuż niej palcem, a pozbawiony języka eunuch jęknął przeciągle. Wtedy Qeva zdjęła fiolkę z łańcucha i wtarła wylany z niej olejek w obie dłonie.

– Opowiadając o nocach spędzonych z Kajim, Damajah wyróżniła siedem podstawowych sposobów obchodzenia się z męskim członkiem – oznajmiła *dama'ting*, ujmując męskość Khavela. – Przyjrzyjcie się uważnie. Zademonstruję każdy z nich.

Khavel odrzucił głowę, a z jego ust znów wydarł się jęk, ale Oblubienica mocno zacisnęła palce tuż pod jego żołądź i uspokoiła go kilkoma wyszeptanymi słowami.

– Mężczyźni, z którymi pójdziecie do łoża, nie będą okaleczeni jak Khavel. W ich łądźwiach drzemią przyszłe pokolenia Krasji, a Evejah'ting przykazuje, aby nasienie *Sharum* pod żadnym pozorem nie zostało rozlane bądź przełknięte.

Zabiegi *dama'ting* sprawiły, że nieszczęsny Khavel jeszcze kilkakrotnie był blisko spełnienia, ale za każdym razem Qeva zaciskała palce w odpowiednim miejscu i czekała, aż eunuch dojdzie do siebie.

– Siedem sposobów na obchodzenie się z członkiem to dopiero początek. – Instruktorka przesunęła się, by dosiąć Khavela. – Istnieje siedemdziesiąt i siedem technik kochania się z mężczyzną. Oto pierwsza z nich: Jiwah Władcza. Nie wystarczy jednak przesuwac się w górę i w dół po włóczni. Należy się także obracać.

Zaprezentowała te same ruchy, które dziewczęta widziały podczas tańca. Tym razem miały one bardziej praktyczne zastosowanie.

– Gdy zapanujecie nad łądźwiami mężczyzny, osiągniecie nad nim całkowitą władzę – powiedziała *dama'ting*. – Co więcej, możecie same sobie również dostarczyć sporo przyjemności. Przeciętny mężczyzna wie tylko, gdzie należy wepchnąć członka, i jeśli mu się na to pozwoli, będzie was posuwał jak rozdygotany kundel.



Inevera rozciągała się do porannych ćwiczeń *sharusahk*. Mięśnie bolały ją po wielu godzinach spędzonych na nauce tańca miłosnego. Na stopach miała czerwone pęcherze, a na koniuszkach palców pojawiły się zgrubienia pozostawione przez mosiężne dzwonki. Obiecała sobie, że wygładzi je pumeksem podczas kąpieli.

Mimo bólu dziewczyna czuła się silna, silniejsza niż wcześniej, nawet wtedy, gdy wlokła wysokie stopy koszy po bazarze. Już chciała przyjąć postawę *sharukin*, ale zauważyła, że Qeva

nie zdjęła szaty. Zamiast tego poleciła, aby dziewczyny utworzyły krąg. Do środka wezwała muskularnego eunucha o imieniu Enkido.

Podobnie jak wielu innych, Enkido potrafił się posługiwać skomplikowaną mową znaków, stanowiącą część wykształcenia *nie'dama'ting*. Każda *dama'ting* mogła w ten sposób przekazać służbie złożone polecenia i otrzymać równie szczegółową odpowiedź, jeśli zaistniała taka potrzeba.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. W przeciwieństwie do innych eunuchów Enkido nigdy nie zdejmował czarnych szat, choć nosił również złote łańcuchy, oznakę poddaństwa. Miał też czerwoną woalkę, co oznaczało, że zanim zawitał do pałacu *dama'ting*, był nauczycielem *Sharum*, mistrzem *sharusahk* i znawcą Labiryntu. Mówiono, że zabił wiele *alagai*, spłodził mnóstwo synów i wyuczył setki wojowników, po czym został zaczarowany przez *dama'ting* i dobrowolnie poświęcił jądra oraz język.

Inevera słyszała, że nosił czarne szaty po to, by ukryć potworne blizny – pamiątkę po ranach odniesionych podczas walk – ale gdy *dama'ting* klasnęła, Enkido zdjął ubranie. Dziewczyna aż westchnęła, podobnie jak kilka spośród jej koleżanek.

Na ciele eunucha w istocie widniały blizny, ale zostały one odpowiednio zaleczone – były raczej powodem do dumy niż okropnymi skazami. Zdumienie dziewczyn wywołało coś innego – na gładko wygolonym, muskularnym ciele wojownika ciągnęły się bowiem setki tatuaży. Linie i niewielkie koła znajdowały się na rękach, nogach i całej klatce piersiowej, kilka ciągnęło się nawet na jego szyi i wygolonej skórze głowy.

Qeva również zdjęła szatę i stanęła przed nim ubrana jedynie w woalkę. Zmierzyli się spojrzeniami, aż skinęła i Enkido rzucił się do ataku. Poruszał się z przerażającą prędkością. Był dwa razy cięższy od *dama'ting*, ale nie miało to wpływu na jego zręczność. Bez wysiłku założył chwyt uniemożliwiający instruktorce jakikolwiek ruch i podniósł ją, by nie miała oparcia.

Qeva jednakże wydawała się nieporuszona. Zmieniła nieco pozycję i wbiła dwa wyprostowane palce w jedno z wytatuowanych miejsc na jego klatce piersiowej. Ramię wojownika natychmiast osłabło i Qeva odepchnęła je bez trudu, wyslizgnęła się z uchwytu i rzuciła przeciwnika o ziemię.

– W ciele każdego stworzenia Everama znajdują się linie mocy oraz węzły, w których łączą się mięśnie, ścięgna, kości oraz energia – objaśniła. – W tych węzłach gromadzi się wielka moc,

ale stanowią one słabe punkty. Wystarczy dotknąć odpowiedniego, a nawet najpotężniejszy przeciwnik straci siłę.

Skinęła na wojownika, a ten znów rzucił się do natarcia. Tym razem wymierzył jej serię błyskawicznych kopnięć i ciosów pięścią szybkich niczym ataki zmii tunelowej.

Dama'ting gięła się jednak niczym palma na wietrze, przechylając się we wszystkie strony. Ciosy Enkido chybiały jeden po drugim, aż wreszcie, gdy wojownik wymierzał kolejne kopnięcie, kobieta niemalże od niechcienia wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z punktów zaznaczonych na nodze przeciwnika. Enkido stracił oparcie i upadł. Zerwał się natychmiast, ale mimo to noga nadal wydawała się osłabiona. Przeniósł ciężar ciała na drugą i uniósł pięści, czekając na kolejne polecenie *dama'ting*.

Qeva zwróciła się do dziewcząt:

– Enkido, wyszkolony w Sharik Hora, stał się największym mistrzem *sharusahk* w plemienu Kaji od stu lat. Nie miał sobie równych, a *alagai* uciekały na jego widok. Niejedna *dama'ting* pragnęła urodzić córkę z jego nasienia i to od nich Enkido dowiedział się o naszej sztuce. Błagał nas na kolanach, ale nie pozwoliłyśmy mu jej poznać. Damajah naucza wszak, że żaden mężczyzna nie zasługuje na to, by poznać sekrety ciała. W końcu *Damaji* ulitowała się nad wojownikiem i oznajmiła, że pozna nasze tajemnice, jeśli zgodzi się poświęcić swą wolność oraz swój język. Usłyszawszy te słowa, Enkido bez wahania złamał włócznię na kolanie, a jej ostrzem wyciął sobie język i odrąbał nie tylko jądra, ale całe przyrodzenie. Niemalże wykrwawiwszy się przy tym na śmierć, ułożył je u stóp *Damaji'ting*. Nie był już mężczyzną, więc został uleczony i otrzymał zaszczyt pomagania nam w treningach. Enkido zasługuje na wasz szacunek.

Inevera i pozostałe dziewczęta jednocześnie złożyły przed nim pokłon. Enkido był tylko eunuchem, ale spoglądał na nie surowo, jak niegdyś patrzył na *nie'Sharum* ćwiczących pod jego okiem. Gdy wydał pierwsze polecenie ruchem dłoni, dziewczyny bez wahania spełniły jego wolę.



Inevera ułożyła dłoń na Evejah'ting, ale nie otworzyła księgi. Z zamkniętymi oczami recytowała święte wersy:

*I tak oto Damajah wykula z poświęconego metalu
Trzy święte skarby Kajiego.*

*Najpierw wykonała płaszcz.
Rozbiła poświęcony metal na cienkie nici
I wyszyła nim runy niewidzialności na
Najcudowniejszym jedwabiu pod słońcem.
Miesiące praca zabrała,
Gdyż tak chciał Everam.
Aż alagai przestały dostrzegać Kajiego,
Gdy płaszcz przywdział.
Potem wykonała włócznię.
Biła młotem w poświęcony metal,
Aż stał się cienki jak pergamin.
Wyryła na nim runy,
Razy siedemdziesiąt i siedem owinęła wokół drzewca,
Wykonanego z hora.
Z tego samego metalu wytoczyła ostrze,
Które hartowała w pyle z hora
Razy siedemdziesiąt i siedem
W ogniach Nie.
Rok cały praca zabrała,
Gdyż tak chciał Everam.
Aż w końcu ostrze, wygładzone diamentowym pyłem,
Mogło przebić skórę samej Nie.
I wreszcie wykonała koronę.
Runy wyryła po obu stronach poświęconego metalu,
Ukrywając moc, którą ją pobłogosławiła.
Metal owinęła wokół czaszki księcia demonów
Z dziewięcioma rogami.
Na każdym umieściła klejnot,
By skupić ogromną moc korony.
Dziesięć lat praca zabrała,
Gdyż tak chciał Everam,*

*Aż nawet Władca Demonów nie mógł zajrzeć w myśli Kajiego
Ani też podejść doń,
Jeśli Shar'Dama'Ka sobie tego nie życzył.
Mając te skarby,
Kaji stał się najstraszliwszym wojownikiem świata,
A tchórzliwi książęta z Nie
Zmykali z pola bitwy,
Gdy zarzucił płaszcz na ramiona.*

Qeva skinęła głową, gdy Inevera skończyła. Gestem *dama'ting* nakazała dziewczynce, by usiadła przy stole wraz z innymi *nie'dama'ting*. Na blacie znajdowały się miski z metalowymi opiłkami czekającymi na stopienie.

– Metale szlachetne przewodzą magię lepiej niż nieszlachetne. Srebro jest lepsze od miedzi, a złoto lepsze od srebra, ale żaden nie jest idealnym przewodnikiem. Przekazując magię, zawsze nieco jej tracimy.

Spojrzała na Ineverę.

– Co jest cenniejsze od złota?

Inevera zawahała się. Nic nie przychodziło jej do głowy i dobrze wiedziała, że nie ma co szukać pomocy u innych dziewczyn. Po chwili namysłu pokręciła głową.

– Proszę o wybaczenie, *dama'ting*. Nie wiem.

Qeva zachichotała.

– Gdybyś odpowiedziała na to pytanie, mielibyśmy dowód, że w istocie jesteś wcieleniem swej imienniczki. Wielka Damajah, niech Everam ją błogosławi, przekazała nam wiele sekretów w świętych zapiskach, ale w swej mądrości ukryła inne, nie chcąc, by zostały skradzione. Niestety, wiele z nich zaginęło przez tysiąclecia, jak choćby runy niewidzialności, moce włócznie oraz korony, a także poświęcony metal.

Ujęła miskę.

– I z tego powodu rozpoczynamy nasze lekcje od miedzi.



Znów upłynęło kilka tygodni. Inevera stała przed posrebrzaną szybą i miękkim ołówkiem obrysowywała oczy runami. Ćwiczyła to tysiąc razy wedle instrukcji zawartych w *Evejah'ting*. Opanowała też sztukę kreślenia runów odwrotnie, aby idealnie narysować je przy użyciu lustra.

Melan, Asavi i inne starsze dziewczyny osiągnęły wyższe wtajemniczenie i nosiły na skroniach własnoręcznie wykonane delikatne diademy runiczne, ale pierwsza ozdoba Inevery nadal była jedynie pobrzękującą kupką na wpół stopionych monet i złotych drucików, trzymanyh w sakiewce przy pasie.

Gdy dziewczynka zakończyła pracę, Qeva mocno ujęła jej podbródek i przyjrzała się uważnie, bezceremonialnie odwracając głowę Inevery to w prawo, to w lewo. Nie powiedziała ani słowa, ale sapnęła z zadowoleniem. Dla uczennicy pojedyncze mruknięcie nauczycielki było największym komplementem. Gdyby wśród runów pojawił się najdrobniejszy nawet błąd, *dama'ting* wytknęłaby go nie przebiegając w słowach. Wszystkie adeptki usłyszałyby reprimendę, a Inevera musiałaby zmyć twarz i nakreślić znaki raz jeszcze.

Dama'ting wsunęła palec do miseczki z ciemnym płynem i dziewczyna poczuła dreszcz. Ciecz przypominała atrament, ale zapach zdradzał, że to posoka demona.

Nauczycielka nakreśliła pierwszą smugę na czole dziewczynki. Ciecz była ciepła, ale nie paliła, czego się Inevera z początku obawiała. Pomalowane miejsce najpierw zamrowiło, a potem dziewczyna poczuła, jak magia przepływa po jej skórze, wnika w wyrysowane ołówkiem runy i tańczy po cieniutkich liniach.

Potem jej wzrok zaczął się zmieniać i Inevera aż westchnęła oczarowana, całkiem zapominając o równowadze. Mdły poblask runów wymalowanych na suficie znikł, zastąpiony przez światło bijące z każdego kąta, przenikające przez ściany i podłogi, emanujące nawet z ciał Qevy i innych dziewczyn. Było to światło Everama, linie energii, które co rano wykorzystywały podczas ćwiczeń *sharusahk*, ucieleśnienie ognia w ich sercach, dającego życie i moc wszystkim żywym istotom. Przed Ineverą widniała nieśmiertelna dusza świata.

A ona ją widziała. Widziała ją na własne oczy!

– Niech chwała będzie Everamowi prześwietnemu! – Padła na kolana, drżąc ze szczęścia i radości. Szlochała oczarowana pięknem zjawiska.

– Oprzyj się dłońmi o podłogę – poleciła jej Qeva. – Niech twoje łzy padają prosto na ziemię, bo w przeciwnym razie zamażą rysunek, a wtedy drugi wzrok zniknie.

Inevera natychmiast wykonała polecenie, przerażona myślą, iż miałyby stracić ów wspinały dar. Jej łzy kapwały na kamienną podłogę, a każda rozsyłała kręgi w magicznym świetle przenikającym świat. Dziewczynka spodziewała się, że Melan i pozostałe *nie'dama'ting* będą z niej kpić, ale w komnacie panowała cisza. Bez wątpienia wszystkie były równie oszołomione, gdy po raz pierwszy ujrzały światło Everama.

Wzruszenie Inevery wkrótce minęło i Qeva upuściła obok niej jedwabną chusteczkę. Inevera podniosła ją i ostrożnie wytarła oczy. Pozostałe dziewczyny wpatrywały się w nią w milczeniu.

Nauczycielka wskazała kamienny piedestał. Na jego gładkiej powierzchni wyryto dziesiątki runów, a w niektórych z nich znajdowały się zeszlifowane kamienie. Inevera widziała już, jak *dama'ting* wykorzystują podobne piedestały, by kontrolować natężenie światła i temperaturę w pomieszczeniach, ale jak dotąd nie rozumiała wyrytej serii symboli. Teraz, opromieniona blaskiem Everama, widziała moc wędrującą po sieci znaków. Wzór, który jeszcze przed chwilą stanowił dla niej tajemnicę, był teraz zrozumiały niczym dziecięca gra.

– Zgaście światło – rozkazała Qeva. – Nie przyda nam się podczas tej lekcji.

Inevera bez wahania spełniła polecenie i przesunęła kilka wypolerowanych kamieni w inne miejsca, a pozostałe wyjęła z wnętrza runów i umieściła w niewielkiej niecce.

Runy na suficie zgasły natychmiast, ale nowy wzrok Inevery jedynie się wyostrzył. Okazało się, że sztuczne światło tylko przeszkadzało. Wyraźniej widziała w blasku Everama.

– Wzrok wzmocniony magicznymi symbolami okaże się nieocenioną pomocą w dalszej nauce – dodała Qeva. – Nie wolno go używać jedynie w najgłębszych celach Komnaty Cieni, gdzie wyrzeźbisz swoje kości.



Mijał miesiąc za miesiącem, Inevera była całkiem pochłonięta nauką. Budziła się na trening *sharusahk*, później asystowała *dama'ting* podczas opatrywania rannych i udawała się na regularne zajęcia z historii, rysowania runów, warzenia eliksirów, wyrabiania biżuterii, śpiewu, tańca i sztuki uwodzenia. Inne dziewczęta nadal jej unikały, zwłaszcza po tym, jak ujrzały, że rzeźbi już drewniane kości. Inne adeptki przystępowały do tego dopiero kilka lat później.

Co noc Melan biła ją pod pretekstem ćwiczenia *sharusahk*. Minęło pół roku od rozpoczęcia treningu, a Qeva wciąż nie była zadowolona z postępów poczynionych przez Ineverę, przez co Melan nadal miała zakaz wstępu do Komnaty Cieni.

Co noc Inevera leżała sama w łóżku, przyciskając do piersi Evejah'ting, a pozostałe dziewczęta szeptały do siebie w ciemnościach, tuliły się i pieściły. We śnie często nawiedzał ją koszmar siedmiu kości, które zadecydowały o jej życiu od dnia *Hannu Pash*. Chętnie by sobie popłakała, ale powstrzymywał ją lęk, że sprawi tym przyjemność Melan i Asavi, zawsze leżących razem w łóżku obok.



Inevera stała dumnie wyprostowana i patrzyła, jak Kenevah przygląda się dwóm ogromnym misom z piaskiem. Dziewczynka wyrysowała w nich najbardziej skomplikowane kręgi w swoim życiu. Każdy składał się z czterdziestu dziewięciu zespolonych znaków. Między misami stało pudło z pojedynczym runem.

Wykonane przez nią serie symboli były wyraźne i czytelne na czystym żółtym piasku, ale umiejętność kreślenia runów nigdy wcześniej nie została przetestowana i Inevera nie miała pojęcia, czy znaki rzeczywiście mają moc.

Qeva stała obok matki i również przyglądała się symbolom, choć nie mówiła ani słowa. Nie musiała. Samo to, że uznała Ineverę godną przystąpienia do próby *hora* po niecałych dwóch latach, świadczyło o dziewczynie jak najlepiej. Obok Qevy stała poważna Melan i mierzyła młodszą koleżankę ostrym spojrzeniem.

W końcu Kenevah skinęła głową.

– Zaciągnąć zasłony.

Inevera spełniła polecenie, a *Damaji'ting* wyciągnęła sporą kość demona z aksamitnej sakiewki. Dziewczyna była ciekawa, ile krwi *Sharum* przelano, aby zdobyć tę niewielką kostkę. Nadstawiła dłonie, a Kenevah złożyła w nich bezcenną *hora*. Inevera nigdy wcześniej nie dotykała kości demona i choć w Evejah'ting przeczytała, czego się należy spodziewać, było to osobliwe doznanie. Kość aż skrzyła od mocy i przyciągała krew dziewczynki jak magnes.

Inevera ostrożnie, z czcią ułożyła kość na runie znajdującym się między obiema misami. Znaki zaczęły mienić się łagodnym światłem, coraz jaśniejszym, w miarę jak pobierały moc

z kości. W końcu zapłonęły złocistym blaskiem, a kręgi zaczęły się obracać. Z początku poruszały się tak powoli, że Inevera sądziła, iż ulega złudzeniu, ale przyspieszały coraz bardziej, aż wreszcie obracały się niczym intensywnie zamieszana ciecz w kotle. Po chwili nałożyły się jeden na drugi i utworzyły cyfrę 8.

Kość demona znikła w centrum wiru. Światło gwałtownie rozbłysło, a potem znów nastał mrok. Oszołomiona Inevera stała w ciemności, a przed jej oczami nadal tańczyły kolory.

– Po wszystkim – oznajmiła Kenevah. – Rozsuńcie zasłony.

Potyając się, dziewczyna przeszła przez ciemny pokój, kierując się bardziej pamięcią niż wzrokiem. Odnalazła grube zasłony i wpuściła strugi światła. Pospiesznie powróciła do Qevy i Kenevah i otworzyła szeroko oczy na widok obu mis, skąpanych w promieniach słońca. Po znajdującym się tam piasku nie było nawet śladu, kość demona leżąca między nimi również znikła. Misa po lewej była napełniona wodą. Tę po prawej wypełniał po brzegi parujący, przepyszny kuskus.

Przygotowując się do próby, Inevera pościła przez sześć dni. Wypijała jedynie kubek wody rano i wieczorem. Jej gardło było wyschnięte na wiór, a pusty, ściśnięty żołądek zaburczał niespodziewanie, gdy po pomieszczeniu poniósł się zapach jedzenia.

Kenevah uniosła brew.

– Twój post niedługo dobiegnie końca – powiedziała i podała Ineverze parę pałeczek z kości słoniowej, ozdobionych złotem i diamentami. – Jeśli uformowałaś runy jak należy, wystarczy kilka kęsów, aby najeść się do syta.

Wyciągnęła również złoty kielich wysadzany klejnotami, zanurzyła go w wodzie i napełniła.

– Woda zaś okaże się najczystszym, najśłodszym napojem, jakiego w życiu próbowałaś. Wystarczy łyk, by zaspokoić pragnienie.

Niespodziewanie jej spojrzenie pociemniało.

– A jeśli popełniłaś błąd... Cóż, umrzesz, po tym jak skosztujesz wody bądź kuskusu.

Po plecach Inevery przemknął zimny dreszcz. Ujęła kielich drżącą dłonią.

– Muszę?

Kenevah pokręciła głową.

– Możesz odłożyć zarówno kielich, jak i pałeczki, ale jeśli tak postąpisz, upłynie wiele lat, nim znów zmarnuję na ciebie kość. O ile w ogóle kiedyś to zrobię.

Inevera odnalazła w sobie równowagę. Jej dłonie uspokoiły się na tyle, by mogła ująć pałeczki. Nabrała kęs i wsunęła sobie do ust. Żuła przez moment, a potem szeroko otworzyła oczy. Jej ogromny głód znikł, a po ciele rozeszła się nowa siła. Z energią porwała kielich i zaspokoila pragnienie.

Kenevah uśmiechnęła się, gdy dziewczyna odstawiła puste naczynie. Jej oczy aż płonęły. *Damaji'ting* nie myliła się – Inevera nigdy dotąd nie piła wody równie słodkiej i odświeżającej. Czuła się, jakby zaspokoila pragnienie wodą z rzeki samego Everama.

Kenevah wyjęła pałeczki i kielich z rąk Inevery i przekazała je Melan. Dziewczynka pozwoliła sobie na ironiczny uśmieszek, patrząc na rozszerzone nozdrza starszej koleżanki. Melan nie mogła już stanąć Ineverze na drodze do Komnaty Cieni, skoro młodsza *nie'dama'ting* nie padła trupem po zjedzeniu kuskusu.

– Proszę, siostry – wypowiedziała słowa rytualnego zaproszenia. – Jedzcie i pijcie to, co stworzyłam, albowiem wszystkie jesteście dziećmi Damajah.

Melan pospiesznie nabrała kuskusu, a potem zanurzyła kielich, by popić kęs.

– Jesteśmy dziećmi Damajah – powtórzyła.

Qeva przejęła pałeczki i naczynie, ale w jej zachowaniu było więcej szacunku. Uniosła nieco woalkę, by wsunąć jedzenie do ust i upić trochę wody, a wtedy Inevera zauważyła cień uśmiechu w kąciu ust nauczycielki. Zaraz jednak woalka opadła.

– Jesteśmy dziećmi Damajah. – Qeva napełniła kielich dla Kenevah. *Damaji'ting* zręcznie ujęła pałeczki i nabrała kuskusu, nie upuszczając ani ziarnka. Przełknęła i wypła wodę.

– Jesteśmy dziećmi Damajah – oznajmiła, odłożyła przedmioty i spojrzała na Ineverę: – Co najlepiej przewodzi magię? – spytała.

Dziewczyna milczała, wyczuwając pułapkę. *Damaji'ting* równie dobrze mogła ją zapytać, ile wynosi dwa plus dwa. To było idiotyczne pytanie.

– Złoto, *Damaji'ting* – odparła. – Drugie w kolejności jest srebro, a po nim brąz, miedź, cyna, kamień i stal. Żelazo nie jest przewodnikiem. Do skupienia mocy wykorzystujemy dziewięć klejnotów, rozpoczynając od diamentów, które...

Kenevah przerwała jej machnięciem dłoni.

– Ile istnieje runów proroctwa?

Kolejne proste pytanie.

– Jeden, *Damaji'ting*. Ponieważ istnieje tylko jeden Stwórca.

Ów run umieszczany był w centrum jednej ściany każdej z siedmiu kości i był odpowiedzialny za wynik rzutu.

– Narysuj go – przykazała Kenevah i dała sygnał Melan, która wyciągnęła pędzel, atrament i arkusz pergaminu.

Przez ostatnie kilka miesięcy Inevera kreśliła go na piasku i pędzel źle leżał jej w dłoni, ale nie powiedziała ani słowa. Ostrożnie zanurzyła go w atramencie, wytarła nadmiar o krawędź miski i zaczęła malować znak na cennym pergaminie.

Gdy wykonała zadanie, Kenevah skinęła głową.

– A ile istnieje symboli przepowiedni?

– Trzysta trzydzieści siedem, *Damaji'ting* – odparła Inevera.

Symbole przepowiedni nie były runami, a raczej słowami, które przedstawiały rozmaite zawilości losu. Wypełniały pozostałe ściany siedmiu kości używanych przez *dama'ting* do odczytywania przyszłości – rysowano je zarówno w centrum, jak i wzdłuż ich krawędzi. Inevera instynktownie zacisnęła dłoń na sakiewce przy pasku, w której znajdowały się jej gliniane *hora* z krawędziami startymi po roku uważnej nauki.

Najmniejsza z kości miała cztery ściany, a największa dwadzieścia. Pozostałe liczyły sobie odpowiednio sześć, osiem, dziesięć, dwanaście i szesnaście ścianek. Każdy z wyrysowanych na nich znaków miał wiele znaczeń, które odczytywano na podstawie symboli sąsiednich oraz kontekstu. *Evejah'ting* zawierała szczegółowe objaśnienie wszystkich znaczeń, ale odczytywanie wyniku rzutu należało traktować bardziej jako sztukę aniżeli naukę. Co więcej, była to sztuka kontrowersyjna i wywoływała wiele żywiołowych dyskusji wśród *dama'ting*. Inevera niejednokrotnie widywała Oblubienice kłócące się, jak należy zinterpretować układ kości. W ekstremalnych sytuacjach wzywano Kenevah, która dokonywała samodzielnej interpretacji. Żadna z *dama'ting* nigdy nie ośmieliła się sprzeczać z *Damaji'ting*, ale nie wszystkie wydawały się przekonane jej słowami.

Kenevah przywołała Melan, a ta ułożyła przed nią nowy arkusz pergaminu. Inevera ponownie zanurzyła pędzel. Tym razem narysowała mniejsze symbole, lecz choć pracowała szybko i precyzyjnie, skończyła dopiero po dłuższej chwili. *Damaji'ting* patrzyła jej przez ramię i kiwnęła głową, gdy Inevera odłożyła pędzel.

– Czy masz kości gliniane? – zapytała uroczyście Kenevah.

Dziewczyna skinęła i wyciągnęła z sakiewki *hora* podarowane jej przez *Damaji'ting*. Ta ułożyła je na stole, ujęła ciężarek z kości słoniowej i tłukła nim o *hora* Inevery, aż zamieniły się w kupkę pyłu i zmiażdżonego lakieru.

– Czy masz kości drewniane? – padło kolejne pytanie.

Inevera po raz drugi sięgnęła do sakiewki i wydobyła drugi zestaw, który z wielkim mozolem wycięła z kawałka drewna, a potem pracowicie szlifowała i rzeźbiła. Na dłoniach nadal nosiła wiele drobnych blizn, które były pamiątką po tamtym zadaniu.

Gdy zaczynała, była święcie przekonana, że najtrudniejszą częścią będzie wykonanie samych runów. Problemem okazało się jednak coś innego – Inevera nie miała bladego pojęcia o pracy snycerskiej, przez co wycięcie najprostszych nawet kształtów z drewna było niemalże ponad jej siły. Wielokrotnie poraniła sobie dłoń, co chwila wyrzucała nierówno wycięte kawałki, aż wreszcie odłożyła drewno podarowane jej przez Qevę i zaczęła ćwiczyć na grudzie mydła, aby oswoić się z narzędziami.

Wykonanie kości cztero-, sześćo- i ośmiościennej okazało się później dość łatwe, ale ukształtowanie dziesięciściennej zabrało wiele godzin, chociaż *Evejah'ting* zawierała szczegółowe obliczenia geometryczne. Inevera włożyła w tę pracę mnóstwo wysiłku, ale jedna ze ścian i tak była nieco większa od innych, co wpływało na rzut. Musiała zacząć pracę raz jeszcze. Jeśli chciała przejść próbę *hora*, musiała wręczyć *Kenevah* kości idealne pod każdym względem.

Starsza *dama'ting* przyjrzała się im uważnie, a potem umieściła w żelaznym koszu. Inevera patrzyła, jak najcenniejsza rzecz w jej życiu, owoc długotrwałych wysiłków, zostaje oblane olejem i podpalona przez *Melan*. Wiedziała, że tego należy się spodziewać, ale nie przypuszczała, że strata okaże się tak bolesna. *Melan* spojrzała na nią z ironicznym uśmiechem.

Inevera oddychała głęboko, odnajdując równowagę. *Kenevah* znów na nią spojrzała.

– Czy masz kości z wielbłądziego zęba?

Inevera sięgnęła do sakiewki po raz trzeci i wysypała na dłoń kości wycięte z zęba wielbłąda. Zrobiła je z oczami zawiązanymi pasmami *bido*. Praca trwała całe miesiące – o wiele dłużej niż wykonanie dwóch wcześniejszych zestawów – i za każdym razem, gdy musiała poprosić o nowy ząb, odbywała karę – tydzień prania *bido*.

Kenevah przetoczyła kości po dłoni i obejrzała je uważnie, a potem mruknęła i rzuciła nimi o ścianę z zaskakującą siłą. Delikatne kości roztrzaskały się, a ich okruchy rozsypały się po

podłodze. *Damaji'ting* wyjęła pustą sakiewkę z rąk Inevery i wrzuciła do ognia. Aksamit natychmiast stanął w płomieniach i buchnął gęstym, czarnym dymem.

– Możesz wkroczyć do Komnaty Cieni – oznajmiła Kenevah i wręczyła dziewczynie nową sakiewkę, jeszcze wspanialszą niż poprzednia. Uszyto ją z czarnego aksamitu i zaopatrzone w złoty sznurek. – W środku znajdziesz osiem *alagai hora*. Wytniesz z nich siedem kości. Nie wolno ci wyrzucać opilków. Jeśli po drodze nie popełnisz błędu, możesz zachować ostatnią i wykorzystać ją, jak sobie zyczysz. Jeśli okaże się, że potrzebujesz ich więcej, karą za każdą nową kość będzie rok pokuty.

Komnata Cieni. Pozostałe *nie'dama'ting* rozmawiały o tym miejscu nabożnymi szeptami. Komnata znajdowała się głęboko w podziemiach pałacu, a panujących tam ciemności nigdy nie rozproszyły ani promienie słońca, ani blask świecy, ani inne światło. Podobno panujący tam mrok sprawiał, że ściany wydawały się to odległe o wiele mil, to bliskie na wyciągnięcie ręki. Mówiono też, że nigdzie indziej ciemności nie przypominają bardziej Otchłani, a jeśli gość zachowa absolutną ciszę, usłyszy szept samej Nie.

Gdy Inevera ujęła sakiewkę, Melan wpatrywała się w nią jak żmija tunelowa.



Ledwie Qeva zamknęła wrota Krypty, Melan pchnęła Ineverę na podłogę. Miała piętnaście lat, a młodsza *nie'dama'ting* niecałe jedenaście. Była też wyższa, choć nie tak bardzo jak wtedy, gdy Inevera przybyła do pałacu.

– Moje kości były już prawie ukończone! – krzyknęła Melan. – Jeszcze rok i mogłabym założyć biel! Byłabym najmłodszą *dama'ting* od czasu Powrotu! Ale zmarnowałam dwa lata, ucząc *sharusahk* niezdarną córkę świniopasa tylko po to, by ta weszła do Komnaty Cieni przede mną!

Melan pokręciła głową.

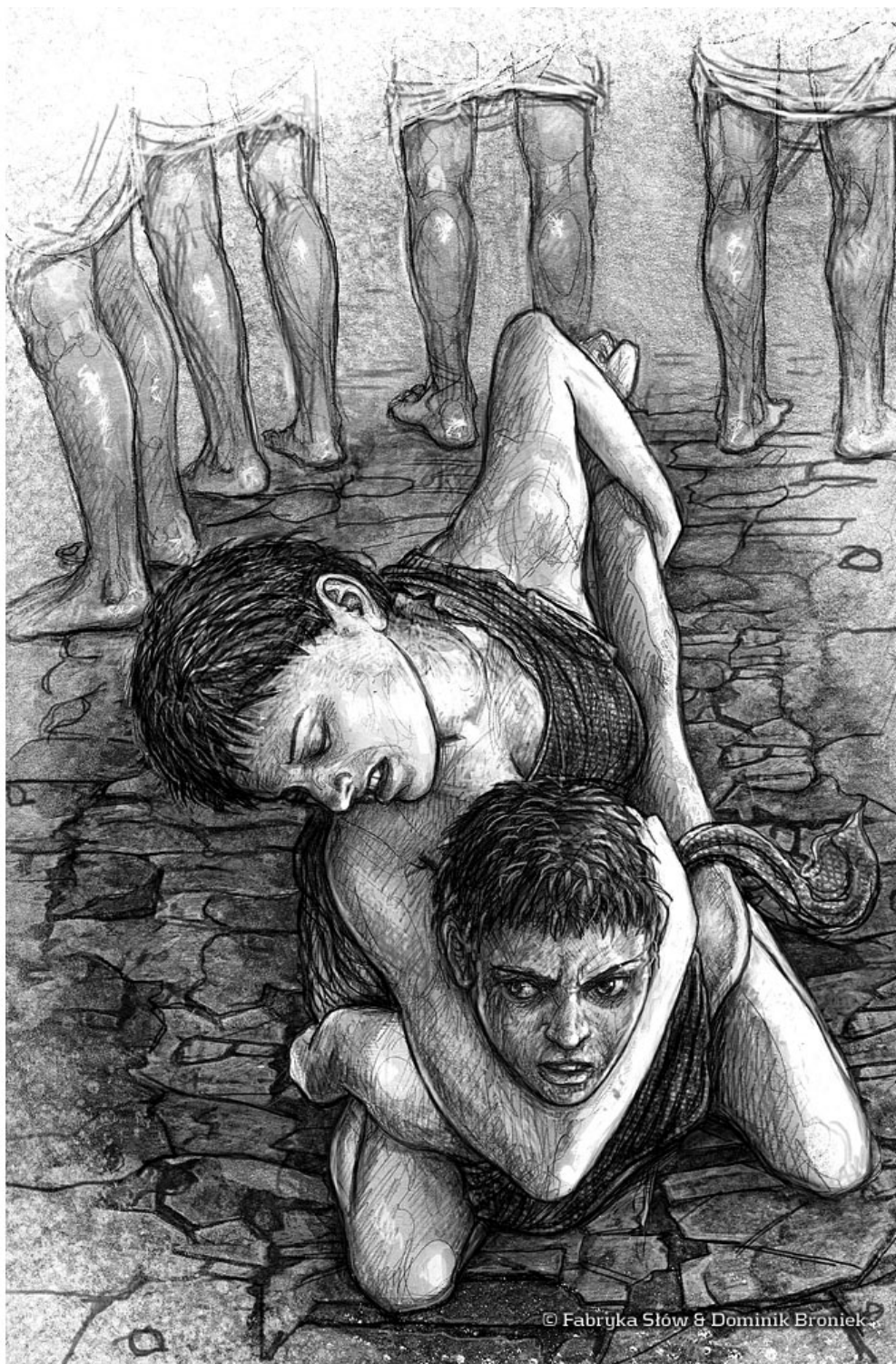
– Nie. To będzie twoja ostatnia lekcja, zły rzucie. Nie przeżyjesz tej nocy.

Inevera poczuła, że krew w jej żyłach zamienia się w lód. Melan była wściekła i wydawała się gotowa spełnić groźbę, ale co powiedziałyby na to *dama'ting*? Spojrzała na pozostałe dziewczęta.

– Niczego nie widzę – oznajmiła Asavi, jak zwykle lojalna wobec Melan, i odwróciła się plecami do zajścia.

– Niczego nie widzę – powtórzyła kolejna dziewczyna i uczyniła to samo.

– Niczego nie widzę. Niczego nie widzę – padało ze wszystkich stron. *Nie'dama'ting* odwracały się jedna po drugiej.



Melan dobrze wyszkoliła pozostałe dziewczęta. Zresztą czemu miałyby tego nie zrobić? Była wnuczką *Damaji'ting* i żadna spośród Zaprzysiężonych nie mogła jej sprostać w *sharusahk*.

Inne adeptki postrzegały ją jako przywódczynię i w istocie spodziewano się, że zostanie najmłodszą *dama'ting* od czasu Powrotu. Stałoby się tak już dawno, gdyby nie rozkaz jej matki.

Młodsza dziewczyna nigdy nie zrozumiała, dlaczego Melan została tak surowo ukarana. Nie wiedziała też, dlaczego kara trwała tak długo. Inevera poczyniła ogromne postępy zarówno w *sharusahk*, jak i w tańcu. Już podczas drugiego miesiąca nauki dorównywała innym dziewczynom w swoim wieku, a po upływie dwóch lat w niczym nie ustępowała pozostałym *nie'dama'ting*. Qeva już dawno powinna była uchylić zakaz. Dlaczego tego nie zrobiła? Przecież tylko pogłębiała frustrację Melan i czyniła z niej najgroźniejszego wroga Inevery! Jeśli *dama'ting* sądziła, że nauczy w ten sposób córkę pokory, była w wielkim błędzie.

I niespodziewanie dziewczynę olśniło. Przypomniała sobie słowa Qevy wypowiedziane dwa lata temu:

„Jeśli okaże się, że nie jesteś wystarczająco silna, kompetentna bądź wierna, by przejść szkolenie i wdziać białą szatę, cóż... Taka oto *inevera*”.

Rzeźbienie kości i rycie runów nie były jedynymi testami, które należało zdać, by wejść do Komnaty Cieni. Qeva chciała, by na czele kobiet Kaji stanęła najsilniejsza z nich. To z tego względu postawiła Melan na drodze Inevery.

– Skorpion – syknęła Melan i zaatakowała.

Inevera miała już dość udawania słabej. Przez ostatnie dwa lata okazywała pokorę, lecz teraz nadszedł czas na demonstrację siły.

Nigdy dotąd nie stawiała silnego oporu podczas wieczornego bicia. Wiedziała, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Przyglądała się jednak wszystkim posunięciom Melan, czekała i planowała. Znała doskonale wszystkie jej słabości, a w wyobraźni tysiąc razy rozegrała walkę między nimi.

Inevera pochyliła się, oparła dłoń o podłogę i wbiła dwa wyprostowane palce w czuły punkt na udzie Melan.

– Wiedzący Kwiat! – oznajmiła.

Noga, na której Melan opierała ciężar ciała, nagle ją zawiodła i starsza adeptka zvaliła się na ziemię. Przetoczyła się szybko i zerwała, masażem przywracając sobie czucie. Inevera cofnęła się, nie próbując na razie atakować. Kilka dziewczyn tworzących krąg wokół nich zerkało przez ramię.

– Niczego nie widzicie! – wrzasnęła Melan i wszystkie odwróciły się posłusznie.

– Niczego nie widzimy! – odpowiedziały chórem.

– Miałaś szczęście – warknęła Melan. Inevera uśmiechnęła się w odpowiedzi, a wtedy starsza dziewczyna runęła do ataku. Chciała wykorzystać Kaptur Kobry, ale Inevera zręcznie uskoczyła i uderzyła przeciwniczkę w szyję.

– Strzaskany Wiatr! – wykrzyknęła, gdy Melan przemknęła obok. Z trudem uniknęła upadku i nie mogła złapać tchu. Inne dziewczyny znów zerkały, ale starsza *nie'dama'ting* nie zwróciła już na to uwagi. Znów rzuciła się do ataku. Jej kopniaki i uderzenia pięściami były szybkie niczym ataki żmii. Usiłowała trafić prosto w czułe punkty Inevery, ale ta wiła się i chyliła jak palma pod naporem wiatru. Rzut oka na wyraz twarzy Melan i ustawienie jej stóp wystarczał, by Inevera rozpoznawała linie energii rozkładające się na ciele przeciwniczki. Natychmiast odgadywała intencje i krzyżowała zamiary Melan. Czasami uderzała tak, by starsza dziewczyna straciła oddech, albo pozbawiała ją równowagi, nie szczędziła też bolesnych ciosów, aby utrwalić lekcję. Uważała, żeby nie zadać poważnych obrażeń. Inevera nigdy nie poskarżyła się *dama'ting*, że Melan i inne dziewczęta znęcają się nad nią. Wiedziała, że Qeva będzie szukać pretekstów, by wzbronić jej dostępu do Komnaty Cieni, i z pewnością wykorzysta to, że dziewczyna zabiła bądź okaleczyła jej córkę.

Inevera jednak dłużej nie chciała być ofiarą. Melan ruszyła do kolejnego natarcia, szykując się do Kopnięcia Wielbłąda, ale niespodziewanie płynnie przeszła do pozycji Rogi Barana, aby zmiążyć nos Inevery własnym czołem.

Młodsza *nie'dama'ting* złapała przeciwniczkę za szatę i usunęła się w lewo, aby zejść z linii ataku i jednocześnie wykonać rzut. Chwyciła Melan za rękę. Gdyby starsza *nie'dama'ting* stawiała opór, ramię wyskoczyłoby ze stawu. Zgodnie z oczekiwaniami Inevery Melan wykorzystała własny pęd, by uniknąć złamania. Wyrwała się i wpadła prosto na plecy Asavi. Obie dziewczyny upadły, a pozostałe rozbiegły się z krzykiem.

Melan jęknęła, ale oplotła nogami kostki Inevery, przewróciła ją i wtoczyła się na przeciwniczkę. Przez kilka minut zmagaly się na podłodze i wreszcie Melan jako silniejsza zyskała przewagę. Udało jej się założyć chwyt i parokrotnie grzmotnąć czołem młodszej dziewczyny o kamienną podłogę, aż Ineverze w uszach zadzwoniło. Każdemu uderzeniu towarzyszył oślepiający rozbłysk. Równowaga Inevery zwała się jak domek z kart.

Melan złapała kilka pasm bido Inevery i zacisnęła je na szyi przeciwniczki, rezygnując z chwytu. Młodsza dziewczyna zdołała wyswobodzić jedno ramię, ale starszej *nie'dama'ting*

zupełnie to nie przeszkadzało. Czy Inevera mogła jej zagrozić jedną ręką? Zwłaszcza z Melan na plecach?

Inevera uniosła gwałtownie głowę, usiłując rozbić Melan nos, ale starsza dziewczyna przewidziała sztuczkę i odchyliła się lekko.

Postąpiła dokładnie tak, jak Inevera zaplanowała. Błyskawicznie niczym płomienny demon wbiła dwa palce w nozdrza Melan. Ostre paznokcie rozorały delikatne chrząstki, ale Inevera napierała, grożąc rozszarpaniem nosa przeciwniczki na strzępy.

– Czy Asavi nadal będzie chciała cię całować, gdy zamiast nosa będziesz mieć jedynie dziurę? – szepnęła.

Melan nie należała do najpiękniejszych *nie'dama'ting*, ale z pewnością była najpyszniejszą. Wrzasnęła i puściła Ineverę, by ocalić urodę. Młodsza dziewczyna wymierzyła jeszcze kilka ciosów, a potem odtoczyła się na bok i podniosła. Melan wstała również, ale zaraz się zatoczyła. Nie zdołała uniknąć kopnięcia Inevery, które rozbiło jej nos i policzek. Upadła i z trudem próbowała się podnieść.

– Myślę, że gdy *Damaji'ting* Qeva ujrzy jutro twoją twarz, zniesie ci karę. – Inevera podniosła nową sakiewkę z *hora*. – Wejdziemy do Komnaty Cieni razem, a ja wykonam swoje kości jako pierwsza.



VIII

Sharum nigdy się nie uginają

LATA PLAGI 302–305

Zdenerwowana Inevera stała w pawilonie *Damaji'ting*. Panowało dotkliwie zimno, w którym jej oddech zamieniał się w obłoczek pary. Obok miała Qevę, trzy inne Oblubienice, siedem Zaprzysiężonych oraz czterech eunuchów, a wśród nich potężnego Enkido. Mężczyźni założyli czarne szaty *Sharum* oraz przesłony noszone podczas bitew, dzierżyli też włócznie i tarcze. Pod szatami nosili zbroje wykonane przez *dama'ting*, zdolne ochronić nawet przed ugryzieniem demona.

W znajomym sobie miejscu i w takim towarzystwie Inevera powinna czuć się bezpiecznie, a jednak niepewnie przestępowała z nogi na nogę. Trwała noc, znaleźli się na powierzchni, co było zabronione przez prawo Evejah. Wedle nakazów Everama nawet Oblubienice nie mogły stąpać po ziemi w nocy, ale Qeva i pozostałe *dama'ting* rozmawiały beztrosko, jakby znajdowały się w Podpałacu *Damaji'ting*. Inevera zdawała sobie sprawę, że szansa na to, by któryś z *alagai* przedarł się przez *Sharum* w Labiryncie i pokonał wielki mur, graniczyła z zerem, ale mimo to serce jej waliło.

„Strach i ból to jedynie wiatr” – napomniała się i wyobraziła sobie, że jest palmą, aby odzyskać równowagę.

Enkido, który stał przy wejściu do pawilonu, uniósł dłoń i wykonał serię gestów.

– *Oot!* – powiedziała Qeva. – Nadchodzą.

Wszyscy ucichli, a Oblubienice z Qevą na czele stanęły przed adeptkami i eunuchami. Qeva skinęła na Enkido, ten uniósł płachtę zasłaniającą wejście.

Do pawilonu podeszło pół tuzina *Sharum*. Jeden prowadził wielbłąda z kopytami owiniętymi grubym czarnym sukniem. Ciało zwierzęcia zasłonięto ciemnymi płachtami. Ciągnęło wóz, którego koła również zostały obwiązane materiałem.

Czarne szaty wojowników nosiły ślady kurzu z Labiryntu, a ich zbroje były zbryzgane krwią i uszkodzone w walce. Jeden lekko utykał, a drugi owinął ramię szmatą. Wszyscy mieli zasłonięte twarze, ale Inevera rozpoznała ich natychmiast. Nosili bowiem tuniki bez rękawów i pancerze z poczerniałej stali ozdobionej złotym słońcem *dama* Badena. Rozpoznałaby Cashiva, nawet gdyby nie utykał w charakterystyczny sposób i nie miał na sobie białej przesłony *kai'Sharum*. Tym bardziej rozpoznałaby człowieka stojącego obok niego.

To był jego *ajin'pal*.

Soli.

Nie widziała brata od wielu lat, ale od razu rozpoznała. Pamiętała, jak iskrzą jego oczy przy uśmiechu. Pamiętała sposób chodzenia, postawę i muskularne ramiona Soliego równie dobrze jak swoje. Nie dała tego po sobie poznać, ale nie mogła oderwać od niego wzroku.

Stojąca obok niej Melan parsknęła.

– Nie masz szans, nieudany rzucie. Już prędzej prześcigniesz mnie w wyścigu po białą szatę, na co też bym nie liczyła. To *push'ting*. Mężczyźni kochający mężczyzn. Ponoć nikt nie dorówna w walce *Sharum dama* Badena, ale każdy z nich chętniej pójdzie do łóżka z koźlą niż z tobą.

– I pewnie lepiej na tym skorzysta – zachichotała Asavi.

– Cisza! – syknęła Qeva.

Cashiv i inni *Sharum* złożyli *dama'ting* głęboki ukłon. Soli omiótł Ineverę wzrokiem, ale nie rozpoznał siostry w półmroku, choć dziewczyna nie miała zasłoniętej twarzy.

– Powstańcie, czcigodni *Sharum* – powiedziała Qeva. – Niech was Everam pobłogosławi.

Cashiv i reszta powstali.

– Everam jest wielki. Jemu zawdzięczamy honor i chwałę. Nasze życie należy do Niego i do Jego świętych Oblubienic. To pierwsza noc Nowiu po zimowym przesileniu. Przywozimy daninę *dama* Badena.

Qeva skinęła głową.

– Ofiara, jaką składacie we krwi, zawsze jest miła Everamowi. Jego Oblubienice są również za to wdzięczne. Jaki dar przynosicie?

Cashiv uklonił się raz jeszcze.

– Dwadzieścia dziewięć *alagai*, *dama'ting*.

Qeva uniosła brew.

– Dwadzieścia dziewięć? Przecież to nie jest święta liczba!

– *Dama'ting* oczywiście ma rację. – Cashiv złożył kolejny ukłon. – Wedle tradycji należy złożyć daninę z dwudziestu ośmiu demonów: siedmiu piaskowych, siedmiu gliny, siedmiu ognistych i siedmiu wichrowych. Każdy z pospolitych gatunków odpowiada bowiem za jeden filar Nieba.

Urwał. Jego oczy błyszczały radością.

– *Dama* Baden jednakże, wdzięczny za błogosławieństwo *dama'ting*, polecił nam założyć specjalną pułapkę. Chcąc uczcić Stwórcę, przynosimy wam zwłoki wodnego demona.

Kilka *nie'dama'ting* otworzyło szeroko usta. Oblubienice nie dały niczego po sobie poznać, ale niektóre z nich drgnęły, co dla Inevery było znakiem równie oczywistym jak okrzyk radości. Wodne demony były niezmiernie rzadkie w Krasji, a istniały czary, które wymagały kości osobników tylko i wyłącznie tego gatunku. Samo wyczarowanie wody było możliwe tylko dzięki kawałkowi *hora* tego demona.

– Everam jest zadowolony z daru, który składacie, by Go uczcić – rzekła Qeva. – Jak tego dokonaliście?

– *Dama* Baden nakazał nam oddzielić murem część Labiryntu, usunąć chroniące ją runy i wyjąć płyty z piaskowca, które powstrzymują materializujące się *alagai*. Wykopaliśmy głęboki basen, który napełniliśmy wodą z naszych zbiorników, a potem napuściliśmy do niego ryb. Czekaliśmy długie miesiące, ale wreszcie któryś z wodnych demonów złapał przynętę i zamieszkał w zbiorniku. Walczył zawzięcie, gdy złapaliśmy go w sieć i wywlekaliśmy na brzeg. Zabił jednego z moich ludzi i zranił dwóch, a potem przeżył na łądzie o wiele dłużej, niż się spodziewaliśmy, ale w końcu udusił się i zdechł.

Dama'ting spojrzały po sobie. Ogromny koszt tego przedsięwzięcia nie umknął ich uwadze. Sama woda kosztowała fortunę, tym bardziej że demon skaził ją i uczynił bezużyteczną. Nietrudno się było domyślić, że Baden miał nieprawdopodobne wprost bogactwa. Nie ulegało też wątpliwości, że oczekuje czegoś szczególnego w zamian.

Dama Baden nigdy nie robił niczego za darmo.

– Dar sprawił nam ogromną radość, Cashivie asu Avram am’Goshin am’Kaji. Wraz ze swymi ludźmi zasłużyłeś na wielką łaskę. Gdy wasze życie dobiegnie końca, Niebiosa powitają was z bezbrzeżną radością. Zajmiemy się waszymi rannymi.

Wojownicy, którzy odnieśli najcięższe obrażenia, wyszli przed pozostałych. *Dama’ting* bez wahania umieściły na ich ciałach serię runów i wydobyły niewielkie kawałki *hora*, by zaleczyć obrażenia za pomocą magii. Pozostali odnieśli jedynie powierzchowne rany, którymi Oblubienice mogły się zająć w bardziej konwencjonalny sposób.

Po zakończonych zabiegach Qeva odwróciła się ku *Sharum*.

– Zanieście wasze dary do Komnaty Przemian.

Cashiv i jego ludzie zaczęli zdejmować trupy *alagai* z wozu i zanosili je do podziemi przez sekretną klapę w podłodze pawilonu, którą Inevera widziała po raz pierwszy w życiu. Swoboda, z jaką się poruszali wojownicy, wskazywała, że robili to już wielokrotnie. Wielkie dziury w pancerzach demonów piaskowych i wichrowych zdradzały, że zabito je kłaczami – strzałami o rozmiarach włóczni, którymi ładowano skorpiony na murach. Panczerze demonów gliny były zmiażdżone kamieniami ciskanymi do demonich dołów. Smród posoki przyprawiał o mdłości.

Ciała ognistych demonów, utopionych w płytkich rowach z wodą, nie nosiły żadnych widocznych obrażeń, podobnie jak trup wodnego demona, gąbczastej istoty z ostrymi łuskami i mackami najeżonymi hakami. Potwór miał nieproporcjonalnie wielką paszczę, a w niej kilka rzędów paskudnie wyglądających kłów.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Gdy zdobycz została zaniesiona na dół, Qeva wezwała gestem Cashiva. Wojownik uklęknął.

– Cztery pytania – oznajmiła *dama'ting*. – Oraz podarunek.

Cashiv skinął głową.

– Dziękuję, *dama'ting*. Z pokorą przyjmuję twój dar, choć jesteśmy na twoje usługi i nie walczyliśmy dla nagrody, a jedynie na chwałę Everama.

W jego ustach słowa te zabrzmiały jak dobrze przeciwczona formułka. Inevera domyśliła się, że takie spotkanie miało miejsce co roku i stało się niemal rytualną transakcją. Domyśl ten potwierdziło zachowanie pozostałych wojowników, którzy pospiesznie utworzyli krąg wokół Cashiva i *dama'ting*.

Qeva odeszła od wojownika, uklękła i sięgnęła do sakiewki z *hora*.

– Czy macie krew *dama*? – spytała.

Sharum wyciągnął skrzynkę z wypolerowanego drewna, w której znajdowała się krucha fiolka z porcelany. Podał ją, a kobieta wylała zawartość buteleczki na kości.

– Opuść swą przesłonę – przykazała, a gdy Cashiv spełnił polecenie, zapytała: – Czy przysięgasz, że to naprawdę jest krew *dama* Badena, a twoje słowa są jego słowami? Czy przysięgasz na Everama?

Cashiv opuścił dłonie na wyłożoną płótnem podłogę pawilonu i dotknął jej czołem.

– Przysięgam, *dama'ting*. Przysięgam przed samym Everamem i na Kajiego, przysięgam na mój honor i na Niebiosy, gdzie chcę kiedyś zawitać, że to krew *dama* Badena i że zapamiętałem dokładnie jego pytania.

Qeva pokiwała głową, uniosła dłoń i sprawiła, że kości zaczęły się nieszkodliwie mienić. Cashiv aż się wzdrygnął.

– A więc pytaj, *Sharum*. Kości odgadną, jeśli będziesz kłamał.

Wojownik przełknął ślinę i kilkakrotnie odetchnął głęboko, odnajdując równowagę, podobnie jak czyniły to *dama'ting*. Ich *sharusahk* prezentowało się zupełnie inaczej, ale oparte było na tej samej filozofii.

Cashiv spojrział *dama'ting* w oczy i wymówił powoli i starannie:

– Co w tym roku okaże się moją największą stratą i jak będę mógł na tym zyskać?

– Dobrze sformułowane – powinszowała Qeva. – W zeszłym roku to były dwa pytania.

Nie czekając na reakcję wojownika, potrząsnęła kośćmi i zaczęła śpiewać. *Hora* pojaśniały w jej ręku. W końcu rzuciła je na ziemię i uważnie przyjrzała się układowi, jaki utworzyły.

– Zimą stada kóz zaatakują epidemia – powiedziała. – Tylko dwie na pięć doczeka wiosny, ale będą zbyt słabe, by mieć jakąkolwiek wartość. Przekaż *dama* Badenowi, że powinien sprzedać kozy i kupić jak najwięcej owiec.

Cashiv uklonił się i zadał drugie pytanie:

– Gdy miesiąc temu jechałem w palankinie przez miasto, opluł mnie *khaffit* stojący w tłumie. Jak mogę go odnaleźć i wymierzyć sprawiedliwość?

Inevera wiedziała, co oznacza słowo „sprawiedliwość” w ustach *dama*. Dureń, który odważył się opluć *dama*, bez wątpienia zasługiwał na karę, ale dziewczyna nigdy by nie przypuszczała, że ktoś okaże się tak pyszny, że dla zemsty zmarnuje cenne pytanie.

Qeva bez emocji przyjrzała się kościom.

– Znajdziecie go na bazarze. Jego stragan stoi trzysta dwadzieścia kroków na wschód od posągu Świętej Matki, niedaleko ulicy Jaddah w dzielnicy Khanjin. Sprzedaje...

Inevera przechyliła głowę, by odczytać wynik rzutu. Kości nadal mieniły się łagodnym blaskiem.

„Miodowe melony” – zrozumiała.

– Miodowe ciastka – powiedziała Qeva. Inevera zeszywniała i raz jeszcze spojrzała na kości. Była pewna, że się nie myli. Zerknęła z przerażeniem na *dama'ting*. Nie wiedziała, co przestraszyło ją bardziej – to, że *dama* Baden będzie torturował, aż zabije niewłaściwego człowieka, czy to, że jej wspaniała nauczycielka popełniła błąd.

Zawahała się. Czy powinna się odezwać? Szybko zrezygnowała z pomysłu. Gdyby wytknęła Qevie błąd w obecności *Sharum*, przypuszczalnie zapłaciłaby za to życiem. Zginęliby również wojownicy razem z Solim. Przecież *dama'ting* nie mogły sobie pozwolić na taki błąd.

Dziewczyna nabrała tchu i odzyskała równowagę. Nie odezwała się ani słowem.

Cashiv ponownie złożył ukłon.

– *Dama* Lakash usiłuje znieść regułę, wedle której straż osobista każdego *dama* może walczyć w Labiryncie tylko podczas Nowiu. Jak można temu zapobiec?

Qeva burknęła i rzuciła kośćmi po raz trzeci.

– Zięć *dama* Lakasha, następca *dama* Kivana, wypowiadał się niepocholebnie na temat *dama* Badena na spotkaniu Rady. Niech *dama* Baden ogłosi, że został obrażony, zabije Lakasha

i zabierze mu najstarszą córkę Gisę jako rekompensatę. Niech *dama* Baden weźmie ją za żonę tej samej nocy i spłodzi z nią córkę trzeciego popołudnia po ceremonii.

Cashiv zmarszczył brwi, zastanawiając się nad radą.

– Ta odpowiedź wiąże się z ostatnim pytaniem – rzekł. – Nadal bez trudu *dama* osiąga satysfakcję w łożu z mężczyzną, ale kobiety przestały go podniecać. Co musi zrobić, by na powrót spać z kobietą?

Qeva parsknęła i odłożyła kości. Rozległ się brzęk malutkich buteleczek w sakwie u jej pasa, gdy *dama'ting* szukała właściwej. W końcu rzuciła odpowiednią fiołkę wojownikowi.

– Osobiście nałóż zawartość tej butelki na włócznię *dama* tuż przed jego wielką chwilą i powiedz mu, żeby się pospieszył. A jak nie zadziała, to wbij mu palec w dupę.

Cashiv i pozostali *Sharum* wybuchli śmiechem.

– A podarunek? – zapytała Qeva. – Czego sobie *dama* życzy?

– Mój pan stracił w tym roku dziewięciu ludzi od sprawdzania trucizn – rzekł Cashiv. – Podejrzewa jednego lub nawet paru swoich synów.

– A mimo to zmarnował jedno pytanie na plującego *khaffit* – zauważyła *dama'ting*.

Cashiv złożył jej głęboki ukłon.

– Synowie mojego pana powiększają jego władzę i nie zamierza zabijać żadnego z nich. Poza tym jest przekonany, że śmierć zdrajcy nie odwiodłaby innych od zbrodniczych planów. Zamiast tego prosi o magiczny kielich, naczynie ozdobne i piękne, jak przystało na jego status, którego moc zamieniałaby truciznę w wodę.

– To cenny dar – stwierdziła Qeva. – Trudno go wykonać.

– Mój mistrz modli się, by dzięki kościom wodnego demona stało się to łatwiejsze – uśmiechnął się Cashiv.

Qeva skinęła głową i powstała.

– Możesz odejść. Przekaż swemu panu, że jego kielich będzie gotowy na pierwszy Nów po równonocy wiosennej. Nauczmy go, jak należy go odpowiednio trzymać, by aktywować moc naczynia.

– Hojność *dama'ting* nie zna granic. – Cashiv dotknął czołem ziemi i wstał. Gdy odwracali się, by odejść, Soli zerknął przez ramię. Popatrzył Ineverze w oczy.

I mrugnął.



Kolejne dni przerodziły się w koszmar. Inevera wraz z tymi *nie'dama'ting*, które zapracowały sobie na wstęp do Komnaty Cieni, opracowały ciała *alagai*. Wykorzystywały przy tym ogień i kwas, by nie naruszyć szkieletów. Pozyskane w ten sposób kości polerowano świętymi olejami przy akompaniamencie niekończących się modlitw pozostałych *nie'dama'ting*. Pracowano nad nimi dopóty, dopóki nie stały się twarde i czarne niczym obsydian.

Po wszystkim odrażająca kwaśna maź została zneutralizowana zasadami. Powstała w ten sposób płynna trucizna, zabójcza dla każdego, kto choćby jej dotknął, ale *dama'ting* potrafiły zrobić z niej dobry użytek. Ogromne ilości cieczy najpierw przelano do wielkich kadzi, a potem wpuszczono do zamkniętego systemu rur, który obiegał pałac i zasiliał runiczne światła, ogrzewanie i inne niezliczone magiczne urządzenia.

Dziewczyny zajmujące się pozyskiwaniem kości były blade i osłabione. Ich żołądkami wstrząsały torsje, oczy łzawiły, a dłonie bolały od poparzeń, ale Inevera ledwie to zauważyła. Jej myśli wznosiły się ponad tak przyziemne sprawy. Oddychała mocno przez usta i śpiewała, pozwalając, aby ręce same wykonywały monotonne czynności. Skupiła się tylko i wyłącznie na wspomnieniu Soliego. Przez ostatnie lata martwiła się o niego bezustannie i ze ściśniętym sercem zajmowała się każdym rannym *Sharum* przyniesionym do pawilonu. Wystarczyłaby świadomość, że żyje i ma się dobrze, ale to mrugnięcie oka wszystko zmieniło. Jej brat wiedział, że Inevera żyje, i wciąż ją kochał. Na pewno Soli powie o tym spotkaniu Manvah i uspokoi udręczoną matkę.



Brzęk dzwonek Inevery odbijał się od ścian komnaty. Wirowała i płażała, a jej bosc stopy pewnie stąpały po wypolerowanych kamiennych stopniach. Miała trzynaście lat, ale nabrała już kobiecych kształtów. Jej ciało było gibkie, choć zaokrąglone. Strzelała udami wokół Khavela i patrzyła, jak pogrążony w transie eunuch kołysze się w rytm muzyki.

Młodsze dziewczęta przyglądały się widowisku z fascynacją. Inevera uczyła najmłodsze z nich tańca miłosnego, ale nadal nosiła bido, co oznaczało, że nie była jeszcze pełnoprawną *dama'ting*.

Święte prawa głosiły, że Zaprzysiężone Everama miały pozostać dziewicami do chwili przywdziania białych szat. Owej nocy sama *Damaji'ting* przerywała adeptce błonę, by przypieczętować jej związek z Everamem. Dziewczyna stawała się wówczas pełnoprawną Oblubienicą, a następnej nocy miała już prawo kochać się z każdym mężczyzną, który przypadł jej do gustu. Czymże oni byli bowiem w porównaniu z Everamem i jego miłością? Zaledwie zabawkami.

Inevera wiała się przed eunuchem. Naraz napotkała jego wzrok. Oczy Khavela były szkliste, kołysał się w rytmie ruchów dziewczyny. Całkowicie go oczarowała. Był jej.

Mężczyźni wybierani przez *dama'ting* na eunuchów służących przyjemności musieli spełniać bardzo wysokie kryteria, tak więc Khavel był perfekcyjnym okazem. Przystojny, o mocno zarysowanej szczęce i muskularnym ciele lśniącym od wtartych olejków. Od najmłodszych lat uczył się masażu oraz wszelkich sposobów dostarczania kobietom przyjemności, z pewnością był także bardzo doświadczonym kochankiem. W pałacu szeptano, że prawie wszystkie *dama'ting* korzystały z jego usług. Mówiono również, że narzuciły mu ścisły rygor – codziennie musiał wykonywać ciężkie ćwiczenia rytualne, spać wedle harmonogramu i utrzymywać dietę składającą się z potraw pobudzających męskość. Przez ostatnie dziesięć lat prawie każda nowa *dama'ting* wzywała go drugiej nocy do swoich komnat i żadna tego nie żałowała.

Inevera potrafiła docenić piękno eunucha, ale nie budził w niej pożądania. Był dla niej równie atrakcyjny jak posąg. Inne dziewczęta może marzyły o tym, by przejść do ostatniego, najważniejszego etapu tańca erotycznego, ale Inevera nie po to spędziła tyle lat na doskonaleniu umiejętności, by teraz zmarnować wszystko przez jednego półmężczyznę. Już prędzej poszłaby do łóżka z *khaffit*.

Gdy pokaz dobiegł końca, ustawiła młodsze adeptki w szeregu i pokazała, jak należy rozstawiać stopy. Przećwiczyła z nimi obroty oraz uderzanie udem o udo, które stanowiły podstawowy element tańca miłosnego.

Po zakończonej lekcji Inevera udała się do łaźni. Rozsiadła się w gorącej wodzie, która przynosiła ulgę jej mięśniom, i głęboko oddychała powietrzem przesyconym parą. Melan i Asavi

również się kąpały. Jak zwykle demonstracyjnie ją ignorowały, ale od czasu pamiętnej bójki wiele innych *nie'dama'ting* zmieniło podejście do Inevery.

– Wymyć cię, siostrze? – spytała Jasira, trzymając nasączony w wodzie ręcznik, pachnący aromatycznym mydłem. Była o dwa lata starsza od Inevery i właśnie zdała test zezwalający jej na wstęp do Komnaty Cieni. Inevera odprawiła ją machnięciem dłoni. Jej pozycja stawała się coraz silniejsza, przez co propozycje tego typu pojawiały się częściej. Zgodnie z oczekiwaniami Kenevah pozostałe dziewczęta bały się Inevery i szeptały między sobą, że któregoś dnia właśnie ona zostanie *Damaji'ting*. Inevera, gdyby tylko zechciała, mogła zamienić większość *nie'dama'ting* w lojalne służące, a nawet zaciągać je do łóżka, ale nie interesowała się podobnymi rozgrywkami. Pozostałe dziewczęta nie unikały jej jak kiedyś, ale o przyjaznych układach nie było mowy.

Inevera marzyła tylko o tym, by porozmawiać z matką lub z bratem. Byli to jedyni ludzie na świecie, którym naprawdę ufała.

Podczas ubierania się Inevera spojrzała na Melan.

– Wybierasz się do Komnaty Cieni, siostrze? Możemy udać się tam razem.

Melan zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem, a Inevera pozwoliła sobie na ironiczny uśmiešek.

– Uśmiechaj się, uśmiechaj, nieudany rzucie – szepnęła Melan. – Dziś skończę moje kości, a jutro przywdzieję biel.

Na jej twarzy pojawił się drapieżny grymas, ale Inevera odpowiedziała przyjaznym uśmiechem.

– Lecz ja i tak zostanę *dama'ting* przed tobą – obiecała.



Siedem Zaprzysiężonych aspirujących do przywdziania bieli stało w półkroku przed Qevą. Za plecami *dama'ting* znajdowały się drzwi do Komnaty Cieni.

Rzeźbienie kości zawsze poprzedzała lekcja. Szaty Qevy wydawały się krwistoczerwone w mdłym blasku runów. W Komnacie nie zezwalało na inne światło.

Przez całą lekcję Melan wierciła się nerwowo, przestępowała z nogi na nogę i zagryzała usta. Bezustannie zaciskała dłoń na sakiewce z kośćmi, nie mogąc się doczekać, gdy znów weźmie się do rzeźbienia.

Zawsze się tak zachowywała. Inevera i Melan weszły do Komnaty Cieni wspólnie, ale choć starsza *nie'dama'ting* rozpoczęła pracę całe lata wcześniej i głośno się tym chełpiła, najprawdopodobniej wzięła sobie pogroźki Inevery do serca i bała się, że skończy kości jako druga. W chwili gdy lekcja Qevy dobiegała końca, Melan niemalże wbiegała do przydzielonej jej celi i zawsze opuszczała ją jako ostatnia. Komnata miała grube ściany z kamienia, ale mimo to Ineverze zdawało się, że słyszy zgrzyt narzędzi pracującej w szaleńczym tempie Melan.

Gdyby córka Qevy w istocie przywdziała biel jako pierwsza, mogłoby się to dla Inevery źle skończyć. Może nawet zapłaciłaby życiem. Wszystkie Zaprzysiężone były obecne, gdy Inevera oznajmiła, że ukończy zadanie jako pierwsza. Gdyby nie wypełniła obietnicy i przegrała rywalizację, natychmiast utraciłaby pozycję, jaką zdobyła po pokonaniu Melan. Co więcej, Melan zdobyłaby wówczas niemalże nieskończone przywileje *dama'ting* i miałyby o wiele więcej możliwości zabicia rywalki. Wśród Oblubienic Everama było przecież wiele kobiet, które chętnie by ją poparły.

Lekcja dobiegła końca i dziewczęta przeszły przez kamienną bramę do długiego tunelu. Po obu stronach znajdowały się niewielkie cele, w których pracowały nad swoimi *hora*. W tunelu nie było już światła runicznego, ale Melan i reszta niosły przed sobą nieukończone kości rzucające czerwoną poświatę. Światło runiczne dozwolone było jedynie w celach, ale trzeba było sobie na nie zapracować. Adeptki musiały wykonać *hora* własnoręcznie. Bez światła nie widziałyby narzędzi, dłoni, a nawet samych kości.

Noszenie runicznych diademów umożliwiających widzenie światła Everama było zakazane podczas rzeźbienia. Szeptem opowiadano sobie o pewnej dziewczynie, która przemyciła diadem do celi, by rzeźbić w boskim blasku. Wyrzucono ją z pałacu *dama'ting*, ale wcześniej wykłuto jej oczy.

Jedynym źródłem światła była mdła poświata przenikająca pod drzwiami, zatrzaśniętymi przez Qevę. Dziewczyny wślizgiwały się do cel, a Inevera szła niespiesznie przed siebie, aż dotarła do swojej. Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła szatę i zasłoniła szczelinę u dołu. Chciała pracować w absolutnych ciemnościach.

Podobnie jak inne dziewczęta mogła sprawić, aby jej kości zaczęły świecić, ale postanowiła nie robić tego w Komnacie Cieni. Evejah'ting przestrzegła, że nawet runiczny blask niepotrzebnie wysysa nieco mocy z kości i w ten sposób je osłabia. Damajah uformowała swój zestaw w całkowitych ciemnościach, a Inevera chciała pójść w jej ślady.

„Jeśli okazesz się tego godna, sam Everam pokieruje twoimi dłońmi” – głosiła święta księga.

Klęcząc w mroku, Inevera odmówiła modlitwę do swej imienniczki, a potem wyciągnęła kości oraz narzędzia i rozłożyła je starannie. Ukończyła już kość cztero- i sześciocienną, a teraz pracowała nad ośmiocienną. Wykonywała zadanie powoli i starannie, na przemian formowała, szlifowała i ryła runy. Każdy jej ruch był zgrany z oddechem.

Pogrążona w pracy, nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Z transu wyrwało ją uderzenie w dzwon, które poniosło się echem po pogrążonych w ciszy korytarzach Komnaty.

Melan skończyła kości.

Inevera szybko zebrała *hora* do sakiewki i odłożyła narzędzia. Jej praca na ten dzień dobiegła końca. Odetchnęła kilka razy głęboko i wyszła ze swojej celi.

Pozostałe dziewczyny już się zebrały. Melan stała w środku, a na jej twarzy, opromienionej blaskiem runów, malowało się uniesienie. Gdy ujrzała Ineverę, uśmiechnęła się z zimnym triumfem. Inevera również się uśmiechnęła w odpowiedzi i ukloniła uprzejmie.

Spotkały się w komnacie, gdzie odbywały się lekcje. Melan klęczała, otoczona przez półkrąg *nie'dama'ting*. Do pomieszczenia zaczęły wchodzić *dama'ting*, które utworzyły krąg wokół adeptek. Kenevah przybyła jako ostatnia, uklękła przed wnuczką. Z nieprzeniknionej twarzą wydobyła talię starych, spłowiałych kart i przetasowała je z szelestem.

Damaji'ting ułożyła trzy karty na podłodze między nimi, a potem wyciągnęła nóż i przekazała go Melan. Wnuczka nacięła sobie dłoń i skropiła krwią kości, które natychmiast zaczęły się mienić.

Kenevah wskazała na pierwszą kartę. Melan potrząsała kośćmi, aż zapłonęły intensywnym blaskiem, po czym rzuciła je na podłogę z wyćwiczoną precyzją. Inevera usiłowała odczytać wynik, ale z miejsca, w którym stała, nie mogła niczego dostrzec. Jedynie Melan i Kenevah widziały kości.

– Siedem Włóczni – powiedziała Melan.

Kenevah wskazała kolejną kartę i Melan rzuciła kośćmi po raz drugi.

– Damaji Czaszek.

Kolejny rzut.

– Trzy Tarcze.

Kenevah skinęła głową. Jej twarz nadal pozostawała nieprzenikniona.

– Jedna z Oblubienic oznajmiła mi dzisiaj, że spodziewa się córki. Która?

Melan wykonała kolejny rzut. Tym razem przyglądała się kościom dłużej. Spojrzała na zebrane *dama'ting*, a po jej czole spłynęła kropla potu.

– *Dama'ting* Elan. – Wskazała jedną z młodszych Oblubienic, która nie urodziła dotąd dziecka.

Kenevah nie powiedziała ani słowa i odwróciła pierwszą kartę. *Nie'dama'ting* westchnęły na widok Siedmiu Włóczni. Inevera poczuła ucisk w żołądku.

Następnie *Damaji'ting* odwróciła kolejną kartę. Damaji Czaszek. Ineverze serce podeszło do gardła.

Kenevah odwróciła trzecią kartę. Z ust wszystkich zebranych wyrwał się okrzyk. Była to *Damaji'ting* Wody.

Niespodziewanie Kenevah poderwała się i uderzyła Melan w twarz.

– Żadna z Oblubienic nie jest w ciąży, idiotko!

Wyrwała kości z dłoni Melan, uniosła je i przyjrzała się w świetle runów.

– Niedbale zrobione! Wręcz niechlujnie! Można sobie nimi porzucać w świetle i to wszystko! Już twoje kości z drewna były lepsze, choć wyrzeźbiłaś je jeszcze w bido! Gdzie ósma kość?

Na twarzy Melan widniała mieszanina szoku i przerażenia. Całkiem zapomniała o równowadze. Wstrząśnięta sięgnęła do sakiewki i wręczyła ósmą kość *Damaji'ting*.

Inevera dostrzegła, iż kość była spartaczona.

Kenevah podsunęła *hora* pod nos Melan.

– Każda z nich jest warta rok twojego życia. Zostaną oddane słońcu, a ty wrócisz do rzeźbienia zębów wielbłąda. Dopiero po wykonaniu trzech idealnych zestawów otrzymasz prawo powrotu do Komnaty Cieni. Będiesz rzeźbić jedną kość na rok, aż uzbierasz kolejny zestaw. Każda kość zostanie dokładnie sprawdzona, zanim otrzymasz materiał na kolejną, i niech Everam ma cię w swojej opiece, jeśli odnajdziemy choćby najmniejszą skazę.

Melan otworzyła szeroko oczy. Z wolna uzmysławiała sobie rozmiary swego upokorzenia. Inevera zaś oddychała głęboko, odnajdując równowagę i powstrzymując uśmiech.

Duma Melan była niczym spichlerz z drogocennymi zapasami, a Inevera spełniła złożoną wiele lat temu przysięgę i wprowadziła do niego szczury.

Kenevah wepchnęła kości do ręki Melan i wskazała jej drzwi. Po policzkach dziewczyny płynęły łzy, ale mimo to wstała i potykając się, ruszyła do wyjścia. Asavi zawyła i rzuciła się ku ukochanej, ale Qeva złapała ją za ramię i bezceremonialnie odciągnęła.

Za drzwiami Komnaty Cieni czekały młodsze *nie'dama'ting*. Wykrzyknęły ze zgrozy, ujrawszy zapłakaną Melan, ale na widok Kenevah i wychodzących za nią Oblubienic oraz Zaprzysiężonych prędko utworzyły szereg.

Procesja kobiet udała się do najwyższej wieży w pałacu *dama'ting* i rozpoczęła wędrówkę po ciasnych, spiralnych schodach. Za każdym razem, gdy Melan zwalniała, Kenevah popychała ją z zaskakującą siłą. Dziewczyna kilkakrotnie potknęła się i przewróciła, a wtedy babka kopała ją, póki wnuczka się nie podniosła. W końcu dotarli na balkon, z którego roztaczał się widok na Pustynną Włócznie.

– Wyciągnij rękę! – nakazała Kenevah.

Melan spełniła polecenie. Pozostałe kobiety w milczeniu stały za nią, niektóre na balkonie, a reszta w najwyższej komnacie wieży. Adeptka kurczowo zaciskała palce na swych *hora*, dorobku całego życia.

– Otwórz dłoń – nakazała babka. Było już późne popołudnie i słońce wisiało nisko nad horyzontem, ale nadal zalewało balkon jaskrawym blaskiem Everama. Szlochająca Melan powoli rozprostowała palce i pozwoliła, aby światło dnia padło na kości.

Te błyskawicznie stanęły w ogniu. Rozżarzone do białości, paliły dłoń wrzeszczącej Melan.

Kilka uderzeń serca później było już po wszystkim. Z ran na poczerńiałej dłoni dziewczyny unosił się dym. Trzy największe palce stopiły się w jeden, tu i ówdzie widać było nadpaloną kość.

Kenevah odwróciła się do Qevy.

– Zajmijcie się nią, ale bez użycia magii. Po kres swego życia ma nosić pamiątkę po swojej porażce, aby nigdy o niej nie zapomniała.

Z tymi słowy zmierzyla spojrzeniem pozostałe Zaprzysiężone.

– I aby reszta również pamiętała.

Wszystkie *nie'dama'ting* cofnęły się o krok przerażone. Wszystkie z wyjątkiem Inevery.



Po ostatecznym upokorzeniu Melan Inevera przestała zaprzętać sobie głowę rozgrywkami wśród *nie'dama'ting* i skupiła się na pogłębianiu wiedzy. Nadal przodowała w nauce – bez trudu opanowywała sztukę wykorzystywania ziół i magii *hora*, uczyła młodsze adeptki *sharusahk* oraz tańca i wprowadzała w sekrety wiary najmłodsze, których szkolenie rozpoczynało się w wieku lat pięciu.

Podczas kolejnego przesilenia letniego znowu zauważyła Soliego. Mrugnęła do niego i ujrzała błysk radości w jego oczach. Rozkoszowała się tym wspomnieniem przez następne pół roku.

Po dwunastu miesiącach Melan ukończyła trzy zestawy kości z zęba wielbłądziego i powróciła do Komnaty Cieni. Mimo umiejętnych zabiegów Qevy ręka córki bardziej przypominała kikut niż dłoń i była o wiele mniej zręczna niż kiedyś. Melan zapuściła długie, ostre paznokcie, przez co okaleczona dłoń przypominała teraz pazurzystą łapę *alagai*. Widok ten wzbudzał przerażenie wśród innych adeptek – bały się zarówno Melan, jak i ryzyka, które wiązało się z ich powołaniem.

Inevera jednakże nie zwracała uwagi ani na rywalkę, ani na jej szpony. Traktowała Melan niczym stertę wielbłądziego łajna, którą należało obejść szerokim łukiem. Inevera nie pozwalała, by cokolwiek naruszyło jej równowagę, i spokojnie, metodycznie pracowała nad swoimi kośćmi. Wiedziano już, że rzeźbi je w całkowitych ciemnościach. *Nie'dama'ting* szeptały o tym, gdy mijają je na korytarzu lub pojawiały się na posiłkach. Jeśli wierzyć plotkom, nie dokonała tego żadna inna *dama'ting*, nawet sama Kenevah. Wiele adeptek przychyliło się do opinii, że Inevera w istocie została wybrana przez Everama i kiedyś zajmie miejsce starzejącej się *Damaji'ting*.

Inevera ignorowała jednakże gadaninę i skupiała się na utrzymaniu równowagi. Gdyby stała się zadufana w sobie jak Melan, cały wysiłek włożony w rzeźbienie kości poszedłby na marne.



– Już nie wróci do swoich żon – powiedziała *dama'ting* Elan, gdy Inevera podawała jej herbatę. Tego samego dnia rano Elan zaciągnęła do łóżka przystojnego *kai'Sharum*, który miał obdarzyć ją córką.

Oczekiwano, że każda *dama'ting* urodzi przynajmniej jedną córkę, która stanie się jej następczynią. Ojców dobierano ostrożnie, kierując się ich inteligencją oraz siłą, a wybór i czas spotkania zależał od rzutu *hora*. Kiedy *dama'ting* decydowała się na mężczyznę, posyłano po niego palankin i zabierano do domu przyjemności, stojącego poza murami siedziby Oblubienic. Do świętego pałacu wstęp mieli tylko kastraci.

Żaden mężczyzna nie był aż tak głupi, by odrzucić zaproszenie od *dama'ting*. Były one przecież mistrzyniami tańca i znawczyniami ziół, dzięki czemu każdy z ich gości – nawet *push'ting* – mógł być pewien, że jego pragnienia zostaną spełnione. Mężczyźni wytaczali się z domu przyjemności oszołomieni i wyczerpani do cna, nie mając pojęcia, że właśnie spłodzili córkę, której nigdy nie ujrzą.

Wiele Oblubienic lubiło się tym przechwalać.

– Jego *jiwah* już nigdy go nie zaspokoją – szydziła Elan. – Będzie o mnie marzył przez resztę życia i modlił się do Everama, bym raz jeszcze dla niego zatańczyła.

Nagle mrugnęła do Inevery.

– No i może się doczeka. Miał długą, twardą dzidę.

Niejedna *dama'ting* toczyła z Ineverą swobodne pogawędki. Bywało, że się jej zwierzały lub czyniły inne starania, by się z nią zaprzyjaźnić. Po porażce Melan większość Oblubienic przychyliła się do opinii, że to Inevera zostanie następczynią Kenevah. Niektóre, jak choćby Elan, próbowały zrobić na niej wrażenie. Inne usiłowały nad nią dominować lub wręczały podarunki zobowiązujące do rewanżu.

Inevera patrzyła w ziemię, ale słuchała czujnie i odpowiadała wymijająco. Nie interesowała się już rozgrywkami wśród Zaprzysiężonych, ale z uwagą chłonęła informacje na temat układów między Oblubienicami. Zależności te były złożone i dziewczyna czuła się jak ktoś, kto usiłuje zawiązać bido, choć potrafi jedynie zapleść warkocz.

– Twój taniec jest znany nawet wśród *dama'ting* – powiedziała.

Znany jako raczej mizerny, dodała w duchu, ale zachowała to dla siebie.

– Nigdy już nie ujrzy niczego takiego – zgodziła się z nią Elan.

Inevera odwróciła się i podchwyciła zimne spojrzenie Asavi. Starsza od Melan o dwa lata Asavi przywdziała ostatnio biel, przez co Inevera musiała przy niej uważać na swe zachowanie. Nie mogła jej w żaden sposób urazić. Asavi i Melan dzieliły teraz drzwi Krypty i dziewczyny nie spędzały już nocy we wspólnym łóżu, ale Melan była często wzywana do nowej kwatery Asavi za dnia i Inevera miała pewność, że razem dokonują postępów w grze miłosnej.



Mijał piąty rok Inevery wśród *nie'dama'ting*. Dziewczyna znajdowała się właśnie w pawilonie, gdy rozległ się dobrze znany okrzyk zwiastujący kolejnych rannych. Nastął poranek po Nowiu, a ilość ofiar przez ostatnie lata o tej porze wzrastała.

– Przepuść mnie, nędzny *push'ting*! To mój syn!

Ineverze okrzyk zmroził krew w żyłach. Choć minęło tyle lat, od razu rozpoznała głos ojca.

Uniosła szaty i popędziła w stronę rannych, całkiem zapominając o godności *dama'ting*. Przepchnęła się obok znajomych *Sharum* w tunikach bez rękawów i czarnych stalowych pancerzach. Cashiv, z twarzą mokrą od łez, stał naprzeciwko Kasaada, obaj otoczeni przez przybocznych. Kasaad miał przekrwione oczy i chwiał się, zapewne na skutek nadmiernej ilości *couzi*, wypitego dla kurażu w Labiryncie.

Kilku innych mężczyzn było właśnie opatrywanych, ale Inevera widziała tylko jednego z nich. Soliego. Przypadła do jego boku z głośnym okrzykiem. Przystojna twarz brata była brudna od pyłu i krwi, oczy szkliste, a skóra blada. Jego prawe ramię zostało niemalże oderwane od ciała. Tuż nad raną zawiązano opaskę uciskową, ale prześcieradło, na którym spoczywał, przesiąkło krwią, Inevera mogła sobie tylko wyobrazić, ile brat zostawił w Labiryncie i po drodze do pawilonu.

Była Zaprzysiężoną Everama i nie miała rodziny ani nazwiska, ale w tej chwili zupełnie o to nie dbała. Ujęła głowę brata i obróciła ostrożnie, by spojrzeć mu w oczy.

– Soli – szepnęła, odsuwając kosmyki spoconych włosów z jego twarzy. – Jestem przy tobie. Zajmę się tobą i dojdiesz do siebie. Przysięgam.

W zmętniałych oczach wojownika pojawiło się zrozumienie. Próbował się zaśmiać, ale zabrzmiało to jak kaszel, a na wargach pojawiła się krew.

– To ja mam się tobą zajmować, siostrzyczko, nie na odwrót – wychrypiął.

– Dość już tego, bracie – szepnęła Inevera. Do oczu napływały jej łzy.

– Nie uda nam się uratować jego ramienia. – Qeva stanęła za jej plecami. – Nie pomogą ani zioła, ani *hora*. Trzeba je będzie amputować.

Jeśli zauważyła roztrzęsienie Inevery, nie dała tego po sobie poznać.

– Nie! – krzyknął Kasaad. – Wystarczy, że Everam ukarał mnie synem *push'ting*. Nie chcę, żeby teraz został kaleką! Wyślijcie go na samotną ścieżkę i módlcie się, aby Everam wybaczył mu marnowanie nasienia!

Cashiv jęknął z rozpaczą i skoczył na Kasaada. Bez trudu przewrócił go i z furią wbił mu twarz w piach. Przyjaciele Kasaada chcieli interweniować, ale na drodze stanęli im *Sharum* w czarnych pancerzach.

– Soli nigdy nic dla ciebie nie znaczył! – krzyknął Cashiv. – A dla mnie jest całym życiem!

– Namieszaleś mu w głowie tymi waszymi sztuczkami *push'ting*! – warknął Kasaad. – Prawdziwy *Sharum* nie będzie umiał żyć jako kaleka!

Qeva syknęła i pokręciła głową.

– Zupełnie jakby ktoś tutaj przejmował się ich zdaniem! – oznajmiła i klasnęła w dłonie. Odgłos był równie głośny jak uderzenie pioruna. – Dość tego! Wynocha stąd, wszyscy! Każdy zdrowy *Sharum* ma stąd zniknąć, zanim policzę do dziesięciu, bo w przeciwnym razie będzie *khaffit* przed zachodem słońca!

Jej słowa przyciągnęły uwagę wszystkich obecnych. Zdrowi wojownicy, tłocząc się, wybiegli z pawilonu, a Cashiv natychmiast puścił Kasaada, zerwał się na równe nogi i uklonił głęboko.

– Wybaczcie, że wnieśliśmy przemoc i gwałt do miejsca uzdrawiania, czcigodna *dama'ting*.

– Spojrzał z bólem na Soliego, a potem osunął się na kolana i dotknął czołem podłogi. – Błagam, nie wyrządzajcie mu krzywdy. Nawet jednoręki jest wart stu innych ludzi.

– Ocalimy go – zapewniła Inevera, choć nie należało to do jej obowiązków. – Nie pozwolę, by mój brat umarł.

– Brat... – Kasaad uniósł głowę. – Na brodę Everama... Inevera?

Rozpoznawszy córkę, wojownik zerwał się z oszalejącą prędkością, złapał włócznię i kopniakiem odepchnął córkę. Zaskoczona Inevera upadła, a gdy się podniosła, ujrzała, jak ojciec zatapia ostrze w piersi Soliego.

– *Push'ting* kaleka ocalony przez siostrę o miękkim sercu? – wrzasnął. – Lepiej, żeby umarł!

Cashiv przypadł doń błyskawicznie. Żelaznym ramieniem oplótł gardło Kasaada, a długi zakrzywiony nóż przycisnął mu do brzucha. Inevera podbiegła do Soliego. Ojciec pchnął celnie. Jej brat nie żył.

– Nie zasłużyłeś na to, żeby zabiły cię *alagai* czy też włócznia – wycharczał Cashiv do ucha Kasaadowi. – Wypatroszę cię, jak *khaffit* sprawia świnie, i będę patrzył, jak wycieka z ciebie życie. Zasłużyłeś na tysiąc śmierci i w Nie spotkasz je wszystkie.

Kasaad wybuchnął śmiechem.

– Wypełniłem wolę Everama i będę pił z jego rzek wino w Niebiosach! Evejah głosi: „Jeśliś kaleką lub *push'ting*, skróć swe cierpienia!”.

Podeszła do nich Qeva.

– Głosi również to, że nie wolno pić napojów ze sfermentowanych ziaren. Oraz to, że karą za uderzenie Zaprzysiężonej Everama jest śmierć.

Mówiła prawdę. Człowiek, który uderzył *nie'dama'ting*, był karany tak, jakby wyrządził krzywdę *dama'ting* – najpierw zostawał *khaffit*, a potem był skazywany na śmierć. Tylko uderzona kobieta mogła go ułaskawić.

Qeva wyjęła zakrzywiony nóż i zaczęła ciąć czarne szaty Kasaada. Mężczyzna krzyczał i próbował uciekać, ale *dama'ting* uderzyła kilkakrotnie w jego czułe punkty i ojciec Inevery osunął się bezwładnie na ziemię.

– Od tej pory stajesz się *khaffit*, Kasaadzie z rodu niewartego splunięcia. Przez wieczność będziesz czekał u bram Niebios, a jeśli Everam w swej mądrości kiedyś ulituje się nad twoją nędzną duszą i ześle ją z powrotem na Ala, módl się, byś w swoim przyszłym życiu nie okazał się takim głupcem.

Odwróciła się do Inevery i podała jej nóż. Cashiv szarpnął Kasaada i ustawił go tak, by dziewczyna mogła wykonać łatwe pchnięcie.

Wojownik zawodził i błagał o litość, ale zorientował się, że otaczający go ludzie nie okazywają współczucia. Opanował się więc i spojrzał na Ineverę.

– Jeśli rzeczywiście chcesz zmarnować prawdziwego wojownika dla jednego uzbrojonego *push'ting*, nie krępuj się. Załatw to szybko, córko.

Inevera spojrzała mu w oczy. Aż drżała z gniewu. Rękojeść srebrnego noża była ciepła i wilgotna od potu.

– Nie, nie zabiję własnego ojca – powiedziała w końcu dziewczyna. – Co więcej, on nie zasłużył sobie na szybką śmierć.

Spojrzała na Qevę.

– Wedle Evejah mogę go oszczędzić, jeśli zechcę.

– Nie! – wykrzyknął Cashiv. – Niech cię Nie pochłonie, dziewczyno! Musisz pomścić brata! Jeśli nie chcesz zbrukać się śmiercią ojca, powiedz tylko słowo, a wymierzę cios!

– Rozumiesz, co to oznacza? – Qeva zignorowała Cashiva i patrzyła tylko na Ineverę. – Everam został obrażony i należy krwią zmasać tę krzywdę.

– Everam otrzyma zadośćuczynienie – odparła Inevera.

Qeva skinęła głową, wzięła opaskę uciskową i ciasno owinęła nogę, którą Kasaad kopnął córkę. Potem spojrzała na Cashiva.

– Trzymaj go mocno.

Wojownik przytaknął i zacisnął żelazny chwyt.

Inevera nie zawahała się. Sprawnie niczym rzeźnik wbiła nóż w kolano ojca. Z głośnym trzaśnięciem oderwała dolną część nogi w miejscu, gdzie stykają się kości. Trysnęła gorąca krew. Wrzaski Kasaada niosły się po całym pawilonie, ale w tym miejscu nikt nie zwracał na to uwagi.

Inevera złapała ojca za brodę i szarpnęła, by spojrzał na nią. Jego dziki ryk ucichł.

– Wrócisz do Manvah i będziesz jej służył. Będziesz jej usługiwał, jakby była samą *Damaji'ting*. Spędzisz tak resztę życia, a może zlituję się nad tobą i pozwolę ci umrzeć w czarnej szacie. Ale jeśli dowiem się, że ją choć raz uderzyłeś lub nie spełniłeś najdrobniejszego kaprysu, oberżnę ci drugą nogę i obie ręce. Będziesz żył długo bez rąk i nóg, pozbawiony nawet wrogów, którzy mogliby odebrać ci to nędzne życie, a gdy w końcu zdechniesz jako *khaffit*, psy będą obgryzać twe kości i szczać na twoje szczątki.

Cashiv upuścił Kasaada. Okaleczony mężczyzna znowu zaczął wrzeszczeć. *Sharum* wycelował palec w Ineverę.

– Noga? Odcięłaś temu pijanemu, durnemu ścierwojadowi nogę? Tyle dla ciebie był wart Soli?

Inevera uderzyła jak błyskawica. Złapała za wymierzony palec i złamała go bez wysiłku, po czym uderzyła kłykiem w czuły punkt na nodze wojownika, przecinając linię mocy. Cashiv stracił równowagę, a dziewczyna wykonała rzut, po którym wylądował na plecach.

– Próbujesz ocenić moją miłość do brata? Uważasz, że więzy krwi są słabsze od tych, które przypieczone zostały nasieniem?

Cashiv spojrzał na nią chłodno.

– Moja dusza jest gotowa, by wyruszyć na samotną ścieżkę, Inevero vah Kasaad. Zabiłem wiele *alagai*, spłodziłem syna i nie uderzyłem cię. Masz prawo mnie zabić, jeśli sobie tego życzysz, ale nie możesz odmówić mi wstępu do Niebios jak twojemu ojcu. Będę siedział w sali biesiadnej Everama i pocieszał Soligo, pohańbiła go bowiem rodzona siostra. Każdy oddech twojego ojca, tego wieprzozada, będzie jak kubeł wielbłądzich szczyń wylany na pamięć mojego towarzysza. Uderz! – szydził. – Dalej, na co czekasz!

W jego oczach pojawiło się szaleństwo i Inevera zrozumiała, że wojownik pragnie, by go zabiła, ba, błaga o śmierć. Pokręciła głową.

– Idź stąd. Nie zabiję cię za to, że kochasz mojego brata, nawet jeśli stałeś się przez to skończonym durniem.



Powróciwszy do pałacu, Inevera pośpiesznie udała się do Krypty. O tej porze nie było tam wielu dziewcząt, a wszystkie spieszyły się na zajęcia. Inevera miała przeprowadzić lekcję przed wizytą w Komnacie Cieni po południu.

Ujrzała *nie'dama'ting* Shaselle, która zaplatała bido po kąpieli. Strzeliła palcami, by przyciągnąć jej uwagę. Shaselle, choć starsza od niej, aż podskoczyła, usłyszawszy trzask.

– Muszę się zająć pewnymi sprawami – powiedziała Inevera. – Przeprowadź lekcję o podstawowych ziołach dla dziewczyn na drugim roku.

– Oczywiście, *nie'Damaji'ting*. – Shaselle ukloniła się i pośpiesznie udała się do komnaty, gdzie oczekiwały uczennice.

Nie'Damaji'ting. Prawdopodobna spadkobierczyni Kenevah. Nie był to formalny tytuł i każda dziewczyna przyłapaną na używaniu go poniosłaby surową karę.

Inevera nigdy dotąd nie żądała zastępstwa na zajęciach – nie miała zresztą takiego prawa – ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, że wreszcie została sama. Rzuciła się na łóżko i wybuchła płaczem. Usiłowała zebrać łzy do niewielkich buteleczek i ofiarować je później Everamowi podczas modlitwy o duszę brata, ale jej dłonie zanadto się trzęsły. Ukryła twarz w poduszkach, szorstkie płótno wchłonęło łzy.

Soli nie żył. Nigdy więcej Inevera nie ujrzy już jego radosnego uśmiechu i przystojnej twarzy, nigdy więcej nie dozna pocieszenia jego słowami, nigdy nie poczuje się już bezpieczna dzięki jego obecności. Śmierć przekreśliła wszystkie marzenia. Inevera zastanawiała się, czy *dama'ting* odczytała taki koniec jego *Hannu Pash*.

A Kasaad? Czy Inevera wyświadczyła światu przysługę, gdy darowała ojcu życie, czy może popełniła błąd? Może teraz okaże się jeszcze większym łajdakiem? Może Cashiv miał rację? Może nie pomściła śmierci brata tak, jak należało?

Czas mijał i w końcu dzwon wybił południe. Nadeszła pora, by zejść do Komnaty Cieni, ale Inevera nadal się nie ruszała. Nigdy dotąd nie przepuściła okazji do pracy nad kośćmi, ale nie było to uregulowane żadnymi zasadami. Jeśli tego chciała, mogła rzeźbić *hora* przez całe życie.

W końcu drzwi do Krypty stanęły otworem i na progu pojawiła się Qeva.

– Dość tego, dziewczyno. Już się wystarczająco napłakałaś. W Pustynnej Włóczni trzeba oszczędzać łzy. Odbuduj równowagę. Kenevah chce cię widzieć.

Inevera kilkakrotnie nabrała głęboko tchu i otarła oczy rękawem. Gdy wstała, na jej twarzy malował się spokój, choć dusza nadal była rozdarta.

Kenevah oczekiwała na nią w biurze. Nad imbrykiem z herbatą unosiły się kłęby pary. Na sygnał dany przez *Damaji'ting* Inevera naląła herbaty do dwóch filiżanek i usiadła naprzeciwko przełożonej.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że twój brat jest jednym z ludzi Badena – oznajmiła starsza kobieta.

Inevera przytaknęła, wciąż oszołomiona.

– Obawiałam się, że jeśli się dowiesz, nie będę mogła go co roku widywać.

Tym samym przyznała, że okłamała *Damaji'ting*, ale było jej to obojętne.

– I pewnie tak by się stało – burknęła Kenevah. – A on być może by dziś żył.

Inevera uniosła głowę, ale *Damaji'ting* wzruszyła ramionami.

– A może nie. Kości pozwalają nam zerknąć w przyszłość, ale nigdy nie mówią niczego o przeszłości.

– Przeszłość znikła – Inevera zacytowała słowa Damajah. – Przeto nie ma sensu jej ściagać.

– To dlaczego przepłakałaś cały dzień?

– Mój ból to potężny wiatr, *Damaji'ting*. Nawet palma ugina się pod naporem wiatru, a prostuje się, dopiero gdy ten cichnie.

Kenevah uniosła woalkę, by podmuchać na gorącą herbatę.

– *Sharum* nigdy się nie uginają.

– Proszę? – spytała Inevera.

– Nie uginają się i nie płaczą – wyjaśniła Kenevah. – To luksusy, na które *Sharum* nie mogą sobie pozwolić w Labiryncie, gdy od śmierci dzielą ich tylko ułamki sekund. My chylimy się pod wiatrem, a *Sharum* wchłaniają i ignorują swój ból. Głupiec powiedziałby, że jedno nie różni się od drugiego, ale to nieprawda. Potężny wiatr może złamać nawet najbardziej gibkie drzewo, a *Sharum* potrafią znieść każdy ból. Gdy to nastąpi, rzucają się do walki z nadzieją, że uda im się zginąć z honorem i dumą.

– Cashiv pragnął takiej śmierci. On i mój brat byli kochankami.

Kenevah upiła herbaty.

– *Push'ting* różnią się od innych *Sharum*. Większość zamyka najbliższych w Podmieście przed rozpoczęciem bitwy, a *push'ting* udają się do Labiryntu wraz z ukochanymi. Walczą przez to rozsądniej, ale każda strata jest dla nich boleśnieszka.

Spojrzała na Ineverę.

– Odmówiłaś mu śmierci. Odmówiłaś jej również ojcu, choć wedle Evejah zabicie go było twoim obowiązkiem.

– Evejah daje przecież wybór – zaproponowała Inevera. – A poza tym dlaczego Cashiv miałby przestać cierpieć po śmierci Soliego, a ja nie?

Kenevah pokiwała głową.

– W Krasji zanadto oswoiliśmy się ze śmiercią. Ów częsty, ale zawsze niepożądany gość stał się dla nas starym przyjacielem i witamy go z otwartymi ramionami. Trzysta lat temu były nas miliony. To miasto i okoliczne ziemie roiły się od ludzi. Walczyliśmy wówczas między sobą, ale gdy było nas tyle, co ziaren piasku na pustyni, nawet śmierć kilku zbrojnych zabitych

w potyczce o studnię nie miała większego znaczenia. Teraz jesteśmy równie nieliczni jak krople deszczu na pustyni i każde życie ma znaczenie.

– *Alagai...* – zaczęła Inevera.

Kenevah przerwała jej machnięciem dłoni.

– Tysiąclecia plemiennych walk nie ulegają zapomnieniu po zachodzie słońca, bez względu na to, co mówią Andrah i Sharum Ka. Obaj są skorumpowani, faworyzują Kaji na każdym kroku i ze wszelkich sił próbują osłabić rywali. Sharum Ka jest stary i w nocy nie wychodzi z pałacu. Nikt tak naprawdę nie dowodzi bitwą w Labiryncie, ale mimo to wciąż pchamy do tej rzeźni najsilniejszych, najwspanialszych mężczyzn i tracimy ich w przerażającym tempie. Więcej ich ginie w nocy, niż się rodzi za dnia. *Dama'ting* robią, co mogą, by każda płodna kobieta w Krasji rodziła dzieci, ale to nie wystarczy, by uratować ten naród przed szaleństwem mężczyzn.

– Co możemy zrobić, by ocalić Krasję? – spytała Inevera.

Kenevah westchnęła.

– Nie wiem, czy cokolwiek można zrobić. Nasza władza ma swoje granice. Niewykluczone, że któregoś dnia założysz moje szaty tylko po to, by ujrzeć koniec Krasji.

Inevera pokręciła głową.

– Nie pogodzę się z tym. Everam poddaje nas próbie. Nie pozwoli, by jego naród spotkała zagłada.

– Pozwala na to wszystko od trzystu lat – odparła *Damaji'ting*. – Everam obdarza łaską silnych i dzielnych, ale również sprytnych i mądrych. Może banda cierpiących durniów wyczerpała już Jego cierpliwość.



Inevera wróciła do formowania *hora*. Pracowała z zimną precyzją, ale czuła, że z każdym dniem narasta w niej napięcie. Wiedziała, że za tydzień, góra dwa zostanie poddana próbie. Miała czternaście lat i zanosilo się na to, że zostanie najmłodszą *dama'ting* w historii.

W chwilach słabości wspominała Melan i jej *hora* płonące w blasku słońca. Wspominała wrzask, smród spalonego ciała i gryzący dym. Jej rywalka przeszła wiele kuracji, a Asavi co najmniej raz usiłowała wyleczyć ją za pomocą kości, ale dłoń Melan, zniekształcona i pokryta bliznami, nadal przypominała łapę piaskowego demona.

Czy Inevera też powinna się tego spodziewać? Instykt mówił jej, że nie, ale przecież nikt nie mógł przewidzieć przyszłości. Nawet przepowiednie Kenevah nie były absolutnie pewne.

Przebudziła się z koszmaru z bijącym mocno sercem. W Krypcie nadal było ciemno, ale Inevera domyśliła się, że niedługo nadejdzie rano i nie zostało jej już wiele snu. Bezszelestnie ześlizgnęła się z łóżka i poczłapała do łaźni, by dokonać ablucji i wziąć świeże bido ze stosu. Zaplotła je równie sprawnie, jak mężczyzna naciąga szatę. Była już gotowa, gdy włączyły się runiczne światła. Poleciała młodszym adeptkom, by ubrały się jak najszybciej, i zapędziła je na ćwiczenia *sharusahk*.

Tego dnia do pawilonu nie przyniesiono wielu rannych i Inevera już miała wrócić do pałacu, kiedy pojawiło się dwóch chłopców, wciąż noszących bido. Jeden zaskakująco gruby, co było dziwne, gdyż nauczyciele podawali *nie'Sharum* bardzo skąpe porcje jedzenia. Podtrzymawał innego chłopca, niższego i o wiele chudsze. Szczupłego, żyłastego i bez grama tłuszczu. Na pewno nie liczył sobie więcej niż dziesięć lat. Jego ramię zostało paskudnie złamane – Inevera zauważyła kość wystającą z rany i ciekącą krew. Twarz chudego chłopaka była blada i spocona, ale nie płakał i o własnych siłach podszedł do stołu, gdzie Qeva miała nastawić mu ramię. *Dama'ting* skinęła głową, a grubas uklonił się i znikł.

Inevera wielokrotnie pomagała przy nastawianiu kości i dobrze wiedziała, które zioła i przyrzędy należy przynieść. Wśród nich znalazł się patyk owinięty płótnem, na którym chłopiec miał zacisnąć zęby. Wbił w nią oczy szkliste od bólu, a Inevera poczuła, że w jej sercu rodzi się współczucie.

Wsunęła mu patyk do ust.

– *Dal'Sharum* oddają się swemu bólowi.

Chłopak pokiwał głową, choć widać było, że nie rozumie. Zacisnął mocno zęby, gdy Qeva nastawiła mu ramię, ale po chwili jego mięśnie osłabły i patyk wysunął się spomiędzy warg. Inevera doszła do wniosku, że stracił przytomność, co byłoby całkowicie zrozumiałe, ale zauważyła, że chłopiec ma otwarte oczy i przygląda się, jak *dama'ting* nastawia kości i opatruje ranę. To nieprawdopodobne zachowanie Inevera niejednokrotnie widywała tylko u doświadczonych *Sharum*, ale nawet oni odwracali wzrok od Oblubienicy szyjącej ich rany. Po zakończonym zabiegu Qeva podała chłopcu środek nasenny, a Inevera zajęła się przygotowaniem do założenia gipsu.

– Mistrzowie Ćwiczeń – Qeva niemalże wypluła te słowa. – Ten chłopak to ostatni potomek z linii Jardira. Jego ojciec poległ bezsensowną śmiercią podczas walki o studnię z Majah. Wystarczy, że mężczyźni giną w nocy. Mam już dosyć opatrywania chłopców z *sharaj*. Wielu z nich nie przeżywa treningu lub zostaje kalekami na resztę życia. To musi się skończyć.

– To się skończy – rzekła Inevera. – Znajdę na to sposób.

– Ty? – parsknęła Qeva. – A więc już uważasz się za Damajah?

– Mam siedzieć beczynn timer i czekać, aż się pojawi? – Inevera wzruszyła ramionami.

– Uważaj na swoje słowa, dziewczyno. – Qeva zmrużyła oczy. – Te zabrzmiały jak bluźnierstwo.

– Nie chciałam nikogo urazić, *dama'ting*. – Adeptka się ukloniła.



Inevera już dawno powinna była wrócić do pałacu, ale wciąż stała i przyglądała się śpiącemu chłopcu. Był przystojny i może zwróciłby uwagę *dama'ting*, choć dziewczyna odniosła wrażenie, że nie chciałby oddać przyrodzenia i służyć jako eunuch. Wyczuwała w nim siłę. Może dlatego pragnęła z nim jeszcze porozmawiać.

Chłopiec poruszył się i otworzył oczy. Inevera uśmiechnęła się.

– Och, młody wojownik się ocknął.

– Ty mówisz – wychrypiał chłopak.

– Czyżbym była zwierzęciem, którym nie jest to dane? – spytała Inevera, choć dobrze wiedziała, skąd się wzięło pytanie. *Dama'ting* nie odzywały się do *nie'Sharum* w pawilonie. Pozostawiały ten obowiązek młodszym adeptkom.

– Chodziło mi o to, że mówisz do mnie – wyjaśnił chłopak. – A jestem tylko *nie'Sharum*.

– A ja jestem *nie'dama'ting*. – Inevera pokiwała głową. – Niebawem zdobędę swój nowy czador, ale jeszcze go nie noszę, więc mogę rozmawiać, z kim mi się podoba.

Przystawiła mu miskę z owsianką do ust.

– Przypuszczam, że w Kaji'sharaj głodzą was niemiłosiernie. Jedz zatem. Czary *dama'ting* zadziałają wówczas lepiej.

Chłopiec skinął głową i pospiesznie opróżnił miskę, a potem spojrzał na *nie'dama'ting*.

– Jak masz na imię? – spytał.

Inevera znów się uśmiechnęła i otarła mu usta.

– Śmiały jesteś, jak na chłopca, który ledwie dorósł, by nosić bido.

– Przepraszam.

– Lecz śmiałość nie jest przecież powodem do smutku! – zaśmiała się Inevera. – Everam niewiele ma miłości do nieśmiałych. Mam na imię Inevera.

– Wola Everama – przetłumaczył chłopiec, a potem wskazał podbródkiem na siebie. – Ja jestem Ahmann syn Hoshkamina.

Inevera stłumiła wybuch śmiechu. Czy ten chłopiec się do niej zalecał? Uprzejmie się skłoniła, zastanawiając się, co też ją w nim tak zaintrygowało. Zadała sobie pytanie, czy ten śmiały, silny chłopak znajdzie się wśród tych, którzy nie przeżyją szkolenia, a jego życie zostanie zmarnowane, nim się naprawdę zacznie. A może przeżyje i trafi do Labiryntu, gdzie padnie ofiarą woli głupców tak jak Soli?



Inevera wróciła do pałacu i udała się bezpośrednio do Komnaty Cieni. Nie miała czasu do stracenia. Tylko kości mogły odpowiedzieć na jej pytania. Weszła do celi, rozłożyła narzędzia i musnęła wrażliwymi palcami kości wydobyte z sakiewki. Ich ścianki, szlifowane dziesięć tysięcy razy i polerowane świętymi olejami, był gładkie niczym szkło. Jedynymi nierównościami na ich powierzchni były wyryte runy.

Run proroctwa na każdej z kości i symbol proroctwa na środku i po bokach wszystkich pozostałych ścianek. Szesnaście symboli na kości czterościennej. Trzydzieści na sześciściennej. Trzydzieści dwa na ośmiościennej i tak dalej. Siedząca w ciemnościach Inevera przesuwała palec po każdym, upewniając się, że zostały idealnie wykonane. Im więcej ścian na kostce, tym mniejsze były symbole, ale знаła wszystkie doskonale, jakby wyryła je we własnym sercu.

W końcu uniosła kostkę dwudziestościenną, ostatnią w zestawie. W sakiewce nadal spoczywała ósma kość, nietknięta od chwili, gdy Kenevah wręczyła ją Ineverze. Większość dziewczyn popełniała przy pracy błąd i musiała wykorzystać zapasową kość, by ukończyć zestaw. Nie było to ujmą na honorze, ale „wyrobienie się w siedmiu kościach” uważane było za powód do dumy, a źle wykonanej kości pozbywano się z największą niechęcią. Gdy się udało zachować rezerwową ósmą kość, właścicielka mogła ją wykorzystać wedle uznania.

Kostka dwudziestościenna była już prawie gotowa i pozostało tylko wyrycie trzech ostatnich symboli. W przeszłości Inevera pracowała powoli i ostrożnie – najpierw ryła znak bardzo płytko, ledwie naruszając powierzchnię, by w razie błędu można było go spolerować. Potem muskała symbol palcem, sprawdzała poprawność i pogłębiała nieco ryt. Powtarzała to nawet i sto razy, jeśli zaszła potrzeba. Pracowała wytrwale dopóki, dopóty linie były głębokie i perfekcyjnie wykonane.

Dziś jednak porzuciła dotychczasową metodę. Czowała moc Everama w dłoniach. Wbiła narzędzie głęboko, wykonując pierwszy symbol jednym płynnym nacięciem. Było to zachowanie beztraskie, wręcz głupie, ale nie mogła się opanować. Odwróciła kość i wykonała drugi z pozostałych symboli, a potem trzeci. W kilkanaście sekund zrobiła to, co do tej pory trwało całe tygodnie. Drżącymi rękami ujęła szmatkę do polerowania i wytarła strużyny. Bała się sprawdzić jakość symboli. Popęłniła błąd? Zniszczyła kość? Jeśli tak, czekał ją rok dodatkowej pracy bez nadziei na kolejną szansę.

Chyba że Inevera miałaby ochotę na spaloną dłoń.

W końcu dziewczyna odnalazła równowagę i odważyła się dotknąć powierzchni ostatniej kości. Nie mogła się nadziwić, jak idealnie wycięła ostatnie znaki. Bez chwili wahania ujęła najostrzejsze narzędzie i nacięła sobie skórę między kciukiem i palcem wskazującym. Skierowała strużkę krwi na kości, modląc się przy tym na głos:

– Everamie, Ty, który stworzyłeś Niebosa i Ala, Ty, który dajesz światło i życie, Twoje dzieci umierają. Walczymy przeciwko sobie, choć powinniśmy się zjednoczyć! Giniemy, a powinniśmy ratować życie! Jak możemy powrócić do Twoich łask i uniknąć zagłady?

Szepcząc te słowa, zamknęła kości między dłońmi i potrząsnęła nimi lekko. Czowała, jak się rozgrzewają pod wpływem dotyku. Ręce Inevery zapłonęły czerwienią, a między jej palcami przebiło światło, które zatańczyło na ścianach.

Nie wolno było testować kości samodzielnie. Prawo nie pozostawiało co do tego wątpliwości – *nie'dama'ting*, która ukończyła pracę, powinna najpierw uderzyć w dzwon, a potem przejść test, ale Inevera zignorowała tę zasadę. Czowała, jak między jej dłońmi narasta moc, i nie mogła już dłużej wytrzymać.

Rzuciła.

Kości zapłonęły magią i potoczyły się po podłodze w osobliwy sposób, gdyż ich ruchem kierowała magia, a nie prawa fizyki czy geometrii. Gdy *alagai hora* znieruchomiały, niektóre

pulsowały mdłym światłem, inne świeciły jasno, a reszta była ciemna. Odczytywanie znaczeń było sztuką, a nie nauką, ale dla Inevery przekaz kości był równie jasny jak słowa wypisane na pergaminie.

„O świecie tysiąc siedemdziesiątego siódmego dnia w Labiryncie pewien chłopiec wybuchnie płaczem. Uczyn z niego mężczyznę, by rozpocząć jego drogę ku pozycji Shar'Dama Ka”.

Inevera zarumieniła się. Oddychała szybko, usiłując odzyskać równowagę. Czy to jej przypadnie zaszczyt odnalezienia odrodzonego Shar'Dama Ka? Czy to oznaczało, że naprawdę była Damajah, z czego drwiła Qeva? Dziewczyna nie miała pojęcia, gdyż kości mogły przepowiedzieć jedynie los innych ludzi, a nigdy tej, która nimi rzuca.

– Uczyn z niego mężczyznę – szepnęła.

Symbole tworzące to znaczenie były niejasne. Czy odnosiły się do tradycyjnej ceremonii inicjacyjnej, którą przechodzili wszyscy *Sharum*? Inevera miała go rozprawiczyć? A może wyszkolić i wyedukować? Wyjść za niego? Kości nie wyjaśniły wszystkiego.

Rzuciła nimi raz jeszcze.

– Everamie, który stworzyłeś Niebiosa i Ala, który dajesz światło i życie, co muszę zrobić, by uczynić z niego mężczyznę?

Symbole znów przemówiły, ale ich przekaz wcale nie był wyraźniejszy i tylko przepełnił Ineverę przerażeniem.

„*Sharak Ka* nadchodzi. Trzeba zrobić wszystko, by pomóc Wybawicielowi”.

Sharak Ka. Pierwsza Wojna. Bez Wybawiciela ludzkość ulegnie zagładzie, a resztki światła Everama znikną na zawsze z powierzchni Ala.

„Trzeba zrobić wszystko, by pomóc Wybawicielowi”.

Inevera pospiesznie zebrała kości i uniosła je wysoko. Sprawiała, by zapłonęły żywiej, i oświetliła pokój, w którym spędziła niezliczone godziny, lecz którego nigdy nie obejrzała. Blask odbił się od srebrnego dzwonka leżącego na półce wyciętej w skale.

Czas ciemności dobiegł końca. Od tej pory drogę Inevery miały rozświetlać kości.



Egzamin na *dama'ting* nie trwał długo. Inevera udzielała odpowiedzi natychmiast i bez wahania, choć Kenevah zadała jej mnóstwo pytań, o wiele więcej niż Melan czy jakiegokolwiek innej dziewczynie pragnącej przywdziać biel. *Damaji'ting* przeplatała pytania różnymi sztuczkami i półprawdami, chcąc zbić Ineverę z tropu. Oblubienice i Zaprzysiężone zaczęły w końcu szeptać i zastanawiać się, czy Inevera nie popełniła wcześniej jakiegoś błędu, przez co Kenevah sprawdza ją surowiej. Kości podawały subiektywne odpowiedzi i zdarzały się błędy. Jedna pomyłka mogła ujsć płazem, ale dwóch *Damaji'ting* wybaczyć nie mogła.

Inevera zdawała sobie sprawę z tych spekulacji, ale były one dla niej równie nieistotne jak wiatr. Czowała, że przez kości spływa na nią mądrość Everama, i odpowiadała z natchnioną pewnością siebie. Nie udzieliła ani jednej błędnej odpowiedzi i dobrze o tym wiedziała. Kenevah również zdawała sobie z tego sprawę, bo wreszcie powiedziała:

– Witaj wśród nas, siostrze.

Obecne *dama'ting* nawet nie drgnęły, choć ich rozmowy ucichły. Wiele spośród *nie'dama'ting* wykrzyknęło z radości, ale nie wszystkie. Inevera zmierzyła je wzrokiem i napotkała harde spojrzenie Melan.

Rywalka niemal niedostrzegalnie skinęła głową, by wyrazić szacunek, ale w oczach nie było żadnych emocji i nie dało się określić, czy czuje się upokorzona, czy może kipi żądzą zemsty. Dla Inevery pozostało to obojętne.

U wejścia do Komnaty Cieni Inevera została pozbawiona swych szat oraz bido i przed wszystkimi zgromadzonymi wygłosiła przysięgę:

– Ja, Inevera vah Kasaad am'Damaj am'Kaji, Zaprzysiężona Everamowi, biorę Jego jako pierwszego męża. Jego życzenia będą dla mnie ważniejsze od wszelkich innych spraw, Jego miłość moim największym marzeniem, a Jego wola najważniejszym rozkazem, albowiem On Stwórcą tego, co wielkie i prawdziwe, a wszyscy ludzie są jedynie mizernym Jego odbiciem. Przysięgam miłować Go aż po kres moich dni, gdyż po śmierci dołączę do sióstr w Niebiańskim Haremie i poznam Jego święty dotyk.

– Wysłuchałam twojej przysięgi i zobowiązuję cię, żebyś ją wypełniła. – Kenevah uniosła kości i sprawiła, by zabłyśły magią.

– Wysłuchałam – oznajmiła Qeva i podniosła własne kości, również mieniące się światłem.

– Wysłuchałam – powtarzała każda z obecnych *dama'ting* i podnosiła własne *hora*. – Wysłuchałam. Wysłuchałam.

Inevera została podprowadzona do marmurowego stołu i poproszona, by uklękała. Następnie położyła dłonie i przycisnęła czoło do blatu. Wytarte zagłębienia w kamieniu świadczyły, że przed Ineverą klękały tu niezliczone młode adeptki.

Kenevah ujęła wielki kawałek marmuru, który przypominał męski członek, ale po stuleciach używania jego główka została tak starta, że była niewiele grubsza od reszty.

Qeva ujęła kielich z błogosławioną wodą i szepcząc modlitwy, polała nią fallusa. Następnie wzięła fiolkę ze świętym olejkiem, polała marmur i rozprowadziła dłonią olejek. Wykorzystała wszystkie uświęcone chwytły, pokrywając fallusa równomierną warstewką na całej długości.

Kenevah wzięła od niej marmurowy penis i stanęła za Ineverą, która wbrew sobie zacisnęła uda, choć wiedziała, że to najgorsze, co może w tej sytuacji zrobić.

– Strach i ból... – zaczęła Kenevah.

– ...to jedynie wiatr – dokończyła Inevera. Uspokoila oddech, odnalazła równowagę i rozluźniła się.

– W ten oto sposób konsumuję twój związek z Everamem – oznajmiła *Damaji'ting* i bez wahania wepchnęła fallusa między uda Inevery. Dziewczyna krzyknęła. Kenevah wpychała fallusa raz za razem, obracając go przy tym. Inevera krzywiła się z bólu, ale pochylała się z każdym pchnięciem niczym palma. Jednocześnie narastało w niej uniesienie i radość z powodu ślubu. Od tej pory Everam miał być jej prawdziwym mężem i rozmawiać z nią przez *hora*. Wreszcie zrozumiała, co to znaczy być jedną z Oblubienic Everama. Inevera już nigdy nie zazna samotności. On zawsze będzie przy niej.

W końcu Kenevah wyciągnęła marmurowego fallusa.

– To wszystko, Oblubienico Everama.

Inevera kiwnęła głową i powoli wstała, obolała, świadoma, że spomiędzy ud cieknie jej krew. Kolana się pod nią ugięły, ale dziewczyna się nie przewróciła. Popatrzyła na Kenevah, która zawiązała jej wokół twarzy woalkę z gładkiego białego jedwabiu.

– Dziękuję, *Damaji'ting*. – Ukłoniła się z wdzięcznością.

Kenevah odpowiedziała tym samym. Inevera naga, nie licząc woalki i sakiewki z kośćmi u pasa, odwróciła się, minęła kobiety i wyszła z Komnaty. Plecy miała wyprostowane. Emanowała dumą.



Ineverze przydzielono komnaty zarówno w pałacu, jak i pod nim. Były to ogromne pomieszczenia pełne zbytkownych rzeczy takich, jak drogie dywany, jedwabna pościel i grube aksamitne zasłony oraz serwisy ze srebra, złota i delikatnej porcelany. Znajdowała się tam również jej prywatna marmurowa wanna z oświetleniem runicznym, którego natężenie dziewczyna mogła regulować. Dzięki runom gorąca mogła również podgrzewać lub studzić wodę i kontrolować temperaturę powietrza w komnatach. Dla własnej wygody dysponowała urządzeniami magicznymi godnymi samej *Damaji*, którymi sterował jeden kamienny piedestał. Nauczyła się obsługiwać takie jeszcze jako adeptka.

Gdy została sama, Inevera podeszła do szafy, gdzie wisiał tuzin idealnie białych szat. Wybrała dwie. Pierwszą rozłożyła na ogromnym łożu. Drugą pocięła nożem na długi pasek.

Eunuchy już rozgrzały wodę w wannie. Wślizgnęła się do przyjemnej kąpieli i dokładnie wymyła całe ciało. Dotknęła skóry głowy i wyczuła króciutkie, miękkie włoski. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że już nigdy nie będzie musiała golić głowy, ale jak co dzień starannie zajęła się nogami i intymnymi częściami ciała.

Czysta i ogolona, ujęła pędzel oraz flakon z atramentem i wymalowała runy wokół łona. Krew przestała już płynąć, a zeschnięte resztki zmyła kąpiel, ale Inevera wciąż odczuwała ból po konsumpcji małżeństwa z Everamem.

Zasunęła ciężkie kotary, wygasła światła i uklękła na podłodze, by odnaleźć równowagę i zmówić modlitwę. Następnie sięgnęła do sakiewki z *hora* i wyciągnęła ósmą kość. Była szorstka i chropowata, niczym kawałek obsydianu odrąbany kilofem.

Ów fragment *hora* był bezcennym darem. Kryła się w nim o wiele większa moc niż w rozwodnionej jusze demonów zamkniętej w rurach tworzących krwiobieg pałacu. Inevera mogła dzięki tej *hora* rzucić nieskończenie wiele czarów. Wiedziała, że upłynie rok, nim otrzyma kolejną do prywatnego użytku poza komnatą uzdrowień. Bez wątpienia trwały już spekulacje na temat tego, co zrobi z ósmą kością. Wiele *dama'ting* wyrabiało z nich runiczną broń, z którą nigdy się nie rozstawało.

Inevera jednakże nie miała wątpliwości. Przyłożyła kość do runów wymalowanych na ciele i poczuła, jak się nagrzewają i rozjaśniają od gromadzonej mocy. Zacisnęła uda, a ciało przeszło dreszcz. Ogarnęło ją uczucie, które nie było ani przyjemnością, ani bólem.

Uzdrowianie było najtrudniejszą i najbardziej wyczerpującą odmianą magii. Ósma kość rozsypała się w pył. Inevera wsunęła dłoń między nogi i sprawdziła, czy *hora* spełniła zadanie.

Jej błona odrosła.

Jeśli w istocie ma szansę zostać żoną Wybawiciela, powinnam oddać mu się jako dziewica.

Sięgnęła po szatę, którą pocięła w długi pasek, i zaplotła ją niczym bido.



Znajomy stragan znikł. W jego miejscu stał inny, większy i bardziej imponujący.

– Kosze! – rozległ się okrzyk.

Zaskoczona Inevera odwróciła głowę i ujrzała ojca ubranego w zwykłe szaty *khaffit*. Miał drewnianą nogę i opierał się na lasce.

– Kosze! Najwspanialsze koszyki w całej Krasji!

Inevera zaczekała, aż do straganu podszedł klient i przyciągnął uwagę Kasaada. Wtedy dziewczyna prześlizgnęła się za jego plecami i błyskawicznie znalazła za ladą. Odsunęła zasłonę i weszła na zaplecze.

Matka siedziała i przytrzymywała stopami obręcz, plotąc kolejny kosz. Wydawać by się mogło, że czas nie miał na nią wpływu. Wokół pracowało dwanaście innych wyplataczek, zarówno młodych dziewcząt z odsłoniętymi twarzami, jak i dorosłych kobiet czy czcigodnych matron. Któraś syknęła i wszystkie natychmiast uniosły wzrok. Manvah uczyniła to samo, ale powróciła do pracy.

– Zostawcie nas same – rozkazała cicho Inevera. Wyplataczki upuściły obręcze i w pośpiechu wybiegły. Choć upłynęło wiele czasu, odkąd opuściła rodzinny stragan, dziewczynie wydało się, że rozpoznaje kilka twarzy.

– Twoja wizyta pociągnie za sobą przynajmniej jedno popołudnie zaległości – rzekła Manvah. – A może i więcej, gdyż te kwoki nie będą gdakać o niczym innym przez kilka następnych dni.

Inevera poluzowała woalkę i pozwoliła, by spłynęła z jej twarzy.

– Matko, to ja. Inevera.

Manvah uniosła głowę, ale w jej oczach nie było zaskoczenia ani radości.

– Dano mi do zrozumienia, że *dama'ting* nie mają rodzin.

– Nie byłyby zadowolone, gdyby się dowiedziały, że tu przyszłam – przyznała Inevera. – Ale nadal jestem twoją córką.

Manvah parsknęła i wróciła do pracy.

– Moja córka nie stałaby beczynną, tylko wzięłaby się do roboty. Mamy mnóstwo koszy do wyplecenia.

Uniosła brew.

– Chyba że zapomniałaś, jak to się robi?

Inevera parsknęła podobnie jak matka, a potem uśmiechnęła się, zsunęła sandały i usiadła na czystym kocu. Ułożyła sobie na wpół skończony kosz między nogami.

– Cieszę się, że ci się powodzi i zatrudniasz Kriszę oraz jej siostry – powiedziała, wrywając kilka włókien i sięgając po nowy pęk liści palmowych. – Ale wygląda na to, że nadal się nie starają.

Manvah burknęła.

– Wiele się zmieniło od czasu, gdy twój ojciec został *khaffit*, ale nie aż tyle.

– Czy znasz prawdę o tym, co się wydarzyło? – spytała Inevera.

– Przyznał się do wszystkiego. – Manvah kiwnęła głową. – W pierwszej chwili sama chciałam go zabić, ale od tego feralnego dnia Kasaad nawet nie tknął butelki z couzi ani kubka z kośćmi. Okazało się też, że targuje się lepiej, niż walczy. Udało mi się nawet kupić dla niego siostry-żony.

Westchnęła.

– Zakrawa na ironię losu, że wszystkie jesteśmy szczęśliwsze jako żony *khaffit* niż *Sharum*, ale twój ojciec nie pomylił się, nazywając cię Ineverą. W istocie wszystko to jest wolą Everama.

Wyplatały kosze, a Inevera streściła wydarzenia ostatnich lat. Nie zataiła żadnego szczegółu, opowiedziała nawet o wyniku swego pierwszego rzutu. Z nikim jak dotąd nie podzieliła się tą informacją.

Manvah spojrzała na córkę z zaciekawieniem.

– Mówisz, że te demony kości przekazują wolę Everama. Czy skonsultowałaś się z nimi przed przyjściem tutaj?

– Tak – odparła *dama`ting*. – Ale zawsze chciałam się z tobą spotkać po przywdzianiu bieli.

– Co byś zrobiła, gdyby kości odradziły ci wizytę?

Inevera spojrzała na matkę i przez chwilę zastanawiała się, czy jej nie okłamać.

– Wtedy bym nie przyszła – przyznała w końcu.

Manvah pokiwała głową.

– I co z nich wyczytałaś? Co do twojej wizyty?

– Że zawsze będziesz wobec mnie szczerą – odparła Inevera. – I że zawsze powiesz mi prawdę, nawet gdy nie będę miała ochoty jej wysłuchać.

Wokół oczu Manvah pojawiły się zmarszczki, jak zwykle, gdy się uśmiechała.

– Matczyny obowiązek – stwierdziła.

– Co powinnam zrobić? – naciskała Inevera. – Cóż te kości próbowały mi przekazać?

Manvah wzruszyła ramionami.

– Że powinnaś udać się do Labiryntu o świcie tysiąc siedemdziesiątego siódmego dnia.

– I to wszystko? – Inevera nie kryła zaskoczenia. – To twoja rada? Za trzy lata mogę spotkać Wybawiciela, a ty chcesz, bym... bym w ogóle o tym nie myślała?

– Jeśli chcesz, to martw się i zadrećzaj. – Manvah wzruszyła ramionami. – Ale lata nie będą przez to wcale płynęły szybciej.

Zmierzyła córkę ostrym spojrzeniem.

– A póki co na pewno znajdziesz jakiś sposób, by dobrze ten czas wykorzystać. Mamy tu mnóstwo koszy do wplecenia.

Inevera skończyła swój koszyk.

– Masz rację. Jasne.

Wstała i odłożyła kosz na stos. Zauważyła przy tym, że siedząc na kocu, ubrudziła nieskazitelnie czyste szaty.

– Przyjmuję twoje zaproszenie – powiedziała z godnością, otrzepując ubranie. W powietrzu unosiły się tumany kurzu. – Chętnie będę wyplatać wraz z tobą, pod warunkiem, że będę mogła usiąść na czymś czystym.

– Zakupię biały jedwab, idealnie nadający się pod drogie pośladki *dama'ting* – przyrzekła Manvah. – Ale będziesz musiała to odpracować.

Inevera uśmiechnęła się tylko.

– Skoro jeden kosz kosztuje trzy draki, to potrwa całe lata.

Oczy Manvah znów otoczyły zmarszczki.

– Ba, całe życie, jeśli będę kupować świeży jedwab za każdym razem. Przecież *dama'ting* zasługuje na szczególne traktowanie.



IX

Ahmann

LATA PLAGI 308–313

Inevera kroczyła po ciemnych ulicach Pustynnej Włóczni. Nie czuła ani śladu napięcia, które towarzyszyło jej podczas ostatniej wizyty na powierzchni w nocy. Kości przecież obwieściły, że o świcie dziewczyna spotka się z owym chłopcem, a poza tym wzbogaciła się o trzy lata doświadczeń. W sakiewce z *hora* znajdowały się teraz kości, które zdołałyby uchronić Ineverę przed każdym napastnikiem, zarówno człowiekiem, jak i demonem, a w *sharusahk* tylko Qeva wciąż mogła jej sprostać.

Starożytne miasto w nocy wydawało się ciche i spokojne. Inevera próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądało w czasach, kiedy farba i złocenia wciąż były świeże, a kolumny i gzymsy nienaruszone. Próbowała ujrzeć Krasję sprzed trzystu lat, kiedy to nastąpił Powrót.

Wizja pojawiła się nagle. Zachwycająca. Pustynna Włócznia była stolicą ogromnego imperium u szczytu potęgi. Miasto zamieszkiwały miliony ludzi, pustynia kwitła dzięki sieci akweduktów, a na uniwersytetach młodzi ludzie poznawali sekrety nauki i medycyny. Maszyny wykonywały obowiązki setek *dal'ting*. Sharik Hora pozostawała największą świątynią Everama, ale w samym mieście i na otaczających je ziemiach znajdowało się wiele innych budowli wzniesionych ku czci Stwórcy.

Panował wówczas pokój, a do rozlewu krwi dochodziło tylko wtedy, gdy koczownicze plemiona za murami napadały sąsiadów, by zabierać im kobiety i studnie.

Potem nadeszły demony, a głupiec Andrah wezwał wszystkich do walki w *alagai'sharak*, choć wiedział, że runy wojenne zostały utracone.

Inevera wzdrygnęła się i powróciła do rzeczywistości. Opustoszałe miasto nie wydawało się już spokojne ani piękne. Było grobowcem, podobnie jak zaginione Słońce Anocha, zagarnięte przez piaski tysiące lat temu. Taki oto koniec spotka Krasję, jeśli los się nie odmieni. Zbliżała się *Sharak Ka*, a gdyby nastąpiła jutro, ludzkość nie miałaby najmniejszych szans na przetrwanie.

– Nie dojdzie do tego – obiecała Inevera pustym ulicom. – Nie pozwolę na to.

Przyspieszyła kroku. Zbliżał się świt, a ona musiała przepowiedzieć przyszłość przed wschodem słońca.

Mistrz Ćwiczeń Qeran skinął głową na jej widok. Nie powiedział ani słowa na to, że Inevera chodzi bez eskorty w nocy po ulicach miasta. Spodziewano się jej przybycia, a poza tym *Sharum* nigdy nie kwestionowali działań *dama'ting*.

Inevera wielokrotnie rzucała kości, ale choć formułowała pytania na wiele sposobów, wyrok *hora* nadal pozostawał mało precyzyjny i pełen niejasności. Przyszłość była zmienną, elastyczną materią, której nie dawało się w pełni poznać. Falowała i zmieniała się za każdym razem, gdy ktoś gdzieś podejmował samodzielną decyzję.

Choć przyszłość jawiła się niczym mgłą, wyczytała kilka faktów, które jawiły się niczym twarde skały. Dzięki owym okrucuchom mogła się przygotować do tego dnia. Poznała choćby kilka szczegółów topograficznych, które po paru tygodniach ślęczenia nad mapami Labiryntu pozwoliły jej ustalić, gdzie odnajdzie chłopca.

„Rozpoznasz go na pierwszy rzut oka” – zdradziły jej kości, choć to akurat było mało pomocne. Ilu samotnych, zapłakanych chłopców mogła znaleźć w Labiryncie?

„Urodzisz mu wielu synów”.

To zdanie dało Ineverze do myślenia. *Dama'ting* mogła wziąć do łóżka mężczyznę i urodzić później córkę, co oczywiście należało zataić przed ojcem, ale rodzenie synów było zakazane. Kości utrzymywały, że Inevera powinna za chłopaka wyjść. A więc może nie był to Wybawiciel, ale jego przyszły ojciec? Może Shar'Dama Ka miał się zrodzić z jej łona?

Był to ogromny zaszczyt, który zgoła nie mieścił się dziewczynie w głowie, lecz myśl o tym budziła też rozczarowanie. Matka Kajiego była przedmiotem wielkiej czci, ale to przecież Damajah szeptała mądrości do ucha Wybawiciela i kierowała jego poczynaniami. Gdyby to syn

Inevery został Wybawicielem, najprawdopodobniej inna kobieta miałaby dzielić jego łożę i naginać do swej woli.

Myśl ta irytowała dziewczynę, wytrącała z równowagi. Czyżby modlitwy okazały się nieszczerze? Co było ważniejsze – ocalenie własnego ludu czy odegranie roli wielkiej imienniczki?

Powoli wciągnęła powietrze. Skupiła się na oddechu, którego spokojny rytm pomógł odzyskać równowagę. Inevera była dziewczyną wolną od aroganckiej dumy i gdy na chłodno rozważyła sytuację, dochodziła do wniosku, że nigdy nie poznała kobiety, która bardziej od niej zasługiwała na zaszczyt kierowania poczynaniami Wybawiciela. Postanowiła, że jeśli na taką natrafi, wtedy usunie się w cień, ale jeśli nikt się nie znajdzie, poślubi owego chłopaka bez względu na konsekwencje. Zrobi to, nawet gdyby musiała rozwieść się z własnym mężem bądź poślubić syna.

„Wybawicielowi należy pomóc w każdy sposób”.

Usłyszała dzikie wrzaski i zwolniła. Ktoś krzywdził drugą osobę, ale Inevera była zbyt daleko, by zareagować. Poza tym kości wskazywały jedno miejsce, które we wróżbach było wyraźne niczym kamień wystający z nurtu rzeki. Miała znaleźć samotnego, zapłakanego chłopca. Takie było jej przeznaczenie i nie zamierzała zmieniać teraz decyzji.

Jej oczom ukazał się roześmiany *Sharum* wiążący spodnie. Przesłona, którą zakładał podczas walk, zwisała mu luźno z szyi, a na wargach miał krew. Na widok *dama'ting* zatrzymał się jak wryty i pobladł. Inevera nie powiedziała ani słowa, ale uważnie przyjrzała się jego twarzy, uniosła brew i skinęła głową w kierunku, z którego przyszła. Wojownik uklonił się i przemknął pospiesznie obok niej, a potem rzucił się do biegu.

Inevera słyszała już szloch chłopca. Utrzymywała równy rytm oddechu i szła swobodnie, płynnie jak zwykle. Gdy skręciła za róg, ujrzała go dygoczącego na ziemi. Jego bido było ściągnięte do kostek, a ramię krwawiło w miejscu, gdzie wojownik najprawdopodobniej ugryzł go w chwili rozkoszy. Inevera widziała również inne siniaki i obtarcia, ale nie wiedziała, czy to skutek gwałtu, czy może obrażenia wyniesione z *alagai'sharak*.

Zauważył ją i uniósł wzrok. Jego łzy połyskiwały w blasku gwiazd. Przepowiednia nie myliła się. Znała go.

Był to *nie'Sharum*, którego poznała kilka lat temu, tej samej nocy, kiedy skończyła rzeźbienie kości. Ahmann Jardir, który zdusił w sobie ból i bez słowa spoglądał, jak *dama'ting*

nastawia mu ramię. Ahmann Jardir, który w wieku lat dwunastu zabił swego pierwszego *alagai* i przeżył pierwszą noc w Labiryncie. Wszystko to wydawało jej się teraz elementem boskiego planu.

Zastanawiała się, czy on również ją rozpozna, ale twarz Inevery zasłaniała teraz woalka. Co więcej, podczas ich spotkania Ahmann był odurzony bólem. Przez moment chłopiec ani drgnął, a potem uświadomił sobie powagę sytuacji i podciągnął bido, jakby to mogło zamaskować wstyd malujący się na jego twarzy.

Serce dziewczyny biło ze współczucia dla dzielnego chłopca, który przeżył takie upokorzenie w chwili, gdy powinien triumfować i szcycić się swoim męstwem. Chciała do niego podejść i przytulić, ale kości były bezlitosne:

„Zrób z niego mężczyznę”.

Odepchnęła wszelkie uczucia. Cmoknęła głośno – odgłos przypominał strzał z biczka.

– Wstawaj, chłopcze! – warknęła. – Walczyłeś z *alagai*, a teraz chlipiesz jak kobieta? Everam potrzebuje *dal’Sharum*, a nie *khaffit*!

Na twarzy chłopca odmalowała się udręka, ale szybko zwalczył uczucie, poderwał się i startł łązy.

– No, trochę lepiej – stwierdziła Inevera. – Nawet jeśli późno. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym musiała przejść taki szmat drogi tylko po to, by przepowiedzieć komuś przyszłość tchórza.

Chłopak parsknął, a Inevera uśmiechnęła się w duchu. W tym dzieciaku kryła się stal, choć na razie nieobrobiona.

– Jak mnie znalazłaś?

Inevera prychnęła i zbyła pytanie machnięciem dłoni.

– Wiedziałam, gdzie cię znaleźć, już wiele lat temu.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, choć jego odczucia nie miały dla niej żadnego znaczenia.

– Podejdz, chłopcze. Muszę ci się lepiej przyjrzeć – poleciała.

Ujęła jego twarz i przechyliła ją kilkakrotnie, by przyjrzeć jej się w blasku księżyca.

– Młody i silny – oznajmiła. – Ale w tym akurat nie różnisz się niczym od pozostałych, którzy dotarli aż tak daleko. Jesteś jednak od nich dużo młodszy, co często bywa problemem.

– Czy przybyłaś, aby przepowiedzieć moją śmierć? – spytał Ahmann.

– Śmiały – mruknęła i znów stłumiła uśmiech. – No, może jest jeszcze dla ciebie nadzieja. Klękaj, chłopcze.

Spełnił jej polecenie, a *dama'ting* rozesała białe płótno, by nie pobrudzić się pyłem Labiryntu, i uklękła obok niego.

– A co mnie twoja śmierć obchodzi? – spytała. – Przybyłam, żeby przepowiedzieć ci życie. Śmierć to coś między tobą a Everamem.

Otworzyła sakiewkę *hora* i wysypała bezcenne kości na dłoń. Aż mieniły się od mocy. Świt nadchodził szybko i jeśli miała odczytać jego przyszłość, nie mogła zwlekać.

Ahmann otworzył szeroko oczy, a wtedy Inevera podsunęła mu kości.

– To *alagai hora* – wyjaśniła.

Cofnął się. Inevera nie winiła go, pamiętała własną reakcję, gdy po raz pierwszy ujrzała kości demona, ale jeśli w sercu tego chłopaka kryła się jakaś słabość, należało ją odnaleźć i zmiążyć.

– Co, chciałbyś na powrót zostać tchórzem? – spytała łagodnie. – Do czego miałyby służyć runy, jak nie do zmuszania magii *alagai*, by nam służyła?

Ahmann przełknął ślinę i znów się pochylił.

Szybko odzyskuje równowagę, pomyślała Inevera i poczuła dumę. Czyż to nie ona nauczyła go ignorować ból?

– Wyciągnij dłoń – poleciła, a sama wyjęła zakrzywiony nóż z rękojeścią wysadzaną diamentami i stalowym ostrzem oznaczonym szeregiem runów.

Ramię Ahmanna nawet nie drgnęło, gdy przecięła mu rękę i ścisnęła brzegi rany, by jak najwięcej krwi spłynęło na jej dłoń. Następnie ujęła *hora* i potrząsnęła.

– Everamie, dawco życia i światła, błagam Cię, obdarz swą pokorną służkę wiedzą o tym, co ma nadejść. Opowiedz mi o Ahmannie synu Hoshkamina, ostatnim potomku z linii Jardira, siódmego syna Kajiego.

Czuła, jak kości rozpromieniają się coraz mocniej i zaczynają emanować mocą.

– Czy jest odrodzonym Wybawicielem? – szepnęła tak cicho, że chłopiec jej nie usłyszał.

I rzuciła.

Gdy pochyliła się i chciwie wbiła wzrok w kości, niespodziewanie zakręciło jej się w głowie. Całkiem zapomniała o równowadze, a krew w jej żyłach skuł lód.

„Wybawiciel się nie rodzi. Wybawiciela się tworzy”.

Syknęła i wsparła się na dłoniach i kolanach, obojętna na to, że pył brudzi jej nieskazitelnie czyste szaty. Istniały teraz dla niej tylko i wyłącznie kości.

„Człowiek, przed którym stoisz, może zostać Wybawicielem, ale jeśli stanie się *Sharum* lub posiadzie jakąś kobietę przed osiągnięciem dorosłości, umrze i na zawsze zejdzie z drogi do tytułu Shar'Dama Ka.

Nie rodzi się, ale jest tworzony? A więc ten chłopak w istocie może zostać Wybawicielem? Nieprawdopodobne.

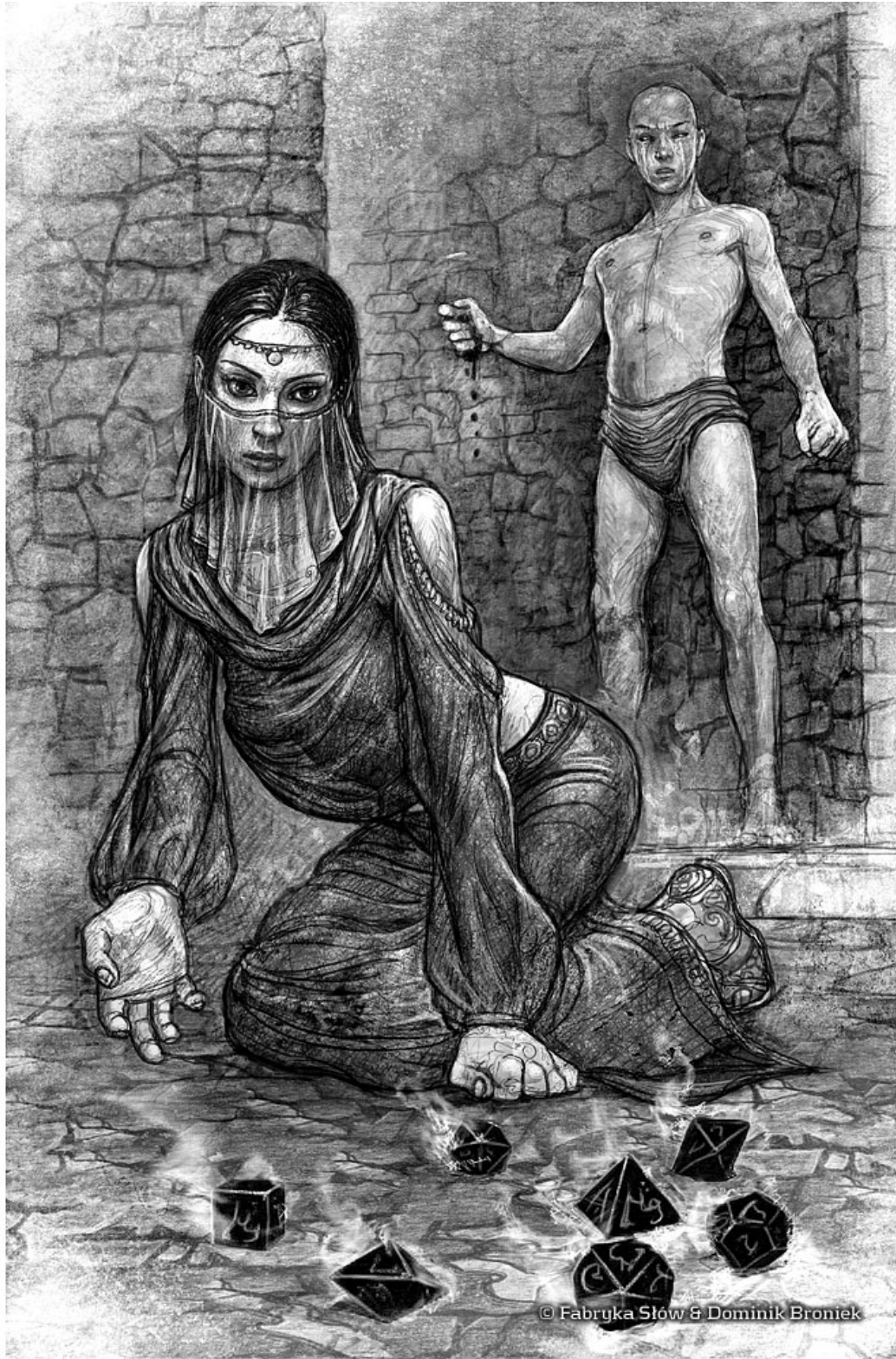
– Te runy zostały pewnie wystawione na światło słoneczne – mruknęła, zebrała kości i nacięła dłoń chłopca, tym razem z większą energią.

Mimo to kości utworzyły dokładnie ten sam wzór.

– Niemożliwe! – krzyknęła i rzuciła nimi po raz trzeci, tym razem z taką siłą, że te aż zawirowały.

Wzór się nie zmienił.

– Co to takiego? – odważył się spytać Ahmann. – Co widzisz?



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Inevera spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

– Przyszłość pozostanie dla ciebie tajemnicą. – Schowała kości do sakiewki, a potem wstała i otrzepała szatę z kurzu. Oddychała równomiernie, próbując odzyskać równowagę, ale serce waliło jej mocno w piersi.

Spojrzała na chłopca. Miał tylko dwanaście lat i nie wiedział nic o nieskończonych aspektach przyszłości i ogromie przeznaczenia, które się nad nim unosiło.

– Wracaj do pawilonu Kaji i spędź resztę nocy na modlitwie – rozkazała i odeszła, nie spojrzawszy za siebie.



Inevera powoli wyszła z Labiryntu. Wiedziała, że *dama* Khevat, który z ramienia *Damaji* Amadeverama sprawował pieczę nad *Sharum* Kaji, będzie na nią czekał. Przypuszczalnie całe plemię wstrzymywało już oddech – jak zwykle, gdy należało odczytać przyszłość jakiegoś *Sharum* pod koniec jego *Hannu Pash*. Plemię jednakże zupełnie jej nie interesowało. Jej myśli zaprzętał Khevat. *Dama* był człowiekiem bystrym, przenikliwym i potężnym, a do tego wywodził się z rodu pierwszych doradców Wybawiciela. Cieszył się względami *Damaji*, *Sharum* Ka oraz *Andraha*. Z kimś tak wpływowym jak *dama* Khevat powinny się liczyć nawet *dama'ting*.

Ale co ona mogła mu powiedzieć? Wedle tradycji istniały tylko dwie odpowiedzi na pytanie zadane kościom: tak lub nie. Tak, chłopiec zasłużył na to, by przywdziać czarne szaty wojownika i jest wart miana mężczyzny. Nie, ten chłopiec to tchórz bądź słabeusz, który pięknie jak krucha stal. *Dama'ting* oczywiście widziały o wiele więcej w swoich proctwach, ale żaden mężczyzna nie zasługiwał na to, by poznać prawdę, nawet *dama*.

Czasami przekazywały im wybrane szczegóły. Zdarzało się bowiem, że odsłaniały niewykorzystany potencjał przyszłego wojownika i zdradzały, w jakiej dziedzinie może się wyróżnić. Niektórych typowały na Patronów Runów, innych na znakomitych strzelców bądź dowódców. *Dama* zwracali szczególną uwagę zwłaszcza na tę ostatnią grupę i po roku najlepsi spośród wskazanych przez kości wysyłani byli do *Sharik Hora*, by wyszkolić się na *kai'Sharum*.

Bywało, że kości odsłaniały wady. Żądzę krwi. Głupotę. Pychę. Każdy *Sharum* miał coś na sumieniu i *dama'ting* rzadko ujawniały takie odkrycie, chyba że wady wojownika mogłyby zaszkodzić innym.

Najważniejsze jednak było to, aby Inevera uznała Ahmanna godnym założenia czarnych szat. Jak i czy w ogóle *dama* lub Sharum Ka wykorzystają przekazane dodatkowe szczegóły, zależało tylko i wyłącznie od nich.

„Zrób z niego mężczyznę” – ogłosiły kości. Ahmann Jardir miał dopiero dwanaście lat, a mimo to Inevera była pewna, że nadaje się na wojownika. Nie miała też wątpliwości, że na razie jest bezbronny i narażony na agresję innych, czego najlepszy dowód stanowiła sytuacja, w jakiej go zastała. Przecież każdy, kto rozwija się tak szybko, robi sobie wrogów, co Inevera wiedziała z własnego doświadczenia. A kości zdradziły, że Ahmann zginie, jeśli zbyt wcześnie zostanie uznany za wojownika.

„Wybawiciel się nie rodzi. Wybawiciela się tworzy”.

Czy miała się wtrącić? Interweniować? Czy to dlatego kości wysłały ją do niego akurat teraz? A może wśród wojowników innych plemion dojrzewała cała setka potencjalnych Wybawicieli, z których każdy czekał na szansę?

Inevera pokręciła głową. Ryzyko było zbyt wielkie. Musiała ochraniać tego chłopaka, który w przyszłości miał zostać jej mężem. Musiała bronić jego honoru, ale przede wszystkim życia.

Niewiele więcej mogła zrobić, po tym jak Ahmann założył czarne szaty. Przecież nie mogła mu odmówić prawa do walki w Labiryncie czy dostępu do *jiwah*'Sharum w wielkim haremie. Nie mogła go uchronić przed każdym nożem czy włócznią wymierzoną w jego plecy.

„Zrób z niego mężczyznę, ale nie zrób tego za wcześnie”. Ale skąd niby miała wiedzieć, kiedy nadejdzie odpowiednia pora? Czy obwieszczą to kości? Gdyby odmówiła mu prawa do założenia czarnych szat, czy istniał sposób, by je później odzyskał?

Skręciła za róg, a tam zgodnie z jej oczekiwaniami stał Khevat, którego zapewne przyprowadził Mistrz Ćwiczeń *nie*'Sharum. Odnalazła równowagę i podeszła do niego majestatycznie. Jej oczy były oazą spokoju.

– Niech ci błogosławi Everam, święta *jiwah*. – Khevat złożył jej ukłon.

Inevera odpowiedziała skinieniem głowy.

– Czy przepowiedziałś śmierć Ahmanna Jardira? – spytał.

Inevera znów skinęła głową, nie odzywając się ani słowem.

– I? – nalegał *dama*. W jego głosie pojawiła się ledwie słyszalna nuta irytacji.

– Jest zbyt młody, by przywdziać czarne szaty – oznajmiła *dama*'ting bez emocji.

– Jest niegodny?

– Jest zbyt młody – powtórzyła.

Khevat zmarszczył brwi.

– Ten chłopak rokuje ogromne nadzieje!

Inevera spojrzała mu prosto w oczy i wzruszyła ramionami.

– Zatem nie powinieneś go posyłać do Labiryntu w tak młodym wieku.

Twarz *dama* pociemniała. Był potężnym człowiekiem i miał dobre układy z ludźmi jeszcze potężniejszymi od siebie. Nie przywykł do tego, by ktokolwiek kwestionował jego decyzje, a tym bardziej, by czyniła to kobieta. W hierarchii Pustynnej Włóczni *dama'ting* znajdowały się poniżej *dama*.

– Ten chłopak pokonał demona! Prawo Everama mówi jasno...

– Nonsens! – przerwała mu Inevera. – Od każdego prawa istnieją wyjątki, a posyłanie do Labiryntu chłopaka, który osiągnie dojrzałość dopiero za kilka lat, to czyste szaleństwo.

– O tym akurat nie ty decydujesz, *dama'ting* – głos *dama* stwardniał.

Inevera ściągnęła brwi i ujrzała, jak na twarzy Khevata pojawia się wątpliwość. Stał od niej wyżej w hierarchii, ale wiedział, że w każdej kwestii budzącej wątpliwości musi uznać autorytet *dama'ting*.

– Może i nie – zgodziła się. – Ale to nie ty zadecydujesz o tym, czy ten chłopak wdzieje czarne szaty.

Uniosła sakiewkę z *hora*. Khevat wzdrygnął się wyraźnie.

– Czy chcesz rozstrzygnąć tę kwestię przed sądem? Może *Damaji Amadeveram* każe mi rzucić kośćmi i ustalić, czy wciąż jesteś godzien prowadzić ten *sharaj*, po tym jak zmarnujesz życie bardzo obiecującego wojownika Kaji?

Khevat otworzył szerzej oczy. Mięśnie jego twarzy drżały lekko, gdy z trudem opanowywał narastającą furię. *Dama'ting* przyparła go do muru. Inevera zastanawiała się, czy mężczyzna straci panowanie nad sobą. Szkoda byłoby go zabić.

– Jeśli ten chłopak wróci do Labiryntu przed osiągnięciem pełnoletności, zginie, a ja nie pogodzę się z taką stratą – powiedziała. – Przyślij go do mnie za pięć lat, a wtedy rzucę kośćmi ponownie.

– A co mam z nim robić do tego czasu? – zapytał ostro Khevat. – Nie może wrócić do *sharaj*, po tym jak stanął w Labiryncie! Bez czarnych szat nie może również wejść do pawilonu Kaji!

Inevera wzruszyła ramionami.

– To już nie mój problem, *dama*. Kości przemówiły. Poznaliśmy słowa Everama. To ty stworzyłeś problem i ty musisz znaleźć rozwiązanie. Jeśli ten chłopak w istocie jest wyjątkowy, jak utrzymujesz, z pewnością znajdziesz dla niego jakieś miejsce. A jeśli nie, to cóż... Wśród *khaffit* na pewno przyda się para silnych rąk.

Odwróciła się i odeszła. Jej spokojny, majestatyczny krok maskował burzę, która wrzała w jej sercu. Celowo wywołała wściekłość Khevata, by ten za wszelką cenę próbował teraz ocalić honor chłopaka, choćby tylko po to, aby zrobić jej na złość. Istniało tylko jedno miejsce, gdzie mógł tego dokonać. Sharik Hora.

Ahmann nie był wystarczająco młody, by zostać powołany do roli *nie'dama*, a ponadto zupełnie do tej roli nie pasował. Nadawał się jednak idealnie, by rozpocząć szkolenie na *kai*. Z tego, co Inevera wiedziała, żaden *nie'Sharum* nie trafił do Sharik Hora przed założeniem czarnych szat, ale Evejah tego nie zabraniała. Ahmann miał tam uczyć się matematyki i literatury, filozofii i strategii, sztuki kreślenia runów oraz historii, a także osiągać wyższe stopnie wtajemniczenia w *sharusahk*.

Takiej wiedzy potrzebował Shar'Dama Ka.

Wybawicielowi należy pomóc w każdy możliwy sposób, pomyślała Inevera.



Zgodnie z jej oczekiwaniami Ahmann został posłany do Sharik Hora następnego dnia. *Dama* Khevat uśmiechnął się ironicznie na jej widok, sądząc, że ją przechytrzył. Inevera nie wyprowadziła go z błędu.

Często stawała w zacienionych balkonach w podziemiach świątyni, gdzie ćwiczyli *nie'dama*, i przyglądała się, jak Ahmann robi postępy w nauce. Chłopak miał ogromne braki i z początku nie znosił szkolenia, utrzymując, że wszystkiego, co mu było potrzebne, nauczył się w *sharaj*.

Szybko mu udowodniono, że się myli, a niechęć do nauki wybito mu z głowy. Niebawem nauka pochłonęła go całkiem i zaczął robić szybkie postępy.



Niemalże siedem lat po poparzeniu Melan ponownie uderzyła w dzwon. Inevera ze spokojem przyglądała się jej testowi, choć wiedziała, że jeśli rywalka przejdzie go pomyślnie, nie będzie miała trudności z utworzeniem kolejnego stronnictwa.

Głos Kenevah był ostry i nieprzyjemny. Bardzo drobiazgowo zbadła kości i zadała Melan serię złożonych pytań, ale ta zdała bez żadnych trudności, zbierając kości zdrową dłonią, a rzucając je szponiastą.

Tego samego dnia Inevera przeszła długim korytarzem Podpałacu do swoich osobistych komnat. Pod drzwiami zastała czekającą Melan. Dawna rywalka miała na sobie nowe szaty oraz woalkę, ale Inevera rozpoznała ją z daleka zarówno po znajomej sylwetce, jak i dłoni z palcami przypominającymi szpony *alagai*. Wycelowała jednym z nich w Ineverę.

– Oszukałaś mnie.

Były same w korytarzu, ale Inevera się nie cofnęła. Kości nie ostrzegały jej przed nieoczekiwanym atakiem, co nie oznaczało, że takowy nie nadejdzie. *Hora* ujawniały głównie te zagrożenia, których *dama'ting* nie była w stanie dostrzec sama. Mogły na przykład ostrzec przed trucizną, ale niebezpieczeństwo, z którego kobieta zdawała sobie sprawę, było jej własnym zmartwieniem. Everam nie żywił współczucia dla ludzi słabych i niezaradnych.

Pokręciła głową.

– Nie, Melan. To ty oszukałaś siebie. Ja cię tylko sprowokowałam. Gdybyś się opanowała i zachowała równowagę, ukończyłabyś kości na rok przede mną. Pozwoliłaś jednak, by zawładnęły tobą duma i zazdrość, i jak ostatnia idiotka potraktowałaś rzeźbienie świętych kości jako wyścig wielbłądów. Nie zasługiwałaś na białą szatę.

Oczy Melan pociemniały.

– A teraz zasługuję?

– Spadłaś na samo dno – oznajmiła Inevera. – Przeżyłaś ogromny ból oraz upokorzenie i do końca życia będziesz nosić blizny. Większość dziewcząt załamałaby się i opuściła pałac. Przecież nawet *nie'dama*, która nie ukończyła szkolenia, jest poszukiwaną kandydatką na żonę. Zamożny *dama* z ochotą przymknąłby oko na zniekształconą dłoń, jeśli jego żona mogłaby to zrekompensować tańcem miłosnym, sztuką leczenia, *sharusahk* oraz magią *hora*. Mogłabyś

zaaranżować udane małżeństwo i zapewnić sobie bezpieczną pozycję jako *Jiwah Ka* wpływowego męża.

Melan oddychała z trudem, aż jej woalka falowała.

– Ale ty się nie załamalaś – ciągnęła Inevera. – Ignorowanie spojrzeń innych *nie'dama'ting* oraz pogardliwych zachowań wymagało ogromnej odwagi, a bez żelaznej siły woli nie odzyskałabyś równowagi potrzebnej do wyrzeźbienia siedmiu idealnych kości. Zaslugujesz na białe szaty.

Inevera zerknęła na szpon Melan, wciąż wymierzony w jej kierunku, ale w tym spojrzeniu nie było strachu. Chciała jedynie uświadomić rywalce, że ta właśnie próbuje ją zastraszyć niczym rabuś na bazarze.

Melan również spojrzała na swą dłoń i potrząsnęła głową, jakby wybudzała się z oszołomienia. Nabrała tchu i cofnęła się o pół kroku, opuszczając rękę.

Inevera niezauważalnie napięła mięśnie. Wiedziała, że jeśli Melan ma ją zaatakować, zrobi to teraz.

– Możemy przerwać nasz spór tu i teraz, Melan. Nie żywię urazy. Nie wiem, co tobą kierowało, ale przydały mi się lekcje, których mi udzieliłaś. Tobie zaś przydały się te, których ja ci udzieliłam, jak sądzę. Obie odrodziłyśmy się jako Oblubienice Everama i powinnyśmy zostawić nasz konflikt tam, gdzie się rozgrywał, czyli w Krypcie.

Inevera podeszła i wyciągnęła rękę.

– Witaj, siostróżono.

Melan stała nieruchomo i wytrzeszczała oczy, a potem podeszła i sztywno odwzajemniła uścisk. Chciała się cofnąć, ale Inevera trzymała ją mocno, zarówno po to, aby przypieczętować pakt, ale i po to, aby unieruchomić niebezpieczną pazurzastą dłoń.

A wtedy, powoli, niczym tama, która stopniowo pęka, aż wreszcie się zawala, Melan zaczęła płakać.



W dniu, gdy Jardir przybrał czarną szatę – jako pierwszy w historii mężczyzna, który ukończył wcześniej szkolenie *dama* – Inevera kroczyła korytarzami pałacu prowadzącymi do skrzydła *Damaji'ting*.

Natknęła się na grupę Oblubienic, które usunęły jej się z drogi z wdziękiem i precyzją porównywalną ze startem stada ptaków. Jako pierwsze odsunęły się najmłodsze i najmniej wpływowe, a na końcu najstarsze i najbardziej znaczące.

Polityka herbaciana. Co miesiąc Kenevah gościła wszystkie *dama'ting* na herbacie i precyzyjnie przydzielała miejsca kobietom, by wskazać każdej pozycję w osobistej hierarchii *Damaji'ting*. Miejsca tuż obok Kenevah najczęściej były zajmowane przez te same osoby, ale dalej dochodziło do częstych zmian. Trwała tam ciągła walka. *Dama'ting* bezustannie szukały każdej możliwej okazji, by wyrzucić wrazenie na *Damaji'ting* i jej najbliższych doradcach.

Inevera stłumiła pogardę. Przez ostatnie kilka lat awansowała stopniowo, aż zajęła miejsce po lewicy Kenevah. Pozycją ustępowała jedynie Qevie siedzącej po prawej. Na rozterki i ambicje pozostałych Oblubienic nie zwracała uwagi. Nadciągała *Sharak Ka* i Inevera nie przejmowała się utarczkami z powodu domniemanej obrazy czy też gadaniną o *dama* pochwyconym niedawno za bido, złocie w jego skarbcu czy ilości żon w haremie.

Jej niechęć do uczestnictwa w rozgrywkach była tak zauważalna, że w oczach niektórych *dama'ting* Inevera stała się jeszcze potężniejsza. Cóż za sekrety skrywała, skoro wynosiła się ponad intrygi pałacowe? Większość kobiet omijała ją jednak szerokim łukiem, sądząc – nie bez powodu – że Inevera wie o czymś, z czego reszta nie zdaje sobie sprawy.

Brak zaangażowania w intrygi był przez inne *dama'ting* postrzegany jako dowód słabości. Kenevah była mistrzynią w wygrywaniu jednej Oblubienicy przeciwko drugiej. Trzymając Ineverę po lewicy, dawała wszystkim do zrozumienia, że oficjalnie nie uznaje jej jeszcze za spadkobierczynię. Niektóre *dama'ting* doszły przez to do wniosku, że Kenevah nie była przekonana, czy Inevera zdoła przewodzić kobietom w plemieniu Kaji. Część z nich zaczęła nawet wierzyć w to, że Ineverę można zabić i ogłosić Qevę *Damaji'ting* do czasu, gdy kości wybiorą kolejną kandydatkę na to miejsce.

Inevera przeżyła już kilka prób zamachu na życie. Trzykrotnie zatruto jej jedzenie oraz napoje, znalazła też żmiję w łóżku, a przechodzący eunuch zaatakował ją nożem.

Za każdym razem Inevera została ostrzeżona przez kości. Żmiję złapała i uwięziła w pudle, udała, że zjadła zatrute potrawy, aby dowieść, że to nie zadziała, a eunucha po prostu zabiła. Jedynym wytłumaczeniem, jakie usłyszały pozostałe mieszkanki pałacu, było to, że obraził Ineverę. Ale od siostry nie spodziewano się obszerniejszych wyjaśnień.

Ani razu nie próbowała się odplacić. Nie usiłowała nawet ustalić tożsamości zamachowców. Nie interesowało jej to, czy atak nastąpił ze strony samej *Damaji'ting*, czy też innych siostr wyczuwających słabość. Dziewczyna nie miała czasu na przygotowywanie trucizn czy rozpuszczanie złośliwych plotek. Skoro kości nadal ją ostrzegaly, nie utraciła łaski Everama, przeto nie miała się czego obawiać. Cóż oznaczał szacunek ze strony siostr wobec miłości boga?

Martwiła się tylko o Ahmanna. Dokładała wszelkich starań, aby nic mu nie zagroziło i mógł sięgać po władzę za każdym razem, gdy pojawi się okazja. Sama mu zresztą takie okazje podsuwała. Wiedziała, że gdy Ahmann osiągnie pełnię swoich możliwości, wszystkie intrygi polityczne w Krasji staną się przeżytkiem. Jeśli zaś tego nie zrobi, lud wyginie w ciągu jednego pokolenia.

Póki Ahmann kładł się do snu w Sharik Hora, pozostawał bezpieczny. Niewielu ludzi wiedziało, że w ogóle tam trafił. Podziemia świątyni znajdowały się daleko od *alagai'sharak* i nie miał tam rywali, którzy mogliby wbić mu sztylet w plecy.

Teraz jednakże jego szkolenie dobiegało końca i Ahmann Jardir stał się *kai'Sharum*, co oznaczało, że niebawem powiedzie ludzi do nocnej walki. Inevera nie bała się o jego bezpieczeństwo w walce z *alagai*. Martwiło ją raczej to, że umiejętności i męstwo chłopaka szybko przyciągną uwagę innych *kai'Sharum* oraz Sharum Ka. *Dama* nie mieli się co obawiać obiecującego wojownika, wyszkolonego jak jeden z ich braci, ale bardziej wpływowi *Sharum* mogli dostrzec w nim zagrożenie dla własnej pozycji. *Sharum* nie uciekali się do podawania trucizny czy wysyłania skrytobójców, ale wystarczyłaby jedna oznaka słabości, a zaszczyliby Ahmanna jak wilki.

Inevera musiała być u jego boku. Musiała codziennie rzucać kośćmi w jego imieniu. Musiała chronić go przed śmiercią. Krasja potrzebowała Ahmanna, a on potrzebował Inevery. Nie mogła pozwolić, aby Wybawiciel szedł własną drogą.

„Uczyń z niego mężczyznę”.

Słowa te rozbrzmiewały echem w jej głowie jak wtedy, gdy wszczęła działania mające na celu skierowanie Ahmanna do Sharik Hora. Radość, którą czuła, gdy ten pogodził się ze swą rolą, nie miała jednakże wiele wspólnego z uwielbieniem Everama. Zaledwie kilka lat temu Jardir był niepiśmiennym dzikusiem, a dziś mógł dyskutować o taktyce, strategii i filozofii z najmądrzejszymi *dama*, był też w stanie pokonać każdego przeciwnika w *sharusahk*.

No i był przystojny. Inevera spędziła długie godziny, przyglądając mu się w bido. Na jej oczach Ahmann przeistaczał się z chłopaka w młodzieńca i widok ten obudził pragnienie. *Dama'ting* marzyła o tym, by wreszcie zdjąć własne bido w noc ślubu i nigdy więcej nie zaplatać tej przeklętej szmaty.

Inevera dotarła do komnaty Kenevah i ujrzała, że przy drzwiach pełni straż Enkido. Włosy eunucha *Sharum* przyprószyła już siwizna, ale nadal był silnym, niebezpiecznym wojownikiem, jedynym mężczyzną na świecie, którego *dama'ting* z plemienia Kaji wtajemniczyła w sekrety walki. Pozwalał kobietom wygrywać podczas walk ćwiczebnych, by pokazać, jak należy wykonać każdy ruch, ale Inevera przyglądała się bacznie i widziała, że zawsze Enkido panuje nad sytuacją. Zlekceważenie go byłoby aktem skrajnej głupoty.

Jej smukłe palce poruszały się szybko, układając słowo za słowem w tajnej mowie znaków. Przybrała postawę wyrażającą szacunek, ale bynajmniej nie uległość.

W końcu miała do czynienia tylko z eunuchem.

„Muszę porozmawiać z *Damaji'ting*”.

Enkido uklonił się.

„Przekażę jej wiadomość, pani” – odpowiedział mową znaków. Zapukał i wszedł, usłyszawszy głos Kenevah. Po chwili wrócił.

„*Damaji'ting* prosi cię, pani, byś tu zaczekała”. – Wskazał krytą jedwabiem otomanę. „Czy mogę podać coś do jedzenia lub picia?”

Inevera pokręciła głową i machnęła dłonią. Eunuch wyprostował się i zastygł niczym marmurowy posąg, a Inevera usiadła.

Na audiencję czekała prawie godzinę, aż w końcu zaczęła zaciskać gniewnie zęby. Kolejna bezużyteczna intryga. Przecież Kenevah nie przyjmowała żadnych gości! Po prostu kazała jej czekać przed komnatami, gdzie każdy przechodzień mógł to zauważyć. *Damaji'ting* chciała zaznaczyć swoją władzę.

W końcu uderzono w dzwoneczki i Enkido zaprosił Ineverę gestem. Dziewczyna przeszła przez portal, a eunuch zamknął za nią drzwi. Po kilku krokach znalazła się w biurze Kenevah. Okna zostały zasłonięte grubymi aksamitnymi storami i jedynym źródłem światła były runy na suficie.

Inevera ukloniła się z szacunkiem.

– Rzadko się zdarza, byś wyczekiwała na moim progu – powiedziała Kenevah. Jej wzrok był nieprzenikniony.

– Chciałam omówić kilka pilnych spraw, *Damaji'ting* – rzekła Inevera. – Lecz twój czas jest zbyt cenny, by go marnować.

– Pilne sprawy? – burknęła staruszka. – A mogłabym wiedzieć, co to takiego? Jesteś absolutną mistrzynią we wszystkim, za co się weźmiesz, a mimo to bardzo rzadko bywasz w pałacu. Nawet w pawilonie uzdrowicielek spędzasz tylko tyle czasu, ile trzeba, i ani chwili dłużej. Moi informatorzy widywali cię natomiast w różnych punktach miasta, nawet na terenach kontrolowanych przez inne plemiona.

Skrapiałam kości krwią innych chłopców w poszukiwaniu innych takich jak Ahmann, pomyślała Inevera.

„Wybawiciel się nie rodzi. Wybawiciela się tworzy”.

– Chcę poznać Pustynną Włócznie i mieszkających tu ludzi, aby lepiej im służyć. – Wzruszyła ramionami.

– Ale to wywołuje złe wrażenie – stwierdziła Kenevah. – A poza tym niebezpiecznie jest zapuszczać się na tereny innych *dama'ting*.

– Czy jest to bardziej niebezpieczne od chodzenia po korytarzach naszego pałacu?

Kenevah zacisnęła usta. Dziewczyna nie miała pewności, czy to *Damaji* wydała polecenie zamachu, ale jej zachowanie wskazywało, że z pewnością wie o wszystkim.

– Skoro mój czas jest taki cenny, to co cię tu sprowadza?

– Postanowiłam wyjść za mąż. – Inevera ukloniła się.

Kenevah uniosła brew.

– Naprawdę? A kim jest ów szczęśliwy *dama*? Może Khevat? A może wyjdiesz za Badena, skoro i tak nie interesujesz się mężczyznami?

Ineverę niespodziewanie ogarnął lęk. Kenevah w istocie miała wszędzie szpiegów, ale ile udało jej się odgadnąć? Jej zwierzchniczka przypuszczalnie nie wiedziała, że dziewczynie udało się odtworzyć dziewictwo za pomocą magii, ale sama Inevera nigdy nie kryła, że jej komnatę odwiedzali jedynie eunuchowie zbyt starzy, by wykorzystać swe włócznie. Najczęściej usługiwały jej *nie'dama'ting*, co rozpowszechniło plotkę, jakoby preferowała dziewczęta.

– To nie kleryk, *Damaji'ting*. To *Sharum*.

– *Sharum*? O, teraz to się stało naprawdę ciekawe. Masz na myśli tego chłopaka, którego zamknęłaś w *Sharik Hora*?

Opanowanie *Inevery* przysło. Wystraszyła się, że jej oczy zdradziły zbyt wiele, gdy *Kenevah* niespodziewanie wybuchła śmiechem:

– Masz mnie za idiotkę, dziewczyno? Najpierw wywołałaś mnóstwo świętego oburzenia, ba, świętego smrodu, rzekłabym! w pałacu *Kaji*, odmawiając chłopakowi czarnych szat, a potem bez przerwy snułaś się po katakumbach i przyglądałaś jego szkoleniu. To chyba dość oczywiste znaki, nie sądzisz?

Kenevah uniosła dłoń z zestawem starych kości.

– Ponadto mam własne *hora*.

Inevera musiała opanować pokusę sięgnięcia do swojej sakiewki. Najpotężniejsze z jej kości mogłyby wysłać impuls magiczny, który zabiłby staruszkę na miejscu. Nie nosiła czarnej woalki, ale skoro kości nie wyznaczyły innej pretendenci, *Inevera* mogła natychmiast zażądać tronu *Damaji'ting* dla siebie, choć najprawdopodobniej musiałaby przy tym zabić *Qevę* i kilka innych rywalek.

„Mam własne *hora*” – rzekła *Kenevah*. Te słowa przypomniały *Ineverze*, że stara *Damaji'ting* potrafi wróżyć, stanowiły również groźbę. Odkąd wdziała białe szaty, *Inevera* zdołała zgromadzić kilkanaście *hora*. *Kenevah* z pewnością miała ich całe setki. I potrafiła doskonale zadbać o swoje bezpieczeństwo, a nieudana próba zamachu miałyby tylko jeden skutek.

Odrpężyła się, a *Kenevah* kiwnęła głową i wsunęła kości z powrotem do sakiewki.

– Nie skonsultowałaś się ze mną w sprawie małżeństwa – oznajmiła.

– Pytałam kości.

Twarz *Kenevah* pozostała obojętna, ale w jej oczach błysnęła furia.

– Nie skonsultowałaś się ze mną! Ze mną! Co by było, gdybyś źle odczytała wynik rzutu? Żadna z *Damaji'ting* od lat nie wyszła za mąż! Naszym mężem jest *Everam*. Naprawdę nie interesuje cię moje stanowisko?

– Nie ma w *Evejah'ting* ani słowa o tym, że jako mężatka nie mam prawa założyć czarnego zawoju *Damaji'ting* – rzekła *Inevera*. – Owszem, to wielka rzadkość, ale nie ma żadnego znaczenia. Kości kazały mi urodzić mu synów i tak też zrobię, trzymając się prawa *Everama*.

– Dlaczego? – spytała ostro *Kenevah*. – Cóż jest tak szczególnego w tym chłopaku?

Inevera wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się powoli.

– Wedle Evejah'ting to odpowiednia żona sprawia, że mężczyzna staje się kimś szczególnym.

Oczy Kenevah pociemniały.

– Precz stąd, jeśli moje rady tak niewiele dla ciebie znaczą. Sądziłam, że przyjdzie mi przygotować cię do roli mojej spadkobierczyni, ale widzę, że marnuję swój czas. Lepiej będzie, jak się skupię na wykrywaniu śladów trucizny w mojej herbacie lub... lub na przygotowywaniu własnej.

Jej słowa zaboląły, ale Inevera wiedziała, że nie powinna bać się o własne bezpieczeństwo. Prawdziwym zagrożeniem było to, że starucha dowiedziała się o Ahmannie. Każde kolejne słowo na jego temat zachęciłoby Kenevah, aby baczniej mu się przyjrzeć.



Ahmann trzymał Ineverę mocno za rękę, prowadząc ją do komnaty weselnej. Szła za nim chętnie, ale tak bardzo się spieszył, jakby miał zamiar zawlec żonę siłą. Zachowywał się jak wilk, który pospiesznie niesie zdobycz do nory, bo wie, że inne osobniki chcą mu ją odebrać.

Widząc zapal młodzieńca ciągnącego nowo poślubioną żonę do komnaty, pozostali mężczyźni wiwatowali i wykrzykiwali sprośne komentarze. Wojownicy uwielbiali przechwalać się łóżkowymi podbojami i uważali się za dziny tylko i wyłącznie dlatego, że ich kochankom zdarzało się westchnąć podczas stosunku.

Niekończące się lekcje tańca miłosnego nauczyły Ineverę dostrzegać i wykorzystywać niedoświadczenie mężczyzny. Jeśli chodziło o łóżkowe podboje, Ahmann wciąż był dzieciakiem. Nigdy dotąd nie widział rozebranej kobiety, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie zakosztował pocałunku czy pieszczoty. Był przerażony.

Ineverę przepelniał zachwyt.

Ona, choć praktycznie nadal dziewica, w przeciwieństwie do Ahmanna doskonale wiedziała, czego należy się spodziewać w łozu. Zmierzali do miejsca, gdzie to ona osiągała całkowitą władzę. Znała siedem sposobów poskramiania męskości i siedemdziesiąt siedem pozycji seksualnych. Była gotowa tańczyć wokół Ahmanna, czarować go i prowadzić ku zwycięstwom, nie pozwalając mu dostrzec, że to nie on panuje nad sytuacją.

„Uczyń z niego mężczyznę”.

Weszli do pachnącej komnaty pełnej poduszek, przygotowanej specjalnie przez inne Oblubienice. W powietrzu unosił się intensywny zapach kadzidła, od ścian odbijał się migotliwy blask świec. Poduszki ułożono pod ścianami, a podłogę pozostawiono wolną, aby Inevera mogła tańczyć. Wiedziała, że zaraz pchnie go na poduchy, a wtedy znajdzie się całkowicie pod jej wpływem, złapany niczym mucha w pajęczą sieć.

Woalka skryła jej uśmiech, gdy zaciągała ciężkie zasłony.

– Wydajesz się spięty – powiedziała.

– A może być inaczej? Jesteś moją *Jiwah Ka*, a ja nawet nie znam twojego imienia.

Inevera wybuchła śmiechem. Nie chciała, by zabrzmiało to szyderczo, ale wyraz twarzy Ahmanna zdradził, że mąż tak to właśnie odebrał.

– Naprawdę nie znasz? – spytała i zsunęła woalkę, a po niej zawój. Jej włosy, na powrót długie i upięte złotymi spinkami, opadły z szelestem. Bido *dama'ting* przytrzymał jedynie pojedynczy węzeł przy talii.

Ahmann otworzył szerzej oczy.

– Inevera!

Jej serce zabiło żywiej, gdy usłyszała, jak wymawia to imię. Widział jej twarz tylko raz, a w dodatku był półprzytomny z bólu, ale mimo upływu lat wciąż ją pamiętał. Przerazenie znikło mu z oczu, zastąpił je żar, który rozgorzał w ciele Inevery. Niespodziewanie odkryła, że kontrolowanie oddechu przychodzi jej z coraz większą trudnością.

– Owej nocy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedziała – skończyłam formować moje pierwsze *alagai hora*. To było przeznaczenie, wola Everama, zupełnie jak w moim imieniu. Musiałam zadać pytanie. Chciałam sprawdzić, czy kości widzą przyszłość. Nie miałam jednak pojęcia, o co pytać, aż przypomniałam sobie spotkanego wcześniej zuchwałego chłopca i jego śmiałe spojrzenie. Potrząsnęłam kośćmi i zapytałam: „Czy kiedykolwiek spotkam jeszcze Ahmanna Jardira?”. I od tej nocy wiedziałam, że znajdę cię w Labiryncie po twojej pierwszej *alagai'sharak*. Co więcej, wiedziałam również, że stanę się twoją żoną i urodzę ci wiele dzieci.

Inevera przećwiczyła tę przemowę wiele razy i mówiła z głębokim przekonaniem, choć było w niej mnóstwo kłamstw i półprawd. Lecz słowa tak naprawdę nie miały znaczenia. Ich związek był przeznaczeniem ukształtowanym przez Everama. Ahmann i Inevera mieli się spotkać i pobrać. To z tego powodu Ahmann patrzył teraz na nią tak, że policzki Inevery płonęły,

a jej wystudiowany spokój runął w gruzach. Ahmann był wichrem, a ona stała się pochwyconym przez niego liściem.

Mało brakowało, a ugięłaby się i opowiedziała mu o wszystkim. Wystarczyło bowiem spojrzeć w jego uczciwe oczy, by wiedzieć, że Ahmann nigdy nie stanie się potworem. On był wybrańcem Everama. Tylko on mógł unieść na swych barkach ciężar przeznaczenia.

Ale czy mogła powiedzieć komukolwiek, że ten chłopak może zostanie Wybawicielem? Nie, to zbyt skomplikowana sprawa, a ta noc była dla niej zbyt ważna. Ta noc miała być idealna.

Wzruszyła ramionami i jej biała szata osunęła się z szelestem. Inevera miała teraz na sobie jedynie bido z wszytymi tu i ówdzie dzwoneczkami. Potarła kciukami o smukłe koniuszki palców wskazujących, by je rozgrzać. Miała szczegółowy scenariusz w głowie. Wiedziała, że teraz podejdzie do Ahmanna i pozwoli mu się pieścić, aż zacznie ciężko dyszeć, potem wykorzysta subtelny chwyt *sharusahk*, by złamać linię mocy w jego nodze i przewrócić go na poduszki. Potem założy dzwoneczki i wybije rytm, który roznieci ogień w jego łądźwiach.

I wreszcie rozpocznie taniec, a w jego trakcie po raz ostatni w życiu rozsznuruje bido. Taniec, podobnie jak przemówienie, był przećwiczony tak dokładnie, że każdy ruch wydawał się teraz częścią jej osoby.

Kiedy Ahmann znajdzie się całkowicie pod kontrolą, Inevera padnie na niego i urządzi mu taką lekcję miłości, że każda następna kobieta okaże się dla tego chłopaka wielkim rozczarowaniem.

Tymczasem Ahmann wciąż wpatrywał się w Ineverę, a żar w jego oczach przeistaczał się w buchający płomień. Czują jego gorąco, jej rumieniec stawał się coraz intensywniejszy. Próbowwała głęboko oddychać, ale w głowie kręciło jej się od zapachu kadzidła i nie mogła odnaleźć równowagi. Wiedziała, że powinna rozpocząć starania, ale myśl ta naraz wydała się Ineverze obca, jakby przybyła spoza jej ciała.

Bezsilnie patrzyła, jak Ahmann zdejmuje wierzchnią szatę i podchodzi z nagą klatką piersiową, między Ineverę ramionami i przesuwając dłonie po jej ciele. Wdychał perfumy, którymi skropiono szyję dziewczyny, a potem warknął głucho, aż poczuła mrowienie między nogami. Przyciskał ją do siebie, całował, kradł jej oddech, niszczył równowagę. Inevera czuła sztywność w jego spodniach i wiedziała, że jeśli pozwoli mu, by ją wziął niczym zwykłą *jivah*, wszystkie plany runą, ale w niewytłumaczalny sposób Ahmann zdołał pokonać opór dziewczyny i cisnął ją na poduszki.

Przygniótł ją swoim ciężarem. Dłonie i usta były wszędzie, Ahmann pieścił Ineverę, całował, kąsał, ścisnął tak, że aż się wiała. Naraz dłoń męża znalazła się między jej nogami i pogładziła jedwab jej bido. Inevera jęknęła i napała na niego mocniej.

Muszę przejąć kontrolę, pomyślała z narastającą desperacją, albo już zawsze będzie mnie brał wedle swego uznania.

Przetoczyła się i znalazła na nim, po czym rozwiązała paski przy jego spodniach i ściągnęła mu bido. Szybko znalazła olejek, natarła dłonie i przypomniała sobie o pierwszym sposobie obchodzenia się z męskością.

Ahmann jęknął z uniesieniem i opadł na poduszki. Inevera odzyskała kontrolę nad swoim oddechem.

Jest mój.

Niestety, nie utrzymała go długo. Ruchy opracowane przez Damajah miały na celu wyciszyć i uspokoić żądzę mężczyzny, a podniecenie Ahmanna rosło z każdą chwilą. Zastosowała inne techniki, ale również nie zadziałały. Mężczyzna objął ją potężnymi ramionami, wsunął palce między pasma jej bido i szarpnął, usiłując je ściągnąć.

Bido *nie'dama'ting* było jednak wykonane z mocniejszego materiału i oparło się próbom. Wojownik mruknął i szarpnął mocniej, aż Inevera krzyknęła. Z głuchym warknięciem zaczął szukać końca bido, by je rozplątać, ale nigdzie nie znalazł. Złapał więc pasmo i wyteżył wszystkie siły, aby rozerwać tkaninę, ale jedwab wytrzymał, choć Ahmann zacisnął zęby z wysiłku.

– Nie dasz sobie z tym rady! – Inevera znów popchnęła go na poduszki. – Sama muszę je rozpleść! Zatańczę...

– Później! – Ahmann złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Sięgnął do pasa i wyjął nóż.

– Nie możesz... – krzyknęła Inevera, ale mężczyzna jej przerwał:

– Jestem twoim mężem! Śnię o tobie od lat, aż znalazłaś się w moich ramionach. Oto *inevera*, a ja nie chcę czekać ani chwili dłużej!

Mogła go powstrzymać. Mogła jednym uderzeniem odebrać mu czucie w ramieniu, mogła je wykręcić, ale się zawahała. Ahmann w okamgnieniu przeciął jedwab bido.

Żadna z lekcji nie przygotowała Inevery na falę przyjemności, którą wywołały pierwsze pchnięcia męża. Gdyby nie lekcje tańca miłosnego, całkiem straciłaby panowanie nad sobą.

Otwierała i zamykała usta, przygryzała wargę i oplatała udami partnera, to gwałtownie przyciągając go do siebie, to znów odpychając nieco.

Ahmann nie był jednakże potulnym eunuchem i Inevera szybko się przekonała, że trudniej jest utrzymać wyćwiczone pozycje w łóżku, gdy ogarnęła ją żądza. Jardir nadrabiał brak doświadczenia pasją i oboje przetaczali się po poduszkach, usiłując przejąć kontrolę. Inevera czuła, że jej uniesienie sięga szczytu i na przekór wszelkim przyswojonym naukom pozwoliła, by nią całkowicie zawładnęło. Aż zawyła z rozkoszy, a Ahmann zwiększył wysiłki. Napięła wszystkie mięśnie i wbiła mu paznokcie w twarde pośladki. Ryknął. Potem oboje opadli na poduszki, zdyszani i wyczerpani.

Zapadli w sen, a gdy Inevera przebudziła się, poczuła dłoń Ahmanna przesuwającą się po jej ciele. Mąż oddychał głęboko i rytmicznie.

Mój wilk trąca mnie łapą nawet we śnie, pomyślała z dumą. Podniosła się i dosiadła go, ujmując jego nabrzmiałą męskość.

Ahmann jednakże nie był całkiem pogrążony we śnie. Stracił Ineverę na poduszki i wziął od tyłu niczym dziki pies, pomrukując z każdym pchnięciem.

„Gdy masz władzę nad przyrodzeniem mężczyzny, panujesz nad nim całkowicie” – nauczała Qeva, ale Inevera miała wrażenie, że w żaden sposób nie panuje nad Ahmannem. Ba, właściwie to nawet tego nie chciała. Czy to możliwe?

Bo to nie jest pierwszy lepszy mężczyzna, szepnęła sobie w duchu. To Wybawiciel.

Jęknęła z twarzą wciśniętą w poduszki.

Mam w sobie przyrodzenie Wybawiciela.

Jej jęk przerodził się w krzyk. Napała instynktownie do tyłu i Ahmann osiągnął szczyt w tej samej chwili. Potem znów zapadł w sen.

Inevera jednakże nie zmrużyła oka przez resztę nocy.

Kości oszukiwały i karmiły ją półprawdami.

Wiedziała, że to ona ma uczynić z Ahmanna mężczyznę, ale nie spodziewała się, że to on zrobi z niej kobietę.



X

Zmartwienie Kenevah

LATA PLAGI 313–317

Mój syn obiecał, że któregoś dnia podaruje mi pałac! – wykrzyknęła Kajivah, tańcząc po komnatach w pałacu Kaji, do których Ahmann miał prawo jako *kai'Sharum*. Pomieszczenia nie stanowiły własności Ahmanna ani tym bardziej Kajivah, ale ta zupełnie się tym nie przejmowała. Trzy młodsze siostry Ahmanna, Imisandre, Hoshvah i Hanya, podzielały radość matki i z wrzaskiem biegały po pokojach.

– Obiecał mi, a ja wierzyłam, choć Everam jeden wie, że cierpieliśmy ogromną biedę. Ludzie mówili, że jestem przeklęta, bo urodziłam po nim trzy dziewczęta, ale wiesz, co mówiłam?

Inevera zamknęła oczy i nabrała tchu. „To tylko wiatr”.

– Że Everam obdarzył cię synem tak wielkim, że nie potrzeba mu braci?

W jej słowach nie było ani śladu sarkazmu, choć od dnia ślubu, który miał miejsce tydzień temu, Kajivah powtórzyła przy niej to pytanie chyba z tysiąc razy.

– Otóż to! – krzyknęła Kajivah. – Matki zawsze wiedzą takie rzeczy! Zawsze byłam pewna, że mój syn jest stworzony do wielkich czynów!

Akurat, pomyślała Inevera. Bo niby skąd Kajivah miałaby to wiedzieć? Matka Ahmanna i jej córki nigdy nie chodziły do szkół i nie potrafiły nawet pisać. Były zwykłymi, ciemnymi

kobietami, które tak bardzo kochały jedyne go mężczyznę w rodzinie, że nie miały wiele ciepła dla siebie nawzajem. Do niedawna utrzymywały się ze sprzątnięcia domów zamożnych rodzin i datków miejscowego *dama*.

Kajivah ledwie potrafiła pojąć to, że po kres życia będzie się pławić w luksusie. I nie rozumiała niczego więcej. Inevera wiedziała, że prawdziwa wielkość była dla matki Ahmanna równie niepojęta jak niebo dla ryby.

Kajivah nadal trąkotała i myszkowała po komnatach. Była stosunkowo nieszkodliwą kobietą, a do białych szat Inevery odnosiła się z wielkim szacunkiem, ale za bardzo rozpieszczała Ahmanna, podczas gdy żona wołała, aby mąż był twardy i surowy.

Inevera miała nadzieję, że może uda się znaleźć męża dla Kajivah. Nakłoniła już Ahmanna, by wydał siostry za swoich poruczników. Dziewczyny były stosunkowo ładne, a małżeństwa ugruntowałyby lojalność wojowników wobec przywódcy. Siostry powitały nowinę wrzaskami radości, choć nawet nie spytały, która wyjdzie za kogo.

Kajivah była już zbyt stara, by rodzić dzieci, a poza tym żaden z mężczyzn zaproponowanych przez Ineverę nie przypadł Ahmannowi do gustu. Nikt się nie nadawał, by zostać mężem jego czcigodnej świętej matki. Została więc wraz z nimi, ku wiecznemu utrapieniu *Jiwah Ka*.

Będzie pomagać w opiece nad dziećmi, pomyślała Inevera. Póki nie ukończą pięciu lat i nie zrobią się od niej mądrzejsze.

– Matko! Spójrz na to! – zawołał Ahmann.

Inevera odwróciła się i ujrzała męża, który wyciągał dłonie ku wodzie tryskającej z fontanny w pokoju gościnnym. Już miał dotknąć wody, ale cofnął palce szybko, jakby o mały włos nie popełnił profanacji. Przez ostatnie dziesięć lat spał w niewielkiej kamiennej celi, fontanna wydawała mu się ogromnym luksusem.

Inevera przypomniała sobie pierwszy dzień w pałacu *dama'ting* i uśmiechnęła się, gdy Kajivah podbiegła do syna. Zaczepnęli bowiem wody do porcelanowego nocnika i napili się prosto z niego. Dziewczęta usłyszały ich śmiech i zbiegły się z radosnymi krzykami, by również poczęstować się wodą z fontanny.

Inevera pokręciła głową, bez trudu odzyskując równowagę. Kajivah była nieszkodliwa, a jej obecność stanowiła niewielką cenę za szczęście Ahmanna.



Minęły trzy lata. Przez ten czas Inevera powiła trójkę dzieci. Najpierw urodzili się synowie Jayan i Asome, którzy mieli zostać spadkobiercami Ahmanna, a potem przyszła na świat córka Amanvah. Inevera przeprowadziła też rozmowę z każdą wolną *dal'ting* w plemienu, poradziła się kości i nakłoniła Ahmanna, by do ich rodziny dołączyły dwie siostry-żony, Everalia i Thalaja. Były one głównie służącymi, ale wedle kości mogły również urodzić Ahmannowi synów, by umocnić jego wpływy i pozycję. Wkrótce obie zaszły w ciążę.

Ahmann okazał się znakomitym *kai'Sharum*. Przy tworzeniu swego pierwszego piętnastoosobowego oddziału naraził się z początku na kpiny ze strony *dama*, gdyż wołał dawnych towarzyszy z *sharaj* od starszych, bardziej doświadczonych weteranów. Ludzie Ahmanna znali go jednak z czasów, gdy był *Nie Ka*, i przywykli do wypełniania jego poleceń. W oddziale panowała surowsza dyscyplina niż w wielu innych jednostkach plemienia Kaji. Walczyli też bardziej zaciekle i zabijali tyle *alagai*, że inni *kai'Sharum* zaczęli chłostać swych ludzi, by pobudzić ich do większego męstwa. Wkrótce oddział Ahmanna powiększył się do pięćdziesięciu ludzi i stał się największą jednostką w plemienu. Nawet najgorsi z jego wojowników mogli się poszczycić ilością zabitych demonów, która wywarłaby wrażenie na każdym Mistrzu.

Inni *kai'Sharum* uważnie przyglądali się jego postępowi.

– *Kai* Haival marzy o tym, by nadziąć mnie na rożen jak jagnię – oznajmił Ahmann pewnego dnia, gdy Inevera go kąpała. – Widzę to w jego oczach, choć nie zdobył się jeszcze na odwagę, aby mi rzucić wyzwanie.

– Będę potrzebować jego krwi – rzekła Inevera.

Ahmann spojrział na żonę.

– Po co ci jego krew?

Zawsze był śmiałym człowiekiem, a cecha ta z biegiem czasu stawała się coraz bardziej widoczna. Słuchał jej słów, ale traktował Ineverę jako doradczynię, a nie jako głos Everama. Co więcej, zaczynał kwestionować jej pomysły.

– Chcę odczytać jego przyszłość – powiedziała Inevera. – Chcę mieć pewność, że nie jest mu pisane cię zabić.

Ponadto nie wolno mi ustawać w poszukiwaniach, dodała w duchu. Bo może jest więcej takich jak ty.

– Przecież właśnie ci powiedziałem, że on nie ma dość odwagi! – Ahmann odwrócił się i rozparł wygodnie. Przymknął oczy, gdy Inevera masowała obolałe mięśnie. Na jego twarzy pojawił się spokój.

Co za uparciuch, pomyślała *dama'ting*.

– Tchorze zabijają równie często jak bohaterowie – wyjaśniła. – Tylko że uderzają znienacka, w ciemności. Wbijają noże w plecy, rozpowszechniają kłamstwa, przemycają truciznę do jedzenia.

– Tak czy owak, żeby mnie zabić, musiałby się przedrzeć przez moich ludzi, a potem jeszcze pokonać mnie. – Ahmann nie musiał się przechwalać ani tym, że był człowiekiem niezwykle czujnym, ani też tym, że nie miał sobie równych w walce. W istocie szansa, iż przegra w pojedynku, była bliska zeru.

Lecz Inevera wiedziała, że skoro jeden człowiek zaczyna już snuć zbrodnicze plany, wkrótce pojawią się inni. Gotowa była rzucić kośćmi za każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Krasji, byle ochronić Wybawiciela.

– A jeśli zaatakują twoje żony, a nie ciebie? – spytała. – Albo twoje dzieci? W przeszłości wielokrotnie do tego dochodziło. Czy zdołasz chronić nas przez cały czas? Cóż złego w tym, że poznam rozmiary jego nienawiści?

– To nie nienawiść – westchnął Ahmann. – To zwykła zazdrość. Zacznie mnie nienawidzić dopiero po tym, jak złamię mu nos, by ci przynieść zakrwawioną rękawiczkę. Ciągłe opowiadasz o wspólnym działaniu i jednoczeniu ludzi, ale jak sobie to wyobrażasz, skoro darzysz tak wielką nieufnością nawet ludzi z własnego plemienia?

Inevera zeszywniała, ale ugięła się pod naporem wiatru i odzyskała równowagę, nim Ahmann w ogóle zauważył jej niepokój.

– Może masz rację, mężu – powiedziała, po czym wytarła jego ciało i wyprowadziła go z łaźni. Po nocnej bitwie i gorącej kąpieli nawet twarde mięśnie Ahmanna się rozluźniły. Inevera zatańczyła dla niego, a potem dosiadła go i w końcu pomogła mu zasnąć.

Później, gdy w sypialni niosło się już pełne zadowolenia chrapanie Ahmanna, Inevera wyslizgnęła się z jego objęć i poszła do jednej z własnych komnat. Słowa męża nie dawały jej spokoju. Co za głupiec! Co za naiwniak!

W słowach Ahmanna słyszała mądrość Kajiego przekazaną w Evejah. Damajah nigdy nie ufała nikomu, ale Shar'Dama Ka zawsze usiłował znaleźć w ludziach to, co najlepsze, i inspirował ich tak bardzo, że okazywali mu później nieprawdopodobną lojalność.

A może on naprawdę jest Wybawicielem?

Uklęknęła na aksamitnej poduszce, rozłożyła sukno, na którym zawsze rzucała kości, i ujęła sakiewkę. Jak zwykle miała przy sobie fiołkę z krwią męża. Wylała kilka kropel bezcennego płynu na kości i potrząsnęła nimi.

– W jaki sposób Ahmann może zjednoczyć naszych podzielonych rodaków? – szepnęła i rzuciła.

„Wybawiciel musi pojąć za żonę Oblubienicę z każdego plemienia i spłodzić z nią synów oraz córki”.

Inevera otworzyła szeroko oczy. Kości nierzadko odpowiadały na jej pytanie w sposób tak zagmatwany, że nie rozumiała przekazu. Bywało też, że dzieliły się z nią jedynie okruchami prawdy. Nieraz zdarzało się też, że ich odpowiedź była niczym siarczasty policzek. Małżeństwo z kobietami z innych plemion sprawiłoby, że Ahmann – oraz Inevera – zostaliby wygnani z Kaji. Czy Everam naprawdę chciał, by dzieliła się mężem z innymi *dama'ting*? Nie mogła się z tym pogodzić! Everalia i Thalaja, choć rodziły Ahmannowi dzieci, nie dorównywały Ineverze inteligencją, urodą ani umiejętnościami. Nie osiągnęły jej mistrzostwa w tańcu miłosnym, nie potrafiły leczyć ani czarować. Nawet kolejna *dama'ting* z plemienia Kaji byłaby wyzwaniem jako *Jiwah Sen*, a co dopiero *dama'ting* z innego plemienia! A jedenaście rywalek?

Inevera oddychała szybko, by odzyskać równowagę. Była służką Everama, instrumentem jego woli. Jeśli kości wydały polecenie, spełni je.

Zebrała je i odważyła się rzucić po raz kolejny.

– Jak mam wybrać żony dla Ahmanna?

„Już zostały wybrane”.



Gdy pojawiła się Belina, Inevera klęczała w należącej do niej niewielkiej alkwie do wróżenia w pałacu Andraha. Istniało wiele podobnych pomieszczeń. Podczas narady *Damaji* i Andraha bez przerwy potrzeba było mniej istotnych czarów bądź wróżb – zadań poniżej

godności samej *Damaji'ting*. Przypadały one całej armii starszych Oblubienic ze wszystkich plemion, które towarzyszyły swym przywódczyniom na dworze.

Inevera zajmowała trzecią pozycję w hierarchii plemienia i oczekiwano, że weźmie udział w naradzie, choć prawo nie nakładało na nią tego obowiązku. Jej starsze towarzyski nie posiadały się z oburzenia, kiedy po raz pierwszy opuściła naradę, by za radą kości poszerzać wpływy męża. Później czyniła to wielokrotnie i Kenevah poczytywała to za zniewagę, co oczywiście pociągało za sobą konsekwencje.

Plemiona były często poróżnione, ale wszystkie *dama'ting* działały wedle nakazów Evejah'ting. W każdym plemieniu oczekiwano więc, aż kości wskażą przyszłe następczynie rządzących *Damaji'ting* gdzieś poza pałacem. Kilka lat po tym, jak Inevera przybyła do pałacu, pojawiły się pierwsze z nich, niektóre znacznie młodsze od niej.

Wszystkie nosiły już czarne woalki. Wszystkie z wyjątkiem Inevery. Za każdym razem, gdy przebywała na dworze, bez przerwy przypomniano jej o poświęceniu dla Ahmanna. *Dama'ting* potrafiły wyrazić bardzo wiele samymi tylko spojrzeniami i wszystkie nowe spadkobierczynie szydziły z Inevery, która uparcie odmawiała sobie awansu.

Ta nienawidziła ich wszystkich, a Beliny z plemienia Majah w szczególności. W oczach tej drobnej *dama'ting*, gdy spoglądała na Ineverę, widać było bowiem jedynie pogardę.

Jakże bezgraniczne okazało się zatem zdumienie Beliny, gdy dzień wcześniej Inevera przekazała jej wiadomość. Zrobiła to tak szybko i zręcznie, że nikt nie zauważył.

Komnata, w której Inevera rzucała kośćmi, była bogato udekorowana, jak przystało na pomieszczenie przynależne trzeciej co do starszeństwa Oblubienicy w Kaji. Nie docierało tu światło słoneczne, a ciemności rozpraszał jedynie blask runów. Obok *dama'ting* stał srebrny serwis, a ciepło herbaty utrzymywał niewielki run gorąca.

Gdy weszła Belina, Inevera napelniała właśnie filiżankę. Zaplanowała ten ruch, choć nie uśmiechało jej się usługiwanie innej *dama'ting*, która stała niżej w hierarchii plemiennej.

– Dziękuję za przybycie, siostrze.

Belina z wdzięcznością przyjęła filiżankę. Była drobniutką, ale dobrze zbudowaną kobietą, mierzącą niecałe pięć stóp wzrostu. Miała wąską talię, lecz obfity biust oraz okrągłe biodra. Wydawała się gotowa urodzić i wykarmić całą armię. Zerknęła podejrzliwie na Ineverę.

– Wciąż nie mam pewności, co tu robię.

Inevera spuściła wzrok i naląła herbaty dla siebie.

– Darujmy sobie na razie gierki, Belino. Obie rzuciłyśmy kośćmi przed tym spotkaniem. Powiedz mi, co zdradziły ci twoje, a ja powiem, czego dowiedziałam się od moich.

Filizanka Beliny lekko drgnęła, co było jedynym świadectwem zaskoczenia. Zagładanie w przyszłość stanowiło intymny akt połączenia z Everamem. Oblubienice czasami omawiały znaczenie rzutu z najbliższymi i najbardziej zaufanymi sojusznikami, ale wypytywanie innych o wynik wróżby było szczytem bezczelności.

Kobiety spojrzały na siebie w milczeniu i napiły się herbaty. W końcu Belina wzruszyła ramionami.

– Dowiedziałam się, że otrzymam od ciebie dar i że zaproponujesz mi męża. – Wbiła w Ineverę twarde spojrzenie. – Sęk w tym, że nie interesuje mnie małżeństwo z żadnym żalonym *kai'Sharum*, zwłaszcza pochodzącym z innego plemienia. Plotki głoszą, że twoja własna *Damaji'ting* odmawia ci prawa do noszenia czarnej woalki. Bez względu na to, co mi podarujesz, nie wpłynę w żaden sposób na decyzję twojej przełożonej.

Inevera puściła zniewagę mimo ucha.

– Nie chcę, byś się zgodziła na ślub z jakimś *kai'Sharum*. Chcę, byś wyszła za Sharum Ka, a Sharum Ka nie należy do żadnego plemienia.

Te słowa przyciągnęły uwagę Beliny. Zmrużyła oczy.

– Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji zostanie kolejnym Sharum Ka? Wiesz o tym?

Inevera pokiwała głową i opanowała uśmiech. Imię jej „żałosnego” męża było znane nawet *dama'ting* innych plemion.

– To *inevera*.

Nie wspomniała ani słowem, ile kosztowała ją ta propozycja. Przecież wypełniała wolę Everama, któremu zawsze była winna posłuszeństwo.

Belina upiła łyk herbaty.

– Andrah nie pojął *Damaji'ting* za żonę od pięciu pokoleń. Ślub nawet z Sharum Ka jest poniżej mojej godności. – Zmierzyła Ineverę ostrym spojrzeniem. – Ponadto nie mam zamiaru znaleźć się pod tobą w hierarchii.

Inevera pokiwała głową.

– Pora więc na dar, który mam ci wręczyć zgodnie z wolą kości – powiedziała spokojnie. – Oto krew, dzięki której ujrzysz część planu Everama. Wyciągnij kości.

Belina czujnie przyglądała się rywalce. Odruchowo sięgnęła do pasa, ale Inevera nie miała pojęcia, czy *Damaji'ting* chce zacisnąć dłoń na sakiewce, czy może wyciągnąć broń.

– Oferujesz mi krew swego męża? – spytała z niedowierzaniem *Damaji'ting* Majah. Był to nieprawdopodobnie potężny dar, który dałby jej wielką władzę nad Ahmannem. Takie propozycje były równie nie do pomyślenia jak wypytywanie o wynik rzutów.

– Nie. – Inevera pokręciła głową. – To nie krew Ahmanna.

Wyciągnęła nóż i nacięła płytko wewnątrz swojej dłoni.

– Oto krew.

Belina otworzyła szeroko oczy. Inevera zacisnęła pięść. Ranka zaczęła wzbierać czerwień.

– Wyciągnij kości.

Nikt, kto znał się na magii *hora*, nie przegapiłby takiej okazji. Belina skwapliwie skorzystała z propozycji.

To początek, pomyślała Inevera.

Evejah'ting nauczała: „Wydaj polecenie, któremu tylko głupiec by się sprzeciwił, a nawet najbardziej dumna *Jiwah Sen* szybko nauczy się słuchać cię bez słowa”.



Inevera tańczyła wokół Andraha, który przyglądał jej się i posapywał. Był obrzydliwie grubym człowiekiem i wydawało się, że nawet oddychanie sprawia mu trudność.

Nie wiem, czy coś z tego będzie, pomyślała. Już dodała mu środków pobudzających do jedzenia i picia, możliwości z wolna się wyczerpywały.

Najgorsza okazała się tusza Andraha. Po zrzuceniu szat Inevera musiała szukać jego członka wśród fałd tłuszczu, a potem wykorzystwała wszystkie siedem technik *Damajah*, by odpowiednio zesztynniał. Dzięki tym staraniom Andrah dwukrotnie znalazł się blisko Nieba, ale Inevera ostudziła jego podniecenie, wiedząc, że przyszłość męża zależy od zadowolenia tego mężczyzny. Wreszcie dosiadła go i zaczęła szybko ujeżdżać, jęcząc z udawanej rozkoszy. Odgłosy te ledwie maskowały jej obrzydzenie, ale podniecały Andraha. Kilkoma sprawnymi ruchami doprowadziła go do wytrysku i wstała. Dostojnik leżał na poduszkach i dyszał ciężko.

– Dobrze – wykrztusił w końcu, usiłując wstać, by naciągnąć szaty. – Syn Hoshkamina zostanie następnym Sharum Ka.

Inevera była palmą uginającą się pod naporem wiatru, lecz gdy wyszła i usiadła w zasłoniętym palankinie, pień drzewa pękł i kobieta wybuchła płaczem. Od lat wiedziała, że jej przeznaczeniem jest wyjść za Ahmanna, ale nigdy nie przypuszczałyby, że się w nim zakocha.



Ledwie kilka godzin po tym, jak Ahmann założył biały turban Sharum Ka i oznajmił, że poślubi po jednej Oblubienicy z każdego plemienia, Inevera została wezwana przez Kenevah. Mniej znaczące plemiona były podekscytowane decyzją Ahmanna, a ich *Damaji'ting* aż się ślińczyły z radości na myśl o umieszczeniu agentki w sypialni Sharum Ka. Nie zdawały sobie jednak sprawy, że Sharum Ka poślubi spadkobierczynie przywódczyni duchowych, a te znajdą się pod wpływem Inevery.

Kaji było od niepamiętnych czasów najznacniejszym plemieniem i *Damaji* Amadeveram wpadł w furię na samą myśl o mieszaniu krwi z pomniejszych ludami. Zachowanie Kenevah nie zdradzało podobnych uprzedzeń, ale Ineverę powitała chłodnym spojrzeniem.

– Gdy usłyszałam, jak twój mąż składa mi tę szaloną propozycję, uznałam go za sprytnego człowieka – przyznała. – Możesz sobie więc wyobrazić moje zaskoczenie, gdy kości powiedziały mi, że to ty kryjesz się za jego decyzją.

Przy tych słowach potrząsnęła kośćmi w dłoni.

Inevera nie odpowiedziała, co najwyraźniej rozdrażniło *Damaji'ting* jeszcze bardziej.

– Czyś ty oszalała? – warknęła staruszka.

Inevera rozłożyła ręce. Zdawała sobie sprawę z bezsensowności tego gestu, ale i tak musiała spróbować.

– Czy nie tego właśnie pragnęłaś? Czyż nie o tym rozmawiałyśmy wiele lat temu? Powiedziałaś, że Andrah i Sharum Ka są zepsuci i faworyzują we wszystkim plemię Kaji, przez co podziały między nami stają się coraz głębsze i dochodzi do częstego rozlewu krwi. Ja zaś przysięgam, że znajdę rozwiązanie. Udało mi się. Oto mamy Sharum Ka, który jest odważny, wierny, a do tego związany ze wszystkimi plemionami.

– A przede wszystkim z tobą – zadrwiła Kenevah. – Myślisz, że jestem głupia i tego nie widzę? A co z Andrahem? Jego też wymienisz? Kilka lat nauki w Sharik Hora nie zamieniło twojego męża parweniusza w *dama*.

Inevera wzruszyła ramionami.

– Kaji nie był *dama*. Wykuł swą potęgę w ogniu *alagai'sharak* i zjednoczył świat włócznie.
Kenevah parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że jesteś pierwszą Ineverą, która próbuje zostać kolejną Damajah? W historii *Damaji'ting* jest wiele przykładów krwawych porażek kobiet podobnych do ciebie. A może jesteś aż tak głupia, że naprawdę uwierzyłaś i uważasz teraz, że twój mąż jest odrodzonym Wybawicielem?

– Widziałam wróżby, w których Ahmann w istocie zostanie Wybawicielem – rzekła Inevera. – Zapewniam cię, że te proroctwa się spełnią.

– Naprawdę? Jak twoim zdaniem zareaguje Ahmann, gdy się dowie, że musiałaś dosiadać Andraha, aby zdobyć dla niego Tron Włóczni?

Inevera poczuła, że robi jej się zimno. Kenevah wiedziała o tym? Łagodny wiatr przerodził się w wicher, która była w stanie obdrzeć z kory najsmuklejszą palmę.

Damaji'ting znów się roześmiała.

– Myślisz, że jesteś kimś szczególnym? *Dama'ting* pieszczą włócznie tej starej świni niemalże codziennie w zamian za jego względy. Obsługiwałam go osobiście na długo, zanim twój żaloszny ojciec odstawił kubek z couzi, żeby cię splodzić. Oblubienice Everama nigdy nie widziały nic złego w kurwieniu się dla określonych korzyści, choć wygląda na to, że jesteś w tym lepsza od innych. Czy Ahmann uderzy cię, kiedy się dowie o zdradzie? Niewykluczone, że walkę o władzę przerwie śmierć męża, skazanego za uderzenie *dama'ting*. To dopiero byłaby ironia losu, nieprawdaż?

Ineverę przeszył strach. Evejah'ting nauczała, że nic nie wzburzy krwi *Sharum* bardziej niż wieść o niewierności żony. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że Ahmann wpadnie w furję i zabije ją, Andraha albo oboje. Aby przejąć Tron Czaszek, jej mąż będzie musiał kiedyś zabić tego tłuszciocha, ale utrzyma pozycję, dopiero gdy doczeka się synów *nie'dama* w każdym plemienu. W najlepszym razie musiało upłynąć przynajmniej dziesięć lat.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Najpierw daj mi fiolkę krwi Ahmanna – zażądała Kenevah. – Sama rzucę za niego kości.

– Nie ma mowy – sprzeciwiła się stanowczo Inevera.

– Zapominasz się, dziecko – warknęła staruszka. – Wciąż jestem twoją zwierzchniczką. Nie możesz mi odmówić.

Inevera lekceważąco machnęła ręką.

– Kości powołały mnie. Tylko i wyłącznie mnie. Wedle prawa zostanę *Damaji'ting* w dniu twojej śmierci, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

– Najpierw musiałabyś dożyć tej chwili – odcięła się Kenevah. – Dostanę krew Ahmanna Jardira, nawet jeśli najpierw będę musiała utoczyć twojej. Jeśli Ahmannowi rzeczywiście pisane są wielkie czyny, może okaże się przydatny jako eunuch, po tym jak cię zamkniemy.

Inevera westchnęła.

– Miałam nadzieję, że uda nam się tego uniknąć. – Wyciągnęła czaszkę ognistego demona z sakwy.

Kenevah odrzuciła głowę i zachichotała.

– Czaszka ognistego demona? Rozczarowujesz mnie, Inevero. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej.

Bez wątpienia gdzieś na jej biurku znajdowały się runy chroniące przed płomieniami. Staruszka wolno rozłożyła ramiona i ukazała młodszej rywalce puste dłonie.

– No, atakuj – zachęciła. – Gdy cię zabiję, kości wyznaczą twoją następczynię.

Pokręciła głową i syknęła.

– Cóż za strata.

– W rzeczy samej – przytaknęła Inevera, po czym odwróciła się i wypuściła strugę ognia. Nie celowała w Kenevah, ale w grube aksamitne kotary zasłaniające wielkie okna *Damaji'ting*. Gwałtowne, ryczące płomienie strawiły zasłony w okamgnieniu i do środka wpadł ostry blask słońca. Z każdego kąta buchnęły kłęby dymu.

Potem eksplodowały *hora* ukryte w grubych dywanach dookoła Inevery, bez wątpienia układające się w pułapkę. Płomienie strzeliły i zgasły, pozostawiając wypalone kręgi na dywanie. Kolejne kości wybuchały na biurku Kenevah. Kobieta wrzeszczała, bombardowana płonącymi odłamkami.

Inevera zdołała zawczasu ukryć czaszkę w odpowiednio przygotowanej sakwie. Spokojnie podeszła do biurka i zatrzymała się przed staruszką. Dym szczypał w oczy i utrudniał oddychanie, ale dla młodszej z kobiet nie stanowiło to wielkiego problemu.

– Nie masz co liczyć na magię, starucho – oznajmiła. – Rozstrzygniemy tę sprawę w walce wręcz.

Inevera z uznaniem zauważyła, że stara *Damaji'ting* nawet się nie zawahała. Przypuszczalnie nie walczyła od wielu lat, ale mimo to natychmiast obudził się w niej instynkt wojowniczy, szkolony przez całe życie. Kenevah perfekcyjnie wyprowadziła atak zwany Wiatr Łamiący Palmę.

Jej technika była nienaganna, ale wiek natychmiast dał o sobie znać. Kenevah miała o dobre pięćdziesiąt lat więcej od przeciwniczki i przez to poruszała się znacznie wolniej. Inevera zastosowała unik zwany Miękką Gałąź, zesłała *Damaji'ting* z linii ciosu i kopnęła ją pod kolano. Noga staruszki ugięła się w kolanie, a wtedy Inevera założyła jej chwyt i pchnęła na podłogę.

Padły na ziemię, ale wtedy Kenevah wykonała kontrolowane szarpnięcie i zdołała wyzwolić się z chwytu. Umiała wykorzystywać każdą sytuację, aby ukraść energię przeciwnicze – dzięki *sharusahk* nawet staruszka mogła stawić silny opór. Obie kobiety przetaczały się wśród kłębow dymu i dogasających ogni, warcząc i posapując. Rozległo się łomotanie do drzwi, ale Inevera dokładnie je zamknęła.

Kenevah okazała się groźniejszą przeciwniczką, niż można się było spodziewać, ale walka nie trwała długo. Inevera zauważyła taktykę *Damaji'ting* i zatrzymała się, by przeciwniczka nie mogła przejmować od niej energii. Skupiła się na walce siłowej. Wytężyła mięśnie i napała powoli, aż wreszcie założyła odpowiedni chwyt. Kilka sekund później jedno z bioder Kenevah wyskoczyło ze stawu. *Damaji'ting* zawyla przejmująco, ale Inevera sprawnie otoczyła jej talię nogami i sięgnęła po czarną woalkę, która powinna należeć do niej od lat. Zacisnęła ją wokół gardła Kenevah i dusiła dopóty, dopóki twarz starszej kobiety nie poczerwieniała. Wkrótce przeciwniczka przestała się poruszać. Inevera przytrzymała ją jeszcze, ale potem rozluźniła chwyt i odwiązała jedwab.



Trzymała czarny kaptur i woalkę, gdy drzwi rozsadził rozbłysk magii, a na progu stanęli Qeva i Enkido, a za nimi kilkanaście kobiet, zarówno *dama'ting*, jak i *nie*.

Qeva rozejrzała się po pobojuwisku z przerażeniem. Większość płomieni już zagasła, ale pokój był zrujnowany, a poczerniałe szczątki mebli dymiły. *Dama'ting* zauważyła również ciało matki na podłodze, nieruchome i pozbawione okrycia głowy. Gdy spojrzała na Ineverę, w jej oczach zapłonęła żądza mordy.

– Kenevah była stara i słaba – oznajmiła Inevera głośno. – Pora, by ktoś inny przejął czarny kaptur.

– Jak śmiesz! – wrzasnęła Qeva. Wielokrotnie zdarzało się, by *Damaji'ting* została zabita w walce o sukcesję, ale nikt nigdy nie dokonał zamachu w tak otwarty sposób. – Moja matka i ja nauczyłyśmy cię wszystkiego, co umiesz! Zdradziłaś nas po tym, jak cię przyjęłyśmy...

– Przyjęłyście? – zaśmiała się Inevera. – Przecież nie byłam zwykłą żebraczką czy byle *nie'ting*. Chcesz napisać na nowo historię, by zostać moją wybawczynią? Przecież wyrwałyście mnie z ramion matki i wrzuciłyście do jamy, gdzie twoja córka próbowała mnie zabić!

Melan również znalazła się w tłumie, który wtargnął do komnaty w ślad za Qevą. Jej szponiastej dłoni nie dało się z niczym pomylić. Inevera spojrzała wyzywająco w oczy dawnej rywalki, ciekawa, czy zaprzeczy.

– Wasz plan się nie powiódł – ciągnęła – więc Kenevah postanowiła mnie zabić. Moje kości twierdzą, że przeprowadziła siedem zamachów. Ja przynajmniej okazałam tyle uprzejmości, że zabiłam ją w walce.

– Kłamiesz – warknęła Qeva.

– Po co miałabym kłamać, skoro moje słowa są i tak nieistotne? – Inevera pokręciła głową. – Przecież tylko ja jestem tą, która została powołana, by zastąpić Kenevah. Póki żyję, będę rządzić *dama'ting* Kaji.

– Póki żyjesz – zgodziła się Qeva i ruszyła do walki. Przeszła z zaciętej alkowy do gabinetu matki, a wtedy promienie słoneczne smagnęły *hora*, którą roztrzaskała drzwi. Kości eksplodowały jej w dłoni. Qeva wrzasnęła i straciła równowagę.

Inevera skoczyła, chcąc ją zabić, nim odzyska nad sobą panowanie. Gdyby wyeliminowała Qevę błyskawicznie, miałyby przeciwko sobie już tylko Melan.

Tymczasem drogę zagroził jej Enkido i wymierzył kopnięcie, które posłało Ineverę na podłogę.

– Zabij ją! – wrzasnęła Qeva, widząc, że dziewczyna usiłuje się podnieść.

– Chcesz, by to eunuch zdecydował o tym, kto stanie na czele kobiet w plemienu? – spytała Inevera. Zgodnie z jej oczekiwaniem wszystkie *dama'ting* oraz adeptki spojrzały na Qevę, ciekawe jej reakcji. Inevera wykorzystwała okazję i niespostrzeżenie wsunęła dłoń do sakiewki, by pochwycić kawałek kości. Zacisnęła szczelnie pięść, by uchronić go przed światłem.

– Nie jesteś godna przewodzić kobietom w tym plemieniu, skoro nie potrafisz pokonać Enkido – warknęła Qeva. – Poprzysiągł wierność mojej matce po grób!

Inevera nie miała czasu odpowiedzieć, gdyż Enkido znowu ruszył do ataku. Nigdy nie widziała, by ktokolwiek walczył tak sprawnie. W jego ruchach kryła się siła i zaciekłość *Sharum*, wdzięk *dama* oraz precyzja *dama'ting*. Inevera nigdy dotąd nie widziała żadnych gwałtownych emocji u tego człowieka, ale teraz czuła, że bije od niego gniew.

„Każdy *Sharum* musi pomścić śmierć swego *dama*, nawet jeśli miałby zapłacić za to życiem” – uczyła Evejah, a to, że Kenevah była kobietą, niczego nie zmieniało. Stara *Damaji* okaleczyła go, ale przecież pozwoliła poznać wszystkie tajniki sztuki *sharusahk*, którą Enkido ukochał najbardziej na świecie. Zaatakował z niespotykaną furią i Inevera musiała przyznać, że gdyby nie magia, nie uszłaby z życiem.

Naznaczony runem kawałek demoniej kości w ręku dziewczyny nappełnił jej ramię surową, tętniącą magią, dając niewyobrażalną szybkość i siłę. Na twarzy Enkido ujrziała zdumienie, gdy uniknęła pierwszego ciosu i wbiła mu wyprostowane palce w nerkę.

Myślała, że walka się rozstrzygnie, ale srodze się rozczarowała. Enkido nosił pod szatą twarde ceramiczne płytki, które *Sharum* zakładali do walki w Labiryncie. Palce Inevery zmiażdżyły płytkę, ale uderzenie przeszło jej rękę bólem.

Dziewczynie z trudem udało się uniknąć pierwszego kontrataku, ale w ułamek sekundy później Enkido uderzył ją w twarz, aż poszło echo, i poprawił kopnięciem. Inevera z połamanymi zębami padła na płonące biurko Kenevah, które pękło pod jej ciężarem. Pozostałe kobiety, otaczające walczących kręgiem, krzyknęły na ten widok.

Inevera w porę zacisnęła pięść, by nie zgubić *hora*. Wykorzystała pęd uderzenia, by przetoczyć się i zerwać na równe nogi. Enkido nacierał, ale ona już stała w rozkroku, poprzysiągłszy sobie, że drugi raz eunucha nie zlekceważy.

Pojedynek trwał. Enkido ponawiał ataki, lecz chybiał, a ciosy Inevery zatrzymywała zbroja. Oboje walczyli bardzo uważnie, nie dając przeciwnikowi szans na celny kontratak. Inevera zerknęła na Qevę, która czekała cierpliwie wśród innych kobiet, gotowa wkroczyć do walki, gdy Enkido przegra.

A z pewnością miała potężne kości.

Enkido zaatakował w pozycji Więdący Kwiat. Inevera mogła wykonać zwód, ale niespodziewanie postanowiła przyjąć atak. Jej noga ugięła się i Enkido już chciał wykorzystać

przewagę, lecz dziewczyna zaczerpnęła mocy z kości i przywróciła sparaliżowanej kończynie pełnię sił. Zaatakowała wściekle i wbiła palce pomiędzy płytki zbroi. Uderzyła mocno i Enkido odruchowo złapał się za żołądek. Inevera zadała wtedy kilkakrotnie cios i przecięła linie mocy w jego szyi i ramionach, a potem złamała mu kolano.

Pozbawiony języka eunuch nie wydał jęku, gdy zwałił się na podłogę. Usiłował znów się podnieść – na jego twarzy pojawił się wysiłek, ale ciało nie chciało słuchać. Znieruchomiał więc, uspokoił się i unióś wzrok. Spoglądał na Ineverę z godnością, bez lęku, oczekując, aż położy kres jego życiu.

Inevera jednakże nie widziała sensu w zabijaniu eunucha.

– Walczyłeś dzielnie i przyniosłeś zaszczyt swej pani, *Sharum*, ale Everam ma nadal plan wobec ciebie.

Poczuła, jak wysrane z mocy *hora* w jej dłoni rozsypują się w pył, i zapytała się w duchu, czy kiedyś pożałuje swego miłosierdzia. Ciężko dyszała i pokastywała w zadymionym pomieszczeniu.

Qeva przyjęła postawę do walki, ale Inevera nie odpowiedziała tym samym.

– Czyżbyśmy były ślepymi *dama*, którzy zawsze słuchają najlepszego wojownika spośród siebie? – spytała Inevera zebranych kobiet. – Evejah’ting dała nam *alagai hora*, byśmy nie musiały zniżać się do takiego barbarzyństwa.

Spojrzała na Qevę.

– To ty jako pierwsza rzuciłaś za mnie kości. Mogłaś mnie bez trudu wygnąć, a tymczasem zabrałaś mnie do pałacu *dama’ting* i nadzorowałaś szkolenie. Dlaczego? Co takiego ujrzałaś?

– Twoja przyszłość jest ukryta – rzekła Qeva. – Matka kazała mi szukać dalszych odpowiedzi.

Inevera wiedziała o tym. Pokiwała głową.

– Moja przyszłość już nie jest tajemnicą. Rzuć kośćmi raz jeszcze. Zróbmy to w Komnacie Cieni, byśmy wszystkie ujrzały wynik.

Qeva otworzyła szeroko oczy, a potem zmrużyła, wyczuwając pułapkę. Zgromadzone *dama’ting* zaczęły gorączkowo szeptać między sobą.

„Wydadaj polecenie, któremu tylko głupiec by się sprzeciwił”.



Dwie rywalki o czarny kaptur udały się do Podpałacu, a za nimi zeszyły wszystkie kobiety i dziewczyny. Gdy znalazły się w Komnacie Cieni, skryte przed wzrokiem mężczyzn, Qeva wyciągnęła kości i podeszła do Inevery. W jej oczach lśniła nienawiść.

– Potrzebuję kilka kropel twojej krwi. Nie bój się, do końca dnia i tak wytoczę z ciebie resztę.

Inevera uniosła woalkę i splunęła krwią z rozbitej wargi prosto na kości Qevy. Wściekłość starszej *dama'ting* wydawała się nie mieć granic, ale czyn Inevery jeszcze ją spotęgował.

Przykro mi, Qeva, ale trzeba cię złamać jak *Jiwah Sen* na oczach wszystkich.

Zgromadzone kobiety wstrzymały oddech, a Qeva uniosła kości i zaintonowała modlitwę. *Hora* załśniły intensywnie i opromieniły zebrane złowrogim blaskiem, ale Inevera nie czuła w sobie strachu. Wyprostowana spoglądała na klęczącą Qevę. Starsza kobieta była tak skupiona na wróżbie, że Inevera mogła ją zabić jednym dobrze wymierzonym kopnięciem, ale nie widziała potrzeby zabijania ani Qevy, ani Enkido. Honor wymagał, by zgładziła rywalkę, ale kości zdradziły jej więcej o tym, co kryje serce Qevy.

Jesteś jej bliższa niż rodzona córka. Qeva może cię zabić, ale nigdy cię nie zdradzi.

Qeva rzuciła kośćmi. Te przetoczyły się i znieruchomiały, a wszystkie zebrane, zarówno Oblubienice, jak i Zaprzysiężone, podbiegły z ożywieniem, by ujrzeć wynik.

Qeva i Melan natychmiast odczytały wróżbę i aż westchnęły ze zdumienia, podobnie jak przed nimi Belina i inne. Pozostałe *dama'ting* wpatrywały się w kości przez dłuższą chwilę, aż wreszcie uzmysłowiły sobie znaczenie.

Qeva spojrzała na Ineverę, a ta wyciągnęła rękę, w której trzymała czarny kaptur. Był to bezwartościowy kawałek materiału, który zupełnie jej nie interesował. Szczerze powiedziawszy, nigdy jej na nim nie zależało. Był to jedynie kolejny szczebel w drabinie, dzięki któremu mogła dostać się wyżej.

– Będiesz nosić czarny kaptur, siostrze Qevo – powiedziała, a potem odwróciła się do Melan. – A ty, siostrze Melan, czarną woalkę. Ja muszę się opiekować moim mężem, a intrygi wśród kobiet plemienia Kaji zupełnie mnie nie zajmują. Mam własny pałac i o wiele ważniejsze cele w życiu.

Qeva pokiwała głową i chciała wziąć kaptur, ale Inevera cofnęła rękę. Zgromadzone kobiety wstrzymały oddechy.

– Będziesz przemawiać w imieniu Kaji na dworze – rzekła twardo. – I choć głos będzie należał do ciebie, słowa będą moje.

Qeva pochyliła głowę.

– Tak, Damajah.

Tym razem Inevera pozwoliła jej wziąć kaptur. Potem podała woalkę Melan, która ukloniła się jeszcze niżej.

– Tak, Damajah.

Tym razem Inevera uniosła woalkę wysoko, by Melan musiała spojrzeć jej w oczy.

– Nie wolno wam wymawiać tego tytułu – oznajmiła, a jej głos poniósł się echem po całej Komnacie. Odwracała się, spoglądając każdej kobiecie w oczy. – Żadnej z was nie wolno. Na razie.



Przez następne pół roku Inevera trzykrotnie potrzebowała dekretu od Andraha i za każdym razem musiała zapłacić w ten sam sposób. Grubas oblaśniał ją teraz śmiało, jakby była zwykłą żoną kupioną na bazarze. Gdy raz odważył się ugryźć ją w pierś, o mało nie przebiła go sztyletem.

Dość tego, pomyślała. Ahmann już zdobył odpowiednią pozycję. Andrah nie zdoła odebrać mu białego turbanu, a żaden dekret nie jest wart kolejnych upokorzeń.

Rano wezwała Qaszę, *Jiwah Sen* z plemienia Sharach i faworytkę Ahmanna.

– Zaproszę dziś wieczór Andraha – nakazała. – Zdradź się przypadkiem przed Ahmannem, że odwiedza on pałac Sharum Ka pod nieobecność władcy. Niech Ahmann zastanie nas razem. Pora, by Andrah dowiedział się, czym jest strach, a Ahmann poznał swoje przeznaczenie. Nie zniosę już tłustych łap tego obrzydliwca.



XI

Posiłek przed wyjazdem

333 ROK PLAGI, LATO
28 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Usiądź, Rojer – powiedziała Leesha. – Głowa zaczyna mi dokuczać.

Nieustanny ruch Minstrela, ubranego w pstrokate szaty, wywołał tępy, pulsujący ból prawego oka. Leesha potarła skroń.

Mieli dziś wyruszyć z karawaną do Zakątka Wzbawiciela, ale Ahmann zaprosił ich na śniadanie. Leesha sądziła, że spożyją je o świcie, by odjechać jak najszybciej, ale Krasjanie najwyraźniej się nie spieszyli i wraz z Rojerem oraz resztą zmuszona była czekać w jednym z pustych pokojów.

Po godzinie Rojer wyciągnął skrzypce i zaczął grać. Jak zwykle emocje szybko doszły do głosu w jego muzyce i melodia stała się ostra, wręcz nieprzyjemna. Leesha, której kojarzyła się ze zgrzytem paznokci po dachówce, poprosiła, by przestał, ale było już za późno. Coraz silniejszy ból zatok oznaczał, że niedługo zacznie dokuczać jej głowa.

Zmagala się z dolegliwościami tego typu przez całe życie. Bywało, że ból głowy i mdłości dręczyły ją przez godzinę. Zdarzało się, że niczym deszcz wiosną nie ustępowały przez cały tydzień. Najczęściej jedyną konsekwencją był paskudny nastrój, ale na szczęście dawało się go zwalczyć prostymi wywarami, czuła się też lepiej, gdy unikała stresujących sytuacji. Niekiedy

dolegliwości robiły się tak silne, że Leesha musiała wybierać między oślepiającym bólem a lekami tak silnymi, że chodziła odurzona przez długie godziny. Zdarzało się też tak – na szczęście najrzadziej – że mogła tylko znaleźć miejsce odosobnienia, skulić się i szlochać.

W miarę jak dorastała i miała coraz więcej stresujących obowiązków, napady stawały się coraz intensywniejsze. Gdy została Zielarką Zakątka Wybawiciela, bóle głowy nawiedzały ją regularnie. Teraz, w Lennie Everama, gdzie zewsząd otaczali ją wrogowie, ciągnęły się w nieskończoność niczym długa zima bez oznak wiosny.

Nie ona jedna cierpiała dyskomfort. Pozostali członkowie delegacji z Zakątka Wybawiciela również czekali w napięciu na uroczyste pożegnanie przed wyruszeniem w długą drogę do domu. Przez ostatnią godzinę jej ojciec, Erny, siedem razy wstawał i w pośpiechu gnał do toalety. Zarumienił się, gdy matka Leeshy zaczęła mu robić ostre wymówki.

– Takie siusianie na raty jest niezdrowe, Erny, bardzo niezdrowe! Powinieneś dać się Leeshy zbadać.

Elona siedziała co prawda po przeciwnej stronie pomieszczenia, ale podczas napadów bólu głowy węch Leeshy stawał się niezwykle wyczulony, a wtedy każdy nieprzyjemny zapach wywoływał w niej dziką furję. Zapach perfum matki obudził mdłości. Napór w czaszce Leeshy jeszcze się zwiększył.

Rębacze, podobnie jak reszta obecnych, udawali, że niczego nie słyszą. Wonda, która uważała się za osobistą ochroniarzkę Leeshy, siedziała zgarbiona na zbyt małym krześle. Ogromny runiczny łuk ze zdjętą cięciwą zawiesiła na oparciu krzesła obok sporego kołczanu ze strzałami. Przy pasie miała ciężki nóż.

Wonda liczyła sobie zaledwie szesnaście lat, ale była tak potężnej budowy, że potrafiła położyć dorosłego mężczyznę na łopatki. Gdy się denerwowała, kołysała się powoli w przód i w tył, wodząc palcami po bliznach na twarzy.

Gared Rębacz, muskularny olbrzym, mierzący prawie siedem stóp, był jedynym człowiekiem w pomieszczeniu równie ogromnym jak Wonda, choć pokrewieństwo między nimi było bardzo odległe. Znudzony i sfrustrowany tym, że nie ma niczego do zabicia, usiłował wyrzeźbić drewnianego konia, ale dłonie, którymi mógł udusić wichrowego demona, nie nadawały się do tak delikatnej pracy. Gared wkładał zbyt wiele siły w rzeźbienie – nóż co rusz ześlizgiwał się z drewnianego klocka i ranił w rękę.

– Niech to Otchłań! – zaklął i wsadził krwawiący kciuk do ust. Już chciał cisnąć rzeźbionym kawałkiem, ale opanował się, gdy Leesha uniosła brew. Dziewczyna natychmiast pożałowała tego prostego odruchu, gdyż oko przeszła nowa fala bólu.

– Nie mogę chodzić, nie mogę grać – odezwał się Rojer. – To co mogę robić, Wasza Wysokość?

Wszyscy unieśli głowy. Każdy z obecnych wiedział, że Leesha nie toleruje takiego tonu, nawet gdy ma dobry nastrój.

Zielarka jednak nie chciała wszczynać awantur. Wciąż liczyła na to, że atak zelżeje, a każde zdanie wypowiedziane podniesionym głosem zmniejszało szanse o połowę. Wzięła już kilka proszków na ból i popiła łykiem wody z manierki. Jej żołądek skręcał się jednocześnie z głodu i mdłości. Nie miała najmniejszej ochoty na posiłek, ale wiedziała, że jeśli wkrótce czegoś nie zje, jej stan się pogorszy.

Zrugła się w myślach za to, że nie skusiła się na herbatę i ciasta przygotowane przez żony Abbana w Pałacu Luster, ale dopiero co wyszczotkowała sobie zęby i chciała, by jej oddech pachniał przy spotkaniu z Ahmannem. Mieli się zobaczyć na śniadaniu i wspólnie zjeść przed rozpoczęciem wyprawy, ale słońce wisiało już wysoko na niebie.

„Idiotko!” – burknęła Bruna w jej głowie. Następnym razem zjedz coś, a potem pożuj sobie listek mięty”.

Leesha wiedziała, że duch jej dawnej mentorki ma rację. Przetrzęsła kieszenie fartucha w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale choć ze znajdujących się tam składników mogłaby uwarzyć tysiąc jeden leków, nie natrafiła na choćby orzech.

Rojer nadal wpatrywał się w nią złowrogo, ale dziewczyna stłumiła pokusę, by na niego warknąć.

– Przepraszam, Rojer. Jestem tak samo sfrustrowana jak ty. Jeśli tak dalej pójdzie, wyruszymy dopiero po południu.

– O ile w ogóle nas puszczą – stwierdził Minstrel. – Z każdą minutą coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że o zachodzie słońca będę stał w lochu i wpatrywał się w swoje jądra ułożone na pieńku katowskim.

Rojer miał wiele powodów do obaw. Kilka tygodni temu Ahmann przysłał do niego swą najstarszą córkę Amanvah, która była już *dama'ting*, oraz siostrzenicę Sikvah. Obie miały w przyszłości stać się żonami Minstrela. Okazało się jednak, że Amanvah i Sikvah były

szpiegami pracującymi dla Inevery. Udawały, że nie znają thesańskiego, podczas gdy władały nim płynnie. Próbowaly też otruć Leeszę, gdy zaczęła zagrażać równowadze w Lennie Everama.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Zielarki Rojer dał się uwieść. Omotany czułymi słówkami Amanvah, przespał się z Sikvah. Od tej nocy obawiał się, że lada chwila Włócznie Wybawiciela wywleka go z jego komnat za karę, że uchybił czci obu dziewczyn i nie obiecał im ślubu.

– A może trzeba było okazać nieco więcej samokontroli? – spytała Leesha.

– I ty mi to mówisz? – oburzył się Rojer.

– Jak mam to rozumieć?

Na twarzy Rojera odmalowało się tak komicznie niedowierzanie, że dziewczyna mało nie wybuchła śmiechem. Jej radość rozpędziły ostre słowa Minstrela:

– Czy ty naprawdę myślisz, że w tym pokoju, ba, w tym pałacu, a może nawet w całym mieście, jest choć jedna osoba, która nie wie, że posuwa cię Ahmann Jardir?

Leesha zamknęła oczy i nabrała tchu.

– Mój układ z Ahmannem jest wynikiem serii przemyśleń. Rozważyłam wszelkie za i przeciw i podjęłam logiczną decyzję. U ciebie przemyśleniami zajął się twój kutas.

– Przemyślenia? Logika? – zaśmiał się Rojer. – Leesha, wychowałem się w burdelu. Dobrze wiem, ile jest w tym rozważań i przemyśleń.

– Dość tego! – wybuchła Leesha. W jej głowie eksplodował wściekły ból, który dał jej nadludzką siłę. Dziewczyna zerwała się na równe nogi.

Rojer jednakże nie pozwolił się zastraszyć.

– Bo co? – warknął. – Mam już dość twoich świętoszkowatych kazań! Nie jesteś księżną matką Angiers! Nie muszę słuchać twoich poleceń i nie życzę sobie, byś krytykowała moją postawę, po tym jak sama łajdaczysz się z pustynnym demonem!

Gared podniósł się i wycelował w Minstrela ostrze noża.

– Nie pozwolę, żebyś tak mówił o Leeszy, Rojer. Naznaczony kazał mi cię pilnować, ale jeśli powiesz coś takiego raz jeszcze, napcham ci mydła do gęby.

W dłoni Rojera zawirował nóż.

– Spróbuj tylko, wioskowy głupku, a będziesz wyciągał sobie ostrze z oka.

Gared pobladł. Zmarszczył się jak rozjuszony drapieżnik. Wonda w okamgnieniu naciągnęła cięciwę i nałożyła strzałę.

– Rzuć tym nożem, a...

– Dość tego! – krzyknęła Leesha. – Wonda, odłóż łuk. Gared, siadaj!

Spojrzała wściekle na Rojera.

– A ty lepiej postaraj się zachować dobre maniery i pamiętaj, że dzięki mojemu „łajdaczeniu się” możesz ocalić jaja.

– Leesha! – warknął Erny i wszyscy spojrzeli na niego. Ojciec Leeshy był o wiele starszy od żony, miał już prawie sześćdziesiąt lat, ale wyglądał na więcej. Był szczupłym mężczyzną z włosami przyprószonymi siwizną. Nosił cienkie okulary, a jego blada skóra wydawała się niemal przezroczysta. Chwilę temu siedział ze zwieszoną głową i z niechęcią wysłuchiwał reprimend Elony, lecz teraz z gniewem patrzył córce prosto w oczy. – Czy to tak cię wychowałem? Domagasz się szacunku od innych i tak należy, ale rewanżuj się tym samym!

Leeshy zrobiło się zimno i na moment zapomniała o bólu głowy. Ojciec rzadko podnosił głos, nie krzyczał zaś prawie nigdy, ale gdy tak się działo, nawet nie myślała, by się wyklócać. Erny zawsze miał rację.

– Przepraszam, Rojer – westchnęła. – Jestem głodna, dokucza mi potworny ból głowy i po prostu mnie poniosło. Przysłali te dziewczęta do ciebie tylko i wyłącznie dlatego, że chcieli, abyś przekazał dar zaklinania demonów swoim synom. Wierzą w to. Jeśli cię zabiją bądź wykastrują, pozbawią się tej szansy. Gdybyś był *khaffit* czy pierwszym lepszym *chin* z ulicy przyłapanym w łożu z siostrzenicą Wybawiciela, miałbyś wiele powodów do zmartwień. Inevera jednak takie zamieszanie wokół utraconego dziewictwa Sikvah, gotowa jestem pomyśleć, zaplanowała od początku do końca.

Rojer przechylił głowę.

– Zastawiła pułapkę?

– Tak. – Leesha uśmiechnęła się blado. – I wpadłeś w nią, niczego nie przeczuwając. Ciekawa jestem, co się teraz wydarzy?

Elona parsknęła.

– Niewykluczone, że zamkną cię w haremie na resztę życia, byś spłodził i wyszkolił armię małych czarodziejskich skrzypków.

Gared zarechotał głośno i plasnął ogromnym łapskiem o kolano.

– Brzmi lepiej od rąbania drewna przez cały dzień, co?

Rojer najwyraźniej nie podzielał jego entuzjazmu, pobladł i zaczął znów chodzić po pokoju. Pocierał przy tym klatkę piersiową, gdzie pod koszulą wisiał jego rodzinny medalion.

– Dlaczego wszyscy ignorują oczywiste rozwiązania? – spytała Elona. – Idioci! Rojer, Leesha, pobierzcie się z nimi i tyle, matolki!

– Nawet gdybym miał na to ochotę – rzekł Rojer – Krasjanie będą się spodziewać zanego posagu, a ja nie mam nic do zaoferowania.

– Nie oczekują od ciebie niczego poza twoim nasieniem. – Elona zebrała szatę wokół krocza, jakby łąpała się za członka. – Od wieków o talencie takim jak twój wspominają tylko pieśni. Nic dziwnego, że Krasjanie chcą się dowiedzieć, czy możesz przekazać go dzieciom. Przecież Jardir nie robił z tego tajemnicy, gdy mówił, że znajdzie dla ciebie kandydatki na żony. Zresztą kto wie? Może ma rację? Może rzeczywiście masz we krwi coś, co pozwala ci czarować demony?

– Nie mógłbym... – zaczął Rojer, ale Elona nie pozwoliła mu dokończyć. Jej ostry głos smagał niczym bicz, wywołując kolejne fale bólu w głowie Leeshy.

– Czego nie mógłbyś? Przyjąć najlepszej propozycji małżeństwa w historii ludzkości? Potęga i bogactwo Jardira nie mają granic! Usiądź obok mnie w towarzystwie Inevery oraz tych dziewczyn i zamknij się na dziesięć minut, a wszystko to będzie twoje. Ziemie. Tytuły. Chłopi płacący podatki. Skarby większe niż milneńska kopalnia.

– Skradzione skarby – wtrąciła Leesha. – Zniewoleni ludzie. Zagarnięte ziemie.

Elona machnęła dłonią z lekceważeniem.

– Na tym świecie wszystko jest kradzione lub zagarniane, a ziemie w szczególności. Ludzie, którym zabrano ziemie, raczej już ich nie odzyskają, a Rojer będzie lepszym władcą niż jakiś Krasjanin.

Spojrzała na Rojera.

– Nie zapominajmy przy tym o dwóch pięknych kobietach, z którymi będziesz co noc szedł do łóżka! Na Stwórcę! Dzięki nim zdobędziesz jeszcze więcej! Sądzisz, że takie propozycje pojawiają się codziennie? Uwierz mi, chłopcze – zerknęła na Erny'ego – tak się nie dzieje.

– Ja... – zaczął Rojer, ale znów nie doszedł do głosu.

– A może wolisz chłopców? – przerwała mu Elona z okrutnym uśmiechem. – Ha, to może dlatego uganiaasz się za moją nieosiągalną córką, zamiast zwrócić uwagę na chętniejsze dziewczęta. Nic w tym złego, jeśli masz ochotę pochylić przed sobą jakiegoś mężczyznę, ale pogódź się ze swoją rolą i spłodź kilka bachorów. Wystarczy, że zamkniesz oczy i wyobrazisz sobie Gareda.

– No, to już przesada! – oburzył się Gared.

– Nie interesują mnie mężczyźni! – parsknął Rojer.

Leesha pochyliła się, masując skronie.

– Jeśli zaraz czegoś nie zjem, to zacznę wrzeszczeć! – ostrzegła.

– *Sharum* późno kończą swój post – zabrzmiał znajomy głos. Leesha odwróciła się i ujrzała Abbana w progach. – Wszystko przez to, że muszą odespać nocną walkę z demonami. Ale nie obawiajcie się, niedługo zaprowadzę was do Wybawiciela.

Leesha była ciekawa, ile tłusty *khaffit* zdołał podsłuchać. Wszedł do środka, podpierając się wysoką laską zwieńczoną głową wielbłąda. Sięgnął pod szatę. Wonda napięła mięśnie, ale Krasjanin wyciągnął jedynie dojrzałe, czerwone jabłko. W tej chwili Leesha zrozumiała, że usłyszał wszystko. Przyszło jej do głowy, że może Abban specjalnie opóźnił wyjazd, by podsłuchać rozmowę. Był zdolny do wielu rzeczy.

– Dziękuję. – Leesha wzięła jabłko i ugryzła. Pierwszy soczysty kęs był równie wspaniały jak lekarstwo przynoszące ulgę. Podczas ataku bólu zmysł węchu, podobnie jak zmysł wzroku, był maksymalnie wyostrojony. Dziewczyna zamknęła oczy, by rozkoszować się każdym kolejnym kęsem.

– Nie zapomnij, pani, o jednym – szepnął Abban, gdy miał pewność, że nikt inny go nie słyszy. – Ty w życiu kierujesz się logicznymi przemyśleniami, ale Ahmann słucha tylko serca. To emocje mówią mu, w co ma wierzyć, a działa zawsze bez namysłu i bez cienia litości. Myślę, że to doskonała cecha wojownika i przywódcy.

– No i co z tego?

– Wybawiciel wierzy, że waszym przeznaczeniem jest ślub. Twierdzi, że taka jest wola Everama. Póki co pozwala ci odejść, ale nigdy nie przestanie cię ścigać. A jeśli chodzi o ciebie, Minstrelu – Abban odezwał się głośniejszym głosem i pokuszył się w kierunku Rojera – na twoim miejscu nie przejmowałbym się Wybawicielem i Damajah, lecz Hasikiem. Jeśli się połapie, że zawlokłeś jego córkę do łóżka bez ślubu, uzna to za gwałt. A gdy Ahmann skupi uwagę na czymś innym, Hasik zemści się dziesięciokrotnie, a twoje malutkie noże okażą się wtedy równie przydatne jak jedwabne chusteczki.

Rojer otworzył szeroko usta i znów złapał medalion.

– To Hasik jest ojcem Sikvah? – spytał.

Wszyscy dobrze znali brutalnego, ponurego przybocznego Jardira.

– Konsekwencje będą mieć miejsce tylko i wyłącznie wtedy, gdy Hasik się dowie, Rojer – wtrąciła się Leesha. – A się nie dowie. Nie daj się zastraszyć Abbanowi.

Khaffit bezradnie wzruszył ramionami.

– Przecież mówię tylko prawdę, pani. – Ukłonił się. – Przedstawiam za i przeciw, dzięki którym podejmujesz logiczne decyzje.

– A więc przedstaw je wszystkie. – Leesha raz jeszcze ugryzła jabłko, z którego nie pozostało już wiele. – Oboje wiemy, że ani Inevera, ani Sikvah nie mają interesu w tym, by ktokolwiek się dowiedział o łóżkowym incydencie z Rojerem. Prawo Everama zabrania kobietom pełnić rolę świadka przy oskarżeniu o gwałt. Ahmann musiałby uwierzyć słowom Rojera, a gdyby uznał, że Rojer kłamie, tak czy owak musiałby skazać Sikvah na śmierć.

– Naprawdę? – spytał Rojer.

– Trudno w to uwierzyć, ale tak.

– Prawem Everama można manipulować, gdy w grę wchodzi cześć kogoś z rodu Wybawiciela, pani. Jeśli Rojer nie będzie chciał poślubić Sikvah, Hasik stwierdzi, że Minstrel uznał ją za niegodną, i poczuje się urażony. Co się wtedy stanie?

– Hasik zabije mnie, jeśli nie wezmę jej za żonę – rzekł Rojer powoli, jakby bał się tych słów.

– Zgwałci i zabije, tak – zgodził się Abban.

– Zgwałci i zabije – powtórzył otumaniony Rojer.

– E tam, ten Hasik nie jest wcale większy od Wondy. – Gared położył gigantyczną dłoń na ramieniu Rojera. – Nie martw się. Nie pozwolę, żeby zrobił ci krzywdę, nawet jeśli zachowałeś się jak głupiec.

Rojer był półtorej stopy niższy od Rębacza, ale mimo to wydawało się, że patrzy na niego z góry.

– Przestań się przechwalać, Gared. Przyzwyczyłeś się do myśli, że jesteś największym chłopakiem we wsi, ale ten Hasik rozłoży cię na łopatki w okamgnieniu.

– I zerznie w zadek na oczach innych *Sharum*, by okryć cię wstydem – zgodził się Abban. – Nie byłby to pierwszy incydent tego typu.

– Co takiego, ty mały, tłusty... – Gared rzucił się na kupca i chciał złapać go za gardło, ale Abban odsunął się w porę i bez litości rąbnął drwala laską w wewnętrzną część kolana.

Gared ryknął z bólu i osunął się, ale nie poddał – wstał, by raz jeszcze spróbować pochwycić Abbana, znieruchomiał jednak na widok wymierzonej prosto w jego gardło laski. Wysunęło się z niej niewielkie, wąskie ostrze.

– Ach! – Abban dotknął ostrzem brody Gareda. Ten nerwowo przełknął ślinę. – Od wielu lat nie byłem w *sharaj*, ale nadal pamiętam *sharusahk* na tyle, by załatwić byle osiłka z pustą głową.

Cofnął się. Rozległo się kliknięcie dobrze naoliwionego mechanizmu i ostrze wsunęło się z powrotem do laski.

– Słuchaj więc, gdy ofiaruję ci mądrość. Gdy Hasik urywa się ze smyczy Ahmanna i przychodzi do mego domu, kłaniam mu się i schodzę z drogi. Pozwalam na wszystko, cokolwiek mu przyjdzie do głowy. Znałem w życiu wielu zabójców, ale Hasik jest najbrutalniejszy. Zaczynj pobierać nauki u Mistrza Ćwiczeń Kawała, a może kiedyś dorównasz ojcu Sikvah, ale na pewno nie dzisiaj.

Abban przeniósł spojrzenie na Rojera.

– A ty słuchaj uważnie pani Leeshy. Jeśli nie chcesz wziąć tej dziewczyny za żonę, graj na zwłokę.

– Jak? – spytał Rojer.

Abban wzruszył ramionami.

– Powiedz, że wedle waszej tradycji należy najpierw się... zaręczyć? Tak to nazywacie?

– Tak.

– Powiedz, że wedle waszej tradycji musicie być zaręczeni przez rok lub że najpierw musisz skomponować jakiś wspaniały utwór, by uczcić ten dzień. Powiedz, że nie weźmiesz jej za żonę, póki nie nauczysz się krasjańskiego, albo że ślub może nastąpić dopiero pierwszego dnia wiosny. Nieważne, co powiesz, synu Jessuma. Najważniejsze, byś nie stracił twarzy przed moim panem oraz dziewczętami i zdobył trochę czasu, żeby uciec stąd jak najdalej.



W ślad za Abbanem Rojer i reszta weszli do wielkiej sali biesiadnej Jardira. Przez wysokie okna wpadał blask słońca, w pomieszczeniu było jasno. Na samym środku marmurowej sali znajdował się rząd niskich, długich stołów, wokół których ułożono poduszki. Zasiadały na nich

po turecku setki *Sharum*, zarówno elita Włócznie Wybawiciela, jak i przyboczni *Damaji*. Każdy z nich miał tarczę i włócznię pod ręką. Wszyscy bez umiaru opychali się chlebem, kuskusem i kawałkami pieczeni, podawanymi na przepięknie malowanych półmiskach przez chłopców ubranych w białe bido.

Rojer umiejętnie skrywał emocje. Mijał wojowników obojętnie, jakby przechodził obok łąków zboża, ale serce biło mu jak szalone. Z takiego miejsca nie było ucieczki. Nie pomogłaby ani gra na skrzypcach, ani żadne sztuczki Leeshy. Mogli stąd wyjść jedynie za zgodą Jardira albo zostać tu na zawsze.

Abban zaprowadził ich do podwyższenia, na którym zasiadali *Damaji*, synowie i spadkobiercy Jardira oraz wielu innych wysoko postawionych kleryków. Podłogę wyścielono grubym dywanem, a na ścianach zawieszono ciepłe tkaniny. Krasjanie siedzieli na jedwabnych poduszkach i z elegancją raczyli się wykwintnymi potrawami, ułożonymi na srebrnych tacach. Usługiwały im kobiety ubrane w czerń od stóp do głów.

Delegacja z Zakątka ruszyła po schodach na drugi poziom podwyższenia. Klerycy przyglądali im się z nienawiścią. Rojer nie dawał tego po sobie poznać, ale czuł ucisk w klatce piersiowej, jakby wyciskano mu z niej powietrze. Dobrze wiedział, że krasjańscy duchowni byli mistrzami walki wręcz i każdy z nich z gołymi rękami był niebezpieczniejszy od Rębacza z siekierą.

Na drugim poziomie, mniejszym, ale również dość znacznym, krytym drogimi dywanami i poślaczanym marmurem, znajdował się stół Jardira. Poduszki, na których zasiadali jego goście, wyszyto złotymi nićmi, a napoje i potrawy podawano na wysadzanej klejnotami zastawie. Biesiadnikom usługiwały kobiety Jardira, a wśród nich kilka *dama'ting* w czarnych woalkach. Rojer poczuł ucisk w żołądku na myśl o jedzeniu wśród kobiet, z których niemal każda była mistrzynią sztuki przyrządzania trucizn. Dzięki długim szatom i woalkom wydawały się niemożliwe do rozpoznania, ale Rojer zdołał wypatrzeć Amanvah i Sikvah. Ich sylwetki oraz sposób poruszania się wryły mu się w pamięć na zawsze.

Jardir siedział na honorowym miejscu, po prawej mając Ineverę. Damajah była jak zwykle ubrana w oszałamiające przezroczyste szaty, które przyciągały uwagę mężczyzn, a jednocześnie obiecywały śmierć w męczarniach każdemu, kto będzie się przyglądał zbyt długo. Po drugiej stronie zasiadali *Damaji* Ashan oraz Aleverak, ich następcy Asukaji i Maji, dwóch najstarszych synów Jardira, Jayan i Asome, *kai'Sharum* Shanjat i oczywiście Hasik.

Rojer poczuł przemożną ochotę, by rzucić się do ucieczki, choć oczywiście zdawał sobie sprawę z bezcelowości takiego postępu. Dyskretnie wsunął palce między guziki swego stroju, by dotknąć zimnego metalu medalionu. Napięcie zaczęło Minstrela opuszczać.

Ów medalion był najwyższym odznaczeniem przyznawanym za odwagę przez księcia Angiers. Otrzymał go przybrany ojciec Rojera, Arrick Słodka Pieśń, w nagrodę za to, że porzucił go wraz z matką na pastwę otchłańców, a potem rozповідаł o tym kłamstwa. Wyrzuty sumienia okazały się jednak zbyt silne i gdy Arrick został wreszcie wyrzucony z pałacu księcia, pozostawił medalion, choć zabrał ze sobą wszystko inne, co miało jakąkolwiek wartość.

Arrick był jedynym, który zawiódł małego Rojera tej feralnej nocy. Inni pokazali wielką odwagę. Posłaniec Geral rzucił jego matce tarczę, a potem wraz z ojcem Rojera stanęli na drodze potworom, które wdarły się przez zniszczone drzwi frontowe. Obaj zginęli, a Arrick oddał życie wiele lat później, również chroniąc Rojera.

Leesha wyryła na medalionie imiona wszystkich, którzy zginęli za Minstrela, i ozdoba stała się jego talizmanem. Medalion dodawał mu otuchy w chwilach strachu i przypominał, że żył tylko i wyłącznie dzięki ofierze tych, którym na nim zależało. Rojer chciał wierzyć, że było w nim coś specjalnego, coś, co warto ocalić, ale jak dotąd nic o tym nie świadczyło.

Leesha usiadła na poduszce po lewicy Jardira. Obok niej spoczęli Rojer, Elona, Erny, Gared i Wonda. Abban zgodnie ze zwyczajem uklęknął krok za plecami Jardira i zamarł niemalże niezauważalny.

Sikvah natychmiast postawiła przed Rojerem niewielką filiżankę kawy. Minstrel spojrzał jej w oczy, a wtedy dziewczyna mrugnęła do niego filuternie. Jej rzęsy były gęste i czarne. Nikt inny nie dostrzegł tej wymiany spojrzeń. Był to ciepły gest i serce Rojera zabiło szybciej, ale sam zbyt długo ćwiczył takie spojrzenia przed lustrem, by dać się zmylić. Amanvah i Sikvah może i go lubiły, i chciały zostać jego żonami, ale go nie kochały. Nie znały go na tyle dobrze, by pokochać, nawet jeśli same w to wierzyły.

Rojer również nie darzył ich miłością. Obie były wspaniałymi, przepięknymi dziewczętami, ale ich serca i dusze stanowiły dla niego tajemnicę.

Było w nich jednak coś intrygującego.

Często wspominał tę noc, kiedy go uwiodły. Nie wracał jednak pamięcią do tego, co stało się w łóżu – a w każdym razie nie tak często – ale do „Pieśni o Nowiu”, którą zaśpiewały mu

w duecie. W ich głosach czaiła się moc. Rojer, wychowany przez jednego z największych współczesnych śpiewaków, wiedział, że jest to talent rzadki i potężny.

Inevera oraz Elona zrobiły wszystko, co było w ich mocy, by zmusić Rojera do poślubienia dziewcząt. Abban chciał, by zwlekał z podjęciem decyzji. Leesha najwyraźniej pragnęła, by odmówił, choć sama bez sprzeciwów dała się wciągnąć w intrygi Abbana.

Wszystko wskazywało na to, że nikogo nie obchodzi, czego chce Rojer.

Uczta ciągnęła się w nieskończoność. Krasjanie odmawiali modlitwy i wymieniali się z delegacją z Zakątka formalnymi uprzejmościami, nierzadko przeplatany słabo zawoalowanymi wyrazami braku zaufania. Ahmann skupiał uwagę na Leeshy, co najwyraźniej irytowało jego rodaków. Rozmowa przy stole zeszła na temat ilości *Sharum*, którzy mieli eskortować Zielarkę w drodze powrotnej do Zakątka.

– Uzgodniliśmy, że będzie ich dziesięciu – mówiła Leesha. – I ani jednego więcej. Wedle Gareda przy karawanie kręci się ich raczej trzydziestu.

– Uzgodniliśmy, że będzie to dziesięciu oddanych, wiernych *dal'Sharum* – zgodził się Jardir. – Potrzeba jednak ludzi, którzy poprowadzą wozy z moimi darami dla plemienia Zakątka, zapolują dla was, zaopiekują się zwierzętami, przygotowują posiłki i upiorą odzież. Ci nie chwycą za włócznie, chyba że nie będzie innego wyjścia.

– Ale czy to nie zajęcia, którymi wedle tradycji zajmują się kobiety? Tych dziesięciu wojowników może przecież zabrać żony i dzieci. Nie dodała „jako zakładników”, ale Rojer wiedział, że tak właśnie należało jej słowa zrozumieć.

– Tak czy owak, oddziałek dziesięciu ludzi to za mało, by zapewnić wam bezpieczeństwo – utrzymywał Jardir. – Moi zwiadowcy donoszą, że na drogach do Zakątka grasują coraz liczniejsze bandy *chin*.

– To nie *chin* – zaproponowała Leesha.

– Co? – zdziwił się Jardir.

Uważaj, pomyślał Rojer.

– Nauczyłeś mnie, że *chin* oznacza „człowiek z zewnątrz” – rzekła Leesha. – A ci ludzie nadal przebywają w ojczystej krainie lub zostali z niej przegnani przez twoje wojska. To wy jesteście tu *chin*.

Wśród Krasjan poniosły się gniewne pomruki. Tu, w Lennie Everama, Jardir sprawował absolutną władzę, a każdy jego kaprys natychmiast stawał się prawem. Decyzje Ahmanna

nierzadko zastępowały zasady, które obowiązywały od tysięcy lat. Nikt, a już tym bardziej kobieta z obcych krain, nie ośmielał się krytykować go przy innych.

Jardir uniósł palec i wszyscy umilkli.

– Nie będziemy się spierać o słowa, gdy niebezpieczeństwo pozostaje realne. Przydzielam wam dwudziestu wojowników, dziesięciu *kha'Sharum* oraz dziesięciu *dal'Sharum* wraz z Mistrzem Ćwiczeń Kawalem, który będzie kontynuował szkolenie twoich wojowników. Dołączam mojego Wypatrywacza Coliva. Wszyscy zabiorą pierwsze żony oraz pierworodne dzieci.

– Chcę, by połowę z nich stanowiły dziewczynki – oznajmiła Leesha. – I żeby żadne nie było w wieku odpowiednim do odczytania *Hannu Pash*. Nie życzę sobie, by dołączyło do nas dwudziestu chłopców wyrwanych z *sharaj* na dzień przed rozstaniem z bido.

Jardir uśmiechnął się i machnął ramieniem.

– Abban, zajmij się tym.

Tłusty kupiec dotknął czołem podłogi.

– Oczywiście, Wybawicielu.

– Dwudziestu jeden ludzi – wtrąciła Inevera. – Święta liczba. Amanvah to *dama'ting* i musi mieć ze sobą oddanego eunucha ochroniarza. Wyślę z nią Enkido.

– Zgoda – rzekł Jardir.

– To nie... – zaczęła Leesha, ale Jardir nie pozwolił jej skończyć.

– Moja córka musi być odpowiednio chroniona. Jestem przekonany, że twój czcigodny ojciec – wskazał na Erny'ego – zgodzi się, że w tej kwestii nie ma co dyskutować.

Leesha zerknęła na ojca, ale ten spojrzał na nią surowo.

– Jardir ma rację, dziecko, i dobrze o tym wiesz.

– Być może – rzekła Leesha. – O ile Amanvah pojedzie z nami. Jeszcze tego nie ustalaliśmy.

Inevera uśmiechnęła się i uniosła do ust złoty puchar, z którego piła wodę.

– To kolejna sprawa, córko Erny'ego, o której nie ty decydujesz.

Wszyscy spojrzeli na Rojera, który znów poczuł ucisk w żołądku. Skupił myśli na medalionie, zwisającym mu ciężko z szyi, i nabrał głęboko tchu. Sięgnął po kolorową torbę z cudami i wyciągnął futerał ze skrzypcami.

– Wielki Shar’Dama Ka – oznajmił – od pewnego czasu ćwiczę melodię, której nauczyła mnie twoja córka wraz ze swą służką. To „Pieśń o Nowiu”. Twierdzisz, że doceniacie muzykę tworzoną ku czci Everama. Czy mogę teraz zagrać?

Otoczenie Jardira z zaciekawieniem spojrzało na Minstrela, zdziwieni niespodziewaną zmianą tematu, ale sam Ahmann machnął ręką i skinął głową.

– Proszę, synu Jessuma. Będziemy zaszczyceni.

Rojer otworzył futerał i wyciągnął stare skrzypce, подарowane mu przez Naznaczonego. Strzegł tego reliktu z dawnego świata jak oka w głowie i utrzymywał w jak najlepszym stanie. Instrument wymagał założenia nowych strun, ale polakierowane drewno nadal było mocne, a brzmienie przewyższało wszystko, co Rojer dotąd słyszał. Ułożył skrzypce pod brodą, a potem zawahał się, jakby niespodziewanie tknęła go nowa myśl.

– Czy mogę poprosić, by Amanvah i Sikvah zaśpiewały, podczas gdy będę grał?

– „Pieśń o Nowiu” to godna pieśń. – Jardir skinął na obie kobiety. Amanvah i Sikvah zbliżyły się bezszelestnie niczym ptaki chcące spocząć na ramionach sokolnika i uklękły za nim na poduszkach.

Nie widzę ich, pomyślał Rojer. To dobrze, bo nie mogę sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Nie tu. Nie teraz.

Ujął okaleczoną dłonią smyczek z końskiego włosia i zamknął oczy, by zapomnieć o smaku krasjańskiej kawy, zapachu potraw i zamieszaniu w sali. Skupił się tak mocno, że cały jego świat ograniczył się do instrumentu trzymanego w ręku. Wtedy rozpoczął grę.



Kompozycję otworzyła długa improwizacja oparta na pierwszych taktach utworu. Grał powoli i łagodnie, ale coraz częściej nawiązywał do głównego motywu, a muzyka stopniowo nabierała mocy. Rozlewała się na podwyższeniu zajęтым przez świtę Jardira, dotarła do poziomu zajętego przez *Damaji*, aż wreszcie odbiła się echem od ścian sali. Rojer ledwie zauważył, że wśród biesiadników zapadła cisza, nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Liczyła się tylko muzyka.

Gdy pierwsza część utworu dobiegła końca, Rojer pozwolił, by skrzypce przycichły. Nie dał dziewczynom żadnego sygnału, ale te natychmiast zaczęły śpiewać. Cicha melodia pozbawiona słów popłynęła nad głowami zebranych, uzupełniając poprzednią improwizację. Minstrel zaś znów zaczął grać, tym razem osiągając jeszcze wspanialszy efekt.

Uff, co za płuca! – pomyślał. Powietrze w istocie aż wibrowało od potężnych głosów obu dziewcząt. Rojer poczuł sztywność w spodniach, ale zignorował to jak każdą inną przeszkodę. Takie rzeczy zdarzały się podczas udanych występów. Na szczęście Minstrele nosili luźne spodnie.

Gdy wygrywana przez niego melodia osiągnęła punkt kulminacyjny, kobiety zaśpiewały pierwsze słowa. Rojer słabo poznał krasjański i nie rozumiał treści, ale umiał docenić piękno pieśni, gorzkiej i smutnej, ale jednocześnie niepokojącej, kryjącej ostrzeżenie. Sikvah i Amanvah tłumaczyły mu jej znaczenie, ale choć znały thesański, nie potrafiły przedstawić mu kunsztu i harmonii, na które splatały się muzyka z krasjańskimi wersami.

Rojer pragnął zmierzyć się z tym wyzwaniem. W „Pieśni o Nowiu” kryła się moc. Starożytna moc.

Po każdym z wersów kobiety śpiewały refren bez słów, wezwanie do Everama, by obdarzył siłą walczących w nocy. Ich głosy tworzyły harmonię tak doskonałą, iż nie sposób było poznać, kiedy jedna kończyła, a druga zaczynała.

Rojer zagrał refren dokładnie tak, jak dziewczęta go uczyły, ale po zakończeniu drugiego wersu rozpoczął kolejną wariację, improwizację na podstawie wersji oryginalnej. Zmiana była stosunkowo niewielka, ale niełatwa do odtworzenia dla śpiewaczek. Jednak Sikvah i Amanvah bez wysiłku, idealnie powtórzyły zagrane takty. Po trzecim wersie Rojer pozwolił sobie na jeszcze większą zmianę. Jego muzyka stała się tak skomplikowana, że zahipnotyzowałyby otchłanica, ale głosy obu Krasjanek bez trudu za nią nadążały, zupełnie jakby we trójkę spacerowali przez piękny ogród.

Czwarty wers mówił o Alagai Ka, ojcu demonów, który podczas Nowiu pojawiał się na ziemi. Rojer nie wiedział, czy takie stworzenie w istocie istniało, ale księżę demonów, który kilka nocy temu usiłował zabić Leeszę i Jardira, był wystarczająco przerażający. W jego muzyce więc pojawiła się nuta strachu i przy kolejnym refrenie ze strun spłynęło przeraźliwe, chaotyczne zawodzenie, po którym nawet skalny demon uciekłby gdzie pieprz rośnie.

Amanvah i Sikvah nigdy nie ćwiczyły tej melodii, ale odtworzyły ją bez wysiłku.

Po każdym wersie Rojer poddawał dziewczęta kolejnej próbie. Wytężał swój magiczny talent – o ile jego grę w istocie można było tak nazwać – i zalewał całą salę piękną melodią. Dziewczyny ani razu nie zaśpiewały fałszywie, nawet podczas ostatniej improwizacji, która zamknęła kompozycję.

Gdy skrzypce ostatecznie zamilkły, Rojer uniósł smyczek znad strun i otworzył oczy. Rzeczywistość wokół niego materializowała się powoli, jakby Minstrel przebudził się z głębokiego snu. Wszyscy ludzie wokół stołu, nawet Jardir i Inevera, milczeli oszołomieni i nie spuszczaali z niego wzroku. Rojer spojrział dalej i dostrzegł tuziny równie oczarowanych kleryków, a pod nimi tłumy wstrząśniętych *Sharum*.

Wtedy, jakby na dany znak, rozległ się ogłuszający ryk zachwytu. *Sharum* krzyczeli, wiwatowali i tupali tak gwałtownie, że cały gmach zdawał się drzeć w posadach. Klerycy panowali nad sobą o wiele lepiej, ale ich aplauz był również wstrząsający. Gared klepnął Rojera w plecy z takim rozmachem, iż nieomal odebrał mu dech, a Leesha obdarzyła go uśmiechem, od którego niegdyś stanęłoby mu serce. Nawet Hasik klaskał i tupał, wpatrując się w córkę z dumą.

Jardir i Inevera nadal siedzieli nieruchomo i wnet zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Wybawiciela, czekając na jego werdykt. Demon pustyni uśmiechnął się powoli i ku zdumieniu zgromadzonych wstał, by złożyć przed Rojerem głęboki ukłon.

– Everam przemawia do ciebie, synu Jessuma – orzekł i ogłuszające wiwaty odezwały się na nowo.

Rojer odpowiedział ukłonem.

– Chciałbym wziąć za żony twą córkę oraz twą siostrzenicę, Ahmannie asu Hoshkamin am’Jardir am’Kaji – wyznał.

Zaskoczona Leesha westchnęła, a Elona mruknęła z satysfakcją.

Jardir pokiwał głową i wskazał prawą ręką Ineverę, a lewą Elonę.

– Nasze kobiety ustalą...

Rojer pokręcił głową.

– Chcę poślubić je tu i teraz. Nie trzeba negocjować. Nie zależy mi na posagu, a sam nie mam co zaoferować.

Jardir splótł palce, przyglądając się Rojerowi. Nawet mistrz Minstreli nie potrafiłby przybrać tak nieprzeniknionego wyrazu twarzy jak Ahmann. Wyglądał, jakby lada moment miał rozkazać Hasikowi, by ten zmiażdżył śmiałka przedstawiającego tak bezczelną propozycję. Hasik w istocie już położył dłoń na włączni.

Rojer jednakże zdobył sobie wierną publiczność i świadom tego faktu ciągnął bez strachu:

– Tak czy owak, nie ma na świecie dość złota czy klejnotów, za które można by kupić Amanvah oraz Sikvah. Czy dla Shar'Dama Ka wszelkie klejnoty nie są tylko bezwartościowymi błyskotkami? Zamiast posagu chcę złożyć inną propozycję. Przełożę „Pieśń o Nowiu” na thesański i zagram ją moim rodakom. Skoro nadciąga *Sharak Ka*, jak twierdzicie, wszyscy powinniśmy pamiętać o tym, by wystrzegać się Nowiu.

– Myślisz, że sprzedam ci córkę za pieśń? – spytała Inevera.

Rojer uklonił jej się tylko. Wiedział, że powinien się bać żony Jardira, ale wiedział również, że zdobył moralną przewagę, więc po prostu się uśmiechnął.

– Proszę o wybaczenie, Damajah, ale nie ty o tym decydujesz.

– W rzeczy samej – odparł Jardir, nim Inevera zdążyła się odciąć. Damajah umiejętnie ukryła rozdrażnienie, ale w jej oczach pojawił się zimny błysk, który był jeszcze bardziej przerażający niż jakikolwiek wybuch.

Rojer zwrócił się do Jardira:

– Mówisz, że Everam do mnie przemawia. Nie wiem, czy to prawda, ale jeśli w rzeczywistości tak jest, mówi mi, że na twoim dworze pojawiła się prawdziwa magia. To magia starsza i potężniejsza od runów. Everam mówi, że jeśli zgłębię jej moc wraz z twoimi córkami, nauczymy się zabijać *alagai* samą pieśnią.

– Everam mówi mi to samo, synu Jessuma – rzekł Jardir. – Zgadzam się.

Z ust Hasika wyrwał się dziki wrzask zachwytu, który jeszcze niedawno przejąłby Rojera przerażeniem. Znów poniosły się wiwaty, oklaski i tupot stóp, a ludzie zewsząd pospieszili, by złożyć Minstrelowi życzenia.

– Ty przebiegły synu Otchłani! – Gared przygarnął Rojera do szerokiej piersi i potrząsnął nim tak, że Minstrelowi aż zadzwoniły zęby. Nawet Inevera wydawała się zadowolona, choć

Rojer wiedział, że Damajah długo nie zapomni urazy. Jedynie Elona miała nieco kwaśną minę – bez wątpienia właśnie usiłowała oszacować w wyobraźni bogactwo, od którego Rojer się odwrócił.

Rojer jednak nie lubił otaczać się zbytkiem. Pieniądze były mu potrzebne wyłącznie po to, by przeżyć, zresztą od Naznaczonego otrzymał już wystarczająco dużo złota. Nawet gdyby przycisnęła go bieda, dzięki swoim skrzypkom zawsze mógł liczyć na sutą wieczerzę i kąt do spania.

Jardir dał znać Amanvah, a ta wystąpiła i ukloniła się.

– Rojerze, synu Jessuma, oferuję ci siebie jako żonę wedle prawa podanego w Evejah, a spisane go przez Kajiego, Włócznie Everama, który zasiadać będzie przy Jego stole, aż się odrodzi w dniu *Sharak Ka*. Przysięgam, że będę dla ciebie posłuszną i wierną żoną.

Jardir zwrócił się do Rojera:

– Powtórz moje słowa, synu Jessuma: Ja, Rojer syn Jessuma, przysięgam przed Everamem, Stworzycielem wszystkiego, co istnieje, oraz przed Shar'Dama Ka, że wezmę cię do swego domu i będę wobec ciebie uczciwym i łaskawym mężem.

Rojer wsunął dłoń pod koszulę i zacisnął palce na medalionie.

– Ja, Rojer syn Jessuma, przysięgam na Stwórcę wszystkiego, co istnieje, oraz na duchy moich rodziców, że wezmę cię do swego domu i będę wobec ciebie uczciwym i łaskawym mężem.

Zmiany, których się dopuścił, wywołały pomruki niezadowolenia. Najgłośniej protestował sędziwy *Damaji Aleverak*, ale Jardir zachowywał się tak, jakby się nic nie stało. Rojer nie był jednak głupcem i wiedział, że Krasjanin zauważył niezgodność.

– Czy przyjmujesz moją córkę jako *Jiwah Ka*?

– Tak – odparł Rojer.

Powtórzono przysięgę dla *Sikvah*, a wtedy Amanvah zdjęła jej czarną woalkę.

– Witaj, siostrze-żono, ukochana *Jiwah Sen* – powiedziała i obwiązała jej twarz białym jedwabiem.

Hasik powstał, dzierżąc włócznie i tarczę. Rojer był pewien, że gigantyczny *dal'Sharum* chce go zabić, ale ten uderzył włócznie o tarczę i wydał dziki okrzyk radości, powtórzony przez każdego wojownika w sali. Gmach znów zatrzęsł się w posadach.



– Mogłeś przynajmniej zdradzić, że nosisz się z takim zamiarem, Rojer – powiedziała Leesha, gdy Abban odprowadzał ich do wozów.

– Niczego nie planowałem – odparł Rojer. – Podjąłem decyzję dopiero wtedy, gdy pieśń dobiegła końca. A zresztą niby dlaczego miałbym ci się zwierzać z moich planów? Nie udawaj, że ty w podobnej sytuacji zasięgnęłabyś mojej rady.

Leesha zacisnęła dłonie na rąbku sukni.

– Czy muszę ci przypominać, że te młode kobiety próbowały mnie zamordować?

– Pamiętam. Ale to ty zajmowałaś się Amanvah, gdy chorowała po zażyciu antidotum. Ty też zaferowałaś schronienie zarówno dla niej, jak i dla Sikvah.

– Nie oszukuj się – ostrzegła Leesha. – Te dziewczęta sercem i umysłem należą do Inevery.

– Może. – Rojer wzruszył ramionami. – Póki co.

– Naprawdę sądzisz, iż możesz je zmienić?

– A ty myślisz, że uda ci się zmienić Jardira?

Dotarli już do karawany i Minstrel zniknął w środku bogatego powozu, który przydzielono jemu i żonom.

– Nie lekceważ syna Jessuma – odezwał się Abban. – Zdobył dziś wielką władzę.

Gestem przywołał kobietę, która stała z księgą na czele karawany.

– Oto moja Pierwsza Żona, Shamavah. Będzie wam towarzyszyć w drodze do Zakątka. Osobiście dobrała *kha'Sharum*, którzy będą wam usługiwać wraz z żonami i dziećmi. Wszyscy oni są ze mną spokrewnieni lub pracują dla mnie. Kłopoty z ich strony wam nie grożą.

– *Kha'Sharum* akurat nie martwią mnie zbytnio – rzekła Leesha, a Abban pokiwał głową.

– Twoje słowa świadczą o mądrości. Nie miałem żadnego wpływu na dobór towarzyszących wam *dal'Sharum*. Dowodzi nimi Kaval i choć Ahmann przekazał Mistrzowi Ćwiczeń, że jesteś jego narzeczoną i ma być ci posłuszny, przypuszczam, że w rzeczywistości będą wypełniać polecenia Amanvah.

– Miejmy więc nadzieję, że Rojer wie, o czym mówi – westchnęła Leesha.

– To rozstanie przepelnia mnie głębokim żalem, pani – skłonił się Abban. – Będzie mi brakowało naszych rozmów.



Rojer rozejrzał się po wnętrzu ślubnego powozu i westchnął z zadowoleniem. Wóz zbudowano w Rizon ze znakomitego, pozłacanego drewna i wyposażono w metalowe zawieszenie, które miało uczynić znośną podróż po wyboistych drogach. Był to powóz godny bogatego szlachcica.

Krasjanie wprowadzili jednak pewne przeróbki. Usunęli siedzenia i wystłali podłogę grubymi, kolorowymi dywanami oraz wyszywanymi jedwabnymi poduszkami. Ściany i sufit obili ciemnoczerwonym i ciemnopurpurowym aksamitem, zawiesili też brązowe garnczki wypełnione aromatycznymi ziołami. Szklane okna można było uchylić, by wpuścić świeże powietrze. Prywatność zapewniały aksamitne kotary. Pod sufitem wisały również brązowe i szklane lampki oliwne, które można było zapalić i zgasić, przekręcając klucz.

Rojer bywał w burdelach, które mniej sprzyjały uprawianiu miłości.

Wygląda na to, że nie chciał, by tracił czas.

Musiał przyznać, że miał na to wielką ochotę. Kochał się już z Sikvah, ale dziewczyna nie chciała, by przed ślubem zostawił w niej nasienie, a Amanvah nadal była dziewicą. Wiedział, że będzie musiał okazać wobec niej delikatność.

Wyciągnął ołówek i notes z worka z cudami, by dopisać kilka uwag na temat „Pieśni o Nowiu”. Czytał bez trudu, potrafił też utrzymać pióro w okaleczonej dłoni, ale stawianie liter czy rysowanie nut, czego nauczył go Arrick, nie wychodziło mu tak dobrze jak gra na skrzypcach.

– Nie każdy potrafi raz usłyszeć utwór i grać go później po kres swoich dni – strofował go Arrick, gdy Rojer narzekał na konieczność uczenia się nut. Mistrz podkreślił radę siarczystym kłapsem. – Jeśli chcesz sprzedawać piosenki, powinieneś umieć je zapisać.

Rojer nienawidził mistrza w tych chwilach, ale teraz był mu wdzięczny za lekcje. Spisał już melodię oraz metrum tekstu. Wiedział, że przetłumaczenie całości zabierze sporo czasu, ale droga do Zakątka miała zabrać dwa tygodnie. Nie miał nic innego do roboty.

Cóż, prawie nic, pomyślał i uśmiechnął się, gładząc jedną z jedwabnych poduszek.

Usłyszał głosy i wyrzał przez szczelinę między zasłonami. Nadchodziły Amanvah oraz Sikvah wraz z dwoma odzianymi na białą *dama*, dziwnie wyglądającym *Sharum* oraz dwiema innymi kobietami.

Rojer natychmiast rozpoznał Jardirowego syna Asome oraz jego siostrzeńca Asukajiego. Domyślił się też, że wojownik to przyboczny Amanvah, Enkido. Był odziany w tradycyjną czarną szatę, ale na nadgarstkach i kostkach nosił złote bransolety, które wydawały się zespawane i niemożliwe do ściągnięcia.

Kobiet nigdy wcześniej nie widział. Obie miały czarne szaty, ale jedna nosiła białą woalkę jak Sikvah. Twarz drugiej była odsłonięta, co oznaczało, że nieznajoma to kobieta wolna i niezaręczona.

Asome i Amanvah na przedzie kłócili się zawzięcie. Zatrzymali się przed wozem, nadal szepcząc do siebie z gniewem. Rojer nie rozumiał ani słowa. Niespodziewanie Asome złapał Amanvah za ramiona i potrząsnął nią gwałtownie z wściekłym grymasem na twarzy. Jej rzekomy ochroniarz przyglądał się kłótni beznamiętnie. Trudno się było zresztą spodziewać, by którykolwiek Krasjanin podniósł rękę na syna Wybawiciela.

Rojer poczuł, jak ogarnia go zimny strach. Wiedział, że Asome potrafi zabić. Widział już walczących *dama* i pamiętał, że najgorszy z nich potrafiłby złapać za kark i rozbić stół głową Minstrela. Nie mógł jednak przyglądać się sprzecce beczynnie. Błyskawicznie przejrzał w pamięci swój aktorski repertuar i przypomniał sobie najbardziej nieustraszoną postać, a potem wcielił się w rolę.

Otworzył drzwi kopniakiem. Krasjanie zamarli.

– Łapy precz od mojej żony! – warknął Rojer niczym Naznaczony, a potem machnął zdrową dłonią, w której pojawił się nóż.

Asukaji syknął i wydawało się, że skoczy na Minstrela, ale Asome puścił Amanvah i zatrzymał krewnego.

– Proszę o wybaczenie, synu Jessuma – powiedział Asome, choć się nie uklonił. Mówił po thesańsku płynnie, choć z silnym akcentem, podobnie jak Amanvah. – To tylko zwykła sprzeczka między bratem i siostrą. Nie chcieliśmy okazać braku szacunku w dniu twego ślubu.

Z trudem panował nad gniewem w swoim głosie. Czy kiedykolwiek ktoś ośmielił się grozić mu nożem?

– No to kiepsko wam to wychodzi – odezwał się Gared, wychodząc zza wozu. W jednej dłoni swobodnie trzymał ogromny topór, a druga znajdowała się blisko rękojeści runicznej maczety. Kątem oka Rojer ujrzał Wondę, która bezszelestnie pokazała się po drugiej stronie wozu. Miała łuk w gotowości. Minstrel wiedział, że potrafi posłać strzałę w okamgnieniu.

Asukaji stanął między nim a Asome. *Dama* zachowywał zimny spokój, a Rojer naraz zwątpił, czy Wonda zdążyłaby strzelić na czas. Eskortujący ich *dal'Sharum* nie spuszczał zająścia z oczu.

Rojer uklonił się lekko. Jego nóż zniknął równie szybko, jak się pojawił, a Minstrel uniósł dłoń, by pokazać, że jest pusta.

– Czynisz mi zaszczyt, bracie, przychodząc tu osobiście, by pobłogosławić dzień mego ślubu i przedstawić siostrę i kuzynkę.

W spojrzeniu Amanvah kryło się ostrzeżenie. Rojer wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, odzywając się tak beztrąsko do ludzi, którzy mogliby go zabić bez mrugnięcia okiem, ale miał teraz potężny atut w rękawie. Wiedział, że *dama* nie ośmieli się zaatakować nowego zięcia Wybawiciela, dopóki ten go nie obrazi.

– W rzeczy samej – zgodził się Asome, choć w jego słowach brakowało pojednawczego tonu. Uklonił się Minstrelowi równie zdawkowo. Asukaji poszedł w jego ślady. – Przyjmij moje błogosławieństwo... bracie.

Asome spojrział na Amanvah i powiedział kilka słów po krasjańsku. Następnie obaj *dama* odwrócili się i odeszli ku wyraźnej uldze obecnych.

– Co on powiedział? – spytał Rojer.

Amanvah zawahała się, ale Minstrel spojrział jej w oczy.

– Powiedział, że porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Rojer pokiwał głową, jak gdyby nie miało to większego znaczenia.

– Byłbym zaszczycony, żono, gdybyś przedstawiła mi resztę swego orszaku.

Amanvah ukloniła się i gestem nakazała pozostałym, by podeszli. Najbliżej zatrzymała się kobieta w białej woalce. Z bliska Rojer ujrzał, że była bardzo młoda, może w wieku Sikvah.

– Oto moja szwagierka i kuzynka Ashia – przedstawiła ją Amanvah. – Pierworodna córka *Damaji* Ashana oraz najstarszej siostry Wybawiciela, świętej Imisandre, *Jiwah Ka* mego brata Asome.

Rojer ukrył zaskoczenie.

– Przyjmij moje błogosławieństwo w dniu twego ślubu, synu Jessuma – odezwała się kobieta. – Moje serce przepelnia radość, gdy widzę, jak błogosławiona kuzynka zostaje twoją żoną.

W przeciwieństwie do Asume w jej głosie nie było nieszczerości.

Wręcz przeciwnie, wyglądała, jakby miała zaraz go ucałować.

Rojer odwrócił się do kobiety z odsłoniętą twarzą.

– Oto moja kuzynka Shanvah – przedstawiła ją Amanvah. – Pierworodna córka *kai'Sharum* Shanjata, przywódcy Włóczni Wybawiciela i ojca mojej drugiej siostry, świętej Hoshvah.

– Przyjmij również i moje błogosławieństwo, synu Jessuma. – Shanvah złożyła przed nim płynny ukłon, tak głęboki, że niemalże dotknęła czołem ziemi. Rojer znał zawodowe tancerki, które dużo by dały za taką siłę i zwinność.

– Nasza czwórka od dzieciństwa trenowała wspólnie pod okiem Enkido w pałacu *dama'ting*. – Amanvah wskazała Sikvah jako czwartą. – Przybyły tu, by się pożegnać, bo przypuszczalnie upłynie sporo czasu, nim znów się spotkamy.

Następnie Amanvah wskazała Enkido, który ukłonił się nisko.

– Jestem Rojer asu Jessum am'Gospoda am'Rzeczulka – Minstrel przedstawił się wedle krasjańskiego zwyczaju i wyciągnął dłoń. Wojownik przyjrzał jej się z zaciekawieniem, a potem zacisnął rękę wokół nadgarstka Minstrela. Jego palce były twarde niczym stalowe pręty. Nie odezwał się ani słowem.

– Enkido to eunuch, mężu – wyjaśniła Amanvah. – Brakuje mu włóczni, przeto wolno mu strzec nas pod twoją nieobecność. Brak mu również języka, więc nie wyszepcze naszych sekretów.

– Pozwoliłeś, żeby ci kutasa odrąbali? – wypalił zdumiony Gared. Wszyscy spojrzeli na niego i Rębacz natychmiast się zarumienił. Enkido wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Enkido nie włada waszym pogańskim językiem – oznajmiła Amanvah. – Jest więc nieświadom nieuprzejmości, jaką popełniłeś.

Gared poczerwieniał jeszcze bardziej. Wsunął topór do pokrowca na plecach i ukłonił się, cofając.

– Przepraszam... Ja... Eee...

Odwrócił się i pospieszył, by zająć się koniem.

Rojer zaś raz jeszcze ukłonił się, by przyciągnąć uwagę wszystkich.

– Jestem zaszczycony tym, że tak wielu członków rodu Wybawiciela przybyło, by się z nami pożegnać. Proszę, nie krępujcie się moją obecnością. Pożegnajcie się tak, jak należy. Mamy mnóstwo czasu.

Kobiety zaczęły się ścisnąć i całować, ocierając przy tym łzy. Rojer wykorzystał sposobność i podszedł do dwójki Rębaczy.

– Dzięki – powiedział.

– To nasz obowiązek – odparł Gared. – Naznaczony kazał, żebyśmy cię pilnowali, i nie mamy zamiaru go zawieść.

– Dobrze, że wyjeżdżamy – dodała Wonda. – Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

– Co racja, to racja – zgodził się Rojer.



– O co chodziło? – spytał Rojer, gdy został sam na sam z Amanvah w ich wozie.

– To tylko sprawa między... – zaczęła Amanvah, ale Minstrel jej przerwał:

– Czy to tak ma rozpocząć się nasze małżeństwo, moja *Jiwah Ka*? Półprawdami i unikami? Amanvah spojrzała na niego zaskoczona, ale szybko spuściła oczy.

– Oczywiście masz rację, mężu. – Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Ty i twoi towarzysze nie jesteście jedynymi, którym pilno opuścić Lenno Everama.

– Dlaczego twój brat był taki zły?

– Asome twierdzi, że powinnam była sprzeciwić się matce, gdy kazała mi za ciebie wyjść – odparła Amanvah. – Pokłócił się z nią i... Nie skończyło się to dla niego najlepiej.

– Nie chce, by twój ród połączył się z mieszkańcami zielonych krain? – odgadł Rojer.

– Zgadza się. – Amanvah pokręciła głową. – Widzi, jaką dysponujesz mocą, i wie, że potrafisz zrobić z niej użytek. Ojciec jednakże ma wiele córek *dama'ting*, które powinny mu służyć. Asome chciał mnie podarować Asukajiemu, choć brat nie ma prawa oddawać siostry za mąż, póki żyje jego ojciec.

– Dlaczego wybrał akurat ciebie?

– Ponieważ jego ukochany Asukaji zasługuje tylko na najwspanialsze dary! – splunęła Amanvah. – A czy jest coś lepszego od najstarszej córki Wybawiciela? Asome nie może urodzić Asukajiemu dzieci, a więc usiłuje wykorzystać najbliższą krewną. Asukaji postąpił identycznie,

gdy przekonał wuja Ashana, by ten zaproponował mu Ashię. Jak dotąd ocaliła mnie tylko biała szata.

Amanvah spojrzała na Rojera.

– Moja szata i ty.

Rojer poczuł mdłości.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie uważają, że... że nie wypada żenić się z kuzynem w pierwszej linii, chyba że pochodzisz z niewielkiego sioła i nie ma wyboru.

Amanvah skinęła głową.

– Wśród moich rodaków również się tego nie praktykuje, ale Asome jest synem Shar'Dama Ka oraz Damajah. Robi to, na co ma ochotę. Ashia już urodziła mu syna, którego on i Asukaji traktują jako własnego.

Rojer zadrżał. Aż westchnął z ulgą, gdy wóz ruszył.

– Nie myśl już o tym, mężu. – Amanvah ujęła go za prawe ramię. Sikvah usiadła przy lewym. – Przecież to dzień naszego ślubu.



XII

Setka

333 ROK PLAGI, LATO
28 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Abban z trudem łapał oddech, pot moczył jedwabną pościel wielkiego łóża w Pałacu Luster. Na tym samym łóżu, sprzątniętym na polecenie Abbana sprzed nosa *Damaji* Ichacha, Ahmann kochał się z Leeshą i *khaffit* cieszył się w duchu, że zaznaje tu teraz przyjemności, podczas gdy przywódca plemienia Khanjin układa się do snu na pośledniejszym pośłaniu.

Shamavah już była na nogach i zakładała czarne szaty.

– Wstawaj, grubasku! Dostałeś to, na co miałeś ochotę, a teraz się pospiesz, bo wiele czasu nie mamy.

– Wody! – jęknął Abban, siadając. Shamavah ujęła dzban i napełniła pucharek. Na srebrnych ściankach perliły się krople równie wielkie jak te, które spływały po ciele Abbana.

– Któregoś dnia serce odmówi ci posłuszeństwa i wreszcie zawładnę twoją fortuną – zadrwiła żona. Sama zaspokoila pragnienie, a potem znowu nalała wody dla męża.

Gdyby którakolwiek z pozostałych żon tak go znieważyla, Abban nie pożałowałby laski, ale słowa Shamavah wywołały jedynie uśmiech. Jego *Jiwah Ka* nigdy nie była najpiękniejsza i płodne lata miała dawno za sobą, ale była jedyną, z którą kochał się z miłości.

– Ty już władasz moją fortuną. – Abban wychylił pucharek. Shamavah pomogła mu się ubrać.

– Być może to dlatego właśnie wysyłasz mnie tak daleko – stwierdziła.

Abban ujął jej twarz i obrócił kobietę ku sobie. Wiedział, że żona tylko się z nim droczy, ale mimo to słowa zaboląły.

– Będę przeklinał każdą minutę naszej rozłąki – oznajmił i mrugnął. – I to na pewno nie dlatego, że bez ciebie czeka mnie dwa razy więcej pracy.

Shamavah ucałowała jego dłoń.

– Trzy razy więcej.

Abban pokiwał głową.

– Ale to właśnie dlatego nikomu innemu nie powierzyłbym nawiązania kontaktu z plemieniem Zakątka. Musimy zająć ten rynek i za wszelką cenę pozyskać mieszkańców zielonych krain, nawet jeśli mielibyśmy na początku ponosić straty.

– Prędeż mnie Nie pochłonie – zakłęła się Shamavah. – Zaufanie mieszkańców Zakątka zdobyliśmy bardzo szybko i nie kosztowało nas to wiele. Ci ludzie nie potrafią długo skrywać słabości.

Miała rację. Gdy krasjański kupiec z rodziną przybył po raz pierwszy do Zakątka Wybawiciela, miejscowi z początku milkli i odwracali się z niechęcią. Widok człowieka z ciemniejszą skórą budził w nich nieufność, ale Abban nigdy nie podchodził do miejscowych bez podarunku. Nie ofiarował złota czy diamentów, gdyż nie chciał nikogo urazić, ale czy człowiek, który rozciera obolałe plecy po paru dniach na wozie, odmówiłby przyjęcia jedwabnej poduszki? Czy ktoś skrzywiłby się, słysząc ciepłe słowo w odpowiedniej chwili? Czy kogoś uraziłby prezent w postaci garści egzotycznych przypraw czy kilku krasjańskich drobiazgów?

Mieszkańcy Północy z ochotą przyjmowali takie podarunki i puchli z dumy, gdy nauczyli się słów takich, jak: „proszę” czy „dziękuję” po krasjańsku, zupełnie jakby to było wielkie osiągnięcie.

Wkrótce zaczęli z Abbanem rozmawiać. Z początku traktowali go z nieufnością, ale z wolna przyzwyczajali się i chętnie rozmawiali nie tylko o pogodzie, ale również o uroczystościach dożynkowych, zwyczajach ślubnych oraz moralności. Ludzie z Północy uwielbiali słuchać własnych głosów.

Oczywiście Ahmann nie potrzebował tych informacji. Wybawiciela interesowała liczebność i pozycje oddziałów, lokalizacja miejsc o znaczeniu militarnym bądź symbolicznym oraz mapy. Przede wszystkim mapy. Posłańcy z Gildii w Rizon spalili swoje w dniu krasjańskiego ataku, a durni *Sharum* nie wpadli na to, by ich powstrzymać. Mapy w bibliotece księcia Edona ograniczały się do jego własnych ziem, a te, które przedstawiały sąsiednie krainy, liczyły sobie przynajmniej dziesięć lat. Na północy Zakątek Wybawiciela rósł w okamgnieniu. Mniejsze wsie były zatłoczone uchodźcami i przez cały czas powstawały nowe osady. Wiele znajdowało się daleko od traktów Posłańców, po których Ahmann chciał przesunąć armie.

– Świat się zmienia – rzekł raz. – Nie wygramy tej wojny, jeśli nie zrozumiemy tych zmian.

Mieszkańcy Zakątka, choć naiwni i niewykształceni, nie byli skończonymi głupcami i nie dzielili się z Abbanem ważnymi informacjami. Gruby *khaffit* wiedział jednak dobrze, że nawet ze zwykłych plotek, którymi Ahmann tak gardził, można się wiele dowiedzieć.

„W zwykłej paplaninie ukryte są prawdziwe skarby” – mawiał jego ojciec Chabin.

Gdy mieszkańcy zielonych krain przybyli do Pałacu Luster, Shamavah również zajęła się zdobywaniem informacji. Wszystkie żony i córki Abbana mówiły po thesańsku, ale na wyraźny rozkaz *Jiwah Ka* udawały, że znają tylko garść słów i nawet najprostsze rozmowy z nimi zamieniały się w skomplikowane pantomimy. Wkrótce przybysze z Zakątka stracili ochotę do rozmów z Krasjankami, choć te towarzyszyły im niemalże przez cały czas. Milczące i niewidzialne przynosiły jedzenie, sprzątały po posiłkach, zmieniały pościel i uzupełniały wodę w dzbankach.

Po upływie kilku tygodni mieszkańcy zielonych krain nie zawracali sobie głowy kobietami Abbana i bez skrępowania gawędzili w ich obecności. Gdy pozostawali na osobności, nierzadko toczyli dyskusje przy jednym z wielu otworów wentylacyjnych pałacu. Nie wiedzieli, że główne przewody były z rozkazu Shamavah niemalże nieustannie „czyszczone”. W raportach spisywanych dla Abbana znajdowały się więc informacje wszelkiego rodzaju, od zwyczajów towarzyszących wypróżnianiu się po kontakty seksualne. Lektura niektórych sprawiała Abbanowi sporo radości.

Po tych doświadczeniach czytał w sercach ludzi z Północy jak w otwartych księgach. „Poznaj ludzkie pragnienia i wymień cenę, za którą możesz je spełnić” – mawiał ojciec. W ten właśnie sposób Chabin zgromadził fortunę, a Abban szedł w jego ślady.

Kupiec zyskał zaufanie mieszkańców Północy, gdyż zachowywał ich sekrety w tajemnicy i podsuwał mądre rady. Bywało, że proponował rozwiązanie, które na pierwszy rzut oka zdawało się sprzeczne z polityką jego władcy. Każde dziecko na bazarze natychmiast rozgryzłoby tę taktykę, ale mieszkańcy zielonych krain zawsze brali wybiegi Abbana za dobrą monetę. Żaden *chin* nie potrafił się zresztą targować jak należy.

Abban najbardziej się cieszył, gdy mógł sprzedać jakiś sekret Inevery. Pozyskiwał w ten sposób zaufanie ludzi z Północy, a jednocześnie krzyżował działania Damajah.

Inevera zaczynała podejrzewać jego udział w niektórych intrygach, ale było już za późno, by zdołała powstrzymać Abbana. Kupiec wykonał pierwsze posunięcia w sposób tak subtelny, że ich po prostu nie zauważyła, a przez to nie zdołała zapobiec. Posłużył się przy tym wieloma ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, że mu pomagają. Jednym z nich był Ahmann. Shar'Dama Ka publicznie znęcał się nad Abbanem, ale surowo karał każdego innego, kto by się dopuścił agresji wobec *khaffit*. Nie miał litości nawet wobec własnych synów i najbliższych doradców.

Ale to nie wystarczyło. Abban wiedział, że prędzej czy później Inevera bądź inny przeciwnik otruje go lub zabije w łóżu. Musiał szybko zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Będę się bała o ciebie. – Shamavah jakby czytała mu w myślach. – Musisz przecież opuścić Pałac Luster. Będę się bała o ciebie i o resztę rodziny.

– Zajmuj się własnymi sprawami przez kilka następnych miesięcy – stwierdził Abban. – Ja pod twoją nieobecność zatroszczę się o bezpieczeństwo moje i kobiet.

– A co z naszymi synami? – spytała Shamavah.

Abban westchnął ciężko, poprawiając turban przed lustrem, po czym sięgnął po laskę z głową wielbłąda.

– To o wiele trudniejsze – przyznał. – Ale zajmujemy się jednym problemem naraz. Póki co musisz jak najszybciej dołączyć do pewnej karawany.



Abban pożegnał się z żoną i przybyszami z zielonych krain, po czym pokuszył się z powrotem do pałacu Ahmanna. Rezydencja księcia Edona była największą i najbardziej nadającą się do obrony budowlą w Lennie Everama, choć przy pałacach Pustynnej Włóczni nie prezentowała się wcale imponująco. Nawet Abban posiadał o wiele większe budynki w Krasji,

choć stały w biednych dzielnicach i były ucharakteryzowane na walące się magazyny. Żaden *khaffit* nie powinien chwalić się bogactwem przed miejscowymi *dama* i *Sharum*.

Damaji oraz najznacniejsi *dama* zagarnęli wszystkie najcenniejsze budowle w Lennie Everama, a *Sharum* podzielili się tym, co pozostało. Abbanowi pozostała więc skromna siedziba w najuboższym i najodleglejszym rejonie miasta. Budynek nie był nawet na tyle duży, by pomieścić wszystkie żony, córki i służących. Pawilon rozpięty na Nowym Bazarze był o wiele większy.

Abban znalazł jednakże sposób na rozwiązanie problemu. Najpierw wprowadził wszystkich do Pałacu Luster, a potem w tajemnicy kupił całą ziemię w sąsiedztwie otrzymanego budynku. Pracując dzień i noc, niewolnicy przekopali w okolicy dziesiątki tuneli, a następnie wylali je cementem, by uzyskać fundament pod obwarowanie. Abban zgromadził też wszelkie potrzebne materiały i nim się ktokolwiek zorientował, wokół jego posiadłości zaczął rosnąć mur. Abban odgrodził się więc od ciekawskich, a ci, którzy wspięliby się na ogrodzenie, by przyjrzeć się życiu *khaffit*, ujrzeliby tylko zwykły, niczym niewyróżniający się dom.

Do ochrony muru Abban potrzebował jednakże żołnierzy. Sam nie był wojownikiem, ale potrafił docenić ich wartość. Miał do dyspozycji wielu silnych, uzbrojonych *chin*, ale żaden nie mógł się mierzyć z prawdziwym *Sharum*. Abban wiedział, że jeśli się odpowiednio nie zabezpieczy, *Damaji* odbiorą mu nową rezydencję, gdy tylko ułożą ostatnią cegłę.

Po korytarzach pałacu Shar'Dama Ka spacerowało wiele *dama* i *dama'ting*, a wśród nich maszerowali *Sharum*, którzy strzegli wszystkich przejść oraz drzwi. Wszędzie przemykały odziane na czarno *dal'ting* niosące tace i kosze z pościelą. Abban szedł wśród nich z opuszczoną nisko głową. Udawał, że utyka bardziej niż zwykle, a jego laska wybijała głośny rytm na krytych dywanami podłogach.

„Zawsze udawaj, że jesteś słabszy niż w rzeczywistości” – mawiał Chabin, a Abban dobrze opanował tę lekcję. Jego noga, złamana wiele lat temu, nadal bolała, ale nawet nie w połowie tak bardzo, jak o tym opowiadał. Skarżył się nawet Ahmannowi. Do chodzenia wystarczyłaby mu zwykła laseczka, ale dzięki wysokiej lasce z oparciem pod pachę wydawał się bardziej bezbronny. Zgodnie z zamierzeniem większość ludzi odwracała spojrzenie, by nie okazać obrzydzenia.

Przed salą tronową stał Hasik, który powitał nadchodzącego Abbana groźnym spojrzeniem. Najbliższe otoczenie Ahmanna gardziło *khaffit*, ale Abban nigdy nie spotkał człowieka

brutalniejszego i gwałtowniejszego od Hasika. Był człowiekiem tak potężnie zbudowanym, że mógł bez lęku mierzyć się z olbrzymami z Zakątką Wybawiciela, a jako ochroniarz Wybawiciela przeszedł specjalne szkolenie w *sharusahk*. Jak mało kto opanował sztukę ignorowania bólu i obawiali się go nawet *kai'Sharum*. Hasik nie poprzestawał bowiem na pokonywaniu wrogów – okaleczał ich i upokarzał.

Znali się z *sharaj*, gdzie Abban i Ahmann stali się przyjaciółmi, a Hasik największym rywalem tego drugiego. Teraz Hasik służył nowemu przywódcy z fanatycznym oddaniem, ale jego nienawiść do Abbana wzrosła w dwójnasób, tym bardziej że *khaffit* przy każdej okazji podkreślał, że jest doradcą Wybawiciela, a *Sharum* jedynie jego ochroniarzem.

Hasik nie miał prawa uderzyć Abbana, więc wyładowywał frustrację na jego kobietach. Wypełniając rozmaite zadania Wybawiciela, niejednokrotnie odwiedzał pawilon bądź dom kupca i zawsze znalazł chwilę, by zepsuć coś o wielkiej wartości lub zgwałcić którąś z żon bądź córek Abbana.

W Pałacu Luster kobiety były poza zasięgiem brutala, a ten, pozbawiony możliwości szkolenia Abbanowi, znienawidził rywala jeszcze bardziej. Na widok *khaffit* nozdrza Hasika rozszerzyły się, a w oczach błysnęła nienawiść. Abban zadał sobie w duchu pytanie, kiedy *Sharum* straci panowanie nad sobą.

– Nie stój tak! – warknął do wojownika. – Otwórzże drzwi! Czy może mam powiedzieć Wybawicielowi, że przez ciebie musiał dłużej czekać na przyniesione przeze mnie wieści?

Hasik rozwarł szeroko usta i przez moment wyglądał, jakby miał się udławić językiem. Abban z rozbawieniem przyglądał się, jak wojownik się krztusi i parska z wściekłości, ale w końcu otworzył wrota.

Ahmann niejednokrotnie pokazowo karał tych, którzy naprzykrzali się Abbanowi, i nawet Hasik nie odważył się podnieść na grubasa ręki. W jego oczach błysnęła obietnica zemsty, ale *khaffit* tylko się uśmiechnął.

Wokół Ahmanna zgromadził się wianuszek *Damaji* oraz innych dostojników. Na widok Abbana kuszykającego przez salę tronową Wybawiciel machnął ręką.

– Opuśćcie nas.

Wszyscy zebrani obrzucili Abbana złowrogimi spojrzeniami, ale nikt nie odważył się sprzeciwić. Ahmann zaprowadził gościa do mniejszej komnaty, w której znajdował się wielki owalny stół z ciemnego, wypolerowanego drewna, otoczony dwudziestoma krzesłami. Na

honorowym miejscu stał tron. Za siedziskiem wisiała wielka mapa, a sam stół ugiął się pod ciężarem napojów i jedzenia.

– Wyjechała? – spytał Ahmann, gdy zostali sami.

Abban pokiwał głową.

– Pani Leesha pozwoliła mi założyć faktorię handlową w plemieniu Zakątka. Przyspieszy to integrację, a my zyskamy cenne kontakty na Północy.

– Dobra robota.

– Będę potrzebować ludzi do ochrony ładunków oraz magazynów – dodał Abban. – Do tej pory miałem do dyspozycji służących gotowych do wykonywania ciężkich zadań. Byli to *khaffit*, ale za to ludzie silni i sprawni.

– Dziś to *kha'Sharum* – rzekł Ahmann.

Abban złożył ukłon.

– Rozumiesz więc mój problem. Żaden *dal'Sharum* nie będzie słuchał poleceń *khaffit*, ale jeśli przydzielisz mi kilku *kha'Sharum*, byłbym bardzo zobowiązany.

Ahmann zmrużył oczy, gdy przejrzał grę kupca.

– Ilu potrzebujesz?

– Wystarczyłaby mi setka. – Abban wzruszył ramionami. – To przecież błahostka.

– Żaden wojownik, nawet *kha'Sharum*, to nie błahostka, Abbanie – zaproponował z powagą Ahmann.

– Zapłacę ich rodzinom z własnej kiesy, rzecz jasna – ukłonił się Abban.

Władca zastanowił się, a potem wzruszył ramionami.

– Wybierz ich sobie.

Abban ukłonił się tak nisko, jak pozwoliła mu na to laska.

– Będę potrzebował Mistrza Ćwiczeń, by kontynuować ich szkolenie.

Jardir pokręcił głową.

– Mistrza, mój przyjacielu, przydzielić ci nie mogę.

Abban odpowiedział uśmiechem.

– Przyszedł mi do głowy Qeran.

Mistrz Ćwiczeń Qeran był jednym z dwóch, którzy nadzorowali szkolenie Abbana i Ahmanna w *sharaj*. Był człowiekiem surowym i fanatycznym, a *khaffit* nienawidził z całą

serdecznością. Po fatalnym ugryzieniu polnego demona *dama'ting* zmuszone były amputować Qeranowi nogę. Doszedł do siebie, ale jego duma mocno ucierpiała.

Ahmann spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Qeran? Człowiek, który uderzył mnie, bo nie pozwoliłem ci spaść i się zabić?

Abban znów się uklonił.

– Ten sam. Jeśli Wybawiciel zdecydował się mnie ocalić, a z czasem zaczął dostrzegać moją użyteczność, może Mistrz pójdzie w jego ślady. Wygląda na to, że ostatnio kiepsko mu się powodzi. Nadal ćwiczy chłopców w *sharaj*, ale *nie'Sharum* nie szanują go już tak jak kiedyś.

Ahmann burknął.

– *Nie'Sharum* zawsze są głupcami, dopóki nie przeleją pierwszej krwi. Jeśli życzysz sobie pomocy Qerana, mogę go o to poprosić, ale nie wydam mu polecenia.

Abban znów się uklonił.

– Czy obietnice, jakie złożyłeś pani z Zakątka Wybawiciela, wpłyną na twoje plany?

Ahmann pokręcił głową.

– Obietnice nie mają żadnego znaczenia. Moim obowiązkiem nadal jest zjednoczenie ludów Północy przed *Sharak Ka*. Wiosną wyruszymy na Lakton.

Abban zacisnął mocno usta, ale nie powiedział ani słowa.

– Pewnie uważasz, że to błąd – ciągnął Ahmann. – Chcesz, bym czekał.

– Nie, skądże – uklonił się Abban. – Słyszałem, że zacząłeś już nabór.

– Rozgniewaliśmy Alagai Ka, zabijając księcia demonów – wyjaśnił Ahmann. – Kolejny Nów będzie początkiem *Sharak Ka*. Czuję to w sercu. Musimy być gotowi.

– Oczywiście – zgodził się Abban. – *Chin* są już spacyfikowani i nie zbuntują się, nawet gdy weźmiesz ze sobą większość wojowników. Ich kobiety zakrywają twarze, ich synów zabrano na *Hannu Pash*, a mężczyźni stali się niewolnikami. Miną jednakże długie lata, nim ci chłopcy zostaną *dal'Sharum*. Doszły do mnie wieści, że ich ojcowie, *chi'Sharum*, nie robią wielkich postępów.

Ahmann uniósł brew na te słowa.

– Sporo wiesz o tym, co się mówi w pawilonach *Sharum*, *khaffit*.

– Odebrano mi sprawność w nodze, ale słuch nadal mam dobry – uśmiechnął się Abban.

– Chłopcy zabierani na *Hannu Pash* rozstają się z rodzinami, a są przy tym na tyle młodzi, że szybko zapomną o poprzednim życiu – stwierdził Ahmann. – Wielu wyrośnie na wspaniałych

dal'Sharum, a paru zostanie cennymi dla nas *dama*, których wykorzystamy, by wprowadzić wiarę w zielonych krainach. Ich ojcowie jednakże pamiętają zbyt dobrze i uczą się zbyt wolno. Wielu nigdy nie otworzy serc i nigdy nie pojmie zaszczytu, jaki ich spotyka. Przecież szkolimy ich, by wzięli udział w *Sharak Ka!*

– W pierwszej kolejności każesz im walczyć przeciwko braciom z zielonych krain – zauważył Abban. – To dylemat dla każdego mężczyzny.

– Wojna w Blasku Dnia została przepowiedziana. Nie możemy jej uniknąć, jeśli chcemy wygrać wojnę z *alagai* i oczyścić świat z tego plugastwa.

– Przepowiednie bywają niejasne, Ahmannie. Bywa, że są niewłaściwie pojmowane aż do chwili, kiedy robi się za późno. Uczą tego wszystkie opowieści w Evejah. – Abban podniósł ciężką księgę, zapisaną od początku do końca niemożliwym do złamania szyfrem. Pismo było schludne, a linijki tekstu równe. – Marze i zyski są konkretniejsze – dodał.

– A zatem użyjemy *chi'Sharum* w charakterze tępego narzędzia – rzekł Ahmann. – Nakarmimy ich ciałami pociski i strzały przeciwnika. Staną się tarczami dla moich wojsk, a *Sharum* posłużą jako włócznia.

– Twoje włócznie będą przynajmniej miały wspaniałe wierzchowce – stwierdził Abban. – Szczycimy się końmi hodowanymi w Krasji, lecz są niczym przy stadach dzikich rumaków, które biegają po zielonych pastwiskach Lenna Everama. *Chin* zwą je mustangami. To ogromne, potężne zwierzęta.

– Muszą być silne i dzielne, by przetrwać noc – burknął Ahmann.

– *Dal'Sharum* świetnie dają sobie radę z łapaniem i obłaskawianiem miejscowych koni – ciągnął Abban. – Twoje armie będą szybkie i nic nie stanie na drodze ich szarzy.

Usatysfakcjonowany Ahmann pokiwał głową.

– Nie mogę doczekać się wiosny. Z każdym upływającym dniem siły naszych wrogów rosą.

– Zgadzam się. Z tego właśnie względu nie powinienes zwlekać. Zaatakuj Lakton podczas Pierwszego Śniegu.

Ahmann spojrział na *khaffit* z zaskoczeniem, co sprawiło Abbanowi radość, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Od kiedy to tchórz Abban radzi atakować?

Kupiec w odpowiedzi uniósł księgę.

– Gdy przynosi to zyski.

Ahmann przyglądał się przyjacielowi przez dłuższą chwilę, a potem nalał sobie kielich nektaru i zasiadł na tronie. Gestem nakazał, by i Abban zajął miejsce.

– Dobrze. Podziel się ze mną prorocstwem, jakie wyczytałeś w swoich rachunkach. Skąd mam wiedzieć, kiedy spadnie pierwszy śnieg? Czyżbyś stał się *dama'ting* i widzisz przyszłość?

Abban uśmiechnął się i napełnił puchar dla siebie, a potem usiadł i otworzył księgę.

– Pierwszy Śnieg to nie tyle określenie pogody, co data w thesańskim kalendarzu. Następuje trzydzieści dni po jesiennej równonocy. Tego dnia poddani mieszkający wokół Lakton składają daninę swemu księciu.

– I chcesz, byśmy tę daninę ukradli? – domyślił się Ahmann.

– Włócznie nie będą przydatne, gdy dzierżą je ludzie z pustymi żołądkami – odparł Abban.

– Twoja armia cierpiała wielki głód zeszłej zimy, zwłaszcza po tym, jak ten idiota *dama* nakazał spalić spichrze z ziarnem. Nie stać nas na kolejną pomyłkę.

– Zgoda. Lecz teraz kontrolujemy ogromne tereny uprawne na Północy. Czy potrzeba nam więcej jedzenia?

– Twoja armia stała się liczniejsza. Musimy wyżywić nie tylko tysiące *chi'Sharum*, ale i znacznie większy naród. Co więcej, jeśli nie pozbawisz Lakton zimowych zapasów, czeka cię długie i zrudne oblężenie. Miasto wzniesiono pośrodku jeziora tak ogromnego, że z jego murów nie widać brzegów.

– Wydaje się to niemożliwe. – Ahmann wskazał mapę na ścianie. – Ale mieszkańcy zielonych krain są tego pewni.

– Twoje maszyny oblężnicze nie zagrażają murom miejskim z brzegów – przyznał Abban. – Jeśli łodzie zdołają zaopatrzyć Lakton jak należy, upłynie rok, zanim je przejmiesz.

– Cóż więc radzisz? – Ahmann splótł palce.

Abban wsparł się ciężko na lasce i kuszykając, podszedł do mapy. Ahmann przyglądał się *khaffit* z zainteresowaniem.

– Podobnie jak owo księstwo, które stało się Lennem Everama, Lakton składa się z miasta, które dało mu nazwę, oraz wielu wsi. – Abban najpierw wskazał końcem laski wielkie jezioro oraz miasto, leżące przy jego zachodnim brzegu, a potem zatoczył nią szerszy krąg. – Ziemie te są równie żyzne jak te w Lennie Everama i przynoszą równie obfite plony, a leżące tam wsie są niemalże niestrzeżone.

– Dlaczego więc po prostu nie zaanektujemy wsi? – spytał Ahmann.

Abban pokręcił głową i znów zakreślił koło na mapie.

– To ogromny obszar i nie da się go po prostu zająć. Nie masz wystarczająco wielu ludzi, a poza tym po zaanektowaniu obszaru musiałbyś sam zająć się zbiorami, o ile oczywiście mieszkańcy nie spaliliby wszystkiego na widok armii na horyzoncie. Wielu zdążyłoby umknąć i dotrzeć w porę do miasta, a przewoźnicy załadowaliby ich plony na łodzie i także wywieźli do miasta. Lepiej jest więc poczekać na ów Pierwszy Śnieg i zaatakować tutaj.

Kupiec wskazał sporą wieś na zachodnim brzegu.

– To Dokowisko. Tu *chin* zwożą swe plony, które następnie zostają zważone i wycenione przez rachmistrzów, a potem załadowane na łodzie i zawiezione do miasta. Cała flota przewoźników będzie czekać w dokach bądź na kotwicy na załadunek. Dokowisko jest kiepsko ufortyfikowane i nie będzie spodziewać się ataku o tej porze roku. Twoja armia na grzbietach mustangów zdoła wszystkich zaskoczyć. Dobrze przeszkolony oddział przejmie zbiory, większość doków Lakton i połowę floty. Potem będziesz mógł wysłać swe tępe instrumenty, by opanować wsie. W pierwszej kolejności skup się na tych, które leżą wzdłuż brzegu. Po ich zajęciu miasto na jeziorze zostanie odcięte od źródeł zaopatrzenia. Z nadejściem wiosny podda się, a ty będziesz dysponował łodziami, którymi przewieziesz *Sharum* do miasta.

Ahmann wpatrywał się w mapę ze zmarszczonymi brwiami.

– Zastanowię się nad tym.

Albo raczej sprawdzisz, co ci powiedzą kości Inevery, tak? – przemknęło Abbanowi przez głowę, ale wiedział, że lepiej się z tym nie zdradzać. Nie trzeba wróżby z kości, aby przewidzieć, co by się stało, gdyby wypowiedział swoje myśli na głos.



Mając w ręku nakaz podpisany przez Ahmanna, Abban pokuszył się na plac ćwiczeń, gdzie znajdował się Kaji'sharaj.

Natychmiast zauważył go Jurim, który trenował wraz z nim, gdy byli jeszcze dziećmi. Jurim śmiał się do rozpuku, gdy Abban zleciał z muru w Labiryncie i strzaskął nogę, ale za karę został strącony przez Qerana w ślad za nim. Abban nigdy do końca nie wyleczył obrażeń, choć Jurim błyskawicznie doszedł do siebie. I nigdy nie zapomniał o tym zdarzeniu.

Wojownik siedział w towarzystwie kilku innych przy pawilonie Kaji, popijał couzi i grał w *sharak*. Ku zaskoczeniu Abbana mieszkańcy zielonych krain również znali tę grę, ale nazywali ją „schronienie” i kierowali się innymi zasadami. Jeden z *Sharum* włożył kości do kubka, potrząsnął i rzucił, a potem rykiem ogłosił zwycięstwo. Inni skrzywili się ponuro.

– A co ty robisz wśród mężczyzn, *khaffit*? – wrzasnął Jurim. Pozostali unieśli głowy. Abban z przerażeniem zauważył, że siedzieli wśród nich Fahki i Shusten.

Jego synowie.

Jurim podniósł się szybko. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że ledwie tydzień temu wychłostano go tak, że skóra odłaziła mu z pleców. Rany zawsze goiły mu się szybko, jeszcze nim zaczął wchłaniać magię demonów w nocy.

Sharum podszedł. Abban nie był drobnym człowiekiem, ale Jurim, smukły niczym ostrze miecza, przewyższał go wyraźnie. Przy kupcu, zgarbionym i ciężko wspartym na lasce, wydawał się aż emanować energią i siłą.

Jurim nie odważył się skrzywdzić Abbana – nawet gdy Ahmanna nie było w pobliżu – ale podobnie jak Hasik nie tracił żadnej okazji, by dokuczyć dawnemu towarzyszowi. Hasik wyładowywał frustrację na jego kobietach, a Jurim i Shanjat wyżywali się na synach Abbana. Należeli przecież do Włóczni Wybawiciela, najśłynniejszego – i najbardziej zabójczego – oddziału wojowników Shar’Dama Ka, zahartowanych w bojach i silnych dzięki magii wchłanianej co noc. Fahki i Shusten ich uwielbiali.

Obaj ruszyli w ślad za Jurimem, ale żaden z nich nawet nie pomyślał, by pozdrowić ojca. Ba, nic w ich zachowaniu nie zdradzało, że go w ogóle poznają. Obaj spoglądali to na ziemię, to na siebie, to gdzieś wysoko, wszędzie, byle nie na Abbana. W kulturze, gdzie miano ojca jest ważniejsze od własnego, nie istniała gorsza obraza.

– Twoi synowie to wspaniali wojownicy – powinszował Jurim. – Z początku byli miękcy, ale czego się można spodziewać po krwi *khaffit*?

Fahki splunął przy tych słowach.

– Ale wziąłem ich pod swoją tarczę i odnalazłem w nich stal – ciągnął Jurim z uśmiechem. – Zapewne odziedziczyli ją po matce.

Cała trójka ryknęła śmiechem, a Abban zacisnął dłonie na kościanym drzewcu laski z taką siłą, że w dłoniach odezwał się ból. Ukryte w niej ostrze było zatrute i mógł je wbić w stopę Jurima w okamgnieniu. Tym czynem zyskałby może aprobatę synów, ale byłaby to chwilowa

radość – truciznę uważano za broń tchórzzy, a *khaffit*, który uderzyłby *Sharum*, zostałby skazany na śmierć. Gdyby Abban nie był ulubionym doradcą Wybawiciela, już dawno by go zadźgano za brak szacunku.

Fahki i Shusten wpatrywali się w ojca z nienawiścią i ledwie skrywanym obrzydzeniem. Gdyby uderzył Jurima, bez wahania zawlekliby go do najbliższego *dama*, a kara śmierci zostałaby wykonana, nim wieść dotarłaby do Ahmanna.

Abban z trudem ukrył emocje i zmusił się do ukłonu, a potem podał zwój z pieczęcią Wybawiciela. Jurim, jak wielu innych wojowników, nie umiał czytać, ale natychmiast rozpoznał koronę i włócznie.

– Jestem tu z polecenia Shar'Dama Ka – oznajmił Abban.

– A cóż to takiego ważnego, że musisz swoją obecnością kalać teren wojowników? – skrzywił się Jurim.

Abban wyprostował się ze skrywaną pogardą.

– Nie będę z tobą o tym rozmawiał. Zabierz mnie do Mistrza Qerana i lepiej się pospiesz.

– Zmień ton, gdy rozmawiasz z lepszymi od siebie, *khaffit* – warknął Shusten.

Kupiec smagnął go lodowatym spojrzeniem.

– Może i jesteś twardy jak matka, ale na pewno nie odziedziczyłeś po niej mądrości, skoro utrudniasz wypełnianie woli Shar'Dama Ka. Idź poszukaj czegoś sensownego do roboty, bo przy następnej okazji powiem Wybawicielowi, jak jego *Sharum* marnują czas, grając w *sharak* i pijąc *couzi*, zamiast ćwiczyć.

Chłopcy pobledli, spojrzeli po sobie i zmyli się jak niepyszni. Abban poczuł zimną satysfakcję, ale nie przegnała ona bólu z jego serca. Kupiec nauczył się żyć z tym, że inni szyczą z jego chromej nogi i tchórzliwego serca. Wiedział jednak, że ten, kto nie cieszy się szacunkiem synów, nie zasługuje na miano mężczyzny.

To się niebawem zmieni, obiecał sam sobie. Niebawem.



Wielu *Sharum* ignorowało zapisany w Evejah zakaz spożywania alkoholu i piło *couzi*, by dodać sobie odwagi podczas walki w Labiryncie. Niejeden wkrótce popijał też za dnia, ale doprawdy niewielu upijało się tak bardzo, że nie mogli wstać na widok *dama*.

Qeran jednak był nieprawdopodobnie pijany. Siedział na brudnej poduszce, oparty o główny maszt namiotu, a jego czarne szaty były mokre i cuchnęły wymiocinami. Obok leżała jego wspiana runiczna włócznia z poprzeczką, na której mógł się podpierać. Lewa noga Mistrza kończyła się tuż pod kolanem, a nogawkę związano. Do kikuta przymocowano zwykłą drewnianą podporę.

Spojrzał wrogo na Abbana. Ze zmrużonych oczu ziała nienawiść.

– Przyszedłeś tu ze mnie drwić, *khaffit*? Jestem teraz prawie tak bezużyteczny jak ty, ale przynajmniej zapewniłem sobie miejsce w Niebie.

Abban opuścił płachtę zasłaniającą wejście, a potem odwrócił się do Qerana i splunął u jego stóp.

– Nie jestem bezużyteczny, Mistrzu. Codziennie służę naszemu panu i nigdy w życiu nie poskarżyłem się na swój los. Nigdy też się nie upiłem jak ostatnia świnia. Everam, jak widać, obdarzył cię silnym ciałem, ale sercem słabym.

Twarz Qerana wykrzywiła wściekłość. Złapał włócznię, żeby zerwać się na równe nogi i przekłuć Abbanowi pierś. Nie przyzwyczaił się jeszcze do chodzenia na drewnianej nodze, a w głowie kręciło mu się od wypitego alkoholu. Zatoczył się, a Abban zdążył uderzyć laską i oderwać protezę od kikuta. Mistrz Ćwiczeń zwałił się na ziemię, a wtedy kupiec wytrącił mu włócznię.

Ostrze Abbana wysunęło się z laski z mechanicznym kliknięciem i zastygło między oczami Qerana.

– Zabiłeś wiele demonów w swoim życiu, Mistrzu – powiedział kupiec łagodnie. – Ale czy jesteś pewien, że znajdzie się dla ciebie miejsce w Niebiosach, po tym jak zdechniesz we własnych odchodach, zabity przez *khaffit*, którego ongiś wyгнаłeś w niełasce z *sharaj*?

Qeran nawet nie drgnął. Zezował na klingę unoszącą się nad grzbietem jego nosa.

– Czego chcesz? – spytał w końcu.

Abban uśmiechnął się, cofnął i wsunął ostrze z powrotem do laski. Wsparł się na niej, by się uklonić. Z kolorowej sakwy wydobyl zwój z pieczęcią Wybawiciela.

– Chcę na powrót uczynić cię wielkim.



Abban i Qeran przyciągali wiele spojrzeń, gdy kuszykali przez plac ćwiczeń w stronę *khaffit'sharaj* plemienia Kaji. Mistrz Ćwiczeń został rozebrany przez jedną z *jiwah'Sharum*, umyty i ubrany w świeże szaty. Mrużył oczy w ostrym blasku słońca i Abban wiedział, że w głowie Qeranowi aż dudni od wypitego couzi, ale Mistrz odzyskał nieco ducha i nie dawał po sobie poznać złego samopoczucia. Wyprostował się, wysoko trzymał głowę. Kroczył powoli, by odzyskać godność, a Abban zgodnie ze zwyczajem stapał krok za nim, choć mógł go bez trudu wyprzedzić.

Dotarli tam, gdzie trenowali odziani w brunatne szaty *kha'Sharum*. W samym plemienu Kaji były ich tysiące. Większość ćwiczyła proste układy z włócznią i tarczą, które Abban pamiętał z własnego szkolenia, choć wydawało mu się, że miało ono miejsce tysiąc lat temu. Stojący w szeregu *kha'Sharum* na sygnał odwracali się, tworzyli mur tarcz i wykonywali jednoczesne pchnięcie włóczniami. Mniejsza grupa ćwiczyła bardziej zaawansowane techniki.

Qeran splunął.

– Większość z nich powinna nadal nosić bido albo taszczyć wiadra z wodą czy polerować tarcze.

Minęło ich kilku młodych *Sharum*. Ubrani byli w czarne szaty, ale przesłony wiszące luźno wokół szyi były brunatne, co oznaczało, że są Mistrzami Ćwiczeń *khaffit*.

– Szczeniaki – zadrwił Qeran. – Ostrzą sobie zębki na *khaffit* w nadziei na czerwoną woalkę.

Jeden z młodych Mistrzów dostrzegł ich i podszedł bliżej. Przyglądał się z ostrożną niechęcią, aż zauważył czerwoną woalkę Qerana i jego oczy błysnęły, gdy rozpoznał nauczyciela. Qeran należał do Włóczni Wybawiciela i był powszechnie znany. Wraz z Mistrzem Ćwiczeń Kavalem wyszkolili przecież samego Shar'Dama Ka.

Młody Mistrz uklonił mu się, całkowicie ignorując Abbana.

– Jestem Hamash asu Gimas am'Tesan am'Kaji.

Qeran odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

– Wyszkoiliem twojego ojca. Gimas był dzielnym wojownikiem. Zginął mężnie w Labiryncie.

Hamash znów się uklonił, tym razem niżej.

– Co was sprowadza do *khaffit'sharaj*, czcigodny Mistrzu?

Abban zrobił krok i podał Hamashowi pismo od Wybawiciela. Mistrzowie Ćwiczeń, podobnie jak *kai'Sharum*, przechodzili specjalne szkolenie z czytania, pisania i kreślenia runów. Skupienie, z jakim Hamash marszczył brwi nad pergaminem, świadczyło, że nie przodował w nauce.

Abban udał, że nie zwraca na to uwagi. Brak wykształcenia u Hamasha grał na jego korzyść.

– Wybawiciel życzy sobie, byśmy wybrali dziesięciu najlepszych *kha'Sharum* – oznajmił. – Mam sam ich wybrać.

– Ty, *khaffit*, masz wybierać wojowników? – spytał Hamash, zerkając na Qerana.

Abban uśmiechnął się drwiąco.

– A któż by zrobił to lepiej? To w końcu wojownicy *khaffit*!

– Ale wciąż wojownicy – warknął młody Mistrz Ćwiczeń.

– Mistrz Qeran sprawdzi, czy nadają się do walki – rzekł Abban. – Ja zaś upewnię się, czy mają dobrze poukładane w głowie.

– Tylko dziesięciu? – upewnił się Qeran cicho, nie chcąc, by Hamash słyszał jego słowa. – Powiedziałeś, że Shar'Dama Ka pozwolił ci wziąć setkę.

– Wybawiciel nie należy do żadnego plemienia, Mistrzu – wyjaśnił Abban. – Wybierzemy dziesięciu ludzi z każdego plemienia.

– Ale w ten sposób uzyskamy więcej niż setkę – stwierdził Qeran.

W istocie, istniało dwanaście plemion Krasjan.

Sprytny, jak na Sharum, ocenił Abban, a głośno odpowiedział:

– Dobrze pamiętam twoje metody szkoleniowe, Mistrzu. Wielu nie przetrwa narzuconej dyscypliny, a paru z tych, którzy ukończą szkolenie, nie będzie się już nadawało do walki.

Demonstracyjnie wskazał laską swą chromą nogę.

– Rozpoczniemy trening z dwunastoma dziesiątkami, byś mógł wyrzucić bądź zabić tych, którzy nie spełnią twoich oczekiwań.

Qeran burknął pod nosem, a Hamash, który przyglądał się wymianie zdań, spojrzął mu w oczy i skrzywił się z niezadowoleniem.

– Nawet okaleczony Mistrz Ćwiczeń nie powinien pozwolić, by *khaffit* zwracał się do niego tak bezczelnie.

Spokojna twarz Qerana niczego nie zdradziła, gdy machnął włócznią i wbił drzewce między nogi Hamasha. Młody Mistrz Ćwiczeń pochylił się, a wtedy Qeran zakręcił drzewcem i rąbnąwszy przeciwnika w bok głowy, przewrócił bez wysiłku.

Hamash błyskawicznie odtoczył się w bok, ale Qeran przewidział jego ruch i grzmotnął go raz jeszcze okutym tępym końcem włóczni, rozrywając mu policzek i wybijając kilka zębów. Hamash odkaszlnął krwią i spróbował zerwać się na równe nogi, ale Qeran ani myślał mu na to pozwolić. Stał w szerokim rozkroku i tłukł pokonanego raz za razem. Większość ciosów była bolesna, ale nie pozostawiała trwałych urazów, ponieważ jednak młody Mistrz nadal stawiał opór, cierpliwość Qerana się skończyła. Rozległ się ostry trzask, a potem ryk bólu, gdy stary weteran złamał przeciwnikowi rękę w łokciu.

– Zwalcz swój ból i zamilcz, durniu! – syknął Qeran. – Twoi ludzie patrzą!

W istocie, zarówno inni Mistrzowie, jak też i *kha'Sharum* przerwali trening i przyglądali się zajściu z szeroko otwartymi ustami.

Qeran spojrział na gapiów.

– Każcie ćwiczącym zdjąć wierzchnie szaty i ustawcie ich w szeregu do przeglądu! – ryknął.

Zebrani zerwali się, jakby rozkaz wydał sam Shar'Dama Ka. W mgnieniu oka włócznie i tarcze zostały ustawione w kozły, szaty zwinięte, a ludzie stanęli w równych szeregach, odziani jedynie w przepaski biodrowe.

Qeran wbił tępy koniec włóczni w Hamasha, nadal wijącego się na ziemi.

– Wstawaj i ruszaj za mną. Już straciłeś woalkę Mistrza. Jeśli choć raz pozostaniesz w tyle lub nie posłuchasz mego polecenia, odbiorę ci czarne szaty.

Abban poskromił uśmiech, patrząc, jak zakrwawiony, blady Hamash gramoli się z ziemi. Dobrze wybrał Mistrza.

Wraz z Qeranem podeszli do pierwszego szeregu, a oszołomiony Hamash usiłował nadażyć. Inny Mistrz Ćwiczeń w brunatnej przesłonie wyprężył się na baczność, a potem wykonał przed Qeranem ukłon tak niski, że niemal dotknął brodą ziemi.

Szli wzdłuż szeregu. Qeran wywoływał każdego ucznia jak niewolnika na targu.

– Sflaczały – powiedział przy jednym, szczypiąc go w ramię. – Ale kilka miesięcy na owsiance i bieganiu z kamieniami dookoła murów miejskich szybko to zmieni. Pokaż pierwszy *sharukin*.

Mężczyzna był spocony ze strachu, ale wykonał polecenie. Powoli zaprezentował pierwszą serię ruchów. Qeran splunął.

– Żalotne. Nawet jak na *khaffit*!

– Czym się zajmowałeś, zanim odpowiedziałeś na wezwanie Wybawiciela do *sharak*? – spytał Abban, wyciągając księgę i pióro.

– Wyrabiałem lampy – odparł *kha'Sharum*.

– Byłeś mistrzem czy czeladnikiem?

– Mistrzem. Interes należał do ojca, ale opuścił mnie, żeby szkolić moich synów.

– A cóż to ma za znaczenie? – burknął Qeran, ale Abban zignorował go i zadał jeszcze kilka pytań, po czym podszedł do kolejnego *kha'Sharum*. Ten był tak chudy, że przez skórę można by policzyć żebra. Mrużył oczy, przyglądając się obu dostojnikom.

Abban wysunął trzy palce.

– Ile palców widzisz?

Mężczyzna jeszcze bardziej zmrużył oczy.

– Dwa – odparł z wahaniem.

Abban cofnął się o kilka kroków i badany otworzył szerzej oczy.

– Trzy – powiedział z większym zdecydowaniem.

Qeran pchnął chudzielca na ziemię.

– Wstawaj, psie! – wrzasnął Mistrz odpowiedzialny za jego szkolenie i szturchnął go tępym końcem włóczni. Mężczyzna szybko się podniósł i z powrotem zajął miejsce w szeregu.

– On nie powinien się tu w ogóle znaleźć – oznajmił Qeran, ale Abban znów zlekceważył słowa towarzysza.

– Potrafisz czytać? – spytał *kha'Sharum*. – Albo wykonywać działania na liczydło?

– Tak, ale muszę mieć okulary – pokiwał głową tamten.

Sprawdzali jednego człowieka po drugim. Qeran przyglądał się ich ciałom i badał mięśnie, a Abban sprawdzał umiejętności. Kilku przeszło pierwszy etap kwalifikacji i wystąpiło przed szereg.

Wreszcie podeszli do potężnego człowieka, wyższego od reszty o ponad głowę. Miał szeroką klatkę piersiową i muskularne ramiona. Abban uśmiechnął się.

– Ten na nic wam się nie przyda – oświadczył jeden z Mistrzów. – Jest silny jak kilka wielbłądów, ale nie usłyszy rogów sygnałowych. Głuchy jak pień.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – warknął Abban. – Pamiętam go. Jako jeden z pierwszych odpowiedział na wezwanie Wybawiciela. Jak się nazywa?

Mistrz wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mamy. Nazywamy go Bezuchy.

W stolicy przebywało ponad tysiąc *kha'Sharum* z plemienia Kaji. Kiedy *dama* odśpiewali z minaretów pieśń na koniec dnia, Qeran i Abban obejrzeni zaledwie połowę z nich. Odchodząc, wzięli ze sobą potencjalnych kandydatów, których uzbierało się ponad pięćdziesięciu. W pawilonie przeprowadzili kolejne testy. Grupa przerzedziła się najpierw do dwudziestu osób, potem do dziesięciu, aż wreszcie pozostało czterech kandydatów, wśród nich głuchoniemy olbrzym.

Qeranowi nie podobał się ten wybór.

– Wojownik, który nie słyszy rogów, to poważny problem!

– Być może podczas *alagai'sharak* – zgodził się Abban. – Ja jednak pójdę za przykładem *dama'ting*, które od zawsze posługują się eunuchami pozbawionymi języka. Na pewno znajdę zastosowanie dla człowieka, który nigdy nie podsłucha czegoś, czego nie powinien.

Powrócili na plac o świcie i spędzili cały dzień aż do zmierzchu, sprawdzając, badając i przepytując kolejnych kandydatów, a potem wyklócając się do osiągnięcia kompromisu. Qeran sześciokrotnie zagroził, że odejdzie, jeśli Abban odrzuci jakiegoś *kha'Sharum*.

– Droga wolna! – rzekł Abban, gdy posprzeczali się o górnika z Piaskowca, potężnego brutala o pustym spojrzeniu, który nie potrafił przeliczyć własnych palców. – Nie interesują mnie idioci!

Brutal wbił wściekle spojrzenie w kupca, ale wtedy podszedł Bezuchy i skrzyżował ramiona. Górnik spuścił wzrok i już się nie odezwał.

Qeran mierzył Abbana niezadowolonym spojrzeniem, ale *khaffit* nie miał zamiaru ustąpić. W końcu Mistrz Ćwiczeń machnął ręką.

– Gdybyś miał tyle charakteru jako dzieciak, zrobiłbym z ciebie prawdziwego mężczyznę.

Abban uśmiechnął się i uklonił lekko.

– Zawsze miałem charakter, Mistrzu. Tylko nie do walki.

– Masz dobre oko – burknął niechętnie Qeran, gdy selekcja dobiegła końca i ustawili dziesięciu rekrutów przed sobą. – Zrobię z nich wojowników.

– Znakomicie. – Abban pokiwał głową. – Jutro udamy się do *khaffit'sharaj* Majah i zaczniemy od nowa.

Przeгляд *kha'Sharum* w plemieniu Majah zabrał cały następny dzień, a kolejny Qeran i Abban spędzili wśród członków Mehnding. Proces selekcji nabrał tempa, gdyż każde kolejne plemię było mniejsze od poprzedniego, a najmniej liczne – Sharach – liczyło sobie jedynie trzy tuziny *dal'Sharum* oraz niecałą setkę *kha'Sharum*.

– Tylko wśród Kaji odrzuciliśmy kilkuset lepszych kandydatów – zauważył Qeran, po tym jak wybrali najlepszych ludzi spośród Sharach. Podobnie jak wielu starszych wojowników, wyszkolonych przed zjednoczeniem plemion przez Ahmanna, Qeran był bardzo lojalny wobec pobratymców i wolałby, żeby większość rekrutów pochodziła z Kaji.

Abban pokiwał głową.

– Ale przecież Sharach osiągnęli mistrzostwo w łapaniu *alagai*!

W istocie, przyglądali się wojownikom Sharach ćwiczącym posługiwanie się długimi włóczniami z żelaznymi pętlami, które zarzucali na szyję człowieka bądź demona. Za pomocą specjalnej dźwigni mogli zacieśnić bądź rozszerzyć pętlę. Istniały specjalne układy *sharusahk*, dzięki którym kontrolowali pozycję złapanej ofiary.

– Sam potrafię niezłe nauczyć posługiwania się tą bronią – stwierdził Qeran.

– „Niezłe” to za mało, Mistrzu – odrzekł Abban.

Qeran obnażył zęby.

– Nauczyłem walki samego Wybawiciela. To za mało?

Abban nadal nie był pod wrażeniem.

– Wyszkoliłeś go bardzo dobrze, ale *dama* nauczyli go jeszcze więcej. Prawdziwe mistrzostwo Wybawiciel osiągnął dopiero wtedy, gdy połączył obie sztuki. Ahmann studiuje teraz *sharukin* wszystkich plemion i ciebie też to czeka. Będziesz uczył tych ludzi, ale będziesz też uczył się od nich wszystkiego, co sami wiedzą. Chcę, byś poznał od Nanji sztukę władania włócznią i łańcuchem. Nauczysz się walki drabiną od Krevakh. Pojmiesz wszystko. Jeśli zaś nie czujesz się na siłach, daj mi znać, a znajdę kogoś, kto temu podola.

– Mogę nauczyć się sztuczek mniejszych plemion – warknął Qeran.

– Oczywiście – zgodził się Abban. – Nie wątpię też, że wiele z nich usprawnisz. Nie bez powodu wybrałem najsłynniejszego spośród żyjących Mistrzów Ćwiczeń. Pod twoim okiem nawet najgorsi z tych ludzi dorównają *kai'Sharum*.

Qeran wydawał się udobruchany tymi słowami. *Sharum* nie byli skomplikowanymi ludźmi. Wystarczyło kilka ciosów różgą i komplement na koniec, aby bez reszty zdobyć ich serca.

– Ale nie mogę ich nauczyć sekretów *dama*, które poznają *kai'Sharum* – przyznał Qeran.

Abban uśmiechnął się pod nosem.

– Pozostaw to mnie, Mistrzu.



Gdy Qeran przyprowadził wreszcie stu dwudziestu *kha'Sharum*, wokół terenu wykupionego przez Abbana wyrosła już drewniana palisada. Pale zostały wbite głęboko w ziemię i tak blisko siebie, że nie sposób było znaleźć szczeliny między nimi. Z zewnątrz palisada wyglądała na słabą i poskładaną z przypadkowych elementów, co również stanowiło zamysł Abbana. Wrażenie uzupełniały ciągnące się runy, silne, ale wymalowane bez wielkiej staranności. Nic nie przyciągało uwagi postronnego obserwatora.

Był to oczywiście starannie opracowany kamuflaż. Gdy Qeran znalazł się w środku, wybałuszył oczy ze zdumienia. Setki niewolników *chin* wyrabiało zaprawę i budowało tuż przy palisadzie mur z kamienia, który sięgał już pasa dorosłego mężczyzny. Inni wywozili gruz, pozostałość po lichych budynkach, wzniesionych przez poprzednich właścicieli. W ich miejsce wyrosły wielkie pawilony. Z niektórych buchały kłęby dymu. Wszędzie słychać było brzęk metalu, łoskot obrabianych kamieni i pokrzykiwania robotników.

– Budujesz fortecę – stwierdził Qeran.

– Fortecę, w której będziemy zbroić i ćwiczyć wojowników na *Sharak Ka* – odrzekł Abban.

– Fortecę, której trzeba strzec, zwłaszcza teraz, gdy jest najsłabsza.

Qeran uśmiechnął się, bodaj po raz pierwszy, odkąd Abban wyrwał go z pijackiego transu. Rozejrzał się po palisadzie i budowanym murze.

– Zostaw to mnie – orzekł z przekonaniem. – Przed zapadnięciem zmroku twoi *kha'Sharum* będą patrolowali okolicę.

– To nie wszystko. Moi agenci nabyli wielu niewolników na targu. Praca ich zahartowała, ale nie są wojownikami. Ich też musisz wyćwiczyć.

– Wiem, że Shar'Dama Ka nakazał zbroić *chin*, ale ten rozkaz nigdy nie przypadł mi do gustu – wyznał Qeran. – Evejah każe nam rozbrajać naszych wrogów, a nie uczyć ich walki.

– Twoje rozterki są nie na miejscu, Mistrzu – zaproponował Abban. – Shar'Dama Ka ogłosił swoją wolę i musisz być posłuszny. To nie wrogowie, ale niewolnicy, a ja dobrze ich traktuję. Śpią w ciepłych pomieszczeniach, dobrze ich karmię, pozwalam przebywać z rodzinami i strzegę ich bezpieczeństwa.

– Tylko głupiec może ufać *chin*.

Abban zatrzymał się, ścisnął mocniej laskę, by nie stracić równowagi, i wbrew sobie wybuchnął śmiechem. Otarł łzę i spojrzał na Mistrza, który nachmurzył się, niepewny, czy właśnie nie stał się ofiarą żartu.

– Ufać? – powtórzył Abban i raz jeszcze zachichotał. – Mistrzu, ja nie ufam absolutnie nikomu.

Qeran mruknął pod nosem i obaj kontynuowali obchód. Kupiec zaprowadził wojownika do pawilonu zamienionego na kuźnię, skąd dobiegał ogłuszający brzęk metalu. Mimo otworów w ścianach namiotu w środku panował niewyobrazalny upał. Z pieców buchał dym, a z nad syczących koryt z wodą unosiły się kłęby pary. Dookoła pracowali rzemieślnicy różnego typu – kowale, szlifierze, cieśle, wytwórcy strzał, tkacze i Patroni Runów.

Każde ze stoisk prowadzone było przez kilka odzianych w grube czarne szaty kobiet, które wydawały się obojętne na upał. Qeran również sprawiał wrażenie, jakby wysoka temperatura zupełnie mu nie przeszkadzała, choć oddychał rytmicznie, co było jednym z elementów krasjańskiej sztuki ignorowania bólu.

Abban wciągnął gorące, cuchnące powietrze głęboko w płuca i wypuścił je z zadowoleniem, zupełnie jakby napawał się aromatem najwspanialszego tytoniu. Tak pachniał zysk.

W centrum pawilonu ciągnęły się równe rzędy gotowej, poustawianej w kozły broni – włóczni, tarcz, drabin, haków, lin, pętli do łapania *alagai* oraz nie mniej groźnych noży i sztyletów noszonych przez skrytobójców. Znajdowało się tam również mnóstwo kłusaczy oraz ogromne miotacze zamontowane na wozach.

Mistrz Ćwiczeń wziął pierwszą z brzegu włócznię, oparł się na drewnianej nodze i wykonał kilka pchnięć i obrotów.

– Niesłuchanie lekka! – zauważył.

Abban pokiwał głową.

– W zielonych krainach rośnie drzewo zwane złotodrzewem. Nazwa pasuje idealnie, gdyż jego drewno jest warte swej wagi w złocie. Jest lżejsze i silniejsze od ratanu, z którego wyrabialiśmy włócznie w Krasji. Nie potrzeba też aż tyle lakieru, by wzmocnić runy wyryte wzdłuż drzewca.

Qeran przyłożył dłoń do ostrza, chcąc sprawdzić jego ostrość, i uśmiechnął się szeroko, gdy czubek bez trudu nakłuł jego skórę.

– Cóż to za metal?

– To nie metal – wyjaśnił Abban. – To szkło.

– Szkło? – Qeran był zdziwiony. – Niemożliwe! Przecież szkło pęknie przy pierwszym uderzeniu!

Abban wskazał wystygłe kowadło przy jednej z kuźni. Mistrz Ćwiczeń nie zawahał się ani chwili – pokuszył się i rąbnął w nie włócznią z siłą, która strzaskałaby nawet stalowe ostrze. W powietrzu poniósł się przeciągły brzęk, a na kowadle pojawiła się rysa.

– To sztuczka, której nauczyliśmy się od plemienia Zakątka – rzekł Abban. – Szkło wzmocnione runami, lżejsze i mocniejsze od stali, a przy tym nieprawdopodobnie twarde. Nawet najostrzejsze ostrze się nie stępi. Malujemy szkło na srebrny kolor, by ukryć jego prawdziwą naturę.

Z tymi słowy zaprowadził Qerana do kolejnego stanowiska, z którego wziął ceramiczną płytkę.

– Takie oto płytki wszywane są teraz w szaty *dal'Sharum* – objaśnił.

– Wiem – odparł sucho Qeran.

– A zatem wiesz również, że kruszą się po mocnym uderzeniu. Co gorsza, rozbijają się na drobne kawałki, przez co cios demona staje się jeszcze groźniejszy.

Qeran wzruszył ramionami.

Abban podał mu drugą płytkę, wykonaną z czystego szkła runicznego. Mieniła się w blasku bijącym z kuźni.

– Jest lżejsza, cieńsza i nieprawdopodobnie mocna – powiedział. – Wytrzymałaby uderzenie skalnego demona.

– Armia Wybawiciela będzie niepokonana! – sapnął Qeran.

Abban zachichotał.

– Zwykłego *Sharum* nie będzie stać na taką zbroję, Mistrzu, ale znajdzie się ich wystarczająco wiele dla Włóczni Wybawiciela. – Mrugnął do starego wojownika. – Lub mojej setki. Twoi rekruci będą wyposażeni lepiej niż elita Shar’Dama Ka.

W oczach Mistrza zamigotała chciwość. Abban dostrzegł to i uśmiechnął się szerzej.

Jeszcze jeden dar i ten człowiek będzie mój.

– Chodź – powiedział. – Żaden Mistrz Ćwiczeń na mojej służbie nie będzie kuszył na takiej drewnianej nodze.



Abban przyglądał się z satysfakcją, jak Qeran kroczy przed szeregami *khaffit* oraz *chin* wybranych do szkolenia. Drewniana noga Mistrza Ćwiczeń została wrzucona do ognia, a w jej miejsce pojawiła się proteza wykonana ze sprężystej runicznej stali. Była prosta, elegancka i dawała wojownikowi szansę na odzyskanie dawnej sprawności bojowej. Na razie Qeran nadal wspierał się na włóczni, ale kroczył coraz pewniej.

Wybranych uczniów rozebrano aż do bido, a ich szaty i inna odzież zostały spalone. Bido *khaffit* były brunatne, a *chin* w kolorze zielonych oliwek.

– Nie interesuje mnie, jak nazywały was te nieroby uważające się za Mistrzów Ćwiczeń! – krzyknął Qeran. – Dla mnie wszyscy jesteście *nie’Sharum* i będziecie nimi dopóty, dopóki nie wykażecie się w boju. Jeśli nie zawiedziecie moich nadziei, otrzymacie w nagrodę szaty wojownika oraz przesłony. Dostaniecie też wspaniałą broń i równie świetną zbroję. Otrzymacie znakomite jedzenie oraz kobiety! Jeśli natomiast okryjecie mnie wstydem...

Urwał i uniósł nieco głowę, jakby chciał spojrzeć wszystkim w oczy.

– Wtedy was pozabijam.

Mężczyźni stali nieruchomo, wypinając klatki piersiowe. Wielu z nich było bladych i spoconych pomimo chłodu poranka. Qeran odwrócił się do Abbana i skinął głową.

– Czyń swoją powinność – mruknął Abban do siostrzeńca Jamere, ale młody *dama* już kroczył naprzód. Był mężczyzną wysokim i słusznych rozmiarów, gdyż nigdy nie został poddany surowemu rygorowi narzuconemu przez Evejah. Pod żadnym pozorem nie można go było jednak nazwać grubym, poruszał się z płynną gracją, charakterystyczną dla kleryków. Jamere spędził bowiem większość życia w Sharik Hora, gdzie potajemnie przepisał sekretne podręczniki

skarusahk prawie wszystkich plemion i opanował zakazane techniki. Sekrety te później skwapliwie sprzedał wujowi.

– Uklęknijcie przed *dama* Jamere! – warknął Qeran i wszyscy podwładni natychmiast padli na kolana.

Jamere uniósł ręce. W jednej trzymał dekret podpisany przez Ahmanna, a w drugiej Evejah.

– Wierni *nie'Sharum*! Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji, Shar'Dama Ka i głos Everama na Ala, przydzielił was słudze Abbanowi. To właśnie on, Abban, zwrócił na was uwagę Wybawiciela i za jego sprawą wy, ludzie pozbawieni łaski Everama, otrzymujecie szansę na odkupienie i udowodnienie lojalności.

Jego spojrzenie przesunęło się po zebranych.

– Czy jesteście lojalni?

Odpowiedzią był chóralny okrzyk ze stu dwudziestu piersi:

– Tak, *dama*!

– Everam patrzy! – wykrzyknął Jamere i wskazał słońce. – Ci, którzy służą mu ofiarnie, zostaną wynagrodzeni zarówno na Ala, jak i w Niebiosach. Ci, którzy złamią dane słowo i zawiodą, będą cierpieć straszne męki w chwili śmierci, nim On zepchnie ich dusze do Nie.

Abban opanował chichot. Fanatyczny błysk w oczach siostrzeńca był jedynie wyuczoną sztuczką, a jego występ niczym nie różnił się od przedstawień Minstreli z Północy. Jamere był człowiekiem całkowicie pozbawionym wiary już wtedy, gdy został powołany do służby Everamowi, ale strach w oczach rekrutów stanowił najlepszy dowód, że chłopak doskonale to maskował. Nawet Qeran wydawał się poruszony, gdy Jamere podał mu egzemplarz Evejah.

– Wyciągnij rękę, w której trzymasz włócznie – rozkazał *dama*, a Mistrz Ćwiczeń ułożył prawą dłoń na podniszczonej skórzanej okładce.

– Czy przysięgasz, że będziesz wiernie służył Abbanowi asu Chabinowi am'Haman am'Kaji? Czy przysięgasz, że będziesz strzegł i słuchał poleceń jego i nikogo innego poza samym Wybawicielem aż po dzień swojej śmierci?

Qeran zawahał się. Zmarszczył groźnie brwi i zerknął na Abbana. Z trudem tłumił oburzenie – gdy uzgadniali treść przysięgi, nikt nawet nie wspomniał, że Mistrz Ćwiczeń również będzie musiał ją złożyć. Qeran nie miał nic przeciwko temu, by Abban domagał się przysięgi od *khaffit* oraz *chin*, ale żeby *dal'Sharum* i Mistrz Ćwiczeń o jego statusie składał hołd kupcowi?

Abban odpowiedział uśmiechem.

Zdecyduj się, Mistrzu, pomyślał. Everam patrzy. Możesz mi wiernie służyć albo pokuszytać na drewnianej nodze do namiotu i spać tam we własnych rzygowinach.

Qeran również zdawał sobie z tego sprawę. Abban otworzył przed nim drogę do chwały, ale chwała miała swą cenę. Mistrz Ćwiczeń spojrział na czekających *nie'Sharum* i zrozumiał, że każda chwila wahania osłabia jego pozycję.

– Przysięgam, że będę służył Abbanowi – warknął w końcu, patrząc kupcowi w oczy – aż do śmierci bądź do chwili, gdy Wybawiciel zwolni mnie z przysięgi.

Abban wsunął dłoń pod kamizelkę i wyciągnął flaszkę couzi. Uniósł ją, jakby salutował wojownikowi, i pociągnął tęgi łyk.



XIII

Zabawianie thumu

333 ROK PLAGI, LATO
28 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Leesha spojrzała na ciemniejące niebo i przycisnęła dłoń do oczodołu, chcąc ulżyć pulsującej bólem głowie. Karawana do Zakątka Wybawiciela wyruszyła późno spod pałacu Ahmanna i przez resztę dnia pokonała zaledwie dziesięć mil. Posłaniec mógłby przemierzyć dystans między Fortem Rizon a Zakątkiem w niecałe dwa tygodnie. Wojownicy Włóczni Wybawiciela, którzy nie obawiali się demonów i mogli podróżować nawet w nocy, dotarliby na miejsce zapewne dwa razy szybciej. Karawana nie mogła się z nimi mierzyć, ale przemieszczała się stosunkowo szybko, pomimo spowalniającego ją powozu przeznaczonego dla jej rodziców, którzy nie nawykli do podróży.

Ojciec Leeshy nawet za młodu nie należał do ludzi krzepkich i wytrzymałych, a najlepsze lata miał już za sobą. Podczas wędrówki do Fortu Rizon codziennie dokuczały mu skurcze i córka musiała podawać mu odpowiednie środki, po których spał jak zabity. Teraz podróżowali w o wiele wygodniejszym powozie i Erny nie narzekał ani razu, ale Leesha dostrzegła, że masuje się po plecach, gdy sądzi, że nikt nie patrzy. Wiedziała, że dwutygodniowa jazda będzie dla niego ciężkim przeżyciem.

– Wkrótce powinniśmy zatrzymać się na noc – powiedziała do Shamavah, która dzieliła powóz z Leeshą i jej rodzicami, przynajmniej wtedy, gdy nie była zajęta wrzeszczeniem na inne kobiety. Krasjańskie kobiety przestrzegały innej hierarchii niż mężczyźni i to, że Shamavah była żoną *khaffit*, nie miało żadnego znaczenia. Wszystkie pozostałe kobiety – a także *kha'Sharum* – podskakiwali na każdy jej rozkaz, dzięki czemu w karawanie panowała żelazna dyscyplina.

Mimo to żółwie tempo, z jakim poruszały się ciężko obciążone wozy, wydawało się irytować czarne niczym noc rumaki *dal'Sharum*, a także przysadziste wierzchowce Gareda i Wondy. Leesha przypomniła sobie ostrzeżenia Ahmanna przed bandami rozbójników i przygryzła wargę. Nawet na ziemiach kontrolowanych przez Krasjan wielu ludzi życzyło jej śmierci. Za jej granicami widok wozów wyładowanych żywnością i odzieżą mógł stanowić pokusę nie do odparcia dla tych, którzy w wyniku inwazji stracili wszystko. Obecność *Sharum* mogłaby zniechęcić mniejsze bandy, ale w skład karawany wchodziły przecież także kobiety i dzieci, a Leesha dobrze wiedziała, że rozbójnicy potrafią wykorzystywać takie słabości.

– Oczywiście – przytaknęła Shamavah. Jej thesański był niemal równie płynny jak męża. – Za tym wzgórzem leży wioska o nazwie Kajiton. Wysłałam już jeźdźców, którzy zajmą się odpowiednim przyjęciem.

Kajiton. Nazwa krasjańskiego Wybawiciela z thesańską końcówką. Taki twór językowy wiele mówił o sytuacji, w jakiej znalazło się Rizon – lub Lenno Everama, jak teraz należało je nazywać. Ahmann przydzielił ziemię księstwa plemionom niczym ojciec, który rozdaje kawałki ciasta urodzinowego członkom rodziny. Wsie nie ucierpiały tak mocno jak Fort Rizon, ale Leesha widziała przez okno powozu, że Krasjanie zdążyli dobrze się zadomowić i konsekwentnie wprowadzali prawo Everama.

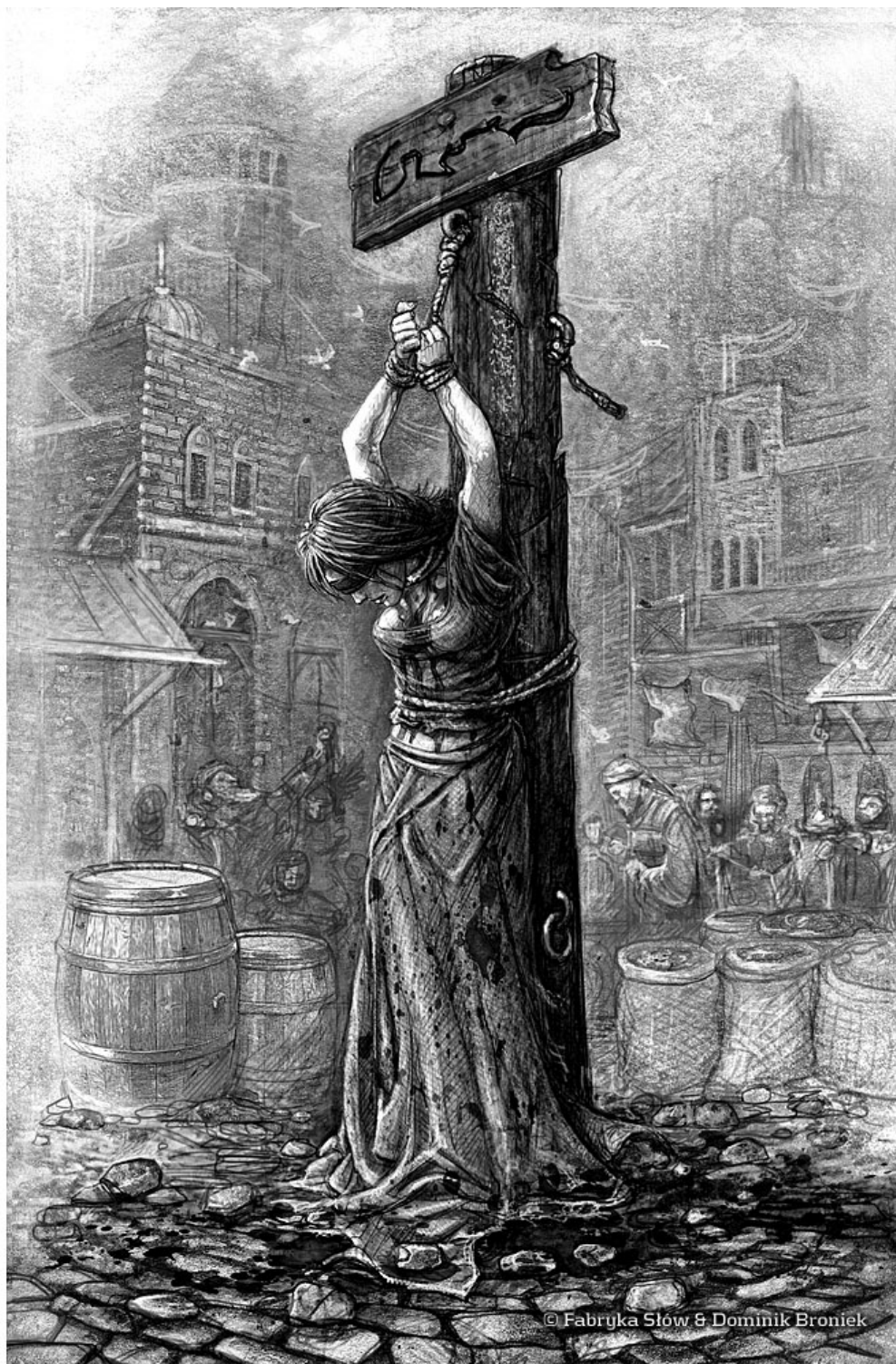
Nigdzie nie widziała ludzi zdolnych do noszenia broni, nie licząc chorych bądź kalek, a kobiety pracujące w polu były okutane od stóp do głów w ponure, czarne szaty. Głowy starannie owinięły zawojami. Gdy *dama* wzywali do modlitwy lub chociaż pojawiali się w polu widzenia, kobiety przypadały twarzą do ziemi. W powietrzu unosił się ostry zapach egzotycznych przypraw, a w rozmowach słowa thesańskie mieszały się z krasjańskimi. Powstawał nowy język, łączący oba wpływy.

Znane Leeshy księstwo już nie istniało i czuła, że nigdy nie powróci, nawet jeśli Krasjanie jakimś cudem zostaną stąd wygnani.

„Odpowiednie przyjęcie” polegało na tym, że niemal wszyscy mieszkańcy wioski zostali zapędzeni na pobocze drogi, by powitać gości ukłonami. Pominąwszy nieliczną służbę, reszta została wygoniona także z własnych domów, by starczyło pokoiów dla przyjezdnych. Nietrudno było się domyślić, że choć tysiące ludzi zdecydowało się na ucieczkę przed Krasjanami na północ bądź na wschód, większość postanowiła zostać albo ją do tego zmuszono. W samym Kajiton mieszkaly setki Thesan. Ziemie w dawnym Rizon były żyzne i tutejsza populacja przewyższała ludność pozostałych księstw razem wziętych.

Na samym środku rynku wznosił się słup. Zwisala z niego kobieta z rękami przywiązany mi nad głową. Nie żyła od dawna, a o tym, jak zginęła, mówiły ślady na jej nagim ciele oraz leżące naokoło kamienie. Na desce przybitej do słupa wypisano zamaszystym krasjańskim alfabetem jedno słowo. Leesha nie potrzebowała tłumacza. Widziała je często w Evejah.

„Cudzołożnica”.



Ból w jej głowie rozgorzał ze zdwojoną siłą i dziewczyna obawiała się, że zwymiotuje w powozie. Pospiesznie przeszukała kieszenie fartucha, wyciągnęła jakiś korzeń i kilka liści,

a potem wepchnęła wszystko do ust bez gotowania. Smakowały gorzko, ale torsje ustały. Okazywanie Krasjanom słabości w niczym by nie pomogło.

Zatrzymali się. Dzieci rozsypywały płatki kwiatów na drodze między drzwiami powozu a wejściem do gospody, nie zwracając uwagi na gnijącego kilkanaście kroków dalej trupa.

„Dzieci przyzwyczajają się do wszystkiego” – mawiała Bruna. Leesha wiedziała, że mentorka miała rację, ale serce jej mówiło, że do takich widoków dzieci przyzwyczajając się nie powinny.

Miejscowy *dama* już ich oczekiwał. Stał nieruchomo niczym posąg wycięty z pnia dębu. Miał długą brodę koloru żelaza i oczy błękitne niczym niebo. Kaval, który jechał na czele, ściągnął wodze i zeskoczył z siodła ze zwinnością zaskakującą przy siwych pasmach w jego brodzie. Ukłonił się *dama* i zamienił z nim kilka słów, a potem obaj spojrzeli na Leeszę, wysiadającą z powozu. Kleryk powitał ją lekkim ukłonem.

– A więc to jest ta północna wiedźma, która rzuciła urok na Shar’Dama Ka – mruknął do Kawała po krasjańsku.

Zapach płatków pod stopami Leeshy nie tłumił smrodu śmierci, a ból głowy i usłyszana właśnie zniewaga sprawiły, że Zielarkę ogarnęła żądza mordy. Czyżby ten klecha ośmielał się ją osądzać? Z największym trudem powstrzymała się przed wyszarpieniem noża i wbiciem mu ostrza w gardło. Zmierzyła tylko *dama* władcym spojrzeniem, którego nauczyła się od Inevery.

– Wiedźma z Północy rozumie cię, *dama* – powiedziała. – Chcę poznać twoje imię, bym przy najbliższej okazji mogła powtórzyć Ahmannowi słowa, którymi mnie powitałeś.

Wstrząśnięty kleryk wytrzeszczył oczy. W Krasji kobiety na wydaniu nie miały prawa odzywać się niepytane, a nawet mężatka nie ośmieliłaby się odezwać takim tonem do *dama*. Kleryk miał prawo zabić ją za taki afront i mało który by się przed tym zawahał.

Leesha jednakże odezwała się po krasjańsku i pokazała, że dobrze zna zasady panujące w ich społeczeństwie. Użycie imienia Wybawiciela wskazywało zaś na zażyłość, która mogłaby przerazić każdego kleryka z wyjątkiem najpotężniejszego *Damaji*.

Dama zawahał się. Widać było, że *dama* walczy w nim o lepsze z instynktem samozachowawczym, ale w końcu ukłonił się tak nisko, że jego długa broda zamiotła kurz.

– Jestem *dama* Anju. Proszę o wybaczenie, Święta Narzeczono. Nie chciałem cię obrazić.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie, którzy nie chcą nikogo urazić, mówią z szacunkiem – odezwała się Leesha. Ostrożnie dobierała słowa, gdyż jej krasjański był daleki od doskonałości. –

Zdejmijcie ciało tej kobiety i oddajcie je rodzinie. Niech spocznie w pokoju zgodnie z własną tradycją. Dziś jest dzień ślubu najstarszej córki Wybawiciela z Rojerem asu Jessum am'Gospoda am'Zakątek, który poczyta ten widok za zniewagę.

Nie miała co prawda prawa przemawiać w imieniu Rojera, ale dodając do jego krasjańskiego miana człon am'Zakątek – a nie am'Rzeczulka, skąd Minstrel pochodził – dała *dama* do zrozumienia, że młodzieniec należy do plemienia Zakątka. W oczach Krasjan stawali się w ten sposób rodziną.

Dama Anju zmarszczył brwi. Jedynie *dama'ting* ośmielały się wydawać *dama* polecenia takim tonem, a pozwalały sobie na to tylko i wyłącznie dlatego, że wedle Evejah wyrządzenie krzywdy *dama'ting* skazywało winowajcę na śmierć i zamykało przed nim bramy Niebios. Leesha nie nosiła białych szat, ale ton jej głosu świadczył o głębokiej wierze, że pozycja Świętej Narzeczonej daje jej takie same prawa.

Dama wstrzymał oddech, a Leesha zrozumiała, że przesadziła. Twarz kłeryka poczerwieniała z gniewu i Zielarka odruchowo sięgnęła do kieszeni fartucha po szczyptę osłepiającego proszku Bruny. Wiedziała, że Anju zaraz się na nią rzuci i będzie trzeba go jakoś zatrzymać.

Dama drgnął.

– Ani się waż – warknął cicho Kaval.

Dama spojrział na Mistrza Ćwiczeń. Mężczyzna zacisnął dłoń na drzewcu włóczni. Zewsząd dobiegł szczełk oręża i Anju przekonał się, że *dal'Sharum* z eskorty Leeshy uczynili to samo. Wonda napięła już łuk, a Gared wyciągnął zarówno topór, jak i maczetę.

Anju natychmiast przybrał bardziej uległą postawę, choć nadal oddychał szybko, a jego twarz nabrzmiała z tłumionej wściekłości. Leesha nie mogła się oprzeć, by mu nie dopiec. Spojrzała mu więc w oczy i dodała:

– Syn Jessuma będzie zadowolony, jeśli uwolnisz siedmiu niewolników *chin*, jednego za każdy z siedmiu filarów Nieba. To najlepszy sposób, by uczcić ten dzień.

Bezsilna furia w niebieskich oczach *dama* przyniosła jej gorzką satysfakcję.

Gdybym mogła, dopiero bym ci pokazała, pomyślała.

Nim Anju zdołał odpowiedzieć, odwróciła się i ruszyła do gospody. Słyszała, że jej rozkazy są spełniane. Utrzymywała poważną, obojętną minę, kryjąc wszelkie emocje.

Robiła postępy.



– No i znowu zaczynają – jęknęła Leesha, gdy ucichł śpiew.

Rojer był żonaty zaledwie od tygodnia, lecz z ich powozu przez cały czas dobiegały albo śpiewy, albo jęki rozkoszy.

Wkrótce rozległy się okrzyki Sikvah, a po chwili dołączyła do niej Amanvah. Leesha znów zaczęła masować skronie. Wciąż nie doszła do siebie – ból głowy ją opuścił, ale kurcz mięśni wokół lewego oka nie ustępował, co oznaczało, że dolegliwości mogą powrócić lada moment.

– Na noc, czy oni nie mogą się zamknąć choć na parę minut?

– Nie ma szans. – Elona westchnęła z zadumą. – Nic się nie równa chuci osiemnastolatka. Wystarczy mrugnąć do takiego, a już robi mu się ciasno w portkach, a dziesięć minut po wszystkim znów ma ochotę na więcej.

– Raczej trzy godziny po wszystkim – mruknęła Leesha.

Elona wybuchła śmiechem.

– I tak jestem pełna podziwu wobec niego, a tym niełatwo mi zaimponować. Ten młodzian nie dość, że musi zaspokajać dwie młode narzeczone naraz, to jeszcze wytrzymuje dłużej niż większość chłopaków w jego wieku. Ba, dłużej niż wielu starszych od niego.

Zerknęła na Erny'ego, który przez moment wyglądał, jakby miał ochotę wpełznąć między poduszki.

– Cofam to, co powiedziałam. Na pewno żałujesz, że nie zachowałam tego Rojera dla siebie.

Krzyki obu dziewczyn stawały się coraz głośniejsze i Leesha pokręciła głową.

– Przesadzają. Nikt przecież aż tak nie zawodzi.

– Ależ oczywiście, że tak! – zaprzeczyła Elona. – Każda świeżo poślubiona kobieta, która ma odrobinę oleju pod sufitem, zrobi wszystko, by jej mąż poczuł się jak król i odkrywca obejmujący władzę nad nowymi ziemiami.

Spojrzała na Leeshę.

– Mam wrażenie, że w twoim głosie pobrzmiwa zazdrość. Tęsknisz za swoim krasjańskim kochankiem?

Leesha poczuła, że się rumieni, a Erny spojrzał na drzwi, jakby nagle postanowił wyskoczyć z jadącego wozu.

– Nie chodzi o to, matko. Ja im po prostu nie ufam. Sikvah i Amanvah rozkochują w sobie Rojera, ale obie są nadal lojalne wobec Inevery. Każdy głupiec to widzi.

– Cóż, najwyraźniej nie – stwierdziła Elona. – Nasz błazen zawodowiec jakoś tego nie dostrzega, choć twoje spostrzeżenie jest trafne. Trzeba rozkochiwać w sobie mężczyzn i wykorzystywać ich, ile się da. Sama zrobiłabym to samo. Ty zresztą też. Jestem przekonana, że nie zostawiłaś swemu demonowi pustyni ani kropli nasienia przed wyjazdem.

Leesha westchnęła i wystawiła głowę za okno. Oddychała głęboko świeżym powietrzem.

– Nie mogę się doczekać, kiedy dotrzemy do Zakątki. Jutro wyjedziemy z Lenna Everama.

– I dobrze. – Elona splunęła za okno.

– Tak – zgodziła się Leesha. – Ale *Sharum*, którzy teraz zapewniają nam bezpieczeństwo, za granicą Lenna zaczną przyciągać uwagę. Bandyty i ludzie księcia będą przyglądać się pożądliwie naszej karawanie. Ahmann miał rację. Dwudziestu ludzi może nie wystarczyć.

– Proponował, że przydzielą większą eskortę.

Leesha pokiwała głową.

– To prawda, ale nad dwudziestoma wojownikami w Zakątku uda się jeszcze zapanować. Większa liczba *Sharum* zaczęłaby wywoływać problemy, a tych mamy już wystarczająco dużo. Czy od wyjazdu z miasta widziałaś jakiegokolwiek chłopca starszego niż sześć lat?

Elona pokręciła głową.

– Zostali zabrani na *Hanna Pats* czy jak to się tam nazywa.

– *Hannu Pash* – poprawiła ją Leesha. – Czyli szkolenie połączone z indoktrynacją. Będą mówić po krasjańsku nie gorzej od samych Krasjan i postępować wedle przykazań Evejah. Za dziesięć lat Krasjanie będą mieli armię, która zmiażdży Wolne Miasta jak dziecko rozkopujące mrowisko.



– Na Stwórcę – sapnął Rojer i pociągnął chłodnej wody z bukłaka, który Sikvah przystawiła mu do ust. Amanvah gładziła jego mokre od potu włosy i szeptała cicho, gryząc go delikatnie w ucho.

Wcześniej sądził, że krasjańskie kobiety są ciemężone. Teraz dochodził do wniosku, iż zjawisko to ogranicza się do życia publicznego, gdyż w zaciszu alkowy małżeńskiej Krasjanki

zachowywały się zgoła inaczej. Po zamknięciu drzwi powozu Amanvah i Sikvah zrzucały zwykłe szaty i przywdziewały jedwabie równie barwne jak szaty Minstrele. Połowa z nich była niemalże przeźroczysta, a reszta niewiele grubsza, przetkana złotymi nićmi. Obie kobiety zamieniały też woalki na bardziej ozdobne, kolorowe i przejrzyste, zaczynające się na czubku nosa i kończące tuż pod ustami. Obie rozpuściły też włosy, naoliwione i pełne złotych ozdób.

– Nasz mąż włada włóczęgą lepiej niż byle *Sharum* – powiedziała Amanvah. Podczas nocy poślubnej poplamiała poduszki krwią dziewicy, ale jej taniec miłosny był równie oszałamiający jak Sikvah.

– Minstrele mają wiele okazji, by zdobywać doświadczenie – zapewnił Rojer. – Swego czasu mój mistrz nie mógł się opędzić od kobiet i przyznaję, że nauczyłem się przy nim tego i owego, ale wy dwie... Nie obrażcie się, ale mogłybyście zawstydzić cały burdel księcia Rhinebecka.

Sikvah wybuchła śmiechem.

– Kobiety w haremie tego północnego księcia na pewno nie pobierały nauk w pałacu *dama'ting*.

Rojer pokręcił głową.

– A ja wciąż mam wrażenie, że nie dajecie z siebie wszystkiego.

Amanvah pocałowała go w ucho tak delikatnie, aż przeszył go dreszcz.

– Istnieje siedemdziesiąt siedem pozycji – szepnęła. – Mamy całe lata, by podzielić się z tobą naszą wiedzą.

Amanvah i Sikvah z początku wydawały mu się bliźniaczkami, ale z upływem czasu dostrzegł coraz więcej różnic. Amanvah była wyższa, miała drobniejsze piersi i długie, smukłe nogi. Sikvah zaś cechowały okrągłejsze biodra, grubsze nogi oraz szersze ramiona. Obie imponowały muskulaturą i gracją, widoczną w każdym ruchu. Zawdzięczały to ćwiczeniom wykonywanym każdego ranka. Nazywały je *sharusahk*, ale w niczym nie przypominały one agresywnych zapasów, których uczyli Naznaczony oraz *Sharum*.

Amanvah nie dawała się wyprowadzić z równowagi, ale Sikvah łatwo ulegała emocjom. Rojer spodziewał się też, że Amanvah ze względu na białe szaty okaże się bardziej konserwatywna, ale to Sikvah skwapliwie wytykała towarzysze każdy nietakt.

– Śpij teraz, mężu – rzekła Amanvah. – Musisz odzyskać siły. Sikvah, zasłony.

Ta natychmiast zasunęła ciężkie aksamitne story na okno i przezroczyste firanki. Wyglądało na to, że „Pierwsza Żona” nie jest tylko i wyłącznie pustym tytułem. Amanvah dominowała we wszystkim, od konwersacji aż po uwodzenie, i wydawała Sikvah polecenia jak służącej. Sikvah nigdy nie protestowała i wykonywała każde zadanie z wielką starannością. Odzywała się rzadko, chyba że zapytana. Ożywiała się, dopiero gdy Amanvah wychodziła lub gdy była zajęta czymś innym.

Uśmiechnął się lekko. Obie żony śpiewały cichą kołysankę po krasjańsku, a Rojer czuł, jak powoli ogarnia go sen. Często drzemał w środku dnia. Wielu Minstreli tak robiło, by odpocząć przed nocnymi występami. Większość ludzi nie potrafiła czytać i po zachodzie słońca i posprzątaniu po kolacji popisy Minstrele dla wielu pozostawały jedyną rozrywką.

– Zaczynamy pracować wtedy, gdy inni kończą – mawiał Arrick.



Rojer zerwał się rozbudzony, gdy powóz nagle stanął. Uniósł jedną z ciężkich zasłon i natychmiast ją opuścił, oślepiiony blaskiem słońca. Nastalo późne popołudnie, a powóz zatrzymał się przed okazałą gospodą. Amanvah i Sikvah nałożyły zwykłe szaty na kolorowe jedwabie.

– Czy nie za wcześnie, by zatrzymać się na noc? – spytał.

– To ostatnia wieś przed granicami Lenna Everama, ukochany – oznajmiła Amanvah. – Shamavah uważa, że dobrze będzie tu odpocząć przed dalszą podróżą. Jeśli chcesz spać dalej, nie krępuj się, *khaffit* rozpakują nasz dobytek.

Jego żony zabrały mnóstwo bagaży, więc miał dla siebie sporo czasu. Rojer usiadł i przetarł oczy.

– Nie, nie będę już spać. Pora rozprostować nogi.

Sięgnął po swoje rzeczy, a obie kobiety natychmiast zaczęły mu pomagać w ubieraniu.

Rojer wyskoczył z wozu i przeszedł się, a potem rozpoczął rytuał skłonów i przysiadów, dzięki którym utrzymywał się w formie. Gdy zaczął przewroty, fikołki, salta i gwiazdy, jego trening zamienił się w niewielkie przedstawienie, które wkrótce przyciągnęło uwagę innych. Krasjanie i Thesanie zatrzymywali się i przyglądali jego popisom, a kiedy zaczął chodzić na rękach, kilkoro dzieci pobiegło za nim z wesołymi okrzykami.

Rojer instynktownie skierował się na środek placu wyłożonego kocimi łbami. Wykonał kilka okrążeń, by zapewnić sobie trochę przestrzeni, gdyż zewsząd zbiegali się już gapie – miejscowi wieśniacy, a także *Sharum*, *khaffit* oraz *dal'ting* z plemienia rządzącego tymi ziemiami. W pobliżu pojawił się też *dama*, który obrzucił widowisko zimnym spojrzeniem, ale nie był na tyle niemądry, by przeszkodzić zięciowi samego Wybawiciela.

Amanvah i Sikvah również nie spuszczały Rojera z oczu. Sikvah śmiała się i klaskała wraz z resztą widzów, być może najbardziej entuzjastycznie ze wszystkich. Amanvah, w przeciwieństwie do niej, spoglądała na męża chłodno.

Rojer przypomniał sobie inne powiedzonko Arricka: „Od kobiety, która śmieje się z każdego dowcipu, gorsza jest tylko taka, której nie bawi nic”.

Zbliżył się do niej.

– Mężu, co ty wyczyniasz? – zapytała Amanvah.

– Zabawiam tłum – odparł Rojer. – Tylko popatrz. Sikvah, czy możesz mi przynieść worek z cudami?

– W okamgnieniu, mężu! – Sikvah ukloniła się i znikła w tłumie. Amanvah znów wbiła w Rojera spojrzenie, ale Minstrel mrugnął do niej i powrócił na środek kręgu widzów. Jego repertuar był niewyszukany, gdyż obawiał się, że niektóre sprośne żarty mogłyby urazić Krasjan. Muzyka w ojczyźnie Amanvah i Sikvah znajdowała zastosowanie jedynie w sypialniach bądź w świątyniach, gdzie śpiewano hymny ku czci Everama. Jego żony nauczyły go kilku pieśni religijnych, ale nie odpowiadał mu ich fanatyczny przekaz. Rojer postanowił więc, że do ukończenia „Pieśni o Nowiu” ograniczy się do występów instrumentalnych, ale to wystarczyło, by nawet Krasjanie zaczęli tupać i klaskać.

Posłuszna Sikvah okazała się idealną asystentką podczas pokazu magicznego i bez wahania spełniała wszystkie polecenia. Rojerowi przeszkadzało tylko to, że nadal miała na sobie czarne szaty i woalkę.

Gdybyś założyła jedwabie, kochana, stalibyśmy się najslynniejszą parą aktorską w Thesie, pomyślał.

Bez wysiłku zdobył serca tłumu, nawet *dama* wbrew sobie roześmiał się kilkakrotnie. Jedynie Amanvah pozostała nieporuszona.

Gdy występ dobiegł końca, niebo już ciemniało. Rojer uklonił się po raz ostatni, a gdy się podniósł, ujrzał, jak jego Pierwsza Żona odwraca się i wkracza do gospody. Sikvah podeszła do niego natychmiast.

– *Jiwah Ka* prosi o wybaczenie, że nie wyszła, by cię powitać, ale święta córka postanowiła pomodlić się za twój wspaniały występ – powiedziała tak, jakby to było coś najzupełniej normalnego.

Czyli nie podobało jej się, pomyślał Rojer. Popełniłem jakąś gafę, ale nie mam pojęcia, na czym polegała.

– Zamknęła się w swoim sekretnym pokoju? – spytał, a Sikvah pokiwała głową.

Rojer zazwyczaj wynajmował jeden pokój w gospodzie, ale Amanvah domagała się przynajmniej trzech – jednego dla Rojera, drugiego dla ich trójki i trzeciego tylko i wyłącznie dla niej. Zamykała się tam, gdy miała na to ochotę. Żądała zawsze najlepszych pokoi w gospodzie, które następnie dekorowano na krasjańską modłę. *Khaffit* przynosili ciężkie kobierce, lampy i kadzielnice, a także jedwabne stroje oraz zestawy do makijażu, których bogactwo zdumiałoby nawet Minstrela. W tej gospodzie córka Ahmanna Jardira zamieszkała w pokojach zwolnionych przez karczmarza i jego rodzinę.

Drzwi do pokoju Amanvah były już zamknięte naглуcho, a wartę przed nimi pełnił Enkido. Nawet gdyby Rojer wiedział, co wyprowadziło *dama'ting* z równowagi, nie zdołałby ominąć ogromnego eunucha.

Pojawiło się jedzenie, przyniesione przez córkę karczmarza, tęgą kobietę liczącą sobie prawie pięćdziesiąt lat, która nie bała się podnieść wzroku i podskakiwała na każde słowo. W pobliżu nie było żadnego mężczyzny, a więc Sikvah przebrała się w wyszywane jedwabne stroje i zaczęła usługiwać Rojerowi. O sobie nie myślała zupełnie, przetykała pospiesznie drobne kęski dopiero wtedy, gdy ją stanowczo poprosił.

– Czy chciałbyś się wkrótce wykąpać, mężu? – zapytała, gdy posiłek dobiegł końca. – Twój wspaniały występ zapewne cię zmęczył.

Tak wyglądał każdy wieczór. Amanvah milkła, a potem wychodziła i na długie godziny zamykała się w sekretnym pokoju. Sikvah zaś troszczyła się o wszystkie potrzeby i zasypywała męża pochlebstwami do powrotu *dama'ting*. Zazwyczaj dzięki staraniom Sikvah Rojer nawet nie zauważał, że Amanvah znikła, ale nigdy wcześniej nie dostrzegł w jej zachowaniu tak wielkiej dezaprobaty. Zanosilo się na niezłą awanturę i Rojer chciałby mieć to już za sobą.

- Cóż ona tam wyrabia, na Otchłań! – burknął.
- Łączy się z Everamem – odparła Sikvah, zmywająca naczynia.
- Rzuca kostkami?

Sikvah wydawała się urażona jego tonem.

– *Alagai hora* to nie zabawa, mężu. *Jiwah Ka* naradza się z kośćmi, by pomóc ci wybrać właściwą drogę.

Rojer zacisnął mocno usta. Niezbyt spodobały mu się te słowa, ale nic nie powiedział. Miał ogromną ochotę na kubek wina, choć powątpiewał, czy jego żony miały choć kroplę pod ręką. Na podbitych ziemiach *dama* przede wszystkim zakazali alkoholu. Rojera ciekawiło, jak by zareagował na to jego mistrz Arrick. Zapłakałby zapewne gorzkimi łzami lub oszczędziłby sobie cierpienie i zaplótł własny stryczek.

Drzwi do pokoju Amanvah stały otworem. Każdy Minstrel występujący na scenie wiedział, że sposób otwierania drzwi wiele mówił o wchodzącej osobie. *Dama'ting* nie zrobiła tego niepewnie jak osoba skruszona, ani też gwałtownie jak ktoś targany emocjami. Amanvah wykonała ten ruch ze spokojem i zdecydowaniem, a jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Dziewczyna nadal miała na sobie białe szaty.

Niech to Otchłań, pomyślał Rojer i również udał spokój oraz obojętność, w czym jak zwykle pomógł trening Minstrela. Amanvah usiadła naprzeciwko, mierząc go baczny spojrzeniem. Rojer zmienił nieco pozycję, by poczuć ciężar medalionu na piersi.

– A więc to na tym polega bycie Minstrelem? – spytała *dama'ting*. – Trzeba tańczyć na piłce i udawać upadki na twarz, by wiejskie dzieci miały powód do śmiechu?

Rojer nawet nie drgnął, choć miał ochotę obnażyć zęby ze złości. Podobne słowa padały z ust nadętych arystokratów w Angiers, którzy spoglądali z pogardą na przedstawicieli profesji Rojera, a mimo to korzystali z ich usług na balach i przyjęciach. Jednak tym razem słowa zraniły go do żywego. Wypowiedziała je przecież jego żona.

Na noc, w co on się wpakował...

– Nie miałas nic przeciwko śpiewaniu dla *Sharum* i *dama* w Lennie Everama – zauważył.

– Znajdowaliśmy się na dworze Wybawiciela i sławiliśmy Everama przed czcigodnymi gośćmi i wiernymi! – syknęła Amanvah. Sikvah odsunęła się pospiesznie i zajęła czymś po drugiej stronie pokoju. – Zdobyłeś tego dnia wielką sławę, mężu, ale nie możesz porównywać tego występu z uwłaczającymi twojej godności wygłupami przed *khaffit* oraz *chin*!

– *Khaffit* – powtórzył Rojer. – *Chin*. Te słowa nie mają dla mnie znaczenia. Na tym placu widziałem jedynie ludzi zasługujących na chwilę radości.

Amanvah była mistrzynią w maskowaniu emocji, ale Rojer dostrzegł pulsującą żyłę na jej czole i zyskał pewność, że rozdrażnił żonę.

Punkt dla niego.

Amanvah wstała.

– Będę w swojej komnacie. Sikvah, zajmij się kąpielą Rojera.

Sikvah złożyła pokłon.

– Tak, *Jiwah Ka*.

Córka Ahmanna wyszła z pokoju.

– Czy przygotować ci kąpiel, mężu? – spytała Sikvah.

Rojer spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Oczywiście. I nie zapomnij oberznąć mi przy tym jąder.

Sikvah zamarła i Rojer natychmiast pożałował swych słów, widząc przerażenie na jej twarzy.

– Ja... Ja...

– Zapomnij o tym – przerwał jej, po czym wstał i wziął swój pstrokaty płaszcz. – Idę na dół.

Sikvah spoglądała na niego z troską.

– Czy potrzeba ci czegoś? Może jesteś głodny? Albo masz ochotę na herbatę? Przyniosę ci wszystko, czego sobie zażyczysz.

Rojer pokręcił głową.

– Chcę się tylko przespacerować i przemyśleć kilka spraw.

Machnął ręką w kierunku sypialni.

– Ogrzej mi łóżko.

Sikvah nie wydawała się zadowolona z polecenia, ale było ono jasne i klarowne, a Rojer wiedział już, że bez wyraźnego powodu bądź aprobaty Amanvah druga żona się nie sprzeciwi.

– Jak sobie życzysz, mężu.

Wyszedł z pokoju i natknął się na Enkido i Gareda. Eunuch ze złotymi bransoletami stał wyprostowany przed drzwiami Amanvah i nie zareagował na widok Rojera.

Gared kołysał się na krześle i rzucał kartami do kapelusza na podłodze w odległości kilku kroków. Broń oparł o ścianę na wyciągnięcie ręki.

– Cześć, Rojer. Myślałem, że już grzecznie leżysz w łóżeczku.

Mrugnął przy tym, a potem roześmiał się, jakby właśnie powiedział dobry dowcip.

– Nie musisz stać na straży przez całą noc, Gar.

Rębacz wzruszył ramionami.

– No nie, ale i tak z reguły czekam, aż pójdziesz spać. Wtedy wymykam się i szukam jakiegoś wyrka dla siebie.

Ruchem głowy wskazał Enkido.

– Pojęcia nie mam, jak on to robi. Facet sterczy tu niczym pień przez całą noc. Chyba w ogóle nie śpi!

– Chodź ze mną na dół – rzekł Rojer. – Mam zamiar przetrząsnąć cały ten bar w poszukiwaniu czegoś mocniejszego od herbaty. Może miejscowy *dama* przeoczył to i owo.

Gared burknął z aprobatą i wstał. Rojer pozbierał karty z wprawą wytrawnego szulera i tasując je, ruszył w ślad za drwalem.

W głównej izbie gospody zastali jedynie właściciela, człowieka imieniem Darel, który zamiatał podłogę. Podobnie jak w poprzednich gospodach pozostali goście zostali wyeksmitowani, by znalazło się miejsce dla świty Leeshy. Leesha oraz jej rodzice, Gared, Wonda, Rojer wraz z żonami otrzymali własne pokoje, podobnie jak *dal'Sharum* podróżujący z żonami. Kobiety, dzieci i *kha'Sharum* spali w wozach.

Darel był energicznym człowiekiem, lecz zbyt starym, by zostać wcielonym do wojska. W jego bujnej, ongiś jasnej brodzie dominowała teraz siwizna.

– Czcigodni panowie – powitał przybyłych z ukłonem – w czym mogę pomóc?

– Zacznijmy od tego, że podarujesz sobie te cholerne maniery – mruknął Rojer. – Wokół sami moi. *Chin*, jak nas nazywają.

Karczmarz odprężył się zauważalnie i ruszył za kontuar. Rojer i Gared usiedli na taboretach.

– Przepraszam. Dziwne czasy nadeszły. Nie wiadomo, z kim ma się do czynienia.

– Racja – rzekł Gared. – Człowiek co chwila podskakuje jak na szpilkach. Zupełnie jakby się zły run wymalowało w barierze czy coś.

– Masz coś normalnego do picia? – spytał Rojer. – Suszy mnie jak diabli, a na wodę nie mam ochoty. Nie piłem wina od tak dawna, że chętnie łyknę spirytusu do odkażania.

Darel splunął do glinianego naczynia.

– *Dama* rozbił beczki z winem pierwszego dnia pobytu we wsi. Mocniejszym alkoholem podlał stos, na którym spalił wszystko, co „grzeszne”. Zabrał mojej wnuczce szmacianą lalkę, bo jego zdaniem miała nieprzyzwoitą sukienkę.

Splunął ponownie.

– Mała uwielbiała tę lalkę. Chyba powinienem się cieszyć, że dziecka też nie odebrali.

– Jest aż tak źle? – zmartwił się Rojer.

Karczmarz wzruszył ramionami.

– Pierwszy tydzień był ciężki. *Dama* miał papier podpisany przez demona pustyni, wedle którego wieś należała teraz do plemienia. Kilku ludziom się to nie spodobało, więc *Sharum* się z nimi rozprawili. Potem nikt już nie protestował.

– Po prostu pozwoliliście, by wami zawładnęli? – warknął Gared.

– Nie jesteśmy wojownikami jak ludzie z Zakątka – odrzekł Darel. – Jeden z naszych, najpotężniejszy wielkolud we wsi, nie chciał ukłonić się *dama*. Ten, choć połowę mniejszy, w okamgnieniu złamał naszemu rękę. Na własne oczy to widziałem. Muszę troszczyć się o rodzinę. Nie stać mnie na bunt.

– Nikt cię o nic nie obwinia – zapewnił Rojer.

– Jak już człowiek pozna zasady, nie jest aż tak źle – ciągnął Darel. – Ta krasjańska święta księga jest bardzo podobna do Kanonu. Niektórzy z Krasjan, podobnie jak i my, to fanatycy, zdarzają się też hipokryci, jak wszędzie.

Uśmiechnął się przy tych słowach i wyciągnął niewielką glinianą flaszkę oraz dwa kubeczki.

– Próbowaliście kiedyś *couzi*, chłopaki? – spytał szeptem.

– Oho! – burknął Gared z uznaniem.

– Słyszeliśmy to i owo – przyznał Rojer.

Darel zachichotał.

– Ludzie z pustyni ciągle gadają o tym, że alkohol to grzech, a sami po cichu pędzą bimber tak mocny, że farbę można nim zmywać.

Rojer i Gared ujęli naczynia i przyjrzeni im się z zaciekawieniem. Kubeczek bez trudu mieścił się w okaleczonej dłoni *Minstrela*, a w ogromnym łapsku *Gareda* przypominał zabawkową filiżankę do herbaty.

– Takie małe – dziwił się *drwal*. – To całe *couzi* wlewa się do gardła czy pije dla smaku?

– Najpierw wychył pierwszą kolejkę – polecił mu Darel. – Druga będzie łatwiejsza.

Obaj poszli za radą karczmarza i wlali sobie zawartość kubeczków do ust. Wytrzeszczyli oczy. Rojer nie wylewał za kołnierz od dwunastego roku życia i sądził, że nawykł już do najbardziej ordynarnej berbeluchy, ale teraz miał wrażenie, że łyknął żywego ognia. Gared się rozkaszał.

Darel uśmiechnął się i znów napełnił kubki. Opróżnili naczynia. Karczmarz nie pomylił się – druga kolejka rzeczywiście okazała się łatwiejsza.

A może po prostu odrętwiały nam gardła i języki? – pomyślał Minstrel.

Gared upił łyk z trzeciego kubeczka i zastanowił się.

– Smakuje jak... – zaczął.

– ...cynamon! – dokończył za niego Rojer, mlaskając.

– Krasjanie są jak couzi. – Darel szarpnął się za bokobrody. – Albo jak ta cholerna swędząca broda, którą każdy mężczyzna wedle ich nakazów musi zapuścić. Z początku ciężko się przyzwyczaić, ale po jakimś czasie nie jest tak źle. Pozwalają mi prowadzić karczmę, o ile będę płacił podatki i trzymał się reguł, a jeśli zaaranżuję małżeństwo wnuczki, nim zacznie krwawić co miesiąc, nie muszę się bać, że białe wiedźmy zrobią to za mnie.

Niespodziewanie pobladł i spojrzał na Rojera.

Rojer uśmiechnął się i uniósł okaleczoną dłoń.

– Spokojnie, tylko się tu nie zmocz. Może i poślubiłem *dama'ting*, ale nie oznacza to, że się ich nie boję. Radziłbym natomiast, byś przestał nazywać je białymi wiedźmami. Mój mistrz mawiał, że numer ćwiczony na osobności prędzej czy później przestanie być sekretem.

– Słuszne słowa – zgodził się Darel.

– Nie do końca jednak rozumiem – ciągnął Rojer. – Czy ty naprawdę twierdzisz, że Krasjanie nie są tacy źli?

– Ciężko mi to przełknąć – oznajmił Gared. – To trochę tak, jakbyś mówił, że fajnie jest, gdy cię ktoś kopie w zadek.

Darel nalał sobie couzi i opróżnił naczynie z wprawą.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że nie tęsknię za dawnymi czasami. Wiem, że wielu z nas jest w o wiele gorszej sytuacji, ale jeśli pamięta się o ukłonach, Krasjanie na ogół zostawiają człowieka w spokoju. Jeśli ma się zatarg z sąsiadem, idzie się najpierw do Mówcy, a ten załatwia sprawę albo przekazuje ją *dama*. Klerycy też są na ogół sprawiedliwi, ale zbyt dosłownie

pojmują zasadę „oko za oko” zawartą w Kanonie. Jeden gość stracił rękę za kradzież kurczaka, a inny, który zgwałcił dziewczynę, musiał się przyglądać, jak w odwecie gwałcą jego siostrę.

Gared zacisnął pięść.

– I to ma znaczyć, że nie jest „aż tak źle”?

Darel wychylił kolejny kubek.

– Jest źle, jasne, ale ja nie kradnę kurczaków i nie gwałcę dziewczyn. Co więcej, mam wrażenie, że z biegiem czasu takich występków będzie coraz mniej. To prawo Everama jest surowe, ale skuteczne.

– A co powiesz na to, że zabrali wszystkich chłopców? – spytał Gared. – Gdybym miał syna, nie pozwoliłbym na to.

Darel opróżnił trzeci kubek.

– Zabrali mi wnuka. Nie podoba mi się to, ale pozwalają mu odwiedzać nas raz na miesiąc podczas Nowiu. Chłopaki dostają tam nieźle w skórę i wracają do domu z siniakami i połamanymi kośćmi. Krasjańscy chłopcy dostają taki sam wycisk. Dzieciaki uczą się języka i zasad o wiele szybciej niż reszta, a wedle słów *dama* ci, którzy zasłużą sobie na czarne szaty, staną się pełnoprawnymi obywatelami z takimi samymi prawami jak *Sharum*. Ci, którzy okażą się za słabi, zostaną wygnani jako *khaffit*.

Uśmiechnął się i podrapał po szyi.

– Czyli powrócą do poprzedniego życia, z tym wyjątkiem, że będą nosić swędzące brody.

Rojer wychylił swój czwarty – a może piąty? – kubeczek. Zaczynało mu się kręcić w głowie.

– Ilu chłopców zabrali z... Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Kiedyś ta wieś zwała się Jabłec – rzekł Darel. – Teraz to jakiś zlepek słów z pustyni. Teraz nazywamy ją Sharach, bo tak się nazywa plemię, które nami rządzi. Mieszkało tu trzydziestu chłopców, którzy byli w odpowiednim wieku na tę całą *Hannu Pash*.

Powrót na górę okazał się bardzo trudny i Rojer musiał się oprzeć na Garedzie. Wypił wielki kubek wody i przeżuł liść miętowy, ale był pewien, że jeśli się przewróci o własne nogi w drodze do łóżka, jego żony domyślą się, że się upił. Na szczęście Rojer był uczniem Arricka Słodkiej Pieśni i miał wiele doświadczenia w udawaniu trzeźwego.

– Zbierają armię, która będzie większa od hufców wszystkich Wolnych Miast razem wziętych – szepnął. – Lakton nie ma szans.

– Musimy coś zrobić – odparł Gared. – Trzeba znaleźć Naznaczonego albo chwycić za broń, trzeba zrobić cokolwiek! Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Krasjanie opanują wszystkie ziemie na południe od Zakątka.

– Najpierw trzeba ostrzec mieszkańców Lakton – oznajmił Rojer. – Mam kilka pomysłów, ale muszę się porządnie wyspać i pewnie też gruntownie wyrzygać.

Jego doświadczenie mima i akrobaty bardzo się przydało, gdy mijali Enkido. Jeśli ogromny eunuch go zauważył, nie dał tego po sobie poznać. Amanvah nadal przebywała w osobistej komnacie, a szczelina pod drzwiami mieniła się złowieszczym blaskiem runów. Rojer bez trudu trafił do łóżka, gdzie czekała na niego Sikvah. Nie powiedziała ani słowa, gdy osunął się na poduszki. Czuł, że żona ściąga z niego ubranie i buty, ale nie miał siły, by jej w tym pomóc. Po chwili pogładziła jego nagie plecy i szepnęła kilka kojących słów, a Rojer zapadł w sen.



XIV

Pieśń o Nowiu

333 ROK PLAGI, LATO
20 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Rojer przebudził się na godzinę przed świtem z głową pulsującą tęnym bólem. Cierpliwość Sikvah, która przez całą noc była na każde wezwanie, zaczynała się wyczerpywać, ale Minstrel i tak czuł wdzięczność. Głowa bolała, jakby kopnął go muł, a usta miał pełne flegmy.

– Nie urznąłem się tak od Angiers – mruknął.

– Cóż takiego? – Sikvah uniosła wzrok.

– Nic – zbył ją Rojer. – Miałem dziś rano dołączyć do Erny’ego i Elony. Muszę pogadać z Leeshą.

– To niestosowne, mężu. – Amanvah wyszła z osobistej komnaty z niewielką drewnianą skrzyneczką pomalowaną na czarno i wypolerowaną do połysku. Czyżby siedziała tam przez całą noc? Rojer nie przypominał sobie, by wróciła do łóżka, ale musiał przyznać, że w ogóle niewiele pamiętał. – Córka Erny’ego jest niezamężna – ciągnęła *dama’ting*. – Ty zaś jesteś człowiekiem żonatym. Nie możesz...

Sikvah zapinała mu mankiety koszuli, lecz Minstrel wyrwał rękę tak szybko, że dziewczyna aż krzyknęła z przestraszenia.

– Niech was szlag! Przysięgałem, że będę uczciwym i łaskawym mężem, i nie kłamałem, ale bynajmniej nie wyrzekłem się tym samym prawa do rozmów ze swoimi przyjaciółmi! Jeśli nie zgadzacie się ze mną, to chyba mamy problem.

Sikvah wydawała się wstrząśnięta i zgorziona, a Amanvah milczała przez długą chwilę, spoglądając na niesioną skrzynkę i postukując w nią dłonią. Rojer wiedział, że to oznaka niebywalej wściekłości. Równie dobrze kobieta mogłaby wyszarpnąć nóż i wbić mu w oko lub wezwać Enkido, by połamał mężowi palce.

Rojerowi jednakże było to obojętne. Jego matka mawiała, że małżeństwo to koniec wolności, ale Minstrel nie miał ochoty się z tym pogodzić. Pokręcił głową i sam zapiął mankiet.

Nie ma mowy. Prędzej go Otchłań pożre.

W końcu Amanvah uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Jak sobie życzysz, mężu.



Leesha była nieco zaskoczona, gdy Rojer spytał, czy może jechać tego ranka w jej towarzystwie, ale nie zadawała żadnych pytań. Wmawiała sobie, że wciąż złości się na niego za to, że tak spontanicznie podjął decyzję o ślubie, ale po prawdzie bardzo za nim tęskniła. Rojer był jej najbliższym przyjacielem oraz powiernikiem przez ponad rok i po jego zniknięciu czuła wielką pustkę.

Amanvah i Sikvah wzniosły wokół Rojera nieprzeniknioną ścianę nie tylko jękami rozkoszy oraz śpiewem. Gdy zatrzymywali się na noc, obie nie odstępowały Minstrela na krok niczym lwice pilnujące zdobyczy. Od początku podróży Leesha nigdy nie widziała go samego, a nawet teraz musieli odsunąć zasłony w oknie powozu, by nie naruszyć krasjańskich norm przyzwoitości. Co chwila do okien podjeżdżali konni *Sharum* i bez skrępowania zaglądali, by sprawdzić, czy oboje są należycie ubrani i siedzą na przeciwnych ławkach.

Niemniej jednak udało im się zyskać nieco prywatności. Po obu stronach powozu jechali Gared i Wonda, którzy odstraszaali ciekawskich, a Leesha wybrała woźnicę, który nie mówił po thesańsku. Większość Krasjan, którzy umieli powiedzieć więcej niż „proszę” i „dziękuję” w ojczystym języku Leeshy, utrzymywała to w tajemnicy, podobnie jak niegdyś Amanvah i Sikvah, ale mieszkańcy Zakątka stali się już podejrzliwi i zdemaskowali większość przez ostatni

tydzień. Mistrzynią w tej grze okazała się Elona, która głośno wygłaszała przy Krasjanach obelgi i zerkała na ich twarze w poszukiwaniu oznak wstrząsu czy zbulwersowania.

– Myślę, że twój powóz spodobał się mojej matce nieco za bardzo – powiedziała Leesha. – Pewnie nie będzie chciała wrócić do własnego po przerwie na popas.

– Wątpię. Teraz panuje tam lodowata atmosfera. Amanvah i Sikvah nie spodobał się pomysł spotkania z tobą sam na sam.

– Cóż, będą musiały się z tym pogodzić. – Leesha wskazała ruchem głowy okno, za którym właśnie przejeżdżał konno Kaval. – Ahmann również. Nie obiecywałam, że po tym, jak się z nim prześpię, pozbędę się ze swego życia każdego mężczyzny. I gdzieś mam to, co ludzie pomyślą.

– Otóż to – zgodził się Rojer. – Ale myślę, że przerodzi się to w otwarty konflikt.

– Na tym właśnie, o ile się orientuję, polega małżeństwo. – Zielarka uśmiechnęła się lekko. – Żałujesz swojej decyzji?

Rojer pokręcił głową.

– Nikt nie tańczy za darmo, ale prędzej mnie Otchłań pochłonie, nim dam się orznąć na tej transakcji.

Pokiwała głową.

– Z jakiego powodu postanowiłeś narazić się na gniew swoich żon?

– Z powodu twojego narzeczonego – rzekł Rojer.

– On nie jest... – zaczęła Leesha, ale Minstrel przerwał jej bezceremonialnie:

– Panoszysz się wśród Krasjan, jakby nim był. A jak jest naprawdę?

Dziewczyna poczuła, że ból głowy powraca. Udała, że odsuwa włosy z czoła, by niespostrzeżenie pomasować skroń.

– A czemu się tak tym przejmujesz? Nie naradzałeś się ze mną w sprawie własnego ślubu.

– Moje żony nie porywają każdego zdrowego chłopaka do piętnastego roku życia. Jeśli choć połowa przetrwa *Hannu Pash*...

– Za kilka lat Ahmann będzie dysponował armią thesańskich fanatyków, która zdoła podbić ziemię aż do Fortu Miln – dokończyła za niego Leesha. – Nie jestem ślepa, Rojer.

– A więc co mamy zamiar z tym zrobić?

– Stworzymy własną armię. – Leesha się wyprostowała. – Zakątek musi się rozrastać, trzeba też przygotować ludzi do wojny. Ahmann traktuje nas jak odrębne plemię i nie zaatakuje, jeśli nie damy mu powodu.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytał Rojer. – Muszę przyznać, że Ahmann nie jest tym, kogo się spodziewałem ujrzeć, ale czy naprawdę mu ufasz?

Leesha pokiwała głową.

– O Ahmannie można powiedzieć wiele, ale nikt nie zarzuci mu braku szczerości. Nie robi tajemnicy z tego, że chce podporządkować sobie wszystkich ludzi, którzy z własnej woli nie przyłączą się do *Sharak Ka*. Nie oznacza to jednak, że muszą natychmiast złożyć mu hołd.

– A jeśli się mylisz?

– Cóż, wtedy może weźmie mnie za żonę, co symbolicznie zwińczy podbój – odparła Leesha. – Nie mam na to ochoty, ale lepsze to od otwartej wojny.

– W ten sposób może ocalisz Zakątek – stwierdził Rojer. – A co z Lakton? To miasto będzie chyba trudniejsze do zdobycia niż Fort Rizon, ale przecież nikt nie broni wsi, które je otaczają! Lada moment Krasjanie wyruszą, by je zająć!

– Racja. Ale niewiele można w tej sprawie zrobić.

– Można ostrzec miejscowych – zamyślił się Rojer. – Możemy im zaproponować schronienie w Zakątku, póki drogi są jeszcze przejezdne.

– A jak chciałbyś tego dokonać?

Rojer uśmiechnął się.

– Nadal odgrywaj rolę księżniczki. Gdy będziemy przejeżdżać przez Lakton, każdej nocy domagaj się noclegu pod dachem. Zrezygnuj też z wygrażania ludziom w gospodach. Niedługo zaprezentuję światu nową pieśń i będę potrzebował publiczności.



– Nie sędzę, że to dobry pomysł, pani. – Kaval był liczącym się *Sharum*, na szyi nosił czerwoną przesłonę, zsuniętą ze względu na ostre słońce. Zrobili krótką przerwę, by zwierzęta mogły odpocząć, a podróżni rozprostować nogi. Mistrz Ćwiczeń mówił uprzejmym tonem, ale widać było, że usiłuje zamaskować narastający gniew. Nie miał w zwyczaju tłumaczyć się przed kobietami ze swoich decyzji.

– Nie obchodzi mnie twoje zdanie, *Sharum* – oznajmiła Leesha. – Nie będę spać na poboczu z kamieniem pod głową, skoro o dwa dni drogi od Zakątka stoją wygodne gospody!

Kaval zmarszczył brwi.

– Opuściliśmy tereny, którymi włada Shar'Dama Ka. Bezpieczniej...

– ...obozować na skraju drogi, gdzie mogą na nas napaść bandyci? – przerwała mu Leesha. Kaval splunął na ziemię.

– Ci tchórzliwi *chin* nie odważą się nas zaatakować w nocy! *Alagai* się z nimi rozprawia!

– Mam się czuć bezpieczniej w towarzystwie demonów? – warknęła Leesha.

– Nigdy dotąd nie okazywałaś, pani, lęku przed *alagai* – zauważył Kaval. – Osobiście bardziej bym się bał ciosu włócznią w plecy w nieznannej wiosce *chin*.

– O co chodzi? – Podeszła do nich Amanvah.

Kaval natychmiast przyklęknął na jedno kolano.

– Pani Leesha życzy sobie spędzić dzisiejszą noc w wiosce *chin, dama'ting*. Powiedziałem jej, że to niemądre...

– Ależ pani Leesha ma oczywiście rację – zapewniła Amanvah. – Ja również nie życzę sobie spać pod gołym niebem. Jeśli obawiasz się paru miejscowych *chin* – wymówiła to słowo z szyderstwem – zostaw nas w gospodzie i rozbij sobie namiot w lesie, by jakoś doczekać świtu.

Leesha powstrzymała uśmiech, gdy Kaval uklonił się jeszcze niżej, by ukryć zgrzytanie zębami ze złości.

– Nie obawiamy się niczego, *dama'ting* – zapewnił. – Jeśli sobie tego życzyacie, zajmujemy...

– Nie ma mowy – przerwała Leesha. – Sam powiedziałeś, Mistrzu, że opuściliśmy ziemie Wybawiciela. Od tej pory będziemy płacić za nocleg, a nie zajmować pokoje przemocą. Nie jesteśmy złodziejami.

Mogła przysiąc, iż usłyszała zgrzyt zębów Mistrza Ćwiczeń. *Sharum* zerknął na Amanvah w nadziei, że ta zaprzeczy słowom Leeshy, ale *dama'ting* przezornie milczała. W stosunku do Zielarki zachowywała się na powrót wyniośle, ale obie dobrze pamiętały, co się wydarzyło, gdy po raz ostatni zdenerwowała Leeshę.

– Wezwij wszystkich dwudziestu jeden *Sharum* i każ im usiąść tam. – Zielarka wskazała niewielką polanę. – Powiem kilka słów, gdy będą jedli. Chcę, by wszyscy, zarówno posyłani przodem zwiadowcy, jak i reszta oddziału, wiedzieli, na czym polega stosowne zachowanie.

Odeszła w stronę kotłów, gdzie *dal'ting* przygotowywały posiłek pod czujnym okiem Shamavah. Większość członków karawany miała otrzymać gęstą brązową zupę z mąki i wołowiny, okraszoną ziemniakami i innymi warzywami, a także pół bochenka chleba. *Sharum*

otrzymywali lepszy wikt – w ich zupie pływały większe kawałki mięsa, a do tego podawano im kuskus z cielęciną. Najlepszy posiłek przypadł jednakże Leeshy i jej rodzicom oraz Rojerowi wraz z żonami. Serwowano im piezzonego bażanta nadziewanego ziołami i jagnięcinę z bogato przyprawionym, smarowanym masłem kuskusem.

Leesha zbliżyła się do Shamavah.

– Zamierzam powiedzieć kilka słów do *Sharum*, gdy będą spożywać posiłek. Chciałabym, żebyś przełożyła moje słowa.

– Oczywiście, pani – ukłoniła się Shamavah. – Będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

Leesha wskazała miejsce, gdzie zbierali się już wojownicy.

– Dopilnuj, by usiedli w półkole i otrzymali miski.

Shamavah skinęła głową i odeszła.

Leesha zaś zbliżyła się do kobiety przygotowującej zupę dla *Sharum*, wzięła chochlę do ręki i spróbowała potrawy.

– Wciąż jałowa. – Wrzuciła do kotła nieco przypraw nabranych z półmisków rozłożonych przez kucharza. Potem dodała kilka ziół z własnego fartucha.

Udała, że próbuje po raz drugi.

– Idealna – rzekła.



Rojer rozkoszował się ostatnią nutą „Pieśni o Nowiu”. Z zamkniętymi oczami napawał się brzmieniem instrumentu, aż ostro uciął melodię. Amanvah i Sikvah również zamilkły.

Między końcem wspaniałego występu a aplauzem tłumu następowała niezwykła, bezcenna chwila, zwana przez mistrza Arricka ciszą przed burzą. Rojer odczuwał to jak nigdy wcześniej, nie docierały do niego nawet odgłosy towarzyszące karawanie – kakofonię tłumiły zresztą zaciągnięte zasłony.

Naraz uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Choć wokół nie było nikogo, kto by oklaskiwał pieśń, w wyobraźni Minstrel słyszał ogłuszające wiwaty. Bez fałszywej skromności mógł stwierdzić, że jako trio stworzyli utwór o wiele doskonalszy niż w pojedynkę.

Wypuścił powoli powietrze i rozchylił powieki w tej samej chwili co Amanvah i Skivah. Błysk ich pięknych oczu zdradził, że one również wyczuły moc bijącą od stworzonej przez nich pieśni.

Gdybyście tylko znały prawdę, pomyślał Rojer. Już niedługo, moje ukochane. Już niedługo wszystko się okaże.

„Moje ukochane”. Zaczął je tak nazywać, na razie w myślach, już jakiś czas temu. Z początku miało to być zabawne – któż bowiem nazywa tak kobiety, które ledwie zna? – ale Rojera nigdy to nie śmieszyło. Bywało, że odkrywał w tych słowach czułość, bywało też, jak choćby zeszłej nocy bądź tego dnia rano, że brzmiały gorzko.

Zdarzało się też – tak jak teraz – że pustkę po zakończeniu utworu wypełniała miłość prawdziwa i tkliwa, aż trudno uwierzyć. Spoglądał na swoje żony i czuł, jak uczucia, którymi niegdyś darzył Leeszę, bledną i stają się nieistotne.

– Mój mistrz zwykł mawiać, że nie istnieje coś takiego jak perfekcja w muzyce – oznajmił Rojer. – Ale niech mnie Otchłań pochłonie, jeśli się do niej nie zbliżyliśmy.

Oryginalna wersja „Pieśni o Nowiu” składała się z siedmiu zwrotek. Każda miała siedem siedmiosylabowych wersów. Amanvah wyjaśniła, że nie jest to przypadkowa zbieżność – istnieje bowiem siedem filarów Nieba, siedem krain na Ala oraz siedem poziomów Nie.

Poprzednie dzieło, z którego Rojer był bardzo dumny – „Bitwa o Zakątek Drwali” – w porównaniu z przekładem „Pieśni o Nowiu” wydawała się kiepską rymowanką. „Pieśń” roztaczała bowiem władzę nad ludźmi oraz otchłańcami. Melodia wywołać mogła tysiące reakcji demonów, a słowa przekazać mieszkańcom Lakton wszystko, co powinni wiedzieć.

Naznaczony poprosił o wyszkolenie grupy skrzypków-czarodziejów, ale Rojerowi nie powiodło się. Minstrel nie był już nawet pewien, czy umiejętność rzucania uroku za pomocą gry na skrzypkach w ogóle można przekazać innym. Zaczynało mu doskwierać przeświadczenie, że jako muzyk zatrzymał się w rozwoju, aż niespodziewanie natrafił na „Pieśń o Nowiu” i znów zaczął widzieć sens w życiu. Nie tego szukali wraz z Naznaczonym. Lecz odkrycie Rojera miało o wiele większe znaczenie.

Młody Minstrel wiedział, że oto stoi przed ogromną szansą na dokonanie czegoś wielkiego. Powodzenie jego planu zależało od tego, czy żony zgodzą się zaśpiewać wraz z nim, a Krasjanie nie przejrzą planu i nie zabiją grajka przed występem.

Amanvah i Sikvah ukloniły się wdzięcznie.

– Śpiewanie z tobą to wielki zaszczyt, mężu – odezwała się Amanvah. – Jak rzecz mój ojciec, Everam przemawia przez ciebie.

Everam. Rojer miał już dość tego miana. Nie istniał żaden Stwórca, obojętnie, jak by go nazwać. Arrick mawiał, że między Świętymi Mężami a Minstrelami nie ma wielkiej różnicy, bo jedni i drudzy snują wyssane z palca bajdy, aby banda prostaków i półgłówek zapomniała o trudach życia. Potem zazwyczaj wybuchał gorzkim śmiechem i dodawał, że klerycy jednak wykonują robotę lepiej, bo więcej zarabiają i cieszą się powszechnym szacunkiem.

Rojer przypomniał sobie złowieszczą czerwoną poświatę, która z zapadnięciem zmroku wpływała spod drzwi osobistej komnaty Amanvah. Czy żona spędziła tam całą noc?

„*Jiwah Ka* naradza się z kośćmi, by pomóc ci wybrać właściwą drogę”.

Rojer nawet nie próbował zrozumieć magii kości *dama'ting*, ale Leesha przybliżyła mu zasady działania i wiedział, że nie kryje się w tym nic boskiego. Czy dzięki nauce starego świata nie okiełznano „błyskawic na niebie, wiatru oraz deszczu”? Nie miał pojęcia, co kości mówią żonie, ale wiedział, że nie są to słowa Stwórcy, i nie uśmiechało mu się wypełnianie ich woli.

– Czy kości się zgadzają? – zapytał, dokładając wszelkich starań, by jego głos zabrzmiał obojętnie.

Sikvah wciągnęła gwałtownie powietrze, ale twarz Amanvah pozostała nieporuszona i nie zdradzała emocji. Niespodziewanie odebrał to jako wyzwanie. Rozśmieszanie innych Minstrelów bądź przeszkadzanie im w ćwiczeniu roli było popularną rozrywką w siedzibie Gildii. Rojer uważał się za mistrza w tej dziedzinie.

Przechylił nieco głowę, wpatrując się w *dama'ting*.

Czy reszta jego życia ma upłynąć na wyciąganiu z niej prawdziwych uczuć?

– *Alagai hora* nigdy nie są nieomyślne, mężu. Służą jedynie jako przewodnik.

– A co ci powiedziały o mnie?

Sikvah syknęła cicho.

– Nie wolno pytać...

– A niech to wszystko Otchłań pożre! – warknął Rojer. – Nie będę tańczył do muzyki, której nie słyszę!

Amanvah odwróciła się i sięgnęła do wielkiej sakwy z aksamitu, w której *dama'ting* trzymały demony kości. Ciężkie kotary zostały zasunięte i w wozie nie było naturalnego światła,

więc okoliczności sprzyjały wykorzystaniu magii *hora*. Rojer zamarł, żałując, że nie ma przy sobie noża.

Amanvah jednakże wyciągnęła jedynie zawiniątko i wręczyła mu z ukłonem.

– Kości mówią mi jednocześnie dużo, jak i prawie nic na twój temat, mężu. Nie ma wątpliwości, że dysponujesz wielką mocą, ale ścieżka twojego życia pełna jest rozstajów i rozdroży. W niektórych wizjach hordy *alagai* tańczą do twojej muzyki, ale widziałam też takie, w których twój dar został zaprzepaszczone. Widzę zarówno wielkość, jak i upadek.

Rojer odwiązał płótno i odkrył, że kryje ono niewielką drewnianą skrzyneczkę, którą widział dziś rano.

– Ale gdy spytałam, czy powinnam cię poślubić, przytaknęły. Spytałam również, jaki dar pomoże ci osiągnąć wielkość, a one podsunęły mi ten pomysł.

Niespodziewanie Rojer poczuł się jak niewychowany prostak. Czyżby Amanvah spędziła ten czas, przygotowując dla niego prezent ślubny? Na Stwórcę, czy Minstrel też powinien jej coś podarować? Nikt o tym nawet nie wspomniał. Zakarbował sobie w pamięci, by wypytać Shamavah o krasjańskie zwyczaje ślubne i jeśli prezent okaże się konieczny, poprosić o radę.

Amanvah ukloniła się niżej niż zwykle, niemalże dotykając czołem dywanów wyściełających podłogę wozu.

– Przyjmij, proszę, przeprosiny. Zdaję sobie sprawę, że przygotowanie zabrało mnóstwo czasu. Zaczęłam ledwie dwa tygodnie temu, sądząc, że mam całe miesiące. Kości nie zdradziły mi, że tak szybko wypowiemy słowa przysięgi ślubnej.

Rojer musnął gładką powierzchnię skrzyneczki opuszkami trzech palców kalekiej ręki i natrafił na runy wyryte w drewnie przed pomalowaniem. Rozpoznał runy ochrony, ale nie znał pozostałych symboli. Nigdy się ich nie uczył.

Co jest w środku? – zastanawiał się. Cóż takiego wykonała Amanvah, nakłoniona przez kości demona? Niespodziewanie przypomniał mu się Enkido.

Jeśli to para złotych kajdan, złapie za worek z cudami i zwieje stąd bez względu na to, czy wóz stoi, czy jedzie.

Uchylił wieko skrzyneczki i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Na jedwabnej wyściółce leżał podbródek do skrzypiec z wypolerowanego palisandru. Jego wnętrze wylane było złotem, a całość zaopatrzona w złoty uchwyt zaciskowy. Wzdłuż krawędzi ciągnęły się rzędy runów wypełnionych złotą farbą. Przedmiot zachwycał swym pięknem.

Podobnie jak wszystkie nowoczesne instrumenty, skrzypce Arricka i Jacoba były wyposażone w podbródek, ale starożytny instrument podarowany Rojerowi przez Naznaczonego niczego takiego nie miał. Przypuszczalnie wywodził się z czasów przed jego wynalezieniem. Podbródek pozwalał muzykowi przytrzymywać instrument samą tylko brodą i zyskiwać większą swobodę ruchów.

– Ten element pochodzi ze skarbcza księcia Edona, a został zaprojektowany na potrzeby książęcego herolda – powiedziała Amanvah.

Rojer z czcią sięgnął po prezent.

– Wykonanie runów i wstawienie kawałków *hora* zabrało mi wiele nocy – dodała *dama'ting*.

Minstrel cofnął dłoń, jakby właśnie dotknął gorącego czajnika.

– *Hora*? W tym jest kość demona?

Amanvah wybuchła melodyjnym śmiechem, co było u niej rzadkością.

To prawdziwy śmiech? – zastanowił się Minstrel. Czy może element jej gry?

– Te kości nie wyrządzą ci krzywdy, mężu. Zła wola Nie wyparowuje wraz ze śmiercią *alagai*, ale kości nadal przechowują w sobie magię Ala, wykreowaną przez Everama na długo, nim Nie stworzyła Otchłań, by zepsuć świat.

Rojer zacisnął wargi.

– Ale...

– To tylko drobny kawałek – zapewniła Amanvah. – Otoczony runami i oprawiony złotem.

– A co on daje? – spytał Minstrel.

Uśmiech Amanvah był tak szeroki, że Rojer zauważył go mimo woalki. Reakcja ta wydała się autentyczna i serce Minstrele zabiło żywiej.

– Zagraj – szepnęła *dama'ting* i podała mu skrzypce.

Rojer zawahał się, ale wzruszył ramionami i ujął instrument. Przytwierdził podbródek do boku skrzypiec, gdzie spodziewał się uzyskać największy rezonans. Ostrożnie dokręcił śruby, by nie uszkodzić drewna, a potem wsunął instrument pod brodę, przytrzymując go bez użycia rąk. Jego brodę przeszyło delikatne mrowienie, przypominające nieco uczucie, które pojawiała się po rozprostowaniu zeszywniałej kończyny.

Muzyk znieruchomiał.

– I co teraz?

– Zagraj! – Amanvah znów się zaśmiała.

Rojer ujął smyczek w okaleczoną dłoń i zagrał krótką melodię. Rezonans całkiem go zdumiał – instrument wydawał się dwakroć głośniejszy.

– To niezwykle!

– Zakryłeś brodą większość runów – wyjaśniła Amanvah. – Podnieś nieco głowę i zagraj raz jeszcze.

Rojer uniósł brew z niedowierzaniem, ale przystał na jej prośbę i znów zaczął grać. Z początku muzyka wydawała się nieco głośniejsza niż zwykle, ale w miarę jak powoli unosił głowę i odsłaniał kolejne runy, dźwięki nabierały mocy. Uniósł głowę jeszcze wyżej, a melodia stała się dwakroć głośniejsza. Obie żony zakryły uszy. W końcu ból sprawił, że Minstrel przerwał grę.

– Przecież zagłuszę wasze piękne głosy! – oburzył się.

Amanvah pokręciła głową, a potem uniosła woalkę. Oczom Rojera ukazał się złoty naszyjnik z kulą naznaczoną runami, spoczywającą w zagłębieniu szyi. Sikvah nosiła identyczną ozdobę.

– Nie zostaniemy w tyle, mężu.

Rojer pokręcił głową oszołomiony.

Może magia kości nie jest jednak taka zła, pomyślał.

– Nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił w końcu. – Nigdy w życiu nie otrzymałem równie wspaniałego daru, ale nie mam niczego, czym bym się mógł odwdziżyć.

Amanvah i Sikvah parsknęły śmiechem.

– Czyżbyś już zapomniał pieśń, którą zaśpiewaliśmy? – spytała *dama'ting*. – To był ślubny dar, który złożyłeś przed naszym świętym ojcem.

Dotknęła jego ramienia.

– Dziś wieczorem zaśpiewamy ją dla *chin*.

Rojer pokiwał głową. Niespodziewanie poczuł ukłucie winy. Jego żony nie miały pojęcia, czego mieszkańcy Lakton dowiedzą się z tej pieśni.



Wieś zwana Zieloną Łąką wydawała się opuszczona. Gdy karawana podjechała bliżej, podróżni ujrzeli puste pola i pastwiska. Daleko na wzgórzach i na skraju lasu ostatni uciekinierzy błyskawicznie znikli z pola widzenia. Wędrowcy podzielili się – główna część karawany pozostała na noc przy trakcie Posłańców, a powozy z kobietami skierowały się do wsi. Wkrótce wjechały między zabudowania, ale również wtedy nie udało się nikogo zauważyć.

– Nie podoba mi się to – rzekł Kaval. Coliv powiedział coś do niego po krasjańsku, a Mistrz Ćwiczeń burknął w odpowiedzi.

– Co się dzieje? – spytała Leesha.

– Coliv mówi, że tylko burza z piorunami robi mniej hałasu od *chin*. Mieszkańcy zielonych krain otaczają nas ze wszystkich stron, przyglądają nam się z okien i śledzą nas zza węgła. Wyślę go, by się rozejrzał.

– Nie rób tego – sprzeciwiła się Leesha stanowczo.

– To wypatrywacz z plemienia Krevakh! Zapewniam cię, pani, że *chin* nawet nie zauważą jego obecności.

– Nie o nich się boję – zaprzeczyła Leesha. – Chcę go mieć na oku. Ci ludzie nie bez powodu zachowują czujność. Nie wolno nam zrobić nic, co mogłoby ich zaniepokoić.

Niedługo potem ujrzeli główny plac wsi, wokół którego ciągnęły się domy i sklepy. Na schodach gospody oczekiwało pięciu mężczyzn – dwóch trzymało widły, a dwóch strzały na cięciwach łuków myśliwskich.

Leesha krzyknęła na woźnicę i wóz się zatrzymał. Zielarka wyszła, natychmiast dołączyli do niej Rojer, Gared, Wonda, Amanvah, Enkido, Shamawah i Kaval.

– Ja z nimi porozmawiam – oznajmiła Leesha, gdy ruszyli w stronę karczmy.

– Ci ludzie nie wydają się zainteresowani rozmową, pani. – Kaval ruchem głowy wskazał łuczników, wychylających się z każdego okna kamienic wokół rynku.

– Nie wypuszczą strzał, jeśli nie dacie im powodu. – Leesha żałowała, że w sercu nie ma tyle pewności siebie, co w słowach. Założyła fartuch z kieszeniami, aby było z daleka widać, że jest Zielarką. Pstrokaty płaszcz Rojera pozwalał rozpoznać Minstrela, co również mogło poprawić sytuację.

Rojer i Enkido zasłonili Amanvah, a Gared ochraniał Rojera. Przy Leeshy zamarli Wonda i Kaval.

– Hej tam! – zawołał Rojer. – Wy przy gospodzie, słyhać nas? Nie chcemy nikogo skrzywdzić! Szukamy jedynie schronienia na noc i chcemy zapłacić! Możemy podejść?

– Zostawcie włócznie tam, gdzie stoicie! – wykrzyknął jeden z miejscowych.

– Nie ma mowy, żeby... – zaczął Kaval.

– Zostawisz tu włócznię albo sam tu zostaniesz – przerwała mu Leesha. – To sensowne żądanie. Okaż wrogość, a ci ludzie naszpikują cię strzałami.

Kaval warknął cicho, ale pochylił się i położył włócznię na ziemi. Enkido poszedł w jego ślady.

– Kim jesteście? – zapytał człowiek, który wydawał się przywódcą.

– Jestem Leesha córka Erny’ego – przedstawiła się Zielarka.

– Pani z Zakątka? – upewnił się mężczyzna.

– Nikt inny – uśmiechnęła się Leesha.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Co porabiasz, pani, tak daleko na południu? I to jeszcze w towarzystwie takich jak ci? – Wskazał na Krasjan.

– Wracamy ze spotkania z krasjańskim przywódcą i chcemy przenocować w Zielonej Łące

– wyjaśniła Leesha.

– Odkąd to Zielarki zajmują się dyplomacją? Czy to nie zadanie Posłańców?

Rojer wystąpił i uklonił się, zamiatając kurz połą pstrokatego płaszcza.

– Jestem heroldem Zakątka Wybawiciela. Nazywam się Rojer Bezpalczy, uczeń Arricka Słodkiej Pieśni, który swego czasu służył jako herold księciu Rhinebeckowi z Angiers.

– Bezpalczy? – powtórzył mężczyzna. – Ten, którego nazywają skrzypkiem-czarodziejem?

Rojer skinął głową z uśmiechem.

– Znasz już nasze imiona, a my nadal nie znamy waszych – wtrąciła Leesha. – Zgaduję, że jesteś Havold, miejscowy Mówca?

– A skąd to wiesz? – mężczyzna nie krył zdumienia.

– Wasza Zielarka, pani Ana, napisała do mnie raz list z prośbą o radę. Nie mogła wyleczyć twojej córki Thei z dokuczliwego kaszlu. Mam nadzieję, że wyzdrowiała?

– To miało miejsce dziesięć lat temu – rzekł Havold. – Thea ma już własne dzieci i nie uśmiecha mi się to, że będą spały w sąsiedztwie krasjańskich morderców. Usłyszeliśmy wiele

opowieści od ludzi, którzy przechodzili przez nasze ziemie podczas zimowych miesięcy. Uciekali właśnie przed takimi jak ci.

Skrzywił się, wpatrując w Kawała i Enkido.

Leesha pomodliła się w duchu, by Mistrz Ćwiczeń nie podjął zaczepki, lecz ten ku jej wielkiej uldze nie otworzył ust.

– Nie mogę poręczyć za wszystkich Krasjan – przyznała. – Ale gwarantuję, że ze strony ludzi w karawanie nie spotka was nic złego. Jeśli pozostawicie ich w spokoju, będą się trzymać własnego grona i nikogo nie skrzywdzą. Większość pozostanie w wozach przy drodze, ale moi rodzice mają już swoje lata i byłabym wdzięczna za kilka łóżek. Herold nie przesadza – chcemy zapłacić, zarówno złotem, jak i rozrywką.

Usta Havolda nadal były mocno zaciśnięte, ale po chwili wahania skinął potakująco głową.



Leesha zeszła do głównej izby gospody wraz z rodzicami, Garedem, Wondą, Kawalem i Enkido. Rojer, który usiadł w ciemnym kącie na krześle z twardym oparciem, stroił skrzypce, a po obu stronach na czystych prześcieradłach kłęczały jego żony. Leesha wyczuwała, że eunuch i Mistrz Ćwiczeń nie są zachwyceni tym, że Amanvah i Sikvah biorą udział w występie – w Krasji podobne zdarzenia były nie do pomyślenia – ale po cichej, acz ostrej reprymendzie z ust *dama'ting* stracili ochotę do interwencji. Pozostałe stoły i taborety przy barze zostały zajęte przez mieszkańców Łąki, wielu z nich tłoczyło się również pod ścianami. Bez względu na okoliczności występy Minstreli zawsze przyciągały uwagę, ale Leesha zauważyła, że miejscowi przyglądają się głównie Krasjanom, i to nie zawsze przyjaźnie. W pomieszczeniu panował taki gwar, że nie mogła dosłyszeć rozmów, ale gniewne pomruki mówiły same za siebie.

W końcu rozpoczął się występ.

Przed przejściem do części zasadniczej występu Rojer miał w zwyczaju rozgrzewać publiczność, ale tym razem tego zaniechał. Nie było popisów akrobatycznych, magicznych sztuczek, dowcipów czy opowieści. Mając przy sobie żony, myślał tylko o muzyce.

Podobnie jak w sali biesiadnej Ahmanna, Rojer rozpoczął od powolnej, cichej melodii, która stopniowo stawała się coraz głośniejsza i bardziej skomplikowana. Wkrótce muzyka wypełniła pomieszczenie i oczarowała słuchaczy. Wszyscy obecni zamilkli i wpatrywali się

w muzyka z niedowierzaniem i zachwytem. Leesha wiedziała w głębi serca, że gra Rojera tak naprawdę nie ma nic wspólnego z magią, ale bez wątpienia poruszała serca zarówno ludzi, jak i demonów. Rojer dysponował niezaprzeczalnym darem.

Gdy muzyka osiągnęła maksymalne natężenie, Amanvah i Sikvah zaczęły śpiewać, z początku bez słów, a potem w perfekcyjnym thesańskim:

*Everam, Stworzyciel nasz,
Ujrzał lodową czerń Nie
I poczuł zawód wielki.
Gdy wznosił świętą Ala,
Stworzył światło na niebie
I ludzi takich jak On.
Everam był szczęśliwy.*

*Dzielo obudziło gniew Nie,
Gdyż skaziło piękną czerń.
Przysięgła zniszczyć Ala
I gdy Everam spoczął,
Pchnęła mrok na Jego świat.
Matka wszystkich demonów
Alagai'ting Ka przyszła.*

*Everam dmuchnął z mocą,
Aż świat wirować zaczął,
Królowa Zła umknęła
Przed świętym blaskiem słońca
I przeklinając, zesła
Prosto do mrocznej Otchłani,
Głęboko w sercu Ala.*

*Lecz wkrótce zapadła noc
I nadeszły dzieci Nie,
Pomiot Alagai'ting Ka,
Alagai niszczyciele.
Everam wezwał ludzi,
By znaleźli odwagę
I wydali Nie wojnę.*

*Po pełni nadchodzi Nów,
Moc alagai narasta,
A gdy noc ogarnia mrok,
Zjawia się Alagai Ka.
Osłoń umysł runami,
Gdyż ojciec demonów chce
Pożreć to, co w nim kryjesz.*

*Everam Wszechpotężny
Dał dzieciom ostatni dar,
Zesłał Wybawiciela.
Shar'Dama Ka prowadzi
Ku chwale i Niebiosom,
Jednoczy dzieci Stwórcy,
By przegnać złą Królową.*

*Shar'Dama Ka nadchodzi,
By znów zjednoczyć ludzkość,
Kłękaj przed Everamem*

*Lub ujmij mocno włócznie
I skąp ją w krwi alagai.
Dołącz do świętych bitew,
Sharak Ka, Pierwszej Wojny.*

Leesha poczuła ból w dłoni. Ścisnęła filiżankę z herbatą z taką siłą, że pobieleły jej kłykcie. Wcześniej nawet sobie tego nie uświadamiała. Zmusiła się do rozwarcia palców i spojrzała na otaczających ją ludzi, co do jednego wstrzymujących oddech. Spodziewała się, że przy ostatniej zwrotce Krasjanie pochwycą za broń – choć oręż pozostał w ich pokojach – a mieszkańcy Zielonej Łąki rozpoczną burdę. Tymczasem w sali zabrzmiała tylko kakofonia. Kaval i Enkido ryczeli i tupali z taką werwą, że z belek sypał się pył. Klaskanie miejscowych było głośniejsze od eksplozji fajerwerków.

Nie po raz pierwszy Leesha nie doceniła talentu Rojera. Minstrel wydawał się jedynie osiemnastoletnim chłopcem ze śladem zarostu na twarzy, a przez zachowanie sprawiał wrażenie jeszcze młodszego. Był drażliwy, porywczy i całkiem nieodpowiedzialny. Leeszę irytowało, że bez przerwy ignoruje jej rady. Była przekonana, że zna się na wszystkim lepiej od Rojera i że przyjaciel mógłby rozwiązać wszystkie problemy, gdyby tylko jej posłuchał.

Tymczasem Rojer zdziałał swą pieśnią o wiele więcej, niż Leesha mogłaby sobie wymarzyć. Przekazał mieszkańcom Zielonej Łąki wszystko, co powinni wiedzieć o Krasjanach i ich wierze, ostrzegł przed niebezpieczeństwami Nowiu i dał do zrozumienia, że nadchodzi armia Ahmanna.

Co więcej, zrobił to tuż pod nosem Krasjan. Treść pieśni niewiele różniła się od tego, co wykrzykiwali *dama* z piedestałów i minaretów. Równie dobrze mógłby zaśpiewać, że niebo jest niebieskie. Amanvah i Skivah sądziły, że wysławiały swego ojca, podczas gdy w rzeczywistości mówiły zebranym, że powinni się spakować i uciekać jak najdalej.

Leesha przyzwyczała się, że ma zawsze rację, ale niespodziewanie złapała się na tym, że to Rojer o wiele lepiej pojął powagę sytuacji.

– To było piękne, Rojer. – Wstała, gdy Minstrel z żonami powrócił do stołu. Kaval i Enkido podnieśli się również i zasłonili kobiety własnymi ciałami.

– Dziękuję – odparł Rojer. – Ale nie zapomnij, że to zasługa całej naszej trójki. Nie osiągnąłbym tego bez Amanvah i Sikvah.

– Mój mąż jest nad wyraz skromny – skłoniła się *dama'ting*. – Nauczyliśmy go pieśni, którą wszyscy znają, i pomogliśmy mu zrozumieć znaczenie słów, ale to on przełożył ją na wasz język lepiej, niż my byśmy zdołały.

Leesha uśmiechnęła się promiennie.

– Myślę, że ty również jesteś nader skromna. Jednak muszę przyznać, że Rojer w istocie... Cóż, wprowadził kilka subtelnych zmian, dzięki którym pieśń jest wręcz genialna.

Rojer smagnął ją wściekłym spojrzeniem, ale nikt tego nie zauważył. Amanvah spoglądała na Zielarkę z zaciekawieniem, a Leesha uświadomiła sobie, że Rojer nie jest jedyną osobą, której nie doceniała. *Dama'ting* może i była młoda, ale na pewno nie głupia.

Po zakończonym występie podszedł do nich Havold, a Leesha nauczyła go, jak rysować run chroniący przed demonem umysłu i jak nanieść go na opaski zakładane podczas Nowiu.

– Chcesz mi dać do zrozumienia, że te potwory naprawdę istnieją? – Zdumienie Havolda nie miało granic.

– Każde zagrożenie przedstawione w pieśni jest realne, Mówco – odparła Leesha. – Każde.



Wypchany pierzem materac poruszył się nieco, gdy Amanvah i Sikvah zsunęły się na podłogę. Rojer natychmiast się zbudził. Dziewczęta starały się zachowywać cicho, ale po wielu nocach przespanych w Gildii Minstreli, gdzie roiło się od zręcznych kieszonkowców, Rojer nauczył się spać lekko i czujnie.

Wciąż oddychając rytmicznie, udał, że odwraca się na bok przez sen, by przyjrzeć się żonom. Kobiety zapaliły oliwne lampy i przystąpiły do porannego rytuału. Do świtu brakowało jeszcze trochę czasu i Rojer miał jeszcze dobrą godzinę snu, ale były sprawy znacznie ciekawsze od spania.

Jak przyglądanie się ćwiczeniom jego żon.

Obie miały na sobie jedynie luźne, przejrzyste bluzki i spodnie, które nie dawały wyobraźni wielkiego pola do popisu. Rojer patrzył, jak kobiety ćwiczą kolejne pozycje *sharusahk* i czuł

potężniejszą erekcją. Ułożył się wygodniej pod kocem i mruknął cicho z rozkoszą, nie mogąc uwierzyć, jakim jest szczęściarzem.

Jak zwykle żony wyczuły jego podniecenie, jakby dysponowały szóstym zmysłem. Spojrzały na niego, a Rojerowi nie udało się w porę zamknąć oczu. Dziewczyny natychmiast przerwały ćwiczenia i podeszły.

– Proszę, nie przerywajcie – mruknął leniwie. – Nie chcę wam przeszkadzać. Lubię na was patrzeć.

Sikvah zerknęła na Amanvah, która wzruszyła ramionami. Obie powróciły do ćwiczeń.

– Ten trening nie ma nic wspólnego z postawami, których Kaval uczy Gareda i Wondę – zauważył Minstrel.

– *Sharusahk Sharum* przypomina wycie wilków do księżyca – parsknęła Amanvah. – Nawet to, co ćwiczą *dama*, można nazwać jedynie grą świerszcza. To – *dama'ting* zaprezentowała serię układów – jest prawdziwą muzyką.

Rojer skupił się na wyobrażeniu Darsy Cutter, Zielarki z Zakątka Wybawiciela. Rozbierał ją w myślach, aż jego podniecenie opadło, a potem stanął naprzeciwko Amanvah. Zaczął naśladować jej układy.

Okazały się one zaskakująco trudne, nawet dla akrobaty, który całe życie spędził na scenie. Rojer potrafił chodzić na rękach, robić salta i fikołki oraz świetnie sobie radził zarówno z tańcami dworskimi, jak i ludowymi przytupajkami, ale kolejne *sharukin* poddały ciężkiej próbie wszystkie jego mięśnie, łącznie z tymi, których istnienia nie podejrzewał. Trudniej mu było utrzymać równowagę niż wtedy, gdy stał na piłce i grał na skrzypcach.

– Świetnie sobie radzisz, mężu – zaśmiała się Sikvah.

– Nie okłamuj mnie, *jiwah*. – Rojer mrugnął, by wiedziała, że się z nią droczy. – Wiem, że fatalnie mi to wychodzi.

– Sikvah nie kłamie – stwierdziła Amanvah i skorygowała jego postawę. – Twoje ciało zachowuje się należycie, musisz tylko odnaleźć w sobie równowagę.

– Co takiego?

– Wyobraź sobie, że jesteś palmą kołyszącą się na wietrze – pouczyła Amanvah. – Kołyszysz się, pochylasz, ale nie łamiesz.

– Sęk w tym, że ja nigdy w życiu nie widziałem palmy – westchnął Rojer. – Równie dobrze mogłabyś mi powiedzieć, bym wyobraził sobie czarodziejskiego pipkina.

Twarz Amanvah pozostała całkowicie obojętna. Jej spojrzenie mówiło, że *sharusahk* nie jest niczym zabawnym. Rojer opanował więc uśmiech i pozwolił, by żona znowu poprawiła jego postawę.

– Równowaga duszy jest niewidzialną linią, która łączy ciebie, Ala i Niebiosą – rzekła Amanvah. – To więcej niż zwykły balans ciała. To najspokojniejszy azyl pośród bezmiaru ciszy, to raj, do którego trafiasz, gdy grasz, to kojąca kryjówka, w której ignorujesz ból.

Naraz złapała go za krocze.

– To także twardość, dzięki której zapładniasz żony, oraz poczucie bezpieczeństwa, dzięki któremu kołyszysz się z wiatrem.

Jej dotyk sprawił, że z ust Rojera wyrwał się jęk rozkoszy. Amanvah uśmiechnęła się. Cofnęła się o krok i dała znać Sikvah. Obie kobiety wsunęły dłonie do sakiewek przy talii i nawlokły na palce dzwonki, których używały podczas tańca miłosnego.



Mijał dzień za dniem, karawana zatrzymywała się w kolejnych laktońskich wsiach. Najpierw wyperswadowywano miejscowym lęk przed *Sharum*, a potem zapraszano na występ. Rojera dręczyło poczucie winy, że zataił przed żonami prawdziwy sens pieśni, ale potem przypomniał sobie, jak one zataiły przed nim znajomość thesańskiego, i szybko o winie zapomniał. Przecież nikogo nie zdradzał. Dzięki pieśni rozgłaszał wieści, które i tak uważano już za powszechnie znane.

Co rano Amanvah i Sikvah wtajemniczały Rojera w sekrety *sharusahk*, a Enkido z kamienną twarzą przyglądał się ćwiczeniom. Minstrel nie podchodził do nich poważnie i traktował naukę bardziej jako zabawę, ale trening przynosił mu sporo przyjemności. Zielarka opowiedziała przyjacielowi o śmiertelnie groźnym uderzeniu w nerw, które wykorzystała Inevera, oraz o łatwości, z jaką Damajah obezwładniła Leeshę i zacisnęła jej dłonie na szyi. O skomplikowanych formach tego typu ataku żony Minstrelowi jak dotąd nawet nie wspominały. Rojer robił postępy, ale na razie nie było mowy, by przejść do trudniejszych pozycji.

– Musisz nauczyć się chodzić, nim zaczniesz tańczyć – pouczyła Amanvah.

Po opuszczeniu krasjańskiej strefy wpływów karawana przemieszczała się w szybszym tempie. Raz zostali napadnięci – niewielka grupa konnych zaatakowała ich znienacka, ciskając

włóczykami i strzelając z łuków. Ich zadaniem było ściągnięcie na siebie uwagi, gdyż w tym samym czasie reszta bandytów osaczyła wóz z bagażami. *Sharum* nie dali się jednak wyprowadzić w pole. Zabili czterech napastników i ranili kilku, aż banda rzuciła się do ucieczki. Od tej chwili nikt już nie zagroził bezpieczeństwu wędrowców.

Gdy od Zakątka Wybawiciela dzielił ich zaledwie tydzień, podróżni zaczęli czuć się bezpieczniej. W mijanych wsiach Leesha coraz częściej spotykała znajome Zielarki. Z wieloma utrzymywała jedynie kontakt listowny i nigdy nie poznała ich osobiście, ale we wsi Północne Rozdroże ze łzami w oczach wyściskała starą przyjaciółkę. Rojer jednakże wyczuwał jedynie narastające napięcie. Ludzie w mijanych osadach nie bali się *Sharum* tak bardzo jak Laktończycy.

Tej nocy w karczmie „Pieśń o Nowiu” została nagrodzona uprzejmymi brawami, ale karczmarz wkrótce zawołał:

– Hej, a może byś zaśpiewał „Bitwę o Zakątek Rębaczy”?

Prośbę poparło wiele entuzjastycznych okrzyków i tupot stóp.

Rojer opanował pokusę, by zmarszczyć brwi – jako Minstrel powinien przecież doskonale panować nad emocjami. Dwa miesiące temu sprzedał pieśń za niemałe pieniądze Gildii.

Spojrzał na Amanvah.

– Proszę, zagraj, jeśli takie jest twoje życzenie, mężu – odparła na nieme pytanie Minstrela.

– Sikvah i ja wrócimy do naszego stołu. Będziemy zaszczycone, jeśli zaśpiewasz pieśń o bohaterstwie, jakie wykazało nasze nowe plemię w mroku nocy.

Powstały płynnie i odeszły. Rojer niespodziewanie zapragnął ucałować obie, ale się powstrzymał. Żony najwyraźniej coraz chętniej przyswajały sobie północne zwyczaje, ale musiał pamiętać, że dla krasjańskiej kobiety – z wyjątkiem Damajah – publiczne wystąpienie wciąż było czymś nie do pomyślenia.

„Nasze nowe plemię”.

Rojer zacisnął zęby. Czy one na pewno wiedziały, czego chcą? Na ziemiach Lenna Everama nawet nie przyszło mu do głowy, by śpiewać „Bitwę o Zakątek Drwali”, gdyż graniczyło to z bluźnierstwem.

Ale przecież opuścili tereny pod kontrolą Krasjan. Przejeżdżali przez krainę rządzoną przez księcia Lakton, otaczał ich tłum Thesan, którzy powinni się dowiedzieć, że ich kuzyni na Północy rośli w siłę, a także znaleźli własnego wybawcę, wokół którego mogli się zbierać. Rojer nie

wierzył w to, że Arlen Bales jest Wybawicielem – była to jedna z nielicznych kwestii, co do których zgadzał się z Ahmannem Jardirem – ale jeśli ci ludzie potrzebowali kogoś, kto doda im otuchy do dalszej walki, wolał im przedstawić Naznaczonego, a nie Shar'Dama Ka. Nie miał zamiaru kłamać czy ukrywać tego przed żonami przez resztę życia.

Równie dobrze mógł to ujawnić teraz.

Powoli zaczął grać. Jak zwykle, gdy pochwycił go rytm, strach i niepokój uleciały niczym dym znad ciał demonów płonących w porannym słońcu. Gdy Rojer ułożył tę pieśń, był z niej niezwykle dumny, a teraz, gdy zagrał znajome nuty, poczuł, że nic tego nie zmieni. „Bitwa” nie kryła w sobie czystej mocy, która charakteryzowała „Pieśń o Nowiu”, ale również potrafiła odpędzić otchłānce w mroku nocy i przyciągała ludzi dobrego serca. Śpiewano ją wszędzie jak okiem sięgnąć i Rojer przypuszczał, że pieśń go przeżyje i może przetrwa wieki niczym dawne sagi.

Muzyka jak zwykle sprawiła, że popadł w trans. Zapomniał o żonach, *Sharum*, *Leeshy* i ludziach w gospodzie. Zaczął śpiewać.

Pieśń była prosta i nieskomplikowana. Zależało mu na tym, by słuchający jej ludzie mogli klaskać i śpiewać wraz do taktu, ale głównie dlatego, że nie należał do najlepszych śpiewaków. Nie mógł się równać z głosami *Amanvah* i *Sikvah* czy sławnego mistrza *Arricka*. Nawet gdy *Arrick* był nietrzeźwy i zapominał tekstu, a ludzie natrzāsali się z niego i nazywali „Kwaśną Pieśnią”, wciąż dysponował możliwościami wokalnymi nieosiągalnymi dla Rojera.

Młody Minstrel został jednak wyszkolony przez mistrzów i choć nie był utalentowany wokalnie, potrafił zaśpiewać czysto i płynnie.

*Strach padł wnet na Zakątek Drwali,
Gdy zaraza trzebić zaczęła,
Zielarkę Brunę wnet pogrzebali,
Jej następczyni zaginęła.*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*W Angiers Leesha przebywała,
Gdy dotarł list pełen trwogi,
Zaraza ojca jej zabierała,
A do domu tydzień drogi.*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Samowtór ruszyła przez noc
Z Minstrelem i jego runami,
Co nad demonem miały moc,
Lecz nie bronily przed zbójcami.*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Czuli, że nie wytrwają dłużej,
Otoczeni demonami,
Lecz chwyt z runami na skórze
Wydusił potwory rękami.*

*Z męstwem Zakątką bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Zakątek do cna się spalił,
Z bariery nic nie zostało,
Wielu z tych, co domem go zwali,
Nie żyło bądź w łóżkach leżało.*

*Z męstwem Zakątką bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili,
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Zakrzyknął Człowiek Malowany
Bez strachu do ludzi z mieściny:
Wspólnie świtu doczekamy,
Jeśli teraz za broń chwycimy!*

*Z męstwem Zakątką bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Przez całą noc włócznie walczone,
Toporem, tarczą, nożem tępym,
A rannych bądź słabych znoszono
Do Leeshy w Domu Świętym.*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Bliskich swych uratowali,
Choć śmierć była blisko,
A rynek, gdzie krew przelali,
To Otchłańców Cmentarzysko.*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

*Jeśli spytasz w dobrej wierze,
Czemu otchłańce zmykają w las,
W Zakątku powiedzą ci szczerze:
Wybawiciel to każdy z nas!*

*Z męstwem Zakątka bronili,
Za broń każdy chwycił śmieie,
Wśród demonów rzeź czynili
Z Malowanym Człkiem na czele.*

– Prawdziwy Wybawiciel! – wykrzyknął ktoś w tłumie i zewsząd dobiegły okrzyki aprobaty.

Rozległ się trzask przewracanego krzesła, a gdy Rojer otworzył oczy, ujrzał Kawała, który szedł w jego kierunku, kipiąc ze złości. Gared skoczył na równe nogi i stanął wojownikowi na drodze. Ogromny Rębacz był osiem cali wyższy od Mistrza i dobre sto funtów cięższy. Złapał Kawała i wydawało się, że zdobędzie przewagę, ale wtedy Mistrz Ćwiczeń chwycił jego masywne ramię, wykręcił je i szarpnął mocno. Gared ryknął z bólu i poleciał na środek izby. Kawał nawet na niego nie spojrzał – przyspieszył wpatrzony w Rojera.

Wonda instynktownie sięgnęła po łuk, ale uzmysłowiła sobie, że zostawiła go w pokoju. Bez wahania rzuciła się na Mistrza bez broni. Wymierzyła mu serię szybkich, oszczędnych ciosów i kopniaków, rozsądnie trzymając się poza zasięgiem jego ramion. Związała Kawała walką na kilka sekund dłużej niż Gared, ale Mistrz niespodziewanie nachylił się przed jednym z jej ciosów i uderzył przeciwniczkę mocno grzbietem dłoni w gardło. Złapał dławiącą się dziewczynę za ramię, wykręcił je i pchnął ją na środek stołu, który pękł pod jej ciężarem. Wonda padła na podłogę, zasypana drzazgami i szklanymi okruchami.

Karczmarz wyciągnął pałkę. Ludzie wrzeszczeli i przepychali się, ale nikt nie był na tyle blisko, by przyjść Rojerowi z pomocą. Minstrel sięgnął do rękawa po nóż, ale sparaliżował go strach i broń spadła. Kawał był coraz bliżej.

Wtedy zjawił się Enkido. Eunuch wbił dłoń w pachę Kawała i chciał wykorzystać jego pęd do rzutu. Mistrz Ćwiczeń w porę się cofnął, dzięki czemu nie stracił równowagi. Wykrzyknął coś po krasjańsku i wyprowadził kopniaka, a po nim miażdżące uderzenie. Żaden z ciosów nie trafił – Enkido uniknął kopnięcia, a potem złapał Kawała za nadgarstek. Wolną ręką uderzył Mistrza w staw barkowy i puścił ramię, które opadło bezwładnie. Kawał uderzył drugą ręką, ale równie dobrze mógł próbować walczyć z dymem. Enkido płynnie usunął mu się z drogi i uderzył

w drugi bark przeciwnika, a potem wykonał kopnięcie z półobrotu i trafił Mistrza w wewnętrzną część kolana.

Z przerażającą łatwością eunuch znalazł się za plecami Kawała, unieruchomił jego bezwładne ramiona, a potem wbił mu twarz w podłogę. Ściągnął Mistrza aż trzeszczały, a jego twarz wykrzywił grymas straszliwego bólu, ale powstrzymał krzyk. Enkido jak zwykle był cichy jak myśl, a na jego obliczu nie malowały się żadne emocje.

– Dość – rzekła Amanvah.

Eunuch natychmiast wypuścił Mistrza Ćwiczeń, po czym zrobił krok w tył. Kawał odwrócił się ku *dama'ting* i wycodził coś po krasjańsku przez zęby. Rojer nie rozumiał słów, ale fanatyczny blask w oczach *Sharum* zdradził mu sens.

Amanvah głośno i wyraźnie odpowiedziała po thesańsku. Jej głos był zimny niczym lód.

– Jeśli od tej pory choć raz tkniesz mojego męża, Mistrzu, przesiedzisz wieczność przed bramami Niebios. To samo tyczy się reszty *Sharum*.

Kawał wytrzeszczył oczy. Dotknął czołem podłogi, ale na jego twarzy wciąż malowała się furia.

Amanvah odwróciła się do Rojera.

– A ty, mężu, już nigdy nie zagrasz tej pieśni – oznajmiła.

Tym razem Rojer nie musiał dotykać medalionu, aby odnaleźć w sobie siłę. Wystarczył mu gniew, który zapłonął w sercu. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić na to, by ktokolwiek mówił mu, co ma grać, a czego mu nie wolno.

– Akurat! Prędeż mnie Otchłań pożre, niż posłucham! Nie jestem Świętym Mężem i nie mnie mówić ludziom, w co mają wierzyć. Ja tylko snuję opowieści i tak się składa, że obie, które dziś zaśpiewałem, są prawdziwe.

Drobna żyłka na czole Amanvah zaczęła pulsować, co zwiastowało narastający gniew. Z nieporuszoną twarzą złożyła przed nim ukłon.

– A więc mój ojciec dowie się o wszystkim. Kawał, wybierz najsilniejszego i najszybszego *dal'Sharum*. Napiszę zaraz list, który wręczy Shar'Dama Ka i tylko jemu. Każ mu zabrać dwa konie i zabroń walki z *alagai*, chyba że jakiś będzie chciał go powstrzymać. Powiedz mu również, że *Sharak Ka* zależy od jego szybkości.

Kawał skinął głową i chciał wstać, by wypełnić rozkaz Amanvah, ale niespodziewanie stanęła przed nim Leesha ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nie dojedzie do Ahmanna – ostrzegła.

– Co takiego? – zdumiała się Amanvah.

– Zatruję twoich *Sharum* – wyznała Zielarka. – Podałam im silną truciznę, o wiele silniejszą od słabego antidotum, które dodaję do zupy. Od granic ziem zagarniętych przez Everama dzieli was kilka dni jazdy, a bez antidotum posłaniec nie pokona nawet połowy dystansu.

Amanvah wpatrywała się w Leeshę przez dłuższą chwilę. Rojer zastanawiał się, czy Zielarka mówi prawdę. W głębi serca szczerze w to powątpiewał. Leesha była zdolna do wielu rzeczy, ale zabijać trucizną? Nie do pomyslenia.

Amanvah zmrużyła oczy.

– Kaval, wypełnij mój rozkaz.

– Ja nie blefuję – ostrzegła Leesha.

– Nie posądzam cię o to – zgodziła się Amanvah.

– A mimo to chcesz posłać człowieka na pewną śmierć?

– To ty skazałaś go na ten los – odrzekła *dama'ting* beznamiętnie. – Robię tylko to, co należy, aby ochronić jego braci w Lennie Everama. Rzucę kośćmi i przygotuję dla niego zioła, ale jeśli rzeczywiście podałaś mu truciznę, a ja nie odgadnę lekarstwa, uda się do Nieba jako męczennik, a ty będziesz miała jego śmierć na sumieniu, gdy staniesz przed Stwórcą na końcu samotnej drogi.

– Jeśli go wyślesz, żadna z nas nie stanie przed Nim bez grzechu – odpowiedziała Leesha.

– Próba straszenia czy też karmienia tych ludzi kłamstwami i półprawdami nie ma większego sensu. Jeśli mój ojciec zdecyduje, że chce zająć te ziemie, zrobi to tak czy owak. Miejscowi mogą więc jedynie stawić mu czoła z większą odwagą i w ten sposób zyskać szansę na wejście do Nieba.

Amanvah machnęła dłonią i Mistrz Ćwiczeń odszedł. Kilku mężczyzn w izbie nosiło się z zamiarem zatrzymania go, ale Kaval odłonił zęby i wszyscy pokornie zeszli mu z drogi.

Amanvah i Sikvah zmierzyły Rojera wściekłymi spojrzeniami i pospiesznie udały się do swoich pokojów, eskortowane przez Enkido. Minstrel patrzył ze smutkiem, jak na schodach znikają mu z oczu. W istocie nie miał zamiaru przestać grać „Bitwy o Zakątek Drwali”, ale żałował, że usłyszały tę pieśń na scenie. Dobrze wiedział, jak to jest, gdy człowiek zostaje sam jak palec w połowie przedstawienia.



Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, okazało się, że Rojer i reszta ludzi z Zakątka pozostali sami po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży. Wonda i Gared nie odnieśli poważnych obrażeń – wyglądało na to, że bardziej ucierpiała ich duma – i objęli straż nad resztą. Ci zaś pograżyli się w rozmowie.

– To było przerażające – stwierdził Rojer.

– Miałeś sporo szczęścia – oznajmiła Leesha. – „Pieśń o Nowiu”, w której dyskretnie radzisz miejscowym, by uciekali przed Krasjanami, to jedno, ale śpiewanie w ich obecności o innym Wybawicielu to zupełnie inna sprawa. Równie dobrze mógłbyś zelżyć wszystko, w co wierzą.

– Powinniśmy więc udawać, że bitwa o Zakątek nigdy nie miała miejsca? – rzuciła ostro Wonda. – Że walczyliśmy o nic? Że mój ojciec po prostu umarł, a nie zginął w walce, zabierając ze sobą kilka drewniaków? Że Naznaczony nie zrobił tego, co opisuje pieśń?

– Mam już dość udawania, że czarne to białe – dodał Gared.

– Zgadzam się – przyznała Leesha. – Póki co jednak jesteśmy w drodze, a tu grożą nam niebezpieczeństwa. Niedługo znajdziemy się w Zakątku. Doradzam ostrożność.

– Nikomu nic się nie stało? – Gospodarz wniósł nową tacę z napojami. Towarzyszyli mu Gery, Mówca Północnego Rozdroża, oraz Nicholl, miejscowa Zielarka.

– Nigdy nie miałem się lepiej – stwierdził Rojer i zaprosił ich gestem, by usiedli. – Noc nie jest nocą, jeśli przynajmniej raz nie narażę się na śmierć.

Gery mrugnął ze zdziwieniem, ale wraz z Nicholl zajęli miejsca.

– Cóż tu się wyrabia, na Otchłań? Mówiliście, że ci Krasjanie podróżują z wami, ale wygląda na to, że to wy podróżujecie z nimi. Trzymają was w niewoli?

Rojer wiedział, że spodziewają się od niego odpowiedzi, ale w głowie miał zamęt i nie potrafił jej znaleźć. Leesha pokręciła głową i Minstrel poczuł ulgę, że przyjaciółka chce wybawić go z tarapatów. Uczucie to znikło, gdy usłyszał jej słowa:

– To o wiele bardziej skomplikowane, Mówco. Na szczęście to nie twoje zmartwienie. Nic nam nie grozi. Ta kobieta w bieli to córka krasjańskiego przywódcy...

Rojer zeszywniał i pochylił się lekko.

Uważaj, pomyślał.

– ...i żona Rojera. Po tym, co się dziś stało, żaden z wojowników nie ośmielił się nas skrzywdzić bez rozkazu Shar'Dama Ka, ale ten nie nadejdzie szybko. Do tego czasu będziemy już bezpieczni w Zakątku. Będziemy też lepiej przygotowani na to, co ma nadejść, niż ludzie z Północnego Rozdroża.

– A co to miało znaczyć? – spytał ostro Mówca. – Mówicie jedno, śpiewacie drugie, a pokazujecie jeszcze coś innego.

– To znaczy tylko i wyłącznie jedno: nadchodzą Krasjanie. Jeśli okażecie trochę zdrowego rozsądku i nie chwycicie za broń, nie potraktują ludzi tak brutalnie jak w Forcie Rizon, ale skutek będzie ten sam. Każdy chłopiec zostanie odebrany rodzinie i poddany szkoleniu, każdy mężczyzna stanie się obywatelem drugiej kategorii, a każda kobieta spadnie do trzeciej kategorii. Wasza wieś otrzyma nowego zarządcę i wszyscy będziecie musieli podlegać prawu Everama.

– A więc twierdzisz, że nie powinniśmy walczyć, tak? – spytał Gery. – Powinniśmy się zachować jak klacz w zagrodzie, gdy wpuszczą do niej ogiera?

– Leesha sugeruje, byście brali nogi za pas, póki to jeszcze możliwe – rzekł Erny. – Jesteście na trasie przemarszu armii. Macie wystarczająco dużo oleju w głowie, prawda? Zbierzcie wszystkie plony, spakujcie, co się da, i zjedźcie obcym z drogi.

– A dokąd niby mamy się udać? – zachnął się Gery. – Moja rodzina mieszka w Północnym Rozdrożu od niepamiętnych czasów, podobnie jak większość z nas. Mamy po prostu porzucić wieś?

– Tak, jeśli życie jest dla was ważniejsze od ziemi – odparła Leesha. – Jeśli chcecie trzymać się księcia, udajcie się do Lakton, nie wiadomo tylko, czy was wpuszczą. Kilka miesięcy temu wysłałam tam list z ostrzeżeniem. Miasto na jeziorze powinno przez jakiś czas być bezpieczne.

– Widziałem to jezioro tylko raz i przeraziło mnie jak Otchłań – rzekł Gery. – Nie wiem, czy ktoś z nas potrafiłby żyć w miejscu, gdzie jest tyle wody!

– A więc jedźcie do Zakątka – doradziła Leesha. – Nie mamy tak wielkich terenów, ale nasz zasięg się powiększa. Nie odsyłamy nikogo, a uchodźcy, którzy do nas dołączają, nadal żyją we własnym gronie i mają swoich przywódców. Przydzielamy im dobre ziemie, otoczone mocną barierą, wręczamy runiczną broń i uczymy, jak z niej korzystać. Niebawem Zakątek stanie się najbezpieczniejszym miejscem na świecie zaraz po fortecy księcia Euchora w Miln.

– Cokolwiek zrobimy, każdy zdrowy mężczyzna zostanie wcielony do armii i będzie walczył w bezsensownej wojnie! – Gery splunął na podłogę.

– Co robisz? – wykrzyknął karczmarz.

– Przepraszam, Sim – burknął Gery. – Przykro mi to mówić, pani Leesho, ale jesteśmy prostymi ludźmi i nie pragniemy zostać pogromcami demonów tak jak wy w Zakątku.

– Może prościej byłoby porwać tę krasjańską księżniczkę – dodał Sim. – Powiemy im, że puścimy ją wolno, jeśli oszczędzą naszą wieś. Te łotry w czarnych szatach to twarde sztuki, ale nas jest więcej.

– To idiotyczny pomysł – wtrącił Rojer.

– On ma rację – poparła przyjaciela Leesha. – Wystarczy tknąć ją palcem, a Krasjanie wymordują was do nogi i spalą wieś. Karą za skrzywdzenie *dama'ting* jest śmierć.

– Najpierw musieliby nas złapać.

W dłoni Rojera błysnął nóż. Minstrel złapał Sima za kołnierz, przycisnął jego twarz do stołu i przystawił mu ostrze do szyi. Z naciętej skóry popłynęła strużka krwi.

– Rojer! – krzyknęła Leesha, ale Minstrel ją zignorował.

– Ty lepiej nie próbuj rozwiązać problemu z Krasjanami, co, Sim? – warknął. – Zapomnisz o tym pomysle, karczmarzu, bo ta pani w bieli to moja żona, do cholery!

Sim z trudem przełknął ślinę.

– To tylko takie gadanie, panie Bezpalczy. Przecież to nie na serio...

Rojer warknął, ale wypuścił karczmarza, a potem schował nóż. Gery pomógł Simowi się podnieść.

– Idź wypucuj bar i od tej pory trzymaj już język za zębami – nakazał.

Karczmarz pokiwał prędko głową i uciekł, a Gery zwrócił się do Rojera:

– Przepraszam za to zajście, panie Bezpalczy. Każda wioska ma swoich głupków.

– W porządku. – Rojer nadal aż kipiał z wściekłości, ale wieloletni trening aktorski pomógł mu ukryć emocje. Usiadł.

– Nikt was nie zmusza, byście poszli tu czy tam – Leesha zwróciła się do Mówcy. – Jeśli zostaniecie tutaj, czeka was burza, na którą nie jesteście przygotowani. Widziałeś, do czego jest zdolny jeden wściekły *Sharum*. Wyobraź sobie dziesięć tysięcy takich wojowników, a wraz z nimi czterdzieści tysięcy rizońskich niewolników.

Gery pobałdł i pokiwał głową.

– Zastanowię się. A wy możecie spać spokojnie. Nikt nie będzie już zakłócać wam spokoju aż do waszego wyjazdu.

Powiedziawszy to, odsunął krzesło, podał Nicholl rękę i oboje wyszli z karczmy.

– Czekają go dziś w nocy koszmary – zauważyła Elona.

– A niby dlaczego ma być szczęśliwszy od nas? – spytała Leesha.

Wtedy do karczmy wpadł młody *Sharum* uzbrojony w tarczę i włócznię. Za nim wszedł Kaval. Obaj mężczyźni udali się do komnat Amanvah. Młody wojownik zbiegł po chwili i wypadł z gospody jak strzała.

– Nie potrułaś *Sharum*, prawda? – spytał Rojer.

Leesha spojrzała mu w oczy, a potem wzięła głęboki oddech i ruszyła do swojego pokoju. Wonda nie odstępowała jej na krok.

Rojer westchnął, ujął kufel z piwem i opróżnił go trzema łykami. Strużki zimnego napoju spływały mu po podbródku.

– Pora, bym wypił jeszcze jedno piwo. To, którego sobie nawarzyłem.

Erny spojrzał na niego z naganą. Tym samym wzrokiem często mierzył Leeszę, gdy ta się zagalopowała.

– Jesteś wspaniałym skrzypkiem, Rojer, ale roli męża jeszcze nie opanowałeś.



Gared odprowadził Rojera do pokoju. Spodziewali się, że przed drzwiami zastaną Enkido, ale eunucha nie było widać. Oznaczało to, że znajduje się w środku. Nie było to pokrzepiające odkrycie.

– Mam wejść z tobą? – spytał Gared.

Rojer pokręcił głową.

– Nie, nie trzeba. Wystarczy, jeśli poczekaś przy drzwiach i będziesz miał oko na wszystkich głupków, którzy wezmą słowa Sima do serca i postanowią uprowadzić Amanvah. Dam sobie radę.

Gared skinął głową.

– Będę czekać na korytarzu, ale ostrzegam, że gdy tylko usłyszę jakiś łomot, wpadnę do środka.

Rojer wspomniał drzwi rozbijane przez skalnego demona wdzierającego się do karczmy jego ojca piętnaście lat temu. Gared niewątpliwie rozwaliby ciężkie drewniane skrzydło równie łatwo.

Komentarz do słów Rębacza pozostawił jednak dla siebie. Obaj pamiętali, że Kaval rozłożył Gareda jak dziecko, a Enkido równie łatwo pokonał Kavalą. Zwalisty Rębacz potrafił być irytujący, ale Rojer nie chciał, by zginął w bezsensownej, niemożliwej do wygrania walce. Poprzysiągł w głębi serca, że jeśli walka okaże się konieczna, podda się, by tego uniknąć.

W środku natychmiast dostrzegł Enkido w rogu pomieszczenia, ze skrzyżowanymi ramionami. Jak zwykle eunuch zdawał się w ogóle nie dostrzegać Minstrela.

Amanvah i Sikvah przebrały się już w kolorowe jedwabie, co Rojer poczytał za dobry znak. Obie żony zmierzyły go jednak nieprzyjawnymi spojrzeniami.

– Ty i Leesha działacie na naszą szkodę – powiedziała Amanvah.

– A niby jak? – zdziwił się Rojer. – Przecież twój ojciec wie, że nie złożyliśmy mu hołdu. Zaproponował nam układ, który musimy rozważyć. Nie składałem przysięgi, że będę służył jego interesom.

– Istnieje pewna różnica między niesłużeniem jego interesom a sabotowaniem ich, mężu – rzekła Amanvah. – Mój ojciec nie wie, że rozpowiadasz historie o fałszywym Wybawicielu, a Leesha otruła jego wojowników.

– Twój ojciec wie wszystko o Naznaczonym i jego związkach z Zakątkiem. Opowiedzieliśmy mu o tym podczas pierwszej wizyty. – Rojer zmrużył oczy. – A poza tym nie sądzę, byś akurat ty miała prawo do wypowiedzania się na temat trucizn – dodał.

Twarz Amanvah pozostała perfekcyjnie obojętna, ale żona odezwała się dopiero po chwili, co znaczyło, że słowa trafiły w czuły punkt.

– Ale mówisz ludziom, by uciekali przed nami, choć nie planujemy inwazji – powiedziała. – Każesz im pakować dobytek i umykać do miasta oazy lub do Zakątka, gdzie wzmocnią wasze plemię.

Rojer poczuł, że znów narasta w nim złość.

– A skąd to niby wiesz? Szpiegujesz mnie?

– Dowiedziałam się tego od *alagai hora*, synu Jessuma.

– Na Stwórcę, mam już serdecznie dosyć tych twoich enigmatycznych odpowiedzi i tych przeklętych kości! – warknął Minstrel. – Te *hora* są dla ciebie ważniejsze od ludzkiego życia!

Amanvah nie odpowiedziała od razu.

– Być może po tym, jak dotrzemy do Zakątka, nie uda mi się powstrzymać cię przed kolejnymi bluźnierstwami, mężu, ale póki co nie życzę sobie żadnych postojów we wsiach przez resztę drogi. Gdy znajdziemy się na miejscu, gwarantuję, że ani ja, ani Sikvah nigdy nie zaśpiewamy tej twojej pieśni dla niewiernych ani też nie będziemy jej słuchać.

Rojer wzruszył ramionami.

– Nigdy was o to nie prosiłem. Jednak uczestniczyłem w bitwie o Zakątek Rębaczy, żono. Przeżyłem ją i wiem, że każde słowo tej pieśni to prawda. Nie będę udawał, że bitwa się nie odbyła, tylko dlatego, że przeszkadza to w planach twojego ojca. Jeśli to on jest Wybawicielem, moje pieśni okażą się bez znaczenia. A jeśli nie jest...

– Jest! – syknęła Amanvah.

Minstrel uśmiechnął się i ponownie wzruszył ramionami.

– A więc nie masz się czym przejmować, prawda?

– Mój ojciec został wybrany przez Everama – rzekła Amanvah. – Niemniej Nie jest nadal silna. Ahmann Jardir nadal może ponieść porażkę, jeśli jego podwładni okażą słabą wolę.

– To nie jego lud – stwierdził z lekceważeniem Rojer. – Przynajmniej na razie. Jeśli chce, by to się zmieniło, musi sam się o to zatroszczyć. Będę walczył przeciwko demonom, gdy nadejdzie *Sharak Ka*. Czyich rozkazów będę słuchał, to się jeszcze okaże.

– Można o tobie powiedzieć wiele, synu Jessuma – parsknęła Amanvah – ale na pewno nie można cię nazwać wojownikiem.

Był to niespodziewany cios w jego dumę i Rojer uświadomił sobie, że traci panowanie nad sobą. Zerwał się tak gwałtownie, że *dama'ting* drgnęła. Jego twarz wykrzywił gniew.

– Jako twój mąż rozkazuję ci, byś poszła za mną – oznajmił ponuro, złapał skrzypce oraz smyczek i odwrócił się do drzwi.

Enkido stanął mu na drodze.

Rojer podszedł do niego i przekrzywił nieco głowę, by spojrzeć w martwe oczy eunucha.

– Żono, weź stąd swojego wałacha. Chcę przejść.

W oczach Enkido pojawił się błysk, jakby wojownik zrozumiał jego słowa.

– Na moje rude kędziory, to ci dopiero! Nie władasz naszą mową, co, wielki byku z oberżniętymi jajcami? Przecież rozumiesz każde słowo. Zabij mnie więc lub zejdz mi z drogi.

Po raz pierwszy eunuch zdradził jakiejkolwiek emocje – była to sycząca wściekłość, równie potężna jak furia Kawała, gdy atakował Rojera. Minstrel jednakże, rozjuszony jak mało kiedy, bez lęku spoglądał mu prosto w oczy.

– Enkido, ustąp – rozkazała Amanvah. Eunuch wyglądał na zaskoczonego, ale natychmiast spełnił polecenie. Rojer otworzył drzwi z rozmachem. Wystraszony Gared aż podskoczył.

Żony ruszyły za Minstrelem po schodach.

– Co ty wyczyniasz? – zawołała Amanvah, ale Rojer nie miał ochoty odpowiadać.

Główna izba była niemalże pusta, jedynie przy barze nadal siedziało kilku miejscowych. Spojrzeli na Minstrela ze zdziwieniem i wytrzeszczyli oczy na widok krasjańskich kobiet w kolorowych jedwabnych szatach.

– Mężu! – krzyknęła Sikvah. – Nie jesteśmy odpowiednio ubrane!

Rojer bez słowa podszedł do drzwi i zdjął mocującą je zasuwę.

– Cóż ty wyczyniasz, na Otchłań! – wykrzyknął Sim, lecz Rojer bez wahania wyszedł przed budynek.

Podobnie jak w większości thesańskich wsi i miasteczek, karczma znajdowała się na skraju wyłożonego kamieniami ryneczku. Wiele kamieniczek połączonych było chronionym runami chodnikiem, dzięki któremu ludzie po zmroku mogli gromadzić się w karczmie, ale sam rynek był zbyt duży, by go należycie zabezpieczyć barierą. Dzięki końskim łbom demony nie mogły się tu materializować, ale teren pozostawał pod stałą obserwacją wichrowych demonów, które atakowały wszystko, co się poruszało. Inne otchłańce czasami docierały tu drogą spoza wsi.

Na werandzie stał Kaval i dwóch wojowników. Cała trójka miała na sobie pancerze i była uzbrojona po zęby.

– Z drogi! – Rojer bezceremonialnie przepchnął się między nimi, jakby spodziewał się, że *Sharum* okażą mu posłuszeństwo. Ci w istocie cofnęli się, a Minstrel bez przeszkód wkroczył na plac. Zauważył dwa małe drzewne demony, które myszkowały wzdłuż przeciwległej krawędzi rynku i sprawdzały wytrzymałość bariery. Zamarły, słysząc ludzkie głosy. Przez moment przypominały jedynie parę poskręcanych, krępych drzew.

Rojer usłyszał, jak wojownicy wciągają ze zdumieniem powietrze na widok jego niekompletnie ubranych żon, i uśmiechnął się, gdy odwrócili spojrzenia. Amanvah i Sikvah były spokrewnione z Wybawicielem, a do tego zameżne. Jedno pożądlive spojrzenie i mężczyźnie groziło wyłupanie oczu.

Minstrel nie miał na sobie runicznego płaszcza, przez co oba demony go dostrzegły. Powoli zaczęły skradać się w jego kierunku. Rojer zignorował je, nie uniósł nawet skrzypiec. Wysoko w nocnym powietrzu rozległ się krzyk wichrowego stwora.

Amanvah i Sikvah zatrzymały się przy balustradzie na werandzie.

– Dość tych głupich popisów! – warknęła Amanvah. – Wracaj natychmiast!

Rojer pokręcił głową.

– To nie ty wydajesz tu polecenia, *jiwah!* Chodźcie do mnie.

– Evejah zakazuje kobietom chodzić pod nocnym niebem! – sprzeciwiła się Amanvah.

– Ponadto nie możemy pozwolić na to, by inni mężczyźni oglądali nasze ciała! Damajah skazywała za to kobiety na śmierć przez ukamienowanie! – wykrzyknęła Sikvah.

Minstrel dostrzegł, że Sikvah garbi się, próbując zasłonić swe wdzięki.

Demony podchodziły coraz bliżej. Napinały mięśnie gotowe do skoku. Rojer bez strachu odwrócił się do nich i ujął smyczek okaleczoną dłonią.

Każdy otchłaniec był istotą targaną prymitywnymi żądzami, dlatego ten, kto chciał nimi zawładnąć, musiał nauczyć się wykorzystywać ich emocje. Cała uwaga obu stworów skupiona była na Minstrelu. Rojer wykorzystał to i jeszcze bardziej przyciągnął ich uwagę muzyką.

„Oto jestem!” – oznajmił swą grą. „Skupcie się na mnie!”

Naraz przestał grać i zrobił dwa kroki w bok. Potwory potrząsnęły łbami, zdumione tym, że Minstrel niespodziewanie zniknął, wtedy Rojer zaczął grać raz jeszcze, potęgując ich oszołomienie.

„Gdzież on się udał? Nigdzie go nie widzę!” – przekazał demonom, które zaczęły rozglądać się gorączkowo. Ich frustracja narastała, ale nie widziały grajka, nawet gdy ich spojrzenia przesuwwały się po nim. Rojer kroczył ostrożnie wokół potworów, ale zachowywał swobodę ruchów typową dla Minstrela.

– Z tego, co wiem, Evejah nakazuje żonom posłuszeństwo wobec mężów, ale wpływy waszej księgi nie sięgają tam, dokąd jedziemy – odezwał się do żon. – Znalazłyście się w zielonych krainach, a Minstrelki noszą tu kolorowe szaty. Inevera musiałyby ukamienować każdą kobietę poza granicami Lenna Everama.

Na werandzie gospody zgromadził się już niewielki tłum. Zjawił się Gared z bronią w gotowości, a zaraz po nim Leesha i Wonda z runicznym łukiem. Dołączyło też kilku

miejscowych oraz trzech *Sharum*. Kobiety zawahały się, ale Amanvah w końcu parsknęła, wyprostowała się z dumą i ruszyła do Rojera. Sikvah podążyła za nią.

– *Dama'ting*, nie! – krzyknął Kaval.

– Cisza! – warknęła Amanvah. – Gdyby nie twój brak rozwagi, nigdy byśmy się nie znaleźli w tej sytuacji!

Gared i pozostali wojownicy wyszli na rynek w ślad za kobietami. Dołączył do nich Enkido, uzbrojony we włócznię i tarczę.

– Wracaj na werandę, Gar! – wykrzyknął Rojer. – Pozostali również! Tej nocy nie będziemy potrzebować włóczy!

Sharum zignorowali jego wołanie, ale wtedy Amanvah machnęła niecierpliwie ręką. Cofnęli się, choć wydawało się, że gotowi są zignorować rozkaz i wskoczyć na plac.

Drzewne demony zauważyły kobiety, ale sprawdziły wytrzymałość bariery runicznej dookoła rynku i pamiętały, że obie są poza ich zasięgiem. Rojer wiedział o tym i muzyką utwierdził w nich to przeświadczenie. Przechylił nieco głowę i uniósł podbródek, odsłaniając magiczne symbole. Chciał, by muzyka popłynęła prosto do otchłańców.

„Te kobiety są chronione runami” – przekazał demonom, choć Amanvah i Sikvah szły już przez rynek. „Nie da się ich pożreć. Jeśli spróbujecie, znów będzie światło i ból. Trzeba znaleźć inną ofiarę”.

Demony posłuchały. Gdy Amanvah i Sikvah podeszły, Rojer zagrał pierwsze takty „Pieśni o Nowiu”. Głosy obu Krasjank natychmiast dołączyły do melodii, wielokrotnie wzmacniając jej potęgę. Rojer dysponował teraz taką mocą, że mógł dzięki muzyce bez trudu uczynić całą trójkę niewidzialną. Demony wyczuwały zapach, słyszały ludzi, a nawet dostrzegały ich kątem oka, ale nie potrafiły tego wykorzystać i miały się bezsilnie.

Zapewniwszy bezpieczeństwo sobie i żonom, Rojer wzbogacił melodię o kolejną wariację, a Sikvah i Amanvah natychmiast podchwyciły ton. Muzyka popłynęła w mrok nocy, a Rojer odsłonił kolejne runy. Jego żony dotknęły szyi i uaktywniły naszyjniki, przez co ich śpiew stał się równie potężny jak gra skrzypiec.

Pieśń niosła się daleko. Mieszkańcy Północnego Rozdroża stawali w oknach i wychodzili na ganki. Pojawiły się latarnie, których blask odbijał się matowo od kocich łbów. Oszołomieni ludzie przyglądali się w milczeniu, jak działała magia „Pieśni o Nowiu”, która wkrótce zaczęła ściągać wszystkie otchłańce z okolicy.

Nadchodziły powoli, ale zaraz na rynku kręcił się już tuzin przybyszów z Otchłani. Pięć drzewnych węszyło, szukając niewidzialnych ofiar. Dwa ogniste demony wrzeszczały i bluzgały strumieniami pomarańczowych płomieni, biegnąc z jednego rogu rynku w drugi. One również nie były w stanie zlokalizować źródła muzyki, ale nie potrafiły oprzeć się jej magii. W górze krążyły trzy wichrowe demony, a ich ochryple wrzaski niosły się echem po zaułkach. Dwa polne stwory przyczały się przy ziemi, szorując brzuchami o kocie łby. Pojawił się nawet kamienny demon – mniejszy kuzyn skalnych, choć wciąż potężniejszy od Gareda, liczącego sobie siedem stóp wzrostu. Stał nieruchomo, jak sugerowało jego miano, ale Minstrel wiedział, że stwór wyteża zmysły w poszukiwaniu ludzi. Gdyby pozwolili mu się ujrzeć, natychmiast rzuciłby się do ataku.

Leesha opisała mi moc demonów umysłu oraz wibracje, którymi rozpędzały jej myśli i zmuszały do wykonywania ich poleceń. Niewykluczone, że muzyka wywołuje podobny efekt, myślał Rojer. Być może muzykę stworzono właśnie po to, by odzwierciedlić moc demonów umysłu. Może dlatego niektóre melodie budzą te same emocje u wszystkich słuchaczy.

Taką moc miała „Pieśń o Nowiu”. Gdy Amanvah i Sikvah zaśpiewały ją po raz pierwszy, Rojer natychmiast ją wyczuł. Wiedział, że ta pieśń działa podobnie jak jego talent, ale nie wykorzystywano jej od tysięcy lat, przez co przygasła i utraciła moc.

Teraz Rojer przywrócił pieśń do życia i słyszące ją demony stawały się całkowicie zależne od jego woli. Gdyby Minstrel sobie tego zażyczył, Gared bądź któryś z *Sharum* mógłby wejść na rynek i zaatakować. Cios wyrwałby demona z transu i zmusił do reakcji na zagrożenie, ale jedno uderzenie włóczni Krasjanina czy topora Gareda najczęściej wystarczało, by zabić lub choćby okaleczyć stwora.

Niemniej Rojer nie przesadzał, gdy mówił, że tej nocy włócznie nie będą potrzebne.

Grał teraz pierwszą zwrotkę „Pieśni o Nowiu”. Amanvah i Skivah wysławiały Everama i wspólnie z mężem tkwały czar, który wielokrotnie wspólnie ćwiczyli w wozie. Nim nastąpił refren, demony całkiem zapomniały o polowaniu i tańczyły w kręgu do muzyki niczym wieśniacy celebrujący letnie przesilenie.

Trio płynnie przeszło do kolejnej zwrotki, a wtedy Rojer zaczął grać następny przećwiczony pasaż. Muzyk kroczył swobodnie po placu, a kobiety nie odstępowały go na krok. Demony podążały za nimi niczym kaczątka schodzące za matką do wody.

Minstrel utrzymał ten ton przez całą zwrotkę i refren, a potem ostrzegł żony przed gwałtowną zmianą rytmu. Pod koniec zwrotki, gdy demony znalazły się w idealnym położeniu, we trójkę odwrócili się do nich i niespodziewanie zaatakowali je serią przeraźliwych dźwięków. Potwory zawyły z bólu i zaczęły miotać się po rynku niczym psy smagane biczem.



Znalazły się na skraju jego zasięgu, kiedy Rojer przeszedł do kolejnej zwrotki. Otchłańce zamarzy jak myśliwi, którzy pragną pozostać niezauważeni, by nie spłoszyć zdobyczy. Minstrel potęgował napięcie w muzyce, aż potwory nie mogły już dłużej tego znieść i znów zaczęły się miotać po placu, warcząc i rozpaczliwie usiłując odnaleźć źródło muzyki. Za wszelką cenę chciały położyć kres torturze.

Rojer jednakże nadal nimi sterował, przekazując fałszywe wskazówki. Wskazał melodią stary słup ogłoszeniowy tuż przy barierze.

„Tam stoję! Atakujcie!”

Potwory natychmiast wrzasnęły i rzuciły się do natarcia. Jako pierwsze przypadły do słupa polne demony i wryły na nim głębokie bruzdy pazurami. Z nieba zanurkował ich wichrowy kuzyn i zderzył się z którymś z polnych. Oba otchłańce przetoczyły się po kocich łbach, gryząc się i szarpiąc pazurami. Bryzgnęła czarna jucha i skrzydlaty demon z trudem wzbil się w powietrze. Skórzaste skrzydła miał poranione w kilku miejscach. Ogniste demony rzygnęły płomieniami i słup stanął w ogniu.

Rojer oplótł muzyką kamiennego demona. Polne otchłańce również go obkoczyły, ale ten złapał jednego za łeb i roztrzaskał mu czaszkę o nawierzchnię. Innego pochwycił za ogon i zakręcił w powietrzu jak biczem. Z nieba spadł kolejny demon wichrowy, ale skręcił ostro, gdy kamienny zamachnął się polnym. Wolny od zagrożenia, kamienny otchłaniec cisnął polnym w kierunku którejś z kamienic. Potwór zderzył się z barierą i osunął na ziemię wśród eksplozji iskier. Zastygł, dymiąc. Jakiś ognisty demon opluł stopy kamiennego ogniem. Nogi stanęły w ogniu, ale kamienny stwór zdążył wymierzyć ognistemu potężnego kopniaka, którym posłał napastnika przez rynek. Wkrótce płomienie przygasły, a kamienny demon nadal wydawał się nietknięty.

Rojer pozwolił sobie na uśmiech. Właśnie przekonał się, że jego sztukę jednak można przekazać innym. Wykorzystane przez niego „czary” były tak naprawdę melodiami, które ćwiczył i spisywał. Inni muzycy może nie uzyskają takiej mocy i harmonii jak trio Minstrela i żon, ale z pewnością mogli się nauczyć, jak przyzywać demony, jak je odpędzać, jak się przed nimi ukrywać i jak wywoływać w nich szal.

Była to jednakże dopiero część mocy, którą Rojer czuł, mając dwie wspaniałe śpiewaczki u boku. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć ani opisać subtelnej harmonii, jaka między nimi

panowała. Należało ją poczuć, żeby zrozumieć. Harmonia zmieniała się w zależności nie tylko od gatunków demonów, ale innych czynników, takich jak budynki dookoła czy atmosfera miejsca.

Rojer wiedział, że tej sztuki nikogo nie nauczy. Spojrzał na swe *jiwah*. W ich szeroko otwartych oczach odbił się podziw przemieszany z lękiem. Nawet Amanvah straciła panowanie nad sobą, charakterystyczny dla *dama'ting* spokój prysł. Obie potrafiły nadażyć za mężem, ale nie potrafiły niczego ulepszyć.

To nie wszystko, moje ukochane, pomyślał Rojer i odwrócił się, by jeszcze raz przyjrzeć się demonom. W jego muzyce pojawiła się drapieżna nuta, rozpędzał teraz otchłańce i grupował je wedle gatunku. „Pieśń o Nowiu” dobiegła końca, Rojer powtarzał ostatni refren, wygrywając go coraz głośniej i potężniej, wprowadzając zmiany tak szybko, że Amanvah i Sikvah ledwie dotrzymywały tempa. Demony cofały się, zbijały w grupki, syczały, drapały szponami powietrze, przerażone potęgą wibrującą dokoła, ale żaden z nich nie zdobył się na to, by się od niej odwrócić i rzucić do ucieczki.

I wtedy Rojer przystąpił do ataku. Muzyka przeistoczyła się w serię ostrych, nieskoordynowanych dźwięków, które zadawały potworom straszliwe rany. Otchłańce wrzeszczały, niektóre padły na kocie łby i drapały pazurami głowy, jakby chciały w ten sposób uwolnić się od dźwięków pustoszących ich umysły. Nawet wichrowe demony wrzeszczały z bólu wysoko nad dachami, ale muzyka ich nie puszczała. Nie mogły uciec i krążyły bez końca nad rynkiem, cierpiąc niewyobrażalne katusze.

Rojer uniósł głowę i raz jeszcze zmienił ton, aby przywołać skrzydlate otchłańce z nieba.

„Źródło waszego bólu znajduje się tu, na ziemi! Atakujcie i uciszcie je na zawsze!”

Wichrowe demony zanurkowały z przerażającą szybkością, ale Rojer wraz z żonami stał oczywiście kilkanaście stóp dalej. Jeden po drugim otchłańce roztrzaskiwały się o bruk, a ich puste kości pękały przy uderzeniu. Rynek pokryły ciała.

Minstrel odwrócił się wówczas ku wyjącom drzewnym demonom, kołyszącym się niczym topole targane wściekłym wiatrem. Przypomnieli mu się Minstrele w Angiers, którzy udawali, że połykają ogień, a potem wypluwali strugi płomieni. Było to możliwe dzięki alkoholowi nabranemu w usta i umiejętnie podstawionej zapalce. Pozostali Minstrele uważali to za „niską” sztukę, niebezpieczny popis, mający na celu ukrycie braku talentu. Cyrkowcy wykonujący ten numer często ulegali poparzeniom, a w Leśnej Fortecy połykanie ognia było wbrew prawu. Zezwalano na pokaz jedynie w ramach rozgrzewki przed występem bardziej znanego artysty.

Mój występ otworzą więc ogniste demony, pomyślał Rojer i zmusił je, by obryzgały ogniem drzewnych kuzynów.

Te stanęły w płomieniach. W przeciwieństwie do kamiennego demona nie były odporne na działanie ognia. Wrzeszczały, tłukły się dziko, odkopywały napastników, rozdeptywały ich i miażdżyły, ale było już za późno. Czarny dym unoszący się znad ich ciał zbił się w ciemną chmurę, a spalone potwory waliły się na ziemię jak prawdziwe drzewa.

Na rynku pozostał jedynie kamienny otchłaniec, liczący sobie osiem stóp wzrostu potwór złożony z mięśni, pokryty niezniszczalnym pancerzem przypominającym rzeczne otoczaki. Stał nieruchomo niczym posąg, ale Rojer wiedział, że rozpaczliwie poszukuje źródła muzyki i z trudem panuje nad przepelniającą go furią. Minstrel uśmiechnął się drapieźnie.

Tercet zaczął krążyć wokół otchłańca. Nadal wykonywali refren, ale też odsłaniali coraz więcej runów, przez co melodia stawała się coraz głośniejsza i potężniejsza. Spomiędzy warg demona wyrwał się dziki ryk. Zakrył łeb szponiastymi łapami i rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale Rojer oraz Krasjanki zataczali coraz ciasniejsze kręgi, przez co otchłaniec odniósł wrażenie, że ból nadchodzi ze wszystkich stron. Zachwiał się, padł na kolano i zawył. Jego ryk był równie piękny jak muzyka.

Ludzie przyglądający się starciu zakrywali uszy. Rojerowi dudniło w skroniach, a jego uszy rozdzierał ból, ale odepchnął go i całkiem uniósł podbródek.

Kamienny demon rzucił się raz jeszcze. Trzask, jakby pod naporem wiatru pękł stary pień, przeciął powietrze. Po pancerzu otchłańca rozbiegły się rysy, a potem potwór osunął się martwy na ziemię.

Rojer natychmiast przerwał grę, a jego żony zamilkły. Wokół rynku nikt się nie poruszył.

Minstrel wziął głęboki oddech, napawając się ciszą przed burzą.



XV

Matka i córka

333 ROK PLAGI, LATO
16 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Zamknij buzię, moja droga – powiedziała Elona do Leeshy. – Wyglądasz jak wioskowy półgłówek.

Leesha odwróciła się, chcąc zaripostować, ale uświadomiła sobie, że w istocie stoi z szeroko rozdziawionymi ustami. Zamknęła je czym prędzej, aż zęby zadzwoniły. Wtedy rozległy się ogłuszające wiwaty. Mieszkańcy Północnego Rozdroża, zgromadzeni wokół rynku, krzyczeli, bili brawo i tupali. Jeden z *Sharum* wył z zachwytu i nawet Kaval wyglądał, jakby zapomniał o urazie.

Nie było się czemu dziwić. *Sharum* szanowali w człowieku jedynie umiejętność zabijania demonów, a Rojer właśnie urządził pokaz nieprawdopodobnej potęgi – bez broni zabił horde otchłańców! Nawet Shar'Dama Ka nie umiałby dokonać takiej sztuki. Wpatrywali się w chłopaka z tym samym oszołomieniem co miejscowi. Gared też patrzył na Minstrela z wielkim podziwem, wcześniej zastrzeżonym jedynie dla Arlena.

Leesha jednak pamiętała, że tym razem Rojer miał pomocników. Widywała już, jak Minstrel zaklina demony muzyką skrzypiec, ale nigdy dotąd nie grał tak głośno, aż deski podłóg

drżały. Zielarka założyłaby się o każde bogactwa, że chłopak w jakiś sposób wykorzystywał magię *hora*.

Amanvah miała dopiero siedemnaście lat i łatwo było ją wziąć za zwykłą młodą dziewczynę. Leesha utarła jej już kiedyś nosa, ale Amanvah nosiła białe szaty *dama'ting* i знаła sekrety magii kryjącej się w kościach demonów. Zielarka widywała już, jak Inevera dokonywała za pomocą *hora* nieprawdopodobnych rzeczy. Nie było wątpliwości, że jej córka zrobiła coś ze skrzypcami Rojera. Złote naszyjniki noszone przez obie śpiewaczki również zapewne zostały wykorzystane, by zwiększyć moc muzyki.

Leesha wiedziała, że kości demonów aktywują runy i potęgują ich działanie. Sama zaczęła już eksperymentować, ale była dopiero nowicjuską, podczas gdy Krasjanki miały w tej materii wielowiekowe doświadczenie.

Tłum nadal wiwatował, gdy Leesha zeszła z ganku do trójki wykonawców. Rojer kłaniał się niczym mistrz po przedstawieniu i gestem dawał znak żonom, by robiły to samo. Sikvah pochyliła się jeszcze niżej od męża, jak nakazywał obyczaj, choć z powodu prześwitującej jedwabnej szaty do snu jej ukłon wywołał wiele nieprzyzwoitych myśli. Amanvah nie miała zamiaru kłaniać się gorszym od siebie i ograniczyła się do kilku skinieć głową. Przypominała przy tym księżną matkę pozdrawiającą wdzięczące się damy.

Rojer uśmiechnął się szeroko do podchodzącej Zielarki, a ta objęła go i uściskała serdecznie, ignorując syk Amanvah.

– Rojer, to było nieprawdopodobne. Wspaniałe!

Minstrel uśmiechał się od ucha do ucha jak małe dziecko.

– Bez Amanvah i Sikvah nigdy bym tego nie dokonał.

– W istocie. – Leesha skinęła obu kobietom. – Śpiewałyście niczym serafini Stwórcy.

Krasjanki otworzyły szeroko oczy, słysząc komplement, ale Zielarka znów skupiła uwagę na Minstrelu.

– Czy Amanvah wzmocniła skrzypce runami?

Rojer pokiwał głową.

– Tylko podbródek. Dzięki runom mogę rozwalić stodołę muzyką. A gdy gram, czuję się...

– ...pełen energii? – dokończyła Leesha. – Po takim koncercie powinieneś być częściowo głuchy!

Minstrel wetknął palec do ucha i potrząsnął głową.

– Nie, nawet mi nie brzęczy.

– Mogę obejrzeć ten podbródek? – spytała Leesha od niechcienia.

Rojer odpiął element i podał go Zielarce bez zastanowienia. Amanvah chciała go zatrzymać, ale nie zdążyła. Leesha złapała podbródek i pospiesznie cofnęła się o krok. Odpięła jedną z kieszeni fartucha i wyciągnęła parę oprawionych na złoto okularów, które wykonał dla niej Arlen.

Soczewki nie poprawiały wzroku, ale dzięki runom wrytym w szkłe i na oprawkach była w stanie dostrzec przepływ magii. Podbródek aż emanował mocą, a runy lśniły, jakby wyrzeźbiono je w błyskawicy. Natychmiast rozpoznała prawie wszystkie – runy ściągające, łączące, wzmacniające oraz... Leesha przyjrzała się uważniej, ale nie było wątpliwości. Dostrzegła również runy rezonujące.

– Moc tego przedmiotu nie ogranicza się do wzmacniania dźwięku, Rojer – rzekła. – Oto runy rezonansu.

– Co to znaczy? – nie zrozumiał Minstrel.

– To znaczy, że wszystko, co powiesz w pobliżu tego instrumentu, zostanie usłyszane gdzieś indziej. – Leesha spojrzała na Amanvah. Kilka spośród jej kolczyków skrzyło od magii. – Potrzeba tylko jakiegoś przedmiotu, który odbierze dźwięk. Może kolczyka?

Amanvah utrzymała stoicki spokój, ale nie zdobyła się na żadną odpowiedź, co wskazywało na wielkie wzburzenie. Rojer spojrzał na żonę i radość znikła z jego twarzy.

– A więc to stąd wiesz, o czym rozmawialiśmy w głównej izbie! – wykrzyknął urażony.

– Spiskowaliście przeciwko... – zaczęła Amanvah.

– Przestań wciskać mi te bzdury! – parsknął Rojer. – Wykonanie tego podbródka zabrało ci długie tygodnie! Nie próbuj mi wmówić, że dostałem go tylko dlatego, że zrobiłem coś nie po twojej myśli po wyjeździe z Rizon. Od samego początku planowałam, że będziesz mnie szpiegować!

– Jesteś moim mężem! – oznajmiła *dama'ting* obronnym tonem. – Moim obowiązkiem jest wspierać cię, trzymać z dala od kłopotów i przychodzić z pomocą, gdy jej potrzebujesz!

– I znów kłamiesz! – wykrzyknął Rojer.

Sharum zeszywnieli, podnoszenie głosu na *dama'ting* było przestępstwem nie do pomyślenia, ale występ Rojera wywarł na nich takie wrażenie, że żaden wojownik ani drgnął. Nawet Enkido stał nieruchomo, czekając na rozkaz swej pani.

– Zawsze bez trudu znajdujesz jakiś przydatny cytat z Evejah – ciągnął Rojer. – Ale czy ta wasza święta księga przypadkiem nie każe wam mówić prawdy?

– Tak naprawdę – wtrąciła Leesha – święta księga głosi wprost, że obietnice złożone *chin* są bez znaczenia, jeśli w jakikolwiek sposób stoją w sprzeczności ze służbą Everamowi.

Amanvah zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem, ale Leesha odpowiedziała uśmiechem. Czekwała, aż rywalka zaprzeczy.

– Niech to wszystko Otchłań weźmie! – Rojer wziął podbródek od Leeshy i uniósł wysoko, chcąc go roztrzaskać o kocie łby.

– Nie! – wykrzyknęły Amanvah i Zielarka. Obie wyciągnęły ręce, by złapać Minstrela za ramię. Krasjanka zerknęła na Leeshę z zaciekawieniem.

– Sam widziałeś, jaką moc ci to dało – przekonywała Zielarka. – Nie pozwól, by zawładnął tobą gniew. Nie niszczył!

– Pani Leesha słusznie prawi, mężu – rzekła Amanvah. – Wykonanie kolejnego podbródka potrwa przynajmniej miesiąc, pod warunkiem, że w ogóle znajdę tak udany element pasujący do twojego instrumentu.

Rojer zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

– Gdy wręczałaś mi tę skrzynkę, zastanawiałem się, czy w środku nie znajdę pary złotych kajdan. Wygląda na to, że niewiele się myliłem. Nie będę twoim niewolnikiem, Amanvah.

– Czy jesteśmy niewolnikami ognia tylko dlatego, że parzy? – spytała Leesha. – Znasz teraz sekret tego cacka, Rojer. Mogę wymalować na skrzynce runy ciszy. Schowaj go, gdy będziesz potrzebował prywatności, ale go nie niszczył.

– Rzucanie nim o kamienie niewiele zresztą da – dodała Amanvah. – Metal i drewno zostały magicznie wzmocnione. Trudno ci będzie je rozbić, a przecież nikt inny nie jest godzien, by władać jego mocą.

Wyglądało na to, że Rojer się uspokaja. Spojrzał ze smutkiem na podarunek i wepchnął go do kieszeni.

– Idę spać. – Ruszył w stronę gospody, nie zważając na innych. Amanvah i Sikvah poszły za nim niczym posłuszne psy. Towarzyszył im Enkido.

Na rynek zakradło się kilku miejscowych, którzy z fascynacją i zgrozą przyglądali się truchłom demonów. Nocną ciszę przecięł wrzask wichrowego otchłańca i gapie uciekli za

barierę. Leesha zrobiła to samo, choć dzięki runom wyszytym na szalu potwory nawet by jej nie dostrzegły.

Nim weszła, spojrzała raz jeszcze na trakt Posłańców. Wciąż widziała samotnego *Sharum* gnającego w kierunku Lenna Everama.



Zamknawszy drzwi, Leesha wybuchła płaczem.

Nie rozumiała w pełni magii kości demonów, gdyż tajemnica wróżenia z nich była ściśle strzeżonym sekretem. Evejah wspominała o runie prorocstwa, ale go nie przedstawiała, a Leesha wątpiła, czy kiedykolwiek uda jej się namówić jakąkolwiek Oblubienicę Everama, by pozwoliła przyjrzeć się takim kościom.

Leeshy udało się ustalić, że *hora* nie dawały precyzyjnych wizji, a jedynie sygnały i wskazówki odnośnie do tego, jak przyszłość może się ułożyć. Amanvah najprawdopodobniej nie wiedziała więc o truciznie podanej *Sharum*, a przygotowanie antidotum było niełatwe i czasochłonne. Wojownik wyjechał z Rozdroża w takim tempie, iż Leesha nie zdołałaby już mu pomóc. Jutro *Sharum* zauważy, że słabnie. Za dwa dni padnie trupem.

Nie miała jednakże wyboru. Nie wiedziała, jak Ahmann przyjmie wiadomość o tym, że dziewczyna nosi się z zamiarem przekształcenia Zakątka w fortecę, która ma zatrzymać pochód Krasjan. Nie mogła tego ukrywać przez całą wieczność, ale musiała zyskać na czasie. Należało ostrzec Laktończyków i księżną Araine. I przygotować Zakątek zarówno na Nów, jak i na Wojnę w Blasku Dnia. Wiedziała, że postąpiła słusznie, a mimo to czuła się paskudnie.

Wpełzła do łóżka i narzuciła kołdrę na głowę. Po raz pierwszy w życiu pożałowała, że w ogóle udała się do Lenna Everama.

Na noc, nie powinnam była nigdy opuszczać Zakątka Rębaczy, myślała. Nigdy nie powinnam mieszkać u Wiedźmy Bruny i uczyć się sekretów zielarstwa. Powinnam była zająć się produkcją papieru, ojciec nie posiadałby się z dumy.

Leesha zapłaciłaby teraz każdą cenę, byle pozbyć się poczucia winy, ale wiedziała, że to byłoby zbyt łatwe.

„Dlaczego mam się uczyć wytwarzania trucizn?” – spytała Brunę wiele lat temu.

„Abyś mogła leczyć otrutych” – odparła wiedźma. „Nauka o miksturach, eliksirach i objawach zatruc sama w sobie nie jest niczym złym. Nie sprawi, że staniesz się Chwaściarką o czarnym sercu”.

„Chwaściarką?”

„To Zielarki, które zeszyły na złą drogę” – splunęła Bruna. „Sprzedają kiepskie lekarstwa i za pieniądze trują wrogów szlachetnych panów”.

„Kobiety są zdolne do czegoś takiego?” – Leesha była wstrząśnięta.

„Nie wszyscy ludzie są tak słodcy i praworządni jak ty, mój skarbie” – burknęła Bruna. „Jedna z moich uczennic stała się Chwaściarką, żeby daleko nie szukać. Prędeż mnie Otchłań pochłonie, nim pozwolę, by coś takiego się powtórzyło, ale musisz wiedzieć, na co się porywasz”.

Już wiem, pomyślała Leesha. Porwałam się na własne zasady. Zabijam ludzi dla wygody. Czy jestem w czymś lepsza od Chwaściarek?

Znów wybuchła płaczem. Jej ciałem wstrząsały spazmy szlochu, aż wreszcie ogarnęło ją znużenie i zasnęła. Sen jednak nie przyniósł wybawienia, ujrzała w nim serię scen przemocy. Widziała swoje ręce na szyi Inevery i siniejącą twarz Damajah. Widziała Ahmanna patrzącego na wojowników, którzy mordują Rizończyków i gwałcą ich kobiety. Widziała gardło Gareda rozcięte ostrzem z laski Abbana. Rojera uduszonego w łóżku przez żony. Kawala bijącego Wondę na śmierć w ramach „treningu”. Widziała Rębaczy i *Sharum* zwartych w zaciekłym boju, włócznie przeciwko toporom, a także Ahmanna i Arlena, pchających ludzi do boju.

Widziała samotnego *Sharum* umierającego na trakcie.

Zerwała się. Targały nią mdłości tak gwałtowne, iż niemal wypadła z łóżka, chcąc jak najszybciej wyciągnąć spod niego nocnik. Nie zdążyła i wymiociny zmieszały się na podłodze z moczem wylanym z trąconego naczynia. Klęczała, drżąca i wstrząsana torsjami. Po jej twarzy płynęły łzy. Oczodół pulsował bólem, co zwiastowało kolejny atak migreny.

Och, Bruna... Czym ja się stałam?

Ktoś zapukał do drzwi i Leesha zamarła. Do świtu brakowało jeszcze trochę czasu, na nocnym niebie pojawił się dopiero różowawy pasek. Zbyt wcześnie na wyjazd.

Znów rozległo się pukanie.

– Zostaw mnie w spokoju!

– Otwieraj te drzwi albo poślę po Gareda, żeby je rozwalil – oznajmiła jej matka. – Tylko poczekaj!

Leesha wstała powoli. Nogi ugiwały się pod nią, a żołądkiem dalej targały torsje. Znalazła czysty ręcznik i wytarła twarz, a potem narzuciła szatę na koszulę nocną i mocno ją zawiązała.

Podeszła, odsunęła zasuwę i uchyliła nieco drzwi. Elona wyglądała, jakby właśnie przeżuła cytrynę. Jej miny Leesha wolałaby nie oglądać z rana.

– To kiepski moment na... – zaczęła, ale Elona zignorowała ją i wepchnęła się do pokoju. Dziewczyna westchnęła i zamknęła drzwi. – Czego chcesz, mammo?

– Myślałam, że wyrosłaś już z budzenia mnie i ojca hałasami po nocy – oznajmiła Elona. – Dręczą cię wyrzuty sumienia, bo zabiłaś tego chłopaka, tak?

Leesha zamrugnęła. Zawsze zaskakiwało ją, z jaką precyzją matka odczytuje jej myśli.

– Cóż, daj sobie z tym spokój – warknęła Elona. – Zrobiłaś to, co należało, a ten *Sharum* dobrze wiedział, w co się pakuje, gdy po raz pierwszy wziął włócznię do ręki.

– To nie takie proste – zaczęła Leesha.

– Przestań! – Matka machnęła ręką z lekceważeniem. – Ilu Rizończyków zabił ten młodzian po zajęciu miasta? Jak myślisz? A wiesz, ilu ludzi by zginęło, gdyby dostarczył list Ahmannowi?

Leesha poczuła, że nogi się pod nią uginają. Opadła ciężko na skraj łóżka, udając, że uczyniła to świadomie. W jej żołądku bulgotało niczym w postawionym nad ogniem kotle, który lada moment wykipi.

– Wiem, że podjęłam właściwą decyzję, co nie oznacza, że jestem z tego dumna.

– Może i nie, ale ja jestem dumna z ciebie, dziewczyno – burknęła matka. – Wiem, że zasługujesz na częstsze pochwały, więc pora na prawdę. Nie sądziłam, że zdobędziesz się na tak wielkąuchwałość. Cieszę się, że jest w tobie choć cząstka mnie.

Leesha zmarszczyła brwi.

– Czasami wydaje mi się, że odziedziczyłam po tobie zbyt wiele, matko.

– Szczęściara – prychnęła Elona.

– Dlaczego zmieniłaś punkt widzenia? Przecież to ty namawiałaś mnie do ślubu z Ahmannem, chciałaś, żeby uczynił ze mnie królową.

– Od czasu wyjazdu miałam okazję przemyśleć sobie jego rządy. – Elona skrzywiła się w namyśle. – I uświadomiłam sobie, że do pierwszych zmarszczek zostało mi jeszcze parę lat i nie mam najmniejszego zamiaru chodzić przez ten czas zakutana w siedem szat.

Wypięła biust, ledwie mieszczący się w koszuli nocnej z imponującym dekoltem.

– Cóż za pożytek z takich cycuszków, skoro nie można się z nimi obnosić i patrzeć, jak mężczyźni się ślinią, a kobiety zielenieją z zazdrości?

Leesha uniosła brew.

– Parę lat do pierwszych zmarszczek?

Elona wbiła w nią ostre spojrzenie, ostrzegając przed niebaczonym słowem, a potem podjęła:

– Gdybyś pozwoliła temu wojownikowi wyjechać, zaprzepaściłabyś wszystko, nad czym pracowałaś z takim trudem. Nie mam wątpliwości, że wyprawa do Rizon przysłuży się Zakątkowi. Udało ci się kupić tymczasowy pokój, przeprowadzić rekonesans w obozie wroga, wbić krasjańskiemu przywódcy nieco rozsądku do głowy i zasiać wątpliwości w jego sercu, a także dowiedzieć się czegoś o demonach umysłu i magii *hora*. Dojrzałaś i stałaś się niebezpiecznym przeciwnikiem. Gdyby Bruna wciąż żyła, puszyłaby się z dumy niczym Jan Rębacz prowadzący swego najlepszego rozplodowego byka.

– Mam nadzieję. – Leesha uśmiechnęła się blado. – Sądziłam, że ją rozczaruję.

Elona odwróciła się do okna i krytycznie przyjrzała swemu odbiciu. W pomieszczeniu nie było żadnych mężczyzn, a mimo to odruchowo ułożyła włosy i poprawiła dekollet.

– No, może i trochę ją rozczarowałaś. Uczennica Bruny, ba, a już tym bardziej moja córka, powinna wiedzieć, jak się ustrzec przed ciążą.

Na twarzy Leeshy pojawił się gorący rumieniec.

– Co?

Elona wskazała obrzydliwą breję na podłodze.

– Widziałam już nieraz, jak się zadręczasz czy histeryzujesz, ale nigdy przy tym nie wymiotowałaś. Na noc, nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek tak wymiotowała. Odziedziczyłaś po mnie nie tylko tyłek i cycki, ale także żołądek z żelaza.

Uśmiechnęła się, masując się po brzuchu.

– Lecz gdy byłam z tobą w ciąży, rzygałam jak kot.

Leesha poczuła, jak jej bulgoczący żołądek zamienia się w sopel lodu. Nie zdołała nawet przełknąć śliny. Pospiesznie przeliczyła dni od poprzedniego krwawienia.

Czy to możliwe?

Z tą samą gwałtownością, z jaką przed chwilą sięgała po nocnik, wbiła dłonie w kieszenie fartucha. Żonglowała pęczkami ziół, fiołkami i instrumentami ze zręcznością Minstrela, aż

odnalazła buteleczkę z nieprzejrzystą białawą zawartością. Wpuściła do niej kroplę moczu i wstrzymała oddech.

Substancja chemiczna potrzebowała jednak trochę czasu, a Leesha nie mogła na tak długo wstrzymać oddechu. Westchnęła i odwróciła wzrok od fiołki.

Jeśli była w ciąży, biała zawiesina miała zmienić kolor na różowy.

Tysiąc. Dwa tysiące. Trzy tysiące, odliczała w duchu.

– Daj spokój, przecież sama dobrze wiesz, co zaraz zobaczysz. – Elona westchnęła z rezygnacją. – Przestań gryźć palce i lepiej zastanów się, co chcesz z tym zrobić.

Leesha uniosła brew.

– Zrobić? – powtórzyła.

– Nie udawaj niewiniątka, dziecko – warknęła Elona. – Ja też pobierałam nauki u Bruny. Jeśli tylko zechcesz, możesz pozbyć się problemu.

– Naprawdę, mamó? – spytała z goryczą Leesha. – Przez całe życie namawiasz mnie, bym założyła rodzinę i postarała się o dzieci, a teraz sugerujesz, bym zabiła swe pierworodne?

– To jeszcze nie dziecko, a dopiero objaw – skrzywiła się Elona. – I to raczej złowróźbny. Nawet głupek by się połapał, że to dziecko będzie dla nas jak dziura w barierze, tak wielka, że sama Matka Demonów mogłaby przez nią przejść.

Sto tysięcy. Sto jeden tysięcy. Sto dwa tysiące.

Leesha pokręciła gwałtownie głową.

– Nie. To życie, a nie objaw. Sama narzekałaś, że zmarnowałam najpłodniejsze lata życia, mamó, i miałaś rację. Jeśli Stwórca życzy sobie, bym w ten sposób została matką, to z chęcią pogodzę się z Jego zrządzeniem.

Elona przewróciła oczami.

– Kiepski moment na cytowanie Kanonu, dziewczyno. – Zaraz jednak wzruszyła ramionami. – Skoro nie chcesz pozbyć się dziecka, najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej kogoś uwiedzisz, i to na oczach wszystkich. Musisz zyskać trochę czasu.

Leesha otworzyła szeroko usta.

– Przysięgam, mamó, że jeśli zaraz usłyszę imię Gared...

– Phi! – Elona machnęła ręką, czym zaskoczyła ją ponownie. – Przecież stać cię na więcej! Już wiesz, jak to się robi, a więc spróbuj jeszcze raz z drugim Wybawicielem. To jasne jak

słońce, że każdy facet musi sobie ulżyć. Jeśli obsłużysz go równie umiejętnie jak demona pustyni, niedługo obaj będą jedli ci z ręki!

– Albo rzucą się sobie do gardeł i pociągną za sobą armie – zauważyła Leesha z przekąsem.

– Do tego dojdzie tak czy owak, sama to wiesz. Dlatego też, póki to możliwe, musisz pokierować wydarzeniami.

– Wiesz, czego nienawidzę najbardziej? – skrzywiła się Leesha. – Chwili, kiedy masz rację. Elona zachichotała.

– Wrabianie Naznaczonego nie jest jednak dobrym pomysłem – rzekła Leesha. – Nie będzie chciał mnie nawet tknąć. Prześladowuje go obsesja, że jego dzieci mogłaby skazić magia demonów.

Elona wzruszyła ramionami.

– No to mu powiedz, że pijesz specjalne napary chroniące przed zajściem w ciążę. Zostaw gdzieś trochę liści i dopilnuj, by je ujrzał.

Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Trzysta pięćdziesiąt jeden tysięcy. Trzysta pięćdziesiąt dwa tysiące...

– On nie jest aż tak łatwowierny, mamó. – Leesha pokręciła głową.

– Bzdura! Przecież to mężczyzna, dziecko! Każdy z nich musi raz na jakiś czas zakosztować rozkoszy! Pogadaj z nim słodko, zainteresuj go sobą, spraw, że poczuje się przy tobie bezpiecznie, a potem upij go i zrób swoje. Będzie po wszystkim, zanim się zorientuje!

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Spraw się dobrze, a wróci po więcej.

Żołądek Leeshy znów ścisnęły mdłości. Czy ona naprawdę brała takie rozwiązania na poważnie?

– A co będzie za pół roku, gdy ujrzy niemowlę z oliwkową karnacją?

– A skąd możesz wiedzieć, że dziecko odziedziczy wygląd po ojcu? – Elona wzruszyła ramionami. – Twoje geny mogą okazać się silniejsze. Ty na przykład nie masz nic po Ernym na pierwszy rzut oka. I całe szczęście.

– Racja, wygląd lepiej mieć po tobie – zgodziła się Leesha. – Po ojcu mam serce i rozum.

– Po mnie masz też odwagę – uśmiechnęła się Elona. – Podziękuj za to Stwórcy. Na widok Krasjan wkraczających do Zakątka twój ojciec zeszczalby się tylko w spodnie. Ty jesteś zaradną, dzielną dziewczyną, ale w decydującym momencie dobrze jest mieć silnego mężczyznę u boku.

Leesha chciała na nią nakrzyczeć, ale nie miała siły. Jej matka ostatnimi czasy coraz częściej mówiła z sensem. Czyżby Elona aż tak się zmieniła? A może to Leesha była teraz inną osobą?

Siedemset tysięcy. Siedemset jeden tysięcy. Siedemset dwa tysiące...

– Naznaczony wcale nie wydaje mi się lepszym kandydatem od demona pustyni – stwierdziła Leesha.

Elona ponownie wzruszyła ramionami.

– To znajdź kogoś innego. Myślałam się co do skrzypka. W tym chłopaku jest mnóstwo odwagi i nie opuściłby cię, nawet gdyby dziecko urodziło się z zaplecioną w warkocze brodą Jardira. Niestety, przegapiłaś już szansę na romans, chyba że masz ochotę wdać się w o wiele bardziej nieczystą grę.

– Małżeństwo Rojera jest dość burzliwym związkiem i bez mojej interwencji – zgodziła się Leesha.

– A więc pozostał ci już tylko jeden kandydat. – Elona pokiwała głową.

Leesha spojrzała na matkę i ujrzała uśmiech tryumfu na jej twarzy.

– Matko...

Elona uniosła ręce.

– Powiedziałas, że nie chcesz nawet słyszeć jego imienia, ale dobrze się zastanów. Jest silny jak wół, a do tego dzielniejszy od wszystkich mężczyzn w Zakątku razem wziętych. Pod nieobecność Naznaczonego stanowił wzór dla wszystkich Rębaczy. A ponadto cię kocha. Zawsze cię kochał, na swój niewyszukany, prostacki sposób. Nie zapomnijmy również, że ma mózg wielkości ziarnka grochu. Dzięki komuś takiemu mogłabyś władać Zakątkiem.

Milion – Leesha spojrzała na fiolkę.

I ogarnęła ją czarna rozpacz.



Kilka ziół ugotowanych we wrzątku uspokoiło sensacje żołądkowe, ale żaden środek, który Leesha odważyła się zażyć, ani trochę nie załagodził pulsującego bólu głowy. Gdy wraz z Eloną wyszły z pokoju, zastały Gareda, Wondę i Erny'ego w głównej izbie. Wszyscy zdążyli już zjeść owsiankę.

Shamavah targowała się z gospodarzem. Jak zwykle szukała dziury w całym i czepiała się najdrobniejszych nawet szczegółów, by zmusić go do opuszczenia ceny. Postawa Sima sugerowała, że gotów jest przystać na wszystkie warunki, byleby jak najszybciej zostawiła go w spokoju.

Nie przerywając rozmowy z Simem, Shamavah wskazała odzianą na czarno *dal'ting*, która podeszła, by podnieść torby Leeshy. Zielarka zwykła protestować w podobnych sytuacjach, ale była wycieńczona i osłabiona, a jej głowa nadal pulsowała bólem. Zignorowała podsuniętą miskę. Czekwała niecierpliwie na sygnał do ruszenia w drogę, bo jedyne, o czym marzyła, to spokój w zaciszu własnego wozu.

Nikt tego ranka nie miał szczególnej ochoty na rozmowę. Wszyscy rozglądali się z konsternacją, słuchając, jak Shamavah wymyśla kolejne problemy i łaja Sima. Ciągnęło się to bez końca, aż Leesha miała ochotę wrzeszczeć.

– Na noc, po prostu mu zapłać i tyle, do jasnej cholery! – warknęła. – Pokoje były w porządku!

Wszyscy aż podskoczyli. Shamavah ukloniła się nisko.

– Jak sobie życzyacie, Święta Narzeczono.

Krasjanka szybko odliczyła pieniądze i ruszyli do wozów. Na szczycie schodów Enkido otworzył drzwi i oczom wszystkich ukazali się Rojer z Amanvah i Sikvah.

Żony otaczały Minstrela niczym ochrona i mierzyły Leeshę groźnymi spojrzeniami, jakby rzucały jej wyzwanie.

Zielarka nie miała najmniejszej ochoty na gierki. Zeszłej nocy wydarzyło się tyle, że ledwie pamiętała, kto jest wściekły na kogo i za co. Pospiesznie wsiadła do powozu.

Podczas napadów migreny nawet światło dzienne zwiększało katusze. Od ganku do wozu dzieliło Leeshę zaledwie kilka stóp, a mimo to słońce wydawało jej się równie intensywne jak w opowieściach Ahmanna o bezkresnej krasjańskiej pustyni. Gdy znalazła się w wozie, przesłoniła okno.

Erny zasiadł w przeciwległym rogu i nieproszony również zasunął firanę. Pozostawił jedynie szparkę, a cienka strużka światła słonecznego padała prosto na trzymaną na kolanach książkę. Obok usiadła pogrążona w myślach Elona, która wpatrywała się w punkt przed sobą i nie odzywała ani słowem. Leesha była jej za to głęboko wdzięczna.

Musiła przyznać, że matka nadal porażała urodą. Nieznajomy mógłby ją wziąć za przygłupią piękność, która siedzi beczynn timer i gapi się bezmyślnie. Elona w istocie dopracowała tę pozę do perfekcji, podobnie jak wiele innych. Jej umysł był ostry jak brzytwa, o czym boleśnie przekonywali się wszyscy, którzy wzięli ją za słodką idiotkę. W Zakątku powtarzano, że Leesha odziedziczyła umysł po ojcu, ale wcale nie miała pewności. O Elonie można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że była głupia.

Z powozu Rojera nie dochodziła dziś muzyka, nie było też jęków rozkoszy. Słysząc było natomiast krzyki, mnóstwo krzyków, a po nich długie okresy bolesnej ciszy.

Gdy zatrzymali się na popas, Leesha wyszła, by się załatwić i poprosić o coś do jedzenia. Dostrzegła w oddali Rojera, który rozprostowywał nogi, ale postanowiła nie podchodzić, by nie drażnić trzymającej się w pobliżu Sikvah.

Krasjanie ze wszystkich kast cichli na widok Rojera, pokazując go sobie palcami i szepcząc z ozywieniem. Najwidoczniej opowieści o jego wyczynach już się rozniosły.

Pod wieczór Leesha czuła się znacznie lepiej. Krasjanie minęli następną wieś i rozstawili wozy w krąg kilka mil dalej przy drodze. Zielarka przespacerowała się po obozie, by przyjrzeć się runom, krasjańskie bariery były silne. Okolicę obozu patrolowały grupki *Sharum*, którzy sprawnie zabijali każdego napotkanego demona. Pomagała im Wonda, która kładła je celnymi strzałami. Do trafionego otchłańca podbiegał Gared i wykańczał stwora szybkimi, precyzyjnymi ciosami topora bądź maczety.

Leesha patrzyła na niego i zastanawiała się nad słowami matki. Gared w istocie był przystojny i kiedyś darzyła go miłością, aż okazał się zaborczym egoistą, czego nie potrafiła znieść.

Ale czy to czyniło go gorszym od innych znanych Leeshy mężczyzn? Przecież nikt tak naprawdę nie mógł sprostać jej wymaganiom. Czy Gared był w czymś gorszy od Rojera, Maricka, Arlena czy nawet Ahmanna?

Przydzielono jej namiot, wyścielony grubymi dywanami. Rolę łóżka odgrywał stos poduszek. Przy wejściu czuwała Wonda z łukiem w gotowości.

Na życzenie Leeshy łuczniczka dostarczyła jej niewielką miskę posoki demona, utoczonej z zabitego otchłańca. Zielarka znów założyła runiczne okulary i krew jaskrawo zajaśniała. Dziewczyna rozłożyła najzwyczajniejszy ze swoich szali, a potem wyciągnęła pędzel z końskiego włosia i wymalowała na płótnie runy dezorientacji i oszołomienia. Na koniec dodała kilka

symboli, które podpatrzyła owej nocy, gdy Inevera ściągnęła ją za pomocą magii do swojej komnaty. Działy nie tylko na demony, ale i na ludzi.

Runy połyskiwały matowo, gdy narzuciła szal na ramiona i uniosła połę namiotu. Wonda zeszywniała i rozejrzała się uważnie, wyteżając słuch, ale nie zauważyła Leeshy, choć jej wzrok prześlizgnął się po Zielarce. Łucniczka uniosła połę namiotu i zajrzała do środka, ale ujrzała tam jedynie poduszki i koce, które Leesha ułożyła na kształt śpiącej osoby. Wonda mruknęła, opuściła płachtę i powróciła do pełnienia warty.

Ukryta przed wzrokiem ludzi, Leesha przemknęła obok krasjańskich wartowników do namiotu Gareda. Nie miała pewności, co tak naprawdę zamierza zrobić. Mogła się przespać z Rębaczem, ale co dalej? Czy będzie miała dość odwagi, by dać się przyłapać na romansie, jak sugerowała to matka? A jeśli nie, to po co w ogóle opuszczała własny namiot?

Nabrała głęboko tchu, podjęła decyzję i już miała złapać za połę namiotu, gdy zamarła, słysząc niski głos ze środka:

– Nie możemy ciągle tego robić. Wiesz, pani, to nie wypada.

– Jakoś nie miałeś nic przeciwko, bym cię uczyła tego i owego przy twoim starym, który spał kilka kroków od nas – odpowiedziała Elona. – I nagle nie wypada?

Zaszeleścił materiał, a potem rozległ się jęk Gareda.

– Ostatni raz – rzekła Elona. – Tylko po to, byś mnie nie zapomniał.

– Przyłapią nas – mruknął Gared, a potem znów zaszeleściło płótno. Tym razem zabrzmiał jęk Elony.

– Nie przyłapali nas od lat – westchnęła przy rytmicznym odgłosie ocierających się ciał. Leesha poczuła, że robi jej się niedobrze. Odrzuciła płachtę namiotu, ściągnęła szal i wtargnęła do środka. Gared stał z portkami opuszczonymi do kostek i trzymał Elonę, która oplatała jego szyję ramionami. Miała suknię zadartą po talię.

– No i ktoś cię wreszcie przyłapał – stwierdziła Leesha.

– Na noc! – Gared upuścił Elonę. Ta pisnęła, gdy jej gołe pośladki uderzyły w szorstkie płótno, którym wyłożono podłogę.

Leesha wzięła się pod boki.

– Za każdym razem, gdy pomyślę, że już niżej upaść nie mogłaś, matko, potrafisz mnie zaskoczyć.

– Och, przyganiał kocioł garnkowi – mruknęła Elona, po czym wstała i wygładziła suknię. Gared podciągnął spodnie i usiłował upchnąć zeszywniałego członka w gaciach.

– Gdy powiem ojcu... – zaczęła Leesha.

– Niczego mu nie powiesz – przerwała jej Elona. – Pomyśl tylko o krzywdzie, jaką wyrządziłoby to twojemu nieszczęsnemu ojcu. Pamiętaj również o przysiędze Zielarki.

– To, co tu ujrzałam, nie ma nic wspólnego z moim powołaniem – zaprzeczyła Leesha.

– Wszystko, czym zajmuje się Zielarka, ma związek z jej powołaniem – odgryzła się Elona.

– Czy Brunna zdradziła któryś z ciemnych sekretów Zakątka? A znała każdy, wierz mi.

Matka uniosła nieco głowę.

– A poza tym nie ja jedna skrywam tajemnicę. Czego tu szukałaś w środku nocy, Leesha?

Dziewczyna zerknęła na Gareda, ale ten odwrócił się już, nadal usiłując zawiązać spodnie.

Matka znów ją zaszachowała.

– Chodźmy do mnie. – Leesha uniosła szal, by narzucić go również na ramiona matki. Nie chciała, by ktokolwiek je zauważył w drodze powrotnej.

Gared zdołał zawiązać spodnie i odwrócił się z winą wypisaną na twarzy.

– Znów mnie rozczarowałeś, Garedzie Rębaczu – oznajmiła Leesha. – I to w chwili, gdy sądziłam, że się zmieniłeś.

Drwal wyglądał na oszołomionego.

– Przecież to nie moja wina.

– Pewnie, że nie – warknęła Elona, zarzucając sobie połowę szala Leeshy na ramię. – Pani Elona przysła do ciebie i zmusiła cię do seksu, a ty byłeś bezbronny jak rizońska dziewczica podczas krasjańskiej inwazji.



Tym razem Leesha była przygotowana na poranne nudności i udało jej się uporać z nimi niespostrzeżenie, nim ktokolwiek zauważył, że coś jest nie tak. W południe czuła się już normalnie.

Gdy przechadzała się po okolicy, podszedł do niej Gared.

– Możemy pogadać?

– Nie wiem, czy jest o czym, Gared – westchnęła.

– Kapuję. – Drwał pokiwał głową. – Chyba sobie zasłużyłem.

– Chyba? Uprawiałeś seks z moją matką!

– A co tobie do tego? Zerwałaś nasze zaręczyny dawno temu i od tej pory nie zwracałem ci głowy. Nie jestem ci nic winien.

– A co z moim ojcem, który cię przygarnął, gdy wasz dom uległ zniszczeniu? – spytała Leesha. – Jemu też nic nie jesteś winien? A swojemu ojcu?

Gared rozłożył ręce.

– Ty nie masz pojęcia, w jakiej sytuacji się znalazłem, Leesh! Wiesz, co było po tym, jak Bruna zmusiła mnie, żebym przyznał się przed całą wsią do kłamstw na twój temat? Żadna dziewczyna nie chciała mieć ze mną do czynienia! Żadna nie chciała zostać przy mnie ani chwili! Nawet po twoim wyjeździe do Angiers ludzie traktowali mnie jak zarazę.

– Wcale się nie dziwię – rzekła Leesha.

Gared opanował wściekły grymas.

– No dobra, może mieli powód. Ale czułem się samotny. Twoja matka była jedyną kobietą w całej wsi, która zwracała na mnie uwagę. Tylko ona traktowała mnie tak, jakbym znaczył więcej od psiego gówna.

Westchnął.

– A poza tym w odpowiednim świetle wygląda dokładnie tak jak ty. Mogłem zamknąć oczy i udawać, że...

– Przestań! – wykrzyknęła Leesha. – Naprawdę nie chcę usłyszeć, o czym sobie myślałeś, kiedy...

Niespodziewanie wróciły jej nudności. W ustach poczuła smak żółci.

– Przepraszam – odezwał się Gared cicho. – Chcę tylko być z tobą szczerzy. Nigdy nie przestałem cię pragnąć.

Leesha splunęła mu pod stopy, chcąc pozbyć się kwaśnego smaku.

– Gdybyś trzymał gębę na kłódkę piętnaście lat temu, to nie musiałbyś sobie niczego wyobrazić.

– Wiem – przyznał Rębacz. – Przeklinam się za to co noc. To z tego powodu ciągle jestem wściekły. Ale może był to plan Stwórcy?

– Co?

– Gdybyśmy się wtedy pobrali, świat wyglądałby dziś zupełnie inaczej – wyjaśnił. – Może nigdy nie podjęłabyś nauki u Bruny i nie wyjechała na studia do Wolnych Miast. Może nigdy nie przyprowadziłabyś Wybawiciela.

– Naznaczony nie jest Wybawicielem, Garedzie.

– Skąd wiesz? Skąd pewność, że wszystko wygląda dokładnie tak, jak to sobie poukładałaś? A może Stwórca celowo sprawił, że Naznaczony nie jest idealny? Może On nas wszystkich sprawdza? A może po prostu pokazuje nam, którędy mamy pójść?

Leesha przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– A skąd u ciebie takie głębokie przemyślenia, Garedzie Rębacz?

Drwał skrzywił się.

– Masz mnie za głupka, co? Prostaka niewartego uwagi kogoś tak mądrego jak ty?

– Nie chciałam... – zaczęła Leesha.

– Ależ oczywiście, że chciałaś – przerwał jej Rębacz. – Zawsze jesteś taka uprzejma i pokorna, ale już wiem, że to tylko gra. Tak się zachowujesz, gdy rozmawiasz z prostytutkami.

Odwrócił się, by odejść. Leesha złapała go za rękę.

– Nie odchodź! – zawołała, ale drwał wyszarpnął ramię. Nie chciał nawet na nią spojrzeć.

– Nie, wszystko kapuję. Dla matki i córki jestem tylko zwykłym drwalem z wielkim kutasem.

I odszedł, a Leesha poczuła się zagubiona i samotna jak nigdy.



XVI

Tam, gdzie nie docierają khaffit

333 ROK PLAGI
28 ŚWITÓW PRZED NOWIEM

Inevera szarpnęła materiał grubej szaty. Pociła się w wilgotnym, gorącym powietrzu lata, a każdy oddech, miast wsiąkać w woalkę, rozchodził się niczym kłąb ciepłej pary we wnętrzu kaptura. Nie była przyzwyczajona do takiego stroju – od wielu lat nie nosiła nawet szat *dama'ting*, które zresztą były tak białe, że promienie słoneczne wręcz po nich spływały, i tak delikatne, że czuła się w nich naga. Czarne szaty *dal'ting* zakładała tylko podczas wypadów do miasta i nie przestawała się dziwić, jak kobiety znoszą tę torturę.

Nabrała tchu.

To tylko wiatr. Nie ma przecież nic, co inne kobiety mogłyby wytrzymać, a ona nie.

Przebranie to konieczność, z całą pewnością warto było narażać się na niewygodę. Inevera mogła w ten sposób bez trudu wyrwać się z pałacu i nierozpoznana poruszać po Nowym Bazarze. Jako Damajah zawsze podróżowała ze świtą, która przyciągała tłumy gapiów, zbiegających się niczym ptaki do okruchów, a ze wszystkiego na świecie najbardziej zależało jej na ukryciu swego wielkiego sekretu. O własne bezpieczeństwo się nie bała – mało kto ośmieliłby się ją zaatakować, a w razie zagrożenia wielu ludzi natychmiast pospieszyłoby jej z pomocą – ale...

Jak nigdy wcześniej pragnęła poradzić się matki. Potrzebowała wytchnienia od wiatru, który mógł połamać nawet najbardziej gibkie palmy.

Nowy Bazar Lenna Everama nie był na razie tak ogromny jak Wielki Bazar w Krasji, ale rozbudowywał się z dnia na dzień i wkrótce mógł go nawet przerosnąć. Abban wznosił pierwszy pawilon w wiosce *chin* tuż za murami miejskimi zaraz po tym, jak siły Wybawiciela podporządkowały sobie tę krainę. Sześć miesięcy później Nowy Bazar pochłonął wieś i rozrósł się we wszystkich kierunkach, stając się miejscem spotkań dla rolników, kupców i handlarzy z całego Lenna.

Kupcy oraz zarządzający nimi *dama* nie żałowali środków na rozbudowę Nowego Bazaru. Ulice wytyczono na wzór wielkiego runu tak, jak zrobiło to plemię Zakątka daleko na północy, a potem obwiedziono je niskim murem, by wzmocnić barierę runiczną. Po zapadnięciu zmroku pojawiali się strażnicy, którzy pilnowali porządku i sprawdzali, czy na ulicach nikt się nie włóczy. Za dnia zaś każdą dostępną przestrzeń wypełniały dobra, a w powietrzu unosiła się ogłuszająca wrzawa głosów kobiet, *khaffit* i *chin*, targujących się i zachwalających towary.

Inevera szła po krętych ulicach i od czasu do czasu zatrzymywała się przy straganie bądź sklepie, by dodać coś do koszyka. Wyglądała jak zwykła *Jiwah Sen* robiąca zakupy na kolację dla rodziny. Szybko utożsamiała się z rolą i zaczęła się ostro targować o niewielką grudkę soli, jakby żal jej było każdego draki. Przypomniała sobie, przez co przechodziła Manvah, gdy musiała wyżywić cztery osoby, mając pieniądze jedynie dla trzech. Zakupy nieoczekiwanie przyniosły jej ulgę – Inevera wiedziała, że każda kobieta w Lennie Everama zazdrościła wielkiej Damajah, ale bywały dni, kiedy sama marzyła o tym, by jej największym zmartwieniem było nakłonienie paru kupców do sprzedaży produktów poniżej ceny rynkowej.

Była już prawie na miejscu, gdy jakiś strażnik *Sharum* złapał ją od tyłu. Ze wszystkich sił opanowała odruch złamania mu ręki. Patrzyła, jak wojownik odchodzi, śmiejąc się do rozpuku, i oddychała rytmicznie, by odepchnąć ochotę pozabijania ich wszystkich gołymi rękami. Gdyby miała na sobie białe szaty, nie zawahałaby się ani chwili. Co więcej, miałaby do tego pełne prawo. Teraz nosiła czarne, a więc jakikolwiek protest był nie do pomyślenia. Któż wzięłby na poważnie *dal'ting* skarżącą się na *Sharum*?

Muszę częściej przychodzić na bazar, pomyślała. Straciłam kontakt ze zwykłymi ludźmi.

Jej ojciec stał przy wejściu do pawilonu matki i tubalnym głosem nawoływał potencjalnych klientów. Nicco posiwiiał, ale czas był dla niego łaskawy. Miejsce zwykłej drewnianej nogi zajęła

piękna proteza z wypolerowanego drewna, zaopatrzona w sprężyny. Nadal nosił laskę, ale przydawała się głównie do wskazywania produktów.

Wciąż trzeźwy! – pomyślała Inevera ze zdziwieniem.

Kasaad wybuchnął śmiechem, który poniósł się daleko nad głowami kupujących. Inevera poczuła, jak robi jej się cieplej na sercu. Nie był to rechot szakala, który słyszała tak często, gdy upijał się wraz z innymi *Sharum*. Był to śmiech szczęśliwego człowieka, który odnalazł spokój i równowagę.

Bardzo różnił się od człowieka, którego kiedyś знаła, nie mogła uwierzyć, że to ojciec, ten sam brutal, który zamordował Soliego.

Inevera potrafiła opanować wzruszenie, ale mimo to dała upust emocjom. Pozwoliła, by łzy ściekły po policzkach, zmieszały się z potem i wsiąkły w grubą woalkę *dal'ting*. Dlaczego niby miała powstrzymywać łzy, gdy chodziło o jej brata czy ojca? Naraz wydało jej się, że zarówno Soli, jak i Kasaad zginęli tamtego pamiętnego dnia, a Manvah zyskała nowego męża, mężczyznę odartego z czarnych szat, ale bardziej godnego.

Pawilon matki rozrastał się przez lata, a ostatnio przeobraził w wielobranżowy zakład, zajmujący się nie tylko wyplataniem koszy. Nie było się czemu dziwić, gdyż palmy, dające dotychczas materiał, zostały kilkaset mil w oddali. W ich miejsce pojawiły się dywany oraz kobierce, a także kosze wyplatane z miejscowych produktów, wikliny oraz plew kukurydzy. Rodzice sprzedawali także garnki, bele materiału, kadzielnice i setki innych rzeczy.

Inevera nieraz proponowała matce, że rzuci za nią kośćmi i podpowie, jak prowadzić interes – *dama* Baden bez przerwy w ten sposób zdobywał przewagę nad rywalami – ale Manvah zawsze odmawiała.

– Byłby to grzech wobec Everama, gdybym wykorzystywała magię *dama'ting*, by napełnić sobie sakiewkę – powiedziała córce przy którejś okazji, a potem mrugnęła do niej i dodała: – No i straciłabym sporo zabawy.

– Niech ci Everam błogosławi, czcigodna matko! – powitał ją młody chłopak, gdy Inevera weszła do pawilonu. – Czy mogę ci pomóc w znalezieniu tego, czego szukasz?

Spojrzała na niego i zamarła. Chłopak wciąż nosił zwykły ubiór młodzika, którego nie wezwano jeszcze na *Hannu Pash*, ale Damajah miała wrażenie, że spogląda na małego Soliego. Odruchowo wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu włosy, podobnie jak kiedyś robił to jej brat. Gest ten, aż nader poufały, mocno zaskoczył niedorostka.

– Wybacz – przeprosiła Inevera. – Przypominasz mi brata, którego wiele lat temu pochłonięła noc.

Chłopak spoglądał na nią ze zdumieniem, a wtedy Damajah raz jeszcze potargała mu czuprynę.

– Rozejrzę się, ale zawołam cię, gdy będę chciała coś kupić – zapewniła.

Oddalił się z ulgą.

– Wszyscy synowie Kasaada mają takie spojrzenie, bez względu na to, kto jest ich matką – zabrzmiało za jej plecami.

Inevera odwróciła się i ujrzała Manvah. Matka zawsze ją rozpoznawała, bez względu na przebranie.

– Zastanawiam się, czy Everam w swej mądrości odesłał mi duszę pierworodnego, zabranego o wiele za wcześnie – dodała Manvah.

– Everam pobłogosławił twoją rodzinę wieloma wspaniałymi dziećmi – pokiwała głową Inevera.

– Sprzedajesz glinę? – spytała Manvah.

Damajah potwierdziła, a wtedy jej matka dodała:

– Już mówiłam posłańcowi od was, że cena jest zbyt wysoka.

Inevera ukłoniła się.

– Być może mogłybyśmy omówić tę kwestię na osobności?

Manvah skinęła i poprowadziła ją przez pawilon do kamiennych drzwi. Za namiotami znajdował się bowiem wielki budynek, gdzie mieszkała rodzina i gdzie składowano najcenniejsze towary. Matka zaprowadziła córkę do prywatnego kantorka, zajętego przez biurko zasłane księgami i przyborami do pisania, dwa krzesła oraz niewielki warsztat wyplatania koszy.

Manvah odwróciła się i serdecznie uścisnęła córkę.

– Minęło wiele lat od twojej ostatniej wizyty. Zaczynałam się zastanawiać, czy Damajah aby nie zapomniała o matce.

– Skądże – uśmiechnęła się Inevera. – Ale jeśli powiesz choć słowo...

Manvah uniosła rękę, by jej przerwać.

– Nikt na dworze Wybawiciela nie musi wiedzieć, że ojciec Damajah to *khaffit*. Mnie zaś nie interesują intrygi pałacowe lub zatrudnianie ludzi, którzy sprawdzaliby, czy mi obiadu nie

zatruto. Moje siostry-żony urodziły wiele dzieci i wnuków, a mnie wystarczy, że raz na jakiś czas widzę córkę i jej synów. Cóż z tego, że stoję wówczas w tłumie?

Manvah wyszła i klasnęła. Zaraz pojawiła się młoda dziewczyna niosąca tacę ze srebrną zastawą. Znad imbryka unosiła się para. Obie kobiety zignorowały krzesła i usiadły na poduszkach obok warsztatu do wyplatania koszy. Manvah ułożyła tacę na ziemi i nalała herbaty do filiżanek, a potem obie zdjęły woalki i kaptury, by się sobie przyjrzeć. Na twarzy matki pojawiły się nowe zmarszczki, a jej długie włosy pozaczyła siwizna, ale nadal była piękną kobietą, emanującą siłą i pogodą ducha. Inevera poczuła, że odpręża się na jej widok. Znalazła się w jedynym miejscu na ziemi, gdzie mogła naprawdę być sobą.

Manvah wskazała filiżanką pęk elastycznych witek trzciniowych.

– To nie to samo co wyplatanie koszy z łyka palmy, ale wszyscy musimy przywyknąć do nowej drogi, na którą wprowadził nas Wybawiciel.

Inevera pokiwała głową, patrząc, jak matka ujmuje kilka witek i zaczyna je splatać. Po chwili sama wzięła ich garść i zabrała się do własnego kosza. Palce miała silne, a ruchy z każdą chwilą stawały się pewniejsze. Niebawem znów ogarnął ją spokój, który był nieodłączną częścią pracy wyplataczki.

– Niektóre zmiany są trudniejsze do zaakceptowania od innych.

Manvah zachichotała.

– A jak się miewa droga Kajivah?

Inevera syknęła, gdy drzazga weszła jej w palec.

– Moja czcigodna teściowa ma się dobrze. Nadal jest ciemna i w dalszym ciągu zatruwa ludziom życie bezsensowną gadaniną.

– Wciąż nie udaje ci się znaleźć dla niej męża?

Inevera pokręciła głową.

– Kajivah nie życzy sobie, by jakikolwiek mężczyzna stawał między nią a synem, a Ahmann uważa, że nie ma na świecie mężczyzny, który byłby godzien jego matki.

– A kości ci nie pomogły? – indagowała Manvah.

Nie mam kości, pomyślała Inevera i przez moment oddychała rytmicznie, by uspokoić nerwy.

– Raz zapytałam je o to. Dowiedziałam się, że zaakceptowałby *dama* Khevata jako teścia i że Kajivah nie mogłaby odmówić, gdyby poprosił Ahmanna o jej rękę. Niestety, sam Khevat oznajmił, że gdyby miał wybór, wolałby poślubić osła.

Obie wybuchły śmiechem. Dobrze było się pośmiać. Nie pamiętała, kiedy robiła to po raz ostatni.

– Skoro nie możesz znaleźć jej męża, przydziel zadanie jak każdej *Jiwah Sen* – podsunęła Manvah.

– To matka Wybawiciela – westchnęła Inevera. – Z trudem udaje mi się namówić ją do przyniesienia dzbana z wodą. Każda prawdziwa praca jest ponad jej siły.

– No to wymyśl coś – poradziła Manvah. Nie przerywając pracy, zapatrzyła się w dal i zacisnęła mocno usta. – Spytaj na przykład, co planuje na comiesięczne przyjęcie wydawane przez Shar'Dama Ka podczas Nowiu.

– Przecież nie ma żadnego... – zaczęła Inevera.

– Wmów jej to – przerwała jej matka. – Przekonaj, że to wielki zaszczyt i że takie przyjęcie sprawi synowi wielką radość oraz zaskarbi mu łaskę Everama. Przydziel jej tuzin pomocników, by wraz z nimi mogła zająć się planowaniem menu, dekoracji, muzyki, ceremonii i listy gości. Zniknie ci z oczu na wiele dni.

– I dlatego właśnie tu przychodzę, matko – uśmiechnęła się Inevera.

Manvah skończyła dno kosza i zaczęła pracować nad brzegiem.

– Wszyscy wiedzą, co robią moi wnukowie, ale nikt nie wie, co się stało z wnuczkami. Czy wszystko jest jak należy? Dokonują postępów w nauce?

Inevera pokiwała głową.

– Twoje wnuczki mają się świetnie i niedługo zostaną *dama'ting*. Amanvah już nosi białe szaty. Wyszła też za mąż.

– A kim jest jej szczęśliwy wybraniec?

– To *chin* z plemienia Zakątka. Na pierwszy rzut oka nie robi wrażenia. Jest drobny, niski i nosi na sobie więcej kolorów niż ślepy *khaffit*, ale Everam obdarza go łaską.

– To ów chłopak, który zaklina *alagai* muzyką? – spytała Manvah.

Inevera uniosła brew, ale matka zbyła ją machnięciem dłoni.

– Wszyscy w mieście mówią o *chin* i jego występie na dworze Wybawiciela. Słyszałam o chłopaku, olbrzymie, wojownicze oraz o – spojrzała dobitnie na Ineverę – księżniczce z zielonych krain.

Inevera splunęła na podłogę. Manvah syknęła.

– Aż tak źle?

– Zakazałam Ahmannowi ślubu z nią – parsknęła Inevera, po raz pierwszy od dawna nawet nie próbując ukryć jadu w swoim głosie.

– To był twój pierwszy błąd – rzekła Manvah. – Nigdy nie powinnaś zakazywać mężczyźnie czegokolwiek. Nawet Kasaad, który od czasu, gdy pozbawiłaś go czarnych szat, jest potulny jak baranek, potrafi być uparty jak osioł, kiedy mu czegoś zabronię. A twój mąż to przecież Shar'Dama Ka!

Inevera pokiwała głową.

– W Evejah'ting stoi napisane: „Zabroń czegoś mężczyźnie, a zaczniesz pożądać tego dziesięciokrotnie mocniej” – przyznała. – Ale jak na złość posłuchałam serca, nie rozumu.

– I jak zareagował Wybawiciel?

Inevera znów miała ochotę splunąć, ale przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko.

– Powiedział, że nie mam prawa mu niczego zakazać. Usłyszałam, że chce z niej uczynić *Jiwah Ka* z zielonych krain, która będzie rządzić jego północnymi żonami.

Manvah przerwała pracę i spojrzała Ineverze prosto w oczy.

– Spodziewałaś się, że dotrzyma przysięgi ślubnej, podczas gdy ty ją łamałaś?

Słowa matki zabolowały. Inevera pożałowała, że opowiedziała jej o Andrahu, ale kilkakrotnie odetchnęła głęboko i odzyskała równowagę.

„Usłyszysz od niej prawdę, której znać nie chcesz”.

– Ja przynajmniej miałam na tyle przyzwoitości, by zrobić to w tajemnicy – warknęła Inevera. – On zaś się szczyci! Zabiera ją do mojej sypialni i ośmiesza mnie przed całym dworem!

– Myślałam, że nie wychowałam idiotki. – Manvah z trzaskiem ułamała koniec długiej witki. – Ale chyba się pomyliłam, skoro myślisz, że dla rogowca ma to jakieś znaczenie. Zraniłaś go, a on teraz odplaca ci się w dwójnasób. Powinnaś być na to gotowa od dawna. Ale tak naprawdę to cóż z tego, że posuwa jakąś zdziwę z Północy? Przecież mężczyźni stworzeni do wielkich celów powinni zdobywać kobiety! Ty zaś na zawsze pozostaniesz jego *Jiwah Ka*.

– Będę jedynie tytułarną *Jiwah Ka* – rzekła Inevera z goryczą. – Nie przyjąłam jego nasienia od prawie dwóch miesięcy.

Manvah parsknęła.

– Skoro tak brzmi definicja *Jiwah Ka*, to ja nie jestem nią dla Kasaada od paru dekad. Nie oddałam mu się od śmierci Soliego.

– Kasaad nie jest Wybawicielem.

– No to przestań udawać obrażoną i wepchnij mu się do łóżka – powiedziała Manvah. – Pokaż mu, że dla ciebie też jest Shar'Dama Ka.

Spojrzała córce w oczy.

– Przypomnij mi, że jesteś jego Damajah. Ludzie mówią, że tamta z Północy wyjechała. Słyszałam też, że nie przyjęła jego oświadczyn. Zrób wszystko, by o niej zapomniał.

– To nie takie proste – westchnęła Inevera. – Ta wiedźma z Północy dała Ahmannowi więcej niż tylko swe wrota do nieba. Namieszała mu w głowie.

– Naprawdę?

– Nie dość, że ona i ta jej matka ładacznica chodziły po pałacu z bezwstydnie obnażonymi twarzami, to jeszcze zaczęły rozpowszechniać pogląd, że nasze kobiety powinny uczestniczyć w *alagai'sharak* tak jak te dzikuski na Północy. By ją uszczęśliwić, Ahmann wydał dekret, że każda kobieta pragnąca zmierzyć się z *alagai* zostanie *Sharum'ting* i otrzyma wszystkie prawa przysługujące wojownikom.

– No i co z tego? – Manvah wzruszyła ramionami.

Inevera rozdziawiła usta.

– Chyba żartujesz? Naprawdę ci się podoba ten pomysł?

– A czemu nie? – Matka wskazała swe szaty. – Myślisz, że lubię nosić te szmaty? Patrę na kobiety z Północy i marzę, żeby być tak wolna jak one. Marzę o tym, by posiadać własny interes, a nie zarządzać majątkiem Kasaada. Bo czemu nie? Tylko dlatego, że klerycy z plemienia Kaji uznali kobiety za bydło i przykazali w świętych wersach, by je źle traktowano? Oburzasz się na ten pomysł, ale przecież sama masz prawo kroczyć nago po pałacu.

– Przecież nie jestem całkiem naga, matko – zaprotestowała Inevera.

Manvah zmierzyła ją ostrym spojrzeniem i Damajah spuściła wzrok. Przed tą kobietą nigdy nie udawało się nic ukryć. Inevera ubierała się wyzywająco, by utrzyć nosa *Damaji*

i przypominać im o swej władzy, ale nie mogła zaprzeczyć, że sprawiało jej to sporo przyjemności.

– Nigdy nie byłaś zwolenniczką *alagai'sharak*, gdy w Labiryncie walczył Soli i co noc narażał swe życie – powiedziała Inevera. – Teraz chciałabyś, żeby do naszych synów dołączyły córki?

– Nienawidziłam *alagai'sharak*, gdy była to jedynie bezsensowna ofiara ponoszona przez naszych mężczyzn dla zaspokojenia dumy Andraha – rzekła Manvah. – Ale przecież twoje cudowne kości zdradziły, że Ahmann jest Wybawicielem, zesłanym przez Everama, by przeprowadzić nas przez *Sharak Ka*, nieprawdaż?

– Powiedziały tylko, że to możliwe – przypomniała jej Inevera.

Manvah znów zmierzyła córkę ostrym spojrzeniem.

– No to lepiej módl się, żeby okazało się to prawdą. W przeciwnym razie zmarnowałam ostatnie dwadzieścia lat swojego życia. A czy kości nie przekazały, że *Sharak Ka* nadchodzi tak czy owak? *Alagai* zabijają nie tylko mężczyzn, ale również kobiety, córko. To, że pomysł walki u boku mężczyzn przybył z Północy, nie ma większego znaczenia. Nie daj się zaślepić nienawiści do zielonych krain. Pamiętaj pewnie, jak Krisha i jej paskudne siostry-żony spuściły lanie twojemu ojcu. Istnieją kobiety, które są urodzonymi wojowniczkami. Pozwól im walczyć. Ba, zachęć je do tego. Zawłaszcz północny obyczaj, a niebawem zaczniesz kraść owoce z drzewa zasadzonego przez panią z Zakątka.

– Będzie mnóstwo sprzeciwów – rzekła Inevera.

Jej matka pokiwała głową.

– Będzie sporo głośnych wrzasków i jeszcze więcej tłumionej wściekłości. Kilku durniów ze sflaczałymi fiutami wybierze kilka kobiet z brzegu i wyładuje na nich złość. Nikt jednak nie przeciwstawi się publicznie woli Shar'Dama Ka i wkrótce obyczaj zostanie powszechnie zaakceptowany.

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Do tego, że obnażasz się publicznie, ludzie też się przyzwyczaili.

Inevera udała wstrząśniętą, a Manvah mrugnęła do niej.

– Krasjańskie kobiety jednak będą cię za to wielbić, nawet jeśli nie przyznają tego publicznie. Daj im prawo do walki, a nigdy nie przestaną cię kochać.



Po spotkaniu z matką Inevera ruszyła pospiesznie przez bazar. Nie lubiła rozstawać się z Manvah. Za każdym razem bolało ją serce, bo wiedziała, że ich rozłąka znów będzie trwać długie miesiące. Spędziła jednakże sporo czasu w kramie i nie chciała budzić podejrzeń swą nieobecnością. Tożsamość jej rodziców była najpilniej strzeżonym sekretem, do którego nawet Ahmann nie miał dostępu. Ich imiona znane były Qevie, ale kości powiedziały Ineverze, że *Damaji'ting* Kaji nigdy jej nie zdradzi.

Gdy pędziła wśród straganów, nastąpił zbieg okoliczności tak nieprawdopodobny, iż zgoła nie mogła uwierzyć, że jej kości nie miały z tym nic wspólnego. Ujrzała znanego sobie mężczyznę w szacie bez rękawów i czarnym stalowym napierśniku ze złotym sercem.

Był to Cashiv.

Wyglądał niemalże tak samo jak przed laty, co najlepiej świadczyło o jego waleczności. Podobnie jak u innych wojowników Włóczni Wybawiciela wydawało się, jakby starość nie miała do niego przystępu. Podczas walk wchłaniali bowiem tyle magii, że co noc młodzieli o kilka godzin. Dopiero ich oczy i wyraz twarzy zdradzały, iż w rzeczywistości nie są pierwszej młodości. U starszych wojowników, takich jak Kaval, pierwsze symptomy młodnienia pojawiały się powoli, ale mniej dojrzały szybko odzyskiwali dawny wygląd. Cashiv był mężczyzną pod pięćdziesiątkę, ale wyglądał na trzydziestolatka.

Tuż za nim szło dwóch innych *Sharum*, wojowników o młodych ciałach i starych oczach. Inevera rozpoznała obu i przez moment instynktownie spodziewała się, że ujrzy za nimi Soliego.

Nie myślała o nich od wielu lat. *Dama* Baden miał silną pozycję na dworze Wybawiciela, ale Inevera nie widziała jego ulubionych *kai'Sharum*, odkąd Cashiv przeklął ją za oszczędzenie życia Kasaadowi. Czy jej wybaczył?

Zamarła. Inevera była powszechnie spotykanym imieniem i Damajah nie wiedziała, czy Cashiv zdawał sobie w ogóle sprawę, że siostra jego nieżyjącego ukochanego była pierwszą wśród kobiet Krasji. Ale gdyby ją ujrzał...

Nie życzyła sobie, by *dama* Baden dowiedział się, gdzie mieszka teściowa Wybawiciela. Z pewnością miał na tyle oleju w głowie, iż nie zagroziłby jej otwarciu, ale Inevera nie życzyła sobie, by ktokolwiek poznał jej sekret.

Będę musiała go zabić, uświadomiła sobie. I to szybko, nim powie innym.

Przygotowała się na najgorsze, ale Cashiv i pozostali przeszli obok, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Jeden powiedział coś na głos i Cashiv ryknął śmiechem. Po chwili skręcili za róg.

Inevera wypuściła powietrze z płuc. Nie zauważyli jej.

Oczywiście, że nie, idiotko! – ofuknęła się w myślach. Przecież nosisz czarne szaty.



Inevera czekała w sypialni Ahmanna na jego powrót. Miała na sobie przejrzyste jedwabne szaty, zakładane do tańca miłosnego, oraz mnóstwo biżuterii, w tym nowy naszyjnik z monetami z białego złota. Wryto na nich runy skopiowane z Korony Kajiego, chroniące przed interwencją demona umysłu, oraz symbole wyostrzające zmysły i dające możliwość widzenia magii. Inevera patrzyła, jak magiczna emanacja, układająca się w kręgi i spirale, przesuwana się po podłodze niczym piaskowe diabły, przyciągana przez runy na ścianach.

Damajah oczywiście dysponowała wspaniałymi pokojami, o wiele okazalszymi od tych, które przydzielono innym żonom. Każda *Jiwah Sen* miała własne komnaty, wśród których znajdowała się prywatna komnata audiencyjna i bogato zdobiona sypialnia do spania i zabawiania Wybawiciela. Na wypadek gdyby wiedziony kaprysem Ahmann zastukał do ich drzwi, wszystkie przez cały czas miały wygolone intymne zakamarki i naoliwioną skórę, by móc bezzwłocznie dostarczyć mu rozkoszy.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Magia, którą mężczyźni wchłaniali podczas *alagai'sharak*, gdy wbijali włócznie w ciała demonów, nie tylko odmładzała ich, dodawała im siłę i leczyła rany, ale także budziła w nich zwierzęce pasje. Pijani mocą wojownicy chcieli jedynie polować, zabijać i zapładniać. Ahmanna zawsze cechowała ogromna chęć, lecz od czasu, gdy posmakował magii, jego potrzeby stały się trudne do zaspokojenia. Wiele żon z trudem zwlekało się z łoża po jego wizycie i goiło później otarcia w łaźniach pod czujnym okiem eunuchów masażystów.

Osobiste komnaty żon Ahmanna, choć wspaniale urządzone, nie mogły się jednakże równać z pokojami samego Wybawiciela, w których panował niewiarygodny przepych. Tam zwykł najczęściej odpoczywać, a jego *Jiwah Sen*, ubrane w jaskrawe, prześwitujące jedwabie, czekały nań wedle ustalonej kolejności, by go wykąpać i mu służyć.

Porządek ustaliła sama Inevera, gdyż należało to do obowiązków *Jiwah Ka*. Bywało, iż radziła się kości, by przewidzieć, która z *Jiwah Sen* najszybciej zajdzie w ciążę, ale najczęściej postępowała tak, jak Kenevah podczas przyjęć herbacianych. Ustalona przez nią kolejność wskazywała, które z żon Ahmanna należały do jej faworytek, a które właśnie wypadły z łask.

Wybrane przez nią żony miały przede wszystkim usługiwać jej, a Wybawiciela odwiedzały tylko wtedy, gdy zezwoliła na to Inevera. Nie działało się to często, bo Damajah pozwalała na to tylko i wyłącznie dla dobra swego narodu. Chciała, by związki Ahmanna z każdym plemieniem pozostały silne, a jego potrzeby zaspokojone, zwłaszcza w chwilach, gdy musiała zajmować się czymś ważnym. Sama odwiedzała jego sypialnię o wiele częściej niż wszystkie żony razem wzięte. Dzięki bezustannemu kontaktowi z kośćmi jej ciało było nadal młode i silne, a w sypialni ujawniała ogromną pasję. Ahmann nie mógł zasnąć, jeśli nie zaznał wcześniej przyjemności z kobietą, a potrzeby Inevery były równie silne. Pozostałe kobiety musiały więc jej często ustępować i dziękowały za to Everamowi.

Tymczasem od wyjazdu Leeshy żadna z żon Shar'Dama Ka nie ogrzała mu łoża. Urażona Inevera nie miała ochoty go widywać, a Ahmann co noc odsyłał pozostałe *Jiwah Sen* ze swych komnat, zupełnie jak wojownik, który przejechał się na dorodnym ogierze, a teraz ze wzdargą patrzy na wielbłądy.

Pomimo słów matki myśl o dziwce z Północy nadal burzyła spokój Inevery. Gdy rzuciła kośćmi, by poznać konsekwencje wyprawy Ahmanna do Zakątka Wybawiciela, a te przekazały, że Jardir zakocha się w kobiecie *chin* i zrobi jej dziecko, Inevera nie mogła uwierzyć. Po raz pierwszy od wielu lat zwątpiła we wróżbę. Po raz pierwszy od przybycia Par'china.

Kości nigdy nie mówiły, że coś stanie się na pewno, ale przedstawiały jedynie ewentualne konsekwencje. Podczas nieobecności Ahmanna Inevera modliła się więc co noc, by mąż pozostał jej wierny.

Tymczasem matka miała rację. Ahmann nie zapomniał o Andrahu, a zabicie tego człowieka nie przyniosło mu ulgi. Inevera od tego czasu nie spała z nikim innym, nawet z żadną *Jiwah Sen*, ale nie miało to znaczenia. Nieufność męża była dla niej równie zauważalna jak luka w barierze.

Uwiedzenie Leeshy i upokorzenie *Jiwah Ka* również nie było sposobem na uśmierzenie bólu w jego sercu, ale o tym Ahmann musiał się przekonać osobiście. Inevera mogła więc tylko wierzyć w to, że człowiek, który darował życie Hasikowi, a nawet poślubił jego córkę, kiedyś wybaczy swej Pierwszej Żonie.

Wedle nauk zawartych w *Evejah'ting* wszystko miało swą cenę. Ahmann potrzebował Inevery, aby osiągnąć zwycięstwo w *Sharak Ka*, a ona mogła mu pomóc tylko jako *Jiwah Ka*. Gdy Inevera utraci swą pozycję, wiele przywilejów i możliwości znajdzie się poza jej zasięgiem. Musieli się spotkać, pogodzić i zjednoczyć na powrót, i to szybko, nim rozłam między nimi stanie się zbyt poważny.

To z tego powodu czekała na niego tej nocy. Tylko i wyłącznie z tego.

Bo ból serca mogła zignorować.

Jeden z jej wielu pierścieni zadrżał lekko, co oznaczało, że otwarto zewnętrzne drzwi do komnat jej męża. Przykazała, by im nie przeszkadzano, a więc to mógł być tylko Ahmann.

Inevera niespodziewanie poczuła ukłucie lęku. Czy każe jej odejść tak jak wielu innym? Nawet Qasha i Belina, które do tej pory były jego ulubionymi kochankami, wypadły z jego łask na rzecz kobiety z zielonych krain. Czyżby Melan i Asavi miały rację i Ahmann w istocie uległ czarowi jasnej skóry? Co się stanie z jej zjednoczonym narodem, jeśli to była prawda? *Damaji* oraz *Damaji'ting* byli w stanie ścierpieć to, że Wybawiciel wziął do łóżka kobietę *chin*, ale Inevera wiedziała, że wyniesienie jej do rangi *Jiwah Ka* wywoła powszechne oburzenie. *Jiwah Sen* będą wówczas oczekiwać, iż Inevera znajdzie rozwiązanie tego konfliktu, a jeśli tak się nie stanie, jej znaczenie rozwieje się jak dym.

W uporządkowanym umyśle strach nie miał jednak wpływu na proces podejmowania decyzji. *Damajah* pochyliła się, skupiła i odpędziła lęk. Dzięki serii rytmicznych oddechów odzyskała równowagę. Stawi czoła kryzysowi i naprawi sytuację, nim będzie za późno.

Drzwi rozwarły się i do środka wszedł Ahmann. Oddychał równo, ale bił od niego zapach potu i krwi oraz smród juchy demonów. Tak pachnieli mężczyźni wracający z *alagai'sharak*, a Inevera wiedziała, że jej mąż nie chował się za plecami innych, ale walczył na przedzie i wiódł swych ludzi w największy gąszcz przeciwników.

Dla Inevery była to oszalamiająca woń. Tysiące razy Ahmann wracał z bitwy, aż kipiąc żądzą, z magią huczącą we krwi, i zastawał *Jiwah Ka* w swych komnatach. Tańczyła dla niego, a on zapominał o kąpeli, przyciskał do najbliższego mebla i brał tak, jak chciał. Wspomnienie sprawiło, że Ineverę przeszył dreszcz.

W pomieszczeniu nie było ciemno. Emanowały wyryte w ścianach runy, które podgrzewały wodę, schładzały powietrze bądź chroniły przed intruzami i szpiegami. Mieniło się również wiele sprzętów, które zawierały cząstki *hora*, obudowane metalem dla ochrony przed światłem.

Żaden jednak nie jaśniał tak bardzo jak sam Ahmann. Runy, które wycięła w jego skórze, wręcz błyszczały od magii, którą wchłonął podczas nocnej bitwy, jego korona jarzyła się jeszcze mocniej, a Włócznia Kajiego lśniła niczym słońce.

Tymczasem choć Ahmann aż skrzył od mocy, szedł zgarbiony, jakby obarczał go wielki ciężar.

Inevera machnęła dłonią i aktywowała niewielki pierścień z rubinem, noszony na najmniejszym palcu. Zawierał on cząstkę kości ognistego demona. Niespodziewanie wszystkie świece w komnacie zapłonęły, a z kadzielnicy buchnął jego ulubiony zapach.

Ahmann zauważył ją dopiero wtedy. Westchnął, wyprostował się i przyjrzał jej uważnie.

– Nie spodziewałem się ujrzeć tu ciebie, żono.

– Jestem twoją *Jiwah Ka*, Ahmannie – rzekła Inevera. – To moje zadanie.

Ahmann pokiwał głową, ale nadal wydawał się spięty.

– Twoim zadaniem jest również zajmowanie się przydziałem nowych żon. Tymczasem nie zrobiłaś nic, by nawiązać kontakt z Leeshą z Zakątka, pomimo jej oczywistych walorów.

– Służę w pierwszej kolejności Everamowi i *Sharak Ka*, a dopiero później tobie, mężu – odparła Inevera. – Co nie powinno cię dziwić, bo ty również przedkładasz święte cele ponad moją osobę. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale połowa twoich *Damaji* wybuchłaby gniewem, gdybyś uczynił Leeshę swoją *Jiwah Ka* Północy.

– A niech się wściekają – rzekł Ahmann. – Jestem Shar'Dama Ka. Nie zależy mi na ich miłości. Wystarczy, że będą lojalni.

– Może i jesteś Shar'Dama Ka – syknęła Inevera z ironią. – A może jesteś tylko i wyłącznie tym, co z ciebie zrobiłam. Tymczasem gotów jesteś pomniejszyć moją pozycję równie łatwo, jak rozdierasz bochenek chleba! I to wszystko dla kobiety, którą ledwie znasz! Kości przykazały mi wykorzystywać każdą dogodną okazję, by ci pomóc, ale nie będę wspierać głupca, który szcza na ludzi gotowych za niego umrzeć, a wrogów obsypuje złotem.

– Nigdy by do tego nie doszło, gdybyś zgodziła się przyjąć ją jako *Jiwah Sen* – rzekł Ahmann. – Gdzie w tym była mądrość? Przyprawiam kobietę, którą chcę pojąć za żonę jak należy, kobietę, która może ściągnąć tysiące wojowników na *Sharak Ka*, a przy tym zna czary, o których nigdy nie słyszałaś. Abban nawet już wynegocjował posag z jej matką. Wiesz, czego chciała? Prawie niczego! Zażądała trochę ziemi, trochę złota, pozbawionego znaczenia tytułu i uznania jej plemienia. A ty odrzuciłaś ją bez wahania. Dlaczego? Boisz się jej?

– Boję się tego, co ta wiedźma z tobą zrobiła – wyznała Inevera. – Cenisz ją o wiele za bardzo, niż na to zasługuje. Powinieneś ją przywlec jako niewolnicę przytroczoną do siodła, a nie wprowadzać na dwór i obdarowywać pałacem!

– Ta Damajah, którą kiedyś znałem, nie bała się żadnej kobiety – prychnął Ahmann z pogardą. – Prawdziwa Damajah zdobyłaby nad nią władzę. Powiedz mi prawdę: co ci powiedziały kości? Że jesteś Damajah? Czy że może nią jesteś?

Inevera poczuła się, jakby mąż wymierzył jej siarczysty policzek. Oddychała miarowo, by odzyskać równowagę.

– Nie widziałaś rodaków Leeshy – ciągnął Ahmann. – Nie spędziłaś z nią tygodni na szlaku. Ludzie na Północy są silni, Inevero. Wiesz, co byłoby ceną za sojusz z plemieniem Zakątka? To, że pewna kobieta, jedyna na całym świecie, nie musiałaby ci się kłaniać. Czy to za dużo?

– A ty byłbyś gotów zapłacić tę cenę? – spytała Damajah. – Prawdziwą przyczyną Wojny w Blasku Dnia jest Naznaczony, ten, którego na Północy zwą Wybawicielem, Ahmann. Nawet ślepiec potrafiłby to zauważyć. A twoja bezcenna Leesha chroni go! Broni go, by on mógł wbić ci włócznię w plecy!

Twarz Ahmanna pociemniała i Inevera wystraszyła się, że powiedziała za dużo, ale jej mąż opanował złość.

– Nie jestem głupcem. Mamy agentów w Zakątku. Jeśli Naznaczony się pojawi, dowiem się o tym i zabiję go, jeśli nie złoży mi hołdu.

– A ja albo przyprowadzę córkę Erny’ego przed twoje oblicze, albo przedstawię dowody na to, iż nie jest wierna Everamowi – obiecała Inevera. Uniosła się z poduszek, zakręciła biodrami i obróciła. Dzięki promykom świec stojących za nią przejrzyste szaty stały się niemal niewidzialne, co uwydatniło jej piękne kształty. W powietrzu wisiał ciężki zapach kadzidła. Ahmann wstrzymał oddech, gdy Inevera zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Wierzę w to, że jesteś Wybawicielem, ukochany – powiedziała. – Wierzę z całego serca, że Ahmann Jardir jest człowiekiem, który poprowadzi nasz lud do zwycięstwa w *Sharak Ka*.

Śmiało uniosła woalkę i ucałowała go.

– Trzeba więc wykorzystać każdą sposobność, skoro mamy pokonać Nie na Ala. Musimy być zjednoczeni.

– „Jedność jest warta każdej ceny we krwi” – Ahmann zacytował Evejah i odwzajemnił pocałunek, wsuwając język w jej usta. Inevera poczuła, że jest spięty, ale wiedziała, co stanowi przyczynę. W okamgnieniu ściągnęła jego szaty i zaprowadziła go do łaźni. Gdy schodził po stopniach do gorącej wody, Inevera założyła dzwonki, wiszące dotąd przy pasku, i zaczęła tańczyć wśród pary, dymu i promyków świec.



– Mam zamiar zaatakować Lakton za niecałe trzy miesiące – powiedział cicho Ahmann, gdy leżeli razem w łóżu. Trzymał Ineverę blisko. Jego muskularne ciało było całkiem nagie, miał na sobie jedynie koronę, z którą rozstawał się rzadko, a nigdy w nocy. Inevera była ubrana jedynie w biżuterię.

– Trzydzieści dni po nocy przesilenia letniego – dodał. – W dzień, który mieszkańcy zielonych krain zwą Pierwszym Śniegiem.

– Czemu akurat wtedy? Czyżby *Damaji* przestudiowali mapy nocnego nieba i przypisali temu dniu szczególne znaczenie?

Nawet nie starała się ukryć pogardy w głosie. Uprawiana przez *dama* sztuka odczytywania znaków na niebie była prymitywnym nonsensem w porównaniu z *alagai hora*.

Ahmann pokręcił głową.

– Szpiedzy Abbana zameldowali, że tego dnia mieszkańcy zielonych krain zwożą plony do stolicy. Wystarczy jedno precyzyjne uderzenie, a ich stolica zostanie pozbawiona zapasów na zimę, a my będziemy bez obaw oczekiwać na śniegi.

– To teraz *khaffit* doradza ci w sprawach strategii?

– Sama dobrze znasz wartość Abbana. Jego przepowiednie co do zysków są niemal tak precyzyjne jak wróżby twoich *hora*.

– Być może – przyznała Inevera niechętnie. – Ale uzależnianie od nich losu całego narodu to ryzyko.

Ahmann pokiwał głową.

– Dobrze, a więc pora, byś potwierdziła te informacje. Rzuć kośćmi.

Inevera otworzyła szeroko usta. Podczas ataku księcia demonów Ahmann walczył z jego przybocznym i nie widział, że demon umysłu wyszał magię z *hora* i rozsypały się one w pył. Jak dotąd ukrywała ten sekret przed wszystkimi, nawet przed nim.

– *Alagai hora* zdradzają to, na co mają ochotę, ukochany – rzekła. – Nie mogę się spodziewać, że zweryfikują dane wywiadu.

– Robiłaś to na moich oczach tysiące razy. – Ahmann przyjrzał jej się uważnie.

– To kiepskie warunki, by... – zaczęła Inevera, ale przerwał jej rozbłysk magii jednego z klejnotów w koronie Ahmanna.

– Kłamiesz – oznajmił Shar'Dama Ka surowo. – Coś przede mną ukrywasz. Cóż to takiego?

Wbijał w nią wzrok, a klejnot dalej połyskiwał. Inevera poczuła się bezbronna.

– Księżę demonów zniszczył moje kości – wypaliła. Nie miała najmniejszej ochoty tego przyznawać, ale bała się brnąć w kłamstwo. Niespodziewanie zrozumiała, co się działo. Ahmann wykorzystywał jedną z ukrytych mocy korony.

Wedle *Evejah'ting* runy wygrawerowano po obu stronach świętego metalu, którym obleczono kości demonów. Inevera marzyła o tym, by poznać ich tajemnicę, ale nie mogła tego uczynić bez rozebrania świętego artefaktu na kawałki. Nie ośmieliła się nawet prosić o zgodę na takie świętokradztwo.

Ahmann patrzył na nią kwaśno.

– Mogłaś mi po prostu powiedzieć.

Inevera zignorowała jego słowa.

– Zaczęłam już rzeźbić nowe. Wkrótce znów będę mogła odgadywać przyszłość.

– A może póki co poproszę o to którąś z twoich *jiwah* – zastanowił się Ahmann. – Przecież nie mogę czekać.

– Możesz – odparła Inevera. – Do Pierwszego Śniegu mamy jeszcze trzy miesiące, a ty masz wiele innych spraw na głowie.

– Tak. – Ahmann pokiwał głową. – Jak choćby Nów.



Gdy Inevera się obudziła, Ahmann, choć wciąż pogrążony we śnie, nadal otaczał ją ramionami i tulił zaborczo do siebie.

Ostrożnie przycisnęła kciuk do odpowiedniego miejsca na ramieniu Ahmanna. Jego ręka zdrętwiała na moment, a Inevera zdążyła się w tym czasie wyslizgnąć z łóżka. Jej bose stopy zanurzyły się w miękkim dywanie. Stąpała tak zręcznie, że dzwoneczki wokół jej kostek nie odezwały się ani razu.

Ahmann z każdym dniem stawał się coraz potężniejszy i potrzebował coraz mniej snu, ale nawet Wybawiciel musiał zamknąć oczy raz na kilka godzin, a Inevera dołożyła wszelkich starań, by zasnął odprężony. Udała się na taras. Nasienie Ahmanna wolno spływało po jej nodze. Zastanawiała się, czy ich zbliżenie zaowocuje kolejnym dzieckiem. Bez *hora* nie miała już pewności, ale kochali się dziko i namiętnie, a ponadto upłynęło już wiele czasu, odkąd urodziła mu syna.

Wykastrowani strażnicy otworzyli przed nią wielkie szklane drzwi. Inevera przeszła obok, nie zwracając na nich uwagi, ciesząc się ciepłym wiatrem i blaskiem słońca na skórze. Strażnicy, którzy mieli za zadanie ochraniać żony Ahmanna, zostali całkowicie wykastrowani i żaden z nich nawet nie spojrzął na jej nagie ciało.

Inevera oparła się o marmurową balustradę i spojrzała na ziemię Lenna Everama, zieloną krainę zwaną kiedyś Rizon. Uświadomiła sobie, że ta kraina emanuje wielką potęgą, mrowiącą niczym blask słońca i krople nasienia na jej nodze.

Pałac Ahmanna był żalosną budą. Poprzedni właściciel, książę Edon z Fortu Rizon, nie należał do dobrych władców, podobnie jak jego ojciec i dziadowie. Bogactwa, którymi się otaczali, wystarczały im w zupełności i żadnego nie interesowało wyciskanie większej ilości złota z poddanych. Mając do dyspozycji tak ludne tereny, Edon mógł sobie pozwolić na pałac, na

którego widok Andrah pozieleniałby z zazdrości. Tymczasem zadowalał się zaledwie czteropiętrową budowlą z dwoma skrzydłami i cienkimi, niskimi murami. Inevera знаła przynajmniej tuzin *dama*, którzy w Krasji wzniesli o wiele bardziej imponujące siedziby. Pałac Edona ledwie nadawał się do pełnienia roli siedziby Ahmanna, ale i tak był lepszy niż pawilony, w których spali podczas podróży przez pustynię.

Najznamienitsi architekci kreślili już plany nowego pałacu, który chcieli wznieść po zburzeniu siedziby Edona. Planowali wieżyczki tak wysokie, iż mogłyby sięgnąć samych Niebios, oraz podziemia tak przepastne i głębokie, że sama Matka Demonów drżałaby w Otchłani.

Edon w istocie pochodził z rodziny kiepskich władców, ale żaden z nich nie był kompletnym idiotą. Ze wzgórza, na którym wzniesli swą siedzibę, roztaczał się niezrównany widok. Ziemie Lenna Everama leżały na wyciągnięcie ręki, zielone, soczyste i kwitnące, pełne świetnych gleb, strumyków i rzek. Inevera widziała równo wytyczone pola i rzędy drzew, poprzecinane siatką szerokich dróg, rozciągających się wokół miasta niczym szprychy koła. Tu sady, tam pola kukurydzy. Dostrzegała setki wiosek, które bez trudu rozdzielono między plemiona, by zaspokoić żądzę rabowania u wojowników po długiej podróży przez pustynię i ostrej zimie.

Mieszkańcy zielonych krain byli o wiele liczniejsi od ludu pustyni, ale nie potrafili walczyć. Dzięki przepowiedniom Inevery *Sharum* Ahmanna zajęli księstwo równie łatwo, jak kot łapie mysz. Bogactwo jednakże sprawiło, że zmiękli i osłabli.

Zbudowanie nowej stolicy w Rizon było dobrym pomysłem, ale Ineverze nie podobało się, że Krasjanie otaczają się zbytkiem i wygodami w tej krainie obfitości. Rzucąca kośćmi, gdy włócznie wojowników nadal ociekały świeżą krwią, i wiedziała, że jeśli przerwą marsz ku północy, jej lud upodobni się do podbitych Rizończyków. Tymczasem nadciągająca wojna wymagała twardych, zahartowanych ludzi.

Przyznawała to z największą niechęcią, ale pomysł *khaffit*, by zaatakować Lakton przed nastaniem zimy, miał sens.

Inevera weszła do środka i dała znać służącym, by podgrzali wodę i przygotowali olejki aromatyczne. Ubrali ją również w przejrzyste jedwabie. Inna kobieta może czułaby się nieswojo, wychodząc z sypialni niemalże naga, ale Inevera była Damajah, przez co nikt nie śmiał jej zaczepiać.

Pod wzgórzem, na którym wznosił się pałac, ciągnęły się wielkie jaskinie. Dostać się tam można było tunelem wykutym w skale przez niewolników Inevery. Damajah w ciszy zeszła na sam dół w asyście nieodłącznych, bezszelestnych eunuchów. Kilku szło przed nią, kilku za nią, ale w miejscu, które było kolebką jej mocy, Inevera nie obawiała się żadnego zagrożenia. Bez kości czuła się ślepa i nie była w stanie przewidzieć niebezpieczeństwa, ale nawet gdyby jakiś szalony zamachowiec czy zbłąkany *alagai* stanął jej na drodze, potrafiła się obronić.

W końcu dotarła do wielkich kamiennych wrót. Strażnicy stanęli po obu stronach, a Inevera wyciągnęła z sakwy przy pasie jedyny istniejący klucz. Był to tylko fortel – klucz obracał się w zamku z metalicznym kliknięciem, ale niczego nie otwierał. Drzwi tak naprawdę otwierała oprawiona w złoto *hora* w bransoletce, która rozgrzewała się, gdy tylko dłoń Inevery zbliżyła się do zamka. Wygrawerowane runy aktywowały cząstki kości w zamkach, a te odsuwały ciężkie zasuwę. Nawet gdyby złodziej znający się na symbolach rozgryzł tę sztuczkę, nie byłby w stanie stworzyć identycznej bransoletki, a tej Inevera nigdy nie zdejmowała. Drzwi ważyły wiele ton, ale cicho otworzyły się do środka, a potem równie gładko zamknęły.

Szła korytarzami, których nigdy nie tknęło światło Everama. Nie potrzebowała lampy, by rozproszyć ciemności, ale zawieszony na jej szyi łańcuch złożony z cieniutkich złotych ogniów rozgrzał się nieco i otworzył zmysły Damajah na unoszącą się wszędzie magię. Moc Otchłani rozbrzmiewała w ścianach i unosiła się niczym dym, opromieniając jej drogę.

Inevera nie bała się otaczającej potęgi, zachwycała się nią. Everam stworzył Ala, a moc gromadząca się w jej wnętrzu również była jego dziełem. Sługi Nie mogły z tej mocy czerpać, ale magia ta nie należała do nich. Kreślenie runów było metodą wykradania mocy i wykorzystywania jej dla celów zgodnych z wolą Everama.

Inevera szła pewnie, aż dotarła do specjalnego miejsca w skalnej ścianie. Tam uklękła i przesunęła kamień, za którym ukryła narzędzia do rycia runów, sakwę na *hora* oraz kości demona umysłu zabitego przez Ahmanna. *Hora* płonęły intensywniej niż jakiegokolwiek, które wcześniej widziała.

Ahmann nie uwierzył, że był to Alagai Ka, ojciec wszystkich demonów, ale bez wątplenia potwór ten pochodził z jego miotu. Inevera nie rozumiała w pełni jego potęgi. Demon bez najmniejszego wysiłku wyssał moc z jej kości i zamienił w pył, przecinając kontakt *dama'ting* z Everamem.

Damajah nie marnowała jednak czasu na łyzy i śmiało zaczęła rzeźbić nowe *hora*. Jej umiejętności poprawiły się znacznie od czasów, gdy była młodą Zaprzysiężoną. Widziała teraz efekty swej pracy w świetle runów. Ukończyła już trzy z siedmiu kości, o wiele potężniejszych od utraconych. Cieszyłaby się, gdyby dzięki nim mogła już zerknąć w przyszłość – przecież człowiek z jednym okiem też coś widzi – ale kości z osobna były bezużyteczne i dopiero wszystkie razem działały jak należy.



Słońce stało już w zenicie, gdy wreszcie wyszła z Komnaty Cieni i udała się do pałacu. Asavi i Melan oczekiwały przed salą tronową i ruszyły w ślad za Ineverą, gdy podeszła bliżej. Strażnicy *Sharum* ukłonili się i otworzyli przed nimi drzwi.

– Co się dzieje? – mruknęła Inevera.

– Wybawiciel właśnie otworzył obrady, Damajah – rzekła Asavi. – Spóźniłaś się tylko na ceremonię wstępną.

Inevera skinęła głową. Spóźnienie było przemyślanym posunięciem, gdyż chciała się wymigać od formalnych uroczystości na dworze. Nie przepadała za odczytywaniem niekończących się tytułów i list zasług oraz za nużącymi modlitwami. Uważała, że Damajah jest ponad takimi sprawami, a w Komnacie Cieni spędzała czas o wiele pożyteczniej. Dla niej, która nigdy osobiście rozmawiała z Everamem, modlitwa wydawała się nonsensem.

Zerknęła na sakwy z *hora* swych towarzyszek. Czy kości im zdradziły, że Damajah jest ślepa? Melan i Asavi służyły jej wiernie od wielu lat, ale nadal były Krasjankami. Gdyby wykryły słabość, z pewnością by ją wykorzystały. Inevera nie zawahałaby się przecież ani chwili. Zastanawiała się, czy nie skonfiskować kości którejś z nich albo mniej ważnej Oblubienicy, przynajmniej do ukończenia nowego zestawu, ale pokręciła głową. Żadna *dama'ting* nie śmiałaby się jej sprzeciwić, ale była to zbyt wielka zniewaga. Równie dobrze Inevera mogła zażądać, by oderżnięto owej Oblubienicy rękę i przyniesiono ją na tacy. Musiała wierzyć w to, że Everam nie zdradzi im tej informacji, chyba że Damajah wypadła z Jego łask. Ale przecież pogodziła się z Ahmannem! Nie było więc powodu, by tak myśleć.

Odetchnęła głęboko, by odzyskać równowagę, i przeszła przez drzwi.

Jak zwykle w sali tronowej panował tłok. Po prawej stronie podwyższenia, na którym zasiadał Wybawiciel, skupiło się dwunastu *Damaji*. Przewodzili im zwierzchnicy dwóch najsilniejszych plemion – szwagier Ahmanna, Ashan, stojący na czele Kaji, oraz sędziwy jednoręki Aleverak z Majah. Każdemu *Damaji* asystował drugi syn Ahmanna spłodzony z *dama'ting* z danego plemienia. Wyjątkiem był Ashan, któremu towarzyszyli syn Inevery, Asome, oraz jej siostrzeniec Asukaji.

Ahmann obiecał, że przywództwo plemienia Kaji przejdzie na syna Ashana, choć pozbawił tym spadku Asome, drugiego w kolejności z siedemdziesięciu trzech potomków Wybawiciela.

Kuzyni jednakże bynajmniej nie pałali do siebie wrogością. Wręcz przeciwnie, razem dorastali i byli kochankami od czasu pobierania nauk w Sharik Hora.

Ineverze nie przeszkadzało to, że są parą, ale wściekła się, kiedy Asome zaaranżował małżeństwo z własną kuzynką, Ashią, która mogła urodzić mu dziecko. Wolała już, by Ahmann wydał Amanvah przybyszowi z zielonych krain, niż oddał ją Asukajiemu. Byłoby to kolejne kazirodztwo, które wzmocniłoby nierozzerwalne już więzi z Ashanem.

Po lewej stronie podium stało dwanaście *Damaji'ting*, którym przewodziła Qeva z Kaji. Podobnie jak w przypadku *Damaji*, asystowały im następczynie. Przy Qevie stała Melan, a przy przywódczyniach innych plemion pozostałe *dama'ting*, żony Ahmanna. Skład obu grup stanowił dzieło Inevery. Podczas gdy *Damaji* kłócili się wściekle na forum, *Damaji'ting* milczały.

Hasik, który stał przy drzwiach, wyprężył się na jej widok i grzotnął okutym końcem włóczni o podłogę z marmuru.

– Damajah!

Inevera nawet nie spojrzała na głównego ochroniarza męża. Hasik zgładził w życiu setki *alagai*, a przez ślub z niewiele wartą siostrą Ahmanna, Hanyą, stał się jej bratem. Inevera wciąż jednak pamiętała, że to ten człowiek zaatakował i zgwałcił jej ukochanego owej pamiętnej nocy w Labiryncie. Ahmann z czasem okiełznał Hasika, ale Inevera wciąż uważała go za coś niewiele lepszego od zwierzęcia. Pilnował się, by nie wyrządzić najmniejszej nawet krzywdy najmłodszej siostrze Wybawiciela i swojej żonie, ale przysparzanie innym cierpień nadal sprawiało mu mnóstwo przyjemności. Inevera uważała, że nie jest godzien uwagi, z wyjątkiem sytuacji, gdy się do czegoś przydawał.

Wszyscy unieśli głowy, obrócili się niczym stado spłoszonych ptaków i złożyli jej pokłon. *Damaji* patrzyli na Ineverę z nienawiścią, ale zignorowała ich i spojrzała w oczy Ahmannowi.

Idąc przez salę, nie przerwała kontaktu wzrokowego ani na moment. Kołysała rytmicznie biodrami jak podczas tańca miłosnego, a jej mgliste, półprzejrzyste szaty unosiły się, jakby chciała oczarować całą salę. Czowała na sobie spojrzenia *Damaji*, gdy mijała ich podwyższenie. Niektórzy wpatrywali się w nią z pożądaniem, inni z nienawiścią. Czuli się upokorzeni tym, że znaleźli się w hierarchii niżej od kobiety, ale pożądanie, które budziła, było o wiele potężniejszym uczuciem. Inevera wiedziała, że wielu *Damaji* wybierało kochanki podobne do niej i czerpało mnóstwo przyjemności ze znęcania się nad nimi. Inevera robiła wszystko, by ich do tego zachęcić. Wiedziała, że dzięki temu znajdą się pod jeszcze większym jej wpływem.

– Matko! – Jayan pochylił się z szacunkiem. Pierworodny czekał na nią przy podwyższeniu, na którym zasiadał Wybawiciel. Miał na sobie czarne szaty wojownika i biały turban *Sharum Ka*.

– Synu! – Inevera uśmiechnęła się i skinęła głową, w głębi ducha zastanawiając się, coż on tu robi. Jayan nie znosił kleryków i polityki. Zamienił jedną z miejscowych budowli na swój pałac i wznosił tam nowy Tron Włóczni, a dni spędzał w towarzystwie *Sharum*. Różnie o nim mówiono, ale bez wątplenia tytuł Pierwszego Wojownika nosił nie od parady.

W odległości dwóch kroków od tronu Ahmanna klęczał gruby *khaffit*, *Abban*, ubrany w kolorowe jedwabie i jak zwykle gotów szeptać rady do ucha męża Inevery. Obecność tego człowieka była obrazą dla wielu zebranych, ale nikt już nie śmiał otwarcie protestować. Ahmann nie miał bowiem litości dla niezadowolonych.

Inevera uważała, że rady *Abbana* mają o wiele więcej sensu niż słowa któregokolwiek z ludzi na sali, przez co przyglądała mu się coraz ostrożniej i z narastającą niechęcią. Ahmann gardził *Abbanem*, ale zarazem ufał mu bezgranicznie. Gdyby kaleka miał na to ochotę, bez trudu mógłby podszeptać przywódcy kilka złośliwych rad. Kości nigdy nie odsłoniły przed nią jego prawdziwych motywów, ale Inevera miała własne powody, by traktować go z ostrożną czujnością.

Damajah odsunęła od siebie uprzedzenia. Wiedziała, że upora się z *Abbanem* w odpowiednim czasie. Raz jeszcze spojrzała na męża.

Tron Czaszek, przywieziony tu z *Krasji*, stał na szczycie podwyższenia, a rozparty na nim Ahmann w każdym calu przypominał *Shar'Dama Ka*. Korona *Kajiego* wyglądała na jego głowie równie naturalnie jak zwykły turban na głowie innego mężczyzny. Niepokonana Włócznia *Kajiego* stanowiła naturalne przedłużenie ramienia Wybawiciela i bywało, że wymachiwał nią,

by podkreślić swe słowa. Wszystko to, co mówił, było jednocześnie błogosławieństwem, jak i rozkazem.

Tym razem jednak do stroju Ahmann dołączył nowy element – był to jedwabny płaszcz runiczny, подарowany mu przez dziwkę z zielonych krain w dniu pierwszego spotkania. Inevera poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Z trudem odzyskała równowagę.

Płaszcz był piękny, nie mogła zaprzeczyć. Na nieskazitelnie białym płótnie wyszyto srebrną nicią setki runów, które ożywały w nocy i sprawiały, że *alagai* nie dostrzegały noszącego go człowieka. Owiany legendą Płaszcz Kajiego, uszyty przez samą Damajah, dysponował podobnymi mocami, ale padł ofiarą upływu czasu. W sarkofagu, z którego wydobyto Włócznie Wybawiciela, znaleziono jedynie jego strzępy.

Ahmann wolną dłonią pieszczotliwie gładził jedwab niczym skórę kochanki, a to, że narzucił okrycie na ramiona, stanowiło dla zebranych czytelny przekaz. Założywszy płaszcz od Leeshy przy ludziach, Ahmann dawał do zrozumienia nie tylko to, że wiedźma z Północy była mu pisana, lecz również to, że miała związek z Everamem.

Tak jak kiedyś ja, pomyślała z goryczą Inevera. Choć nosiła niemalże przeźroczyste szaty, dopiero brak kości sprawiał, że czuła się naprawdę naga.

Mimo to weszła rażno po siedmiu stopniach na podwyższenie i uśmiechnęła się promiennie do męża, a potem bez zahamowań wślizgnęła się na jego kolano i uniosła woalkę, by go ucałować. Z całego serca pragnęła, by wszyscy to ujrzeli. Ahmann był już przyzwyczajony do takich popisów, ale czuł się wówczas nieswojo, więc Inevera szybko zsunęła się na poduszki ułożone po prawej stronie tronu. Wtedy zorientowała się, że Abban wbija w nią wzrok. W spojrzeniu *khaffit* nie było pożądania, ale wyczytała szacunek.

Nie zapomnij tego, co właśnie ujrzałeś, *khaffit*, pomyślała Inevera. Próbowalesz wleźć w ślad za mną do łóża Ahmanna przy pomocy tej zdziry z Północy, ale Leesha właśnie odjechała!

Poprawiła włosy i niedostrzegalnym ruchem aktywowała kolczyk, by usłyszeć, co Abban szepcze mężowi do ucha.

– Jakie osiągnąłeś postępy w organizowaniu naszych sił, synu? – spytał Ahmann.

– Duże – odparł Jayan. – Zwiększyliśmy garnizony zarówno w mieście, jak i w otaczającej go strefie i zabraliśmy się do organizowania patroli.

– Znakomicie.

– Ściąganie i werbowanie wojowników z wiosek *chin* oraz zbrojenie ich na najbliższy Nów oznacza jednak spore koszty – ciągnął Jayan.

– Chodzi mu nie tyle o pobór, co o wykończenie wnętrza pałacu – szepnął Abban. – Przypuszczam, że wydał na to pieniądze z podatku ściągniętego na cele wojenne.

– Ile? – zapytał Ahmann syna.

– Dwadzieścia milionów draki – odparł Jayan i urwał. – No, może nawet trzydzieści.

– Na brodę Everama – mruknął Abban i potarł skronie. *Damaji* zaszemrali z oburzeniem. Inevera nie winiła ich. Suma wymieniona przez Jayana była wprost niesłychana.

– Mamy w ogóle tyle? – spytał cicho Ahmann.

– Moglibyśmy zwiększyć tempo przetapiania i odlewania monet z miejscowego skarbcza, a także wydobyć z twoich kopalń złota – rzekł Abban. – Ale myślę, że tylko głupiec wręczyłby teraz temu chłopcu więcej niż miedziaka. Najpierw musimy otrzymać pełne sprawozdanie z tego, co się stało z podatkiem na cele wojenne i w jaki sposób nowe fundusze mają zostać wydane.

– Nie mogę skazać syna na takie upokorzenie – sprzeciwił się Ahmann.

– Ale *khaffit* ma rację, ukochany – wtrąciła się Inevera. – Jayan nie zdaje sobie sprawy z wartości pieniądza. Jeśli wręczysz mu taką kwotę, wróci tu za dwa tygodnie i poprosi o więcej.

Ahmann westchnął. Sam nie wykazywał szczególnych zdolności do zajmowania się finansami, ale ufał swym doradcom.

– Dobrze – rzekł do Jayana. – Otrzymasz te fundusze, ale najpierw twoi *khaffit* przedstawią Abbanowi szczegółowe sprawozdanie z tego, jak wydano pieniądze z podatku. Niech dołączą listę wydatków, które chcesz pokryć za pomocą dodatkowych funduszy.

Jayan stał jak wryty. Otworzył szeroko usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Może będę mógł ci pomóc, bracie – odezwał się Asome. – Włóczyń władasz o wiele lepiej niż piórem.

– Nie potrzebuję ani pomocy *push'ting*, ani *khaffit*! – warknął Jayan.

Asome nie podjął zaczepki i uklonił się z uśmiechem. Był zadowolony z siebie.

– Jak sobie życzysz.

Asome nie został naznaczony spadkobiercą, ale nie było tajemnicą, że obaj najstarsi synowie Ahmanna mieli nadzieję kiedyś go zastąpić i wykorzystywali każdą okazję, by pograć rywała.

Asome parokrotnie prosił ojca, by ten wskrzesił instytucję Andraha i posadził go na tronie. Jak dotąd Ahmann odmawiał. Asome był młodszy o ponad ćwierć wieku od jakiegokolwiek Andraha w historii i dzięki takiej nominacji wziąłby górę nad bratem.

Jayan był młodzieńcem impulsywnym i porywczym, podczas gdy Asome działał ostrożnie i spokojnie. W przeciwieństwie do Jayana, który potrafił okazać wielką brutalność, postępował subtelnie i przemawiał łagodnym głosem. Gdyby Asome otrzymał pozycję wyższą od Jayana, z pewnością doszłoby do rozlewu krwi, gdyż po stronie młodego Sharum Ka opowiedziałoby się wielu *Damaji*. Sharum Ka służył bowiem Radzie *Damaji*, której przewodził Andrah. Przyjmowanie rozkazów od ojca to jedno, a słuchanie *dama*, który dopiero rok temu zdjął bido, to zupełnie co innego.

– Każę ci przynieść moje księgi, ojcie – rzekł Jayan i spojrzał z nienawiścią na młodszego brata.

Na swego *zahven*.



XVII

Zahven

LATA PLAGI 326–329

Usłyszy głos z przeszłości i pozna swego *zahven*...”

Inevera zastanawiała się nad znaczeniem rzutu przez długą chwilę. Niektóre z symboli przepowiedni były oczywiste i łatwe do zrozumienia, bez względu na kontekst. Te należały jednak do zdecydowanej mniejszości. Inevera osiągnęła absolutne mistrzostwo w odczytywaniu zagmatwanych wyroków, ale nawet ona widziała w *alagai hora* więcej zamętu aniżeli konkretów.

Zahven był starożytnym symbolem, który przez wieki przybierał najrozmaitsze znaczenia. Żadnego nie można było lekceważyć. Znak ten mógł oznaczać „brat”, ale równie dobrze „rywal”, „odpowiednik” albo „zagłada”. Mężczyźni określali tym mianem członków innych plemion o tej samej pozycji w hierarchii, ale Everam był również *zahven* wobec Nie.

Lecz kto mógł okazać się *zahven* dla Ahmanna? Nie miał przecież braci, ani nawet bliskich kuzynów, a jego *ajin’pal* był Hasik, człowiek, którego dobrze już znał. Czyżby gdzieś rodził się kolejny Wybawiciel? Rywal? A może Ahmann miał spotkać tego, który reprezentuje Nie na Ala? Trwał Nów, a więc czas, kiedy *alagai hora* były najsilniejsze. Mówiono, że Alagai Ka wznosi się wówczas z siódmego poziomu Otchłani i kroczy po Ala. Czyżby księżę demonów miał tej nocy pojawić się w Labiryncie?

Inevera oddychała głęboko, by strach i niepokój uleciały niczym wiatr. Wkrótce na powrót ogarnął ją spokój, ale druga część przepowiedni nie przestawała jej dręczyć. O jakim głosie z przeszłości Ahmanna była mowa? Dlaczego Inevera jeszcze o nim nic nie wiedziała?

„Przeszłość powraca, gdy czas spłacić długi” – nauczała Ewejah’ting. Inevera przypomniała sobie noc, podczas której Soli i Kasaad pojawili się w pawilonie *dama’ting*. Nie mogła zaprzeczyć tym słowom.

Był pierwszy dzień Nowiu i niedługo miał nastać świt, kiedy to spłacano długi i spełniano przysięgi. *Sharum* mieli otrzymać wypłatę i wrócić do domów, a ich synów zwalniano z *sharaji*, by spotkali się z rodzinami.

Inevera odłożyła kości i oddychała miarowo, a potem wstała płynnie i udała się do komnaty, gdzie spał Ahmann. Zazwyczaj wracał do pałacu kilka godzin przed świtem, po tym jak oczyścili cały Labirynt z *alagai*. Spał długo, a jego dzień zaczynał się dopiero około południa.

Podczas Nowiu jednakże budził się już o świcie, aby spędzić możliwie najwięcej czasu z synami.

Szaty Inevery spłynęły na podłogę. Wpełzła na poduszki, by go obudzić.



Inevera oparta o marmurową kolumnę przyglądała się Ahmannowi, Jayanowi i Asome. Cała trójka znajdowała się przed zawieszoną u sufitu kukłą ćwiczebną, a ojciec demonstrował najstarszym synom sztukę władania włócznią oraz *sharusahk*.

Siostry-żony Inevery oraz ich synowie również byli obecni. Klęczeli w kręgu dookoła pomieszczenia niczym niewielka armia. Inevera przywykła nazywać *Jiwah Sen* „siostrzyczkami”, jak kiedyś robiła to Kenevah. Zdrobnienie nie przypadło im do gustu – przecież każda piastowała wysoką pozycję w swoim plemienu – ale żadna nie sprzeciwiała się jego użyciu. Trwał Nów i Ahmann miał poświęcić im oraz ich synom chwilę uwagi przed wielką ucztą.

– To ja chcę zostać Sharum Ka! – wykrzyknął Jayan i wbił włócznię w kukłę.

Inevera spoglądała ze smutkiem na pierworodnego. Kiedyś miała go za mądrego. Nie był aż tak bystry jak jego brat Asome, ale dość dociekliwy, jednak po trzech latach w *sharaj* błysk w jego oczach znikł bezpowrotnie. Miał teraz martwe spojrzenie *Sharum*, spojrzenie brutalnego zwierzęcia pozbawionego umiejętności myślenia, spojrzenie człowieka, który cenił śmierć

bardziej od życia. Jayan osiągnął mistrzostwo w sztuce władania włócznią, ale miał spore trudności z prostymi rachunkami i tekstami, z którymi Asome, rok od niego młodszy, radził sobie bez najmniejszego trudu. Mając kawałek papieru w ręce, wolał się nim podtrzeć, niż przeczytać zapisaną na nim treść.

Westchnęła. Gdyby tylko Ahmann pozwolił jej posłać Jayana do Sharik Hora, gdzie zostałby *dama*... Ale o tym nie było mowy. Mąż chciał, by synowie zostali *Sharum*. Jedyne drugie dziecko miało prawo przywdziać białe szaty. Resztę wysyłano do *sharaj*.

Jednakże gdy Inevera spoglądała na Ahmanna zajmującego się chłopcami i widziała miłość w jego oczach, nie mogła go o nic winić.

Ten, jakby czytał jej w myślach, odwrócił się i podchwycił jej spojrzenie.

– Cieszyłbym się, gdyby moje córki również co miesiąc wracały do domu na Nów.

Wydałbyś je niczym drobne monety ludziom, którzy nie zasługują na taki zaszczyt, pomyślała Inevera, ale nie powiedziała tego na głos. Pokręciła jedynie lekko głową.

– Nie wolno przerywać ich nauk, mężu. *Hannu Pash* dla *nie'dama'ting* jest... cóż, bardzo rygorystyczna.

W rzeczy samej ćwiczyła z córkami od urodzenia.

– Ale nie wszystkie zostaną *dama'ting*! Muszę je wydać za lojalnych sojuszników.

– I tak też się stanie – zapewniła Inevera. – Będziesz miał córki, których nie odważy się skrzywdzić żaden mężczyzna, a których lojalność wobec ciebie będzie silniejsza nawet od wierności mężom!

– A ich posłuszeństwo wobec Everama przeważa nad tym wobec ojca – mruknął Ahmann, a w głowie żony odezwał się głos Kenevah:

„Jedyną osobą, której będę naprawdę wiernie służyć, jesteś ty, Inevero”.

– Oczywiście – powiedziała na głos.

Strażnicy przy drzwiach poruszyli się, gdy do pomieszczenia wszedł Ashan, pełniący funkcję osobistego *dama* Sharum Ka. Podczas Nowiu rzadko zjawiał się na dworze, gdyż był zajęty odprawianiem ceremonii i udzielaniem błogosławieństw. Wraz z nim do sali wszedł Asukaji, który natychmiast ustawił się przy Asome. Obaj chłopcy bardziej przypominali braci niż kuzynów. Asome był o wiele bardziej podobny do Asukajiego niż do Jayana.

Ashan uklonił się.

– Sharum Ka, pojawiła się pewna sprawa i *kai'Sharum* chcieliby, żebyś ją rozstrzygnął.

Inevera napięła mięśnie.

Chwila minęła, pomyślała.

Ahmann uniósł brew, gdy żona wstała, by mu towarzyszyć, ale nawet nie próbował jej powstrzymać. Wiedział, że nigdy by się to nie udało. Wyszli z pałacu po wielkich kamiennych stopniach na dziedziniec przed placami treningowymi *Sharum*. Za nimi wznosiła się świątynia Sharik Hora, a po obu stronach ciągnęły się pawilony poszczególnych plemion.

U dołu schodów, lecz wciąż na terenie pałacu, stała grupka *Sharum* oraz *dama*, którzy otaczali dwóch ludzi. Jeden był otyłym *khaffit*, odzianym w drogie szaty przyćmiewające kolorami nawet te, które zakładały Krasjanki w zaciszu alkowy. Miał co prawda brunatną kamizelkę i czapkę *khaffit*, ale koszula i pantalony wykonane były z kolorowego jedwabiu. Czapkę otaczał czerwony jedwabny turban, zwieńczony kamieniem szlachetnym. Pas i trzewiki wykonano ze skóry węża. Opierał się na lasce z kości słoniowej ze zwieńczeniem uformowanym na kształt wielbłąda. Grubas opierał pachę między jego garbami.

Drugim człowiekiem był *chin* z Północy, ubrany w zwykły, spłowiały nieco i zakurzony strój, przez co w pierwszej chwili można by go pomylić z *khaffit*. Wyróżniało go jednak to, że nosił włócznię, na co *khaffit* nie mieli pozwolenia. Nie wydawał się też przestraszony, ani nawet speszony towarzystwem tak wielu wojowników. Posłaniec z zielonych krain. Inevera widywała ich na bazarze, ale nigdy z żadnym nie rozmawiała.

Przyglądała się teraz Ahmannowi, który wpatrywał się w *khaffit* i sprawiał wrażenie, jakby go poznawał.

Głos z przeszłości.

Inevera przyjrzała się uważniej grubasowi. Wyobraziła go sobie jako osobę młodszą oraz szczuplejszą i przez moment przetrząsała pamięć, aż przypomniał jej się chłopak, który przyniósł Ahmanna do pawilonu *dama'ting* wiele lat temu. Ten sam chłopak później też trafił do pawilonu, a opuścił go z opatrunkiem na skomplikowanym złamaniu. Nawet *dama'ting* nie były pewne, czy noga się zagoi. Był to Abban syn Chabina, kupca, który niegdyś sprzedawał *couzi* ojcu Inevery. To wystarczyło, by znienawidziła go od pierwszej minuty.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jesteś godny, by stąpać między mężczyznami? – spytał Ahmann ostro. Gniew w jego głosie zaskoczył Ineverę. Może Ahmann musiał ów dług z przeszłości ściągnąć, a nie spłacić? Czy istniał inny powód, dla którego *khaffit* mógł przybyć do pałacu Pierwszego Wojownika i narazić się na jego gniew?

– Proszę o wybaczenie! – Abban opadł na kolana i dotknął czołem ziemi.

– Spójrz tylko na siebie – ciągnął Ahmann. – Ubierasz się jak kobieta i obnosisz ze swoim plugawym bogactwem, jakbyś nie wiedział, że to zniewaga wobec wszystkiego, w co wierzymy. Doprawdy powinienem był pozwolić ci spaść.

Spaść? – powtórzyła w duchu Inevera z zaskoczeniem.

– Wybacz, wielki panie – powiedział Abban. – Nie chcę nikogo urazić. Jestem tu po to, by tłumaczyć.

– Tłumaczyć? – Ahmann uniósł głowę i po raz pierwszy dostrzegł przybysza z Północy. – *Chin!*

Odwrócił się do Ashana.

– Wezwałeś mnie tutaj, bym porozmawiał z *chin*?

– Posłuchaj go – napomniął go Ashan. – Posłuchaj go, a sam się przekonasz.

Ahmann przyglądał się przybyszowi przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– A więc mów, ale lepiej się streszczaj – powiedział do Abbana. – Twoja obecność jest dla mnie zniewagą.

– Oto Arlen asu Jeph am'Bales am'Tibbet. – Abban wskazał na Posłańca. – Ostatnio mieszkał w Forcie Rizon na Północy. Przekazuje wam pozdrowienia, panie, i błaga, by dziś w nocy mógł walczyć u boku wojowników z Krasji w *alagai'sharak*.

Ahmann otworzył szeroko usta, Inevera również poczuła wielkie zdumienie. Człowiek z Północy, który miał ochotę wziąć udział w walce, był czymś równie osobliwym jak ryba, która chce pływać w gorącym piasku.

Mężczyźni znów zaczęli się kłócić, czy obcy powinien otrzymać zgodę, ale Inevera ich nie słuchała.

– Mężu – odezwała się cicho do Ahmanna, dotykając jego ramienia – jeśli *chin* życzy sobie walczyć w Labiryncie jak *Sharum*, trzeba odczytać jego przyszłość.



Inevera zaprowadziła obcego do komnaty, w której wróżyła. Ahmann uparł się, że będzie im towarzyszył, a Inevera nie potrafiła wymyślić sposobu, by mu to wyperswadować. Ahmann bywał naiwny, ale z pewnością nie można było go nazwać głupcem. Od razu zauważył, że

przybysz z zielonych krain przykuł jej uwagę. Jeśli ten człowiek miał się okazać jego *zahven*, z pewnością również szybko to odkryje.

– Podaj nam rękę, Arlenie synu Jepha – powiedziała do obcego, wyciągnawszy nóż. Obcy zmarszczył brwi, ale bez wahania podwinął rękaw i wyciągnął dłoń.

Odważny, pomyślała Inevera, wykonując cięcie. Kości aż wibrowały w jej dłoni, gdy potrzasała nimi, szykując się do rzutu.

Gdy odczytała wynik, po jej plecach spłynął dreszcz.

Nie...

Przycisnęła kciuk do rany *chin*. Burknął coś pod nosem, ale się nie sprzeciwił. Inevera raz jeszcze zwilżyła kości jego krwią i wykonała rzut.

A potem powtórzyła go po raz trzeci.

Każdy z rzutów odsłonił przed nią dokładnie to samo przeznaczenie, które czekało Arlena asu Jeph am'Bales am'Tibbet. Inevera rzucała kośćmi dla setek wojowników, ale od czasu, gdy odkryła Ahmanna, nigdy nie widziała takiego wyniku.

Czy to on jest Wybawicielem? – pomyślała i zerknęła na przybysza z zielonych krain. Jego wygląd nie zapadał w pamięć – przybysz nie był ani szczególnie wysoki, ani niski, miał włosy koloru piasku i ogoloną twarz *khaffit*. Nie wydawał się brzydki, ale urodą nie dorównywał Ahmannowi.

Wyróżniało go tylko spojrzenie, twarde i zawzięte jak wzrok jej męża. W duchu przejrzała raz jeszcze wszystkie warianty przyszłości – były takie, w których zostawał Wybawicielem, jak i takie, gdzie ginął jako męczennik, umierał w samotności lub ściągął zagładę na całą ludzkość.

Żałuję, iż nie mogę brać sobie mężów tak, jak Ahmann bierze żony, pomyślała.

Rozważyła wszystkie opcje, ale uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Jej władza nie była nieskończona. Nawet *dama'ting* nie może mieć dwóch mężów jednocześnie. Ba, zamężna *dama'ting* to rzadko spotykany przypadek. Może ów przybysz krył w sobie wielki potencjał, ale na pewno nie był człowiekiem, który mógłby poprowadzić lud Inevery. Nie mogło też istnieć dwóch Wybawicieli, jeden na Północy, a drugi na Południu. Świat nie był na tyle duży, by pomieścić ambicje ich obu. Poszarpałoby go na strzępy i w efekcie ludzkość przegrałaby *Sharak Ka*.

A więc to Ahmann jest Wybawicielem.

– Może walczyć z nami – powiedziała, po czym schowała kości i przetarła skaleczenie na rękę *chin*. Nałożyła maść leczniczą i obwiązała mu rękę świeżym płótnem, a zakrwawione *hora* wsunęła do sakiewki.

Ahmann i nieznajomy wyszli natychmiast. Na korytarzu rozległy się głośnie rozkazy męża. Inevera, pozostawiona sobie, uklękła i wyciągnęła kości raz jeszcze, a potem skropiła je krwią wyciśniętą z bandaża.

– W jaki sposób Ahmann może wykorzystać moc, którą nosi w sobie syn Jepha? – zapytała i rzuciła kośćmi.

„Kiedy *zahven* znajdzie źródło prawdziwej potęgi, opowie o nim przyjacielowi, ale prędzej zginie, niż się z nim rozstanie”.

Inevera szybko zebrała kości i wsunęła je do sakwy. Wstała i wyszła na korytarz. Zauważyła Ahmanna tuż przed wyjściem na plac treningowy i złapała go za ramię.

– Jeśli chcesz zostać Shar’Dama Ka, ów *chin* okaże się niezbędny – szepnęła mu do ucha. – Obdarz go przyjaźnią i kochaj niczym brata, ale bacz, byś zawsze był w stanie go dźgnąć. Pewnego dnia będziesz bowiem musiał go zabić, jeśli chcesz zostać okrzyknięty Wybawicielem.



Tej nocy w mieście ryczały rogi alarmowe, którym wtórowały dzwony i krzyki kobiet w Podmieście. Zewnętrzny mur został sforsowany.

To było coś niesłychanego. Coś nie do pomyślenia.

Trwał Nów, a kości zdradziły, że Ahmann ma spotkać swego *zahven*. Czy ten człowiek z zielonych krain go zabił? A może kości nie miały jego na myśli? A jeśli Alagai Ka rzeczywiście powstał tej nocy, a Ahmann właśnie stanął mu na drodze? A jeśli tej nocy rozpoczęła się *Sharak Ka*?

Następnego dnia rano wydawało się, że w istocie spełniły się najgorsze wróżby. Skalny demon roztrzaskał wielką bramę, wyrzwał tłumy wojowników i otworzył wyrwę dla hord innych *alagai*. W całej historii Pustynnej Włóczni coś takiego nigdy nie miało miejsca. Była to klęska, której rozmiary mroziły krew w żyłach nawet najodważniejszych.

Ahmann jednakże odparł natarcie, zamknął bramy i ocalił setki wojowników. Wraz z przybyszem z zielonych krain stawili skalnemu demonowi czoła i uwięzili, by spaliło go słońce. Potwór cudem wymknął się z pułapki.

Pustynna Włócznia musiała jednak zapłacić ogromną cenę. Prawie jedna trzecia krasjańskich wojowników padła tej nocy, a ów demon, jak się okazało, był osobistym wrogiem człowieka z zielonych krain. Andrah zażądał głowy *chin*, ale Ahmann ostro mu się sprzeciwił, ryzykując swą reputację, i nazwał obcego Par'chinem – dzielnym przybyszem. Gdyby nie żywiołowe poparcie *Sharum* i najważniejszych *dama*, zarówno przybysz, jak i Ahmann niechybnie zostaliby skazani na śmierć.

– Będę potrzebować więcej krwi tego Par'china – rzekła Inevera.

Ahmann wybuchnął śmiechem.

– To nic trudnego. Par'chin często odnosi rany w Labiryncie, ale *alagai* zawsze drogo za to płacą! – oznajmił.

Następnym razem przyniósł jej szmatę tak nasiąkniętą krwią obcego, że po wyciśnięciu wypełniła całą fiolkę. Inevera przytwierdziła do naczynia kawałek *hora* i ukryła je pod matową szybą z runami zimna, by zachować krew na przyszłość.



Owej nocy, gdy Par'chin przyniósł włócznię, Inevera osobiście podawała herbatę. Ahmann spoglądał na nią z niedowierzaniem, ale żona chciała jak najbardziej zbliżyć się do broni. *Sharum* obecni na przyjęciu nie spuszczaali oczu z oręża, jednocześnie zdumieni i zachwyceni, ale człowiek z zielonych krain nie powiedział nikomu, skąd ma włócznię. Jedyne Ahmannowi wyznał na osobności, że znalazł ją w ruinach świętego miasta Słońce Anocha.

Ciężkie zasłony jadalni zostały zasunięte, a Inevera miała na sobie runiczny diadem. Minęło wiele lat, odkąd podawała herbatę, ale za czasów, gdy była *nie'dama'ting*, wpojono jej idealną precyzję ruchów i bez przeszkód mogła jednocześnie wypełniać obowiązki, jak i przyglądać się broni. W świetle Everama włócznia mieniła się niczym słońce, co oznaczało, że w jej wnętrzu z pewnością znajdują się kości demonów. Setki połączonych runów same w sobie były nieprawdopodobnym arcydziełem, nigdy też nie widziała podobnego metalu.

– Czynisz mi wielki zaszczyt, *dama'ting* – rzekł Par'chin, gdy Inevera nachyliła się, by napelnić jego filiżankę. Mówił nienagannie po krasjańsku, a jego maniery nie pozostawiały nic do życzenia. W uśmiechu nie było ani cienia winy. Albo należał do mistrzów wśród złodziei, a jego zachowanie stanowiło perfekcyjną grę, albo zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak Krasjanie karzą rabusiów grobów.

– To ja jestem zaszczycona, Par'chin – rzekła. – Jesteś jedynym mężem z Północy, który ma odwagę walczyć u naszego boku.

I ośmiela się patrzeć nam prosto w oczy, po tym jak próbował nas okraść, dodała w duchu.

Spojrzała na włócznię. Inevera miała ogromną ochotę przyjrzeć jej się z bliska, ale *dama'ting* nie wolno było dotykać broni. Zakrawało to na paradoks, bo włócznia bez wątpienia wyszła spod ręki którejś z jej konfraterek.

To, że patrzyła na autentyczny artefakt ze Słońca Anocha, z kośćmi demonów we wnętrzu, nie budziło żadnych wątpliwości. Inevera była też pewna, że włócznia będzie czynić istne spustoszenie wśród *alagai*, jak żadna inna broń od tysiącleci. W czasach Shar'Dama Ka było wiele takich włóczni, noszonych przez synów i poruczników Kajiego. Czy to jedna z nich, czy może Par'chin przyniósł jedyną Włócznię Kajiego, wykonaną ze świętego metalu przez samą Damajah? Istniał tylko jeden sposób, by się upewnić.

Wystarczył oszczędny ruch ramieniem, by zahaczyć białym płótnem rękawa o ostrze. Gdy Inevera się prostowała, metal rozdarł sukno.

Krzyknęła cicho i rozlała herbatę. Udała przepraszający uśmiech, a *Sharum* siedzący dookoła stołu szybko spojrzeli w bok, by nie widzieć jej słabości. Par'chin jednakże błyskawicznie złapał jedną ręką imbryk, a drugą podtrzymał *dama'ting*.

– Dziękuję, Par'chin. – Inevera spojrzała na włócznię, która stoczyła się na podłogę. Od razu dostrzegła to, co dojrzeć chciała. Przez całą długość drzewca ciągnęła się niemalże niedostrzegalna spoina. Gdyby nie umiejętność dostrzegania magii, Inevera nigdy nie zwróciłaby na to uwagi.

Spoina była miejscem, gdzie połączyły się arkusze świętego metalu zawiniętego przez Damajah.

Par'chin przyniósł prawdziwą Włócznię Kajiego.



– To musi się stać tej nocy. – Inevera podekscytowana krążyła po komnacie. Wiedziała, że Par'chin odnajdzie źródło mocy, ale w najśmielszych marzeniach nie spodziewałaby się czegoś tak wspaniałego. – Przepowiedziałam to dawno temu. Zabij go i zabierz włócznie. O świcie obwołasz się Shar'Dama Ka, a za miesiąc będziesz rządził całą Krasją.

W głowie układała już kolejne fazy tego planu. Andrah zapewne będzie chciał Ahmanna powstrzymać bądź zabić, ale *Sharum* opowiadali się już za Jardirem. Gdyby ujrzeli, jak ten zabija *alagai* w Labiryncie, zbiegliby się do niego tłumnie.

– Nie – odrzekł Ahmann.

Minęła chwila, nim Inevera uzmysłowiła sobie znaczenie tego słowa.

– Krevakh i Sharach poprą cię natychmiast, ale Kaji i Majah ostro się sprzeciwią... Zaraz, co powiedziałeś?

Inevera odwróciła się do niego zdziwiona.

– Przepowiednia...

– Niech szlag trafi przepowiednię! – skrzywił się Ahmann. – Nie zamorduję przyjaciela bez względu na to, co mówią twoje demony kości. Nie obrabuję go. Jestem Sharum Ka, a nie podstępny złodziejem.

Ineverę ogarnęła wściekłość tak wielka, że kobieta nie była w stanie jej opanować. Wymierzyła mężowi siarczysty policzek, odgłos uderzenia odbił się echem od kamiennych ścian.

– Jesteś głupcem! Nastąpiła właśnie rozstrzygająca chwila, kiedy przepowiedziane zdarzenia mogą się stać rzeczywistością. O świcie jeden z was zostanie ogłoszony Wybawicielem i od ciebie zależy, czy będzie nim Sharum Ka z Pustynnej Włóczni, czy rabujący groby *chin* z Północy.

– Jestem znużony przepowiedniami! – stwierdził Ahmann. – Mam dość ciebie i wszystkich *dama'ting*! Wszystko to tylko domysły, których celem jest manipulacja! Wymyślasz to, by powodować mężczyznami wedle własnej woli. Ja jednak nie zdradzę przyjaciela i nie obchodzą mnie kłamstwa o tym, co wyczytujesz z twoich porzytych runami demonich bobków.

Inevera odniosła wrażenie, że wszystko to, co budowała od dwudziestu lat, niespodziewanie zaczęło się walić. Czyżby jej plan miał się nie powieść tylko dlatego, że jej mężowi idiocie zabrakło hartu ducha, by zabić człowieka, który znieważył grób Kajiego? Wrzasnęła przeraźliwie

i uniosła rękę, by go uderzyć, ale Ahmann złapał ją za nadgarstek. Szarpała przez chwilę, ale był od Inevery o wiele silniejszy.

– Nie zmuszaj mnie, bym cię skrzywdził – ostrzegł.

Jak śmiał jej grozić? Słowa Ahmanna sprawiły, że Inevera odzyskała przytomność umysłu. Podczas wieloletniego treningu z Enkido nauczyła się, że siłę można odebrać pojedynczym dotknięciem. Obróciła się i wbiła wyprostowane palce w ramię męża, przerywając linię energii. Chwył osłabł, a Inevera błyskawicznie wyswobodziła się z uścisku. Cofnęła się o krok i wygładziła szaty, oddychając rytmicznie.

– Nadal uważasz *dama'ting* za bezbronne, mój mężu – wyszeptała. – A ty akurat ze wszystkich ludzi na świecie powinieneś domyślić się prawdy.

Ujęła jego bezwładną, odrętwiałą dłoń, szarpnęła ramieniem i wbiła drugi kciuk w odpowiednie miejsce na barku. Ręka Ahmanna natychmiast odzyskała pełną sprawność.

– Nie jesteś złodziejem. Przecież chcesz tylko odzyskać to, co ci się prawnie należy.

– Co mi się należy? – powtórzył Ahmann.

– Kto jest złodziejem? – spytała Inevera. – *Chin*, który rabuje grób Kajiego, czy ty, jego potomek, który odzyskuje to, co zostało zabrane?

– Nie wiemy, czy to naprawdę Włócznia Kajiego – stwierdził Ahmann.

Inevera skrzyżowała ramiona.

– Wiesz to doskonale. Wiedziałeś to w chwili, gdy ujrzałeś ją po raz pierwszy. Wiedziałeś dobrze, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Nigdy tego przed tobą nie kryłam.

Ahmann nie odpowiedział, ale Inevera wiedziała, że trafiła w sedno. Dotknęła jego ramienia.

– Jeśli chcesz, mogę coś wlać do jego herbaty. Odejdzie szybko.

– Nie! – Ahmann cofnął rękę. – Dlaczego zawsze proponujesz tak haniebne rozwiązania! Chcesz go zabić jak zwykłego psa? Przecież Par'chin to nie *khaffit*! Zasluguje na śmierć godną wojownika!

Przekonałam go, pomyślała Inevera.

– A więc zatroszcz się o to. I to już, zanim rozpocznie się *alagai'sharak* i wszyscy poznają moc włóczni!

Ale Ahmann pokręcił głową i kobieta zrozumiała, że w tej kwestii mąż nie da się przekonać.

– Jeśli Par'chin ma zginąć, stanie się to w Labiryncie.



Następnego dnia rano Ahmann powrócił do pałacu Sharum Ka jako triumfator, niosąc włócznię wysoko nad głową. *Sharum* wiwatowali, a *dama* wpatrywali się w niego w milczeniu, jedni z przerażeniem, inni pełni świętego zapału. Nie potrzeba było mędrca, by wiedzieć, że świat już nigdy nie będzie taki sam.

Ahmann wydawał się dumnym, nieustraszonym przywódcą w każdym calu, ale w jego oczach widniała udręka. Szedł otoczony przybocznymi oraz pochlebcami i Inevera wiedziała, że natychmiast musi porozmawiać z nim na osobności. Skinęła na siostrzyczki, które szybko i sprawnie uformowały nieprzenikniony krąg wokół Ahmanna. Żaden mężczyzna nie ośmieliłby się przeszkodzić *dama'ting* i wszyscy towarzysze Sharum Ka zostali daleko z tyłu. Wianuszek żon odprowadził zaś Sharum Ka do komnaty, gdzie oczekiwała Inevera.

– Co się stało? – spytała. – Czy Par'chin...

– Już po nim – przerwał jej Ahmann. – Wbiłem mu włócznię między oczy i porzuciłem jego ciało na wydmach, daleko za murami miasta.

– Dzięki niech będą Everamowi – odetchnęła Inevera i rozluźniła mięśnie. Nie zdawała sobie sprawy, że była tak spięta. Nawet kości nie potrafiły z całą pewnością stwierdzić, czy Ahmann zdobędzie się na zamordowanie przyjaciela.

A bez wątpienia było to morderstwo, choć nakłaniając Ahmanna do tego czynu, Inevera celowo używała łagodniejszych sformułowań, by zdrada była łatwiejsza do przełknięcia. Przybysz z zielonych krain okazał się świętokradcą i rabusiem grobów, ale wychowano go w innej wierze. Poza tym Inevera sama obrabowałaby grób Kajiego, gdyby wiedziała, gdzie go pochowano i co zawierał grobowiec. Już poradziła Ahmannowi, by udał się tam jak najszybciej.

Położyła mężowi dłoń na ramieniu.

– Przykro mi. Par'chin był honorowym człowiekiem.

Ahmann bezceremonialnie strząsnął jej ramię.

– A co ty możesz wiedzieć o honorze?

Wypadł z komnaty i udał się do niewielkiej kapliczki, gdzie zwykł się modlić. Inevera została, ale aktywowała swój kolczyk. Oddychała głęboko, słuchając szlochu męża.

Czy Ahmann to Wybawiciel? – zapytała się w duchu. Skoro ktoś taki się nie rodzi, ale jest tworzony, to jak się dowiem, czy wypełniłam moje życiowe zadanie? Czy muszę czekać, aż Ahmann zabije Alagai'ting Ka, Matkę Demonów?

Z pewnością Inevera wykorzystwała każdą okazję i sposobność. Jeśli na tym świecie objawił się gdzieś Wybawiciel, bez wątpienia był nim Ahmann. Znakomicie sprostał każdemu wyzwaniu w życiu i włócznia należała mu się, nawet jeśli miał przejąć ją siłą. Tak przecież mówiło jego przeznaczenie. Każdy człowiek bez wahania zabiłby przybysza z zielonych krain, ale Ahmann pomimo swej pozycji i potęgi szlochał z żalu jak dziecko, nie mogąc odżalować tej śmierci.

Czy Ahmann wykorzystałby sytuację, gdyby go nie pchnęła do działania? Czy sięgnąłby po włócznię, gdyby nigdy nie spotkał Inevery? Czy gdyby był silnym, lecz niepiśmiennym i uprzedzonym zwierzęciem tradycyjnie produkowanym przez Kaji'sharaj, zaprzyjaźniłby się z Par'chinem, a potem zabił go w odpowiednim momencie? Czy Ahmann miał w sobie coś boskiego, co pozwoliłoby mu zdobyć władzę bez pomocy Inevery?

Nie miała pojęcia.



– Załatwimy to dzisiaj – rzekł Ahmann, gdy Inevera pomagała mu założyć wzmocnioną płytkami szatę.

Od chwili, gdy przejął włócznię, minęło już prawie pół roku i nadszedł odpowiedni czas, by zaatakować pałac Andraha. Ahmann mógł zawładnąć miastem o wiele wcześniej, ale nie życzył sobie wielkiego rozlewu krwi. Wolał czekać cierpliwie, a zwolennicy Andraha stopniowo tracili cierpliwość i przechodzili na jego stronę.

– Większość ludzi w pałacu Andraha jest już po naszej stronie – powiedział Ahmann. – Otworzą bramy o świcie i zabiją ostatnich *Sharum* wiernych dawnym porządkom. Przed południem zasiądę na Tronie Czaszek. Gdy sytuacja będzie opanowana, poślę po ciebie i po *Jiwah Sen*.

Inevera skinęła głową, jakby to były nowe, ważne wiadomości, choć w rzeczy samej wiedziała już o wszystkim. Podsluchiwała tajne narady męża z generałami, a wnioski konsultowała z kośćmi. Odkąd Ahmann posiadał włócznię, Inevera nie miała już wiele do

zrobienia. Wychowywała go na przywódcę i gdy nadszedł właściwy moment, Ahmann odkrył, że znalazł się w swoim naturalnym środowisku.

Gdy wyszedł, by spotkać się ze swymi ludźmi, wezwała siostrzyczki. Zdjęły z niej białe jedwabie, a Inevera zeszła do basenu wypełnionego parującą wodą. Czekają tam Everalia i Thalaja, by wyszorować jej skórę i wklepać aromatyczny olejek.

– Przynieście mi te czerwone szaty, które zakładałam do miłosnych igraszek – powiedziała do Qashy, która pospieszyła, by wypełnić polecenie.

– Sprytne – uśmiechnęła się Belina. – Ukryjesz je pod białą szatą, by jak najszybciej zacząć świętowanie kolejnego zwycięstwa naszego męża.

Inevera odrzuciła głowę i wybuchła śmiechem.

– Och, siostrzyczko! Ja już nigdy w życiu nie założę bieli!



Inevera leżała na poduszkach obok Tronu Czaszek w Sharik Hora. Świątynia wzniesiona z kości bohaterów była teraz ich pałacem, a wszędzie dookoła kłębiła się stara magia, mniej efektowna od tej, która kryła się w kościach demonów, ale nie mniej potężna. Miliony mężczyzn zginęły, by ozdobić to miejsce, a ich dusze były na zawsze związane z kamieniem.

Świadomość, że spoglądają na nią duchy przodków, podsyciała rozwiązłość Inevery. Leżała na jedwabnych poduszkach, ubrana w przejryste szaty. Nogawki luźnych spodni, spięte złotymi paskami nad kostkami, rozcięte były aż po biodro, dzięki czemu Inevera z każdym ruchem odsłaniała nagą skórę nóg. Jej bluzkę stanowiło jedynie długie pasmo jedwabiu, zawiązane pod łopatkami i ledwie zakrywające jej doskonale widoczne piersi. Inne paski spływały wzdłuż ramion i kończyły się przy złotych bransoletach na nadgarstkach. Naoliwione włosy Inevera spięła złocistą klamrą.

Była to celowa demonstracja. Ahmann nie znosił, gdy żona obnażała się publicznie, więc należało mu uświadomić przy wszystkich, że nawet Shar'Dama Ka nie ma nieskończonej władzy. Musiał w takich sytuacjach udawać, że to jego wybór.

Była to ważna lekcja i Inevera na wszelki wypadek zamierzała przypomnieć to mężowi. Przed nią stały Kajivah, Ashan, Imisandre, Hoshvah oraz Hanya, a dalej siostrzenice Ahmanna, Ashia, Shanvah i Sikvah.

– *Hannu Pash* wezwała mego syna *Asukajiego*, by przywdział białe szaty *dama*, święty Wybawicielu – mówił *Ashan*. – Ale moja córka *Ashia*, krew z twojej krwi, została skazana przez *dama'ting* na założenie czerni. To zniewaga!

– Powinieneś się z tego cieszyć, *Ashanie* – rzekł *Ahmann*. – Gdyby weszła do pałacu *dama'ting*, nigdy więcej byś jej nie zobaczył. Nie ma niczego złego w życiu jako *dal'ting*!

Wskazał przy tym *Kajivah*.

Ashan uklonił jej się głęboko.

– Nie chciałem was urazić, święta matko.

Kajivah odpowiedziała ukłonem.

– Nie uraziłeś mnie, *Damaji* – zapewniła i odwróciła się do syna. Choć ten siedział siedem stopni nad nią, zdawała się spoglądać na niego z góry.

– W istocie nie ma niczego złego w życiu jako *dal'ting*, ale nie jest to łatwy żywot. Wraz z córkami dźwigamy to brzemie od wielu lat. Czy podoba ci się prawo, które broni męża bijącego dziecko z twojej krwi?

Ahmann spojrział na *Ineverę*, ale ta odezwała się pierwsza:

– Kości ich nie wzywały.

Siedzieli wysoko i nikt inny nie usłyszał jej słów.

– Czy pozwoliłbyś kalece zostać *Sharum*? – spytała.

Ahmann skrzywił się, ale odpowiedział jej równie cicho:

– Sugerujesz, że moje siostrzenice nie są nikim lepszym od zwykłych kalek?

Inevera pokręciła głową.

– Sugeruję tylko i wyłącznie tyle, że zostały stworzone do innych celów. Człowiek nie musi przyjmować rozkazów, by stać się kimś wielkim, ukochany. Przyjrzyj się temu sam. Jeśli sobie życzysz, wezmę te dziewczęta do pałacu *dama'ting* i poddam je takiemu samemu szkoleniu, jak ty przeszedłeś w *Sharik Hora*.

Ahmann spoglądał na nią przez chwilę, a potem skinął głową i zwrócił się do reszty:

– Dziewczęta zostaną zabrane do pałacu *dama'ting* jako *dal'ting* i poddane szkoleniu. Opuszczą go jako *kai'ting*, a po ślubie będą nosić białą woalkę do czarnego zawoju i czarnej szaty. Tak samo od dziś będzie się ubierać moja matka oraz moje siostry. Podobnie jak w przypadku *dama'ting*, każdy mężczyzna przyłapany na biciu *kai'ting* zapłaci za to kończyną albo życiem.

– Wybawicielu... – zaczął Ashan, ale Ahmann przerwał mu nieznacznym machnięciem włócznie.

– Oto moje słowa, Ashanie.

Upokorzony *Damaji* cofnął się, a Inevera powstała. Klasnęła i zatarła dłonie, przyglądając się trójce dziewcząt, młodziutkich i niedoświadczonych. Nie miała pojęcia, co z nimi zrobić, ale czasami tak było najlepiej. Pomysły same się pojawiały.

Evejah'ting mówiła: „Zasadź wszystkie ziarna, które posiadasz, a możesz doczekać się niespodziewanych owoców”.

Wyprowadziła dziewczęta z wielkiej sali własnym wyjściem. Tuż za drzwiami stali Qeva oraz Enkido, którzy dzięki znakomitej akustyce usłyszeli każde słowo wypowiedziane przed tronem.

– Przez cztery godziny dziennie te dziewczyny mają się uczyć czytania i pisania, śpiewu oraz tańca miłosnego – powiedziała Inevera do Qevy. – Przez pozostałe dwadzieścia należą do Enkido.

Ashia krzyknęła z przestraczem, a Shanvah złapała ją za rękę. W oczach Sikvah pojawiły się łzy. Inevera zignorowała je i odwróciła się do eunucha.

– Daj z siebie wszystko – nakazała.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ

